

Edwin Black

FORMAT C:

*Dla mojej żony Elizabeth, która towarzyszyła mi we wszystkich miejscach i chwilach opisanych na wszystkich stronicach... i która nadal mi towarzyszy*

*Format c:* to dzieło fikcyjne, fantastyczne i parodystyczne. Choć możliwości i problemy technologiczne opisane w tej książce są realne, jej treść jest wytworem wyobraźni. Wszelkie odniesienia do autentycznych czy też pozornie autentycznych wydarzeń oraz/lub żyjących ludzi mają na celu wyłącznie nadanie tej opowieści znamion autentyczności. Opisywane postacie, wydarzenia i firmy są całkowicie fikcyjne albo też występują w całkowicie fikcyjnym kontekście. Wątki powieści i ich zakończenia nie mają nic wspólnego z rzeczywistością. Innymi słowy, możecie sobie myśleć, że to nieprawda.

## PODZIĘKOWANIA

Pokorne słowa wdzięczności kieruję pod adresem moich uczonych *hevre*, Ariela L. Szczupaka i Bradleya Kliewera — dwóch spośród najszybszych umysłów istniejących w roziskrzonym trójkącie pomiędzy ludzką świadomością, boskim przesłaniem a cyberprzestrzenią. Podziękowania po wieczne czasy należą się wspaiałym rodakom, Malcolmowi Brownowi, Patowi Connolly'emu, Billowi Davisowi, Alice Lucan, Davidowi Pordy'emu, Lynne Rabinoff, Lori Stuart i Jane Wesman, którzy sięgali ku mnie ponad przestrzenią, by zetknąć się, podzielić i wzbogacić. Milt Budoff wykazał się wizjonerską odwagą, dostrzegając horyzont i bez lęku gnając z fascynacją na drugą stronę. Szczególną wnikliwość okazali Eddie Benaim, Margaret Dutcher, John Kalter, Barbara Opali i wielu innych, którzy machali, uśmiechali się i pomagali, kiedy mijałem ich w pędzie. Za tryskające energią towarzystwo posyłam błogosławieństwa wybitnym kompozytorom i muzykom, Johnowi Barry'emu, „Gipsy Kings”, Jerry'emu Goldsmithowi, Otrze Hazie, Jamesowi Homerowi, „Tangerine Dream”, Johnowi William-sowi, a zwłaszcza Hansowi Zimmerowi — wszyscy oni spieszyli na ratunek, gdy za oknem zapadała ciemność, a z kartki ziało pustką; och, słyszę ich nawet teraz. Pozdrawiam Susan Anastasi i Marka LaFlaura za ich intuicję i doskonałość. Wyciągam ramiona do czytelników mego manuskryptu na całym świecie, którzy pomogli mi zrozumieć swe lęki i radości i ujrzeć, jak wielkim wstrząsem będzie ta podróż.

Nigdy nie spłacę długu wobec Miriam Bass i mego mentora, Edwarda T. Chase'a, którzy podali mi pomocną dłoń i nieśli przede mną zapaloną świecę.

Częściowo wywiązuję się z obietnicy danej moim rodzicom, Harry'emu i Ethel Black, których spotkacie jako Mojszego i Rivke. Jest to też wyjaś-

nienie dla mej siostry, Leikhah, która teraz odkryła wiele z tego, co już wiedziała. Dumą przepełnia mnie fakt, że trzeci pisarz w rodzinie, moja nastoletnia córka Rachel, nauczyła się, iż powinnością autora jest upór i chęć dzielenia się z innymi.

Świata nie starczyłoby na wyrażenie uznania, jakie żywię dla mojej żony Elizabeth, wspaniałej pisarki, która pracowała, poprawiała i służyła natchnieniem w każdej minucie każdej godziny tej niebezpiecznej wędrówki. Niczym ziemia bez powietrza, ocean bez wody, życie bez duszy, tak jałowe byłoby me istnienie bez niej.

CZEŚĆ PIERWSZA

# **WOJNA SYSTEMÓW OPERACYJNYCH**

## DAN LEVIN

Był szczupły i młodzieńczy, liczył może ze dwadzieścia lat, wyglądał tak, jakby miał zaraz wybiec na boisko i grać w piłkę. Uniósł lekko czapkę, odsłaniając jasne jak słoma włosy, wymienił kilka żartów z przyjaciółmi, jednego nawet szturchnął na niby.

Nagle, niemalże rutynowo, naciągnął czapkę i krzyknął wściekle: *Schnell! Schnell!* Osiemnastu nagich, wychudzonych Żydów wybiegło z długiej kolejki nad błotnistą krawędź. Stanęli nad oślizgłą, usmarowaną odchodami krawędzią dołu, zbolałymi dłońmi osłaniając genitalia w żalostnej parodii wstydlivosti. Zuchwale, jak gdyby zabawiał się rzutkami w *biergarten*, młody Niemiec odbezpieczył kciukiem swego lugera i wbił lufę w skroń najbliższego Żyda. Jego kolega po drugiej stronie grupy uczynił podobnie.

Żalostne twarze ofiar wyjaśniały wszystko. Posłusznie czekając na egzekucję, tych osiemnastu, jak niezliczone osiemnastki przed nimi, nie miało już szans na dalsze życie. Każdy z nich po prostu poddał się i teraz kroczył pokornie na ostateczną rzeź holocaustu, ku dołom śmierci na świeżym powietrzu. We wszechświecie nieopisannej, upokarzającej śmierci to było najsmutniejsze. Przy dołach, obsługiwanych przez żołnierzy ze specjalnie sformowanych *Einsatzgruppen*, nie było podstępów, żadnych oszukańczych pryszniców, żadnych zatłoczonych pomieszczeń bez możliwości ucieczki wypełnionych bezbronnymi, duszącymi się więźniami, żadnych pozorów oficjalności, egzekucji dokumentowanych w sadystryczny, choć sta-

ranny sposób. Tu była tylko długa kolejka biernych ludzi, którzy zrezygnowali już z wszelkich prób stawiania oporu, podchodzących na rozkaz do krawędzi — nie teraz... teraz... nie teraz... teraz... czekających na kulę, która pośle ich bezwładnie do zbryzganego ługiem rowu.

*Fer vas nicht?* Za chwilę mieli opuścić tę ponurą, krwawą ziemię i stać się potężnymi wspomnieniami, które będą natchnieniem pokoleń, nawołując do zemsty i żyjąc wiecznie. Żaden nazista nie był w stanie tego zastrzelić.

Młody Niemiec dał sygnał uniesieniem brwi. Dwa strzały zlały się w jeden. Siedemnastu ludzi osunęło się bez życia do dołu, siedemnaście mózgów przebitych pojedynczą, bezlitosną kulą wystrzeloną z jednego z końców szeregu. Kiedy więźniowie z *Sonderkommando* w szaleńczym pośpiechu spychali szuflami miękką ziemię na swych krwawiących braci, ujrzeni, że mężczyzna ze środka szeregu nadal stoi, czekając na pocisk, który rozstrzygnie wszystko na wieki. Zanosząc się nie kontrolowanym płaczem, jedną dłonią wciąż osłaniał genitalia, drugą zakrywał oczy, roniąc zaprawione gorzkimi ziołami łzy. Ostatni z osiemnastu dygotał niczym gasnąca świeca i zastanawiał się: Kiedy?

Rozczarowani i zakłopotani, dwaj żołnierze podeszli butnym krokienrdo dygoczącego Żyda.

— Jestem Chaim — wymamrotał, zdecydowany umrzeć, szepcząc swe imię w uszy oprawców. — Chaim, mam na imię Chaim.

Nikt go nie usłyszał. Dwaj młodzi faszyci, sądząc z gestów, sprzeczekali się, który z nich ma umieścić dodatkową kulę w głowie mężczyzny. W końcu ze śmiechem doszli do porozumienia. Przyłożyli lufy broni do skroni Chaima, odwrócili twarze, by uniknąć spodziewanych rozbryzgów, pociągnęli za spusty i wtedy...

Dan zakrył dłońmi spoconą twarz, krzyknął bezgłośnie, wydusił łzy z oczu, sięgnął po pilota i wyłączył History Channel.

Oddychając pośpiesznie w milczeniu, otworzył w końcu oczy, skupił się i opanował rozszalałe nerwy. Po chwili otrząsnął się, wytarł oczy i wydmuchując nos, podniósł spokojnie kieliszek, któ-



rym zamierzał rzucić w telewizor. Następnie przesunął palcami po przystrzyżonych, szarych włosach ponad krótko przyciętą, szpakowatą brodą i wąsami, udając, że nic się nie stało. Nic się nie działo, niezależnie od czasu i miejsca. Tyle że to nigdy nie przestało się dziać.

Wciąż wilgotnymi oczami spojrzął na dwudziestocalowy, płaski, ciekłokrystaliczny ekran i wypowiedział polecenie:

— Sieć. — Potem: — Nas.

Załadowała się strona nasdaq.com. Dan spojrzął na dane — w górę o 19,3 punktu.

— DJ — powiedział. Załadował się wskaźnik Dow Jonesa — w górę o 44,9 punktu.

Choć nadal czuł się osłabiony, wydawał kolejne polecenia:

— Quicken hasło domyślne.

Na ekranie pojawił się elektroniczny portfel zatytułowany „Daniel Levin, Chicago, Illinois, portfel skonsolidowany”. Kilkanaście wykresów przedstawiających wartość indeksu nasdaq, dane z nowojorskiej giełdy papierów wartościowych, AMEX, obligacje, bony skarbowe, konta na rynku pieniężnym, zagraniczne rachunki inwestycyjne i aktywa towarowe wyłoniły się z nicości, nakładając się na siebie.

— Rachunki.

Pojawiły się kolejno: rachunki inwestycyjne, oszczędnościowe, czekowe, emerytalne, pieniężny i obligacji, każdy zaopatrzony w ikonkę reprezentującą odpowiednią instytucję finansową. U dołu ekranu od lewego brzegu wypłynęło podsumowanie: „Dotychczasowy roczny dochód 2 456 760\$... stopa wzrostu 23%”.

Niezbyt usatysfakcjonowany odwrócił wzrok od ekranu.

Przez chwilę grzebał wśród butelek Glenkinchie, Taliskera, Lagavulina, Dalwhinnie, Timnavulina i Laphroaiga, decydując się na wysmukłą, tajemniczą, zdobioną złotymi tłoczeniami, czarną butelkę osiemnastoletniego Glenfiddicha, rzadką whisky nie do kupienia w Stanach, zdobytą w sklepie dla koneserów wciśniętym w dziwaczną alejkę Covent Garden, butelkę, na której raczej by mu nie zależało, gdyż będąc snobem szkockiej, uważał Glenfiddicha za zbyt

pospolitego. Lecz ta butelka była inna i zaliczała się teraz do jego ulubionych, nie do codziennego użytku przed pójściem spać, lecz na te szczególne chwile, kiedy musiał splukać słonawy posmak łez i potu. Nalał sobie odrobinę i przysunął zamglone szkło do ust i języka na tyle, by oczarować swe nozdrza przekazywanymi wspomnieniami torfiastych, zasnutych mgłą szkockich dolin, gdzie rodziła się „woda życia”, święta dla fanatyków szkockiej, na tyle, by upewnić się po raz kolejny, że związek ze szkocką jest tak namiętnie osobisty i indywidualny, iż żaden laik nigdy go nie pojmie.

Obracając się w fotelu, Dan sięgnął po pilota i włączył numer piąty na odtwarzaczu płyt kompaktowych. Podajnik zaczął się obracać: najpierw *Jeremiah Symphony* Leonarda Bernsteina, potem ścieżka dźwiękowa do *Ostatniego Mohikanina*, *Kanion* Phillipa Glassa, *Le Parc* „Tangerine Dream”. Wreszcie pod promień lasera wsunął się piąty dysk, *Czarny deszcz* Hansa Zimmera. Przeskoczył od razu do *Suity czarnego deszczu*, ognistej kompozycji filmowej charakterystycznej dla twórczości Zimmera.

Dźwięk telefonu nie był w stanie przebić się przez głośne synkopowanie muzyki filmowej, lecz Dan dostrzegł migotanie lampki przy czwartej linii. Prywatnej. Wdusił pauzę, lecz muzyka dalej grała w jego głowie.

To była ona.

— Co porabiasz? — zapytał opanowanym głosem. — Pewnie. Jestem niedaleko Northwestern... Podwieźć cię do domu? Pewnie... Nie ma sprawy, będę za piętnaście, dwadzieścia minut... Nie, nie mam nic do roboty... Piętnaście, dwadzieścia minut.

Dan odstawił whisky. Prawie nigdy nie pił za jednym razem więcej, niż pomieściłaby łyżka stołowa. Tak więc marnował więcej, niż wypijał. Ale to nie miało znaczenia. Liczył się smak.

W rozpiętej pod szyją koszuli od Billa Blassa i prostych czarnych spodniach, Dan sfrunął po schodach salonu, wybiegł z tylnego patio i szarpnięciem otworzył drzwi swojej czerwonej hondy del sol, zaparkowanej za domem. Padający od rana deszcz zrobił sobie krótką przerwę. Kiedy niebo nad Chicago było czyste i błękitne, nie sposób było się mu oprzeć.

Zwolnił obie blokady ruchomego, zaczynającego się na wysokości piersi dachu del sola. Ustawiając niemal pionowo elegancko wyprofilowany, lekki baldachim, Dan spojrział z satysfakcją na swój wykończony na czarno kabriolet, tak arogancko stylowy, że projektanci hondy nawet nie wbudowali przyzwoitego uchwytu na kawę. Ten główniany uchwyt irytował Dana. Ale to nie miało znaczenia. Reszcie projektu nie miał nic do zarzucenia. Zaciągnął dach do pojemnika pod bagażnikiem, wsunął do środka i zablokował. Zapakowawszy stabilnie dach, Dan zatrzasnął wieko bagażnika, potem drzwi od strony pasażera i zanurkował tyłkiem w głęboki fotel kierowcy z wysokim oparciem, co niewątpliwie uszczęśliwiłoby specjalistów od ergodynamiki. Nieopodał podmiejski pociąg przetończył się z hukiem po torach na nasypie, który zamykał z tej strony alejkę. Kiedy przejechał, Dan obrócił kluczyk, by usłyszeć szmer silnika, sięgnął pod fotel i przymocował ruchomy przedni panel odtwarzacza płyt kompaktowych. „Gipsy Kings”. Na ful.

Po kilku minutach Dan skręcił w spokojną ulicę w Evanston. Już czekała na niego, powitała go uśmiechem.

— Może być centrum? — zapytał, gdy wsiadła. Przytaknęła bez słów.

Pędzić na południe Lake Shore Drive w stronę Loop\* w niskim, czerwonym kabrioletcie, do wtóru głośniejszej muzyki, w słoneczny, lecz nie upalny dzień, niebezpiecznym, zewnętrznym pasem, czuć na języku smak dwóch rozpuszczających się miętowych cukierków, czuć na twarzy pęd wiatru, wiedzieć, że siedząca obok pasażerka, mrużąca oczy od wiatru, uśmiecha się, myśląc, że tego nie widzisz, a chmura jasnych włosów ciągnie się za nią niczym pastelowe płomienie ciśniętych w powietrze pochodni — to jest to.

Załatane dla pozyskania głosów wyborców wyboje, wyrzuszenia w asfalcie, łagodne wzniesienia i zakręty nad brzegiem jeziora czynią z tej trasy nieodzowny element życia w Chicago. Po prawej stronie Dan widział niebotyczne, nadbrzeżne drapacze chmur wznoszące się za bujną zielenią parku Lincolna. Park ten stanowił rezultat

\* Loop — centrum Chicago. (Wszystkie przypisy pochodzą od tłumacza.)

wysiłków ze strony miasta, by wmówić sobie, że ten ciąg architektoniczny, uosobienie elegancji i godności, stanowi jego prawdziwe oblicze, niezależnie od kryjącego się za nim chropawego świata. Po lewej rozciągało się jezioro Michigan, które w opinii mieszkańców Chicago zasługiwało na miano cudu natury. I w rzeczy samej było cudem w mieście, gdzie stocznie i dwumetrowe zaspy na każdym skrzyżowaniu stanowiły pamięć kolektywną wszystkich, którzy w nim mieszkali, nawet jeśli nigdy nie widzieli steru ani zamieci; gdzie był taki czas, że uliczne kafejki, prywatne baseny, nadmuchiwane piłki na plaży i w ogóle wszystko, co sugerowało choćby pięć minut błahej rozrywki, było nielegalne albo niepotrzebne.

Jezioro należało do wszystkich. Plaża stanowiła rozrywkę, na którą zezwalała robotnicza kultura Chicago. Owszem, panował tam ścisk jak w metrze w godzinach szczytu, lecz leżąc na piasku, można było zapomnieć o zegarze, o czerwonych światłach. Tutaj jedynym obowiązkiem było utrzymanie swego skąpego skrawka rajy, wyznaczanego przez ręcznik plażowy. Ręcznik, w żadnym wypadku nie koc. Koce stanowiły pogwałcenie etykiety jako objaw chciwości. W Chicago wiedział to każdy.

Na plaży zawsze należało się do jakiejś grupy, gdyż podobnie jak szkoły i dzielnice, punkty wyborcze i cmentarze, plaże jeziora Michigan podlegały stratyfikacji i segregacji: bogate, białe dzieciaki na Sheridan Beach i powyżej, Latynosi na Foster Avenue, biała hołota z Uptown na Wilson Avenue, latynoska biedota na North Avenue, a na Oak Street śmietanka — czyli ludzie szczupli, bogaci, zaopatrzeni w pachnące olejki do opalania i najmodniejsze bikini. Czarnym oczywiście musiała wystarczyć Rainbow Beach, daleko na południu.

W mieście ograniczeń, gdzie nie można przedostać się z północy na południe, nie przejeżdżając przez centrum, gdzie drużyna Cubsów nie mogła wygrać, a republikanie kandydować, jezioro stanowiło miraż bez granic, fascynujące płótno, na którym za dnia zawsze malowały się żaglówki, nocą zaś magiczne światelka przepływały niczym gwiazdy.

Tak więc, w tej chwili, w gnającym na południe del solu, czy mogło być coś bardziej budującego niż ta szalona a jednocześnie

spokojna jazda między wspaniałym jeziorem po lewej a eleganckimi budynkami nadbrzeża po prawej? Nie miało znaczenia, że pochodzisz z biedoty, nie miało znaczenia, że kiedyś nie miałeś pięciu centów na bilet do State Theater, nie miało znaczenia, że nie masz przyjaciół albo nie stać cię na ich zabawki. Nie liczyło się nawet to, czy masz pracę czy nie, czy jesteś Polakiem, który wciąż nie mówi po angielsku, żydowskim imigrantem, który mówi z akcentem, Latynosem, który stara się nie odzywać przy ludziach, Irlandczykiem, biednym, ale wpływowym, czarnym, biednym i bezsilnym, czy też WASP-em, który stara się unikać ich wszystkich. Nie było istotne, czy jeździsz cadillakiem, na którego cię nie stać, przerdziałym, pomarańczowym datsunem, którego nikt nie chce, czy kombi z wytartą podłogą, ani też to, czy z twojego radia dudnił Cash, Solti, Stonesi czy Aretha. To wszystko nie miało znaczenia, ponieważ każdy, cichy i potężny, bogaty i biedny, śniady i biały, miał równe prawo fascynować się jazdą na Lake Shore Drive. To była demokracja a la Chicago, brukowana wybojami.

Dan przeprowadził samochód labiryntem ulic do Lower Wacker Drive, jednej z ulic centrum, poza torami pociągu, niedaleko brzegu rzeki Chicago, pod mroczną rampę po lewej stronie.

— Nie — powiedziała Park, widząc minę psotnego dzieciaka na twarzy Dana. — Tylko znowu nie to, Nie... — ostrzegła go, tym razem surowiej.

Samochód szemrał na jałowym biegu u wylotu wąskiej, krętej, jednokierunkowej rampy zjazdowej wykorzystywanej wyłącznie przez samochody dostawcze „Chicago Sun-Timesa” z punktu załadunkowego na Wabash Street. Ciężarówki pędziły w dół rampy kilka razy dziennie, by ominąć korki i szybko wydostać się na autostradę. Dan zwyczajowo wjeżdżał pędem pod stromą rampę, mając nadzieję, że nie właduje się czołowo na zjeżdżającą akurat furgonetkę. Pierwotnie używał rampy jako prasowego skrót, by uniknąć korków w centrum. Z czasem przerodziło się to w jego popisowy numer, mający na celu wywarcie wrażenia na znajomych albo na nim samym, jeśli akurat nie było pod ręką żadnych znajomych. Traktował to jako prywatną wersję giy w „wyzywankę”. Dla Park zrobił to

pierwszy raz zaledwie wczoraj, w dniu, kiedy się poznali. Wtedy jej usta otwarły się szeroko, kiedy o kilka sekund minęli się z karawaną zjeżdżających w dół ciężarówek.

Park nie miała najmniejszej ochoty na powtórkę.

— Daj mi najpierw wysiąść!

Nic z tego. Przydusił pedał gazu do podłogi, mijając znaki ostrzegawcze i wklęsłe lustro, wpadając na nie oświetlony, zasłonięty zakręt, zostawiając za sobą bezpieczny teren. Dan był całkowicie rozluźniony, lecz Park z napiętą twarzą oczekiwała na najgorsze. A tymczasem pora na „Gipsy Kings”. Na ful.

Prawie na samej górze niewidoczny kierowca „Sun-Timesa” pomachał do kumpla.

— Spóźnię się z wydaniem — zawołał, przyciskając pedał gazu, a jego furgonetka ruszyła z miejsca.

Del sol piął się stromizną coraz szybciej i na szczycie wystrzelił na ulicę, o kilka cali mijając nadjeżdżającą ciężarówkę. Kierowca nacisnął na hamulce, przeklinając po litewsku, a paczki obwiązanych sznurkiem gazet powywracały się w całej ciężarówce.

Dan uśmiechnął się zawadiacko i wyjechał na Wabash, gdzie zatrzymał się luzacko na papierosa.

Park wyskoczyła z samochodu.

— Och! Och! — prychała. — Jesteś porąbany! Dwa razy w dwa dni. Zostaw mnie w spokoju. Co robisz jutro, przeskakujesz nad rzeką? — Ruszyła przed siebie, ścigana przez Dana. W odpowiedzi na jego błagania i przeprosiny mruzczała tylko: — Dziękuję, ale nie, dziękuję.

W końcu kiedy czekała na chodniku na zielone światło, Dan zdołał ją namówić, by przemyślała to powtórnie. Jak gdyby ratując dobrą muzykę na zgrzytającej od rys winylowej płycie, ustaliła nowe warunki.

— Żadnych wjazdów rampą zjazdową — zbesztła go. — Możesz zjeżdżać rampą zjazdową... wjeżdżać rampą wjazdową... albo wcale. Jak przyjdzie ci ochota ryzykować własne życie, proszę bardzo. Ale jeśli mam wsiąść z powrotem do tego samochodu, koniec z rampami. Zgoda?

— Zgoda — odparł cicho Dan, zwieszając głowę niczym skarcony szczeniak.

Park zapomniała o złości i wybuchnęła śmiechem.

— Wsiadaj — zachęcił ją. — Przyda mi się towarzystwo. Po rozmawiajmy trochę. Nie musimy nigdzie jechać.

Parę minut później siedzieli w samochodzie zaparkowanym na North State Street, dzieliło ich zaledwie kilka cali przestrzeni, a oni nie odrywali od siebie oczu. Ich usta niewiele mówiły, lecz oczy przeszeptywały po cichu całe rozmowy. Dan przysunął się bliżej, powiedział jej coś bezgłośnie do ucha i pocałował w podstawiony zachęcająco punkt tuż za kością policzkową.

Poznali się ledwie poprzedniego dnia. Dan stał na rogu przed swoim ulubionym drapaczem chmur, Lake Point Towers, zachwycając się tym, jak jego paraboliczna fasada realizuje doktrynę formy podporządkowanej funkcji, sformułowaną przez chicagowską szkołę architektury. Park podeszła do niego i zapytała o drogę do tego właśnie budynku, nie wiedząc, że przed nim stoi. Blondynka, niezupełnie szczupła, miała muskularne, lecz kobiece ramiona. Jej dłoniom nieobca była praca i świeże powietrze, a twarz stanowiła paletę niewinności i złożoności. Dan natychmiast spojrział w głąb, poza jej powierzchowną atrakcyjność, i odkrył utajoną historię wewnętrznej walki, z której jeszcze nie wyszła zwycięsko. Pociągały go kobiety o skomplikowanym wnętrzu. Sam walczył przez całe życie. Przy kimś takim czuł się swojsko.

Zamiast wskazać jej wejście do budynku, znajdujące się zaledwie parę stóp od nich, za rogiem, co byłoby stanowczo zbyt proste, zadał jej parę pytań. Dziesięciolecie pracy w zawodzie reportera nauczyły go, jak w parę chwil precyzyjnie uzyskać więcej informacji, niż rozmówca gotów był wyjawić przez kilka dni. Szybko dowiedział się, że Park McGuiere szukała Lake Point Tower, by wynająć mieszkanie znajomego na czas pobytu w Chicago.

Park nigdy nie dotarła do wejścia budynku. Dan zareagował na jej otwartość. Spontaniczna kawa w pobliskim Starbucksie przeciągnęła się w długi, zaczarowany dzień, podczas którego Dan bez

powodzenia usiłował skierować Park w stronę Rogers Park, gdzie czynsz jest niższy, a on miałby do niej bliżej.

Zaczęli wędrować po prywatnym Chicago Dana, które nauczył się nazywać swoim w ciągu wieloletniej pracy dziennikarskiej w latach siedemdziesiątych i osiemdziesiątych, Chicago teraz niemalże całkowicie przesłoniętym zmianami lat dziewięćdziesiątych. Spacerowali przez Olive Park, patrzyli, jak słońce wciska się przez szpary między okazałymi drapaczami chmur, oglądali surrealistyczne arcydzieła w Instytucie Sztuki, okraszone pedantycznymi objaśnieniami Dana.

— Wielokrotne wykorzystanie obrazu jednej kobiety nie jest u Salvadora Dalego aluzją do Madonny. To efekt jego obłąkańczej fascynacji piękną kochanką. Wyjątek stanowi to tutaj...

Na obiad poszli do Flukeya, gdzie uraczyli się hot dogiem z jaskrawozielonymi korniszonami i krótkimi, średnio ostrymi papryczkami, potem przejrzeni dział z muzyką filmową w sklepie, który niegdyś zajmowały Rose Records, i wreszcie wybrali się na spacer, który zaczynał się u szczytu Michigan Avenue, wiódł romantycznymi zaułkami i placykami na brzegach rzeki Chicago, szerokimi schodami w dół do parku Granta, by zakończyć się u stóp Buckingham Fountain, gdzie zjedli na spólkę małego banana, którego Dan wyciągnął nieoczekiwanie z wewnętrznej kieszeni kurtki przy wtórze chichotów i pełnych podziwu spojrzeń Park.

Rozmawiali — a dokładniej Dan mówił o branży dziennikarskiej, muzyce filmowej, Bliskim Wschodzie, architekturze Chicago, muzyce filmowej, zmiennych kolejach życia zagranicznego korespondenta w Jerozolimie, muzyce filmowej i wszystkim innym, o czym chciał mówić. Rozmawiali całymi godzinami. W końcu Park udało się nawet wtrącić kilka słów o sobie, dziewczynie z Kansas, która odkryła w sobie smykałkę do komputera w czasach, kiedy komputery stanowiły zabawkę wyłącznie dla chłopców. Tylko w ten sposób potrafiła sprostać wyzwaniom wiążącym się z byciem jedyną córką w rodzinie mającej pięciu synów.

Kiedy słońce zaczęło zachodzić, Dan wjechał na parking poło-



zonego nad jeziorem lotniska Meigs Field. Chwilę później zakradli się do salonu pilotów. Zajmujące całą ścianę okna — wychodzące na północ, na jezioro, oprawiające szare, zielone i brązowe kontury miasta ze stali i szkła — uczyniły z tej chwili być może najbardziej romantyczny zachód słońca w całym mieście, miejsce, gdzie Dan otworzył torbę, którą wcześniej pospiesznie zapełnił w Oak Street Market, podczas gdy Park czekała zdumiona w del solu. Potem zapalił dwie świece i osadził je w odrobinie stopionego wosku wylanego na obrus. Niewielki krążek brie, długa bagietka, trochę winogron, czyste plastikowe noże i widelce, dwa tanie plastikowe kubki, a na koniec butelka szampana.

Park nigdy nie piła Dom Perignon ze szklanki, znała tę legendę jedynie z kina. Jej oczy rozwarły się szeroko. Były to oczy kobiety, która widziała burze piaskowe i powodzie, chłopców, których horyzont zamykał się na pastwisku sąsiada, i agrobiznesmenów, którzy tak długo przymierzali się do twoich akrów, dopóki nie stały się ich własnością. W tych oczach, pragnących powiedzieć „tak”, kryły się wspomnienia niedzielnych i środowych spotkań w kościelnej salce katechetycznej, Biblii na każdej płaskiej powierzchni w domu, na półkach i w szafach — sześćdziesiąt dwie podczas jednego ze spisów — i odwagi, by urwać się ze szkoły wraz z przyjaciółką, wskoczyć do autobusu do Wichita na pierwszą, niezapomnianą przygodę w wielkim mieście tylko po to, by poznać lęk i wstyd, kiedy okazało się, że nie ma powrotnego połączenia i jej ojciec musiał jechać cztery godziny swoim furgonem, by przywieźć ją do domu. Widziała wiele i wszystko zatrzymało się w błękitnych otchłaniach jej oczu. Lecz nic z tego nie rysowało się na jej twarzy, silnej i łagodnej zarazem, twarzy dziecka zamieszkującego ciało kobiety.

To było wczoraj.

Teraz byli już parą. Dwojgiem ludzi, którym jest dobrze ze sobą w czerwonym del solu, nieświadomych świata poza parkingiem. Dan pochylił się ponad czarną, zakończoną gałką dźwignią zmiany biegów del sola i po raz drugi pocałował ją za policzkiem. Przejeżdżający taksówkarz obrócił głowę, by nacieszyć się tą chwilą. Podobnie

jak dzieciak przejeżdżający na deskorolce. Lecz Dan i Park nikogo nie zauważali.

— Kim ty jesteś? — zapytała niespodziewanie.

— Chyba kim byłem? — odparł.

— W porządku. Kim byłeś?

— Kiedyś byłem mną.

Park nie zrozumiała i sformułowała pytanie inaczej.

— W takim razie, kim jesteś teraz?

— Facetem, który stał się mną po tym, jak byłem mną.

— Jasne — powiedziała Park zniecierpliwiona. — To ta chwila, kiedy muszę wyciągać z ciebie informacje jak z małego chłopca, zgadza się? Myślałam, że pisałeś do periodyków. Po co ta tajemniczość?

— Owszem, tak mówiłem, ale tak naprawdę robiłem trochę więcej, niż tylko pisałem artykuły. Zostałem wydawcą i miałem parę czasopism. Bardzo lukratywny błąd, ale go popełniłem. A teraz się z tego wycofałem.

— Parę czasopism oznacza dokładnie ile?

— Siedem — przyznał niemal z zakłopotaniem.

— Siedem? Na przykład?

— To naprawdę nie jest ważne i wolę o tym nie mówić — odpowiedział Dan, lecz zaraz dodał, nie czekając na kolejne pytania: — No, wiesz, niektóre były naprawdę dobre, na przykład „Chicago Monthly” zdobył kupę nagród za swoje reportaże, parę razy trafił na pierwsze strony gazet tu i ówdzie, kiedy jeszcze byłem młodszy. I kilka takich, o których nigdy nie słyszałaś i które nigdy nie trafiły na pierwsze strony gazet. Ale przynosiły dochód.

— Na przykład?

— A jakie to ma znaczenie? — odparł wymijająco, lecz zaraz ponownie wdał się w szczegóły. — Na przykład „Brain Journal” dla neurologów. Na przykład czasopismo lotnicze „Wingtip”. Słyszałaś o nim na tych elitarnych, małych lotniskach?

— Nie.

— Cóż... więc jakie to ma znaczenie? — powtórzył, raz jeszcze

przyjmując sztywniejszą postawę. — Redagowałem je i wydawałem. A co powiesz na „Highstyle”, czasopismo promujące zdrowy tryb życia, przeznaczone dla kobiet w wieku 23-35 lat, z odchyleniem w stronę pokolenia X, które obchodziło mnie tyle co zeszłoroczny śnieg. Może o nim słyszałaś? Ten tytuł akurat znała.

— To ty publikowałaś „Highstyle”? Kiedyś go czytałam. Porady zdrowotne. Dobre przepisy... Nigdy go nie prenumerowałam.

— Dan wzruszył ramionami. — Ale kupowałam w kiosku. Więc co się stało?

— Sprzedałem je co do jednego — odparł Dan — multimiliardowemu, wielonarodowemu, bezwzględniemu konsorcjum medialnemu. Australijczykom.

Spojrzała na niego z lekkim niedowierzaniem.

— Rozumiem. Czyli jesteś bogaty?

— Zapewne można by to tak zinterpretować, ale to jest bez znaczenia, bo nie o to chodzi — wydukał wstydliwie.

— „Nie o to chodzi” — rzuciła — bo... bo masz pieniądze, więc nie musisz się już przejmować, jeśli nie masz ochoty. To chciałaś powiedzieć? — Uśmiechnęła się, by go uspokoić. — Nie ma sprawy. Ale ja muszę pracować, by związać koniec z końcem. Zaczynam w nowej pracy od czwartku. Tak samo Sal.

— Kim jest Sal? — zapytał.

— Widzisz, wcale mnie nie znasz — odparła skromnie. — Sal to mój syn. Jest geniuszem komputerowym. Ja bawię się w programowanie od lat, ale ten koleś...

— Masz syna? Nie mówiłaś mi, że masz syna.

— Hej, wczoraj nie bardzo udało mi się cokolwiek powiedzieć — zażartowała. — Przez cały dzień słuchaliśmy twoich opowieści o formie podporządkowanej funkcji i muzyce filmowej. Teraz wiem więcej niż kiedykolwiek o Johnie Barrym i Hansie Zimmerze. Tak czy owak, owszem. Sal zaczyna jako młodszy programista w tej samej firmie co ja.

— Jak ona się nazywa, Drake? — zapytał Dan, rozwalając się w fotelu.

— Derek. Derek Institute — odpowiedziała, odwracając się ku

niemu. — Koncentrują się na rozwiązaniu problemu roku dwuty-sięcznego...

— Tak, tak. Pluskwa milenijna... — Uwaga Dana uległa lekkie-mu rozproszeniu. Teraz znacznie bardziej od tego, o czym mówiła, zainteresowało go jej nagłe ożywienie.

Do tej chwili Park wydawała się nieśmiała, wręcz powściągliwa. Większość komentarzy wyrażała oczami, które mówiły jednocześnie o lęku i pragnieniu nawiązania kolejnego związku z innym człowiekiem, bez względu na to, jak kiepskich wyborów dokonywała w przeszłości; mimo że którejś nocy brutal zamknął drzwi na klucz i żądał wszystkiego, dopóki nie uciekła z płaczem w noc, podczas gdy on leżał z opuszczonymi spodniami w łazience, i złapała taksówkę dokładnie w chwili, gdy pojawił się rozwścieczony i obsceniczny w drzwiach; i chociaż jej pastor zaszokował ją następnego niedzieli i potem musiała w milczeniu tolerować jego obecność tydzień po tygodniu. I nawet mimo że jako dziecko była zupełnie nie przygotowana na to, co ją spotkało, gdy była już prawie kobietą. Niewątpliwie pragnęła miłości jak tlenu. Wychowana w zamkniętym, bogobojnym świecie, Park nie była gotowa, by oddychać w krainie poza granicami farmy. Kiedy tego próbowała, każdy oddech sprawiał jej ból. Kobieta każdą odniesioną ranę nosi w sobie przez resztę życia. Wyłaniają się na powrót na horyzoncie za każdym razem, kiedy spotyka kolejnego mężczyznę, i ten cień znika bardzo wolno. Niczym zgaszona świeca, czekająca, by ją ponownie rozpalić, Park miała do zaoferowania delikatność, ostrożność i gotowość, która poruszała coś głęboko w duszy Dana, coś, co spoczywało ukryte od Nowego Roku, kiedy dopadł go najstraszniejszy koszmar, koszmar, który nadal zaciskał swe szpony na jego gardle.

Na powrót skoncentrował się na rozmowie.

— Wszystkie komputery przestaną funkcjonować w pierwszym dniu nowego stulecia.

— Zgadza się — odparła, pomijając jego trywialną uwagę — a ponieważ w Seattle przez jakiś czas zgłębiałam tę sprawę, udało mi się zdobyć tę pracę. Derek — ciągnęła dalej — spręży się do wielkiego zrywu, by zdążyć przed końcem roku. Któregoś razu

zadzwońiła do mnie ich agentka i zapytała, czy znam w Seattle jeszcze kogoś, kto mógłby dołączyć do zespołu. Dla żartu wspomniałam o Salu, a on wziął ode mnie słuchawkę i po piętnastu minutach rozmawiał już z samą górą — niejakiem doktorem Kuebitzem. Zatrudniono go na lato jako praktykanta. Razem ze mną. Możesz w to uwierzyć? Dopiero co skończył liceum. Derek jest przyciśnięty do muru. Początkowo był głównym poddostawcą Bluestara przy... hmm, przy projekcie, o którym nie bardzo mogę ci teraz powiedzieć.

„Nie mogę ci powiedzieć” stanowiły najbardziej elektryzujące słowa w świecie Dana.

— Oczywiście, że możesz mi powiedzieć — odparł. — Dlaczego akurat mnie nie mogłabyś o tym powiedzieć? Co to za projekt?

Park wyglądała jak kobieta ukrywająca sekret, którego nie bardzo chce strzec.

— Nie mogę powiedzieć — powiedziała niezdecydowanie. — Wszystko jest objęte wielką tajemnicą do jutra, do wielkiej gali w Baltimore. Nie możesz poczekać jednego dnia?

Wymienili spojrzenia, które potwierdziły obojgu, że gdyby Dan naciskał dalej, Park udzieliłaby mu wszelkich informacji, lecz wolała tego nie robić i dlatego też miała nadzieję, że Dan nie będzie naciskać. Ponieważ było jasne, że mógł domagać się dalszych informacji, Dan odwołał polowanie.

— Och, mogę poczekać. Żaden problem — uśmiechnął się. — Ale do jutra.

— Nie do jutra — odparła. — Pojutrze. Poczekaj dwa dni. Wtedy wszystko ci powiem. Obiecuję.

Skinął głową i odjechali w gęstniejący ruch uliczny.

## ZOOM

00:0

0

00:0

0

00:0

0

00:0

0

Jaskrawoczerwone żarówki nad ich głowami migotały nachalnie, podczas gdy wyczekujący tłum chichotał i przerzucał się żartami przed wejściem do National Aquarium w Baltimore.

— To ci omen — zachichotał puciołowaty mężczyzna, pociągając łyk napoju z puszki.

— To tylko zegar, który nie zna się na upływie czasu — odparił z kamienną twarzą jego kolega, stojący za nim w kolejce. — Podobnie jak cała ta branża.

Szczupły mężczyzna z kurtką przewieszoną przez torbę nie dostrzegł w tym nic śmiesznego.

— Teraz sobie żartujecie — ostrzegł. — Ja wam mówię: nie ważne, co nam tu dziś powiedzą, tak właśnie to się skończy — rzekł, wskazując kciukiem na zegar. — Jedno wielkie zero, oto dokąd zmierza świat. A może mamy przerąbane, może po prostu nie potrafiemy tego naprawić? Myśleliście o tym kiedyś, ha?

00:00 dalej migotało w górze.

Impreza zapowiadana była jako „premiera”, jeszcze jedno ewangelizujące zgromadzenie ku pokrzepieniu serc, z którego sływał przemysł komputerowy. Mnóstwo muzyki, rozrywki i blichtru, by okrasić dyskietkę *dujour*. Lecz ta premiera była inna.

Bluestar połączył ponad tysiąc stu detalistów i przedstawicieli handlowych w największy sztab antykryzysowy w historii branży. Wśród honorowych uczestników imprezy znajdowało się kilkudziesięciu hurtowników i dyrektorów do spraw marketingu ze wszystkich znaczących sieci sklepów komputerowych świata: Silicon Ex-

pressway, CompUSA, Computer City, Radio Shack, Babbages, HyperMedia, EuroDisk, Automatique, Electro Warehouse, Micro-Sel-ler, Midnight Surfer, Instant Software, Cheaper Software, a nawet i niektórzy pomniejsi pośrednicy, tacy jak Flee Market czy BizDisk — stawili się wszyscy. Tym razem zaproszenie obejmowało nie tylko wielkie sieci handlowe, lecz także firmy sprzedaży wysyłkowej i sklepy internetowe. I to nie tylko te działające w Stanach, ale również zagraniczne.

Bluestar pragnął dotrzeć nie tylko do największych decydentów, lecz i do kierowników regionalnych, menedżerów najważniejszych sklepów, dyrektorów odpowiedzialnych za reklamę i promocję, nawet najlepszych sprzedawców w kluczowych sklepach o największych obrotach i kierowników zmian w działach obsługujących linie informacyjne 0-800.

Zgromadzeni uważali się za znawców komputerów, wprowadzonych w zawilości techniczne i znających na pamięć najnowsze akronimy. Tak naprawdę znaczna część przybyłych, zwłaszcza tych pracujących u większych sprzedawców, pojmowała jedynie najbardziej powierzchowne aspekty technologii komputerowej. Znali się na oprogramowaniu równie dogłębnie, co sprzedawca samochodów na technologii motoryzacyjnej — wystarczająco dobrze, by sprzedać produkt tygodnia klientom tygodnia. A więc Bluestar zamierzał dołożyć wszelkich starań, by nie przytłoczyć słuchaczy technobełkotem, który podkopałby poparcie, jakiego potrzebował. Ten tłum nie musiał pojmować skomplikowanej maszynerii kryzysu, wystarczyło, by zdawał sobie sprawę z jego istnienia.

Zewnętrzne drzwi otwarły się wreszcie. Hałaśliwe i spocone stado sprzedawców podjechało zewnętrznymi ruchomymi schodami, które wyłożono dywanami, do wejścia do Aauarium. Stamtąd przeprowadzono ich obok podświetlanych szklanych wież wypełnionych falującymi meduzami, obok basenu z trygonami, długą, spiralną rampą przez czerwone, żelazne drzwi pływalni, wielkiej sali na w pół przykrytej szklaną kopułą. W dole staw o lustrzanej powierzchni, spięty wąskim mostem, służył za nawodną scenę. Dziewczyny w mikrominispondniczkach, co do jednej rudowłose i w czar-

nych kamizelkach z wyhaftowaną na nich literą „Z”, powtarzały do znudzenia: „Proszę najpierw siadać w pierwszych rzędach, proszę najpierw siadać w pierwszych rzędach”. Kiedy wszystkie tysiąc sto miejsc zostało zajęte, czerwone drzwi zamknęły się, a paru spóźnialskich pośpiesznie przysiadło na schodach.

Ciche, anielskie soprany zabrzmiały w górze, zapowiadając początek pokazu. Masywne, automatyczne przesłony zaczęły nasuwać się na szklaną kopułę. Rząd po rządzie sala skryła się w mroku, w końcu pozostały jedynie słabe, podwodne światła basenu. Wtedy i one zgasły. Teraz jedynie czerwone światelka wyjść ewakuacyjnych rozpraszały ciemność.

Nagle z tyłu zadudniło niskie, głuche staccato gitary basowej. Wszystkie głowy odwróciły się. Głośny, przenikliwy chór głosów na powrót skierował uwagę widowni ku przodowi. Intensywne rytmy dobiegające z boku, z tyłu, ponownie z obu boków, szybko zdezorientowały zgromadzonych.

Wąskie, lecz intensywne słupy skupionego światła wystrzeliły z basenu. Muzyka przeszła w crescendo, a potem całkowicie umilkła.

— Panie i panowie — obwieścił głośnik spod sufitu — National Aquarium ma zaszczyt przedstawić... Jooohna Hectora!

Reflektory przecięły się w punkcie z prawej strony podium, a muzyka zadudniła na nowo, gdy z cienia wyłonił się mężczyzna o okrągłym brzuchu, ubrany w pomarańczową koszulę golfową z wyhaftowaną literą „Z”. Widownia powitała go oklaskami, wielu podniosło się, gwizdząc entuzjastycznie. Mężczyzna przeszedł przez most biegnący ponad środkową częścią basenu i zatrzymał się, czekając, by podniecenie sali trochę opadło.

— Witam wszystkich. Jestem John Hector.

Kolejne brawa.

— Dziękuję, dziękuję — powiedział, przekrzykując aplauz — za przybycie w to przewspaniałe miejsce, do pięknego Baltimore Aquarium. Oczywiście nikt nie potrzebuje pretekstu, by odwiedzić piękne Baltimore. Lecz ta chwila jest szczególnie doniosła, gdyż nadszedł dzień, z myślą o którym pracowaliśmy przez pięć minio-



nych lat. Teraz chciałbym poprosić was, żebyście usiedli wygodnie, tak byśmy mogli przejść do sedna sprawy.

Wszyscy wiemy, że za około osiemnaście miesięcy świat czeka potencjalna katastrofa, kiedy zegary wkroczą w następne stulecie. Możecie to nazywać milenijną pluskwą, kompatybilnością z rokiem dwutysięcznym, wpadką stulecia. Kiedy rozpocznie się rok dwutysięczny, prawie wszystkie główne przemysłowe systemy komputerowe na świecie — i wiele mniejszych — przestaną funkcjonować. Znany nam świat zatrzyma się wraz z nimi. A wasze firmy — i klienci — znajdą się w samym epicentrum.

Już teraz posiadacze kart kredytowych Visa i MasterCard ważnych do roku 2000 nie mogą z nich korzystać; „00” dla systemów autentykujących po prostu nie istnieje. Nasz własny dział organizacji nie jest w stanie zrobić rezerwacji na COMDEX w roku dwutysięcznym w jednym z hoteli z Las Vegas, ponieważ system obsługi klienta nie potrafi znaleźć tego roku. Lecz kiedy nadejdzie ta wielka chwila rankiem pierwszego stycznia dwutysięcznego roku, nasze problemy będą nieporównanie poważniejsze niż płacenie gotówką za cappuccino i utracony apartament w „Hiltonie”. Dojdzie do globalnego kataklizmu równie niszczycielskiego, jak wojna światowa.

Niejeden z ważniejszych klientów w pierwszym rządzie poruszył się nerwowo.

- Czy ta ocena sytuacji nie jest aby zbyt pesymistyczna?
- Przeprowadziliśmy odpowiednie symulacje — odparł Hector. — Nasz system bankowy się zawali. Konta znikną z ksiąg. Czeki, zwłaszcza zagraniczne, nie będą rozliczane. Większość azjatyckich, afrykańskich i południowoamerykańskich banków nawet nie zaczęła zabezpieczać swych systemów — teraz jest już za późno. Biurowce, obecnie już całkowicie skomputeryzowane, zablokują się na amen, zamieniając się w pułapki bez wyjścia; wszystkie systemy odmówią posłuszeństwa — od klimatyzacji i centralnego ogrzewania do wind. Szpitale zamienią się w miejskie jatki, kiedy sterowane komputerowo oddziały intensywnej terapii i cała reszta współczesnej technologii medycznej po prostu wysiądą albo pogrążą się w chaosie. Nie wiemy, czy bramy więzień pozostaną na zawsze zamknięte czy też

rozewrą się na oścież. Niewątpliwie wysiądzie cała sieć energetyczna, wyłączą się pompy miejskich wodociągów, pogrążając nasze miasta w ciemności i pozbawiając je wody. Kontrola lotów przestanie funkcjonować — nie wierzcie, kiedy mówi się wam coś innego. Wiele samolotów być może wydostanie się spod kontroli — nie chciałbym być w powietrzu, kiedy wysiądzie pokładowa elektronika. W grę wchodzi nie tylko zwyczajnie wyglądające komputery z ekranami i klawiaturami, lecz niewielkie, niewidzialne, zintegrowane, skomputeryzowane komponenty, zwłaszcza te starszych typów. Na przykład, niejeden nowy samochód wyposażony w drobne mikrochipy nie ruszy z miejsca. W telefonach zapadnie głucha cisza, gdyż dziewięćdziesiąt procent lokalnych central nadal oparty jest na technologii z wczesnych lat dziewięćdziesiątych albo i końca osiemdziesiątych. Systemy awaryjne wiele nie pomogą — możecie o nich zapomnieć. Internet się rozsypie. A wraz z nim wszystkie skomputeryzowane agencje rządowe, od poczty po dowództwo sił zbrojnych.

Na widowni zapadło kamienne milczenie, podczas gdy Hector kontynuował posępnym tonem:

— Obawiam się, że nie wiadomo nawet, czy nadal zachowamy kontrolę nad naszymi pociskami nuklearnymi. Jeden z projektów Departamentu Obrony, koordynowany przez wydział technologii federalnych Bluestara wykazał, że kiedy zegary na pokładach łodzi podwodnych klasy „Trident” — mówię tu o największych łodziach podwodnych w naszej flocie — przeskoczą w rok dwutysięczny i nie będą umiały ustalić poprawnej daty, wszystkie rakiety na pokładzie zostaną automatycznie odpalone. Bez względu na nasze wysiłki, nikt nie jest w stanie przewidzieć, czy cele tych rakiet znajdować się będą w Ameryce czy też wybrane zostaną zupełnie przypadkowo. Nikt tego nie wie. Nie wiemy też, jak zareagują rakiety w innych krajach. Halo? Rosja? Chiny? Irak? Oni wszyscy dysponują rakietami balistycznymi i nawet nie słyszeli o awaryjnych programach zaradczych, jakie realizujemy teraz w Ameryce. Wielkie nieba, nawet nie wiemy, czy nasze systemy radarowe wykryją pociski wroga... a może wykryją nie istniejące pociski. Po prostu nie wiemy. Po prostu nie wiemy, przyjaciele.

— O, tak — ciągnął dalej. — Widzę wasze miny. Niektórzy z was podchodzą do moich słów ze sceptycyzmem, znacznie więcej osób jest zapewne porządnie wystraszonych. Powiem wam jedno, jeśli chodzi o ten problem, wielu z was od dawna szło w zaparte... — przerwał, by do wszystkich dotarł sens jego słów — ...zakładając, że kawaleria nadjedzie na czas, by was uratować. Ale jeśli nie damy rady temu zapobiec... jeśli nie damy rady... niech Bóg ma nas w swojej opiece. Najpierw nasz świat się zatrzyma. A potem zapewne wysadzimy go w powietrze. Sąd Ostateczny, moi drodzy, czyha na twardym dysku.

Kierownik działu sprzedaży z BizDisk podniósł się i zawołał z niedowierzaniem:

— A co się stało z Miami?

— Projekt Miami nie wypalił — odrzekł Hector — i wszyscy wiemy, dlaczego: rząd sądził, że każdy program działający w każdej sieci można uczynić kompatybilnym z rokiem dwutysięcznym jednym wielkim upgrade'em. Upgrade'em! Ale wszystkie symulacje ukazały, że prezydencki Projekt Miami stanowi całkowitą klępkę, i dowiedziałem się — zaledwie dwie godziny temu — że w ciągu tygodnia zostanie on ostatecznie rozwiązany na bezpośrednie polecenie Białego Domu. Strata pieniędzy i, co gorsza, strata czasu, którego i tak mieliśmy mało.

— Ale my w Bluestarze nie zasypialiśmy gruszek w popiele. — Rozpoczynając propagandową przemowę konieczną, by trafić do tych ludzi, Hector powiedział z naciskiem: — My w Bluestarze dysponujemy rozwiązaniem, rozwiązaniem, na które czekaliście wy i wasi klienci. Bluestar, nadal gigant na rynku komputerowym. Otóż, Bluestar posiada potencjał, który pozwala mu stawić czoło temu wyzwaniu i znaleźć najlepszą odpowiedź. Posiadamy więcej patentów w tej branży niż wszyscy inni producenci oprogramowania. Współpracujemy z większą liczbą ISV-ów\*, OEM-ów\*\* , VAR-ów\*\*\* i instalatorów systemów niż wszystkie inne firmy komputerowe na tej planecie.

\* ISV, Independent Software Vendor — niezależny sprzedawca oprogramowania.

\*\* OEM, Original Equipment Manufacturer — producent sprzętu rozprowadzanego przez inne firmy. \*\*\* VAR, Value Added Reseller — sprzedawca detaliczny.

Każdy menedżer systemów informacyjnych w tej branży wie, że kwestie decydujące o sprawnym funkcjonowaniu jego firmy są teraz najsprawniej obsługiwane przez Bluestara, i mamy nadzieję, że pozostanie tak również w przyszłości. Wy najlepiej rozumiecie, że wiemy, jak przeprowadzić skuteczną kampanię reklamową, wedrzeć się na rynek i szybko osiągnąć status najsprawniejszego dostawcy, podczas gdy inni — a dobrze wiemy, kim oni są — wciąż jeszcze publikują w prasie fachowej informacje o nieuniknionych opóźnieniach. Oni popełniają błędy. My zapełniamy półki. To dlatego w trzecim kwartale będziemy dysponowali gotową do użycia technologią, jakiej potrzebuje świat nie tylko po to, by funkcjonować, lecz by przetrwać, w dosłownym tego słowa znaczeniu.

Tłum zareagował spontanicznie, więc krzyknął, by wszyscy go usłyszeli:

— To prawda! Nie w przyszłym roku. Definitywne rozwiązanie nie będzie powszechnie dostępne już we wrześniu tego roku. Mia mi, panie i panowie, zakończyło się klapą. Ale Zoookom odniesie sukces!

Hektor uniósł ręce nad głowę, pokazując wszystkim lśniący, polyskujący dysk z Zoomem. Na ten sygnał bliźniacze, białe, welurowe flagi spłynęły spod sufitu. Rozwijające się flagi odsłoniły ciąg logo Bluestara ustawionych jedno na drugim, aż wreszcie na dole pojawiło się większe, podsumowujące cel imprezy logo: ZOOM, masywnymi, ciemnopomarańczowymi literami czcionki Friz Quadrata.

— Zoom — zadudnił Hector, a eksplozja muzyki z ustawionej pod sceną, podłączonej do sieci konsoli MIDI poderwała publiczność.

Hector ponownie uniósł ręce i teraz wody basenu rozstały się, a ze złotego centralnego podium w basenie na powierzchnię wypłynęło gigantyczne, złociste, nadmuchiwane pudełko z oprogramowaniem Zooma.

— Tani chwyt, ale skuteczny — skomentował zgryźliwie jeden z handlowców.

Nieoczekiwanie tuzin tysięcfuntowych delfinów przeskoczył

nad pudełkiem Zooma. Ich szarozielone pletwy grzbietowe i piersio-  
we zaświstały w powietrzu tak głośno, że ludzie z pierwszych kilku  
rzędów byli zdumieni. Jeden za drugim, opuszczając dziób, wygina-  
jąc ogon ku podwieszonym pod sufitem lampom, każdy delfin  
pokazał wszystkim swój różowy brzuch, by potem triumfalnie na  
powrót rozciąć wodę i zniknąć w głębinie.

— Zoom — zawołał Hector tonem kaznodziei. — Zoom, zba-  
wienie dla skomputeryzowanego świata odliczającego minuty do  
nieuniknionego wydania komendy delete \*.\*.

Po obu stronach Hectora spod stropu spłynęły dwa  
gigantyczne ekrany. Rozpoczęła się prezentacja.

— Zoom to więcej niż tylko program użytkowy — oznajmił,  
ocierając czoło. — Więcej niż tylko pakiet poprawek, więcej niż  
łatka dla już istniejącego oprogramowania. Zoom to całkiem nowy  
system operacyjny.

Z widowni podniosły się jęki.

— Wiem, wiem — uciszył ich. — Wasi klienci nienawidzą tego  
słowa. Kiedy przychodzą do waszych sklepów, dwudziestodwu-  
letni sprzedawca nie potrafi im wytłumaczyć, co to takiego system  
operacyjny — a dwanaście pytań i dwadzieścia minut później za  
miast ubić interes, zmarnowaliście tylko mnóstwo czasu. A w tym  
czasie tych czterech ludzi, którzy naprawdę wiedzieli, czego chcą,  
znudziło się czekaniem na sprzedawcę i poszło do domu. Zero  
dochodu. Ale kiedy mówię, że Zoom to system operacyjny —  
ciągnął Hector — mam na myśli prawdziwy system operacyjny  
w najczystszyznaczeniu tego słowa.

Na ekranach zaczął pojawiać się tekst.

— Wiem, że wojny systemów operacyjnych pozostawiły po  
sobie wielu rozgoryczonych ludzi — przyznał Hector. — Ale wcale  
nie musiało się tak stać. Wszyscy rozumieli ideę działania DOS-u —  
powiedział, używając wskaźnika, by zwrócić uwagę widowni na  
właściwy fragment tekstu. — DOS był dyskowym systemem opera-  
cyjnym, który obsługiwał każdy komputer, standardowym wewnętr-  
znym mechanizmem, który umożliwiał każdemu typowi oprogra-

mowania funkcjonowanie na waszym sprzęcie. Co tu było do rozumienia? Przerzucało się wielki, czerwony przełącznik i stawał się DOS. DOS i pecet były w tamtych czasach synonimami. Zgadza się?

Paru handlowców wybuchnęło śmiechem.

- Wtedy pojawił się Windgazer Prime, wielka kłapa, który tak naprawdę wcale nie był systemem operacyjnym, lecz jedynie zapewniał komputerom opartym na DOS-ie ładniejszy wygląd ekranu. Wielu ludzi myślało, że to system operacyjny. W rzeczywistości mieli do czynienia z tym samym staruszkim, tyle że po liftingu. Lecz przynajmniej zaczęto sądzić, że któregoś dnia pojawi się fantastyczny system operacyjny. Blue2 to był prawdziwy system operacyjny — i do tego bardzo dobry. Lepszy DOS od starego DOS-u i niewątpliwie lepszy Windgazer od starego Windgazera, tyle że sklecony przez dinozaura po wylewie, co stało się źródłem kpín i żartów nawet ze strony jego najzagorzalszych zwolenników. Mówcie, co chcecie — podkreślił Hector, wskazując na graficzne logo — Blue2 naprawdę na nowo zdefiniował sposób pracy z pecetem, pozwalając na przesuwanie obiektów na ekranie za pomocą myszy, umożliwiając każdemu komponentowi dowolnego pakietu oprogramowania — od edytorów tekstu po arkusze kalkulacyjne i książki telefoniczne — interaktywną i jednoczesną współpracę z pozostałymi. To prawda: prawdziwa wielozadaniowość. Blue2 umożliwiał waszemu komputerowi wykonywanie dziesięciu zadań w tym samym czasie — nawet jeśli jego użytkownik był w stanie śledzić jedynie dwa lub trzy spośród nich. Tak więc Blue2 był dobry — przerwał na moment — lecz nie wystarczająco dobry, nie wystarczająco atrakcyjny wizualnie, by odnieść sukces.
- To przeinaczanie faktów — poprawił go zwolennik Windgazera z Silicon Expressway siedzący w pierwszym rzędzie. — Windgazer był wielozadaniowy. Proszę mówić prawdę.
- Większość ekspertów miałaby co do tego wątpliwości — odgryzł się Hector. — Windgazer oferował wielozadaniowość ze współdziałaniem, odpowiednik *coitus interruptus* w świecie opro-

gramowania, zatrzymując arkusz kalkulacyjny w połowie operacji, by umożliwić uruchomienie edytora tekstu. Blue2 pozwalał na wielozadaniowość z wyłączeniem, pozwalał, by wszystkie programy funkcjonowały równocześnie. „Równocześnie” jest tu kluczowym słowem. Ale to czysto akademicka dyskusja. Blue2 to przeszłość. Bluestar stracił zbyt wiele czasu, podlizując się przeciwnikom i zniechęcając do siebie przyjaciół. Na szczęście na tych błędach trochę się nauczyliśmy.

Przesunął wskaźnik na kolejną linię.

— Windgazer Prime był... hmm, czym on właściwie był?

Kilku ludzi zachichotało.

— Był ładniejszy, o wiele ładniejszy — oznajmił. — Za takie GUI\* warto było umrzeć. Byłem **nim** oczarowany. Ale było to jedno wielkie kłamstwo, gdyż to, o czym informował was na ekranie graficzny interfejs użytkownika — to, co widzicie na monitorze — miało niewiele wspólnego z tym, co działo się we wnętrzu komputera. Ale dla szerokiej publiczności liczyło się, że jest ładny. Podczas gdy Blue2 poszedł do piachu, Windgazer Prime wystrzelił pod niebiosa. Stał się rynkowym hitem. O, tak, ludzie zasłużyli sobie na Windgazera—stwierdził z gryźliwie Hector. — Posłuchajcie, czym kolwiek był — dodał rzeczowo — Windgazer Prime absorbował uwagę rynku wystarczająco długo, by mógł pojawić się wydajny system operacyjny, Windgazer IT— prawdziwy system operacyjny nadający się do przemysłowego wykorzystania. Pewnie, przekraczał potrzeby większości komputerów i zaprojektowano go tak, by ludzie kupowali znacznie więcej pamięci, niż im była potrzebna, i by przestawiali się na „zabójcze” programy, których nie mogli wykończyć.

Złośliwe śmieszki ze strony handlowców nie mogły przejść nie zauważone.

— O, tak, to wcale nie jest jeszcze takie złe — przyznał Hector, zagrywając pod nastroje publiczności. — Tak więc — kontynuował — wielu sądziło, że wojna systemów operacyjnych skończyła się na

\* GUI, Graphical User Interface — graficzny interfejs użytkownika.

początku tego roku i wszystkie komputery będą używać Windgazera IT tak jak niegdyś DOS-a — *ipso facto*. Ale nic z tego. Teraz wszystkie systemy operacyjne mają paść za osiemnaście miesięcy, kiedy czas dogoni wreszcie nasze pokolenie. Jest lipiec, zostało nam mniej niż osiemnaście miesięcy. Kiedy rozpocznie się dwudziesty pierwszy wiek, jeśli nam się nie uda, nie będzie ważne, czy w naszym komputerze siedzi Unix, Blue2, Mac08, OS/2, Microsoft Windows, Win95, Win98, NT, OS/400, MVS, VMS czy Windgazer — każdy komputer stanie się wagonem towarowym bez lokomotywy. Potrząsnął głową, zacisnął usta i przyznał:

— Pomyślcie o tej arogancji, niedbałości — zwijcie to, jak chcecie — sprzed dziesięcioleci, kiedy nasi programiści po prostu nie wzięli po uwagę tego, co będzie po roku 1999. — Hector zaczął odrobinę zbaczać z tematu. — Czyżby technologia zmieniała się zbyt szybko? Może byliśmy zbyt krótkowzroczni, żyliśmy dniem dzisiejszym albo zaledwie kilkoma nadchodzącymi dniami?

Krzykacz w błękitnych dzinsach zawołał z widowni:

- Bluestar też jest za to odpowiedzialny. Żaden z was nie chciał poświęcić tych dwóch bajtów.
- To prawda — odparł Hector, niemalże przepaszając. — Poszliśmy na skróty. Dwa bajty zamiast czterech na oznaczenie roku. Ale teraz taka właśnie jest rzeczywistość. Bez tych dwóch bajtów w dacie system nie jest w stanie rozpoznać nowego stulecia. Część systemów pomyśli, że zaczął się rok 1900, inne w ogóle przestaną myśleć. Łatwo powiedzieć, że to wina Bluestara. Ale po prawdzie wywołaliśmy ten problem wspólnymi siłami — skontrował dramatycznym tonem. — W ciągu ostatnich dwóch lat poczyniliśmy większe postępy w procesie komputeryzacji życia codziennego, niż to komukolwiek się śniło. Postęp ma swoją cenę, a zniżki okazały się iluzją. Nawet widząc przed sobą milenijną pluskwę, nikt z nas nie ośmielił się zatrzymać, nikt nie ośmielił się zwolnić tempa. Pogналиśmy jej na spotkanie z „więcej lepiej szybciej wcześniej”. Nie mam czasu na oddychanie, jestem zbyt zajęty pływaniem. Boże, liczba komputerów osobistych wciąż się podwajała, wdzierały się niemal do każdego aspektu naszego życia, od bezpieczeństwa naro-



dowego przez domowe transakcje bankowe do alarmów przeciwlamaniowych — nieodmiennie wykorzystując jeden i ten sam, podkreślam: jeden i ten sam system operacyjny — Windgazer Prime. Podkreślam raz jeszcze — powtórzył z naciskiem Hector. — Bluestar nie chciał jednego systemu, ale klienci wybrali jeden system. A dokładniej, jedną rodzinę systemów. Wielu trzeba było zaciągnąć siłą. Ale inni wdepnęli w to z zamkniętymi oczami. Tak więc w Bluestarze wycofaliśmy nasze konkurencyjne oprogramowanie i poszliśmy na współpracę, tak by przynajmniej nasze komputery były kompatybilne. Byliśmy to winni naszym akcjonariuszom, klientom i pracownikom.

— Hiiiinnom — nie ustępował krzykacz.

— W porządku — odparł Hector. — Hinnom. Rozłożył Blue2, to prawda, jak i wszystkie inne programy, które stanęły mu na drodze. O mały włos byłby nas wchłonął. Ale nie przyszliśmy tu, by rozmawiać o Hinnomie, tylko o Bluestarze.

Ktoś inny z widowni podniósł się i zawołał:

— Czego się boimy? Możemy rozmawiać o Hinnomie.

Hector machnął ręką w jego kierunku.

— Kiedy Ben Hinnom zechce wynająć Baltimore Aquarium, by ogłosić wypuszczenie na rynek nowego produktu, może mówić o sobie do woli — powiedział. — Dziś ta arena należy do Bluestara

i to Bluestar zamierza przedstawić wam swój nowy produkt. A więc pozwólcie, że opowiem wam o przyczynie naszego dzisiejszego spotkania... o Zoomie. — Widownia ucichła i Hector mógł mówić dalej. — Jako najnowocześniejszy system operacyjny w historii tej branży, Zoom będzie charakteryzował się stuprocentową wsteczną kompatybilnością, współpracując z każdym wcześniejszym systemem, funkcjonując jako nakładka i konwertując wszystko, do czego udało się nam uzyskać dostęp, w zabezpieczony przed problemem roku dwutysięcznego, całkowicie obsługiwany głosem system. Mówię więc wszystko, to właśnie mam na myśli, od najmniejszego palmtopa po konfigurację zajmujące całe przeszklone pomieszczenia: dwieście osiemdziesiątka szóstka ze starą wersją DOS-u, Pentium II i III, AS/400, RISC 6000, Sun Sparcstation, DEC, PowerMac i New-

ton, Wizard, Palm III i Go-Tech, cała rodzina produktów Hinnoma od Windgazera Prime po Windgazera IM i jeszcze nowsze modele. Komputer wielkości szafy wykorzystujący MVS\*? Żaden problem. Możecie wymienić dowolny system oparty na DOS-ie albo konkurencyjny, jaki tylko przyjdzie wam do głowy. Bez względu na koszty Bluestar udostępni Zooma na dowolnym nośniku, od dyskietek 5,4 cala przez standardowe trzypółcalówki po Zip- i Jaz-dyski, Syquesty, CD-ROM-y i taśmę magnetyczną. A wszystkie nasze strony internetowe wyposażone będą w przyciski umożliwiające przeprowadzenie krokowej instalacji w tle, tak by użytkownik nie musiał marnować czasu w sieci. Wykorzystamy wszystko, czego dusza zapagnie. Zoom, jako prawdziwie 64-bitowy system, obsługiwać będzie każdy późniejszy od niego produkt, najpierw w emulacji, a potem jako część jego kodu rodzimego.

Sekret — drażnił się z widownią — kryje się w ZCL, Zoom Conversion Library, czyli Bibliotece Konwertującej Zooma — nie będę się wdawał w szczegóły, jako że nie chcemy ujawniać zbyt wiele — której zadaniem jest przeprogramowanie każdego istniejącego systemu operacyjnego oraz modyfikacja pliku *config.sys* i listy rozkazów każdego komputera w taki sposób, by, powiedzmy, przeprogramować komputerowy zmysł postrzegania czasu na rok 2040. W ten sposób kiedy nadejdzie rok 2000, wszystkie komputery otrzymają jeszcze czterdzieści lat funkcjonowania — więcej, niż ktokolwiek mógłby dziś oczekiwać. Będzie mnóstwo czasu na to, by całość nowego oprogramowania i wszystkie nowe komputery z fabrycznie instalowanymi programami uczynić kompatybilnymi z Zoomie. ZCL nie tylko przeprogramuje system operacyjny, lecz nadpisze też kluczowe wywołania funkcji systemowych i zmodyfikuje połączenia z Internetem. Dla wolniejszych maszyn będzie to oznaczać niewielkie przedłużenie czasu oczekiwania przy uruchamianiu programów czy logowaniu się do sieci, lecz tylko początkowo. Nie zamierzamy tego ukrywać. Ale na szybszym sprzęcie typu Power PC czy pecety z procesorami Pentium II i późniejszymi, wyposażonym

\* MVS, Multiple Yirtual Storage — wirtualny system pamięci mnogiej.

w wystarczającą ilość RAM-u, by sprostać temu zadaniu, użytkownicy nawet nie zauważą momentu spowolnienia.

Światła zapaliły się ponownie. Oba ekrany zniknęły pod sufitem. Oddział hostess przyodzianych w bluzy z literami „Z” rozproszył się po sali, niosąc srebrzyste, plastikowe tacki zastawione szampanem w przysadzistych kubkach z białego plastiku o pojemności dwóch uncji. Druga grupa hostess zaczęła rozdawać czarne, plastikowe teczki, zamykane na trzy zaciski, z wielką pomarańczową literą „Z” wytłoczoną na okładce. Hector czekał w milczeniu, by każdy otrzymał swoją.

— Mamy ich mnóstwo — zażartował. — Proszę czekać cierpliwie, nasze panie dotrą do każdego.

Wielu ludzi na widowni w niemalże szaleńczym pośpiechu wyciągało ręce, by otrzymać swoją porcję szampana i swoje dane.

— Uważajcie, żeby nie oblać sobie notatnika — zażartował Hector. — Kosztowały nas dolara piętnaście centów od sztuki. W porządku, później będziecie mieli czas, by się dokładniej z tym zapoznać — kontynuował Hector — i zachowajcie szampana na toast za parę minut. Teraz chciałbym zwrócić waszą uwagę na stronę szóstą. Nasze plany dotyczące rozpowszechniania Zooma — wszyscy patrzą na stronę szóstą — wymagają od każdego z was przyłączenia się do tego procesu ewangelizacji. Adopcja i nawracanie. Nawracanie jak największej liczby ludzi w jak najkrótszym czasie ma kluczowe znaczenie. Przygotowujemy nawet zoomową ścianę ogólną, że użyję tej nazwy. W przyszłym roku upgrade uniemożliwi dokonywanie połączeń z komputerami nie wyposażonymi w Zooma, a także instalację nowego oprogramowania nie wyszczególnionego

w Bibliotece Konwertującej Zooma. Programy nie dostosowane do Zooma będziemy traktować jak wirusy. Oczywiście staramy się działać w jak najszybszym tempie — wyjaśnił. — Liczy się każda minuta. Jeszcze przed północą dzisiejszego dnia nasz program wspomagający programistów roześle pocztą elektroniczną informacje o Zoomie do każdego znanego nam programisty, w niemal wszystkich krajach, tam gdzie powstaje nowe oprogramowanie. Strona

internetowa, której adres umieszczony zostanie w każdym liście pod postacią hiperłącza, umożliwi natychmiastowy dostęp do oprogramowania narzędziowego, niezbędnego, by uzyskać kompatybilność z Zoomem. Wszystkie duże i małe sieci sklepów handlu detalicznego — wyjaśniał pospiesznie — Silicon Expressway, CompUSA, Radio Shack, Computer City, Babbages oraz nowe chłopaki w branży, jak Flee Market — stąd was widzę — wszyscy, jak tu siedzicie, w ciągu trzech tygodni otrzymacie dyskietki pokazowe, tak byście mogli dołączać je do każdego sprzedawanego towaru, od nowego komputera po CD-ROM-y z krzyżówkami. Sześćdziesięciopięciomilionowa kampania reklamowa rozpocznie się na dziesięć dni przed wprowadzeniem Zooma na rynek. Wykupimy całostronicowe ogłoszenia we wszystkich liczących się publikacjach od „Sports Illustrated” po „Forbesa”, reklamy w najlepszym czasie antenowym w ogólnokrajowych sieciach telewizyjnych, od wrestlingu po wieczorne wiadomości, od *Simpsonsów* po powtórki *Seinfelda*. Zobaczycie plakaty reklamowe przed łazienkami na lotniskach, powietrzne reklamy nad Manhattanem, kupony rabatowe w kieszeni każdego fotela lotniczego i w programie każdego koncertu. Dwanaście więzień stanowych podpisało z nami kontrakty na udostępnienie nam swych lokatorów; ci faceci będą obsługiwać centra telefoniczne, docierając z naszymi produktami do co najmniej miliona ludzi dziennie. Nasi klienci korporacyjni będą w tym współuczestniczyć, a Bluestar dołączy promocyjne dyskietki do każdego sprzedawanego pakietu komercyjnego oprogramowania. W kasie każdego sklepu spożywczego z ekranu będzie padać pytanie: „Czy już się zzoomo-wałeś?” Każde pokwitowanie bankowe zaopatrzone będzie w posłanie: „Czy już się zzoomowałeś?”

Dobra. Pora na liczby — mówił dalej, nie zwalniając tempa. — Musicie zrozumieć, że po wliczeniu wersji dla komputerów osobistych i minikomputerów, mówimy tu, przyjaciele, o trzystu milionach kopii Zooma po 49 dolarów każda z sześćdziesięciopięcioprocentowym narzutem w sprzedaży detalicznej. Zsumujcie parę słupków, a potem niewątpliwie zgodzicie się ze mną, kiedy powiem...

Zapadła wstrząsająca cisza, kiedy tysiąc sto lewych półkul mózgowych obliczało swój udział w tym gigantycznym programie sprzedaży. Para za parą wszystkie oczy obniżały się i nieruchomiały, czekając na następne słowa Hectora. Ten milczał do chwili, kiedy nikt nie miał już siły czekać ani sekundy dłużej.

— .. Zgodzicie się ze mną, zgodzicie się ze mną i wzniesiecie swe szklance w toaście za następne megamiliardowe objawienie na rynku oprogramowania komputerowego, za następną autostradę do zysku i za odpowiedź na groźbę potencjalnej zagłady rodzaju ludzkiego. Proszę was, byście przyłączyli się do mojego toastu.

Uniósł wysoko swój plastikowy kubek, zamachał trzymaną w drugiej ręce płytą z Zoomem niczym sztandarem i wykrzyknął:

— Zoom w dłoń!

Wszyscy poderwali się z miejsc. Siedzenia złożyły się jednym trząśnięciem niczym stające na baczność monstrualne oficerki.

— Zoom w dłoń! — powtórzyła z entuzjazmem widownia.

— Jeszcze raz. — Hector zamachał niemalże uwodzicielsko.

— Zoom w dłoń! — odkrzyknęli jednym głosem, wlewając w gardła zawartość kubków.

Hector uniósł ręce na wysokość oczu i obwieścił przyciszonym, pełnym napięcia głosem:

— A teraz wracajcie do swoich sklepów, list adresowych i baz danych, katalogów i magazynów, do waszych uniwersalnych kodów kreskowych, waszych skanerów kasowych, waszych pracowników, waszych matek i ojców, synów i córek, wszystkich żyjących istot i do wnuków wciąż czekających na to, by przyjść na świat, który funkcjonuje, któremu nieobce jest pojęcie wydajności produkcji, który musi i który uruchomi swe komputery w roku 2000. Idźcie do nich i powiedzcie: „Zoom w dłoń”. Gdyż bez Zooma wkrótce zaczną się dziać bardzo nieprzyjemne rzeczy. Być może sami siebie zniszczymy. Lec z Zoomem — z Zoomem — może się nam udać.

## BEN HINNOM

Hector i trzymający się krok za nim jego asystent Ron wyskoczyli z bładniebieskiej długiej limuzyny, prześlizgując się przez drzwi otwarte przed nimi przez odźwiernych Bluestara. Kolejna asystentka, Lisa, dołączyła do nich w lobby, dotrzymując im tempa i uginając się pod stertą faksów i notatników z prezentacji.

— Był pan wspaniały, panie Hector — powiedziała.

Minęli półkolisty stół recepcji obsługiwany przez dwóch strażników i skierowali się prosto do windy dla dyrekcji. Piąte piętro, przycisk oznaczony był po prostu „Bluestar”.

— To przypomniało wszystkim dawnego Johna Hectora — szepnęła Lisa, niepewna, czy jej komplement zostanie dobrze zrozumiany. Lisa zatrudniona była w ścisłym kierownictwie firmy od dwóch lat, lecz bardzo rzadko odważała się na podobnie osobiste uwagi pod adresem wyniosłego zwykle zwierzchnika.

Hector skwitował jej uwagę jedynie przelotnym spojrzeniem. Lisa przysunęła się i zaczęła wyciągać ze swej teczki krótkie notatki, którymi można było zająć się w windzie. Szybki jak karabin maszynowy, oddawał je po kolei, niekiedy już po pierwszym spojrzeniu. Na pierwszą odpowiedział po prostu:

— Nie.

Podawała mu następną.

— Potrzebna mi dokumentacja.

Podawała mu następną.

— Dobrze. — Wyciągając maleńką pieczętkę i odciskając „JH” w miejscu na podpis.

Podawała mu następną.

— To błąd, ale zrób to. — Ponownie stawiając swoją pieczętkę.

Na piątym piętrze drzwi otworzyły się i Hector spojrzał spode łba na ostatni dokument.

— Bangkok? — skrzywił się. — Odeślij z powrotem — prychnął pogardliwie.

Idąc przez korytarz szybkim krokiem, niemalże truchtem i mijając podwieszane pod sufitem monitory odtwarzające jego przemówienie podczas baltimorskiej prezentacji Zooma, odwrócił się do Lisy z zachłanną niecierpliwością:

— Masz to?

Asystentka podała mu nie oznaczoną, lekko wypchaną, żółtobrązową kopertę. Nie zwalniając kroku, wyjął z niej inhalator, wsunął go z niesmakiem do ust, przycisnął pompkę i wziął oddech z ledwie słyszalnym sapnięciem. Potem urządzenie znalazło się z powrotem w kopercie, która zaraz zniknęła w torbie Lisy.

Lisa i Ron z trudem nadążali za tryskającym energią Hectorem. Na końcu korytarza skręcił w prawo, w przejście o szarych ścianach, o szarych drzwiach zaopatrzonych w nijakie, szare plastikowe tabliczki: „Sala 505”, „Środki czystości”, „Sala 504”. Na samym jego końcu znajdowały się eleganckie, zupełnie nie pasujące do reszty, nie oznakowane, dwuskrzydłowe drzwi z mahoniu. Migocząca lampa budziła przelotne cienie pod gałkami.

— Zajmij się tym — burknął Hector.

Lisa zrobiła pospieszną notatkę na karteczce.

Po otwarciu drzwi ukazało się potężne, narożne biuro w trójkątym, szklanym wieżowcu Bluestara nieopodal Michigan Avenue. Wysokie, zajmujące całą ścianę okna odsłaniały niczym nie przesłonięty, majestatyczny widok w kierunku północno-wschodnim, na rzekę Chicago ozdobioną niebotyczną fontanną miotającą strumienie wody na przeciwległy brzeg, Navy Pier ze swym gigantycznym diabelskim kołem i jezioro Michigan, na którym żadna biała żaglówka nie była zbyt niepozorna, by jej nie dostrzec. Ten romantyczny i podnoszący na duchu widok byłby bardziej stosowny w przepełnionej czułością chwili spełnienia między kochankami, nie w prywatnym biurze prezesa giganta komputerowego. Tu jedyny romans wypływa z namiętności do handlowych podbojów, jeżącego włos na głowie podniecenia wywołanego opóźnieniem zakontraktowanej dostawy, wilgotnego seksapilu wyników za czwarty kwartał przera-

stających wszelkie oczekiwania, czulego masażu skutkującego narznięciem cen akcji, najpierw powoli, potem gwałtownie, aż do chwili, gdy ich wykres słupkowy wywoła eksplozję wszechogarniającej ekstazy. Dajcie mi przyciszoną muzykę i odpowiednie dekoracje. Ludzie zamieszkujący podobne biura znają miłość i radość, ich męskość nigdy ich nie zawodzi, ich apetyt nieustannie wzrasta. Tyle że ich partnerkami nie są piękne kobiety, lecz raczej lisice zysku. W buduarach biznesu każda niedyskrecja może zostać zatuszowana, wymazana bądź też beczelnie powtórzona. Zysk odkupuje wszystkie grzechy.

Lisa usiłowała skupić rozproszoną uwagę Hectora na jeszcze kilku dokumentach, lecz bezskutecznie.

- Wystarczy — powiedział. Asystentka wycofała się, ustępując miejsca osobistej sekretarce Hectora, Sarah, która pospiesznie wyszła z przylegającego do biura pomieszczenia, by kontynuować odprawę.
- Tylko dzisiejsze — uprzedził, gdy tylko się zbliżyła. Sarah posłusznie zamknęła opasłą teczkę z dokumentami na cały tydzień, zatrzymując jedynie małą kartkę z planem dnia.
- Przez opóźnienie na lotnisku i jazdę przez Kennedy Avenue jesteśmy godzinę do tyłu — zameldowała rzeczowo. — Wskutek tego narada z ludźmi z AT&T została przełożona na czwartek w przyszłym tygodniu. Powiedzieli, że albo dziś, albo dopiero za tydzień. Wobec tego zapisałam ich na szesnastego lipca.

Hector przejawiał zauważalny brak zainteresowania.

- Która godzina?
- Ma pan dość czasu — odparła Sarah, zerkając na zegarek. — Dopiero czwarta czterdzieści. Tymczasem musi pan, naprawdę musi, porozmawiać z kierownikami przedstawicielstw zagranicznych.
- Jak długo? — zapytał, ściągając pomarańczową koszulę z emblematem Zooma i odsłaniając obwisłe, porośnięte siwymi włosami ciało z niewielką blizną w okolicy serca.
- Sześć minut. Może siedem — odpowiedziała, podając mu zieloną koszulę z napisem „Magia Sieci”. Hector mocował się z nią, kiedy od środka przeczytał logo.
- Co to ma być? — wybuchnął. — Złe logo!



— Przepraszam, przepraszam, przepraszam — powiedziała, podbiegając do szafki, gdzie pospiesznie przejrzała trzy wysokie stopy koszul w najróżniejszych kolorach, ozdobionych najprzeróżniejszymi hasłami. Wyciągnęła jedną z samego dołu, granatową z napisem „Bluestar — Światowy Lider”.

Hector cisnął nie używaną zieloną koszulę do kosza. Gdy Sarah pomagała mu nałożyć granatową, ich spojrzenia się spotkały.

— Co znowu? — zapytał burkliwym tonem.

Sarah odpowiedziała przyciszonym głosem.

— Byłeś świetny podczas promocji Zooma, John. Nie widziałam cię w takiej formie od lat — ja ani nikt inny. Całe audytorium było oczarowane.

— Przyznaję, że czułem się cudownie, potężnie — odpowiedział Hector, uśmiechając się lekko. — Na chwilę niemalże ich straciłem, lecz pod koniec panowałem nad widownią, a ona nade mną. Stopiliśmy się w jedno w tej chwili podniecenia. Ja... chodzi o to, że od kwietnia nie mnie aż tak nie podeksecytowało, Sarah.

Sarah odłożyła swoje kalendarze i powiedziała cicho:

— Było ciężko.

Odsunął się od niej.

— Tylko mi tu nie mów o Wiedniu.

— Nie zamierzam mówić o Wiedniu — odparła potulnie Sarah.

— I słusznie — warknął defensywnie. — Od kwietnia nie miałem ochoty na kierowanie czymkolwiek, przyznaję bez bicia. W porządku. Wielka mi sprawa. Ludzie zawalają interes za interesem przez wiele lat i nikt tego nie dostrzega do chwili sprzedaży całego działu. Miałem kilka podłych miesięcy. No i? Bluestar utrzymał płynność.

Zaczął odruchowo sprawdzać pocztę elektroniczną.

— Pewnie, akcje spadły do sześćdziesięciu ośmiu, ale to tylko pozwoliło grubym rybom na zakupy za cenę niższą, niż im się kiedykolwiek marzyła. Teraz na powrót poszliśmy w górę — trzy cyfrowy wynik. Ha! Nasi bystrzy akcjonariusze zarobili kokosy na moich błędach.

Sarah wskazała, gestem dłoni na przedpokój i lekko popchnęła

Hectora w jego kierunku. Wchodząc, raz jeszcze sprawdził koszulę. Właściwa.

W tym pomieszczeniu znajdował się jedynie fotel z wysokim oparciem, mahoniowe biurko i telefon. Niebieski ekran Chromakey spłynął z sufitu, przesłaniając okno. Przez boczne drzwi weszła trzyosobowa ekipa ze sprzętem wideo. Kierując kamerę na Hectora, producent wduślił kilka przycisków na konsoli, przeszukując bazę obrazów. Na monitorze za plecami Hectora pojawiła się panorama Chicago, identyczna z tą, którą można było ujrzeć przez zasłonięte okno. Tyle tylko, że cyfrowe niebo było bardziej błękitne. Po chwili za John Hancock Center dodane zostały nieruchome chmury. Producent wduślił jeszcze kilka klawiszy. Kamerzysta sprawdził wszystko ostatni raz i zgłosił gotowość skinieniem głowy.

— Jeszcze nie — powiedział Hector. — Niech zaczekają.

Sarah zmarszczyła czoło. Na drugim monitorze londyński przedstawiciel Bluestara, stojący przed wyraźnie sztucznym obrazem budynków parlamentu, zdążył już zapowiedzieć:

— Mamy dziś zaszczyt usłyszeć kilka uwag, które wygłosi prezes naszej firmy, John Hector, przemawiający na żywo z centrali w Chicago. Jesteś tam, John?

Hector stał nieruchomo. Ekipa milczała.

— Jesteś tam, John?

Żadnej reakcji. Piętnaście sekund, pół minuty.

— Jesteś tam, John?

— Oczekiwanie, moja droga, decyduje o wszystkim — mrugnął Hector do sekretarki. Sarah uśmiechnęła się z przymusem.

— W pooooorządku. — Hector dał głową sygnał kamerzyście, który odliczył: „Trzy... dwa... wejście”. Niewielkie, wypukłe światelko zapłonęło czerwienią na kamerze.

Przez zamknięte, dźwiękoszczelne, szklane drzwi przedpokoju widać było Hectora przemawiającego z ożywieniem do kamery, gestykującego oburącz. Mimo wszystkich dziwactw, jego nowy zapal zrobił wrażenie na zgromadzonych pracownikach.

— To chyba Zoom tak na niego wpływa, powiedziała Sarah.

— W kwietniu było już całkiem kiepsko. Lucy była dla niego wszystkim.

— To wielka strata — przytaknęła Lisa. — Ale wygląda na to, że szybko się pozbierał.

Sarah obróciła się w jej stronę.

— Znam Johna. Nic nie zdoła mu zastąpić Lucy. Co rano biegali razem nad jeziorem. Uwielbiał ją głaskać.

— Co jest następne w programie? — zapytał Ron.

— To, co zwykle o piątej — odparła Sarah, starając się ukryć swą dezaprobatę. Lisa uciekła spojrzeniem w bok, a Sarah udała, że tego nie widzi. — Zaraz połączą.

Dokładnie wtedy kamerzysta uniósł rękę, przesadnie zamasztystymi gestami wykonując odliczanie: trzy palce, dwa, zaciśnięta pięść. Czerwone oko kamery zgasło, błękitny ekran Chromakey wsunął się w sufit, a ekipa wymknęła się bocznymi drzwiami.

Hector natychmiast odwrócił się w stronę zegara. Dochodziła piąta. Z szeroko otwartymi oczami wystawił głowę zza szklanych drzwi i polecił:

— Przełączcie tutaj.

Zdarł z siebie granatową koszulę światowego lidera, wyrzucił ją do kosza i sięgnął do dolnej szuflady biurka po nieskazitelnie białą koszulę z zieloną obwódką na rękawach. Poniżej logo Bluestara widniał napis „Prezes John Hector”. Tuż przed piątą zadzwonił prywatny telefon. Hector gwałtownym ruchem podniósł słuchawkę.

— Tak — wyśpiewał. Nie na to połączenie czekał. — Eee, przygotowuję się właśnie na globalną konferencję zarządu — powie dział przeproszającym tonem. — Proszę ustalić termin spotkania z moją sekretarką. Proszę zadzwonić do niej jutro rano, dobrze? Do widzenia.

Telefon, na który naprawdę czekał, zadzwonił chwilę później, dokładnie o piątej.

— Tak — zaśpiewał ponownie. Zamknął drzwi, usiadł w swym fotelu z wysokim oparciem i odwrócił się do okna, tak że zupełnie nie było go widać.

— To ten telefon — mrugnęła Sarah. — Codziennie o piątej,

niezależnie od tego, czy jest w kraju czy za granicą. Czasu lokalnego, gdziekolwiek by był. Pewnie lubi piątą — dodała, niemal chichocząc.

Czekający na zwierzchnika personel dostrzegł kilkakrotne poruszenia oparcia i wymienił znaczące spojrzenia.

— Zaczęło się w kwietniu, po śmierci Lucy — powiedziała zwięźle Sarah.

— Mhm — przytaknęła widocznie zakłopotana Lisa.

Po paru chwilach Hector wyszedł do nich, odrobinę spocony, spojrzał najpierw na podłogę, potem ponad taflą jeziora Michigan, wreszcie na Sarah i resztę pracowników.

— Powiedziałem jej — zapewnił Sarah, całkowicie ignorując pozostałych. Parokrotnie pociągnął za rękaw swej koszuli, co było oznaką niewygody i niepewności. — Ten był ostatni — powiedział cicho. — Koniec z dzwonieniem. Nie miała nic przeciwko temu. Nie, rozumiała. Bardzo mi to pomogło, odkąd... od drugiego kwartału. — Obejrzał się w stronę fotela w przedpokoju i ponownie wbił wzrok w podłogę. — Ha, i co z tego? Nic w tym złego. Byłem przygnębiony, w depresji, po prostu samotny — dodał gwoli wyjaśnienia. — A teraz do pracy — obwieścił energicznym tonem. — Mówię wam, zakończyłem się w tym programie. Zaręczyłem się z tą kampanią promocyjną. Oddaję się — duszą i ciałem — Zoomowi. Dzisiaj to poczułem. Poczuję, że Zoom jest wszystkim, na co czekałem, wszystkim, czego Bluestar potrzebuje, by odzyskać prymat na rynku, i na Boga, tym, czego potrzebuje ten świat, jeżeli ma uniknąć efektownej eksplozji.

Pracownicy słuchali go początkowo z respektem, lecz stopniowo zarazili się jego entuzjazmem.

— Och, jestem święcie przekonany, że możemy do tego doprowadzić — zadrwił Hector. — Zagrzebać się w piachu, a potem wysadzić w powietrze? Pewnie, nic trudnego. I tak straciliśmy zbyt wiele czasu. Teraz pozostają nam już tylko środki nadzwyczajne. Ale Zoom jest w stanie temu zaradzić. Wiem, że tak jest. I nie mogę — obejrzał się na swój fotel z wysokim oparciem — nie mogę się rozpraszać w chwili, gdy czeka nas krwawa bitwa z Hinnomem.

---

Podszedł do barku, chichocząc półgębkiem, włożył rękę do kubelka z lodem i wyciągnął z niego Windgazera w firmowym opakowaniu. Stukając w karton, powiedział z rezygnacją: — Myślicie, że będzie się przyglądał, jak Windgazer traci swoją pozycję? Prędzej wysłałby nas wszystkich do piekła, gdyby tylko mógł. Ten człowiek jest zły. Nic dziwnego, że wszyscy go nienawidzą. Nie zarządzą temu publicyści i specjaliści od PR razem wzięci. Dobra, wszyscy — machnął ręką, przeganiając personel. — Sio. Muszę się skupić. Dziś rano w Baltimore naobiecowałem trochę za dużo i muszę się wziąć do roboty.

Pięć pięter niżej na East Wacker Drive stary, lecz lśniący żółty gimbus zatrzymał się przez centralą Bluestara. Zaparkował wprost przed wejściem, tamując wszelki ruch. Przez czarne szyby nie można było zajrzeć do środka. Żaden z portierów nawet nie próbował go przepędzić.

- Czy to możliwe... — zastanawiał się jeden z nich.
- Pewnie — odparł jego kolega. — Ta słynna tablica rejestracyjna. .. sam zobacz, LIPIEC 66. To gimbus, którym w dzieciństwie dojeżdżał do szkoły. Znasz tę historię.
- ..chyba nie jest prawdziwa, co?
- Jeszcze jak—odrzekł tamten. — To powszechnie znany fakt. Inni chłopcy zawsze go zaczepiali. A kierowca ich nie powstrzymywał, jeszcze dorzucał coś od siebie. Więc sześćioletni gość dzwoni do firmy autobusowej i żąda, żeby zwolnili tego kierowcę. Wyśmiali go, a on mówi...
- ..czyli ta pieprzona historia jest prawdziwa?
- Jak cholera, stary — powiedział z naciskiem drugi portier. — Gówniarz im grozi: „Któregoś dnia kupię ten autobus i wywalę kierowcę na bruk". Kiedy zarobił swój pierwszy milion, chciał kupić tego gimbusa — właśnie tego. Firma nie chciała go sprzedać. No to on kupuje całą tę cholerną firmę i wręcza wypowiedzenia wszystkim pracownikom, od dyrektora w dół. Z wyjątkiem tego jednego kierowcy. Podobno wyrzucił go osobiście w swoim biurze na trzy dni przed tym, jak ten stary przyk miał odejść na emeryturę. Kierowca błagał tego dupka o wybaczenie.
- Skąd ty to wiesz?

— Z telewizji — odparł drugi portier, ścisząc głos. — W gazetach też o tym pisali. To prawda. Kierowca błagał o wybaczenie, miał problemy z nerkami, a ten i tak go wykopał. Kutas. Podobno kierowca rozpił się i wszystko stracił. Wtedy gość zwinął cały interes i sprzedał wszystkie autobusy na złom, z wyjątkiem tego jednego, na który teraz patrzysz. Zostawił go sobie i wyrobił dla niego tablicę rejestracyjną

z datą swoich urodzin. Teraz wozi go ze sobą na specjalne okazje w wielkiej naczepie. Odbierają go nim z lotniska. Zupełnie jak gabłota prezidenta, przewożą go wszędzie, gdzie jedzie.

Drzwi gimbusa otworzyły się z sykiem. Obaj portierzy umilkli, wpatrując się w zacienione, ledwie dostrzegalne miejsce kierowcy, zupełnie puste. Uliczny hałas jak gdyby ucichł. Na najbliższym skrzyżowaniu światła zacięły się na czerwonym. Zgasła latarnia. Dwie kobiety na rogu wyciągnęły szyje, by zobaczyć, kto wysiada. Rozciągnięty na krawężniku kot podniósł głowę. W końcu drobno zbudowany facet tuż po trzydziestce, o nie uczesanych, jasnych włosach odgarniętych na bok i wciąż chłopięcej twarzy wyjrzał z autobusu, uśmiechnął się niemalże słodko i wysiadł. Przybył Ben Hinnom.

Ubrany w zwykłe dzinsy i luźną koszulę z bufiastymi rękawami, które zatrzepotały na wietrze, niepozorny jak zwykle, Hinnom odezwał się potulnym początkowo głosem:

— Przepraszam, że tu zaparkowałem. — Wzruszył ramionami, oglądając się na swój pojazd. — Trochę trudno się nim parkuje. — Za Hinnomem pojawił się Linzer. — Zabawimy tu trochę, pół godziny, może dłużej — zapewnił ich Hinnom w swój charakterystyczny sposób, łączący udawaną niewinność z nie skrywaną arogancją. — Popilnujcie mi autobusu?

Wszedł do budynku, od niechcienia otwierając drzwi, jak gdyby nie był najbogatszym człowiekiem na świecie, którego imperium kontrolowało dziewięćdziesiąt cztery procent komputerów świata, jak gdyby nie był wart osiemdziesięciu miliardów dolarów, jak gdyby osobiście nie zrewolucjonizował sposobu, w jaki przeciętny śmiertelnik korzysta z komputera, jak gdyby nie wyparł z rynku dziesiątek większych i mniejszych firm albo nie przegnał ich na

mętne wody akwizycji, jak gdyby nie kupił dla kaprysu kilku najważniejszych rzeźb Rodina i paru Michałów Aniołów, jak gdyby nie był właścicielem domu wśród wzgórz w okolicy Seattle, szacowanego na trzysta milionów dolarów, i jak gdyby nie pracowało dla niego sześćdziesiąt tysięcy ludzi. Zarówno recepcjoniści, jak i strażnicy natychmiast rozpoznali Hinnoma i pospiesznie sięgnęli po krótkofalówki.

Telefon w biurze Hectora zadzwonił głośno, a jednocześnie gong obwieścił pojawienie się elektronicznej wiadomości na ekranie dwudziestocalowego, płaskiego ekranu monitora z ciekłych kryształów.

Od: Ochrona.

Do: J. Hector.

Wiadomość: Ben Hinnom przyjechał na spotkanie. Nie było go w książce gości, ale posłaliśmy go na górę.

Hector przeczytał tekst z niedowierzaniem, chwycił za słuchawkę, słuchał przez moment i wykrztusił:

— Jesteście pewni, że to Hinnom?

Naduśił na ekranie ikonę z napisem OCHRONA, naduśił KAMERA, a potem przycisnął FI 2 na klawiaturze, lokalizując Hinnoma.

— To on, jest przy windzie.

Przerażony zawołał:

— Sarah, jestem dzisiaj umówiony z Benem Hinnomem? Co się, u licha, dzieje?

Asystentka podbiegła do niego, spojrzała na obraz z kamery, potrząsnęła głową i stwierdziła:

— Nie, nie.

Przechodząc pospiesznie do swojego komputera, uruchomiła ikonę ROZKŁAD DNIA, potem WYSZUKUJ. W polu wyszukiwania wpisała „Ben Hinnom”, potem „Hinnom Computing”.

— Nic — zawołała.

— Znajdź Fieldsa — odkrzyknął. — I przynieś porządną koszulę.

Niemalże jednogłośnie oboje powiedzieli: „Z logo Zooma?”

Przez chwilę Sarah miała wrażenie, jakby powrócił Wiedeń sprzed czterech lat, kiedy bardzo ciężko pracowali na targach oprogramowania i odkryli, że coś ich łączy, mieszkali potem przez tydzień

w jednym apartamencie i z wielką niechęcią wrócili do domu, do swego wcześniejszego życia, jak gdyby nic się nie stało.

— Proszę, koszula z Zoomem — powiedziała, odrywając się od wspomnień.

Na ekranie pojawił się obraz wideo Fieldsa, migocząc niewyraźnie.

— Och, podnieś ten cholerny telefon — zezłościł się Hector i dorzucił: — Sarah, powiedz ludziom z Team Video, żeby instalowali mi na biurku działający sprzęt! Nie jestem jakimś beta testerem!

Zadzwoił telefon.

— Fields, orientujesz się, że Ben Hinnom wjeżdża właśnie moją prywatną windą? — wybuchnął Hector. Uderzył dwukrotnie w F12, przywołując na ekran podgląd windy. Hinnom rzeczywiście był już w drodze na górę. — Możesz mi to wytłumaczyć? — Rozłączył się.

Drzwi do biura Hectora otwarły się powoli. Czekali, wstrzymując oddech.

Do środka wtoczyła się posągowa dyrektorka, prowadząc za sobą piętnaścioro dzieci.

— Panie Hector... mam nadzieję, że nie przeszkadzam.

Spojrzała na nią ze zgrozą.

— Fanklub Cubsów Bluestara? — przypomniała mu.

Zero reakcji.

Z lekkim drzeniem podsunęła:

— Umawialiśmy się przed rokiem? Szósty lipca, kwadrans po piątej?

Wymachując rękami, Hector wybełkotał:

— Przepraszam was, dzieciaki, przepraszam. To jakieś nieporozumienie. Możemy to przesunąć o tydzień?

Nie czekając na odpowiedź, wspomagany przez wszystkich współpracowników pobłażliwie wypchnął matronę i jej małych kibiców z powrotem za dwuskrzydłowe drzwi. Ron odprowadził ich do windy.

— Lisa, Sarah. Zostańcie, zostańcie — polecił Hector. Nerwowo rozejrzał się po sali, szukając tajnych danych. — Tam. — Wskazał na tablicę z naszkicowanymi przewidywaniami kwartalnych wyników firmy. Lisa podbiegła do niej i zakryła wszystko nową, czystą



kartką. Hector kilkakrotnie uderzył w F12, przeskakując z jednej kamery na drugą, włączając i tę strzegącą wejścia do biura. — Gdzie on jest?

Stukanie do drzwi. Hector uniósł głowę i wyszeptał:

— Zły już tu jest.

Hinnom wszedł powoli do środka. Za Hinnomem kroczył Linzer. Hinnom natychmiast podskoczył z ożywieniem, chochlikowato, jak to miał w zwyczaju.

— Cześć, cześć, cześć, cześć, cześć— przywitał się z wszystki mi, dorzucając „cześć” nawet i dla nieobecnych w biurze. Potem przespacerował się szybko po pomieszczeniu, muskając najbliższe powierzchnie, stając się nowym punktem odniesienia w biurze, dominując swą zwykłą, niepozorną, niedbałą postawą. — John Hector, jak sądzę. Bardzo mi przyjemnie. — Wyciągnął rękę przed siebie, jakby chciał wymienić z Hectorem uścisk dłoni, lecz tylko zamachał w jego kierunku. — Czy wspominałem może, że będę w Chicago? — Nie przerywając nawet na sekundę, dodał: — Sam za dobrze tego nie wiedziałem. Ale oto jestem i bardzo mi pochlebia, że znalazł pan wolną chwilę, by mnie przyjąć. Zajęty człowiek,” zajęty człowiek — znam pana dobrze.

Hector o mały włos byłby się pogubił, lecz zaraz doszedł do siebie.

— Dopiero co przyszedłem i trochę mi się pomieszał harmonogram — zaczął Hector rzeczowo. — Ale skoro na rynku czeka nas pojedynek Windgazer kontra Zoom, Bluestar z radością nawiąże dialog z Hinnom Computing.

Hinnom przerwał mu w pół słowa.

— Nie, John, John, John — zachichotał. — Już dosyć naopowiadałeś o Windgazerze — powiedział, prześlizgując się w stronę barku. Uniósł pokrywkę kubelka z lodem i wyciągnął z niego opakowanie Windgazera. — Ojoj. — Odłożył je na miejsce.

Hector patrzył na niego z niedowierzaniem. Skąd, do cholery, o tym wiedział? Jak gdyby czytając w jego w myślach, Hinnom podszedł do zajmujących całą ścianę okien biura, stanął z nosem przy szybie i zamachał ręką.

— Kiwam chłopcom z mojego biura Integracji Optycznej. Wie działaś, że mają siedzibę w Hancock Building — wskazał na drapacz chmur w dole ulicy — dokładnie tam? Większość z nich idzie do domu o czwartej trzydzięci, ale niektórzy dopiero zaczynają o... — przerwał i ruchem brwi wskazał na fotel z wysokim oparciem stojący w przedpokoju o szklanych drzwiach — ...piątej. Och, czyżbym powiedział coś niestosownego? — Szybko zmieniając temat, Hinnom zapytał nagle: — Hej, czy moglibyśmy porozmawiać sami? No, wiesz, dwóch wielkich dyrektorów, tylko ty i ja, interesy w branży?

Hector zeszywniał. Wiedział, że nadchodziła chwila odmienna od wszystkich dotychczasowych biurowych wyzwania, jakie musiał podjąć, odmienna od globalnych telefonicznych wojen, jakie stoczył, niepodobna do finansowych szachów, w których tak celował, niepodobna do bitew z uśmiechem na ustach staczanych w COM-DEX, gdzie światy i ludzkie życia rodzą się i giną bez najmniejszych reperkusji przed Nowym Rokiem, kiedy i tak jest już za późno, by się przejmować. To było coś innego. Tym razem jego przeciwnik, Hinnom, był prawdziwą osobowością, nie dbającą o pieniądze czy karierę, bez rodziny, korzeni, przyszłych skrupułów. Zwycięstwo było jedynym wyjściem.

— Jasne — odparł Hector.

Lisa i Sarah wyszły. Dopiero gdy znalazły się już za progiem, Linzer poszedł w ich ślady.

— Tylko my dwaj — powiedział Hinnom — ale może upewnij my się, że to tylko my dwaj. Wyświadc mi przysługę, taką małą sieńką. Wyłącz swój komputer. — Postukał w małeńki mikrofon i jednocalowy obiektyw kamery przymocowany do płaskiego ekranu. — Wiem, że zainstalowałaś Voice Buddy i TeleChat, dwa dobre produkty, które są na najlepszej drodze do tego, by z wersji 1-och!-och! przekształcić się w oprogramowanie naprawdę nadające się do użycia. Ale chciałbym, by nasze spotkanie odbyło się na gruncie prywatnym. To bardzo ważne.

Hector wduśił prawy klawisz myszy, potem lewy, wybierając opcję wyłączenia komputera. Rozległa się cała gama dźwięków towarzyszących zamykaniu ustawionych w kaskadę okien: ryki

lwów, kocie miauknięcia, jąkanie prosiaczka Porky'ego i wreszcie ostatni efekt dźwiękowy sygnalizujący zakończenie procesu, plik audio z *Odysei kosmicznej 2001*, Hal mówiący cicho, lecz rozpaczliwie: „Wiem, że ty i Dave chcecie mnie wyłączyć, i nie mogę do tego dopuścić”. Na ekranie pojawił się niewielki tekst: „Teraz możesz wyłączyć swój komputer”.

Szczerze rozbawiony Hinnom uśmiechnął się szeroko.

— Fajne.

Hector wduśił biały przycisk, wyłączając dopływ prądu.

— Słucham — powiedział.

— Ooch... Słucham — powtórzył Hinnom prześmiewczym tonem. — Dobrze — zaczął, przechadzając się po sali. — Obejrzałem dziś taśmę promocyjną z inauguracji kampanii reklamowej Zooma. Wspaniała, John. Delfiny. Doskonałe, naprawdę doskonałe wycucie. Osobiście wolę ich kuzynów, mahi mani, smażonych na patelni w białym winie i sosie dijon — wspominałem ci już, że uwielbiam gotować w mojej nowej kuchni? Ale tobie udało się z nimi fenomenalnie. Bomba, bomba, bomba. I podejrzewam, że jesteś w stanie pobić nas na finiszu. O, tak. Zoom będzie gotowy za parę dni, tygodni, nieważne. Rzucicie towar na półki przed nami. Ale, John, czy to rozwiązanie będzie lepsze od Windgazera 99? Przysłuży się klientom lepiej od Windgazera 99? A może tylko odwróci ich uwagę od Windgazera 99, zrobi większą klapę niż Miami, zmarnuje mnóstwo bezcennego czasu gównianą, pełną błędów wersją 1.0, a potem zrujnuje wszystko wszystkim, a zwłaszcza firmie Hinnom Compu-ting! A to dlatego, że jestem przekonany, John," iż Windgazer 99 jest znacznie lepszym produktem, rozwiąże wszystkie aspekty milenijnej pluskwy i umożliwi płynne wejście w wiek dwudziesty pierwszy — a tego obaj przecież pragniemy.

Hinnom zatrzymał się i wzruszył ramionami, niechętnie przyznając Hectorowi słuszość.

— Jesteście szybsi. My — lepsi. Tyle muszę ci oddać.

Doskonale panując nad reakcjami, Hector odparł zdecydowanie:

— A ja nie. Jesteśmy szybsi i lepsi. Tyle ja muszę ci oddać. Ale nie ukrywam, że jeśli Bluestar będzie mógł liczyć na waszą współ-

pracę, Zoom stanie się skuteczniejszy i będzie funkcjonował bezproblemowo i bez emulacji w środowisku Windgazera, który kontroluje ponad dziewięćdziesiąt procent komputerów osobistych na świecie. Przyłącz się do nas, Ben, a razem uchronimy planetę przed samozagładą. Zagrożenie jest realne. Świat nie skończy się ani hukem, ani skowytym, lecz komunikatem o błędzie systemu operacyjnego. Jesteśmy gotowi połączyć nasze siły, jeżeli i z waszej strony jest taka gotowość.

Hinnom przybrał poważniejszy wyraz twarzy.

- Tak, zgadza się — odparł. — Widzisz, doszliśmy do porozumienia. Natomiast nie zgadzamy się co do środków zaradczych. Ty chcesz, by Bluestar uratował świat przed totalną katastrofą i zarazem odzyskał swój utracony status sprzed paru lat, miano „Władcy Komputerów”. Słowa „komputer” i „Bluestar” były wtedy właściwie synonimami, prawda? Ale dzisiaj wygląda to nieco inaczej. Dziś miano zbawcy przysługuje Hinnom Computing. Pewnie, jestem zwolennikiem współpracy. Ale wysiłek zespołowy ma sens tylko wtedy, gdy zespół go podejmujący... — zawiesił głos — ...należy do mnie.
- Bluestar może stać się jego częścią — ciągnął Hinnom tonem, w którym zabrzmiała ledwie skrywana groźba. — Zoom ma przed sobą przyszłość, podobnie jak Raisin Computing. Och, wszyscy myśleli, że Raisin jest skończony. Raisin — prychnął. — Ludzie, którzy wymyślili domowe studia komputerowe, wzięli szturmem świat grafiki, stali się sztandarową firmą dyrektorów artystycznych i projektantów — ludzi, którzy, nawiasem mówiąc, są dla mnie zupełnie bezużyteczni. Szkoda tylko, że ci wspaniali ludzie z Raisin próbowali zmonopolizować swoją klientelę. Lecz koniec końców rzucono ich na żer wronom niczym węgierskie winogrona gnijące na polu po winobranii. Dopóki Hinnom Computing nie wstrzyknęło w zbankrutowaną firmę dziewięćdziesięciu milionów w gotówce — i oto teraz żyje i rozkwita, nadal jako Raisin. Zgniłe winogrona przemieniły się w byczą krew. Kapitałna metafora, John, bo tak właśnie wyrabia się byczą krew — ze zgniłych gron. Wiedziałem o tym. Tak czy owak, teraz wszystkie małe Raisiniątka mogą sobie

do woli przesuwając grafikę po ekranie. Kult przetrwał. Wysiłek zespołowy.

— Tylko że Raisin to w rzeczywistości Hinnom — skwitował pogardliwie Hector.

— Zależy od punktu widzenia — odciął Hinnom. — Puerto Rico to nadal Puerto Rico, tyle że jest teraz częścią Stanów Zjednoczonych. Oto moja oferta, John. Weź Zooma—ten wielki, nagłośniony, irytujący projekt z logo zaprojektowanym przez Zorro — i przenieś całą swoją ekipę z Wydziału Systemów Operacyjnych do Grupy Standardów Oprogramowania. Rozbuduj GSO do konsorcjum z naszym udziałem. Po paru tygodniach wykupimy je w całości. Będziesz prezesem i dyrektorem generalnym tego nowego konsorcjum. Zapłacę ci sto dziewięć milionów rocznej pensji i pokryję koszty tylu rozmów telefonicznych o piątej, na ile tylko będziesz miał ochotę. Do tego dorzucę dwanaście milionów opcji na akcje po piętnaście dolarów. Mogę ci zagwarantować, że akcje konsorcjum w ciągu roku podskoczą do czterdziestu pięciu — przerwał na moment. — To się da zrobić.

Hector milczał. Hinnom podniósł stawkę.

— Dorzucę jeszcze kontrolę przez wyznaczone osoby nowej firmy, która ma powstać w Malezji, a która funkcjonować będzie jako pośrednik handlowy dla całkowitej produkcji CD-ROM-ów Hinnom Computing przez najbliższe pięć lat. Żelazny kontrakt, John. Zgódź się.

Milczenie.

— Dobrze — zachichotał Hinnom. — Ale twarżesz z siebie! Przepompuję większość twoich zarobków przez Kajmany. Twoja amerykańska pensja będzie akurat odpowiednio wysoka, by uniknąć podatku wyrównawczego nałożonego przez IRS. Reszta przejdzie przez Kajmany, gdzie zamiast trzydziestodwuprocentowego podatku federalnego i stanowego obłożona będzie podatkiem o realnej stawce siedmiu procent. John, po pięciu latach staniesz się jednym z najbogatszych ludzi na świecie. — Hinnom był teraz poważny jak na pogrzebie. — I przyczynisz się do poprawy położenia całej ludzkości, współpracując ze mną, transdukując zalety Zo-

oma w olbrzymią potęgę Windgazera. Razem musi nam się udać, John. Przyłącz się do mnie.

Hector przeciągnął dłońmi po twarzy, by zetrzeć z niej monolog Hinnoma, po czym odpowiedział:

- Wszystko, co o tobie mówią, jest prawdą, chory sukinsynu. Naprawdę sądzisz, że możesz tak po prostu wejść tutaj i mnie przekupić? Swoimi tandetnymi milionami, zagranicznymi bankami na Kajmanach i marionetkową prezesurą konsorcjum zmajstrowanego tylko po to, by uziemić Zooma i umożliwić Windgazerowi 99 jeszcze większe spięprzenie świata, niż się to udało jego poprzednim wersjom?
- John, John. Takie podejście nie jest szczególnie konstruktywne — powiedział Hinnom kojącym głosem. — Obawiam się, że po prostu mnie nie zrozumiałeś. Mam wizję. Obaj wiemy, że światem rządzą komputery i mikroprocesory, wkrótce nawet i tam, gdzie jeszcze tak nie jest. Niektóre z nich są dosyć prymitywne, jak ten w twoim tandetnym zegarku. Inne skomplikowane, lecz o ograniczonym zastosowaniu, na przykład twoja komórka. Fajną masz komórkę, tak przy okazji. Niektóre nie potrzebują większej inteligencji, niż jest to potrzebne, by ustawić toster na odświeżenie dwóch kawałków żytniego chleba czy zmywarkę na cykl roboczy w nocy, kiedy wszyscy już śpią. Natomiast niektóre komputery są tak skomplikowane i wyrafinowane, że stanowią wielkie wyzwanie rzucone w twarz samej naturze: superkomputery wykorzystywane przez Państwowy Instytut Meteorologiczny do przepowiadania huraganów i przez NSA do łamania szyfrów. Och, uwielbiam łamanie szyfrów. Nawet organizuję od czasu do czasu w naszej centrali w Seattle taką firmową zabawę, kiedy Czarni próbują stworzyć kod nie do złamania, a Szarzy usiłują go złamać. Znacznie lepsze od tych durnych meczów szachowych w Bluestarze, ale każdy ma to, na co zasłużył. Dobrze, na czym stanęliśmy? — zapytał, wracając do przerwanej wątku. — Och, komputery są wszędzie, gdzie tylko spojrzeć, a każdego tygodnia z.taśm montażowych schodzi ich jeszcze więcej. Hinnom Computing pragnie tylko jednego: połączyć je wszystkie. — Twarz Hinnoma ściągnęła się lekko. — Wszystkie.

Hector otworzył szeroko oczy. Chciał się odezwać, lecz Hinnom nie dopuścił go do głosu.

- Wszystkie — warknął Hinnom. — Chcę, by każda klasa, agencja rządowa, korporacja i baza wojskowa, każdy kieszonkowy kalkulator, wideo i toster, każdy człowiek, niezależnie od języka, wszędzie, używający lub też podlegający oddziaływaniu każdego urządzenia, maszyny, przyrządu, pragnienia, połączeni zostali jednym systemem operacyjnym, rodziną systemów operacyjnych Windgazer. Dla szarych, starych komputerów biurowych Windgazer 99; terminale końcowe szumieć będą przyjemnie na Windgazerze IT; systemy przemysłowe obsługi Windgazer IM; laptopy i notebooki będą się kręcić na Windgazerze TE; sprzęt domowy — wszystko, od telefonów przez pralki po kontakty w ścianach — wykorzystywać będzie Windgazera ME; urządzenia medyczne pracować będą pod Windgazerem MD; rozliczeniami finansowymi zajmie się Windgazer FI — i tak dalej, i tak dalej.
- Kiedy Windgazer stanie pewnie na nogach — obiecał majestatycznie Hinnom — będziesz mógł — i to z pracy — podłączyć się do swego domowego systemu i polecieć lodowce, by zeskanowała kody kreskowe i sprawdziła, czy masz dosyć jajek. Zasiedziałeś się w pracy, wydajesz więc polecenie swojemu wideo, by nagrało mecz. Jedziesz przez pustynię i kończy ci się paliwo, więc polecasz Windgazerowi VE, by ograniczył jego zużycie. Twój wróg odmawia podporządkowania się wiążącej rezolucji Rady Bezpieczeństwa? Możesz wyłączyć struktury społeczne jego państwa sektor za sektorem, dopóki nie zmieni zdania — jeśli masz Windgazera, linia komend stanowi najszybszy sposób egzekwowania prawa międzynarodowego. Koniec z wojnami, koniec z przestępczością, koniec z czekającymi na zapłacenie rachunkami. To nie jest marzenie ściętej głowy. Połowa niezbędnych struktur już funkcjonuje, John. Polecenia wydawane drogą radiową i Internet umożliwią bezprzewodowe połączenie całego świata w jedną sieć.
- Mogę to sprawić — zapewnił z pasją Hinnom. — Muszę tylko połączyć kropki na rysunku — a potem je usunąć. Tym sposobem będę kontrolował cały obrazek. Wygoda osobista, wysoka

wydajność zawodowa i dobrobyt, światowy pokój i wewnętrzna harmonia. Oto moja wizja.

Hector odparł pogardliwie, nie kryjąc się ze śmiechem: — Powiedz mi, że ten monolog to tylko taki żart. Odbiło ci? Chcesz, by jeden system operacyjny kontrolował całość sprzętu i oprogramowania na całym świecie, połączoną ze sobą i zdominowaną przez jedną firmę — Hinnom Computing.

- Odbiło mi? Gdyby istniało lekarstwo na raka, skarżyłbyś się, że jest tylko to jedno? — odgryzł się Hinnom. — Nieporządek to rak toczący ten świat, ten wszechświat. Wolisz chaos? Wolisz, by ludzie pętali się na oślepie w niewiedzy i wzajemnej wrogości, by jedynym sukcesem ich śmiesznych mózdków było ciągle obijanie się o ściany, rozkwazanie sobie nosa, oklejanie ran plastrem i kolejna ślepa szarża? Windgazer jest w stanie unicestwić tego raka.
- Wcale nie chcesz wyleczyć raka — odparł Hector. — Chcesz uzależnić wszystkich od swojego lekarstwa, a potem kontrolować, kto i kiedy otrzymajęgo dawkę. Chcesz zostać panem życia i śmierci. Chcesz stać się Bogiem.
- Nie — zaprzeczył błagalnym tonem Hinnom. — To czysty biznes. Przecież rozumiesz to pojęcie. Niczym się to nie różni od płatnego wjazdu na autostradę, tyle że moja autostrada informacyjna pobiera opłaty za wszystkie aspekty życia. Albo taki licznik gazowy w twoim domu — mój jest wirtualny i istnieje bez względu na to, co byś robił. Rząd posiada identyczny system, nazywa go podatkiem. Podatek jest wszędzie — podatek obrotowy, użytkowy, akcyza, VAT, ukryty podatek od udziałów. Sam pomyśl, pijesz coś, prowadzisz albo palisz, a oni bum!, przywalają ci podatek. Hinnom Computing pragnie tego samego. Nazwiemy to honorarium bieżącym, roczną licencją i opłatą od liczby połączeń. Każdy składnik tej współczesnej magii będzie miał swoją zminiaturyzowaną cenę. Wyobraź sobie, za każdym razem, gdy wkładasz pieniądze na konto, płacisz rachunek, zaparzasz kawę, uruchamiasz samochód, splukujesz toaletę... och, nie opowiedziałem ci w ogóle o Windgazerze TP — zostawię tę perelkę na następne spotkanie. W każdym razie, wyobraź sobie ułamek centa pobierany za każdą czynność, każde



odwołanie do systemu. Ziarnko do ziarnka. Opłaty będą potrącane automatycznie z twojego konta bankowego. Hej, a więc każdego mężczyznę, kobietę i dziecko życie w świecie Hinnoma kosztuje sto pięćdziesiąt dolarów miesięcznie. To się nazywa dochód, John.

— To się nazywa światowa dominacja, ty popierdolony, niedojrzały hakerze — wypalił Hector, kiwając głową ni to ze współczuciem, ni to z niesmakiem. — Chcesz uzależnić wszystkich od swojego oprogramowania, nafaszerować je błędami i niedoróbkami i zmusić całą planetę do wykupywania nie kończącej się serii kolejnych wersji, nieodmiennie zapowiadanych na całe lata przed tym, jak będzie można spokojnie dopuścić je do sprzedaży, co skutecznie spieprzy rynek firmom z produktami gotowymi tu i teraz. — Uniósł głos, dorzucając jadowicie: — Twoje programy śmierdzą, Hinnom. Więc po co robić z nich światowy standard?

Pryskając śliną, obnażając zęby i nie potrafiąc już zapanować nad nagłym przyływem wściekłości, Hinnom aż się zatrzęsł i wyjąkał:

— To... to... najgorsze, niedorzeczne gówno, jakie w życiu słyszałem! Niedorzeczne. Niedorzeczne. Johnie Hector, próbowałem się z tobą porozumieć, ale jesteś naprawdę niedorzecznym dupkiem.

— Kogo nazywasz niedorzecznym? — odgryzł się Hector.

— Ciebie nazywam niedorzecznym.

Hector przysunął usta na kilka cali od twarzy Hinnoma, komunikując mu:

— To spotkanie jest skończone, możesz teraz iść do diabła.

— Masz jakiś problem z diabłem? — błysnął Hinnom.

Hector cofnął się i spojrzął z ukosa na Hinnoma, którego zachowanie nagle stało się spokojne, złowieszczo spokojne.

— John, pozwól, że podzielę się z tobą jedną z tajemnic osiemdziesięciomiliardowego imperium — zaczął Hinnom cichym głosem. — Prawdę mówiąc, moja skarbonka jest zasobniejsza, ale pozostajmy przy tej liczbie, jako że ludziom łatwiej się ją kojarzy. Wiesz może, co to takiego Yap?

Hector wzruszył z irytacją ramionami.

— Year Application Protocol? Nie mam pojęcia! Co to jest ten Yap?

- Nie, John. Yap to niewielka wyspa w Mikronezji, gdzie wchłonąłem firmę o nazwie Micronesia Medical Development. Z taką nazwą łatwo sobie pomyśleć, że Mikronezja ma coś wspólnego z komputerami. A tymczasem to nazwa geograficzna. Wracając do tematu, Micronesia Medical Development za pośrednictwem swego przedstawicielstwa na Guam, która to wyspa z kolei jest częścią starych, dobrych Stanów Zjednoczonych, zakupiła tak wiele zaawansowanych technologii medycznych, ile tylko zdołała: stymulatory kostne, potencjał wzbudzony, skaniny mózgu, protezy mięs-niowo-elektryczne i inne takie. Te przedsiębiorstwa albo też ich oddziały — czasami jedynie produkty w oderwaniu od ich macierzystych oddziałów — są zwykle małe i kosztują po parę milionów. Trzeba rzucić właścicielowi gnata, dać kopa w górę donikąd, potem szybka emeryturka i firma jest nasza. Mówimy między innymi o stymulatorach akcji serca. Na tym polu liczą się tylko trzy firmy. A one są nasze. Wszystkie.
- Porozmawiajmy teraz o defibrylatorach — ciągnął dalej Hinnom. — Teraz to już chleb powszedni. W samych Stanach nieco poniżej stu'pięćdziesięciu tysięcy ludzi żyje z wszczepionymi kar-diowerterami-defibrylatorami. A społeczeństwo się starzeje, jak to się mówi. Wkrótce staną się równie popularne jak szkła kontaktowe, no, może jednak nie aż tak. Ale musisz przyznać, że to niezły bajer, ważą zaledwie parę uncji. Baterie nowej generacji wytrzymują i dziesięć lat, a nowe modele zyskują dzięki ciągłym ulepszeniom swego potencjału analitycznego, coraz skuteczniejszemu gromadzeniu danych i możliwościom dostosowawczym. Współczesna medycyna. Uwielbiam ją.
- Zaczynasz mnie nudzić — powiedział Hector jednostajnym tonem. — To dla mnie nic nowego. Mam wszczepiony defibrylator. Serce zaczęło mi szwankować po śmierci Lucy...
- Och, twój ukochany owczarek szkocki, Lucy — zawtórował Hinnom. — Codzienne spacerki z psem, specjalna buda do podróży samolotem, błękitne wstążki na wystawach psów rasowych, towarzyska życia i tak dalej. Słyszałem, że był to dla ciebie straszny cios. Przeszło ci już?

Zniecierpliwiony trywializującą gadaniną Hinnoma Hector odparł:

- Skończyliśmy już? Nie chciałbym być nieuprzejmy.
- Już prawie koniec. Chciałbym ci jeszcze coś pokazać. — Hinnom wysunął z kieszeni maleńkiego palmtopa wielkości pudełka miętówek.
- Och, Windy — powiedział Hector z nieskrywanym podziwem. — Słyszałem, że istnieje już prototyp modelu fabrycznego. Mogę obejrzeć.

Hinnom cofnął rękę.

- Przykro mi, żadnych paluchów. Ale popatrzeć możesz. — Rozsuwając ekran do dwukrotnych rozmiarów, Hinnom streścił mu pokrótce jego możliwości. — Możesz zapomnieć o spracowanych modelach Palm III i Wizardach, John. Praca nad Windym rozpoczęła się wkrótce po tym, jak pierwsze palmtopy przyprawiły wszystkich o ziewanie. W przeciwieństwie do innych modeli, Windy wykorzystuje szczególną wersję Windgazera TE, która emuluje klienta Wind-gazera 99. Dziesięć giga pamięci, sto dwadzieścia osiem RAM-u, załadowane standardowe aplikacje; może funkcjonować jako samodzielny palmtop albo jako pełnoprawny klient LAN-u czy WAN-u, utrzymuje też stałe połączenie z Internetem, zależne oczywiście od trybu i siły sygnału. Nasz sekret tkwi w krzyżówce technologii radiowej, połączeń komórkowych i satelitarnych, która umożliwia temu maleństwu przekazywanie i odbiór danych oraz instrukcji z dowolnego komputera, drukarki, serwera. Popatrz na ten ekran, uwielbiam ten ekran.
- Niezła zabawka — przyznał Hector. — Bije na głowę rozkładaną klawiaturę Bluepointa.
- Tak, „bije” to właściwe słowo — odparł Hinnom. — Jak dobrze wiesz, dzięki swej niedawnej operacji, defibrylatory są teraz programowalne. Tak właśnie twój lekarz modyfikuje ci tętno. Hej, słyszałeś o błędzie oprogramowania, jaki znaleźli w zeszłym roku w niektórych stymulatorach. Pamiętasz, pacjenci musieli zgłosić się do swoich lekarzy po nową wersję programu. Proszę, oto, jak to działa. Oprogramowanie stymulatora, włączając w to wszystkie

parametry niezbędne do stymulacji akcji serca, przygotowywane jest w centralnym laboratorium. Kiedyś odbywało się to w języku opartym na UNIX-ie. Lecz kiedy moja firma nabywa przedsiębiorstwo branży medycznej, przestawia wszystkie produkty na Windgazera MD, system operacyjny wymyślony przez nas dla potrzeb świata medycyny. Tak więc laboratorium regularnie uaktualnia instrukcje umieszczone w pamięci stałej, a nowe wersje kopiuje na standardowe dyskietki. Te z kolei trafiają do przedstawicieli — to tylko inne określenie na sprzedawcę — którzy odwiedzają lekarzy. Kopiują zawartość dyskietki na urządzenie programujące w gabinecie doktora, wielkości mniej więcej niedużego odtwarzacza wideo. Lekarz uruchamia nowy program i modyfikuje parametry według swego uznania.

— Zobacz. — Hinnom obrócił ekran tak, by Hector mógł go widzieć. — Oto firmowy ekran modyfikacji parametrów twojego defibrylatora, Opala wyprodukowanego przez firmę PulsePlant, nie gdyś ze środkowego zachodu, a teraz przeniesioną do Seattle. A do kładniej przenoszącą się tam za trzy miesiące. Ale ty możesz uważać ją za przeniesioną, gdyż jestem właścicielem PulsePlantu za pośrednictwem mojej małej mikronezyjskiej firmy, o której nikt nie wie, że należy do mnie.

Hector w miarę przyglądania się ekranowi stawał się coraz bardziej niespokojny. Odruchowo położył sobie dłoń na piersi.

— A teraz posłuchaj uważnie, John — tłumaczył Hinnom. — Modyfikacja parametrów przekazywana jest z urządzenia programującego do twojej piersi za pomocą najzwyklejszych w świecie fal radiowych. Może przypominasz sobie swojego doktora — jak on się nazywa... a, tu jest, Kaufmann. Doktor Kaufmann musi tylko przesunąć niewielkim nadajnikiem radiowym, taką laseczką, w odległości czterech cali od twego ciała, a stymulator odczyta przesłaną informację i zaktualizuje się, nie gubiąc rytmu — wybac mi to porównanie. — Uśmiechnął się szeroko. — Wszyscy uważają mnie za nawróconego hakera. W rzeczywistości nadal się w to bawię, tylko że teraz zamiast szkół i banków moim celem stało się najwięcej wyzwanie — ludzkie ciało.

Hector zbieleł na twarzy.

— Masz w swoim Windy program mojego stymulatora?

— Pewnie — odparł z nonszalancją Hinnom. — I tak łatwo go zmienić, jako że Windgazer MD zaopatrzony jest w uniwersalne wejście awaryjne, by programista mógł szybko usunąć ewentualne defekty. Zobaczmy. Twoje serce bije teraz w rytmie siedemdziesięciu uderzeń na minutę. Ale nie martw się, zaraz to naprawimy. — Hector odskoczył przerażony, gdy Hinnom wpiął trzysta i wyciągnął rękę bliżej jego piersi. — Tyle powinno wystarczyć.

— Co ty robisz, na rany Chrystusa? — wrzasnął Hector, czując nagle ukłucie w piersi, a potem ból głowy.

Hinnom odparł spokojnie.

— W dawnych czasach, John, czarny charakter używał broni i trotylu. Teraz wystarczy wdusić klawisz. — Hector słyszał go, lecz był już niemal sparaliżowany. — To straszne, John. Co miesiąc — co miesiąc — ponad pięćdziesiąt tysięcy ludzi w tym kraju umiera nagle na serce. Pamiętaj, to nie atak serca. Bądźmy precyzyjni. To coś znacznie gorszego. Serce zaczyna bić tak szybko, że choć w ko morach j&st dosyć krwi, to cholera uderza w takim tempie — ojejku — że nie jest w stanie wszystkiego na czas wypompować. W żadnym wypadku! Krew nie dociera nawet do mózgu, który po minucie — często nawet i prędzej — stwierdza: „Jojku, nie daję sobie rady. Trzeba by... odwalić kite!” Oczywiście to tylko impulsy elektryczne, John, i mógłbym zaproponować ci przywrócenie pierwotnego ustawienia, ale pewnie jesteś już zanadto zawiedziony tym programem, by przyłączyć się do naszego zespołu.

Hector wywrócił oczy do góry i opuścił powieki. Wyprostował palce, podczas gdy jego pamięć galopowała przez sale wypełnione klaskającymi użytkownikami, a stamtąd ku palącej samotności, kiedy zabrakło mu dwudziestu pięciu centów na wejście na szkolny mecz koszykówki i zatrzęsnięto mu drzwi przed nosem, podczas gdy w sali szalały tłumy. Hector zatoczył się na fotel, uderzając głową o oparcie.

Hinnom spokojnie napisał elektroniczną wiadomość.

Po drugiej stronie dwuskrzydłowych drzwi Windy Linzera wydał

z siebie melodyjny dźwięk. Linzer wysunął ekran, przycisnął parę klawiszy, beznamiętnie odczytał wiadomość, musnął klawisz DELETE i zamknął palmtopa.

Hinnom uruchomił komputer Hectora. System załadował się w parę sekund.

- Bez hasła? — prychnął pogardliwie Hinnom. — Ci dyrektorzy, oni naprawdę uważają się za lepszych od nas. Następnym razem użyj hasła i zmieniaj je okresowo — zakpił Hinnom z umierającego Hectora. Kiedy komputer się uruchomił, załadowały się programy zabezpieczające, włączając w to systemy Voice Buddy i TeleChat. Wtedy Hinnom zaczął działać.
- Na pomoc! Na pomoc! John, nic ci nie jest, co się dzieje? — krzyknął. Linzer i asystenci Hectora wbiegli do środka. Hinnom przebiegł palcami po klawiaturze, łącząc się z ochroną budynku. — Na pomoc, John miał chyba atak serca. Och, mój Boże! Każdego dnia dotyka to tysiąca ludzi, każdego dnia. Niech mu ktoś pomoże. Ktoś zna się tu na pierwszej pomocy? O Boże! A byliśmy już o krok od porozumienia. Wezwijcie pogotowie. Niech ktoś zadzwoni pod 911!

#### 4

## PYTANIE

Park zastanawiała się, czy czeka na właściwym rogu North Halsted Street. Właściwie to zastanawiała się, czy czeka we właściwym mieście. Jeszcze parę dni temu myślała, że w Chicago uda się jej zacząć od nowa. Ale wszystko zmieniło się radykalnie z dnia na dzień.

Dan się spóźniał. Zawsze czuła się nieswojo, kiedy mężczyzna, który przypadł jej do gustu, spóźniał się. Z każdą upływającą minutą coraz barwniej wyobrażała sobie, że czeka w złym miejscu, że być może ją wystawi albo nie zależy mu na spotkaniu, albo nie ma poważnych zamiarów. Ci, na których jej nie zależało, zawsze przychodzili z wyprzedzeniem.

Jak dotąd Chicago odpowiadało jej oczekiwaniom. Tak naprawdę wychowała się w atmosferze fantazjowania o Chicago, więc na swój sposób odkrywała to miasto na nowo. Czysty sygnał stacji radiowej WGN był dosyć silny, by dotrzeć do Kansas. Dla młodej dziewczyny, żyjącej w świecie, w którym większość dróg nie była wybrukowana, nikt nie jadał obiadów w restauracji, najbliższy sąsiad oddalony był o wiele mil, a telefoniczne imprezy stanowiły esencję życia towarzyskiego, WGN stanowiło okno ukazujące zupełnie nowy horyzont. Kiedy już ojciec i bracia wysłuchali audycji dla rolników i wyszli na poranny skwar, w WGN zaczynały się rozmowy ze słuchaczami. Zaproszony do studia gość opowiadał o ulubionej restauracji w dzielnicy NearNorth, o sztukach teatralnych wystawianych w centrum i o baseballu. Wrigley Field — czyli „piękne” Wrigley Field — było domem dla Cubsów. Comiskey Park było areną w południowej części miasta, gdzie swe mecze rozgrywali White Sox. Podczas wyborów niezależni kandydaci dominowali w dzielnicach nad jeziorem. W jej wyobraźni Loop stanowiło pętlę biegnącą przez centrum miasta, utworzoną przez napowietrzną kolejkę. Wiedziała, że ulice w godzinach szczytu zamieniają się w piekło. Lecz wtedy nie potrafiła sobie nawet wyobrazić godzin szczytu.

Zanim jej pierwszy dzień w liceum dobiegł końca, Park postanowiła, że nigdy nie zamieszka w Wichita czy Kansas City, gdzie znalazłaby tylko to, przed czym pragnęła uciec, tyle że większe i inaczej rozplanowane. Tęskniła za prawdziwie miejskim stylem życia, restauracjami, tłumem i niepewnością wielkiego miasta. W Kansas niepewność nie istniała, chyba że w odniesieniu do pogody i zbiorów. Tak, zawsze pragnęła znaleźć się w Chicago.

Ale nic z tego nie wyszło. Studenckie biuro pośrednictwa pracy znalazło jej zatrudnienie w Lawrence, mieście, gdzie chodziła do college'u. Potem przeniosła się na rok do Boulder, a stamtąd do Seattle. Seattle było piękne, lecz podobne do Boulder. Wysokie budynki, wysokie drzewa, wysokie góry, naciągane historyjki opowiadane przez wysokich facetów. Szansa przeniesienia się do Chicago mogła to wszystko zmienić. Po ostatniej nocy jednak nie była już tego pewna.

By zająć czymś myśli, Park zaczęła zabawiać się wyszukiwaniem różnic między Chicago a Seattle: mężczyźni mieli bardziej nachalne spojrzenia i jedli w trakcie marszu, kobiety nosiły do pracy mniejsze torebki, wyższe obcasy i ubrania od znanych projektantów, a na każdym municypalnym pojeździe widniało nazwisko burmistrza.

Dan był już spóźniony o kwadrans. Błędem było umawianie się na rogu, a nie w restauracji. Było oczywiste dla wszystkich, że Park czeka na przyjaciela. W regularnych odstępach czasu spoglądała w górę ulicy, a potem na zegarek. Miała właśnie iść zadzwonić, kiedy zza rogu wyjechał czerwony del sol, wlekąc się za wielkim furgonem dostawczym, ciągnącym za sobą kłęby czarnego dymu. Dan zamachał, przejeżdżając obok niej, zawrócił zgrabnie i wślizgnął się na wolne miejsce tuż przed nią. Nadjeżdżający samochód zapiszczał oponami, hamując gwałtownie, lecz Dan udał, że tego nie zauważa. Park pomyślała sobie, że to bez znaczenia, czy chłopak pochodzi z farmy czy z miasta, za kierownicą wszyscy są po jednych pieniądzach.

Dan przeprosił za spóźnienie, ponarzekał na wyprzedzą na rynkach azjatyckich, skomplementował jej wygląd, zapytał, jak się jej podoba w Chicago, nie czekając na odpowiedź, zaproponował, że pokaże jej, wszystkie miejsca warte obejrzenia, pogryzł dwa miętowe Cukierki i wreszcie zaprowadził ją do małej, osobliwej kafejki mieszczącej się na drugim piętrze pobliskiego domu towarowego.

Zamówiła cappuccino, nie wspominając na głos, że kawa w Chicago nie smakowała tak gorzko jak w Seattle, podczas gdy Dan zamówił szkocką dla siebie oraz na spółkę wielkie ciastko z karmelem. Zmiana nadeszła szybko. Skoro tylko odprężył się w fotelu i zaczął popijać Laphroaiga, zazwyczaj kipiący energią Dan jak gdyby złagodniał. Park czekała, by się odezwał, lecz Dan zdawał się bardziej niż kiedykolwiek milczący.

- To coś nowego, whisky i ciastko — powiedziała po chwili, próbując nawiązać rozmowę.
- Pewnie — mruknął odruchowo. Jej słowa prawie do niego nie dotarły. Dan wędrował w myślach. Park zastanawiała się, czy to dobry znak czy zły, i próbowała rozróżnić, czy rozmyślnie ją igno-



ruje, czy też jej obecność w połączeniu z Laphroaigiem tak dalece rozluźniła Dana, że po prostu zapadł w błogostan. Wjednej minucie wiskisa się na pełnym gazie w wolne miejsce przy krawężniku, a w następnej rozmarza się nad szklaneczką szkockiej. Czy naprawdę nie ma już normalnych ludzi? Nieoczekiwanie Dan zapytał:

— Zamierzasz osiedlić się w Chicago?

Na to pytanie Park nie była przygotowana. Powstrzymując pierwszą odpowiedź, jaka się jej nasunęła, zastanowiła się przez chwilę, zanim odrzekła:

— Dopiero co tu przyjechałam. Ale teraz kto wie.

Dan wciąż wydawał się bardzo odległy. Czy w ogóle usłyszał jej odpowiedź?

— Pamiętasz ten milenijny projekt, do którego mnie zwerbowa-  
no? — przypomniała mu. — Tę wielką tajemnicę w  
Baltimore? — Wzruszył ramionami, słuchając jej jednym  
uchem. — To miał być Zoom, ten nowy program  
konwertujący. Naprawdę coś dużego.

— Zoom? — powtórzył Dan. — Mhm...

— Nikt nie wie, co teraz będzie — powiedziała — po tym jak  
wczoraj umarł John Hector.

Słowo „umarł” wytrąciło Dana z zamyślenia.

— Umarł? — zapytał. — Hector? Najdroższy garnitur w Blue-  
starze nie żyje?

— Głuptasie, oni już nie chodzą w garniturach. Teraz w modzie  
są koszule golfowe. Ale wszystkimi to solidnie  
wstrząsnęło. Atak serca dopadł go w jego miejskim biurze,  
podczas wielkiego spotkania na szczycie z Hinnmem.

— Z Hinnmem łobuziakiem, facetem, który wozi osiemdzie-  
siąt miliardów w gimbusie? — zapytał Dan z  
niedowierzaniem. — Dwóch najpotężniejszych gigantów  
komputerowych na świecie spotyka się w jednym biurze i  
jeden z nich umiera? Gdzie o tym piszą? — zapytał,  
zabierając z sąsiedniego stolika „Chicago Tribune”.  
Pierwsza strona poświęcona była informacjom o  
problemach przy budowie autostrady, Bośni i terroryzmie  
na Bliskim Wschodzie. — Gdzie to jest?

-r- Tutaj — odparła Park, stukając w stronę poniżej zgięcia. — W gospodarce... „Prezes Bluestara umiera na atak serca”.

— Na sześćdziesiątej trzeciej stronie? — powiedział Dan. Otworzył gazetę na trzykolumnowej notatce na drugiej stronie działu gospodarczego. „Odejdźcie Hectora rzuca cień na wiarygodność Bluestara”.

— On jest zły — powiedziała strapiona Park, ściągając wargi.

— Hector? — zapytał Dan.

— Nie, Hinnom — odpowiedziała.

— Cóż, z tego słynie — przyznał Dan. — Wszyscy, od Departamentu Sprawiedliwości po Unię Europejską, próbują złamać monopol Hinnom Computing. Myślę, że jest mocniejszy od rządu. Mocniejszy od całego pęczka rządów.

— Nie, to nie jest tylko taki zwrot. On jest naprawdę zły. Wgłębi duszy.

— Utrzymujesz, że ma serce z czarnego śluzu? — zażartował Dan.

— Tak — przyznała. — W Seattle pracowałam zarówno dla Hectora, jak i dla Hinnoma.

Te słowa sprawiły, że czoło Dana przeszył elektryczny impuls. Zmrużył oczy, przechylił głowę, by lepiej słyszeć, w jego głosie zabrzmiała reporterska nuta. Kiedy Park wdała się w szczegóły, zamienił się w słuch.

— Wiem o paru sprawach — zaczęła z wahaniem. — Zwerbował mnie Bluestar. Prosto po szkole, w 1987 roku. Było nudno, dopóki Bluestar nie otworzył zorientowanego na Windgazera biura projektów w Lawrence, które miało ułatwić połączenie oprogramowania Bluestara z API Windgazera. To było wtedy, gdy Hector obwieścił, że Bluestar podłączy się do wszystkiego. Tuż po tym, jak akcje spadły w rejonach sześćdziesięciu. Hinnom wygrał wojnę desk topów i Bluestarowi groziło przejście na przymusową emeryturę, gdyby jego komputery i oprogramowanie nie były kompatybilne z produktami Hinnoma. Wciąż byłam jeszcze w pięknym Lawrence — kontynuowała — więc dołączyłam do zespołu. W 1991 roku, kiedy ruszaliśmy z projektem, nad Connect Blue, bo taka była jego nazwa kodowa, pracowało zaledwie jedenastu ludzi. Większość

przeniosła się z filii Bluestara w Austin i Hudson Valley. Staraliśmy się, by żadna wiadomość o nas nie przedostała się na łamy tygodników branżowych.

— Nie rozumiem — przerwał jej Dan. — Powiedz mi, czy to jest powiązane z...

— Wczoraj słuchałam cię przez okrągły dzień — odparła Park. — Daj mi wyjaśnić.

Dan nie sprzeciwił się.

— Po jakimś czasie — podjęła temat — w miarę jak Hinnom przejmował coraz większą część rynku pecetów, nasze biuro zaczęło się rozrastać. W 1993 roku, a może 94, mniej więcej wtedy, projekt Connect Blue liczył sobie ponad sześćdziesiąt pięć osób personelu i wiadomości o nim trafiły do Internetu. Tak więc nasza działalność została publicznie ujawniona. Hinnom nie cierpiał Connect Blue — opowiadała Park, wciąż nie mając pewności, czy mówi o tym komuś, komu może zaufać. — Próbował uchylać się od współpracy. Jego nienawiść do Bluestara jest nienormalna. Może dlatego, że to jedyna firma, której nie jest w stanie kupić, a może nadal nienawidzi ich za to, że w latach osiemdziesiątych, zanim wybił się na samodzielność, był tylko zwykłym programistą, realizującym zamówienia Bluestara w swoim garażu. Tak czy owak — ciągnęła dalej Park, teraz już z odrobinę większym przekonaniem — Bluestar zagroził wielkim pozwem antytrustowym, jeśli Hinnom nie udostępni programistom Blue'stara API, które umożliwiłyby połączenie z programami Blue'stara. Hinnom nie był wtedy tak mocny jak teraz. Niemniej jednak stawiał się ostro, ponieważ potrzebował zaledwie sześciu miesięcy vaporware'u, żeby Bluestar stracił realizowane przez Dział Technologii Federalnych kontrakty dla Federalnej Agencji Lotniczej, Pentagonu i kto wie kogo jeszcze z powodu braku kompatybilności, ponieważ wszystkie agencje rządowe przechodziły akurat na system operacyjny Hinnoma instalowany fabrycznie na nowych, szybszych komputerach. To oznaczało, że wszystkie programy Bluestara — wykorzystywane od lat — z dnia na dzień stałyby się bezużyteczne, wraz z wprowadzeniem nowych komputerów do eksploatacji.

Dan sprawiał wrażenie odrobinę zdeorientowanego.

— Vaporware — wyjaśniła Park — to promocja fantastycznego oprogramowania, które jeszcze nie istnieje albo jest jeszcze dalekie od trafiaenia na rynek. Dzięki tej taktyce powstrzymuje się ludzi przed kupowaniem u konkurencji. Instalacja fabryczna oznacza oprogramowanie instalowane na nowych komputerach przez ich producenta. Mogę mówić dalej?

Nie czekając na odpowiedź, kontynuowała:

— W nocy poprzedzającej złożenie przez Bluestara pozwów na całym świecie, wystąpienie o nakazy sądowe i tym podobne, wypracowano kompromis. Bluestar otrzymywał te same ułatwienia co wszyscy inni producenci oprogramowania, ale Connect Blue musiał przenieść się do niepozornego biura na kampusie Hinnoma w Seattle. Ze względów bezpieczeństwa, jak nam powiedziano. Innymi słowy, wprowadzić się, płacić czynsz, nawet łączyć wszystkie rozmowy przez główną centralę Hinnoma.

Park zniżyła głos.

- Wszyscy w Connect Blue podejrzewali, że telefony roją się od pluskiew, więc komunikowaliśmy się z Bluestarem przez komórki. Nawet pizzę zamawialiśmy tylko w ten sposób. Trwało to może z dwa tygodnie, a potem w naszym biurze coś zaczęło zagłuszać sygnał sieci, i było po komórkach. Panowała tam niezwykle duszna atmosfera.
- A twój syn, Sal... — wtrącił Dan.
- Poczekaj, opowiadam o Hinnomie. Słuchaj dalej — przerwała mu Park. — Niełatwo mi o tym mówić. Jakies cztery miesiące temu, kiedy bossowie Bluestara zorientowali się, że prezydencka Komisja Roku Dwutysięcznego w Miami niczego nie zwojuje, biuro Connect Blue zaczęło pracować pełną parą nad tym problemem. Ja kierowałam zespołem. Któregoś dnia człowiek od Hinnoma, Linzer — dziwny facet, nikt zbyt wiele o nim nie wie — wchodzi do biura Connect i mówi, że Hinnom przygotowuje lepsze rozwiązanie i jest gotów potrząsnąć sakiewką.
- Sakiewką?
- Linzer powiedział, że wszystkie pensje zostaną z miejsca potrojone, bez zbędnych pytań, a jeśli od razu się zdecydujemy i Hin-

nom osiągnięciem terminowość, dostaniemy premię w wysokości miesięcznej pensji za każdy cały miesiąc przepracowany u Hinnoma, do tego wolne od podatku dziesięć tysięcy w prezencie — tyle możemy dostać według prawa — i drugi podobny prezent dla wskazanego przez nas członka rodziny. Innymi słowy, dwadzieścia tysięcy dolarów.

— Ładna premia motywacyjna — skomentował Dan.

— W tej branży wszystko jest możliwe — przyznała Park.

— Widywałam już firmowe samochody, szkoły, wynajętych przez

firmę facetów do wyprowadzania pieska. A nawet jednego gościa, który zabrał całą firmę do Disneylandu w nagrodę za terminowość. Uwierz mi, łowcy głów z Krzemowej Doliny w sobotnie wieczory patrolują bary dla homoseksualistów i sale bilardowe w poszukiwaniu towaru. Ale potrójnie pensji było czymś niespotykanym nawet dla nas.

— Przypomnij mi raz jeszcze, o co chodzi z tą terminowością — poprosił Dan.

— To oficjalna data wprowadzenia nowego produktu na rynek, dzień, w którym staje się powszechnie dostępny — wyjaśniła. — A API to skrót od Application Program Interface, czyli złącza programowe aplikacji, w slangu komputerowców określenie na kompatybilność między systemem operacyjnym a oprogramowaniem. Jasne?

— Jasne. Czyli zaczęłaś pracować dla Hinnoma?

— Jak wszyscy. Nikt nie zareagował natychmiast. Nikt nawet nie chciał o tym rozmawiać. Zupełnie jakby ludzie zostali w mgnieniu oka skorumpowani i nikt nie chciał nawet patrzeć pozostałym w oczy ze wstydu. W porze lunchu zaczęły się szeptane rozmowy przez telefon. A po paru dniach wszyscy byliśmy już pracownikami Hinnoma. Z wyjątkiem kilku ludzi, którzy stwierdzili, że nie będą pracować dla niego za żadne pieniądze. A ja? Mój syn właśnie kończył liceum — stwierdziła, jak gdyby usiłując wytłumaczyć swoją decyzję. — Udało mi się odłożyć zaledwie parę groszy na college. Przyjęłam tę ofertę. Przyznaję się. Dla pieniędzy. Connect Blue zwinął interes, a my wszyscy przenieśliśmy się do

budynku szóstego. Gdzie, nawiasem mówiąc, ma swoje biuro Ben Bandzior.

Park wiedziała, na czym polega odpowiedzialność, obowiązek utrzymywania innych. Kiedy plony były kiepskie, jej ojciec pracował po nocach na stacji benzynowej, a potem jako stróż w przerośniętym warzywniaku, który w miasteczku uchodził za supermarket, a nawet przez trzy tygodnie w kostnicy w sąsiednim hrabstwie, dopóki koszmary nie zmusiły go do odejścia. Kiedy człowiek wychowuje się na farmie, żyje między chudą pszenicą a tłustym długiem, w społeczności, w której bankierzy są przyjaciółmi o smutnych twarzach niczym oprawcy z góry błagający o wybaczenie, pod niebem, z którego pomiędzy błogosławieństwami spływają klątwy, a czasami na odwrót. Nawet w rolniczej społeczności, gdzie jedzenie wysiewano, uprawiano, zbierano, składowano i sprzedawano w obfitości na cały świat, przerażająco łatwo było poznać smak głodu. Park przyjęła ofertę Hinnoma. Nie trzeba przeproszać.

- Chcesz wina? — zapytał Dan. Skinął na kelnerkę, wskazał na chablis z karty, a potem zmienił zamówienie na chardonnay. — No to co się stało? Jak trafiłaś do Chicago?
- Do tego nie zdążyliśmy dojść między twoimi kazaniami na temat Dalego — westchnęła Park. — Nie miałam pojęcia, jaki z tego Hinnoma śliski piskorz. Było ciężko. Nic, tylko opowiadano o jego taktyce. Jeżeli spodobał mu się, powiedzmy, jakiś mały, niewinny PIM — to Personal Information Manager, Menedżer Informacji Osobistych, no, wiesz, kalendarz i książka adresowa w jednym — składał autorom przyzwoitą propozycję. Ci przesyłali mu wszystkie swoje plany kampanii promocyjnej, licząc na wielki interes. Tylko że on wcale nie chciał tego kupić, ajedynie uzyskać tajne szczegóły. Potem przychodził do działu oprogramowania i zlecał nam skopiowanie ich produktu z kilkoma kosmetycznymi zmianami. Buch, kradnie PIM-a i robi wokół niego nieziemskie zamieszanie na rynku. Tak właśnie wyglądało z Windgazerem Daily. Pamiętam jednego faceta z New Hampshire — przypomniła sobie — no, wiesz, tacy autorzy są zwykle zamkniętymi w sobie socjopatami z ciężko szwankującym radarem. Zdarzyło mu się skrzyżować ostrza z Benem

Bandziorem. Facet wymyślił fajną czcionkę — nic specjalnego — Hinnomowi spodobał się krój liter, zwłaszcza H i układ wydłużeń. Jajogłowy nie chciał jej sprzedać, bo Hinnom chciał zmienić jej nazwę na „He-Man”. Nie pytaj mnie dlaczego. Ten jajogłowiec nazywał się Johnny coś tam... może John... John Colliton. Zgadza się, czcionka nazywała się ColliFont. Niewiele, ale Colliton nie miał nic więcej oprócz niej. Negocjacje zakończyły się fiaskiem. Hinnom wytoczył mu proces w Seattle za niedotrzymanie umowy czy negocjacje w złej wierze — nieważne. Biedny jajogłowiec nie miał prawnika w Seattle, nie chciał uwierzyć, że coś takiego może się dziać w podobno demokratycznym kraju, i natychmiast Colliton zostaje skazany w trybie zaocznym, a Hinnomowi przysądzone wielkie odszkodowanie.

— Jak duże? — przerwał Dan.

— Wielkie — odparła. — Milion, dwa miliony, dużo. Hinnom przejął firmę, wyeksmitował tego Collitona z jego własnego biura — w środku tej wielkiej zamieci śnieżnej w New Hampshire parę lat temu — wziął jego czcionkę i nazwał ją „He-Man”. A na domiar tego, Hinnom posłał Collitonowi odręczny list, żeby mu ostatecznie dokopać, coś w rodzaju „Bardzo mi przykro, że do tego doszło”. Cały napisany „He-Manem”, z tymi nietypowymi H i całą resztą. Nawet logo Hinnoma w nagłówku wydrukowane było tą czcionką — a ono jest święte, wtedy zmienili je jeden jedyny raz. Colliton opublikował „dobijający” list Hinnoma w Internecie, by pokazać światu, do czego ten sukinsyn jest zdolny. Właściwie to stało się częścią legendy Hinnoma. A wszystko dlatego, że Hinnomowi spodobał się układ wydłużeń w literze H.

— Zrujnował człowieka dla litery H? — zapytał Dan z niedowierzaniem.

— Zgadza się. Ile może dla kogoś być warta jedna litera?

— Zależy, co ona oznacza dla tego człowieka — odparł Dan. — Ale ta historia, o gościu od czcionek, trafiła do gazet. Nawet ja o tym gdzieś czytałem. Czyli musiałaś o tym wiedzieć, zanim zaczęłaś pracować dla Hinnom Computing. Dlaczego więc odeszłaś?

Oczy Park zaszklily się łzami.

Dan, bazując na wieloletnim doświadczeniu, niczego nie mówił, by przeciągające się milczenie wyciągnęło z niej odpowiedź.

Rozejrzawszy się dookoła, by przekonać się, czy nikt nie podsłuchuje, powoli wyjawiała przed nim całą sprawę.

- Któregoś dnia dostałam e-mail, wiadomość przeznaczoną dla Bena Bandziora — wspominała Park. — Zabezpieczenia w Hin-nomie były bardzo rygorystyczne. Nikomu nie wolno było posiadać normalnego adresu, takiego jak na przykład dlevin@hinnom.com. Nic z tych rzeczy. Zamiast tego wszyscy mieliśmy przypisane adresy za ścianą ogniową. Każdego dnia komputer na chybił trafił przydzielał nam inny numeryczny alias. Wysyłanie wiadomości wymagało trochę zachodu. Trzeba było połączyć się z bazą adresową Hinnoma, odświeżaną każdego dnia rano, i wybrać nazwisko; pojawiał się aktualny numeryczny alias, który należało wpisać w polu adresowym. Zrozumiałe? W czwartek mogłam być H351, a w piątek H649. Komunikowanie się przez pocztę elektroniczną było nieco paranoiczne. A żeby uniemożliwić ludziom nękanie go niepożądanymi listami, Hinnom skonfigurował dla siebie tajny adres, do którego dostęp miało tylko paru pracowników. Ale rotacja numerycznych aliasów obowiązywała go tak samo jak wszystkich. Któregoś dnia — zawahała się — ..nie mogę ci tego powiedzieć.
- Pewnie, że możesz — nacisnął ją łagodnie Dan. — Po prostu powiedz.
- Przez cały dzień dostawałam e-maile przeznaczone dla Hinnoma — powiedziała Park. — Trafiały do mojej skrzynki. Wielu ludzi miało wtedy spieprzoną konfigurację poczty elektronicznej, bo serwer wyłączył się podczas przerwy w dostawie prądu, a UPS jak zwykle nie wytrzymało wystarczająco długo.
- United Parcel Service?
- Uninterruptable Power Supply — wielkie baterie podłączone do każdego komputera — poprawiła go Park. — Większość listów była wstrętnym śmieciem, sprawozdaniami finansowymi i przypomnieniami o spotkaniach od kierowników działów. Wszystko kasowałam, bo nie chciałam figurować jako osoba rozsyłająca pocztę Bena. Ale jeden e-mail był... —Umilkła.



- Mów dalej.
- Jeden był od Linzera, wysłany z jego przenośnego Windy'ego, zanim dowiedział się o problemach z serwerem poczty elektronicznej. — Wyciągnęła z torebki kalendarz, przewróciła kilka stron i znalazła właściwy dzień. — Brzmiał tak: „Nasz niezwykle pobożny lekarz sądowy, pan Torres, odkryje jutro rano, że jego starożytny, DOSolubny 486 złapał wirusa. Wszystkie pliki dotyczące tej suki Rosie będą uszkodzone i nie do odzyskania". Widzisz, zapisałam go sobie — powiedziała, kontynuując rozdygotanym głosem. — Myślę... myślę... że Linzer albo Ben mogli być zamieszani w śmierć Rosie.
- Rosie?
- Rosie była kochaną kobietą — wyjaśniła Park. — Nikt nie miał pojęcia, jakim cudem taka kochana i nieskomplikowana osoba, klasyczna czarna babcia, została sekretarką Hinnoma. Po prostu któregoś dnia zwerbował ją jeden z personalnych po odejściu poprzedniej dziewczyny Hinnoma. Rosie nigdy nie zdołała wykształcić w sobie mentalności Hinnoma. Zawsze trzymała na biurku paterę ze świeżymi jabłkami i traktowała wszystkich z nieudawaną przyjaźnią. Pracownicy uwielbiali ją, na walentynki zawsze dostawała kwiaty. Raz zrobiliśmy zrzutkę i zafundowaliśmy jej dzień dla urody w salonie Miguela. Była zachwycona, wróciła do pracy z bajerancką fryzurą i profesjonalnym makijażem. Była taka miła — i na swój sposób sprawiała, że Hinnom wydawał się mniej nieznośny tym z nas, którzy pracowali w budynku szóstym. Pewnego dnia pokłóciła się o coś z Hinnomem. Nikt nie wie, o co poszło.
- Rzuć parę szczegółów — naciskał Dan. — Zobaczyła coś. Molestował ją? Zniewazył?
- Szkoda czasu na zastanawianie się — zapewniła go Park. — Wszyscy łamaliśmy sobie nad tym głowy. Nikt nie zdołał dociec prawdy. Wiedzieliśmy jedynie, że któregoś dnia złożyła wymówienie, a po pięciu minutach wyszła, niosąc w kartonie wszystkie swoje rzeczy i zdjęcia z biurka, z misą jabłek na samym wierzchu. Kiedy mijała mnie w korytarzu, pocałowała mnie, pocałowała mnie cała

we łzach. Tego samego dnia rozniosła się wieść, że Rosie popełniła samobójstwo. Niejasne było tylko to — nie dało się tego do końca ustalić — czy to prawda, że tuż przedtem spotkała się w swoim mieszkaniu z Hinnomem, podobno, by się pogodzić. Jakiś sąsiad utrzymywał, że widział przed domem gimbusa Bena Bandziora. Inny facet stwierdził, że to był po prostu gminny gimbus. Kto wie? Kto chciałby wiedzieć? Przez parę dni przez firmę przetaczała się szep-tana fala uderzeniowa. Potem lekarz sądowy — ten Torres — oznaj-mił, że wyniki autopsji nie wskazywały na samobójstwo, lecz trzeba przeprowadzić dalsze badania.

- Prawo wymaga autopsji w każdym przypadku gwałtownej śmierci — wtrącił Dan.
- Dokładnie — ciągnęła dalej. — Nadchodzi dzień problemów z serwerem. I dostaję wiadomość od Linzera przeznaczoną dla Bena. Następnego dnia, a jakże, Torres wystąpił w lokalnych wiadomościach i stwierdził, że badania nie przyniosły jednoznacznych wyników wskutek problemów technicznych.

Pochyliła się w stronę Dana.

— Myślę, że jego komputer i może także inny sprzęt zostały rozmyślnie uszkodzone. Stracił wszystkie dane i nie dało się ich odtworzyć. Tylko tyle się dowiedzieliśmy. Koniec bajki. Wszystko zostało wyciszzone i nikt nie chciał nawet o tym wspominać. Hinnom Computing to poważny pracodawca w Seattle. Około piętnastu tysięcy ludzi, z których żaden nie ma ochoty narażać się Hinnomowi.

Dan pokiwał palcem wskazującym, nie ustępując.

- Nie, nie. Samobójstwa w wielkiej korporacji nie da się wyci-szyć. Co było dalej?
- Oczywiście, że się da — nie zgodziła się Park. — W Blue-starze było to na porządku dziennym. Kariera w Bluestarze oznaczała kiedyś stałą pracę na całe życie. Kiedy parę lat temu Bluestar rozpoczął pierwsze w swej historii masowe zwolnienia w Hudson Valley, kierownicy średniego szczebla kończyli z sobą w niewiarygodnym tempie. Osiemnaście w jednym roku, o ile mnie pamięć nie myli. Po dwudziestu latach pracy, bez emerytury i perspektyw, wielu

z nich wpadało w czarną rozpacz. Wszystkie te samobójstwa zostały wyciszone. W wielkich firmach to normalna praktyka. Sam zobacz, nawet śmierć Hectora załapała się zaledwie na parę linii w dziale gospodarczym.

— I myślisz, że Hinnom albo Linzer mogli maczać palce w śmierci Rosie? — zapytał Dan z niedowierzaniem.

— Dlatego odeszłam — powiedziała Park, odwracając wzrok. — Nie mogłam już tam wytrzymać. Po prostu musiałam odejść i przyjąć propozycję pracy tutaj, w Derek Institute. Nigdy przedtem nawet o nim nie słyszałam. Ale rozpaczliwie zależało mi na tym, żeby się stamtąd wyrwać. Dlatego się zgodziłam. Nikt — oprócz Sala i ciebie — nie wie o tym e-mailu. I mam nadzieję, że zachowasz to dla siebie.

Dan oparł podbródek o splecione dłonie.

— Myślisz, że atak serca w biurze Hectora stanowił powtórkę z Rosie?

Park przygryzła wargę i skinęła głową.

— Staram się nad tym za bardzo nie zastanawiać.

— Dosyć trudno w to uwierzyć — przyznał Dan urywanym głosem — ale też mi się wydaje, że coś tu nieładnie pachnie. Co mogłoby pchać tego człowieka ku kontrolowaniu i manipulowaniu wszystkim, co mu wpadnie w ręce, i to z taką zawziętością?

Park wzruszyła ramionami.

— Jak na razie nikt tego nie rozgryzł. Osobiście podejrzewam, że facet miał poważny problem z rodzicami. Naprawdę poważny. Ma kompletnie pomieszane w głowie.

— Czyli że matka nie przyuczyła go do nocnika jak należy? — zakpił Dan.

— Nie matka, ojciec.

— Ojciec?

— Niewątpliwie. Wraz z e-mailami do Bena Bandziora dostawałam też jego emteemy.

— Czyli?

— *Memos to myself*, notatki ku pamięci — wyjaśniła. •— Wielu ludzi Hinnoma wysyłało sobie elektroniczne przypomnienia, wykorzystując budzik wbudowany w Windgazera. To taki graficzny sy-

stem przesyłania wiadomości, więc można po prostu wysłać sobie parę na zakończenie pracy, tak by zostały doręczone następnego dnia rano jako przypomnienie. Więc Hinnom słynął ze swoich emteemów. A one trafiały do mnie, bo przez cały dzień otrzymywałam jego pocztę. Pracowałam wtedy do późna, była może jedenasta, a tu nagle w mojej skrzynce pojawia się jego emteem. Klikam na niego i widzę ciąg dwudziestu trzech pozornie przypadkowych liter. Jestem przekonana, że to jedno z jego dziwacznych, przypadkowo wygenerowanych komputerowo haseł, więc nie chcę mieć z nim nic wspólnego. Kasuję. Ale najpierw wszystko sobie zapisałam. Sam zobacz.

Otworzyła odpowiednią stronę w kalendarzu i napisała na serwetce:

yzcabywimceicjojomydeik

— I co to ma znaczyć? — zapytał Dan

Podniosła serwetkę do światła, tak że litery przebijały na drugą stronę i wskazała palcem.

— To naprawdę proste. Spójrz na te pięć liter, pięć od końca.

— K-I-E-D-Y — przeliterował Dan.

— To wskazało mi właściwą drogę — przytaknęła podniecona.

— Podział na słowa był dziecinnie łatwy. Czytana od końca całość brzmi: „Kiedy mój ojciec mi wybaczy”.

Usta Dana otwarły się odrobinę. Na moment zatkało go zupełnie.

— Powiedz to jeszcze raz.

— „Kiedy mój ojciec mi wybaczy” — powtórzyła. — A kiedy skasowałam tę wiadomość, okazało się, że przychodzi jedna za drugą

— co minuta przez jakieś czterdzieści minut, prawie do północy. Kasowałam każdego kolejnego emteema, lecz Hinnom nieprzerwa nie pytał „kiedy mój ojciec mi wybaczy”.

Dan dokończył swego Laphroaiga jednym łykiem, czego nigdy nie robił.

— Będę o tym pamiętał. Chodźmy już. Podrzucę cię do domu. Ale co powiesz na kolację? Zgoda? — Zwinął serwetkę i zabrał ze sobą.

Dan wysiadł z del sola. Zaparkował w jednej z zatok przed Tribune. „Wszystko w porządku, Chokky?” — zapytał korpulentnego policjanta, który od dziesięcioleci strzegł tego miejsca, pilnując, by wyłącznie właściwi ludzie parkowali nielegalnie przed Tribune. Chokky zawsze pozytywnie reagował na okazywany mu szacunek — to należało do protokołu — więc skinieniem ręki wskazał Dano-wi, gdzie ma zaparkować.

Jak zawsze, wchodząc do Tribune Tower, Dan spojrzął w górę, podziwiając dziwaczne, pseudogotyckie mury budynku, zbyt szczerze ozdobione z punktu widzenia architekta, wysadzone słynnymi kamieniami i okruchami skał z tak olbrzymich budowli jak Kreml, Wielki Mur Chiński czy katedra Notre Dame. Kiedy Chicago było jeszcze miastem czterech dzienników, kiedy reporterzy ubierali się beznadziejnie i pisali wyśmienicie, „Tribune” znana była jako „szary duch”, gazeta traktująca swoją doskonałość z tak wielką arogancją, że wymyślała własne słownictwo. „Through” i „though” pisane były „thru” i „tho” dla oszczędności miejsca. Lecz z czasem pozostająca w rękach konserwatystów „Tribune” zaczęła używać kolorowej farby drukarskiej, kupiła Cubsów, weszła na giełdę, wypączkowała z siebie radio WGN — co jest skrótem od *Worlds Greatest Newspaper*, Najwspanialsza Gazeta Świata — i zarzuciła swe słownictwo. Po wyremontowaniu siedzib działów gazeta stała się bardziej korporacyjna niż kiedykolwiek. „Tribune” — to, co robili i czego nie robili jej dziennikarze — wciąż wyznaczała standardy dla wszystkich czasopism i innych publikacji w Chicago i wszystkich stanach graniczących z Illinois.

Zatrzymał się przy recepcji.

— Dan Levin do Raya Magisa.

Niebotycznie otłuszczony strażnik, o fałdach na szyi wylewających się na kołnierz, zadzwonił do Magisa. Po chwili powiedział:

— Automatyczna sekretarka. Oczekuje pana?

— Nie bardzo — odparł cicho Dan — ale dobrze się znamy. Może pan spróbować bezpośredniego połączenia, a nie przez jego dział?

Strażnik odparł z beznamiętnym wyrazem twarzy:

— Jeśli nie jest pan umówiony, mogę jedynie zostawić mu wiadomość na sekretarce w jego dziale. Chce pan, żebym to zrobił?

— Nie, dzięki — odpowiedział Dan. — Sam do niego zadzwonię.

Podszedł do wewnętrznych telefonów umocowanych na jednej ze ścian i poprosił telefonistkę o połączenie z „bezpośrednim numerem Raya Magisa”. W słuchawce usłyszał automatyczną sekretarkę działu.

Rozłączył się i spróbował z kolejnego telefonu, łącząc się z inną telefonistką.

— Proszę z Działem Należności. — Telefon odebrał pracownik działu. — Proszę z Rayem Magisem... Och, znowu źle mnie połączyli? Proszę podać mi jego numer, a sam sobie wybiorę... Nie, nie

z jego działem, bezpośredni... Dzięki.

Raz jeszcze wywołał centralę.

— 3231 proszę.

Odebrał Magis.

— Ray, tu Dan Levin... Dobrze. Świetnie. Posłuchaj, musimy o czymś pogadać... Przyszły tydzień mi nie odpowiada. Akurat jestem na dole. Mogę wpaść?... Parę minut wystarczy. Świetnie.

Po paru chwilach strażnik odebrał dzwoniący telefon i rozejrzał się za Danem. Dan podszedł do niego i przywitał się niewinnie. Strażnik nonszalancko wręczył mu przyklejany identyfikator. Dan przykleił go na spodniach tuż nad kieszenią, w stałym miejscu dla takich naklejek.

Sala konferencyjna miała szklane ściany, na jednej z szyb widniały wypisane matowymi literami nazwiska licznych zdobywców Pulitzera, którzy pisali dla „Tribune”. Recepcjonista wprowadził Dana do środka, gdzie nastawił się na spokojne oczekiwanie. W pomieszczeniach „Tribune” zawsze czekał spokojnie i mówił spokojnym tonem. Podobne przejawy dobrego wychowania były dla Dana czymś nienaturalnym w pomieszczeniach tak bardzo związanych z żurnalizmem. Spodziewał się, że powinien się zachowywać i wysławiać jak dziennikarze z ulic Chicago, z którymi pracował przez wiele lat — zwłaszcza reporterzy, którzy przesiadywali w barach

i zabawiali się rzutkami; którzy definiowali reportera jako faceta, który myśli jak przestępca, a zachowuje się jak gliniarz; którzy nienawidzili wydawców do chwili, kiedy sami zostawali wydawcami, a wtedy uczyli się żyć w atmosferze powszechnej nienawiści; którzy wyśmiewali się z absolwentów szkół dziennikarskich i prezenterów telewizyjnych; którzy pomiatali nowymi rekrutami i strzegli starych źródeł niczym drogocennych kosztowności. Dan przystosował się niechętnie do zgrzeczenia „Tribune”, lecz przyszło mu to z trudem.

Magis wmaszerował do środka, przesuwając druciane okulary z powrotem na zaczerwienione wgłębienie na nosie. Znał Dana z dawnych lat, kiedy cztery dzienniki konkurowały ze sobą siedem razy dziennie i nic nie było ważniejsze od gorącego tematu, z czasów, gdy gazety posuwały się do prowokacji, by zdemaskować przekupnych urzędników, a reporterzy przebierali się za kogo się dało, byle tylko zdobyć upragnione informacje, kiedy praca pod przykryciem oznaczała nie ukrytą kamerę w teczce producenta telewizyjnego, a spojrzenie w lufę o kalibrze .375 w razie wpadki. Lecz Magis był teraz garniturem zasiadającym w sali konferencyjnej, która wyglądała jak żywcem przeniesiona z banku. Kołnierzyk jego koszuli był zbyt ciasno zapięty, a jedna skarpetka zsunęła się tak nisko, że odsłoniła ślad na skórze od elastycznego ściągacza.

— Co porabiałeś, Dan? — zapytał Magis niskim głosem, wylewnie ściskając jego dłoń. — Słyszeliśmy o tym, co stało się w Nowy Rok. Współczuję. To musiało być straszne.

— Już doszedłem do siebie — odparł Dan. — Dzięki, że się tym przejmujesz. Posłuchaj, mam kawałek, który nadawałby się w sam raz do „Tribune”.

Teraz pora na prezentację towaru: dwa, trzy zwięzłe zdania, mające na celu sprzedanie tematu, w slangu określane mianem zapytania, które powinny wzbudzić zainteresowanie wydawcy takiego jak Magis. Jeżeli te kilka zdań go nie przekona, nastąpi uprzejmy taniec odmowy, odrzucający zapytanie.

— Może słyszałeś o wczorajszej śmierci prezesa Bluestara, Joh na Hectora — powiedział Dan tonem prelegenta. — Hector odbywał

wtedy zamknięte, bardzo delikatne spotkanie z panem Hinnomem. Podobno umarł na atak serca, ale pojawiły się sugestie, że w grę mogło wchodzić... myślę, że „nieczyste zagranie" jest tu najlepszym określeniem.

Magis wyglądał na oszołomionego. Jego dni wrodzonej dziennikarskiej podejrzliwości dobiegły końca dawno temu, tuż po przeprowadzce na przedmieścia, tak by jego dzieci mogły chodzić do lepszej szkoły, a żona mogła jeździć, a nie chodzić po zakupy.

- Nieczyste zagranie? — skrzywił się.
- Zgadza się — potwierdził Dan, dodając cichym, monotonnym głosem: — Dowiedziałem się o tym dopiero dwie godziny temu. Wygląda na to, że Ben Hinnom, i tak słynący z zagrań poniżej pasa w kontaktach z konkurencją, mógł być też zamieszany w podobny zgon, a przynajmniej w jeszcze jeden podejrzany zgon, na początku tego roku. Ja przynajmniej widzę w tym pewną regularność.
- A odkąd to śmierć Hectorajest „podejrzana"? Miał atak serca — skontrolował Magis, podnosząc „Tribune" i otwierając ją na dziale gospodarczym. — Trzeci atak serca, tak tu napisali.
- Nie dysponuję jeszcze wszystkimi faktami — naciskał Dan niczym wytrawny sprzedawca. — Ale, jak już powiedziałem, znalazłem źródło z bezpośrednim dostępem do informacji i dowiedziałem się o wszystkim niecałe dwie godziny temu. Od razu tu przyszedłem. Uważam, że warto przyjrzeć się tej sprawie z bliska. Jeśli nic z tego nie wyjdzie, to nie wyjdzie. Ale mój informator zapewnia mnie, że to może być jedna z największych bomb tego roku. Hinnom ma brudne ręce. Po prostu nie wiemy, jak bardzo. Jeśli da się z tego zrobić materiał, chciałbym, by „Tribune" przy tym była.
- Brzmi to odrobinę naciąganie, Dan — powiedział Magis z subtelnym pobłażaniem w głosie. — Nawet gdyby było w tym coś konkretnego, to temat dla działu miejskiego, a gazeta nigdy nie pozwoliłaby komuś z zewnątrz na napisanie reportażu.
- Ja tak robiłem. Co się zmieniło? — zapytał Dan.
- Dwadzieścia lat — odparł Magis zadowolonym z siebie, lecz przyciszonym głosem.
- Zależy mi na tym, Ray — powiedział Dan, starając się do



niego dotrzeć. — Od lat nie brałem się za reportaż dla gazety. Potrzebuję tego, chłopie.

— A po co, skoro jesteś uznanym wydawcą? — zapytał Magis niemalże uszczypliwie. — Sprzedałeś swoje czasopisma za grube miliony...

— ..może nie wdawajmy się w szczegóły... — przerwał mu Dan.

— ..Ale nie potrzebujesz tych pieniędzy — dokończył Magis.

— Masz dosyć podpisów pod artykułami i nagród, by wytapetować sobie łazienkę. Słyszałem, że nadal trzymasz swojego Pulitzera na muszli od klopa. Twój materiał o Hinnomie wygląda na strzał w ciemno i potrzebuję czegoś więcej oprócz twoich przeczuć, nie zidentyfikowanych informatorów i ich „sugestii”, by w ogóle pójść z tym wyżej. Nic z tego nie będzie — zakończył Magis. — Jeśli sądzisz, że Hinnom ma brudne ręce — zapomnijmy o śmierci Hectora — znajdź dowody i napisz prowokujący kawałek do działu „Perspektywy”. Analizę do gospodarczego. Profil do „Sunday Magazine”. Poopowiadaj o prawodawstwie antytrustowym, o wykańczeniu konkurencji. Ale nieczysta gra w związku ze śmiercią Hectora? Potrzebowałbym skinięcia głową z góry, by w ogóle zacząć marnować nasz czas na temat zalutujący morderstwem wśród prezesów największych firm. Nie trwałoby długo, zanim szefostwo nie •ustrzeliłoby nas za trwonienie środków na głupoty.

— Chcesz przez to powiedzieć, że niechęć do podejmowania tego tematu płynie z góry? — zapytał Dan, wciąż spokojnie, lecz z jadem w głosie.

Magis nie zareagował na tę uwagę.

— Mogę ci tylko powiedzieć, jak się sprawy mają. Wykorzystujemy materiały od naszych reporterów, odpowiedzialnych i odpowiadających przed gazetą, nie od wolnych strzelców. Idź z tym na drugą stronę ulicy. Oni wykorzystują wolnych strzelców.

— Wiesz, że nie pracuję po drugiej stronie ulicy — odparł Dan.

— Ale publikowałem teksty, obsypywane nagrodami, w tej gazecie

i niemal wszystkich innych dziennikach, periodykach i wydawnictwach elektronicznych w tym mieście. — Przechodząc do obrony, zaczął je wyliczać: — Taksówki?

- Dobry kawałek. Bez dwóch zdań — odparł Magis. — Rozbiłeś monopol taryfiarzy. Zaglądałeś w lufę trzydziestki piątki. Znam tę historię, byłem przy tym.
- Agencje zatrudnienia?
- Dobra robota — przyznał bez **oporu** Magis. — Pod przykryciem. Pełna ława oskarżonych.
- Senator Steve? Najbardziej wpływowy człowiek w Senacie — przypomniał mu Dan — przepuszczający Bóg jeden wie ile milionów przez swoje firmy budowlane na południu stanu? Ustrzeliłem go praktycznie w pojedynkę, podczas gdy wszystkie liczące się media zajmowały się inwazją w Panamie. Ray?
- Wielki skalp — przyznał Magis ze śladowym zniecierpliwieniem. — Oficjalna nagana senacka, akt oskarżenia, rezygnacja, nie musisz mnie przekonywać, Dan.
- Afera ubezpieczeniowa, na miłość Boską — powiedział Dan, zaciskając dłonie na stole. — Dwunastu prawników za kratkami, *America's Most Wanted* i nagroda Stowarzyszenia Reporterów i Wydawców. Byłem sam jeden. Ci goście grozili mi śmiercią. Byłem sam i załatwiłem ich wszystkich. Dlatego pytam: czy stare, dobre dziennikarstwo umarło w tym mieście i zajmuje się wyłącznie seksem w polityce i skandalami z finansowaniem kampanii wyborczych? — naciskał Dan, wciąż z wysiłkiem powstrzymując się przed podniesieniem głosu. — Mam tu potencjalną bombę, Ray. Prawdziwą bombę.
- Napisz analityczny kawałek na osiemset słów — zaproponował Magis, idąc na kompromis. — Zapomnij o śledztwie. Jeśli masz coś konkretnego o śmierci Hectora, przekaz to chłopakom z miejskiego. Któryś z naszych reporterów zbada sprawę, zweryfikuje i w pierwszych trzech paragrafach wymieni twoje nazwisko. Masz na to moje słowo. Zapłacimy ci grzecznościowe wynagrodzenie z czystego szacunku.
- W trzech pierwszych paragrafach? — odciął Dan, z trudem skrywając zrytowanie. — Ray, pamiętam, jak we dwóch wyszliśmy z biura radnego Marzanty z dokumentami schowanymi pod koszulą, jak mocowaliśmy się z kopiarką, by zdobyć materiały o aferze

taksówkarskiej. Pamiętam faceta, który znokautował wydawcę działu miejskiego, bo nie podobała ci się jego opinia o twoim wstępie do artykułu.

— Już nie wynoszę dokumentów z urzędów państwowych — odparł skromnie Magis — a uderzenie wydawcy uważam za nieroztropność. Wybaczone mi. Nikt już tu tego nawet nie pamięta.

— A ja tak.

— A ja pamiętam czasy, kiedy nie miałeś garnituru i nosiłeś zbyt wąskie krawaty — zrewanżował mu się Magis. — Wyrobiłeś sobie wtedy markę jako młody, niezależny reporter. Zgoda. Najmłodszy facet, który załapał się na podpis pod poważnym artykułem w „Tri-bune” albo „Timesie”. Miałeś osiemnaście lat, a może siedemnaście. Zgoda. Napisałeś głośną książkę, tę o holocauście. Zgoda. Przez miesiąc co wieczór pokazywali cię w telewizji. Pisali o tobie w kolumnach towarzyskich. „Chicago Monthly”. Pięknie. Dziennikarz i jego krucjata. Upadające brukowe czasopismo. Korespondent zagraniczny. Izrael, Liban. Nagroda Pulitzera. Zgoda. Ale co było potem?

— To znaczy? — odpowiedział pytaniem Dan.

— Ty mi powiedz — odparł Magis, także starając się nie podnosić głosu. — Chyba zostałeś wielkim wydawcą. „Brain”, nie?

— Masz coś przeciwko mózgom? — zapytał obronnym tonem Dan.

— Nie, jeśli robi się z nich właściwy użytek — stwierdził Magis. — Lécz ty wykorzystasteś swój, by zostać wydawcą od wszystkiego. Porady, medycyna, szmatławce dla portów lotniczych. I takim cię widzimy.

— Przeszkadza ci sukces? — zapytał Dan.

Na moment Dan zmrugał oczy i zacisnął dłoń w pięść. *Jego nowo narodzony syn otworzył oczy pierwszy raz, ten najważniejszy, i oczy Dana także się otworzyły, jak gdyby po raz pierwszy, najważniejszy. Dziecko miało dopiero niespełną minutę, wyciągnęło rączkę i dotknęło brody Dana w swej pierwszej czynności po przyjściu na świat. Lekarze, pielęgniarki i sama izba porodowa, nawet Jenny skąpiana we własnym pocie i łzach zniknęły za mgłą. W tamtej chwili we wszechświecie istniało tylko jedno zdarzenie — jego syn, Simon,*

*nawiązujący kontakt, prometejski kontakt, przepelniający Dana elektryzującym, odświeżającym pięknem nowo narodzonej niewinności. Dan podniósł wzrok i powiedział do Jenny: „Mój Boże, jestem pierwszą rzeczą, jaką zobaczył”. Dan zapłakał. Jenny zapłakała. Simon jedynie zamrugał. Dan otworzył oczy, rozwarł dłoń.*

— Ray. — Dan spróbował bardziej zdroworozsądkowego po dejścia. — Jestem jak szef kuchni, który postanowił otworzyć własną restaurację. Zanim zdążyłem porządnie odetchnąć, miałem zbyt wiele roboty z najmowaniem kelnerów, kupowaniem obrusów, organizowaniem sieci lokali, płaceniem rachunków, by zajmować się gotowaniem. „Tribune” publikuje nędzne komiksy, tandetne horoskopy i niedwuznaczne ogłoszenia towarzyskie. Czy ja się bawię w sędzię? To wciąż jeden z najlepszych dzienników w kraju, w mojej opinii lepszy od „The Washington Post” i „The New York Times”. Więc daj i mi życie. Teraz sprzedałem wszystkie restauracje i wracam do tego, co kocham robić.

Dan rozejrział się i powiedział jeszcze cichszym głosem:

— Ray, komputerowi giganci to baronowie rabusie naszych czasów. W następnym stuleciu będzie znacznie gorzej, Hinnom jest

największym i najbardziej bezwzględny z nich wszystkich. Spójrz w przeszłość. Imperia kolejowe i wydobywcze Ameryki — jak i niejeden związek zawodowy — wyrosły na złodziejstwie i jeszcze gorszych machlojkach. Przeciwników rozdeptywano, a czasami, Ray, zabijano. Tak, zabijano. Baronowie rabusie ery informatycznej nie chodzą w cylindrach i nie wynajmują Pinkertonów — argumentował Dan. — Chodzą w golfowych koszulkach i wynajmują elastyczne firmy od public relations. Ale stawka jest nadal ta sama. Chęć kontrolowania innych nie zanikła. Gotowość popełniania bezwstydných postępków z chciwością się nie zmieniła. Ty nadal myślisz, że wojna informacyjna toczy się o to, kto sprzedaje najwięcej systemów komputerowych. Mylisz się, Ray. To wojna o to, kto będzie sprawował kontrolę nad tym, co ludzie będą wiedzieć i robić w przyszłości. I dlatego warto za to zabijać. A śmierć niejakiego Johna Hectora wydarzyła się na tej samej ulicy. Spoczywa na nas odpowiedzialność, by ją zbadać.

Magis, zmęczony tą debatą, oznajmił:

— Dan, jesteś świetnym pisarzem. Nikt temu nie zaprzecza. Napisz artykuł przedstawiający sylwetkę Bena Hinnoma dla „Sunday Magazine”. Zacytuj prokuratorów twierdzących, że zajmują się dziwnymi zdarzeniami związanymi z ewentualną nielegalną działalnością niektórych korporacji, i wciśnij to w komentarz na dwieście pięćdziesiąt słów. Niczego nie stwierdzaj jednoznacznie. Zrób wokół tego trochę tajemnicy. Ale nie próbuj zrobić z tego sprawy na pierwszej stronie i, proszę cię, nie daj najbogatszemu człowiekowi na świecie sposobności do tego, by mógł nas zaskarżyć za zniesławie nie. Albo to, albo przekaz swoje materiały — jeśli jakimiś dysponujesz — do działu miejskiego, a oni wymienią twoje nazwisko w pierwszych trzech paragrafach.

Prezentacja dobiegła końca. Nadeszła pora, by Dan wykonał swoje przepisane figury w tańcu odmowy.

— Cóż, bardzo ci dziękuję, że poświęciłeś mi swój czas — powiedział Dan zwięźle i uprzejmie, jak gdyby dopiero co otrzymał odmowną odpowiedź na wniosek o udzielenie kredytu. Spokojnie opuścił budynek Tribune Tower.

Dan zaparkował swojego czerwonego del sola obok hydrantu przed niepozornym magazynem na Illinois Street. Na ulicy nie było żywego ducha z wyjątkiem malarza dodającego napis „Publikowany przez korporację Percy-Rogers” pod logo „Chicago Monthly”. Dan żwawo otworzył drzwi, wdrapał się po długich schodach, przeszedł obok niedawno zatrudnionej recepcjonistki, która zaprotestowała bez większego przekonania, długim korytarzem od sufitu do podłogi obwieszonym wcześniejszymi okładkami „CM”, i wszedł do biura nowego wydawcy — czyli dawnego biura Dana — o przeszklonych ścianach. Jego ulubione zdjęcia z miesięcznika wciąż jeszcze wisiły na ścianach.

Wystraszone, szczupłe, wątły młody facet w dzinsach, mający

nie więcej niż dwadzieścia dwa lata, odłożył czytany manuskrypt i stwierdził pogodnie:

- A, witam. Dan Levin, jak sądzę. Witam w „Chicago Monthly”. Poznałem pana ze zdjęcia — powiedział, wskazując na ostatni wstępniak Dana rozłożony na biurku. — Wiedziałem, że kiedyś się pan pokaże. Witam.
- Ty jesteś Alger? — zapytał, starając się ukryć rozczarowanie wywołane widokiem swego drobnego, na pierwszy rzut oka nieudolnego następcy.
- Ja — odparł z dumą w głosie młody mężczyzna.
- Jesteś nowym mną?
- Tak. Jak się panu podobam? — zapytał Alger, unosząc ręce i obracając się kobieco w miejscu. — Co sprowadza pana do „Chicago Monthly”?

Alger należał do ludzi, których Dan zagryzał i wypluwał nieskończoną ilość razy w swym życiu. Niedoświadczony, nie zaprawiony w boju kogucik na etacie od dziewiątej do piątej, w opinii Dana nie przetrwałby tygodnia jako praktykant; zbuntowałby się, gdyby musiał zostać godzinę dłużej w pracy, nie mówiąc już o zapinaniu wydania o szóstej rano, kiedy normalni ludzie właśnie zaczynają się budzić; nigdy nie jadł śniadania o północy ani nie wpatrywał się o świcie w milczeniu w dno kubka z kawą, szukając tam odbicia swego zmęczenia; nigdy nie zaszumiało mu w głowie, nawet nie podniecił się po napisaniu porywającego streszczenia artykułu; nigdy nie wszedł do dymiącego budynku w chwili, gdy strażacy wyciągali z ruin zwęglone zwłoki; nigdy nie przespacerował się ulicą rojącą się od członków gangów, uważających ją za swoją prywatną strzelnicę, by spytać naćpaną małodatę na gigancie, czy nie chce wrócić do domu w Wisconsin; nigdy nie pomógł młodemu autorowi spojrzeć w głąb jego serca i zacząć od pierwszej linijki, ani też nie wyrzucił niekompetentnego dupka, u którego maszyna do pisania wywoływała alergię; i przede wszystkim — co najgorsze — Alger ponad wszelką wątpliwość był absolwentem szkoły dziennikarstwa.

- Pomyślałem sobie, że zajrzę i przekonam się, czy nie mógłbym pomóc — odparł Dan. — Trafiłeś tu z...
- Z Medill — odparł chępliwym tonem. — Praktykowałem przy jednej z książek Percy'ego. *Tydzień emeryta*. Do nabycia za parę groszy we wszystkich warzywniakach. Przygotowywałem wycinki gazetowe dla wydawcy nadzorującego rozdział „Koniec tygodnia”. A więc to moja pierwsza prawdziwa praca. Jestem zachwycony. Prawdziwy wielkomięski magazyn.

Dan nie wypowiedział żadnej z kilkunastu obraźliwych kwestii, jakie cisnęły mu się na język, lecz tylko zażartował:

- Cóż, każdy musi gdzieś zacząć. A ty masz swój własny, prestiżowy miesięcznik. Masz na imię Alger, tak jak Horatio Alger?
- Nie, a szkoda — odparł Alger, zakładając znacząco ramiona na piersiach. — To skrót od Algierii. Mój ojciec pracował w korpusie dyplomatycznym i służył w północnej Afryce.
- Hej, masz szczęście — błysnął Dan. — Mogłeś dostać na pierwsze Tuńczyk od Tunezji albo Libby czy Morry.

Alger wyglądał na szczerze rozbawionego i uśmiechnął się szeroko.

- To dobre — roześmiał się. — Tuńczyk. Słyszałem, że żartowniś z pana.
- No, poczucie humoru się przydaje — odparł Dan, starając się, by nie zabrzmiało to zbyt pobłażliwie. — Ale w dziennikarstwie najważniejszy jest zespół. Zespół. Ty nim teraz kierujesz. Wiem, że to ja stworzyłem to czasopismo...
- .. i wszyscy u Percy'ego o tym wiedzą, pamiętają, że pozostawił pan po sobie niezatartą spuściznę — przerwał mu uprzejmie Alger.
- Cóż, Algie, teraz ty jesteś wydawcą...
- Algie... algi to takie jednokomórkowce!
- Zgadza się — przytaknął Dan z przesadnym entuzjazmem — ale ty masz więcej niż jedną komórkę. Jesteś złożonym, wyższym organizmem, mięsożernym, lwem, który tylko czeka na to, by udowodnić swojemu stadu i całej dżungli, że chociaż to twoje pierwsze czasopismo, to tylko pierwsze spośród twoich czasopism.

- Pan miał ich dziewięć — odparł Alger śpiewnie.
- Siedem. Ale skupmy się na tym — kontynuował Dan — bo zależy mi na tym, by pomóc ci w utrzymaniu silnej i imponującej pozycji „Chicago Monthly”, pozostawieniu po sobie nowej spuścizny, spuścizny Algiego. Zuchwałej. Twardej. Pionierskiej.
- Pionierski to brzmi zachęcająco — przyznał Alger.
- Doskonale, na miłość Boską — potwierdził głośno Dan. — Do rzeczy, wiesz, że „Chicago Monthly” zawsze słynęło ze swoich reportaży. Seria o taksówkarzach, szklarz wybijający szyby w oknach — pamiętasz? Oszustwa ubezpieczeniowe, podpalenia...
- ...to o podpaleniach było ekstra — zgodził się Alger. — Czytałem ws/ystkie numery „Chicago Monthly” i ten reportaż podobał mi się najbardziej, bo najpierw opisywałeś te wszystkie zrujnowane rodziny, tę dziewczynkę, która pytała strażaka, dlaczego jej ojciec nie wraca do domu, a dopiero potem zabrałeś się za właścicieli domów, którzy wynajmowali zbirów, by ci podpalali ich domy dla odszkodowania. Uwielbiałem ten tekst.
- Dostał nagrodę „W Służbie Społeczeństwu” — stwierdził skromnie Dan. Przez chwilę niemalże był gotów przyznać, że Alger nie jest jeszcze całkiem stracony dla żywych. — Mam dla ciebie sprawę, którą zbadam osobiście i opiszę dla „Chicago Monthly”. Dostaniesz ją na czas, by poszła we wrześniowym wydaniu.

Alger wyglądał na zbitego z tropu.

- Wrześniowe wydanie — powtórzył Dan. — Kontrakty reklamowe na następny rok? Potrzebujesz solidnego, solidnie grzejącego numeru, by upolować kontrakty na rok 1999, bo decyzje zapadają we wrześniu i październiku.
- Och, zgodnie z wewnętrzną polityką Percy'ego — wyjaśnił Alger — nie ode mnie zależy budżet ani kontrakty reklamowe. Nie muszę sobie tym zawracać głowy. Większość publikacji Percy'ego rzeczywiście zamieszcza sponsorowane przez reklamodawców poradniki. Reklamodawca — no, wiesz, bank albo koncern samochodowy — zgadza się być wyłącznym reklamodawcą, a my publikujemy wszystkie jego komunikaty prasowe z takimi podpisami, że wyglądają jak normalne artykuły. To robimy. I mogą też przygoto-



wywać własne komunikaty prasowe, które zamieszczamy słowo w słowo w naszym corocznym wydaniu „Profilu sukcesu”. Ale to coś zupełnie innego i jesteśmy bardzo dumni z tego, że udaje się nam rozdzielić kościół od państwa.

Dan pokiwał głową i nabrał powietrza w płuca.

- Nie wątpię, Alger. Ale ten kawałek nie będzie potrzebował sponsora. Będzie tematem przewodnim numeru i wydawnictwo jak gdyby samo z siebie sponsoruje coś takiego.
- Pozwól, że coś ci wyjaśnię — oznajmił Alger idealnie korporacyjnym, bezpłciowym tonem. — Uważam, że to, co zrobiłeś dla „Chicago Monthly”, było wspaniałe, a my skorzystaliśmy z twoich doświadczeń, krocząc w nowym kierunku.

Dan wyglądał na zdezorientowanego.

Alger przeszedł do działu graficznego mieszczącego się tuż obok jego biura i przystawił do ściany trzystopowy plakat, pokazując go Danowi. Była to próbna okładka nowego numeru „Chicago Monthly”, zaopatrzona w wielki, pozbawiony smaku nagłówek: „Najlepszy sernik w Chicago”. Alger uniósł trzystopowy plakat do góry, pytając:

- Jak myślisz, dać większą czcionkę?

Dan otworzył usta, lecz nie wydał żadnego dźwięku.

Alger zdjął ze stojaka kolejną okładkę, obwieszczającą gromkim głosem: „Najlepsza pizza w Chicago — liczy się twój głos”. Na jego twarzy pojawił się dumny uśmiech.

— Kiedy zużyliśmy już zapas artykułów wstępnych, jaki nam zostawiłeś — wyjaśnił zaraz Alger — teksty o ludziach harujących niewolniczo i mieszkających nad tą indyjską restauracją — to dopiero był kapitalny reportaż — mogliśmy zacząć publikować teksty, które naszym zdaniem pozwolą nam zająć właściwe miejsce na rynku, odpowiadające tradycyjnej strategii Percy-Rogersa odnośnie do rynku miejskiego. Jeśli porównanie z południową Kalifornią ma

tu jakiegokolwiek zastosowanie, ludzie naprawdę pragną wiedzieć, które restauracje się liczą, zwłaszcza kiedy zmieniają właściciela czy szefa kuchni. „Chicago Monthly” zamierza wypełnić swoje posłannictwo. Wypełnić je z dumą.

Dan spróbował coś powiedzieć. Wreszcie zdołał wykrztusić z siebie jedno słowo:

— Posłannictwo?

— Tak — odrzekł Alger. — Przez nasze posłannictwo rozumiemy...

— Przestań! — krzyknął gwałtownie Dan. — Prawie co miesiąc publikowaliśmy reportaż jako temat numeru. A jeśli nie reportaż, to zaangażowany artykuł, taki jak kawałek o minach albo coś z wyłączością, jak wywiad z Farrakhanem. Teksty, które coś znaczą. Czy takie artykuły będą się nadal pojawiać w „Chicago Monthly”?

Ton Dana wyraźnie zaniepokoił Algera.

— Jestem pewien, że się tego spodziewałeś — oznajmił jeszcze bardziej bezpłciowo. — Percy-Rogers docenia twój wkład w rozwój „Chicago Monthly”, „Brain Journal” i pozostałych wydawnictw. I rozumiemy, że „Chicago Monthly” był wizytówką Levincomu. Ale te siedem tytułów należy teraz do nas, stanowią część rodziny ponad sześćdziesięciu ośmiu czasopism wydawanych przez nasz dział i są zaledwie małą kroplą w morzu wydawnictw Percy’ego na całym świecie. Musimy odcisnąć na każdym z nich nasze charakterystyczne piętno. Uważamy, że puls Chicago błąga o pizzę i sernik. Zamierzamy to właśnie podawać.

To nie była „Tribune”. Dan nie potrafił się pohamować. Przybrał przyjazny, lecz sarkastyczny wyraz twarzy.

— Alger, czy ty masz dziewczynę?

Alger wzruszył subtelnie ramionami, okazując nieco nieuzasadnionego podniecenia.

— Jestem nowy w tym mieście. Nie znam zbyt wielu ludzi. Więc wieczór mam wolny.

Dan z głupim uśmiechem oznajmił:

— Ale ja nie.

Zaczął rozważać możliwości. Nagle poczuł chęć obsikania projektów z taką siłą, by krople spryskały całe pomieszczenie.

— Czy mogę ci zająć jeszcze tylko minutkę? — zapytał Dan, gmerając palcami przy spodniach.

— Proszę bardzo — zachęcił go Alger.

Dan znieruchomiał, czując między palcami uchwyt zamka. Po głębszym zastanowieniu zrezygnował z tego pomysłu. Zamiast tego stwierdził niedbałym tonem:

— Wydaje mi się, że w tym biurze jest pewna pustka. — Gestem dłoni zachęcił Algera do podejścia do ściany. — Widzisz?

Alger pogodnie pokręcił przecząco głową.

— Dokładnie tutaj. — Przy słowie „tutaj” Dan uderzył prawą pięścią w pomalowaną na biało płytę okładzinową, niemalże przebijając się na drugą stronę. Odgłos uderzenia przestraszył paru asystentów, a Algera przyprawił o głęboki szok. Dan spokojnie przeszedł do działu graficznego, przyniósł z powrotem gruby mazak i namalował wokół dziury czarną ramę. Pod nią nagryzmolił „Pustka autorstwa Dana Levina”, jak gdyby uszkodzony fragment ściany wisiał w jakiejś galerii. — Oto dzieło sztuki, mój ostatni przyczynek do chwały „Chicago Monthly”.

Potem przeszedł do szafki z książkami i z za grubego słownika wyciągnął zapomnianą pintę Laphroaiga.

— To zabieram ze sobą.

Obchodząc leżące na podłodze projekty, Dan, bardzo pewnym krokiem i z uśmiechem jak stąd do nieba, przeszedł zamaszystym krokiem przez korytarz i spłynął po schodach. Wzburzony Alger pobiegł w ślad za nim.

Dan był już na dole klatki schodowej, gdy Alger wrzasnął z góry:

— To uszkodzenie prywatnej własności. Zaraz dzwonię do Sydney. Zadzwońię do Australii!

Rozbrzmiewał soundtrack Barry'ego do *Szkarłatnej litery*. Jego tęskne skrzypce tworzyły poważny, lecz romantyczny nastrój. Rozległ się dzwonek do drzwi. Na progu stała Park w seksownej, krótkiej, skórzanej spódniczce i delikatnej beżowej bluzce o luźnych rękawach. W ręce miała szykowną torebkę z Instytutu Sztuki ozdobioną podpisami Picassa, Chagalla i Cézanne'a.

— Widzę, że wróciłaś na małe zakupy — powiedział, zapraszając ją do środka.

Światła były przyciemnione. Zauważyła to.

— Jak tu romantycznie — przyznała z uśmiechem. — Czekasz na kogoś?

— Tylko na ciebie — odparł Dan. Użył długiej kominkowej zapalki, by zapalić dwie długie świece, a potem wrzucił prawie całkowicie zwęglony patyczek do kominka. Wypełnione olejem naczynie pod kilkoma suchymi kłódami drewna zajęło się spokojnym płomieniem. Wkrótce na kominku huczał ogień.

— Hmm. Pełna obsługa — zażartowała. — Ale wychodzimy? Dan wyciągnął dwa talerze z fusilli i postawił je na stole w jadalni.

— Nie wychodzimy — poprawiła się Park.

— Lubię gotować — odparł. Polał fusilli gęstym czerwonym sosem, tworząc spiralny wzór, a potem na środku każdego talerza położył plasterk pomidora. Na pomidora utarł świeży ser peccoro romano, kładąc obok gruby kawałek przysmażonej pieczarki i trochę zielonego groszku dla kontrastu. Dan zagłębił się w niewielkie kazanie na temat sposobów podawania dzieł sztuki kulinarnej praktykowanych w najsłynniejszych restauracjach, dlaczego należy te dekorowanie talerzy wymagało przygotowywania sosu w kilku etapach i czy ścinanie czubka plastikowej butelki stanowiło tani chwyt czy też uzasadnione ułatwienie, gdy Park powiedziała po prostu:

— Jakie to piękne.

VirginiaSwedenburgrocznik92zakończyłaczterdziestominutowe oddychanie.

— To, że wino jest stare, nie oznacza, że jest dobre — zaczął.

— Każde wino ma swój własny zegar. Podobnie jak whisky. Na przykład dziesięcioletni Laphroaig jest idealny pod względem torwego aromatu. Można by więc pomyśleć, że piętnastoletni jest jeszcze lepszy. Tak? Nie. Kiedy Laphroaig osiąga piętnaście lat, jest już o pięć lat gorszy. Dlatego firma produkująca Laphroaiga pozwała, by inny rozlewca wciskał nieświadomym niczego fanom piętna-

stoletnią whisky po korzystnej cenie w bardzo podobnej butelce, przekonana, że prawdziwi koneserzy i tak będą jej unikać, wiedząc, że jest produktem gorszej jakości.

- Nie pijam szkockiej — powiedziała nieśmiało Park.
- Z czerwonym winem jest podobnie — nie przerywał Dan. — Opierając się na informacji o zawartości cukru, siarki, kwasowości i wielu innych kryteriach, winiarz, a także znawca win, potrafi przewidzieć, kiedy dane wino dojrzeje. Ten Swedenburg — zamówiłem jedną z ostatnich skrzynek — właśnie osiągnął szczytowy bukiet i moc. Natomiast za rok będzie się już staczać po równi pochyłej i stanie się idealnym kandydatem na wino do gotowania.
- Smakuje doskonale — stwierdziła Park, pociągając niewielki łyk.

Wieczór upływał powoli, grała pogodna muzyka Johna Barry'ego, poziom wina w butelce obniżał się miarowo, dokładka makaronu spotkała się z odmową, lecz i tak została podana, po czym Dan zjadł ją z talerza Park, i wreszcie we dwoje udali się do kuchni, gdzie Dan zgasił światło, by usmażyć na miedzianej patelni truskawki w kombinacji likieru czereśniowego i czekoladowego, przyprawione niczym innym jak kruszonym czarnym pieprzem z Madagaskaru, które potem wylał na lody waniliowe. Park początkowo obawiała się spróbować tej ognistej kreacji, lecz potem musiała przyznać, że nigdy nie jadła równie wyśmienitego deseru.

- Gdzie nauczyłeś się tak gotować? — zapytała.
- To nic takiego — odparł Dan, czekając na dalsze pytania. Lecz Park nie miała więcej pytań. Wobec tego pocałował ją w policzek. Park uśmiechnęła się nieśmiało, niepewna, co zdarzy się dalej, lecz gotowa doświadczyć tego bez lęku. Odwracając się w jego stronę, odkryła przed nim swą duszę, a potwierdzenie tego Dan ujrzał w jej oczach.

Przez krótką chwilę Dan zmrużył oczy i zacisnął dłoń w pięść. *337 proszę się zgłosić do Działu Specjalnego. Jak to do Działu Specjalnego?* Otworzył oczy, pięść zniknęła.

- Dan?
- Jesteś kochana.

Usiedli na poduszce przed migoczącym paleniskiem kominka. Dla Dana pedantyczne mówienie było tak naturalne, jak gdyby stanowiło funkcję jego obwodowego systemu nerwowego, było łatwe jak oddychanie. Nawet łatwiejsze. Lecz kiedy chciał słuchać, jego umysł zamieniał się w termolokator. A teraz nadeszła pora zadawania pytań.

— Dobrze, poddaję się. Opowiedz mi o Salu. I o sobie — mężatka, rozwódka, samotna matka, no, co?

Park wybuchnęła śmiechem.

— Ani męża, ani rozwodu.

Wahając się początkowo, Park wkrótce doszła do wniosku, że jego wnikliwym pytaniom trudno jest się oprzeć, i zaczęła opowiadać.

— Sal to bardzo szczególna osoba, która przyszła na ten świat w bardzo szczególny sposób. Kiedy byłam na pierwszym roku college'u... zacznę od początku. Kocham dzieci i zawsze pragnęłam mieć dziecko. Uniwersytet stanowy Kansas nie był najlepszym miejscem na poznawanie interesujących facetów. Każdy albo był synem farmera usiłującym uzyskać licencjat, bogatym, oblesnym saudyjskim księciem studiującym geologię, by móc zarządzać polami naftowymi — Lawrence ma jeden z najlepszych wydziałów geologicznych w kraju — albo przyszłym pracownikiem wywiadu. Z Kansas pochodzi więcej agentów w przeliczeniu na cal kwadrato wy niż z innych stanów — może z wyjątkiem Nebraski. Chciałam czegoś lepszego.

Roześmiała się z zakłopotaniem.

— Dlaczego ja ci to wszystko opowiadam?

— Bo jestem dobrym słuchaczem? — podsunął Dan.

— Nie — odparła — dobrym zadawaczem pytań.

Park nigdy nie lubiła rozmawiać o swoim życiu osobistym, zwłaszcza o tej jego części. Lecz przy tym mężczyźnie stawało się to takie łatwe, takie naturalne.

— Gdzie to byłam? Cóż, naczytałam się o wielkich umysłach ludzkości — wspominała Park. — Wychowałam się na Dickensie i Conradzie. Ale w szkole miałam zero szansy na poznanie Conrada. I byłam spłukana. Straciłam stypendium, bo podczas weryfikacji

podania mojej rodziny nasza ziemia — ziemia, którą potem ojcu odebrali agrogangsterzy — te parę pylistych akrów załatwiło mnie przy obliczaniu dochodu na członka rodziny. Potrzebowałam pieniędzy. Któregoś dnia odpowiedziałam na ogłoszenie ze szkolnej gazety, poszukujące matki zastępczej. — Przerwała, spodziewając się jakiejś reakcji ze strony Dana, lecz jako że jej nie było, mówiła dalej. — Pokryte wszystkie koszty nauki plus dwadzieścia tysięcy dolarów, jeśli dziecko urodzi się w terminie. Podpisałam, o rany, furę dokumentów. Wszystkim zarządzał prawnik z Wichita i lekarz z Teksasu. Miałam otrzymać jajeczko dawczyni zapłodnione przez jej męża. Oboje byli płodni, ale płód nie mógłby się utrzymać w jej łonie. Po porodzie miałam oddać dziecko do adopcji genetycznym rodzicom i nigdy nie poznać ich personaliów. Zgodziłam się.

— Sal nie był twoim dzieckiem, ale ty go nosiłaś?

— Dokładnie — odparła Park, pocieszona pewnością, że Dan akceptował jej historię, nie osądzając jej.

Muzyka już dawno ucichła i Dan był teraz całkowicie skupiony na słowach Park.

— Nosisz w sobie dziecko — powiedział — stajesz się jego matką. Ale przez cały ten czas zdajesz sobie sprawę, że będziesz musiała oddać je obcym ludziom. Dawłaś sobie z tym radę?

— O, tak. Bycie w ciąży... ta ciąża zmieniła mnie tak, jak... jak się tego spodziewałam — powiedziała Par rozmarzonym tonem. Natychmiast przypomniała sobie dziejące się wtedy z nią cuda. — Odkąd przyjęłam w siebie Salę, ani na chwilę nie byłam sama. Moje życie miało nowy sens. Pisywałam wtedy wspaniałe wiersze. Trzymam je wszystkie do dziś. I co tydzień pisałam list do jego biologicznych rodziców, opisując to, co czułam, tak by mogli współuczestniczyć w tej radości. Posyłałam je ich prawnikowi. Bóg jeden wie, czy je dostawali. — Przez cały czas wyobrażałam sobie, że mojego syna czeka wielkie przeznaczenie i że ja będę jego częścią — wspominała z zadumą. — Kto wie? Może zostanie sławnym naukowcem albo prezydentem, albo przywódcą narodu? Nie wiedziałam, gdzie rzuci go los... do którego stanu... ani nawet kraju. Ich prawnik ukrywał wszystko przede mną. Lecz z jednego wywiązywał się sumiennie:

miesięcznych opłat, ciągłych badań lekarskich i testów. Ten lekarz. Czasami budziłam się w nocy w panice, wyobraziwszy sobie, że jeśli lekarz odkryje coś niepożądanego, może zdecydować się na usunięcie ciąży. Mieli prawo... usunąć — gdyby dziecko nie było prawidłowo rozwinięte.

— Ale w końcu zatrzymałaś Sala?

Park opłotła się ramionami, jak gdyby zrobiło się jej zimno.

- Tak. Jakieś trzy tygodnie przed terminem — opowiadała
- zadzwonił prawnik. Miałam go spotkać w pokoju hotelowym w „Holiday Inn” —jak zawsze. Powiedział, że rodzice Sala zginęli
- jakiś straszny wypadek samochodowy. Nawet nie wiem, czy to prawda. Równie dobrze mogli zmienić zdanie. Tak czy owak, po biologicznych rodzicach ślad zaginał. Prawnik zaproponował mi nawet aborcję. Tak, powiedzieli, że można to zrobić nawet pod koniec trzeciego trymestru.

Słowa przychodziły jej z trudem, lecz w końcu udało się jej to powiedzieć.

— To było moje dziecko — oznajmiła przez łyży. — Może będzie nikim, a może uratuje świat. Tego nie wiedziałam. Ale Sal i ja zetknęliśmy się z jakiegoś powodu i wiedziałam, że to Bóg mówi mi, że zostaniemy razem. Pamiętam, co powiedziałam temu kutasowi. Ledwie udało mi się to wykrztusić i teraz też nie jest mi łatwo.

Walcząc z łzami, powtórzyła z pamięci:

— Powiedziałam mu: „Noszę to dziecko w sobie. Jest częścią mnie. Czuję go każdym oddechem i na każdym kroku. Będę je chronić. Ono będzie chronić mnie. A Pan ochroni nas oboje”. Nigdy tego nie zapomniałam. Dokładnie tak mu powiedziałam. „Pan ochroni nas oboje”. W tej jednej chwili cały mój pogląd na świat uległ zmianie, z tymczasowego opiekuna i anioła stróża Sala stałam się jego prawdziwą matką. Po urodzeniu wypełniłam wszystkie konieczne papiery i zostałam prawną matką Sala. Dałam mu na imię Sal — Sal jak... no, jak Sal.

Dan objął ją. Całowali się przez długą, zawrotną chwilę. Park oddała swą przeszłość Danowi, a Dan ją zaakceptował. Jego pocałunek stał się wolniejszy, podniecenie zastąpiła namiętność i Park



spozstrzegła tę różnicę. Początkowo przyciskała ręce do jego piersi, dalej strzegąc przestrzeni między ich ciałami. Potem opuściła je wzdłuż ciała. Otworzyła się przed nim zapraszająco.

Nie czuli twardej podłogi, nie byli świadomi ścian pokoju. Ich namiętne odkrywanie stało się tlenem dla płuc, krwią w żyłach i podnieceniem w sercach. Teraz Park nie tylko poddawała się dotykowi Dana, lecz go odwzajemniała, odpowiadając pocałunkami i znajdując Dana. Spłynęła na niego jak kobieta, która postanowiła przyzwolić na intymność, a on poddał się jej śmiałym, nieskrępowanym pocałunkom, wpięrow na twarzy, a potem na klatce piersiowej. W tle brzmiał ósmy utwór ścieżki dźwiękowej z *Ostatniego Mohikanina*. Czuł na języku smak jej włosów, delikatnych jak u dziecka, wciągał do płuc kojącą woń jej skóry, a ona zatopiła się w jego objęciach.

Wtedy na mgnienie oka Dan przymknął powieki i zacisnął dłoń w pięść. *337 proszę się zgłosić do Działu Specjalnego. Jak to do Działu Specjalnego?* Otworzył oczy, pięść zniknęła.

Lecz nadal był spięty.

— Co się stało? — zapytała. — Gdzie jesteś?

— Tutaj — odpowiedział nieledwie roześmianym głosem. Pocałował ją namiętnie jeszcze raz i wyprostował się razem z nią. -Nic mi nie jest.

Nastrój jednak zniknął. Patrzyli w milczeniu na płomienie kominika tańczące na kłodach. Poczuli ciepło na twarzach, kiedy powrócili do rzeczywistości. Dan sięgnął po pilota. Zabrzmiął soundtrack Zimmera do *Ognistego podmuchu*. Park spojrzała mu w oczy, szukając wytłumaczenia. Nic nie zostało wyjawione.

— Nic mi nie jest — powtórzył.

Zaczęli rozmawiać. Dan zaproponował jej, że znajdzie tego prawnika i uzyska od niego dane rodziców Sala. Park odpowiedziała, by się tym nie przejmował. Sześć lat temu ów adwokat alkoholik zmarł na marskość wątroby. Już raz próbowała dostać się do jego kartoteki, lecz wszystkie dokumenty dotyczące jej zastępczego macierzyństwa zostały zniszczone, kiedy przeszedł na emeryturę, a z nim umarł. Lekko obciągnęła bluzkę.

Dan zaoferował się wtedy, że odszuka tego teksańskiego lekarza. Niemożliwe. Wiedziała tylko, że nazywał się Tam, a zaraz po porodzie wrócił do Tajlandii. Park ponownie spróbowała zanurzyć się w głębi oczu Dana, lecz nie udało się jej przedrzeć pod powierzchnię.

— To kiedy poznam tego Sala? — zapytał Dan, starając się rozmawiać o czymkolwiek, byle tylko nie o swej reakcji sprzed paru minut. — Wygląda na to, że już przed narodzeniem zdążył przetrwać więcej niebezpieczeństw niż większość ludzi przez całe życie.

— Zaczynamy u Dereka w czwartek — odparła Park. — Jutro moglibyśmy się spotkać we trójkę. Jeśli chcesz.

— Zostaniesz na noc? — wyjąkał niepewnie Dan.

Na twarzy Park odmalowała się kruchość, gdy odpowiedziała, zająkując się. Sal był sam w domu, a już dochodziła północ.

— Lepiej będzie, jeśli wrócę do domu — szepnęła niechętnie.

Dan nie próbował jej od tego odwieść. Raz jeszcze się pocałowali. Park wciąż wystawiała się na jego dotyk i pozwalała mu się odnaleźć. Dobrze było to wiedzieć. Dan natychmiast zauważył jej akceptację i wyraźnie zamanifestował swą radość. Na jego twarz wypłynął uśmiech zadowolenia, uśmiech towarzyszący spokojowi, jaki ogarnia mężczyznę po upewnieniu się, że kobieta akceptuje go fizycznie i emocjonalnie.

— Na pewno wszystko jest w porządku? — upewniła się.

— Nic mi nie jest, naprawdę. Chodź, odwiozę cię do domu — powiedział z miłością w głosie, delikatnym gestem kładąc dłoń na jej dloni. Zacisnęła ją, ich palce się splotły.

Dan miał sucho w ustach, lecz na języku wyraźnie c/uł smak Laphroaiga. W mieszkaniu było cicho jak makiem zasiał. A jednak w głowie słyszał charakterystyczne dźwięki „Gipsy Kings”. Na ful.

## ZEZNANIE

Gdy wybiła dziewiąta rano, na Navy Pier panowała już codzienna krzątanina. Gęste tłumy gości przepływały przez rondo ku ozdobnemu wejściu na Pier. Spacerując długą aleją, zawsze było się nie dalej niż o parę stóp od chlupoczących cicho wód jeziora Michigan, od sztuki nowoczesnej wykonanej ze wszystkich możliwych do wyobrażenia materiałów, od kawałków drewna wyrzuconych na brzeg do aluminiowych rur, niedaleko od straganów z lemoniadą, piwem i preclami, od najwspanialszego, największego diabelskiego koła, jakie większość zwiedzających widziała w życiu, i od jakiegoś chichoczącego z zachwytem dziecka. I zaledwie parę kroków od statków wszelkiego rodzaju: opływowych cygar, których sternicy nieodmiennie popijali sobie piwo, eleganckich liniowców oczekujących na przydzian w smokingi orszak weselny, i niezliczonej ilości statków wycieczkowych, żaglówek, szkunerów i skifów. Lecząc wszystkie pospiesznie usuwały się na boki, gdy z hukiem silników nadpływał zbójca z Navy Pier, jaskrawożółty ślizgacz pasażerski powszechnie znany jako „Morski Pies”, a jego szyper przy dokowaniu wrzeszczał przez megafon niczym pies Fido.

Muzyka tętniła na całej długości Pier. Tuż za wejściem kwartet jazzowy rozgrzewał przybywających, a Wuj Sam na szczydach pochylał się i poklepywał dzieci po głowach. Parę jardów dalej nigeryjski zespół perkusyjny odziany w żółte szaty synkopował w rytm afrykańskiej muzyki ludowej. Za nimi bluegrasowe trio brzdąkało skoczną melodię. Na zaokrąglonym końcu Pier schody Grand Ballroom prowadziły na malowniczy plac nad wodą. Tam, rankiem następnego dnia po tym, jak zarówno „Tribune”, jak i „Chicago Monthly” powiedziały nie, na balustradzie siedział Dan, spoglądając na ciemnozielone fale i popijając espresso z papierowego kubka. Żeby tam dojść, Park musiała odbyć jedynie krótki spacer z Lake Point Tower, gdzie, mimo nalegań Dana, najęła koniec koń-

ców mieszkanie przyjaciela. Kiedy ją ujrzał, uniesioną ręką odpowiedział na uśmiech widoczny nawet nad głowami tłumu ludzi.

— Gdzie Sal? — zapytał Dan.

— Wklepuje kody — odparła. — Nigdy nie mam pojęcia, nad czym akurat pracuje. Dan zaproponował jej łyk swojej espresso, czym odrobinę ją zaskoczył. W jej stronach ludzie nie częstowali się jedzeniem. — Nie jest to espresso z Seattle — zażartował — ale na Navy Pier lepszego nie dostaniesz.

Park w końcu wypłała mały łyk.

— Ben Hinnom musi być wkurzony — powiedziała.

Dan robił wrażenie zdeorientowanego.

— To znaczy?

— Mówili o tym rano w wiadomościach — wyjaśniła. — Wezwano go przed komisję senacką badającą praktyki monopolistyczne.

— Sądowniczą? — zapytał Dan.

— Tak mi się wydaje — odparła. — Ben Bandzior powiedział, że to punkt zwrotny, od którego zależy zdolność jego firmy do dalszych innowacji, i że zamierza zdecydowanie bronić swego w Waszyngtonie. Senat i Departament Sprawiedliwości. Ma potem odbyć wielką konferencję prasową... pierwszy raz w swojej karierze.

Dan, którego na powrót zaczynało ogarniać lenistwo i wewnętrzne wyciszenie, poczucie jedności z falami daleko na jeziorze w ich drodze na brzeg, nagle otworzył szeroko oczy.

— Chciałabyś pojechać do Waszyngtonu? — zapytał Park. — Zajmuję się tą sprawą Hinnoma. Cholera, nie mam jeszcze kontraktu, ale już węszę. — Zanim Park zdążyła odpowiedzieć, dodał z naciśkiem: — Pojedźmy. Pojedźmy. W sobotę wieczorem będziemy z powrotem w Chicago. Spędzimy interesujący weekend. W Waszyngtonie naprawdę czasami bywa ładnie.

Park roześmiała się i szybko wymieniła cztery powody, dla których sam pomysł był zwariowany i niewykonalny. Jutro wraz z Salem mieli zacząć pracę u Dereka, nie miała pieniędzy, a kiedy dojadą do Waszyngtonu, przesłuchania i konferencja prasowa zdążą się już dawno skończyć. Dan przedstawił swoje kontrargumenty z szybkością karabinu maszynowego.

— I tu się mylisz. Mam dobrego agenta w biurze podróży. I nie martw się o bilety i noclegi. Jesteś moją asystentką przy tym reportażu. Pokryję wydatki.

— A-a — nie zgodziła się Park, zwalniając tempo dyskusji tak elegancko, jak tylko umiała. — Mam syna. Oboje mamy pracę. Logistyka mi nie odpowiada.

Słowo „nie” w słowniku Dana nie istniało.

— Nie bój się o dyskretną logistykę — zapewnił ją, mając na myśli szczegóły noclegu. — Zajmę się tym. — Nie czekając dłużej, wyciągnął ciemnoszarą komórkę StarTaca wielkości dłoni, wybrał numer i osłonił mikrofon dłonią, by odfiltrować hałas Pier.

— Gert? Mam sytuację za pięć dwunasta. Załatw mi trzy bilety na następny lot Southwestu z Midway albo cogodzinny United z O'Hare, nieważne który... Świetnie. Pozostali pasażerowie to Park McGuire i Sal McGuire... Matka i syn... Chcę być na pokładzie za godzinę, góra półtorej... Tak, muszę zdążyć na przesłuchanie... Zarezerwuj trzypokojowy apartament w „Willardzie” albo spróbuj w „Jeffersonie”. Jeśli apartament odpada, załatw sąsiadujące pokoje albo przynajmniej na jednym piętrze... Podeslij po mnie samochód pod Lake Point Tower za jakiś kwadrans. Niech będzie pół godziny. Dalsze instrukcje z samochodu... Świetnie. Dzięki, kochana.

Wyłączył telefon i uśmiechnął się.

— To nie było trudne. Wystarczy dobry agent i płatynowy MasterCard.

Rozprawił się z resztką espresso i chłopięco zapytał, jak gdyby wszystko zostało omówione i ustalone dawno temu:

— Gotowa polecieć do stolicy?

Park patrzyła na niego z otwartymi ustami. Jego spontaniczność była niewątpliwie elektryzująca, ta strona jego charakteru, nieskrępowana, a nawet groźna, podniecała ją bardziej niż wszystko inne. Ale nie potrafiła uwierzyć, że to dzieje się naprawdę. Bardzo chciała z nim pojechać. Waszyngton, Dystrykt Kolumbia. Nigdy tam nie była. Czemu by nie? Była gotowa i spakowanie powinno jej zająć nie więcej niż kilka minut.

— A może byś zapytał mnie o zgodę? — odpowiedziała zirytowanym tonem. — Nie mam odpowiedniego stroju. Nie jestem popularnym wydawcą siedzącym na pieniądzach. Nie ma mowy. Jutro zaczynam pracę i nie zamierzam wyrzucić kiepskiego wrażenia, opuszczając pierwszy dzień.

Dan podał jej StarTaca.

— Zadzwoń do nich — powiedział, popychając ją przez Pier w stronę domu. — Masz pięć minut, żeby to załatwić. — Park zamarła, a wtedy Dan dobił ją, mówiąc z naciskiem: — Ruszaj. Mam do ciebie zaufanie.

Nie wiedziała, co było bardziej dziwaczne, niewiarygodna, arogancka apodyktyczność Dana czy wzięty z powietrza pomysł obiadu w Waszyngtonie. Wzięła od niego telefon, pytając potulnie:

— Zwiedzanie Białego Domu też nam zorganizujesz?

— Nie — odciął się — to dobre dla turystów. — Rzucił pusty kubek po kawie do kubła. — Powiedz ludziom z Dereka, że dopiero co się wprowadziłaś, nowe miasto, nowy dom i tak dalej. Potrzebujesz czwartku i piątku, możesz zacząć ze świeżymi siłami dopiero w poniedziałek.

— Wyleją mnie — odpowiedziała.

— Nie — prychnął. — Powiedz im, że potrzebujesz dwóch dni na załatwienie spraw osobistych. To jest płatne. Moi pracownicy ciągle mi wywijali ten numer. Doprowadzali mnie do szału. Znieść tego nie mogłem. Ale takie jest życie.

Kiedy uzyskała połączenie z kierownikiem działu u Dereka, Park obrała zupełnie inne podejście i powiedziała mu przyciszonym głosem, że Ben Hinnom ma zeznawać przed Kongresem w sprawie praktyk monopolistycznych, owszem, ale ma też mówić i o milenijnej pluskwie. Załatwiła sobie transport i nocleg przez przyjaciela, i... — spojrzała na Dana, czekając na jego potwierdzenie — ...wejdzie też na jego konferencję prasową — skinął głową — i czyż nie byłoby dużą pomocą dla jej zespołu i Dereka, gdyby przywiozła swój własny raport z przesłuchań i konferencji prasowej? A Sal oczywiście musiałby pojechać z nią z wiadomych względów. Potrzebowała jedynie jego zgody.

Park musiała zaczekać na połączenie i zdążyła przejść molem obok zejścia do diabelskiego koła, obok wypożyczalni rowerów, sprzedawcy balonów, obok ostatniego straganu z lemoniadą. Kierownik odezwał się w chwili, gdy przechodziła przez hałaśliwe rondo. Nie słysząc jego słów w panującym tam zgiełku, raz za razem powtarzała:

- Proszę powiedzieć to jeszcze raz. — Nic nie rozumiała.
- Jedną chwilkę, tylko przejdę przez ulicę.  
Pogalopowali na drugą stronę.
- Słucham, proszę mówić... Tak. Dobrze... Rozumiem... To ciekawe... Naprawdę... Naprawdę. Naprawdę?... Dziękuję.  
— Oddała telefon Danowi.
- Więc naprawdę co? — zaciekał się Dan.
- Dziwne — mruknęła Park. — Mój kierownik uważał, że cała ta wycieczka nie ma sensu. Liczy się każda minuta i mam stawić się jutro rano o świcie. Koniec, kropka. Ale powiedział, że musi się upewnić. W końcu — po długiej przerwie — odzywa się ponownie. Mówi, że zapytał swojego zwierzchnika, lecz z jakiejś przyczyny posłano go z tym pytaniem na samą górę, do Kuebitza, tego gościa, który przeprowadzał z nami rozmowę kwalifikacyjną dawno temu w Seattle. Opowiadałam ci o nim.
- To ten facet, który was zatrudnił — odparł Dan.
- Zgadza się. A doktor Kuebitz mówi kierownikowi, że byłoby dobrze, gdybym pojechała do Waszyngtonu i usłyszała wszystko na własne uszy. Derek Institute pokryje wszystkie koszty, na które nie zdążę zebrać funduszy.
- Bomba. Czyli ruszamy w drogę — podsumował Dan, w wyobraźni już pakując walizki.
- Potem mówi — dodała Park — że według Kuebitza, Sal też powinien jechać, nie powinien zostawać w domu. A jeśli będzie miał problemy z wejściem na salę obrad komisji i na konferencję prasową, mam zadzwonić do sekretarki Kuebitza.
- Jego? Kuebitza? — zapytał Dan obronnym tonem. — Kto go potrzebuje, żeby się dostać na salę. Masz przecież mnie.

- Cóż, ich organizacja mi się podoba, ale skąd ta nagła chęć współpracy? — zapytała Park.
- Firmy komputerowe są głupie — odparł Dan. — Wszystko trzeba robić na wyczucie. Za moich czasów, jeśli uderzyłeś szefa, ten najpierw ci oddawał, a potem wywalał na zbity pysk. Może po pół roku ktoś zdecydowałby się ponownie cię zatrudnić. Teraz klasyfikują to jako syndrom stresu w pracy, dają ci płatny urlop, fundują psychologa i gwarantują powrót na równorzędne stanowisko po zakończeniu kuracji. Park, gdybyś chciała wspiąć się na jakąś górę w Nepalu, żeby sprawdzić, czy rozrzedzone powietrze i tybetańskie hymny nie wpływają aby na jakość oprogramowania, zaaprobowałoby to i opisałoby cię w biuletynie zakładowym.

Zadzwoił StarTac Dana. Gert. Zarezerwowała trzy miejsca, odlot za dwie godziny.

- Wszystko w porządku — powiedział Dan. — Samochód odbierze cię sprzed domu i pojedzie po mnie.
- Czekaj, czekaj — wtrąciła Park, nadal próbując zwolnić tempo. — Co mam spakować? Jak należy się ubrać do Senatu?
- Weź coś ładnego. Potem wyskoczymy do jakiejś milej restauracji — odparł Dan, skręcając w stronę parkingu, by odebrać samochód.
- Coś ładnego? — wykrztusiła wzburzona Park. Zebrała myśli i oznajmiła z rezygnacją: — Niech ci będzie, coś ładnego.
- Stała w miejscu, wciąż oszołomiona, odprowadzając spojrzeniem Dana pędzącego po samochód. Ledwie zniknął za rogiem w wejściu na parking, a już wystawił z powrotem głowę i zawołał:
  - Fajnie jest, nie?

Zdumiona, otworzyła usta i przez parę sekund zastanawiała się, w co właściwie się pakuje. Potem pognała w stronę windy.

Dan wrzucił na siebie Armaniego i wcisnął do walizki dwie koszule od Billa Blassa. Dorzucając w ślad za nimi skarpetki i bieliznę, wydał głosową komendę swemu komputerowi:



- Utwórz katalog: Hinnom. — Potem: — Sieć.
- Załaduj Alta Vistę. — Wyszukiwarka załadowała się. — Szukaj „Ben Hinnom”.

Alta Vista znalazła 1 976 328 odniesień.

— Skasuj wszystkie odniesienia o stopniu relewancji poniżej sześćdziesięciu procent.

Pozostało 71 630.

— Skasuj wszystkie odniesienia o stopniu relewancji poniżej siedemdziesięciu procent. — Pozostało 53 412.

Dan położył na bagaż pięć krawatów, a potem dodał jeszcze szósty.

— Zapisz jako Hinnom ukośnik lewy Hinnom Sieć Surowe.

Dokładając do torby miniaturowe butelki Laphroaiga i Dalwhinnie, wydał dodatkowe polecenia:

— Otwórz Bloodhonda. — Na ekranie pojawił się wielki, warczący ogar o uroczych, brązowych uszach i oznajmił burkliwie:

— Bloodhound gotów. Czego mam szukać?

Dan sformułował zadanie:

— Pole główne „Ben Hinnom”. Zmienne „przestępstwo” odstępowanie „niewłaściwy” odstępowanie „zarzut” odstępowanie „samobójstwo” odstępowanie „morderstwo” odstępowanie „zabić” odstępowanie „oskarżyć”. Koniec. — Zastanowił się szybko. — Dodatkowa zmienna „Linzer”. L-I-N-Z-E-R.

Zapiął torbę. Bloodhound

odpowiedział:

— To bardzo długie wyszukiwanie. Zajmie... — Dan przerwał pakowanie i czekał, by komputer zakończył obliczenia i oznajmił: — ...sześćdziesiąt trzy minuty. Bloodhound gotów. Rozpocząć, anulować czy przełożyć?

— Przełożyć — odparł Dan. — Rozpocząć za pięć minut. Zamknąć okno i szukać w tle.

Dan otworzył czarny notebook Butterfly IBM-a. Kiedy to zrobił, składana klawiatura wysunęła się i zablokowała. Umocował niebieską wtyczkę ethernetową, wystukał parę poleceń, a potem wypowiedział następującą instrukcję:

— Kopiuj folder Hinnom z zawartością do notebooka. — Wy skoczyła ikona Butterfly i przez ekran zaczęły przepływać pliki.

Notebook potwierdził:

— Kopiowanie zakończone. Pozostało 2.6 gigabajta.

Na dworze zatrząbił klakson czarnego samochodu. Dan wsunął parę kompaktów do bocznej kieszeni torby, potem wystukał na klawiaturze notebooka „Hinnom”. Pojawił się folder Hinnoma z rezultatami przeszukiwania sieci oraz komenda Bloodhounnda, gotowa do realizacji za kilka minut. Dan głosem wydał polecenie Bloodhounndowi: „Przerwać do chwili odtworzenia połączenia z siecią”. Zatrzasnął wieczko Butterfly, zaczekał na złożenie się klawiatury. Przeszukiwanie rozpocznie się, kiedy Dan podłączy się do linii telefonicznej w swoim hotelu w Waszyngtonie.

Tuż przed wyjściem Dan odezwał się do swego głównego komputera:

— Uzbroidź zabezpieczenia. Czas aktywacji pięć minut. D. Levin. Hasło: „Hans Zimmer ma fraucymer”.

Zamknął drzwi, potem wsunął głowę do pomieszczenia, by zgasić światło. Główny, płaski, krystaliczny ekran wciąż lśnił w ciemności, na nim widniało ostatnie polecenie, trwało odliczanie. Dan wrócił do pokoju i powiedział:

— Rozbroić zabezpieczenia. D. Levin. Hasło: „John Barry jest za stary”.

Wyciągnął z szuflady dwa dodatkowe telefony StarTaca, sprawdził poziom baterii, dorzucił parę zapasowych i powiedział raz jeszcze:

— Uzbroidź zabezpieczenia. Czas aktywacji pięć minut. D. Levin. Hasło: „Hans Zimmer ma fraucymer”.

Ponownie zamknął drzwi frontowe i ponownie wsunął ponie-  
wczasie rękę do środka, by zgasić światło.

Dan wrzucił torbę do otwartego bagażnika samochodu. Zglądając przez okno, dostrzegł Park, lecz nigdzie nie widział Sala.

— Hej, gdzie twój syn?

— Nie udało mi się odciągnąć go od programowania bazy

danych — westchnęła. — Spakowałam jego rzeczy. Są w bagażniku. Ale powiedział, że potrzebuje jeszcze dwudziestu minut, więc woli dotrzeć na OHare metrem i poczekać na nas przy wejściu.

Dan wciągnął powietrze w płuca, zauważając bez przekonania:

— Hmm. Miejmy nadzieję, że zdąży na czas. Przesłuchanie zaczyna się o wpół do czwartej, a konferencja prasowa o szóstej, w sam raz na wieczorne wiadomości — również i w sieci częściowo kontrolowanej przez Hinnoma. Musimy złapać ten samolot.

Samochód pomknął Touhy Avenue, lawirując bocznymi uliczkami, by ominąć roboty drogowe na Kennedy Expressway. Park nigdy nie jechała na lotnisko w samochodzie z szoferem. Autobusem, metrem, nawet taksówką, jeśli było ją na to stać. Ale nigdy samochodem z szoferem. Nawet nie wiedziała, że istnieje coś takiego. Z wyglądu przypominał zupełnie normalny samochód. Nikt nawet nie podejrzewał, że osoba na tylnym siedzeniu jest zawożona przez szofera.

Park uznała, że nadeszła odpowiednia chwila.

— Dużo o mnie wiesz, szanowny panie — zaczęła. — A ja nie wiem o tobie nic.

— Jestem facetem cierpiącym na nałogową potrzebę pisania — odparł Dan.

— Eee, nie wykręcaj się sianem — skrzywiła się Park. — Paru rzeczy w ogóle nie rozumiem, a teraz jest doskonały moment, by mi je wyjaśnić, skoro mamy spędzić wspólny weekend w Waszyngtonie, a ja nawet cię nie znam.

Dan w oczekiwaniu przechylił głowę.

— Hej, podobno jesteś bogatym wydawcą, który zbił fortunę na sprzedaży swoich czasopism. Niby na emeryturze, ale to nieprawda. Więc dlaczego mieszkasz w małym domu w kiepskiej dzielnicy? Nie zrozum mnie źle. Uwielbiam go. Jest miłutki. Ale nie jest siedzibą milionera. I muszę zapytać — no, opowiedziałam ci wszystko o sobie — więc jesteś... jesteś żonaty czy rozwiedziony, czy w separacji... na jakim jesteś etapie?

Wtedy na ułamek sekundy Dan zmrużył oczy i zacisnął dłoń w pięść. *Jenny siedziała w wannie. Wyszła z niej, jej opalone ciało*

ociekalo wodą, wycierała się, rozmawiając z nim bez słów. Dan rozpoznał to spojrzenie i wyszedł na korytarz, by upewnić się, że Simon śpi. Był silnym chłopcem i jego jasne włosy odcinały się na błękitnie poduszki. Dan przytknął drzwi do pokoju Simona i wrócił do sypialni. Jenny leżała w łóżku, mokre włosy zawinęła w turban z ręcznika. Zamknął drzwi do sypialni, przekręcił zamek. Kiedy położył się przy niej, przysunęła się do niego, sięgając po łyk koniaku czekający na skraju łóżka, i powiedziała: „Za tydzień nasz świat zmieni się na zawsze”. Objął ją i odpowiedział: „Zmienia się tylko jego część. To, co najlepsze, pozostanie jak przedtem”. Wyciągnęła ku niemu ręce, mówiąc: „Doskonale się spisales. Kocham cię”. Dan zamrugał kilkakrotnie i rozprostował palce.

— Halo? — zapytała Park. — Jeszcze nie wystartowaliśmy, a ty już bujasz w obłokach.

Dan skwitował tę uwagę wzruszeniem ramion i odpowiedział na jej poprzednie pytanie:

— Ja? Jestem facetem z dużą ilością bagażu i paroma osobistymi opowieściami, których nie musisz na razie poznawać, bo zanudziły by cię na śmierć. Nie jestem żonaty, nie mam rodziny.

Kierowca udawał, że nie zwraca uwagi na rozmowę. Park sprawiała wrażenie rozczarowanej i niezadowolonej z odpowiedzi. Po co te tajemnice?

— Jestem pisarzem — dodał, by spacyfikować rysującą się na jej twarzy irytację. — To bardzo samotne zajęcie. Kiedy piszę, dzielę się wszystkim z całym światem, lecz prawie niczym z ludźmi wokół mnie. Ale teraz jestem tutaj — stwierdził od razu. — Podobnie jak ty. I moje dalekosiężne plany nie wybiegają poza niedzielny wieczór. Więc dobrze się zabawmy. Jeszcze porozmawiamy. Później, usłyszysz ode mnie wszystkie nudne szczegóły. Obiecuję. Zgoda?

Park nadal nie potrafiła przedostać się przez fortyfikacje jego umysłu. Dan błędnie zinterpretował jej milczenie jako przyzwolenie. Lecz w rzeczy wistości jego enigmatyczne i niekonsekwentne zachowanie niepokoiło ją znacznie bardziej, niż okazywała na zewnątrz. Niczym linie na autostradzie, jej myśli przemykały szybko i rozmywały się: Zbyt wiele tajemnic to niedobrze. Co ona wyprawia?

Weekend w Waszyngtonie z obcym facetem? Jej syn jest już w drodze na lotnisko, za późno, by powiedzieć „zawróćmy”. Ale kto chce zawracać? Czego obawia się ten dziwny człowiek? Dlaczego jego ogrodzenia są pod napięciem?

Uśmiechnęła się.

Dan odpowiedział uśmiechem. Niczego nie zrozumiał.

Kierowca pobił rekord trasy. Po dwudziestu sześciu minutach zatrzymał się przed terminalem United. Wskoczył z pojazdu, by otworzyć drzwi, pomóc z bagażem i wręczyć Danowi kopertę z biletami i szczegółami podróży. Dan schował ją, nie zaszczycając jej nawet jednym spojrzeniem, jak gdyby w przeszłości wręczano mu podobne koperty już setki razy.

We dwoje pognali do wejścia United, wlokąc za sobą bagaż, potem stali nerwowo w kolejce, wypatrując Sala. Kiedy stanęli przed stanowiskiem, z głośników rozlegało się ostatecznie wezwanie.

Przez krótką chwilę oczy Dana zwęziły się, dłonie stężyły. *Czy to Sekcja Specjalna? Czekam na lot 337. Czekam na lot 337. Czekam na lot 337.* Szarpnęła głową i zamrugał szybko.

Zadzwoił telefon na stanowisku.

— Wejście 41 — odpowiedział. — Właśnie startuje, proszę pana, za jakieś półtorej minuty... Proszę pana, jest pan w złym terminalu, po drugiej stronie lotniska... Nie, proszę pana, to zajmie panu przy najmniej dziesięć minut... Nie mogę tego zrobić. Proszę polecieć następnym, jest jeszcze dużo wolnych miejsc... To mogę zrobić. Jak wyglądają?... Widzę ją, czarny sweter, czerwona broszka. Dobrze, ale proszę przyjsz tutaj... Proszę nie spóźnić się na następną.

Pracownik linii lotniczej podszedł do Park.

— Pani Park McGuire?

Przytaknęła.

— Dzwonił pani syn. Jest na terminalu międzynarodowym, proszę nie pytać, jakim cudem. Następną samolot na DCA odlatuje za czterdzieści minut. Znajdę mu miejsce, jeśli da mi pani jego bilet.

Park zerknęła na Dana, przez ułamek sekundy zastanawiała się, czy nie zaczekać na następną lot, lecz potem uśmiechnęła się i powiedziała:

— Brzmi znajomo. To jego bilet — powiedziała, podając go.

Sal spóźnił się na ostatnie dwa samoloty. Odmowa przerwania sesji programowania oznaczała zbyt późne przybycie na lotnisko. Tak więc Park zaczynała się do tego przyzwyczajać. W kieszeni miał czterdzieści dolarów. Powinno wystarczyć. Na chwilę zabrała pracownikowi linii lotniczej bilet Sala, na kosztulce napisała „Zaczekaj na nas w hotelu »Jefferson«”. Weź taksówkę — kosztuje około dziesięciu dolarów.

— Popraw na piętnaście — podpowiedział Dan.

Napisała „10-15”, a potem dopisała numery komórek Dana i swojej.

— Teraz. Natychmiast — nalegał przedstawiciel United. Kiedy wpadli pędem na pokład, Dan zapytał:

— Jejku, czy ja go w ogóle kiedyś spotkam?

Park zachichotała i odparła:

— Dziś wieczór na obiedzie, mam nadzieję.

Drzwi samolotu zamknęły się za nimi, a parę chwil później Boeing 777 poderwał się z pasa startowego.

\*\*\*\*\*

Żółty gimbus zatrzymał się przy wartowni obok wjazdu na Kapitol. Wielkie betonowe klomby blokowały drogę. Snajper ze Służby Ochrony Kapitolu, ubrany w czarny połowy mundur, z dziewięćciomilimetrową beretą na biodrze, powoli wyminął zaporę wraz z umundurowanym strażnikiem.

— Na porannej odprawie mówili, że coś takiego może się zdarzyć — mruknął strażnik w mundurze. Zastukał do drzwi i wszedł do środka, podczas gdy snajper ostrożnie obszedł autobus od tyłu. W środku nikogo nie było widać.

Nagle pojawił się promieniejący uśmiechem Ben Hinnom, zataczając prawą ręką niewielkie półkole.

— Halo, halo, to tylko ja — zaśpiewał. — Nie wstydź się. Możesz wejść, tylko że to zabronione, więc zostań, gdzie jesteś, a ja zobaczę, w czym mogę ci pomóc.

Strażnik zdążył się przekonać, że w środku są tylko Hinnom i Linzer, więc spojrzął w dokumenty, mówiąc:

— Pan...

— Tak, zgadza się — przerwał mu Hinnom. — Ben Hinnom z Hinnom Computing, w drodze na posiedzenie Komisji Sądowniczej Senatu w celu złożenia zeznań. Zgodnie z zaproszeniem — raczej wezwaniem — ale to tylko czysta formalność. Hej, teraz, żeby być kimś w Waszyngtonie, trzeba przynajmniej raz dostać wezwanie do sądu. Mam rację? Nadeszła moja kolej.

— Tak, proszę pana. — Strażnik pokiwał głową. Snajper przesłał mu uspokajający sygnał z tyłu gimbusa.

— Proszę przejechać w to miejsce — pokazał strażnik — i zostawić kluczyki w stacyjce. Dalej my się nim zajmiemy.

— Nie ma sprawy — odparł Hinnom. — Żaden problem, żaden problem, żaden problem. Tylko że ja nie używam kluczyków. Po prostu ładnie proszę, a autobus mnie słucha — dodał, tłumiąc chichot. — Technologia identyfikacji głosu kryje w sobie taki potencjał. Gdzie zaparkować? Tam? Da się zrobić.

Pojazd zatoczył się na wskazane miejsce. Ben Hinnom i Linzer wysiedli. W tym czasie zebrał się wokół nich niewielki tłum. Najbogatszy i najpotężniejszy człowiek na świecie zstąpił pomiędzy zwykłych śmiertelników. Ludzie wyciągali szyje, by go zobaczyć. Linzer poszedł przodem, by zamienić parę słów ze strażnikami przy wejściu do senatu i usprawnić szefowi przejście przez bramkę w korytarzu.

— Cześć, cześć wszyscy — powiedział Hinnom, pokonując parę kroków dzielących wejście od punktu kontrolnego. Przeszedł przez wykrywacz metalu. Cisza.

— Może powinniście poprawić czułość — powiedział z pewnością w głosie, demonstracyjnie wyciągając swojego Windy'ego. — Przepuściliście to.

Strażniczka poprosiła go, by położył małeńki komputer na taśmie aparatu rentgenowskiego.

— Nie ma sprawy, nie ma sprawy — zaświergotał, wykonując prośbę strażniczki. Ku jej zgrozie, urządzenie nawet nie pojawiło się na ekranie.

- Proszę to uruchomić, żebyśmy mogli obejrzeć jego działanie na monitorze — poprosiła strażniczką.
- Jejku, nic trudnego. — Otworzył Windy'ego, wysunął rozkładany ekranik. Przycisnął parę klawiszy i obrócił go do strażniczki.
- Nic nie widzę — zauważyła służbowo beznamiętnym głosem.
- Hmm — odparł sztucznie przesadzonym tonem Hinnom. Szepnął coś nad palmtopem. Twarz strażniczki, uchwycona przez maleńką kamerę komputera, wypełniła nagle ekran, powtarzając jej dopiero co wypowiedziane słowa: „Nic nie widzę”. Hinnom przebiegł palcami po klawiaturze i wduśił ENTER, oznajmiając: — Może teraz będzie lepiej.

Windy raz jeszcze powtórzył nagrane słowa strażniczki, lecz tym razem odwrócone: „Widzę nie nic”. Strażniczka i jej podwładni byli zadziwieni.

- To fantastyczne — powiedziała, jak gdyby Hinnom przed sekundą postawił przed nią talerz z czekoladowymi ciasteczkami.
- Taka, szanowna pani strażnik, jest moc Windgazera — obwieścił Hinnom dramatycznym głosem. — Spójrzcie na ten niewielki obiekt i mikrofon — powiedział, wskazując na róg wieka. — Nasz program identyfikacji mowy konwertuje słowo mówione w pisane. To nic nowego. Pewna błękitna firma wprowadziła tę technologię na rynek parę lat temu. Ale my ją ulepszyliśmy. A kiedy coś ulepszymy, to już jest coś nowego. Teraz jestem w stanie powtórnie wpisać pani słowa, co samo w sobie nie jest niczym ekscytującym, i odtworzyć je tak, że zabrzmiały zupełnie inaczej niż poprzednio. — Z komputera wyskoczyła mała dyskietka zawierająca obraz strażniczki i plik dźwiękowy ze zmodyfikowanym zapisem jej głosu. Hinnom wręczył ją strażniczce, mówiąc radośnie: — Proszę. Oto pani.
- To maleństwo? — zapytała z podziwem, unosząc dyskietkę do światła. Niewielki tłum gapiów pożegnał oklaskami ruszającego charyzmatycznie w dalszą drogę Hinnoma. Linzer trzymał się go jak cień.

Po drodze na przesłuchanie Hinnom odwiedził męską toaletę. Linzer rutynowo sprawdził wszystkie kabiny, upewniając się, że są



puste, i pogrążył się w pracy na swoim Windym. Hinnom spojrział w lustro, poprawił włosy, wydmuchał nos w papierowy ręcznik. Lecz kiedy otworzył oczy, z przerażeniem ujrzał uśmiechającego się do niego sprzątacza. To był Raymond.

Raymond miał dodatkowy dwudziesty pierwszy chromosom. Tacy ludzie trafiają się raz na tysiąc ciąż, a każdego roku rodzi się ich zaledwie cztery tysiące. Lecz to właśnie czyni z nich osoby specjalne. Jedni z nich są lepsi od innych, a Raymond należał do tych lepszych.

Wyglądając elegancko w swym szarym kitlu pomocnika sprzątacza, Raymond był dumny z tego, że może opróżniać kosze na śmieci, spotykać ludzi i cieszyć się z tego, że żyje. Tak wiele pojmował z tego, co robili inni ludzie, znacznie więcej, niż ktokolwiek był skłonny uwierzyć. Raymond w podnieceniu próbował dzielić się swymi uczuciami, kiedy tylko mógł. Nikt nie miał podstępów, by się go obawiać.

Lecz kiedy Hinnom zobaczył Raymonda, aż skamieniał.

Na moment zapadła całkowita cisza. Przytłumione odgłosy z korytarza, kapiąca woda, nawet automatyczny odświeżacz powietrza rozpryskujący wonną mgiełkę co czterdzieści sekund — niczego nie było słyhać. Hinnom dygotał ze strachu, słowa uwięzły mu w gardle. Linzer wreszcie podniósł wzrok, zaniepokojony przeciągającym się milczeniem, ujrzał zastygłego w bezruchu Hinnoma i szybko wskoczył między nich, odpychając Raymonda.

Hinnom zdołał w końcu wydusić z siebie na bezdechu pojedyncze słowo:

— Down. — Wracając do życia, w miarę jak Linzer odpychał Raymonda coraz dalej, Hinnom zebrał dość sił, by wyjąkać: — Down. Down. Down. Zabierz ode mnie tego mongoloidalnego, skurwysyńskiego palanta z zespołem Downa. Zabierz go! Precz!

Linzer usiłował wypchnąć Raymonda za drzwi, lecz Raymond powtarzał z uporem:

— Ja sprzątam. Nie jestem niegrzeczny.

Linzer, z nienaganną uprzejmością, acz nieustępliwie, pchał dalej.

— Za drzwi. Bądź grzeczny. Za drzwi.

— Jestem grzeczny — zaprotestował Raymond, uśmiechając się nieskazitelnie. Spoglądając na Hinnoma, a potem na Linzera, nie umiał odmalować na swej twarzy swych uczuć ani znaleźć właściwych słów. Lecz Raymond już dawno spostrzegł różnicę między sobą a niemalże wszystkimi innymi ludźmi. Kochał wszystkich i często zastanawiał się, czemu nie wszyscy odwzajemniali tę miłość. Miłość sprawiała mu przyjemność. — Ja sprzątam. Mogę posprzątać? — zapytał niewinnie.

Linzer wypchnął go wreszcie na korytarz i powiedział:

— Tak, możesz tu posprzątać później. Teraz posprzątaj na górze, a potem wróć tutaj. Jest dobrze. — Ostatnie pchnięcie. — Na górę. Dobrze?

Wyjrawszy zza drzwi, by upewnić się, że Raymond rzeczywiście sobie poszedł, Linzer wrócił do wciąż rozdygotanego Hinnoma. Rozkładając szeroko ramiona kojącym gestem, Linzer spróbował uspokoić Hinnoma, tak jak rodzic uspokajałby spanikowane dziecko.

— Już dobrze. Poszedł sobie. Już dobrze.

Starając się zwalczyć niepokój, Hinnom powiedział cichym z początku głosem:

— Magnaci przemysłowi i senatorowie. Sam wiesz. Chiński sekretarz partii komunistycznej w zeszłym roku. Bankierzy, oni mi nie przeszkadzają. Wiesz, że mi nie przeszkadzają. Dajcie mi ich tutaj. Ale już ci mówiłem — teraz w jego głosie zabrzmiała wściekłość — żaden skretyniały sukinsyn z zespołem Downa nie ma prawa się do mnie zbliżyć. — Uspokoiwszy się zaledwie odrobinę, paplał dalej: — Mówiłem ci, żaden. Nawet jeden jedyny. Niech trzymają swoje obrzydliwe, uśmiechnięte, kartoflowate twarze i pokraczne cielska, na które je naklejono... z dala ode mnie. Nie chcę...

Linzer powoli oparł swe wciąż rozłożone ręce na ramionach Hinnoma, by go uspokoić.

— Wiem. To nic złego. Kto mógł wiedzieć, że ten mały dupek będzie tu sprzątał? To senat. Kto mógł wiedzieć. Ale już sobie poszedł. — Wskazał na drzwi i wzruszył ramionami. — Zobacz, już go tu nie ma. Mały pierdolony dupek już sobie poszedł.

Hinnom obciągnął krawat, podstawił złożoną w miseczkę dłoni

pod kranik pisuaru, spryskał sobie wodą zimną twarz, zrobił to raz jeszcze, a potem wypił odrobinę. Podczas gdy Linzer blokował drzwi kolanem, tak by nikt nie mógł wejść, Hinnom wytarł się papierowymi ręcznikami.

— Lepiej? — zapytał Linzer. — To dobrze. Teraz pora na przesłuchanie.

Okazała sala przesłuchań Komisji Sądowniczej senatora Provo zamieniła się w hałaśliwy cyrk, gdy czterej podekscytowani dyrektorzy firm komputerowych wraz ze swymi świtami, a wśród nich Bill Gates, założyciel Microsoftu, zaczęli krążyć wokół stołu dla świadków, rozmawiając nieoficjalnie z kilkudziesięcioma dziennikarzami. Fotografowie prasowi poobwieszani obiektywami Nikona i odziani w kamizelki khaki zaopatrzone w niezliczoną ilość kieszeni pozajmowali miejsca na widowni, kucając, by załadować nowy film. Młotek senatora Provo gwałtownie uciszył ten zgiełk, przeganiając wszystkich na wyznaczone im miejsca. Ożyły kamery telewizyjnej stacji informacyjnej C-SPAN i kamery wideo innych sieci telewizyjnych. Silniczki furkotały niczym maleńkie, roztańczone roboty. A dziennikarze prasowi zaczęli zawzięcie skrobać w swych spiętych spiralkami notesach, nerwowo sprawdzając ustawienie poziomu nagrywania na swoich magnetofonach.

Przez pół godziny pierwszych czterech świadków i senatorowie klócili się drobiazgowo o dokładną definicję pojęcia „monopol” i czy Hinnom Computing posiada go, albo czy w ogóle mógłby go posiadać. W pewnej chwili senator Provo poprosił Richarda Waggina, dyrektora Browser Media Corp., głównego rywala Hinnoma w sieci, o wyjaśnienie pewnej sprzeczności.

— Proszę pana — stwierdził senator Provo — twierdzi pan, że Hinnom ma monopol i że wykorzystuje swój system operacyjny Windgazer, by wypchnąć was z rynku, a przecież pańska przegłą darka, czyli, do protokołu, oprogramowanie, którego ludzie używają do surfowania po WWW, czyli graficznej części Internetu, zajmuje

teraz monopolistyczną pozycję. Kontrolujecie osiemdziesiąt procent rynku. Więc kto tu naprawdę jest monopolistą?

- Webcruise produkowany przez BMC kontrolował osiemdziesiąt procent rynku trzy miesiące temu — wypalił Waggin — a to dlatego, że stworzyliśmy coś, co ludzie chcieli ściągać z sieci i instalować na swoich komputerach. Według stanu na 30 lipca bieżącego roku Webcruise posiada pięćdziesiąt dziewięć procent rynku, a za rok o tej porze, jeśli nie prędzej, nie pozostanie po nas najmniejszy ślad z powodu powszechnej dominacji systemu operacyjnego Windgazer, systemu operacyjnego Hinnoma, który, jak to już wyjaśniałem, jest teraz fabrycznie instalowany na każdym komputerze, jaki kupują Amerykanie, także i pan. Ben Hinnom przyćmił nawet siedzącego obok mnie Billa Gatesa z Microsoftu. A to dlatego, że Windgazer instalowany obecnie w nowych komputerach zawiera też w sobie Webgazera. Nowsza wersja Webgazera, nad którą trwają już zaawansowane prace, automatycznie uruchamia się i kasuje nasz program z twardego dysku.
- Nie można go odtworzyć? — zapytał senator Provo.
- Owszem — odparł niechętnie Waggin — ale jedynie po czasochłonnych manipulacjach, które, prawdę powiedziawszy, ludzie z mojego własnego personelu uważają za tak irytujące, że często dają sobie z nimi spokój. Przeciętnemu człowiekowi znacznie łatwiej będzie po prostu przestawić się na Webgazera. Przy próbie zainstalowania naszego produktu, Webcruise, z sieci, a nawet z dysku, przy próbie otworzenia strony nie dostosowanej do przeglądania pod Webgazerem Hinnoma, okazuje się, że Webgazer jest zupełnie niekompatybilny ze wszystkimi innymi przeglądarkami, łącznie z naszą. Zostaniemy zupełnie wyparci z rynku. Jednocześnie Ben Hinnom uzyska kontrolę nad tym, co ludzie będą oglądać i mówić. Stanie się właścicielem sieci, promenady i domu schadzek następnego pokolenia, a właściwie już tego pokolenia.
- A to dlaczego? — zapytał senator Provo.
- Ponieważ — wyjaśnił Waggin — jak już mówiłem, będzie można oglądać jedynie strony dostosowane do Webgazera. Wkrótce każde połączenie z siecią będzie przechodzić przez centralny dystry-

butor Hinnoma. Technologia, której wykorzystanie my sami zalecałiśmy tak namiętnie, oprogramowanie wykorzystywane przez szkoły, biblioteki i providerów sieciowych takich jak AOL do filtrowania i blokowania treści pornograficznych i rasistowskich zostało potężnie wzmocnione przez Hinnom Computing. Wykorzystując swój centralny dystrybutor i automatyczne połączenia wbudowane w Windgazera, pan Hinnom będzie w stanie zablokować każdą stronę, której treść nie przypadnie mu do gustu. Nawet filtrować poszczególne słowa. Wszystko będzie podlegało blokowaniu z Seattle. Browser Media szacuje, że Hinnom Computing od osiągnięcia tego celu dzielił niecałe dwa lata.

Jeśli komuś nie podoba się AOL — mówił Waggin — może przenieść się do CompuServe, Delphi albo GENie, skorzystać z innych providerów albo łączyć się bezpośrednio przez Internet. Lecz Webgazer wszystko zmieni. I niewielu ludzi będzie w ogóle zdawało sobie sprawę z tego, że Hinnom kontroluje ich dostęp do sieci. Pan może myśleć, że łączy się bezpośrednio ze stroną Senatu, lecz tak naprawdę to Hinnom kontroluje połączenie. W mgnieniu oka jeden człowiek w centrali Hinnoma może wpisać parę słów do programu blokującego. Niech wpisze „senator Provo”, a wszelkie wzmianki o panu, senatorze, znikną. Jeśli panu Hinnomowi nie spodoba się zawartość strony z pierwszą poprawką do Konstytucji, użytkownik chcący się do niej zalogować ujrzy na ekranie jedynie komunikat o błędzie. Proszę pamiętać — podkreślił z naciskiem Waggin — kiedy Webgazer Hinnoma opanuje rynek, dobiegnie końca epoka płataniny różnorodnych połączeń, powiązanych ze sobą autonomicznych ścieżek dostępu, jakie, na dobre i na złe, tworzą to, co znamy jako Internet, niezależny system przypominający system dróg kołowych Ameryki: wielkie między stanowe autostrady, lokalne drogi szybkiego ruchu, główne aleje, boczne uliczki, a nawet zaułki i ślepe alejki. Jeśli Hinnom zrealizuje swe zamiary, obecny chaotyczny, oparty na konkurencji system zastąpiony zostanie systemem kontrolowanym, który dzięki wszechobecnej, monopolistycznej, fabrycznie instalowanej technologii kierować będzie wszystkie połączenia przez jedną piastę. W pierwszym wieku ma-

wiano, że wszystkie drogi prowadzą do Rzymu. W wieku dwudziestym pierwszym wszystkie arterie informacyjne prowadzić będą do Hinnoma.

— Dzięki jego innowacyjności czy praktykom monopolistycznym? — zapytał sceptycznie senator Provo, spoglądając z ukosa na kolegów. — Kompetencje tej komisji pozwalają jej na zajęcie się tylko tą jedną sprawą. Tak więc pytam ponownie, jak należy zdefiniować pojęcie monopolu?

Waggin odwrócił się w stronę zgromadzonej licznie publiczności i ogłosił:

— Oto moja definicja. Proszę wszystkich z państwa, którzy używają komputera osobistego, o podniesienie ręki.

Powoli uniosło się parę dłoni.

— Nie, nie, wszystkich — zachęcił ich. — Dalej. Proszę użyć kowników komputerów osobistych o podniesienie ręki.

Niemal cała galeria uniosła wysoko ręce.

— A teraz proszę tych z państwa, którzy używają systemu operacyjnego Windgazer oferowanego przez Hinnom Computing, o opuszczenie ręki. — Wszyscy zebrani opuścili ręce. Ani jedna dłoń nie pozostała w górze. — Panie przewodniczący — stwierdził Waggin — oto monopol. Podręcznikowa definicja.

— Nie według mojego słownika — oznajmił tryskający dobrym humorem głos z tylnych rzędów. To Hinnom przeciskał się przez widownię i reporterów. — Przepraszam, przepraszam, przepraszam za spóźnienie. Ugrzęzłem w toalecie. Możecie w to uwierzyć? Ale oto jestem. Oto jestem. — Senator Provo zarządził krótką przerwę, by przywrócić porządek na sali. Kiedy Hinnom szedł przejściem między fotelami widowni, najbliżsi ludzie z entuzjazmem ściskali jego dłonie. Grając pod publiczność, Hinnom rozdawał wszystkim czarne dyskietki demonstracyjne Windgazera. — Będziecie zachwyceni — powtarzał teatralnie za każdym razem. Mijając Billa Gatesa, Hinnom po prostu udał, że go nie zauważa.

Większość senatorów, choć nie wszyscy — Patton, Kearny, nawet Provo — opuścili swe miejsca za wygiętym stołem prezydialnym, by przywitać się z Hinnmem — obecnie najbogatszym czło-

wiekami na świecie. Z niezgrabną pewnością siebie Hinnom używał obu rąk, by uścisnąć jak najwięcej dłoni. Każdy z senatorów wygłaszał zgrabną, zażenowaną formułkę o komputerach: „Chciałbym mieć szybsze połączenie”, „Nie rozróżniam REM-u od RAM-u” czy „Kiedy mam jakiś problem, mój sześciolatek oferuje się z pomocą”. W odpowiedzi na każdą taką uwagę Hinnom wspaniałomyślnie wręczał dyskietkę diagnostyczną i mówił:

— Proszę to załadować, wdusić F10, potem F4. To pomoże.

Senator Provo poskarżył się pogodnie:

— Mówi się o mnie, że mam niesprawną kość pamięci i że brakuje mi miejsca na twardym dysku. Chciałbym wiedzieć, co to znaczy. — Hinnom rozpoczął błyskotliwą odpowiedź, lecz zakłopotany senator Provo powiedział nagle: — No, cóż... możemy wznosić posiedzenie?

Hinnom odparł przebiegle, błyskawicznie zmienionym, znamionującym doświadczenie w polityce głosem:

— Wszyscy musimy zrozumieć istotę znaczących wyzwań, jakie nas czekają. Mam nadzieję, że to bezprecedensowe przesłuchanie w tym pomoże. Tak, panie senatorze, jestem gotów.

Senator Provo serią uderzeń młotka przywrócił spokój na sali i zaprzysiął Hinnoma. Nieoczekiwanie, w chwili gdy senator Provo rozpoczął wygłaszać krótkie wprowadzenie, obrady zostały zakłócone. W milczeniu trzech demonstrantów podniosło się ze swych miejsc. Niczym na scenie, zdjęli krawaty, potem koszule, odsłaniając wygolone torsy opisane grubą warstwą czarnej farby. Pierwszy tors: BRÓNCIE. Drugi tors: NASZYCH. Trzeci tors: DANYCH. Demonstranci stali bez słów, podczas gdy na sali podniósł się hałas. Osoby sympatyzujące z tym przesłaniem pokrzykiwały z aprobatą. Trzask przesłoniętych aparatów fotograficznych przypominał odgłos roju szarańczy, kiedy reporterzy rzucili się w ich stronę z pytaniami.

Trzej sztywno wyprostowani demonstranci nie odpowiadali, nawet nie odwracali głów ku dziennikarzom.

Łomocząc głośno, by przywrócić porządek, senator Provo polecił ochronie usunąć całą trójkę z sali. Stali wyprostowani, wpatrując

się bezpośrednio w Hinnoma, podczas gdy strażnicy przeskakiwali przez rzędy foteli, by ich odciągnąć. W końcu zamieszanie ustało.

Potem senator Provo zadał kilka prostych pytań, na które Hinnom wprawnie udzielił doskonałych, idealnie sformułowanych i przeciwicznych odpowiedzi. Zeznanie szło dobrze. Hinnom nie mógł się powstrzymać, by nie mrugnąć do Linzera.

Lecz kiedy senator Provo nie miał już więcej pytań, udzielił głosu kłótliwemu senatorowi Eltowi z Karoliny Północnej. Dociągający setki senator Eltz był zdecydowanie najstarszym członkiem Senatu i był z tego dumny. Jego umysł ukształtowała pierwsza wojna światowa, trwale wyżyłobiła druga wojna światowa, wystawiła na próbę wojna w Korei, pobruździła wojna w Wietnamie, utwardziła zimna wojna i pomściła wojna w Zatoce, i niewielu ludzi przypuszczało, że senator Eltz był wystarczająco na bieżąco, by zrozumieć to najnowsze starcie, wojnę systemów operacyjnych. Tymczasem on pojmował doskonale, że ten nowy konflikt był bitwą nie o terytorium, zdobycze czy czystość rasową, lecz bojem na śmierć i życie o kontrolę nad globalnym przepływem informacji i jednocześnie o zapanowanie nad samą istotą człowieczeństwa. Ten starzec miał ich teraz zaskoczyć.

— Panie Hinnom — zaczął senator Eltz — mam nadzieję, że pozwoli mi pan zadać sobie pytanie. Pan wie, że nie jestem taki głupi, na jakiego wyglądam. — Publiczność zaśmiała się uprzejmie. — O tak, jeździłem fordem T w Raleigh i do Senatu wybrali mnie farmerzy, sól tej ziemi, którzy wiedzieli, na czym polega różnica między życiem z pracy w pocie czoła a życiem z pracy w pocie czoła innych.

— Niemniej jednak, od czasu mojego pierwszego samochodu — mówił dalej — świat trochę się zmienił. Raleigh i inne miejscowości w Karolinie Północnej stały się ośrodkami nowoczesnych technologii. Wielu moich wyborców utrzymuje się dzięki nim. Podobnie jak wielu sponsorów moich kampanii wyborczych, muszę o tym nadmienić.

Publiczność ponownie się roześmiała.



- Znam — zapewnił go senator Eltz — różnicę między modelem T wyprodukowanym przez Ford Motor Company a okablowaniem typu T-1 o szybkości przesyłu większej od paru tuzinów ISDN-ów\* do kupy wziętych i przewiązanych czerwoną wstążką. Wiem nawet, że T-3 bije na głowę całą wiązkę T-1. Żałuję jak cholera, że nie mamy czegoś takiego w moim biurze wyborczym. A teraz, skoro już to sobie wyjaśniliśmy, zadam panu parę pytań i za pańskim pozwoleniem postaram się zrozumieć pańskie odpowiedzi.
- Panie Hinnom — zagrzmiął senator Eltz — jak odpowie pan na zarzut, że dąży pan do uzyskania globalnego monopolu w środkach masowego przekazu?

Pytanie całkowicie zaskoczyło Hinnoma.

- Moja firma nie posiada żadnych dzienników ani stacji radiowych — zaczął się bronić — żadnych studiów filmowych, a nasz dział wydawniczy publikuje jedynie poradniki i techniczne książki komputerowe. Owszem, wraz z jedną z największych sieci telewizyjnych mamy pięćdziesiąt procent udziałów w jednym kablowym programie informacyjnym, HCTV, z którego można korzystać interaktywnie przez Internet. Ale to tylko jedna z dziesiątek stacji kablowych. I, szczerze mówiąc, HCTV nie wiedzie się najlepiej. Trudno nas nazwać międzynarodowym monopolistą medialnym. — Hinnom uśmiechnął się, a na widowni rozległy się przyciszone śmiechki. Rozejrzał się, z wyraźnym zadowoleniem witając te odgłosy. — Gdyby tak było — dodał, ponownie zdobywając przelotną aprobatę publiczności — mielibyśmy lepszą prasę.
- Proszę pana, codziennie czytam „The Washington Post” i „The New York Times” — stwierdził senator Eltz. — I oglądam poranne oraz wieczorne wiadomości w telewizji. Ale czy nie jest prawdą, że pan i pańskie Hinnom Computing cichaczem wykupujecie technologię kablową i internetową potrzebną, by przekształcić telewizor w skomputeryzowaną konsolę informacyjną podłączoną do Internetu? A do przejścia Internetu także się pan sposobie. Kiedyś, o ile dopnie pan swego, panie Hinnom, telewizor, przed którym

\* ISDN, Integrated Services Digital Network — cyfrowa sieć usług zintegrowanych.

wychowałem się w Raleigh, stanie się czymś więcej niż tylko czarno-białą *Myszka Mickey* i *The Honeymooners*. Będzie wielofunkcyjnym urządzeniem komunikacyjnym. Hinnom nie odpowiedział.

— Zastanówmy się — powiedział senator Eltz, niemalże z roz-targnieniem przeglądając jakieś papiery, by wyciągnąć z kieszeni popisaną serwetkę. — Ten telewizor w rodzinnym salonie stanie się wielosystemowym centrum rozrywkowym i informacyjnym wysokiej rozdzielczości, zaopatrzonym w interaktywny telefon oraz obsługiwany drogą radiową komputer wraz z klawiaturą i kolorową drukarką. To urządzenie będzie pobierać i wysyłać informacje — wszystko, co obdarzona zdolnościami twórczymi ludzkość będzie w stanie napisać i narysować, od dzienników i miesięczników po wszelkiego rodzaju dane w postaci dźwięków i obrazów. Ten tak zwany telewizor podłączony będzie do wszystkich urządzeń do mówych, wszystkich pomieszczeń w całym domu i wszystkich biur w budynku. Ta osobista sieć będzie towarzyszyć nam nawet w po dróży. Słyszałem, że przygotowuje pan osobiste mikroprocesory identyfikacyjne, które montowane w podeszwach butów, będą łą czyć się ze sobą podczas uścisku dłoni. I to w niezbyt odległej przyszłości, proszę pana. Widziałem prezentację tego systemu na MIT. Na miłość boską, pański komputer będzie znał wszystkich spotykających się ludzi i będzie wiedział o nich wszystko. Prawdę mówiąc — dodał senator Eltz — wszyscy będą połączeni ze wszyst kimi. Wszyscy będą połączeni. Za pańskim pośrednictwem!

Senator Eltz odrobinę podniósł głos.

— Proszę pana. Czy nie uważa pan, że Internet będzie jedynym łączącym się medium przekazu informacji w dwudziestym pierw szym wieku?

Hinnom mógł tylko odpowiedzieć:

— Tak.

— Wie pan, panie Hinnom, że żadna pojedyncza kompania nigdy nie kontrolowała drukarni, fal radiowych, nawet sieci kablowych w Stanach Zjednoczonych. Radio starało się zastąpić papier — bez powodzenia — mogło jedynie walczyć o uszy społeczeństwa.

I spisało się cholernie dobrze. Moje pokolenie to wie. Telewizja starała się zastąpić radio, bez powodzenia — dlatego że musiała konkurować w wolnym środowisku i ludzie mogli wybierać, co chcą oglądać. Poprzednie pokolenie to wie. Lecz jeśli uda się panu przejąć kontrolę nad Internetem, panie Hinnom, era konkurencji w informacji i łączności dobiegnie końca. Sądzę, iż pańskie pokolenie to wie. Dlatego pytam pana ponownie, miły panie: czy dąży pan do uzyskania globalnego monopolu w środkach masowego przekazu? Czy nie jest prawdą, że wszystkie połączenia będą przechodzić przez pańską firmę? A pan będzie miał techniczne możliwości, by rozłączać nas do woli jednym naciśnięciem klawisza?

Wyraźnie wstrząśnięty Hinnom starał się zapanować nad nerwami.

— Czy chce pan zastąpić Hinnom Computing? — wypalił poruszony. — Próbuje pan stłamsić nasze innowacje albo ukarać nas za ich wprowadzanie? Wszechświat nienawidzi przypadkowej działalności. Uwielbia zorganizowaną myśl.

Hinnom pozwolił sobie na uszczypliwość, lecz w porę się zorientował. Obliznął górną wargę, wziął głęboki oddech i zwrócił się do senatora Provo, w którym upatrywał swego stronnika w komisji.

Wracając do eleganckiego stylu wystawiania się, Hinnom zapewnił:

— Panie senatorze. Wielkość naszego narodu zbudowana została na potęgę naszych ideałów. Amerykański styl życia promuje twórczą i wynalazczą myśl — i ducha przedsiębiorczości. Amerykańskie prawo chroni tego ducha i stwarza środowisko, w którym może rozkwitać. — Ich oczy spotkały się porozumiewawczo. — Obecne stulecie dobiega końca, nadchodzi ostatnia chwila, by przygotować się na następne. Ludzie pańskiego pokroju mają wizję przyszłości. — Hinnom utkwiał hipnotyzujące spojrzenie w senatorze. — Ludzie pańskiego pokroju mają wizję przyszłości. Ja też ją mam, panowie. Sens mojej wizji sprowadza się do tego, by stanąć na progu następnej wizji. Ktoś inny może zajmować się problemami współczesności. Wy i ja musimy szukać rozwiązań problemów przyszłości.

Obracając się w stronę senatora Eltza, Hinnom zanucił miękkim głosem:

— My z Hinnom Computing dołączamy do tych, przed którymi stoi wyzwanie wsparcia ludzkości we wspięciu się na następny poziom... — Senator wyglądał na znudzonego. Podczas chmurnych przemówień zwykł pograżać się w rozmyślaniach. Hinnom zerknął na Linzera, który skinął lekko głową, a potem z namaszczeniem przycisnął klawisz ENTER na swoim Windym. Hinnom zerknął dyskretnie na swój ekran i mówił dalej bez najmniejszego zająknięcia: — ...a gdybym był małym chłopcem i płakałbym w stodole, czerwonej stodole z wyłamanymi drzwiami, bo mój ojciec zbił mnie pasem za ucieczkę ze szkoły... — senator Eltz wyprostował się, jak gdyby ktoś wbił gwóźdź w jego psychikę — ...cóż, wtedy zrozu miałbym, że dzisiaj stajemy przed możliwościami spojrzenia poza horyzont, możliwościami takim jak te, które czekały na Krzysztofa Kolumba, Lewisa i Clarka czy Johna Glenna.

Senator Eltz wyglądał na zdezorientowanego. Nie mógł uwierzyć własnym uszom.

Hinnom ciągnął dalej:

— ..Podczas naszej eksploracji musimy otwierać się bez cienia samolubności, tak by, owszem, nasze techniczne osiągnięcia przez ściowo wzbogacały tych, którzy pioniersko wprowadzają je w życie, ale i umożliwiały użytkownikowi wzbogacanie się w dłuższym okresie, czy jest nim rekin biznesu, czy też chłopiec zamknięty w szafce na narzędzia rolnicze, z płaczem błagający o wybaczenie, tulący do piersi stłuczone kolano...

Senator Eltz był oszołomiony. Podniósł się powoli, jego lewa ręka dygotała niepoohamowanie.

— ...Ponieważ wielcy i maluczcy wśród nas zrównają się ze sobą, gdy technologia zakończy ostateczny proces demokratyzacji społeczeństwa. Jedynie technologia jest prawdziwie ślepa na religię, rasę i pochodzenie. Technologia wyzwoli ten świat. Oto mój dar dla ludzkości. Ofiaruję wam owoc z mego ogrodu technologii. Zapraszam, byście wykrawali z niego najsmakowitsze kąski.

Uwaga większości słuchaczy zaprzątnięta była wypowiedzią

Hinnoma i ledwie zauważali jego oratorskie zapędy. Twarz senatora Eltza zbielelała jak kreda. Jego asystenci podbiegli do niego, a on zatoczył się, jakby miał zemdleć. Odepchnął ich, lecz potem osunął się niemalże bezwładnie. Odepchnął ich ponownie. Prostując się i nie odrywając oczu od Hinnoma, senator powiedział drżącym głosem:

— Panie przewodniczący, nie czuję się najlepiej. Proszę o odroczenie posiedzenia. Czy moglibyśmy wznović je w poniedziałek?

Senator Provo zgodził się, lecz w tej samej chwili senator Eltz uniósł rękę, właściwie zaledwie parę palców, wyciągnął ją w stronę Hinnoma i ostrzegł go surowym, choć roztrzęsionym głosem:

— Szanowny panie, nie powiedziałem jeszcze ostatniego słowa, podobnie jak naród amerykański.

Trzask aparatów fotograficznych sprawiał wrażenie, jakby powróciła szarańcza. Dziesiątki mówiących jednocześnie ludzi wypełniły salę stłumionym harmidrem. Hinnom ruszył w stronę wyjścia, podając ręce na lewo i na prawo, podczas gdy wszyscy widzowie starali się go dotknąć i pomacać.

W tyle sali, nie zauważony przez nikogo, z kamienną twarzą i zmużonymi oczami stał Dan. Park kryła się tuż za nim i delikatnie ścisłała go za ramię.

## 6 WINDGAZER

Niektórzy ludzie uważają historycznego „Willarda” za oficjalny hotel Waszyngtonu. Lincoln nocował w nim, czekając na inaugurację. Pojęcie „lobbying” powstało, kiedy grupy interesantów zaczęły nachodzić prezydenta Granta, gdy ten palił swe cygara i popijał brandy w lobby „Willarda”. Zagraniczni dygnitarze toczyli delikatne rozmowy wagi państwowej w jego eleganckich pokojach. Traktaty

pokojowe negocjowane były w jego skrytych w alkowach barach. Sławy show-biznesu zatrzymują się w nim tylko po to, by dodać swe nazwisko do legendarnej listy gości „Willarda”.

Pod względem rozwiązań architektonicznych „Willard” wygląda tak, jakby został żywcem przeniesiony z lewobrzeżnego Paryża jako realny podarunek dla stolicy. Zmodernizowany na początku dwudziestego wieku przez tego samego architekta, który stworzył nowojorskie hotele „Plaża” i „Waldorf-Astoria”, „Willard” ze swymi mansardowymi dachami, ozdobnymi kalenicami i wyszukаныmi kominami stanowi kwintesencję architektury beaux-arts drugiego cesarstwa. Lecz jego wnętrze jest typowo amerykańskie. Eleganckie lobby ozdobione jest pieczęciami wszystkich pięćdziesięciu stanów namalowanymi na suficie. Ciche bary, wyposażone niczym szynkowne, prywatne kluby i skryte w niszach ścian, obsługują współczesnych wpływowych obywateli tak samo, jak kiedyś baronów kolei żelaznych i rekinów żeglugi oceanicznej. A wykonana w mahoniu recepcja z przełomu wieków, jaką można było kiedyś spotkać w każdym banku pogranicza, wymownie dowodzi szacunku żywionego w „Willardzie” dla małomiasteczkowej Ameryki.

Ruch przed frontowym wejściem do „Willarda”, zawsze zapchanym taksówkami, długimi limuzynami, korpulentnymi mężczyznami w smokingach i szczupłymi kobietami obwieszonymi diamentami, zamarł, jak należało się spodziewać, kiedy zatrzymał się tam żółty gimbus. Parkingowi w niebieskich kurtkach, o palcach przyzwyczajonych do dotyku kluczyków smukłych masserati, ducati, fordów, a od czasu do czasu nawet i silver phantoma, uznali, że miejsce tego żałosnego wehikułu jest na wiejskiej drodze, nie zaś na podjeździe „Willarda”.

Lecz portierzy-weterani nie dali się zmylić. Natychmiast poznali, kim jest ich szczególnie gość. Wychodząc z pojazdu, Hinnom ceremonialnie obdarował ich podpisanymi przez siebie kompaktami z Windgazerem zamiast napiwków. Linzer obserwował ich uważnym wzrokiem. A tłum gości hotelowych przelewający się przez drzwi zamarł w miejscu, wgapiając się nachalnie.

Menedżer „Willarda” wybiegił na spotkanie, by zaprowadzić ich do hotelu. Z boku stała gromada rzeczników prasowych i dyrektorów działów, którzy przyjechali w ślad za zwierzchnikiem osobnym autobusem. Wszyscy wjechali na drugie piętro, gdzie nieduża sala balowa zaadaptowana została do potrzeb konferencji prasowej. Tam czekał na nich oddział czołowy, złożony ze specjalistów od kontaktów z mediami, ubranych jednolicie w ciemne spodnie i beżowe koszule z logo w kształcie uniesionego ku górze kciuka.

W sali balowej miała się odbyć właściwa konferencja prasowa. Technicy w dzinsach pospiesznie kończyli rozwijać, mocować i zabezpieczać czarną taśmą kable konieczne do przeprowadzenia tej imprezy. Sąsiednia, niewielka sala konferencyjna posłużyć miała za prowizoryczną centralę. Na jej drzwiach naklejono już arkusz firmowego papieru Hinnom Computing z odręcznym napisem „Konferencja prasowa Hinnom Computing — centrala”. Wewnątrz technicy rozstawiali niezbędny sprzęt: dwa fakсы —jeden do wysyłania, drugi do przyjmowania wiadomości — oraz cztery laptopy komunikujące się falami radiowymi z serwerem wielkości pojemnika na drugie śniadanie, który z kolei podłączony był do całego rzędu kolorowych i czarno-białych drukarek laserowych, stojących równą linią pod ścianą. Dywizja krótkofalówek zaopatrzonych w świeże baterie, sterczała pionowo przy drzwiach, migocząc kontrolkami w swych łądowarkach.

Cały ten niezbędny sprzęt komunikacyjny uzupełniały bajery i śmiecie nieodzowne przy imprezach medialnych. W kącie stały dwa świeżo otwarte pudła z czarnymi T-shirtami Windgazera i czapkami baseballowymi z haftowanym logo oznajmującym: „Nasz zegar nie przestanie tykać”, na tle kartki z kalendarza z pierwszego stycznia 2000. Wszędzie pełno było pojemników z podkładkami pod myszy, dyskietkami demonstracyjnymi i w pełni funkcjonalnymi wersjami Windgazera, wyposażonymi w jedno i to samo logo Windgazera, przygotowanymi do rozdania wśród przybyłych na konferencję dziennikarzy.

Specjaliści od public relations wyznaczyli zwyczajowy perymetr tuż przed pomieszczeniami oddanymi Hinnomowi do użytku na czas konferencji prasowej, stawiając w poprzek korytarza stół recepcyjny. Pod stołem znajdował się karton FedEx-u, z którego wysypywały się lśniące foldery zaopatrzone w logo Windgazera i mottem „Nasz zegar nie przestanie tykać”. Każdy folder zawierał fotografię Bena Hinnoma, kartkę z podstawowymi informacjami o Windgazerze, dyskietkę demonstracyjną i starannie wyedytowany transkrypt uwag Hinnoma przed Komisją Sądowniczą, przygotowany, skopiowany i dołączony do folderów zaledwie kilka chwil wcześniej. W prawej kieszeni foldera tkwiła mała, zaklejona koperta oznaczona „KT”. Do każdego kompletu przypięta była samoprzylepna kartka z nazwiskiem dziennikarza, wydrukowana na przenośnym urządzeniu w korytarzu.

Na dany sygnał, ubrana w mini stażystka, Jan, z działu medialnego zaczęła rzędami rozkładać zestawy dla dziennikarzy, porządkując je alfabetycznie. Każdy reporter miał otrzymać swój komplet na zakończenie rejestracji. Parę nie oznakowanych folderów było przygotowane dla nieoczekiwanych dziennikarzy, którzy zawsze mogli wpaść na konferencję. Ich nazwiska należało w takim wypadku wpisać odręcznie. Zadaniem Jan było dopilnowanie, by tylko dziennikarze z odpowiednią akredytacją wchodzili na salę. Korzystając z pomocy szeregowego strażnika wynajętego przez miejscową agencję, miała starannie sprawdzać, czy wchodzący posiadają przepustkę wydaną przez biuro prasowe Senatu albo zaświadczenie z policji w przypadku dziennikarzy zamiejscowych. Nie ma wejścia bez legitymacji prasowej. Taka była zasada.

Kiedy otworzyły się drzwi windy, Dan i Park wraz z całą resztą przybyłych powitani zostali przez dwóch pracowników działu medialnego, którzy skierowali ich na lewo, w stronę recepcji.

- Nie mamy niezbędnych dokumentów — szepnął Dan, kiedy ruszyli w stronę stołu, przygotowując się na nieoczekiwane.
- Myślałam, że jesteś dziennikarzem — odszepnęła nerwowo.
  - Przecież musisz mieć legitymację prasową.



— Kiedy sprzedałem moje tytuły — wyjaśnił Dan z zakłopotaniem — musiałem ją zwrócić policji w Chicago. Oni wydają przepustki dla prasy. Bez niej nigdzie nie wejść. — Potem dodał z ociąganiem: — Pewnie mógłbym ją odnowić.

— Więc? — zapytała.

— No — wyjąkał — to zajmie parę tygodni. Trzeba stanąć przed komisją i takie tam.

Sznur dziennikarzy zbliżył się do stołu recepcyjnego.

— W takim razie jak wejdziemy na salę? — zapytała cichym, melodyjnym głosem.

— Żaden problem — mruknął, dodając: — Stój w kolejce i nie panikuj. — Dan wyciągnął z torby przenośny magnetofon Sony. — Proszę. Trzymaj wysoko — podniósł rękę — na widoku, tak by zauważyli.

Potem przecisnął się przez tłum do recepcji, obłożonej przez dziennikarzy usiłujących wejść na salę. Przytłoczona Jan usiłowała weryfikować legitymacje, odpowiadać na pytania i zgrabnie podawać zestawy medialne napierającym reporterom. Wśród tego zamieszania Dan wyłonił się znikąd, położył rękę na ramieniu dziewczyny i powiedział zdecydowanym tonem:

— Jan.

Praktykantka spojrzała na niego zbita z tropu.

— Jan — poinstruował ją. — Widzisz tę dziewczynę z magnetofonem, ciemny sweter z magnetofonem. Jest ze mną. Daj jej dodatkowy zestaw i wpuść do środka.

Jan, opadnięta przez dwunastu ludzi mówiących do niej jednocześnie, omiotła Park szybkim spojrzeniem, posłała Danowi firmowy uśmiech i odparła:

— Jasne.

Dan złapał folder i wszedł nie zatrzymywany na salę, przystając tylko na moment, by klepnąć strażnika po ramieniu i powiedzieć mu:

— Tamta laska jest ze mną.

Parę minut później Park podeszła do recepcji, mówiąc:

— Nagrywam dźwięk dla tamtego faceta.

Jan bez pytania wpuściła ją do środka.

Stojąc u boku Dana w zatłoczonej sali, nie zważając na panującą w niej hałas, Park spojrzała na Dana spod uniesionych brwi i zapytała:

— Często łamiesz przepisy?

Dan złośliwie zbył to pytanie zwięzłym: „Nie”. Park nawet nie próbowała mu uwierzyć.

Widząc, jak inni otwierają swoje notebooki i laptopy, zapytała Dana:

- Sprawiasz wrażenie zorientowanego w tematyce komputerowej. Ale czy naprawdę znasz się na szczegółach?
- Owszem, orientuję się — odparł Dan, chowając się za cienką zasłoną brawury. — Cholernie dobrze się orientuję. Cały mój dom jest osieciowany i zautomatyzowany. Zainstalowałem technologię rozpoznawania mowy, wyszukiwarki, multimedia, zaawansowane programy kalendarzowe. Bez wątpienia jestem zapalonym użytkownikiem. — Zawahał się i przyznał niechętnie: — Ale to tutaj... ee, to duży kaliber. Ja używam komputerów, nie programuję ich. Ta cała gadanina o systemach operacyjnych, złączach programowych i całej reszcie... tak, to mnie przerasta... odrobinę, troszeczkę — przyznał.
- W branży ludzi twojego pokroju nazywamy użytkownikami końcowymi — wyjaśniła Park nauczycielskim tonem. — Korzystają z komputerów i nawet robią to dobrze, ale niekoniecznie rozumieją cokolwiek z ich funkcjonowania.
- Świetnie. Jestem użytkownikiem końcowym — przyznał Dan niemalże obronnym tonem. — Mój dawny operator sieci — z redakcji — wszystko mi skonfigurował. Kiedy boś się knoci, dzwonię do niego. Czy to źle? Prowadzę samochód, ale kiedy mam z nim problem, zabieram go do mechanika. Nie martw się, orientuję się w podstawowych założeniach Windgazera — zapewnił ją. — To system operacyjny. Taka komputerowa przekładnia. Zgadza się? Łączy komputer ze wszystkimi aplikacjami. Można wyprodukować najlepszy silnik na świecie i najlepszy edytor tekstu, ale jeśli przekładnia komputera go nie połączy, jest nic niewart. Widzisz, to rozumiem.

Park pokiwała twierdząco głową.

- Wytłumaczenie równie dobre, jak każde inne — przyznała, dodając: — A teraz wyobraź sobie przekładnię zaopatrzoną we wszelkiego rodzaju tajne obwody i bezpieczniki, które zmieniają się ustawicznie i bez ostrzeżenia. Bez kompatybilności z tymi tajnymi obwodami silnik się spali. Samochód nie ruszy z miejsca. A jeśli produkujesz silniki, nie uda ci się żadnego sprzedać. Hin-nom Computing postępuje dokładnie tak samo. Jeśli nie łączysz się z ich produktem, nie łączysz się — kropka. A Windgazer jest instalowany fabrycznie przez wszystkich producentów, na każdym komputerze.
- Jakim cudem do tego doszło? — zapytał Dan.
- Dla ciebie to może być zaskoczeniem — uprzedziła go — jak i dla kilkuset milionów podobnych tobie, ale nie dla ludzi obracających się w moich sferach. W świecie komputerowym jest to powszechnie znany fakt.
- W porządku — odparł Dan, przebijając dla zachęty palcami, czekając na więcej.
- Hinnom zawarł umowy z wszystkimi producentami komputerów, jeszcze przez potopem — opowiadała pokrótce. — Zaoferował im Windgazera po niewiarygodnie niskiej cenie, tak długo jak producenci będą płacić honoraria od każdego zmontowanego komputera. Te umowy są obwarowane takimi zabezpieczeniami, że nikt nie jest w stanie się z nich wykręcić, nawet gdyby spróbował. Hinnom Computing zatrudnia więcej prawników niż programistów. Jednym słowem, producenci muszą płacić honoraria od każdego sprzedanego komputera, nawet jeśli nie ma na nim Windgazera. Dlatego odpuścili sobie inne systemy operacyjne i zaczęli instalować fabrycznie Windgazera, na wszystkim. Voila, wszystkie komputery chodzą na Windgazerze. Opisałam ci kurę. Teraz pora na jajko.
- Jajko?
- Na tym się nie kończy — mówiła dalej Park. — Potem Hinnom idzie do wszystkich producentów oprogramowania, podrzynających sobie nawzajem gardła w walce o klienta, i mówi im, że wszystkie nowe komputery chodzą na Windgazerze; wszyscy będą

musieli wykupić licencję na jego technologię, by zachować kompatybilność, albo do widzenia, rynku. Tak więc wszyscy poważni producenci oprogramowania przestawiają się na Windgazera, bo w owym czasie interfejs Windgazera — to, jak wygląda ekran komputera, wiesz, ikonki, przeciąganie zaznaczonych elementów po ekranie — wyglądał bardzo, bardzo ładnie i był łatwy w użyciu. Ten śliczny interfejs Windgazera uczynił pracę z komputerem bardziej przejrzystą i prostszą dla przeciętnego śmiertelnika. Dzięki niemu miliony nowych użytkowników dały się przekonać do peceta. To stworzyło nową kurę, która zniosła nowe jajko.

- Dzisiaj — ciągnęła — tyle milionów ludzi używa oprogramowania kompatybilnego z Windgazcrem, że żaden producent nie odważy się stworzyć komputera, na którym najpopularniejsze oprogramowanie po prostu by nie działało. Oznaczałoby to sprzedawanie komputera, którego nikt nie mógłby używać. Jajka i kury produkują się wzajemnie i teraz cały świat pracuje na Windgazerze, a każdy sprzęt i każdy program musi być z nim kompatybilny. Co gorsza, Hinnom sprzedaje swoje własne oprogramowanie...
- Takie jak Windphraser... — wtrącił Dan, by udowodnić, że za nią nadaża.
- ...takie jak Windphraser, najpopularniejszy edytor tekstu w Ameryce, oraz kilkadziesiąt mu podobnych, programy graficzne, bazy danych, programy użytkowe. A programy Hinnoma mają fory względem tajnych instrukcji kompatybilności we wnętrznościach Windgazera. Wystarczy niewielka, maleńka zmiana, by konkurencyjne programy zaczęły działać wolniej. Na przykład sterowniki.
- Sterowniki?—zapytał Dan.
- Tak, nie sterówce, sterowniki. To bardzo niedoceniane, lecz absolutnie niezbędne programy, które pośredniczą między oprogramowaniem a systemem operacyjnym, komputerem, drukarką, wszystkimi urządzeniami peryferyjnymi. Monitorami, skanerami, napędami dysków. Sterowniki traktuje się jak coś oczywistego, lecz ich napisanie zajmuje mnóstwo czasu, a każde połączenie oprogramowania ze sprzętem wymaga odmiennego sterownika. To tak, jakbyś próbował literować, nie znając samogłosek. Sterowniki uzu-

pełniają polecenia. Tak więc dzięki kompatybilności oprogramowania i kontrolowanym przez Hinnoma sterownikom oprogramowanie Hinnoma ma przewagę nad konkurencją. — Park wzięła szybki oddech. — Tak by to wyglądało w sześćdziesiąt sekund. I cały ten skok na kasę wydarzył się w ciągu ostatnich dziesięciu lat. Bum, popatrz, w co wdepnęliśmy.

— Taak, to się nazywa monopol — potwierdził Dan, stanowczo potwierdzając odczucia wyniesione z przesłuchania w Senacie.

— Jest tak, jak byśmy byli zbyt zajęci zjadaniem owoców z drzewa — odpowiedziała — by zauważyć ruchome piaski pod nogami. Hinnom tak mocno się zakorzenił, że nikt nie ma szansy wejść na rynek. Ani go z niego wyprzeć.

Rozglądając się, by się upewnić, że nikt jej nie podsłuchuje, Park dodała:

— Wielu próbowało. Nawet Bluestar odpadł z wyścigu. A oni mieli Blue2, którego większość znających się na rzeczy ludzi uważała za znacznie lepszy system operacyjny. Lecz nikomu nie uda się doprowadzić do tego, by konkurencyjny system operacyjny instalowano fabrycznie, skoro nie istnieje kompatybilne z nim oprogramowanie, nawet potężnemu niegdyś Bluestarowi. Jeśli jakiś producent komputerów wprowadzi nowy system operacyjny, ryzykuje, że na rok lub dwa zniknie z rynku. To samobójstwo.

— To kto o tym wie? — zapytał Dan.

— W sumie wszyscy ludzie związani z technologią, parę milionów ludzi w Internecie, każdy członek komputerowego korpusu prasowego... a teraz i ty — odparła sucho Park. — Ale społeczność technologiczna może jedynie jęczeć i stękać. I robi to niemal codziennie. Zakłada się powszechnie, że zdecydowana większość komputerowych fanatyków — gości, którzy najlepiej się na tym znają — jest zbyt uzależniona od Hinnoma, by się na niego wypiąć. — Przechyliła się ku niemu i wyszeptwała: — Popatrz na identyfikatory tych facetów.

Dan rozejrzał się dookoła. „Windgazer Monthly”, „Windgazer Sources”, „Windgazer Update”.

— Robią wrażenie niezależnych czasopism, ale wzięły swoją

nazwę, powstały w celu obsługiwania i są całkowicie oddane jednej linii produktów, Windgazerowi. By przetrwać, potrzebują reklam Hinnoma. Potrzebują spotkań, na których poznają z wyprzedzeniem nowości ze świata technologii, takich jak to dzisiejsze. Potrzebują darmowych komputerów i programów do testowania — takich jak darmowe oprogramowanie, z którym wszyscy stąd wyjdą. Internet zapchany jest narzekaniami na prasę branżową. Tak więc dla kogoś takiego jak ja to zeszłoroczny śnieg. Ale niewielu ludzi w mainstreamowych mediach — włączając w to i ciebie, kolego — zwraca na to jakąkolwiek uwagę. Większość prasy komputerowej pragnie jedynie promować towar, o którym pisze, i sprzedawać przy tym mnóstwo drogich spotów reklamowych.

- Wszyscy jedzą z jednego garnka — skomentował Dan.
- Nie wszyscy — odparła. — Ale większość z nich zapewne tak. A co odważniejsze jednostki srodze na tym ucierpiały. W tamtym kącie — wskazała nonszalancko łokciem — siedzą kolesie z „Megabyte” i ich wielkiego konkurenta, „Gigabyte”. Są tak jakby niezależni, ale nie mają wielkich wpływów.
- Poczekaj, widzę tutaj wiele innych mainstreamowych nazw — zauważył Dan. — Dzienniki, sieci, prasa gospodarcza. Jest CNN, „Wall Street Journal”, ABC News... sama zobacz, gość z „The Washington Post”. Na pewno będą zadawać trudne pytania o praktyki monopolistyczne.
- Pewnie — odparła Park — ale zastanawiam się, ilu z nich naprawdę zna się na tej technologii tak, jak ci faceci z prasy komputerowej. Nawet gdyby tak było — a pewnie w paru przypadkach tak jest — jak często w wielkich dziennikach pojawiają się artykuły o technologii? To zbyt skomplikowana tematyka dla przeciętnego odbiorcy. Media wołają skandal obyczajowy w Białym Domu albo zamach bombowy w sercu Ameryki. Ale dopóki społeczeństwo nie będzie się znało na technologii, nie zrozumie natury zbrodni, jaka dokonuje się na ich oczach. Tak więc masz do wyboru prasę komputerową, która zna się na technologii, ale jest w nią zbyt uwikłana, by opisywać jej konsekwencje, albo popularną prasę, która zapewne przejmuje się konsekwencjami, ale po prostu nie rozumie technologii

albo uważa ją za zbyt skomplikowaną, by zanudzać nią wydawców i czytelników.

— Masz rację — przyznał Dan, kiwając z podziwem głową. — Dlatego jesteś mi potrzebna. Stanowimy zespół.

— Dlatego jestem z tobą — odparła z uśmiechem, który wywołał nieoczekiwaną reakcję w sercu Dana; poczuł ją, uciekł przed nią, a potem powrócił do niej. — Wyglądasz na podekscytowanego — dodała, ciesząc się tą chwilą. — Chyba lubisz taką nerwówkę. Mam rację? — Dan posłał jej zakłopotany uśmiech i obrócił się twarzą do sali.

Rzeczniczka prasowa Hinnoma zdążyła już zaprowadzić porządek w pomieszczeniu. Sam Hinnom wmaszerował nagle przez drzwi dla personelu w tyle sali. Rzeczniczka przedstawiła go zwięźle. Hinnom stanął za osobnym pulpitem, uśmiechając się szeroko, sycąc się władzą nad ilością informacji, jaką miał ujawnić zebranim dziennikarzom.

Rzeczniczka kolejno pozwalała na zadawanie pytań przedstawicielom prasy komputerowej, których znała najlepiej. Ci pytali o wersje beta, pakiety poprawek, daty wprowadzania różnych programów na rynek, wielosystemowość oprogramowania, coś, co nazywali trzecią fazą realizacji i wersje oprogramowania, które od wejścia na rynek dzieliły jeszcze całe lata. Ich czytelnicy požądali odpowiedzi na takie pytania, gdyż rekrutowali się spośród myślących jednotorowo zarządców sieci komputerowych, których codzienne sukcesy i niepowodzenia zależały od orientowania się nie tylko w systemach dnia dzisiejszego, lecz i w długofalowych trendach technologicznych. Zwykle mieli obsesję na punkcie uniknięcia nieoczekiwanego wypadnięcia z kursu. Nic innego się nie liczyło.

Hinnom wprawnie odpowiadał na ich pytania, używając tajemnych skrótów i technicznego slangu zrozumiałego wyłącznie dla prasy branżowej — OLE, DLL, OO, GUI, MPLS, 64-bitowy, magistrale PCI, pamięć ukryta 512K. Dziennikarze z mediów ogólnokrajowych zaczęli zerkać na zegarki, obliczając, ile czasu zostało im do zamknięcia wydania, i zastanawiając się, czy potrzebują czegoś więcej niż nagrania z przesłuchań przed komisją senacką oraz wypowiedzi współpracowników poszczególnych senatorów.

Dan także wiercił się w fotelu.

— Potrzeba tu trochę ikry — stwierdził, jawnie okazując zniecierpliwienie. — Nikt nawet nie próbuje dobrać się do istoty problemu. — Ze złośliwym uśmiechem szturchnął Park w bok. — Co byś chciała usłyszeć od Hinnoma?

Park spojrzała na niego z ukosa

— Ja? — zapytała. — Co masz na myśli?

— Mogę sprawić, by powiedział wszystko to, co chcesz, żeby powiedział.

Śmiejąc się z niedowierzaniem, odpowiedziała:

— Pewnie. Niech powie... niech powie „bryndza”. Nie, niech powie: „Moje oprogramowanie to żadna bryndza. Bryndza to gatunek sera”. Dokładnie tak.

Kiedy Hinnom skończył odpowiadać na następne pytanie, Dan uniósł w górę palec i obwieścił donośnie, zanim kolejny dziennikarz zdążył się odezwać:

— Levincom. Mam pytanie.

Rzeczniczka prasowa na podwyższeniu wskazała na niego dłonią, udzielając mu głosu.

— Panie Hinnom, widziałem taki rysunek w Internecie. Przed stawiał bacę popijającego bryndzę z butelki i mówiącego: „Hinnom powinien dostarczyć nam oprogramowanie, które nie jest bryndzą, oprogramowanie, które działa”. Skąd bierze się to przekonanie, że każdy nowy produkt Hinnom Computing jest tak nafaszerowany wadami, że konieczne będzie dokupowanie kosztownych uaktualnień?

Hinnom odpowiedział bez zastanowienia:

— Internet to bardzo cenne zjawisko. Bardzo, bardzo — oznajmił dyplomatycznie. — Codziennie uczę się z niego nowych rzeczy. Ale potrafi też być niezwykle zabawne, gdyż stanowi wytwór ni czym nie skrupowanej wolności słowa. Uwielbiam Internet. Nasze oprogramowanie spotyka się z aprobatą milionów użytkowników w kraju i za granicą. Ale nie sposób zadowolić wszystkich. Mając wybór między opóźnieniem wprowadzenia nowego oprogramowania o całe lata a procesem ciągłego ulepszania za pomocą uaktual-



nień, zawsze zdecydujemy się na to drugie. Zapewniam pana, że moje oprogramowanie to żadna bryndza.

Dan ledwie dostrzegalnie obrócił się w stronę Park.

— A tak przy okazji — dodał Hinnom z cieniem arogancji w głosie — bryndza to gatunek sera.

Dan odwrócił się ponownie i uśmiechnął nieskromnie. Park otworzyła szeroko usta ze zdumienia.

— Nawiązując do pańskiej odpowiedzi, następne pytanie. Pańska uwaga dotycząca oprogramowania jest jak najbardziej słuszna. Ale jaki wpływ na pańskie dalekosiężne plany rozwoju oprogramowania będzie miała śmierć Johna Hectora z Bluestara? Eee, i druga część pytania, czy mógłby pan podać trochę szczegółów dotyczących jego niespodziewanej śmierci podczas waszego spotkania w cztery oczy w jego biurze w Chicago? Co naprawdę się wydarzyło?

Linzer wyprostował się. Nie poruszając głową ani nie przejawiając żadnego poruszenia, powoli sięgnął po listę gości, położył ją wprost przed sobą i przejrzał ją szybko. Wysilił wzrok, by odczytać nazwisko na identyfikatorze przyczepionym do piersi Dana, lecz nie znalazł tam niczego. Spojrzał na zegarek, wyciągnął swojego Windy'ego i posłał sobie samemu emteema: „Sprawdzić nagranie, siódma trzy wieczorem”.

Hinnom odpowiedział jednym tchem:

— Hinnom Computing zawsze starało się zarówno współzawodniczyć, jak i współpracować z innymi firmami przemysłu komputerowego, małymi piwnicznymi przedsiębiorstwami — takimi jak niegdyś moje własne — jak i gigantami pokroju Bluestara. Nazywamy to „współpracownictwem”. Uwielbiam wymyślać nowe słowa. „Współpraco wnictwo”. Coś takiego dobrze robi naszej wolnorynkowej gospodarce. John był dobrym człowiekiem. Dobrym człowiekiem, dobrym człowiekiem — powtórzył — i pracowaliśmy nad osiągnięciem porozumienia. Jego przedwczesna śmierć była tragedią dla nas wszystkich, dla całego świata nowoczesnej technologii. Lecz nie powstrzyma Hinnoma i Windgazera przed służeniem ze wszystkich sił naszym klientom. Nasi klienci są na pierwszym miejscu.

— A szczegóły jego śmierci? — zawołał Dan.

Hinnom wyglądał tak, jakby nagle zabrakło mu słów.

— O rany, nie jestem lekarzem. Ja tylko zadzwoniłem na pogotowie.

Linzer z lodowatą miną zwrócił wbudowaną w Windy'ego kamerę wprost na Dana.

Kobieta prowadząca konferencję wywołała następnego dziennikarza. Prasa ogólnokrajowa zaczęła zadawać obowiązkowe pytania o przesłuchanie i praktyki monopolistyczne, o ewentualne wtrącanie się Kongresu i Departamentu Sprawiedliwości w innowacyjną działalność jego firmy. W pewnej chwili rzeczniczka oznajmiła: „Ostatnie dwa pytania”. Pospiesznie zostały zadane.

— Teraz przechodzimy do części objętej przez KT —oznajmiła. Wszyscy dziennikarze prasy krajowej opuścili salę. Pozostała jedyne prasa fachowa. Dan klepnął w ramię otylego reportera siedzącego na sąsiednim miejscu.

— KT?

Reporter, na którego identyfikatorze widniał napis „Luke Allison, »Windgazer Retailer«”, odgryzł kawałek snickersa i żując go, odpowiedział:

— KB? To branżowy skrót na klawiaturę.

— Eee, nie, KT — odparł Dan. — KT.

Luke wyciągnął z foldera białą kopertę z nadrukiem „KT” i postukał w nią palcem. Dan zajrzał do swojego zestawu medialnego i znalazł tam identyczną. Sam prawie nigdy nie zaglądał do środka podobnych pakietów. W kopercie znajdował się krótki kontrakt zatytułowany „Klauzula Tajności”, który oferował zapoznanie ze szczegółami „objętego copyrightem oprogramowania znanego jako Windgazer 99” w zamian za zgodę na wstrzymanie publikacji i dyskusji wszelkich szczegółów do chwili uzyskania jednoznacznej pisemnej zgody Hinnom Computing. Czasopismo zgadzało się też na wytoczenie sprawy sądowej każdemu swemu pracownikowi oraz związanym z nim osobom trzecim, które naruszyłyby tę klauzulę.

Dan otworzył szeroko oczy.

— Odbiło wam? — zapytał Luke'a. — Kto to podpisze?

— My wszyscy — odparł nonszalancko Luke. — To gównó

znaczy, a skoro pomaga mi uzyskać potrzebne informacje na całe miesiące przed wypuszczeniem na rynek, muszę to robić z uwagi na moich czytelników.

- A jeśli nie podpiszę? — zapytał Dan.
- Żaden problem — odparł Luke, częstując go nadgryzionym snickersem. Dan uprzejmie podziękował. — Po prostu poproszą cię o opuszczenie sali — wyjaśnił Luke. — Wielu ludzi odmawia podpisania. Na przykład często ludzie z tygodników. Choć nie zawsze. Oczywiście mogą sobie na to pozwolić, bo do czwartej rano w środę mają czas, by zdążyć przed zamknięciem wydania. Z drugiej strony miesięczniki takie jak nasz, jak większości ludzi na sali, mają trzymiesięczny cykl produkcyjny. Co mamy robić, zdobyć informacje o programie w styczniu i wydrukować je w kwietniu, trzy miesiące po tym, jak został już omówiony na śmierć i parę razy zmodyfikowany? Widać, że nie jesteś z branży.

Dan przytaknął bez słów.

Luke rozprawił się do końca ze snickersem i powiedział:

- Proponuję nie przejmować się tym i podpisać. Wszyscy i tak wiemy, co tym razem obejmuje KT. Windgazera 99 i zgodność z rokiem 2000. Chcesz poznać szczegóły, to podpisz.
- To standard w tej branży? — zapytał z niedowierzaniem Dan.
- Kontrakt kontrolujący publikacje prasowe?
- Nie przesadzaj — zgasił go Luke. — Wcale nie kontroluje publikacji. Możesz pisać, co chcesz, dobrze czy źle. Ale dopiero wtedy, gdy Hinnom będzie gotów.

Park usłyszała ostatnią część rozmowy i dodała szeptem:

- To dotyczy nie tylko prasy. Także wszystkich pracowników Hinnoma i wszystkich firm software'owych mających dostęp do szczegółowych danych Windgazera.
- To znaczy, że jeśli jestem niezależnym producentem oprogramowania — zapytał wciąż nie mogący w to uwierzyć Dan — pracującym nad edytorem tekstu albo kalendarzem i chcę, by był kompatybilny z Windgazerem, muszę podpisać taki dokument wraz ze wszystkimi moimi pracownikami? Pod groźbą daleko posuniętych konsekwencji

sądowych, łącznie z — wskazał na klauzulę w kontrakcie — „Wyznaniem winy”, pozwalającym prawnikom Hinnoma na stawienie się w dowolnym sądzie, pod dowolną jurysdykcją i wystąpienie w moim imieniu — w moim zastępstwie — i przyznanie się do winy?

— Nic niezwykłego — odparła Park. — W całej branży jest tak samo. Ja też coś takiego podpisałam, żeby móc tam pracować.

Właśnie wtedy podeszła do nich uśmiechnięta Jan, by odebrać od Dana jego podpisane KT.

— Nie ma sprawy — powiedział Dan. Nagryzmolił „Przykro mi, nic z tego” z zawijasem biurokratycznego podpisu. By odwrócić jej uwagę, pokazał na Hinnoma. — Hej, zobacz ten profil Bena. — Jan odwróciła się. — Za późno — powiedział z żalem w głosie. Jan wzięła od niego KT i, nie patrząc na nią, włożyła ją do teczki obok pozostałych.

Park dostrzegła to i ponownie zapytała:

— Zawsze tak robisz?

Raz jeszcze Dan zrobił niewinną minę i odparł zwięźle: „Nie”. Park nawet nie próbowała mu uwierzyć.

Światła przygasły i rozpoczęła się druga część konferencji. Dwa monitory umocowane na sześciostopowych wieżach rozjarzyły się i natychmiast zmatowiały do czerni, wśród której najpierw zapaliło się logo Windgazera, by płynnie przeistoczyć się w uniesiony ku górze kciuk. Potem cały ekran zajęła kartka z kalendarza z 1 stycznia 2000, przez którą przepływał napis „Nasz zegar nigdy nie przestanie tykać”, uzupełniając obraz.

Łagodne światło rozjaśniło część sali wokół podwyższenia. Na moment w jego krąg wstąpiła ta sama kobieta, co uprzednio, by oznajmić:

— To, co powie teraz pan Hinnom, podlega KT.

Hinnom stanął na powrót za pulpitem, poczekał na ciszę i zaczął:

— Zoom jest skończony — oznajmił zuchwale Hinnom. Zaczekał, by jego słowa dotarły do wszystkich. — To poronione przedsięwzięcie Bluestara, przyznaję, naszego głównego rywala w wojnie systemów operacyjnych — po prostu nie dojdzie do skutku. Z wielu

źródła jest mi wiadomo, że Zoom polegał na kodach dostarczanych przez kilku niezależnych producentów oprogramowania — a te kody nie będą dla nich osiągalne. Ci producenci musieli dokonać wyboru: współpracować z numerem jeden — zgadnijcie, o kim mowa — albo zaryzykować zaczynanie od początku z Zoomem. Choć kilku spośród tych kluczowych producentów pierwotnie zgodziło się dołączyć do zespołu Zooma, w tym Nelumbo Software, rzeczywiście imponujący nabytek chylącego się ku upadkowi imperium Bluestara, i chociaż Bluestar miał nadzieję, że inni z czasem postąpią podobnie... uups, i nic z tego nie wyszło.

Hinnom zauważył, że jeden z dziennikarzy notuje pospiesznie, więc przerwał, by dać mu więcej czasu na dokończenie zdania.

— Zapisał pan? Świetnie — powiedział Hinnom do piszącego. — Następnym razem proszę spróbować Windvoicera. Mamo, po patrz, bez trzymanki. — Uniósł do góry dłoń, trzymając długopis wciśnięty poziomo między palce.

Potem powrócił do tematu.

— Na czym stanęliśmy? Zaglądaliśmy... — zrobił dramatyczną przerwę — dwudziestemu pierwszemu wiekowi prosto w paszczę. Dokładnie tak. Przed milenijną pluskwą nie ma ucieczki. Ta pluskwa wgrzyzie się nam prosto w pośladki. Lecz teraz mamy coś, co odpowie ugryzieniem na ugryzienie. Zapomnijcie o plotkach. Dzisiaj pozna cie prawdę o naszym nowym produkcie, Windgazerze 99, który trafi do sklepów w styczniu 1999. Kryptonim „Taniec nad Przepaścią”. Mmm, „Taniec nad Przepaścią”. Podoba mi się. Nie nudzą was głupie kryptonimy, „Plama na Słońcu”, „Promień Holujący”, „Błysku Błysku”? Za to „Taniec nad Przepaścią” — to coś namacalnego. I to jak.

Hinnom zaczął wyliczać funkcje swojego nowego produktu:

— Chcecie głosu. Wysłuchaliśmy was. Windgazer 99 będzie wykorzystywał najbardziej zaawansowaną technologię rozpoznawania mowy, jaką kiedykolwiek opracowano, rozpoznając ponad sto sześćdziesiąt pięć tysięcy słów i funkcjonującą, co najwspanialsze, w czternastu różnych językach. Technologia Windvoicera nie tylko transkrybuje oderwane zdania, rozróżniając dialekty — w sa-

mej Anglii głównych dialektów jest czternaście — lecz jest w stanie tłumaczyć je tekstem pisanym bądź też mówionym. Wszystko bezpośrednio z laptopa.

Wyciągnął swojego Windy'ego, by zademonstrować możliwości programu. Publiczność westchnęła z zachwytem, widząc pozazdrosczenia godne małe urządzenie.

— Żadnych paluchów. Ale popatrzeć można — zaświergotał. — Zobaczmy Windvoicera w działaniu. — Hinnom podał programowi trudne zdanie: — „Wyślij te dwa listy także do biskupa Tutu”. Odtworzyć po francusku.

Windy odpowiedział za pośrednictwem rozmieszczonych w sali głośników:

— *Erwoyez aussi ces deux lettres a Monseigneur Tutu.*

Publiczność jęknęła z podziwu.

Hinnom kontynuował demonstrację.

— Chcieliście prostoty w użyciu. Nie zlekceważyliśmy tego. Windgazer 99 wykorzystuje naszą nową technologię Windwatchera, dzięki której posiada unikatową zdolność obserwowania wyrazu twarzy użytkownika i porównywania go z galerią jego próbek głosu oraz biblioteką jego uśrednionych ludzkich reakcji, by lepiej interpretować jego niewerbalne polecenia, czy nawet wykrywać, kiedy trawi go stres. Ludzkie reakcje badano od lat. W końcu dokonaliśmy przełomu, który sprawi, że komputery staną się bardziej humanocentrycznymi, przyjaznymi użytkownikowi maszynami, jakich wszyscy pragniemy. Powiedziałem „przyjaznymi”? Windwatcher sprawia, że komputery stają się wręcz towarzyskie.

By to zademonstrować, Hinnom odwrócił się do monitora, przy którym zamocowana była miniaturowa kamera.

— Powiedzmy, że prowadzę samochód. Zgubiłem się i, szczerze mówiąc, jestem zbyt wzburzony, by pytać przechodniów o drogę, trójka dzieciaków wydziera się za moimi plecami, prawie przekrzykując radio. Ciężka sprawa. Dobrze wiecie, że komputery wciąż jeszcze mają problem z identyfikacją komend głosowych w hałaśliwym środowisku. Ale nie Windgazer 99. Jeżeli wykorzystujecie jeden z naszych systemów nawigacyjnych opartych na systemie

GPS, które wkrótce będą częścią standardowego wyposażenia najnowszych modeli cadillaców, audi i saabów, wystarczy jedynie podłączyć laptopa — albo Windy'ego, jeśli uda się wam go zdobyć — ostentacyjnym gestem uniósł w górę swego bezcennego palmo-pa — podłączyć go do systemu nawigacyjnego. Odtąd Windwatcher będzie w stanie obserwować oznaki rozdrażnienia na waszej twarzy.

— Przygotowaliśmy dla was demo — mówił dalej — symulujące jazdę z Santa Monica do Tarzany — co nie jest takie proste, jeśli widzieliście kiedyś zjazd z 405 na 101. Jejkusiu, to ci klops.

Na monitorze Hinnoma pojawił się symulator jazdy, z nałożonym ekranikiem systemu nawigacyjnego. Ten sam obraz przesłany został na dwa wielkie monitory dla publiczności. Hinnom prowadził za pomocą joysticka. Nagle, kiedy zbliżał się do zjazdu na 405, zadygotał w ataku hysterii

System zareagował wielkim komunikatem na ekranie: „Nie deenerwuj się, Ben. Zjazd ma trzy pasma. Nie opuszczaj środkowego. Potem skręć na lewo przed rozwidleniem. Odpręż się, Ben”.

Rozległy się oklaski. Hinnom uciszył je lekkim skinieniem dłonią.

— To nie wszystko. — Odwrócił się do techników. — Możecie załadować Windgraphics z Windbrushem? Świetnie. Windwatcher nadal mnie obserwuje? — Jeden z techników pokiwiał twierdząco głową.

Projekt reklamy Hinnom Computing pojawił się na ekranie.

— W porządku. Nie jestem pewien, czy mi się to podoba — powiedział przesadnym tonem. — Proszę przesunąć logo Windga-zera... — Skinął głową, pokazując, by zostało przesunięte do góry i odrobinę w lewo. Windwatcher odnotował każdy gest. W tej samej sekundzie logo Hinnom Computing przesunęło się do góry i w lewo.

— Dobrze, dalej: teraz jest białe, a ja bym chciał, żeby było... żeby było... żeby było czerwone — polecił, popisując się. System zmienił białe logo na różowe. Hinnom pokręcił z niezadowoleniem głową i gestem dłoni pokazał „bardziej”. Logo stało się ogniście czerwone. Ponownie wyraził niezadowolenie ruchem głowy i palców, a logo stało się czerwone jak wóz strażacki. Wyglądało to tak, jakby Windgazer 99 czytał jego myśli.

Tłum klaskał i gwizdał entuzjastycznie.

— W nadchodzącym stuleciu nie będziecie już musieli się martwić, czy to, co robicie, wyjdzie jak należy — przewidział Hinnom — bo Windgazer 99 będzie was obserwował niemalże wszędzie.

Park odwróciła się do Dana. Jej oczy, w których lśnił strach, napotkały jego spojrzenie. Wyraz twarzy Dana mówił dokładnie to samo. Park objęła się pokrytymi gęsią skórą ramionami, on na ułamek sekundy przygryzł wargę.

— Mógłbym jeszcze długo opowiadać wam o potędze i wydajności Windgazera 99 — powiedział Hinnom, zostawiając najlepsze na sam koniec. — Lecz być może jego najważniejszym komponentem jest wbudowany moduł roku dwutysięcznego, który uodporni wszystkie komputery na milenijną pluskwę i sprawi, że nie wysadzi my się w powietrze. Och, komu to potrzebne w sobotni poranek? Nazwaliśmy go Centurygazer. Uwielbiam nasze nazwy. Taak, Centurygazer, a nasze motto brzmi... — zaczął, by monitory nadażyły za nim: — „Nasz zegar nie przestanie tykać”. Przepraszam za brak delfinów. Ha! Musi wam wystarczyć zapewnienie, że w sobotę rano, 1 stycznia 2000 roku, każdy komputer pracujący pod Windgazerem 99 nie przestanie działać nawet na nanosekundę. Traktujemy to jako ostateczne rozwiązanie tego problemu z oprogramowaniem.

Ostateczne rozwiązanie. Teraz Dan także miał gęsią skórę.

Na parę sekund Dan skrył głowę w dłoniach. *Mężczyzna o hipnotycznym spojrzeniu i faszystowskiej opasce na ramieniu zgarnął czarne włosy z czoła na bok i podszedł do okna. Stamtąd usłyszał, jak zgromadzony na placu tłum wykrzykuje jednym głosem: „Sieg heil! Sieg heil!” Nagle w kącie krzyknął kobiecy głos. To matka Dana, jęcząca: „Zastrzelono mnie. Pogrzebano. Byłam martwa. Ale przetrwaliśmy. Dlaczego my ? ” Dan był jeszcze dzieckiem i odpowiedział bezradnie, „Nie wiem”. Ojciec Dana wtrącił: „Wiesz. Po prostu jeszcze nie wiesz, że wiesz”. Dan przerażony, wciąż dziecko, wybiegł tylnym wyjściem z bloku i popędził aleją, ale już jako dorosły mężczyzna. Sieg heil! Sieg heil! Dan zakrył uszy dłońmi i wykrzyczał: „Nie wiem!” Jego ojciec pojawił się na ceglach budynku i odparł Z naciskiem: „ Wiesz. Po prostu jeszcze nie wiesz, że wiesz ” Dan*



*chwycił ołówek i wbił go sobie niczym gwóźdź w lewą dłoń. Podniósł rękę do góry, lecz krew sączyła się nie z rany, a z jego oczu. Jeszcze raz usłyszał upomnienie: „Wiesz. Po prostu jeszcze nie wiesz, że wiesz”* Dan wzdygnął się i zerknął ukradkiem na Park, by sprawdzić, czy coś zauważyła. Z ulgą spostrzegł, że nadal patrzy wprost przed siebie, i zwrócił swą uwagę z powrotem na słowa Hinnoma.

— Windgazer 99 — podkreślał Hinnom — w połączeniu z naszą zgrabną technologią Centurygazera, stanowiąc będzie jedyny wielosystemowy, wewnętrznie zabezpieczony, całkowicie nienaganny, prawdziwie kompatybilny z rokiem 2000 system operacyjny. Dlatego wszystkie nowe komputery trafiające do sprzedaży — począwszy od początku przyszłego roku — będą zaopatrywane w Windgazera 99. Zadbaliśmy o to wraz z naszymi licznymi partnerami w branży produkcyjnej, którzy podzielają nasz entuzjazm względem tego kolejnego etapu ewolucji komputera. Jednocześnie wszystkie nowe wersje oprogramowania zaopatrywane będą w moduł Centurygazera — rozpoczęliśmy już sprzedaż licencji — co umożliwi ich uruchamianie na nowych komputerach. Jeśli masz stary komputer, tak jak miliony innych użytkowników na całym świecie, i masz na nim zainstalowaną dowolną wersję Windgazera, możesz wykupić za dwadzieścia dziewięć dolarów kod dostępu i ściągnąć przez Internet wersję 99. Jeśli nie masz komputera osobistego z zainstalowanym Windgazerem... hmm, ojej, pewnie będziesz musiał taki kupić. W miłości i technologii wszystko jest dozwolone — powiedział Hinnom, rozkoszując się tą uwagą. — Mmmmm, uwielbiam uaktualnienia.

— Co się tyczy wielkiej liczby maszyn DOS-owskich — kontynuował Hinnom — czyli wszystkiego, od minikomputerów przez komputery przemysłowe do superkomputerów, Hinnom Computing przedstawi ofertę technologii Centurygazera w ramach specjalnej kampanii zabezpieczającej, którą mamy nadzieję zakończyć do połowy przyszłego roku. Zwrócimy się do wszystkich ważniejszych instytucji finansowych, organizacji lekarskich, korporacji i rządów całego świata. Nasze zespoły już współpracują z Organizacją Narodów Zjednoczonych, Ligą Państw Arabskich, ruchem państw niez-

angażowanych, NATO... jejkusiu, Organizacją Jedności Afrykańskiej, Unią Europejską. Mógłbym tak wyliczać bez końca, ale ta akcja ma zasięg globalny. Nawet ludzie z Bluestara odpowiedzialni za ich własny sprzęt przystali na naszą propozycję, bo, kurczę, nie bardziej od nas chcą, by ich komputery nagle odmówiły posłuszeństwa. Tak sobie myślę, że dzięki Internetowi, strumieniom sprzedawców oprogramowania i naszym oddziałom specjalnym komandosów Windgazera 99 uda nam się dotrzeć niemal do każdego komputera na świecie — no, przynajmniej każdego, który się liczy. Już skonfigurowaliśmy pocztę elektroniczną komputerów używających Windgazera 99, tak by każda wiadomość zaopatrzona była w obszerne przypomnienie o konieczności uaktualnienia systemu. Nie tylko pocztę elektroniczną...

Nagle Dan poczuł, że ktoś klepie go w ramię,

— Pan Nic z Tego, zgadza się?

Dan obrócił się. Nad nim pochylał się Linzer.

— Nadzoruję system bezpieczeństwa u Hinnoma — powiedział Linzer cichym, lecz stanowczym tonem — a to spotkanie przeznaczone jest wyłącznie dla tych przedstawicieli mediów, którzy zaakceptowali standardową Klauzulę Tajności. Czy ma pan na imię „Bardzo mi przykro”?

— Ha! — odparł Dan z uśmiechem. — Jesteście wspaniali. Tylko sprawdzam waszą dokładność. KT to taka rutyna, że czasami zastanawiam się, czy ktoś w ogóle to czyta.

— My tak — odpowiedział beznamiętnie Linzer, przyglądając się Danowi uważnie.

— Hej, jeśli to jakiś problem — powiedział Dan — mogę...

— Czy mógłbym prosić pana o okazanie legitymacji prasowej i poinformowanie mnie, jakie wydawnictwo pan reprezentuje? — zapytał Linzer.

— Nie ma sprawy. Levincom — odparł zgrabnie Dan, podając mu wizytówkę. — Uprzednio publikowaliśmy wielokrotnie nagradzany „Chicago Monthly”. Ten tytuł został dopiero co sprzedany wraz z kilkoma innymi, co pozwoliło nam skoncentrować się na technologicznym aspekcie rynku, co w naszym odczuciu bardziej

pasuje do naszego przyszłościowego nachylenia. Wkrótce rozpoczniemy publikację serii sieciowych E-zinów, cotygodniowych specjalistycznych faksowych komunikatów informacyjnych, a także być może jednego czy dwóch drukowanych miesięczników dla bardzo sprecyzowanej grupy odbiorców w społeczności komputerowej. Jestem pod wielkim wrażeniem tego, co tu zobaczyłem. Hinnom Computing robi coś naprawdę wielkiego. Niezwykle futurystycznego.

Park milczała, udając, że nie zna Dana, i zachowując się tak, jakby całą uwagę miała skupioną na prezentacji Hinnoma.

— Nie ma pan legitymacji prasowej, panie Levin? — zapytał Linzer.

— Jesteśmy w trakcie przeprowadzki — odparł szybko Dan bezosobowym tonem — więc to dla nas faza przejściowa i dopóki nie dobiegnie końca, nie ma sensu występować o nowe legitymacje. Hej, w dzisiejszych czasach człowiek ma do wyboru praktycznie albo Dolinę Krzemową, albo rejon Seattle, tylko tam coś się naprawdę dzieje. Słyszałem, że w Seattle mają znacznie lepszą kawę.

Linzer zaczął zdradzać oznaki zniecierpliwienia.

— W sumie ciężko jest nam się zdecydować — mówił dalej Dan, prawie nie przerywając nawet dla nabrania tchu. — Ulgi podatkowe, ceny nieruchomości, specjalne strefy ekonomiczne. Te sprawy. Kiedy tylko dział personalny i nasz zespół analityczny przedstawią swe ostateczne zalecenia, będziemy tam w wirtualną minutę. I jestem przekonany, że będziemy z wami ściśle współpracować. Więc dzięki za pomoc. — Dan odwrócił się, by skupić się na konferencji.

— Zadawanie pytań na temat tej okropnej tragedii, jaka dotknęła pana Hectora — zauważył wciąż beznamiętnym głosem Linzer — nie jest zwyczajnym zajęciem dziennikarza specjalizującego się w technologii.

— Ach — Dan prychnął lekceważąco — czasami wyłażą ze mnie stare dziennikarskie nawyki. — Zbył to cichym śmiechem. Widząc okazję, by wywikłać się z nieprzyjemnej sytuacji, dodał: — Więc niech pan posłucha, panie... panie...

— Tak? — przerwał mu Linzer.

— ...panie przedstawicielu Hinnom Computing — dokończył Dan. — Przyszedłem tutaj poznać szczegóły Windgazera 99, a nie rozmawiać o naszym nowym kodzie pocztowym. — Wyciągnął długopis i podpisał KT jak należy. — Proszę zatrzymać wizytówkę i pozwolić mi słuchać — dodał z udaną arogancją. — W przeciwnym razie proszę nie narzekać, jeśli coś przekręcę w druku.

Z tymi słowami Dan ostentacyjnie odwrócił się w stronę Hinnoma i zaczął notować.

Linzer przepuścił wizytówkę przez Windy'ego, skanując jej zawartość, a potem oddał ją Danowi. Kierując Windy'ego na Park, która udawała, że nie zauważyła tego starcia, Linzer prawie zadał jej pytanie. Była odwrócona do niego plecami, koncentrując uwagę na stojącym na podwyższeniu Hinnomie oraz na trzymanym w dłoniach magnetofonie.

Linzer przesunął się o parę cali, tak by Windy mógł sfotografować jej twarz pod lepszym kątem. Wtedy nie mógł się już powstrzymać.

— Czy my się znamy? Kim pani jest?

Park obróciła się z odrobiną głupią miną, jak gdyby spadła z księżycy.

— Odwal się, koleś. Ja tylko obsługuję magnetofon dla tego faceta — warknęła. — Masz jakieś pytanie, to jego zapytaj. Kurde, wy, komputerowcy, wyobrażacie sobie, że wolno wam zaczepiać każdą babkę w zasięgu wzroku. Chcesz moje nazwisko, zadzwoń do pośredniaka. I spadaj, zanim zawołam ochronę. — Głośnym szeptem wymruczała: — Myślisz, że nic nie wiem o tej waszej internetowej pornografii. Ma się w końcu ten telewizor, nie? Oglądam *Real TV*. Nie jestem idiotką.

Linzer odsunął się. Jego Windy zdołał zrobić jej zdjęcie z profilu. Nadusił kilka klawiszy i wrócił na podwyższenie, podczas gdy Dan i Park pilnie notowali i sprawdzali kontrolki magnetofonu. Kątem oka Dan widział, że Linzer dalej stuka w klawiaturę.

Po drugiej stronie kontynentu, w mrocznym biurze w centrum nerwowym centrali Hinnom Computing, położonym tuż obok gabinetu prezesa w budynku szóstym, czarna wieża komputerowa warczała zawzięcie pod niewielkim monitorem wypełnionym ikonami.

Nagle system podświetlił ikonę Datagazera, maleńkiego jolly rogera złożonego z czaszki i dwóch lunet zamiast puszczeli. Program załadował się błyskawicznie. Pojawił się główny ekran Datagazera, ikony reprezentujące dziesiątki ustawień. Pod jedną z nich widniał podpis: „Identyfikacja”. W następnej chwili została zdalnie podświetlona. Pojawiły się trzy opcje: „Dane Biograficzne”, „Numer Konta”, „Zdjęcie”. Zdjęcie zostało podświetlone. Tło zabarwiło się na czerwono. Potem w zielonej ramce oznakowanej jako „Dane Wejściowe” zapaliło się zdjęcie Park zrobione przez Windy’ego Linzera podczas konferencji.

Odrobinę niewyraźne i ukazujące jedynie częściowy profil, nie stanowiło idealnego materiału do wyszukiwania. Pod zdjęciem Park widniało menu z kilkunastoma opcjami przeszukiwania bazy danych. Przy „Wydział Komunikacji” pojawił się znacznik. Nowy ekran. W trzech alfabetycznych kolumnach przez monitor przesunęły się wszystkie stanowe i zamorskie biura Wydziału Komunikacji, także te zlokalizowane w Puerto Rico, na Guam i Północnych Marianach. Poniżej „Wyoming” widniała opcja „Wszystkie”. Przed nią także pojawił się znacznik. Ostatnie polecenie ograniczyło zasięg wyszukiwania według płci: „Kobieta”.

Datagazer rozpoczął olbrzymie wyszukiwanie.

Ekran błyskawicznie rozpadł się na dwa obrazy. Po lewej stronie widniało nieruchome zdjęcie Park. Po prawej, rozbłyskując na mgnienie oka, przesuwały się porównywane z nim fotografie wszystkich posiadających prawo jazdy kobiet zamieszkujących w Ameryce. Nieprzerwana powódź twarzy zbudziła szaleńcze trzaskanie napędów dyskowych i hipnotyczną migotanie na ekranie.

Ponad tym stroboskopowym obrazem pulsował napis: „Przeszukiwanie 183 131 860 zdjęć”.

## PÓLNOC W „TEL AVIV CAFE”

Zza masywnego, brązowego, politurowanego stołu w jadalni apartamentu prezydenckiego hotelu „Jefferson” Dan prawie nic nie widział przez lekko uchylone drzwi głównej sypialni. Po drugiej stronie sypialni drzwi do łazienki były na wpół przymknięte. Zza nich widać było szczupłe, muskularne ciało Park znikające w jacuzzi. Pociągnął kolejny łyk kawy. Zdążyła już ostygnąć i zgorzknieć.

— Co za miejsce! — zawołała Park z parującej wody. — Posta nowiłam, że nie będę miała nic przeciwko temu, by wydawcy na emeryturze zapraszali mnie na wycieczki do Waszyngtonu. Nie przeszkadza mi nawet pakowanie na ostatnią minutę. — Westchnęła z zadowolenia, gdy kojąco ciepła woda dotknęła jej karku. — Za bierz mnie stąd za tydzień — wymruczała rozmarzonym głosem.

Dan odczuwał satysfakcję z tego, że Park dobrze się bawi. Poszedł do swojej sypialni, jednej z trzech wchodzących w skład tego eleganckiego apartamentu, i zajął się przewieszaniem ubrań w szafie i ustawianiem wszystkich wieszaków w jedną stronę. Przerzucając zestaw kompaktów, wybrał jeden, potem drugi, lecz koniec końców zdecydował się na soundtrack Goldsmitha do *Konga*. Film był do bani, co w opinii Dana tylko dowodziło, że najlepsi autorzy muzyki filmowej wznoszą się na szczyty swego talentu w zetknięciu z kiepskimi filmami. Sięgnął po swojego StarTaca i spacerując po apartamencie, sprawdził pocztę głosową, kasując i zachowując wiadomości jednym naciśnięciem przycisku, z tą samą pogardliwą miną, jaką nieodmiennie dla nich rezerwował. Korzystał w podróży ze StarTaca, bo już dawno wykalkulował, że nawet po doliczeniu opłat za roaming rozmowy międzymiastowe wyjdą taniej z komórki niż z telefonu hotelowego. Rachunki telefoniczne w hotelach wkurzały go. A teraz zaczynał się nudzić.

— Nie jest ci zimno? — zawołał przez drzwi do Park.

— Idealnie.

- Głodna? — zapytał.
- Jest fantastycznie — odpowiedziała, usiłując poleżeć przez chwilę w milczeniu w wodzie.
- No, ja już mam dosyć tej lodowni, przy której upierają się wszystkie hotele — zawołał przez apartament. — Termostat nie działa. Zamarzam... Dzwoniłem do recepcji.
- Spojrzał zirytowany na zegarek. — Pół godziny temu.
- Pewnie — odparła, w ogóle go nie słuchając.

Rozległ się dzwonek do drzwi. W progu stanął wysoki, szczupły, młody człowiek w bawełnianej koszulce, Dan z wyglądu ocenił go na ledwie kwalifikującego się na prawo jazdy. Trzymał niewielką torbę, ręce zwiślały mu z ramion, które niemalże zawijały się niczym zaczątki kokonu.

— Świetnie — powiedział Dan. — Niech to cholerstwo zacznie działać.

Przez kolejne kilka minut Dan wyjaśnił mu szczegółowo, co zrobił, by uruchomić cyfrowy termostat, wskazując na przyciskane guziki, i jak nic nie pomogło, a na miłość boską, ten apartament jest zbyt drogi, by w nim marznąć.

— Gdybyście zamontowali tu staroświecki termostat z nudnym, szarym pokrętelem, które daje się obracać w lewo i prawo — poskarżył się nie bez sarkazmu — mógłbym ustawić temperaturę. Ale musieliście wybrać coś nowoczesnego. Mnie to nie przeszkadza. Bo wierzę w nowoczesne urządzenia, chociaż ten apartament urządziliście jak osiemnastowieczną górską posiadłość. Ale kiedy facet taki jak ja, znający się na komputerach i pracujący z nimi każdego dnia, nie potrafi uruchomić termostatu, choćby naciskał nie wiem jak wiele guzików, może to już pora, by cofnąć się do późnego antyku, powiedzmy o jakieś dziesięć lat, żeby w pokojach było ciepło.

Mężczyzna zakasał jedno ramię, by unieść panel termostatu. Wdusił RESET, potem jeszcze trzy przyciski i na koniec ON. Cisza.

Dan nasłuchiwał odgłosów uruchamiającego się nawiewu. Po krótkiej chwili usłyszał je. Przyłożył palce do płytki wentylacyjnej nad podłogą i poczuł bijące z niej ciepło.

— Dobra robota. Bardzo dziękuję — powiedział Dan z wymu-

szoną uprzejmością. Dał młodzieńcowi dolara i odprowadził go do drzwi. — Jestem wdzięczny.

W ciągu następnych pięciu minut Dan raz jeszcze zerknął przez drzwi do sypialni, rozstawił komputer, przeciągnął sznur telefoniczny od notebooka do telefonu, sprawdził ceny akcji i postanowił zejść do lobby.

— Schodzę na dół przywitać się z menedżerem. Znamy się od dawna — zawołał do Park. Nie usłyszał odpowiedzi.

Kiedy otworzył drzwi apartamentu, ujrzał przed sobą mężczyznę, który naprawił termostat. Oślaniał się obronnym gestem wyprostowanymi ramionami, dłonie zwracał wnętrzem ku niemu, a na jego twarzy malowała się niepewność. Zdziwiony jego obecnością, Dan zapytał:

— Przepraszam, jak długo pan tu stoi? — Młodzieniec był zbyt zaferowany, by odpowiedzieć. — Przepraszam? — Żadnej odpowiedzi. — *Habla Espanol?* — Bez odpowiedzi. — Hmm, właśnie szedłem porozmawiać z menedżerem, więc może powinienem mu o panu wspomnieć, czy też powie mi pan, czemu pan tu tak stoi? — stwierdził Dan, zataczając kręgi rękoma. Zniecierpliwiony rzekł w końcu: — W porządku. Zechce mi pan podać swoje nazwisko? — Nie chciał odświeżać dawnej znajomości z menedżerem hotelu, wnosząc skargę na jego pracownika, więc miał nadzieję, że młodzieniec po prostu sobie pójdzie. — Słucham. Jak ma pan na imię? — zapytał rozkazującym tonem.

Chłopak przechylił głowę w bok, wyduszając z siebie odpowiedź:

— Sal.

Dan zacisnął powieki, czując taki ból, jak gdyby wyszedł z domu w samych slipach.

— Ojej, Sal. Co za tępota, kompletna tępota. — Z wdziękiem wciągnął Sala z powrotem do apartamentu, biorąc od niego torbę. Krzyknawszy do Park, że Sal się zjawił — „Świetnie. Zaraz wychoďte” — i zaproponowawszy mu całą gamę soków, napojów gazowanych i słodczy, co nieodmiennie spotykało się z odmową, Dan próbował wciągnąć Sala w rozmowę. Jak minął lot? Słyszałem, że



często spóźniasz się na samolot. Jakież problemy ze znalezieniem hotelu? Twoja reputacja jako programisty cię wyprzedza. Naprawdę mi pokazałeś z tym termostatem. Na każdą z tych kwestii Sal jakby krzywił się niespokojnie w milczeniu.

Za każdym razem kiedy był już bliski odpowiedzenia — co zajmowało mu trzydzieści do sześćdziesięciu sekund — niecierpliwym Dan przestawał czekać i zadawał kolejne pytanie, co zaczynało od nowa cały powolny proces. Sal nie cierpiał werbalnych odpowiedzi, znając kryjący się w nich potencjał błędu. „Jak się masz?” Odpowiadając „świetnie”, ryzykowało się brakiem precyzji. „Chcesz pizzę?” Teraz tak, ale gdyby się rozmyślił, zamówienie byłoby już realizowane, a wtedy mógłby już mieć ochotę na coś, co w ogóle nie zostało mu zaproponowane. Obliczenia nie kłamały. Były odporne na słabości dnia codziennego i nie groziło im mylne zinterpretowanie.  $300 \text{ minus } 1$  równało się  $299$  niezależnie od tego, czy mówił to Murzyn z plemienia Bantu czy makler na Manhattanie. Sal znajdował schronienie w sile i mocy liczb, a więc i w sztuce programowania oraz ekstazie fizyki. Lecz zdania z założenia miały wprowadzać w błąd. Zapytajcie o to pierwszych lepszych czterech ludzi. I dlatego nawet najprostsze pytanie wyzwalalo u Sala proces skomplikowanych kalkulacji, rozważających prawdopodobieństwa i fakty. Pragnął kłamać tak niewiele, jak to tylko było możliwe. Kłamstwo było nieczyste. Gdyby Bóg chciał, by ludzie kłamali, nie stwarzałby liczb.

Częściej niż rzadziej Sal odnosił wrażenie, że wymuszana przez społeczeństwo konieczność odzywania się stanowiła więcej niż ingerencję w jego inteligencję i prawość, usiłując narzucić mu nieprecyzyjność języka, podczas gdy dokładność matematycznej formuły czy niezmienna realność potęgi natury mówiły same za siebie. Słowa jedynie sprawiały kłopoty. Matematyka nigdy. Z tej przyczyny Sal prawie nigdy nie odzywał się nie proszony, a i odpowiadał zwięźle. Wielu brało jego przesadną potrzebę precyzji za objaw tępoty, a czasem i ociężałości umysłowej. Jednak tak jak komputera nie można oceniać na podstawie jego szarej obudowy, podobnie wszystkie

cechy powierzchowności Sala były mylące. W rzeczywistości w jego umyśle nieustannie wirowała kakofonia wybuchowych spostrzeżeń, ponętnych porównań i kuszących wyobrażeń. Lecz jak to bywa z wieloma samotnikami, ich rezultaty okazywały się jedynie obciążeniem dla jego systemu.

Sposób bycia Sala był więcej niż tolerowany przez jego matkę, Park, która w chwilach oderwania od komputera także postrzegała gadatliwość jako niepożądaną cechę charakteru. Lecz Dan, dla którego słowa, pisane i mówione, stanowiły broń, potrzebował czasu, by zrozumieć kogoś, kto wypowiadał się za pomocą języka ciszy.

— Za dużo mówię? — zapytał, zdecydowany zaczekać na odpowiedź. Po długiej, wypełnionej niepokojem pauzie, Sal w końcu zdołał odpowiedzieć:

— Tak.

Oczy Dana rozjarzyły się, gdy obrócił głowę, by skoncentrować uwagę na Salu. Ich spojrzenia zetknęły się i Dan poczuł, że zaczyna nawiązywać z nim kontakt. Postawił przed nim swojego notebooka niczym ofiarny dar i otworzył go, by pochwalić się rozkładaną klawiaturą.

— Słyszałem, że znasz się na komputerach.

Sal nie uśmiechnął się; raczej przełknął ślinę tak, że gdyby to nie było przełknięcie, można by wziąć je za uśmiech. Lecz Dan uznał poruszenie Salowego jabłka Adama za nie wypowiedziany gest dobrej woli, formę dialogu. Sal popatrzył przez chwilę na doskonałego notebooka Butterfly, a potem bez słów sięgnął do torby. Z jej wnętrza wyłonił się maleńki komputer wielkości dłoni. Sal otworzył go, a kiedy ekran się rozłożył, na jego twarzy naprawdę pojawił się zawstydzony półuśmiech. Dana zamurowało.

— Masz Windy'ego? Hinnom jeszcze nie wprowadził go do sprzedaży.

— Rosie zdobyła dla mnie wersję beta — wtrąciła Park, stając w drzwiach zawinięta w gruby hotelowy szlafrok. Prawie uśmiechnięta twarz Sala przygasła. — Ale nie sądzę, by ktokolwiek o tym

wiedział, a, o kurczę, zapomniałam go zwrócić, kiedy od nich odchodziłam — wyjaśniła z krzywym uśmiechem.

Sal wtulił głowę w ramiona i uśmiechnął się od ucha do ucha.

— To jeden z zaledwie trzech w pełni działających modeli fabrycznych — wyjaśniła Park. — Bardzo potężny. Wyładowany numerami telefonów Hinnoma, danymi testowymi, bazami danych, oprogramowaniem. Zapewne wciąż podłącza się do ich serwera i nieustannie uaktualnia system. Niezły bajer.

Dan zeszytniał. Sal dostrzegł to i zadrzał lekko. — To urządzenie — Dan wyciągnął rękę, mówiąc z naciskiem — jest podłączone do centrali Hinnoma?

Park przytaknęła, a i Sal potwierdził to bez słów.

— Nie tylko do centrali Hinnoma — uzupełniła Park. — Nawet nie zdążyliśmy jeszcze zidentyfikować wszystkich urządzeń podłączonych do systemu.

— Mogę obejrzeć? — poprosił Dan. Sal mocno zacisnął wargi.

— Eee, wydaje mi się, że Sal wprogramował w to cacko całą kupę makrosów — odpowiedziała za syna Park. — Nie pozwala nikomu tego dotykać. Klawisze są tak małe, że łatwo jest wdusić niewłaściwy, a wtedy buch, odpala któryś z programów Sala.

— Czyli dajmy na to F9 uruchamia zaparzanie cappuccino, a po paru minutach będziemy tu mieli mnóstwo pary? — zażartował Dan.

— Dokładnie tak — potwierdziła Park.

Dan potarł czoło, przeciągnął dłonią po oczach, a potem potarł nią o skroń w desperacji.

— Dobrze, może nie teraz — oznajmił — ale kiedyś będziemy musieli wykorzystać to, co w nim siedzi. Może moglibyśmy zajrzeć do jakichś plików Hinnoma. To by było dobre, co?

Park nie odpowiedziała. Sal wydawał się jeszcze bardziej przygarbiony. Atmosfera w pokoju stała się niezwykle mało sprzyjająca perswazji.

— Uważam, że decyzja należy do Sala — stwierdziła Park. — Traktuje swojego Windy'ego bardzo osobiście.

Dan skrzywił się i zmarszczył czoło.

— W porządku — powiedział, zmieniając temat. — Zgłodniałem, ktoś ma ochotę na obiad?

Park uśmiechnęła się ponownie, a potem we trójkę zeszli na dół, by złapać taksówkę.

Pulsujące gitary i latynoskie rytmy elektryzowały noc nad Bethesdą wokół „Tel Aviv Cafe”. Muzyka „Gipsy Kings” rozbrzmiewała z głośników restauracji, wylewając się na ulicę. Ruch na zatłoczonej ulicy niemalże stał w miejscu, jedynie zwiększając obroty lokalu. Jeżeli nawet nie podejżdżało się pod wejście, by oddać kluczyki parkingowemu, a jechało dokądś indziej, i tak wypadało zatrzymać się pod drzwiami i wykrzyzczyć pozdrowienie do Udiego, sympatycznego restauratora, który znał wszystkich gości z nazwiska, nawet tych, którzy woleli się nie przedstawiać. Restauracja jedynie w minimalnym stopniu stanowiła miejsce spotkań tutejszych Żydów i gości z Izraela. Szybko stała się ulubionym lokalem ludzi otwarcie i skrycie wpływowych, bez względu na zawód i pracę. Szpiedzy, szpiedzy na emeryturze i szpiedzy na dorobku bez skrupowania ocierali się o polityków, artystów, finansistów, dyplomatów i dziennikarzy. Smukłe, piękne kobiety, stale obecne w murach restauracji, regularnie wystawiały na próbę mężczyzn starających się nie odwracać głowy w pół zdania. Biesiadne talerze z daniami kuchni izraelskiej, marokańskiej i śródziemnomorskiej przepływały nieustannie na rozpostartych palcach kelnerów niosących wonne kompozycje niczym egzotyczne szarfy na wietrze. A kiedy o jedenastej okoliczne restauracje zamykały swe podwoje, ich właściciele tu właśnie przychodzili na późnego drinka.

Niektórzy bywalcy „Tel Aviv Cafe” zawsze siadali na zewnątrz, wtapiając się w uliczne życie, jeśli pozwalała na to pogoda. Byli też i tacy, którzy woleli miejsca na sali, wręcz w jej głębi. Ale nie Dan. Jego ulubionym stolikiem była jedyńka, z samego przodu, na styku miejsc siedzących i chodnika.

Zrządzeniem losu jedyńka zwolniła się w chwili, gdy przed restauracją zatrzymała się taksówka Dana. Dan, Park i Sal ledwie zdążyli wysiąść z pojazdu, gdy Udi, krążący na tyłach restauracji, dostrzegł zbliżającego się starego druha. Skinął na drobną, wyglądającą jak lalka hostessę; dziewczyna spojrzała ku wejściu, także rozpoznała Dana i zrozumiała nie wypowiedziane polecenie. W mgnieniu oka pomocnicy kelnera opadli rojem stolik numer jeden. Włoski attache handlowy i jego żona byli pierwsi w kolejce, lecz hostessa pominęła ich, usadawiając Dana i jego gości. Dan udał, że nie zauważa zmartwienia żony attaché, której zaoferowano drinka na koszt firmy jako rekompensatę za przedłużające się oczekiwanie.

Udi był jowialnym Izraelczykiem z Maroka o włosach związanych w kitkę, mówiącym nienagannie po francusku, hebrajsku, arabsku i angielsku. Wiele widział, a jeszcze więcej działał podczas służby w elitarniej izraelskiej jednostce komandosów i później, jak powiadano, w Mosadzie. Dan poznał Udiego, kiedy wraz z innymi zagranicznymi korespondentami obwożono go po maronickich enklawach w południowym Libanie. Pojazd Dana odłączył się od eskortowanego przez wojsko konwoju. Izraelski wywiad wysłał Udiego z zadaniem odnalezienia Dana i przetransportowania go i powrotem przez granicę, zanim bojownicy Amalu poszukujący nowych zakładników znajdą go snującego się po okolicy.

Dan podniósł się z wyrazem prawdziwej radości na twarzy, uściśnił się powitanie i pocałowali w oba policzki.

— *Szaaalom, chaver* — powiedział Udi.

— Witaj, przyjacielu — odparł Dan. Wyszeptał Udiemu dowcip do ucha. Udi odpowiedział mu również szeptem. Obaj roześmieli się.

— A to kto? — zapytał Udi. Dan przedstawił mu Park i Sala. Park z entuzjazmem potrząsnęła jego dłoń. Sal zamrugał kilkakrotnie w geście powitania, a potem odchylił głowę.

Dan i Udi wymienili się szybkimi streszczeniami wszystkiego, co przytrafiło się im od ostatniego spotkania, a potem Udi zapytał:

— Dochodzisz już do siebie po Nowym Roku?

— Doszedłem — odparł sucho Dan. — Umieram z głodu. Dałbyś coś do jedzenia.

Udi zamówił dla nich okazałą ucztę złożoną z dań marokańskich, izraelskich i kontynentalnych. Jako zakąski pojawiły się cigarim, falafel, hummus i tahina, ułożone koncentrycznymi kręgami na wspaniałej beduińskiej ceramice, a do nich talerz pity, uzupełniony niewielkim glinianym naczyniem z pikantnie zielonym *zattarem*, misą ostro przyprawionego *hariffu* oraz oliwą z oliwek. Barman otworzył butelkę szlachetnego merlota. Mimo usilnych starań wśród wystawionych gatunków whisky nie mógł wszakże znaleźć Laphro-aiga. Udi zastanowił się przez chwilę i sięgnął na tylną półkę. Na twarz Dana wypłynął niewielki uśmiech, kiedy pojawiła się przed nim znajoma butelka z czarno-białą etykietą.

— Wciąż pełna do połowy? — zapytał Dan.

— Tylko ty ją pijesz — zażartował Udi.

Głośna, rytmiczna muzyka i nieustanny ruch składały się na charakterystyczne dla tego miejsca podniecenie. Kuchnia, którą Dan akceptował jako coś normalnego, gustując w niej całe lata przed i po wizycie w Izraelu, stanowiła zupełnie nowe doświadczenie dla Park. Była nią zachwycona i nawet spróbowała zawartości misy z *harif-fem*, oznajmiając nieco zatchnięta po odrobinie gęstej, oczyszczającej zatoki pieprznej pasty:

— Rany! Nawet smaczne.

Sal odmówił wszelkiej styczności z przyprawami, lecz raz czy dwa zanurzył swą pite w hummusie. Natomiast zaakceptował szaszłyk, który smakiem przypominał mu hamburgera. W pewnym momencie kelner otarł się o stolik i nieco octu wylało się do jednego z naczyń. Wydarzyło się to w chwili, gdy Sal zanurzał w nim na próbę palec. Skrzywił się, wytarł palec o obrus i osuszył go serwetką.

— Co to jest? — skrzywił się Sal.

— A, to — odparł Dan. — Znam to. Nie jestem pewien arabskiej nazwy, ale to hizop. Jadłeś to z octem?

Sal skinął głową.

— Taak — dodał Dan. — Taki dziwaczny dodatek do sałatek i mielonej oberżyny. Trzeba się do tego przyzwyczaić. Jadłeś już to kiedyś? — Sal zaprzeczył wzruszeniem ramion. — Może w poprzednim wcieleniu — zażartował Dan.

W miarę jak wieczór zbliżał się ku północy, muzyka stawała się coraz głośniejsza. Przy barze zaczęło się robić gęsto od stałych gości. Kiedy do sali wszedł starszy dżentelmen w wytwornym, choć nieco niemodnym szarym garniturze i krzywo zawiązanym krawacie, Dan nie mógł uwierzyć własnym oczom.

— Muszę was przeprosić na chwilkę — powiedział Park i Salowi. — Sprawa służbowa—i może okazać się dla mnie bardzo ważna. Może potrwać minutę, ale też i znacznie dłużej. Potem wszystko wyjaśnię. — Dał znak Udiemu, by podczas jego nieobecności zajął się ich stolikiem ze szczególną dbałością. Potem zbliżył się, czekając na odpowiedni moment.

— Ted? — zapytał. — To ty?

Theodore Steeple wyciągnął z wewnętrznej kieszeni okulary, nasadził je na nos, przyjrzał się Danowi przez chwilę, wyteżył pamięć, przypomniał sobie i powiedział:

— Jesteś... jak ci tam... Levine... Lewin...

— Dan Levin — poprawił go serdecznym głosem Dan.

— Wszystkie żydowskie nazwiska brzmią dla mnie tak samo — odburknął. — Może nie dla ciebie. Ale dla mnie. Levin. Zgadza się, Levin. Wiedziałem. Tylko potrzebowałem minutkę. Dan, jak się, u licha, miewasz?

Ted Steeple był jednym z seniorów nowojorskiego świata literackiego i jedyną osobą, której Dan pozwalał na siebie burczeć. Taki już był Steeple. Jeżeli nie odnosił się do kogoś pogardliwie, to znak, że nie zależało mu na nim. Był już po siedemdziesiątce, choć jego pamięć na to nie wskazywała, lecz nieobcy mu był smak szkockiej, szczylił się też swymi umiejętnościami na korcie, domem w Hamp-ton i anglosaskim pochodzeniem. Uprzejmość dla Steeple'a stanowiła odmianę pobłażliwości. Lecz mając za sobą pięćdziesiąt lat w branży, współpracę wydawniczą z największymi autorami, nieodmiennie uwieńczone powodzeniem zmagania z upierdliwymi dyrektorami wydawnictw, by przepchnąć liczące się projekty, Steeple ustanawiał własne zasady i wybierał grę. To Steeple trzydzieści lat wcześniej odkrył młodego, pełnego entuzjazmu, nieokrzesanego Dana Levina i pomiałał nim emocjonalnie oraz edytorsko przez pięć

lat, a po ich upływie Dan stworzył swe kasowe arcydzieło, „Dolary Rzeszy”, analizę faszystowskich finansów, która trafiła na pierwsze strony gazet całego świata i wydobyła nazwisko Dana z otchłani anonimowości. W umyśle swego mentora człowiek nigdy nie dorasta. Dla Steeple'a Levin wciąż był rozwiniętym nad swój wiek smarkaczem z ostrym ołówkiem za uchem i tępym ogniem w piersi. Tak naprawdę Levin się zmienił. Już nie był smarkaczem.

— Doskonale, Ted — odparł Dan. — Cudownie znów cię zobaczyć po tych... ilu? Dwudziestu, piętnastu latach? Co cię sprowadza do „Tel Aviv Cafe?”

— A co? Przegapiłem tabliczkę „Tylko dla Żydów”? — warknął Steeple z dobrotliwą szorstkością. — Rozejrzyj się, Dan. Myślisz, że jestem tu jedynym WASP-em? — Cokolwiek by powiedział, Dan nigdy jeszcze nie wygrał ze Steeple'em, którego wypowiedzi nierzadko okraszone były bezpośrednimi żydowskimi odniesieniami, jakie komuś innemu mogłyby się wydać antysemickie. Lecz Ted popierał i wydał ponad dwadzieścia najważniejszych opublikowanych książek o holocauście. Jego wiarygodność jako zwolennika sprawy żydowskiej na polu walki literackiej była powszechnie znana. A pod gruboskorną, anglosaską fasadą krwawił człowiek, którego wściekłość wywołana holocaustem nie przygasała ani na moment. Pod tym względem niczym nie różnił się od Dana. — Jesteś sam? — zapytał Steeple.

Dan wskazał na Park i Sala.

— Moja przyjaciółka z synem. Przyjechaliśmy tylko na weekend.

— Na weekend? — przedrzeźnił go Steeple. — Kiedy, na rany Chrystusa, nauczysz się mówić po ludzku, a nie jak bandzior z ulicznego gangu z Chicago? — Zamłócił ramionami, mówiąc z przesadnym chicagowskim akcentem: — „Deez dooz dare four dis tree”. — Opróżnił kieliszek i zapytał poirytowanym tonem: — Jesteś w stanie wymówić to jako *these those therefore this three?*

Spieranie się z nim nie miało sensu.

— Nie ma takiego słowa, którego nie potrafiłbym wymówić w sposób, do jakiego jesteś przyzwyczajony — odparł Dan monotonnym głosem, starannie artykułując każdy dźwięk.



- Znacznie lepiej — zlitował się Steeple, raz jeszcze udowadniając, że umie zaczynać każdą rozmowę od podboju. — Więc mówileś, że jak się, u licha, miewasz?
- Tak naprawdę to wcale nie najlepiej. Jestem odrobinę podirytowany — powiedział Dan, skinięciem dłoni zamawiając u barmana kolejnego Laphroaiga.
- Zanim zaczniesz mnie zanudzać swoją opowieścią — przerwał mu Steeple — powiedz mi, jak się czujesz wewnętrznie. Słyszałem o Nowym Roku, o Jenny i twoim chłopaku Simonie. Chcesz o tym pogadać? Ze mną możesz o tym pogadać. W głębi serca zależy mi na tobie.

Na mgnienie oka Dan zacisnął pięści wokół kciuków. *337 proszę się zgłosić do Działu Specjalnego. Jak to do Działu Specjalnego? Przepraszam, o co chodzi z tym Działem Specjalnym? Proszę pana za mną. Wzięła go pod rękę i przez niepozorne drzwi sprowadziła ze specjalnej rampy do słabo oświetlonego, pozbawionego okien pomieszczenia z dwunastoma rzędami krzeseł. Co to za miejsce? Ścisnęła go za ramię. Proszę wejść do środka. Co to za miejsce, do cholery? Zajrzał do sali i ujrzał zapłakanych ludzi. Spróbował się wyszarpnąć. Proszę wejść do środka.* Dan rozluźnił dłonie.

- Taak, jest dobrze — powiedział, przerywając dla nabrania oddechu. — Ale teraz jestem odrobinę podirytowany. Wiesz, sprzedałem wszystkie moje czasopisma.
- Dziesięć czasopism... — powiedział Steeple.
- ... siedem — poprawił go Dan. — Teraz zarządza nimi banda korporacyjnych idiotów.
- Cóż, z korporacyjnych idiotów nie ma żadnego pożytku — przytaknął Steeple.
- Ale to oni przejmują kontrolę nad światem—poskarżył się Dan.
- Dobrze, dobrze. A co u ciebie? Jesteś gotów przejść na emeryturę, ty bogaty sukinsynu — powiedział Steeple. — Myślę, że popełniasz błąd, młody człowieku. Spójrz tylko na mnie. Chcieli odesłać mnie na emeryturę, ale skopałem im dupską.
- Nie zamierzam się wycofywać — wyjaśnił Dan. — Sprzedałem moje szmatławce i jestem gotów wrócić do poważnej pisaniny.

Dan zerknął w stronę stolika i spostrzegł, że Park obserwuje go z daleka. Mrugnął, dyskretnie przyłożył palec do wtyrk i posłał jej całusa, którego nikt nie mógł zauważyć. Po drugiej stronie restauracji Park uśmiechnęła się i dyskretnie przesunęła dłonią po policzku, by pokazać mu, że całus trafił do celu.

- Dobra, pomówmy o tym — powiedział Steeple. — Czym dokładnie chcesz się zająć? Wiesz, powtarzałem ci z tysiąc razy, że ta praca o carze, jeszcze jedna książka historyczna, to coś w sam raz dla ciebie. Jesteś w tym mocny.
- Eee — odparł Dan. — Już mnie to nie podnieca. Zaliczyłem ten etap. Było miło. Ale tak naprawdę chciałbym wrócić do tematyki holocaustu. Może tym razem opisać historię moich rodziców.
- Judaika? — spytał Steeple. — Wiem coś o tym- To cholernie ważny temat. Opublikowałem wiele książek o holocaustcie. Ale to nie przemawia do przeciętnego czytelnika. Nie ma w tym pieniędzy. Jesteś świetny jako reporter. Co się stało? Za bardzo skoncentrowałeś się na tych głupich czasopismach. Jak to się nazywało? „Brain”? Takie barachło nie pomoże ci w karierze, dzieciaku.
- Mózg ci się nie podoba? — odparł zaczepnie Dan. — Dysleksja, pamięć. Alzheimer, funkcja motoryczna, zaburzenia uwagi, Parkinson, dziedziczna skłonność do przemocy. To duże tematy. Półtora kilograma tkanki między uszami, której większość ludzi nawet nie umie poprawnie wykorzystywać. Pięćdziesiąt milionów Amerykanów cierpi na choroby związane z mózgiem- Na wypadek gdybyś nie miał pod ręką odpowiednich obliczeń, równa się to 305 miliardom dolarów rocznie wydawanym na leczenie, rehabilitację i koszty pochodne. A więc gdzie tkwił mój błąd? W tym, że wprowadziłem odrobinę agresywnego dziennikarstwa w dziedzinę słynącą z przynudzających publikacji, zdolnych uśpić każdą półkulę mózgową? Opuść mi trochę, co?
- Dobra, napisz książkę o mózgu — odparł niedbałym tonem Steeple.

Dan z irytacją potrząsnął głową.

- Nie chcę pisać książki o mózgu. Mam dość mózgu.
- To stwórz następne czasopismo — burknął Steeple.

- Dziesięć lat — odciął się Dan. — Mam dosyć telefonów od drukarzy o trzeciej rano z pytaniem o kolor farby. Mam dosyć przygotowywania trzech numerów siedmiu tytułów jednocześnie.
- Dla takiego faceta jak ty to powinno być łatwe — nie ustępował Steeple. — Co się stało z tą fotograficzną pamięcią?
- Film mi się skończył — odgryzł się Dan. — A nawet gdyby tak nie było, zostawiłem to za sobą w chwili, kiedy sprzedałem wydawnictwo. A bez Jenny nie będę w stanie zacząć od nowa. Teraz mam parę groszy i zamierzam napisać książkę, do której zachęcał mnie ojciec, a której nigdy nie napisałem: ich prawdziwą historię. Przez całe życie tego pragnąłem. Po prostu nie umiałem zacząć, byłem zbyt zajęty wszystkim innym. — Dan przerwał zbyt długą dygresję. — O ironio, nadal myślę o czymś innym. Usiłuję napisać reportaż i węszyć tu i tam, pracując nad tym tematem. Planuję, Ted, opublikować parę głośnych artykułów w tygodnikach, załapać się na kilka nagłówek, a potem wskoczyć z powrotem w książki.
- Znałem paru doskonałych pisarzy zajmujących się judaikami — pochwalił się pobłażliwym tonem Steeple. — Edytowałem książki o holocauście, w tym i twoją, opublikowałem biografie wszystkich największych izraelskich polityków. Co do jednej świetnej książki. Ale nie chcę, by twoje następne dzieło okazało się jeszcze jedną opowieścią naocznego świadka, która skończy na półce z judaikami u Barnesa i Noble'a, po dwa egzemplarze na sklep. Czy ty w ogóle rozumiesz, co do ciebie mówię? Stać cię na więcej.

Dan uniósł szklaneczkę i umoczył wargi.

— Ted, ukazują mi się obrazy — wyjaśnił. — Nieustannie ukazują mi się obrazy, które rozdzierają mi serce. Niektóre są piękne, niektóre bolesne, wiele z nich jest przerażających. Zapisuję je na skrawkach papieru albo utrwalam w pamięci. Po jakimś czasie składam je razem i stwarzam z nich pojedynczą scenę, a kiedy wracam do niej, tętni życiem. Pali żywym ogniem przy czytaniu i przy pisaniu. Wciąż staram się zrozumieć ten proces. — Pociągnął kolejny łyk i obnażył duszę przed jedynym człowiekiem, któremu nadal ufał. — Mój umysł dzieli świat na obrazy, których do siebie nie dopuszcza... i obrazy, których nie chce z siebie uwolnić.

- Jak sobie z tym radzisz? — zapytał Steeple.
- Podkręcam stereo i siadam do klawiatury — odpowiedział Dan. — Na papierze pojawiają się tego efekty. Generalnie nie się dla mnie nie zmieniło. Świat to bardzo mroczne miejsce, z mroczną przeszłością. Ludzie błąkają się w strachu, udając, że się nie zgubili, udając, że nie widzą, co się wydarzyło. Pragnę oświetlić im drogę przez mrok. A przynajmniej ta część mnie, która nastawiona jest na dawanie.
- A ta egoistyczna? — zapytał nonszalancko Steeple.
- Może paru ludzi dostrzeże źródło tego światła — przyznał zażenowany Dan, uśmiechając się nieznacznie.
- Dobra, a teraz posłuchaj — warknął Steeple. Dan wiedział, że kiedy zaczynał wypowiedź od tych słów, zawsze miał do powiedzenia coś ważnego. — Te końskie dupy, które próbowały wysłać mnie na zieloną trawkę — burknął Steeple — w trakcie swych nieroztropnych fuzji nauczyły się unikać swych dawnych błędów. Zwracałeś ostatnio uwagę na to, co się dzieje na rynku wydawniczym? — Nie czekając na odpowiedź, mówił dalej: — Wiem, że nie. Stare rodziny rządzące wydawnictwami odeszły w niebyt. Rozsądek odszedł w niebyt. Księgarz detalista ze sklepu na rogu, częstujący klientów winem i serem, też odchodzi już w niebyt, choć wciąż jeszcze kupuję wszystkie książki u tego samego księgarza na mojej ulicy. Teraz wszystkim trzęsą wielkie korporacje — tak publikacją, jak i sprzedażą. Niemcy i Brytole trzymają wszystko w kieszeni, a Chińczycy kontrolują wielki rynek, na który każdy chciałby się dostać, tak więc dyrektorzy trzęsą łydkami, kiedy Chińczycy się odzywają. Wartościowe książki już się nie liczą. Teraz dominują chwytliwe tytuły i sprawdzone nazwiska. Książki na tony. Zupełnie jak w Hollywood. Lecz co jakiś czas czytelnicy żądają czegoś lepszego i w końcu jeden z tych międzynarodowych rekinów medialnych postanawia zrobić coś właściwego powodowany całkowicie niewłaściwymi motywami. Stawia się jak arogancki sukinsyn i obwieszcza całemu światu: „Zrobimy coś jak należy” ot, tak, dla kaprysu. Słyszałeś o Castlebank Books i o Manhattan-Billings Street Press? — ciągnął dalej Steeple. — Te dwa wydawnictwa — które

wchłaniały wszystko jak leci — połączą się w przyszłym tygodniu, a cały ten nowy moloch stanie się monstrualną częścią Wolf Multi.

- Tych Włochów? — przerwał mu Dan.
- Mój chłopcze — poprawił go Steeple — kiedy osiągasz takie rozmiary jak Angelo Wolf, nie jesteś już Włochem, Niemcem, Brytolem czy Amerykaninem. Jesteś po prostu Wolf Multi. A teraz nie rozpraszaaj mnie, tylko słuchaj. Nowa nazwa będzie brzmiała Castlebank Manhattan Publishing. Z Billings koniec. Dotarło do ciebie? Castlebank Manhattan. Ale stary pierdoła z Castlebank, którego zatrzymano na posadzie wydawcy z absurdalną pensją, na którą zupełnie nie zasługuje, zaproponował mi pozycję głównego redaktora z równie absurdalną pensją, na jaką zupełnie zasługuję. Moim zadaniem jest stworzenie listy świetnych książek.

Dan milczał. Kiedy Steeple mówił w ten sposób, najlepszym wyjściem było trzymanie gęby na kłódkę.

- Zostaw to mnie, mój chłopcze — powiedział Steeple.

Taką uwagę zawsze dobrze było usłyszeć. Dan zazwyczaj stawał się wzorem posłuszeństwa, kiedy z ust Steeple'a padały te słowa.

- Może jesteś w stanie oddać sprawiedliwość historii twych rodziców, a może nie. A może powinieneś zostawić to panu filmowcowi, Stevenowi Jakmutam — dodał Steeple. — Wynająłem tego utuczonego Markowitza z Soho Meridian Press, by zajął się moją listą judaików. Decyzje należą do niego. Ale zadzwonię do niego w poniedziałek i powiem mu, żeby posłuchał tego, co będziesz miał mu do powiedzenia. Przynieś nam trzy rozdziały, które nie uspią połowy Nowego Jorku, a może we dwóch uda się wam tchnąć nowe życie w tematykę holocaustu.
- Rozumiem — odparł ostrożnie Dan.
- Poczekaj! Najpierw dostarcz mi ostry reportaż, żebym miał coś z ikrą na jesień 99. Zajrzyj do swojej czarnej teczki, znajdź coś soczystego, co nie zajmie ci za dużo czasu, daj mi dosyć konkretów i miecha na jakieś osiemdziesiąt tysięcy słów — około 270-300 stron — przynieś na dyskietce za osiem tygodni, a potem możesz tańcować

z Markowitzem i udawać, że piszesz Wielką Amerykańską Powieść. Ale wpieryw reportaży.

Dan przelknął głośno i wbił spojrzenie w podłogę.

— O carze Mikołaju?

Steeple dokończył szkocką i postukał w krawędź kieliszka, by zwrócić uwagę barmana.

— Car to dobry temat—powiedział — zaufaj mi, chociaż gdyby udało ci się wykorzystać tę twoją czachę, Dan, mój chłopcze, i połączyć swoją znajomość technologii — komputerów i tak dalej — myślę, że rynek jest przygotowany na taką książkę. Masz może coś

o przestępstwach komputerowych albo niewolniczej pracy w Malezji? Posłuchaj, nie chodzi mi o książkę z wizją przyszłego społeczeństwa — machnął szydlerczo ręką, jak gdyby wróżył z kryształowej kuli — ani o żaden podręcznik. Ale chciałbym, by ludzie wiedzieli, jak bardzo się odsłaniają, uzależniając się od tych cholernych komputerów. Łatwo ich wykorzystać. Globalna niezależność wycieka niczym woda z nie dokręconego kranu. Chciałbym, by ludzie wiedzieli, jak wiele może potoczyć się niezgodnie z oczekiwaniami. Potrzebuję czegoś wstrząsającego, by ze strachu pogubili gacie.

Dan podniósł wzrok.

— Być może akurat mam pomysł na książkę — powiedział cicho.

Od swego stolika Park ponad głowami klientów ledwie widziała stojących po drugiej stronie sali Dana i człowieka, z którym rozmawiał. Dan podniecił się nagle, wymachując rękami. Jego rozmówca słuchał go, od czasu do czasu coś sobie notując. Co jakiś czas ich szklanki wędrowały na północ i wracały na bar odrobinę lżejsze. Park nie mogła się doczekać, by się dowiedzieć, co omawiali.

Ale Sal zaczynał się nudzić. Sprawdził e-mail na Windym i znalazł tam wiadomość od towarzysza wędrówek z Capital Database Collective, zapraszającego go na trochę Jolta i płatków kukurydzianych jako preludium do egzotycznej normalizacji tabel i uaktualniania danych przy jednoczesnym podglądzie.

Upewniwszy się, że syn ma dosyć gotówki na metro, i wyдоста-

wszy z niego obietnicę powrotu przed świtem do hotelu, Park posłała mu z czubka palca całusa i pomachała na do widzenia. Wtedy została sama i niewiele brakowało, by zaczęła się irytować. Jednak rozmowa przy barze zdawała się zbliżać do decydującego rozstrzygnięcia, więc postanowiła jeszcze trochę z tym poczekać.

— To o Hinnomie jest na serio? — zapytał Steeple.

— Początkowo nie miałem pewności — odparł Dan. — Ale teraz jestem przekonany, że ten facet jest mrocznym geniuszem zamierzającym opanować świat za pomocą narzędzi, jakimi nie dysponował żaden zdobywca w jego historii. Nie mam na myśli dzid i legionów kontrolujących całe populacje i terytoria, lecz pasywne blokowanie hasel i uaktualnień, które równie skutecznie podporządkuje całą ludzkość Hinnomowi. Kiedy słyszysz wybuchające bomby, czujesz podmuch eksplozji i widzisz ognie pożarów. Lecz kiedy atakuje Hinnom, stacza swe bitwy przy wtórze szemrzących twardych dysków, ledwie słyszalnym stukaniu klawiatury. W końcu to cisza obwieszcza ostateczną klęskę.

— Kurde, ty dumny sukinsynu — wybełkotał Steeple. — Potrafisz to tak opisać?

— Owszem — potwierdził Dan, a w oczach lśniło podniecenie.

— Dobrze — powiedział Steeple. — Czterdzieści tysięcy teraz i czterdzieści po ukończeniu ostatecznej wersji. Manuskrypt za sześćdziesiąt dni. Roboczy tytuł... może... *Hinnom — Nie opowiedziana historia*.

— Tytuł nudny. Pieniądze nędzne — odparł Dan. — Ale przeżyje.

Steeple potrząsnął ręką Dana. Dan objął go. Steeple usiłował się uwolnić.

— Daj spokój, daj spokój. To miejsce publiczne, do jasnej cholery.

Dan powrócił do Park energicznym krokiem, starając się nie biec. Nie potrafiąc się pohamować, wepchnął sobie do ust wielki kubek — na jeden raz — i popił merlotem.

— Chodźmy stąd — szepnął jej do ucha. — Wracamy do hotelu.

- Co na miłość boską... — zaprotestowała Park.
- Zaraz ci wszystko wytłumaczę. Kiedy już stąd pójdziemy. Hej, co się stało z Salem?
- Połączył się z lokalną grupą użytkowników — odpowiedziała — i teraz zamierzają spędzić całą noc na rozmontowywaniu i składaniu baz danych. Co to był za człowiek?
- Dałaś Salowi pieniądze, by mógł zadbać o siebie?
- Tak, tak — odpowiedziała Park — ale powiedz mi zaraz, kim jest ten facet?
- To Ted Steeple — wyjaśnił Dan, przekrzykując muzykę — wydawca weteran, ma na koncie fantastyczne książki. Musimy wyjść, zanim zmieni zdanie. Dostałem moje zlecenie. Książkę. Książkę! — powiedział Dan, uniesieniem brwi wskazując siedzącego przy barze Steeple'a, który dopiero co zapalił Monte Cristo #2, przeschmugłowa-nego przez Udiego z Hawany. — Kiedy jest aż tak dobrze, pora uciekać. Gotowa?
- Książkę o czym? — zapytała Park szeptem ledwie słyszalnym przez muzykę.
- O naszym kolesiu, Benie Bandziorze — odparł. — Mamy go! Książka o Hinnomie i jego skorumpowanym, wstrętnym imperium. A ten facet, Steeple, sprawi, że stanie się rzeczywistością — i to jak! — Dan zacisnął dłonie tak, by tylko ona to zobaczyła. — Tego potrzebowałem. Wróciłem.

Park uśmiechnęła się, jakby zwycięstwo Dana było także i jej zwycięstwem, jak gdyby stanowiła część początku i końca tej odysei w równej mierze, co walka Dana o jej rozpoczęcie. Chwyliła go za rękę i ścisnęła mocno.

Dan rzucił na stół nową studolarówkę, wypił resztę swego wina i odprowadził ją do drzwi. Udi dostrzegł, że wychodzą, dał znać kelnerce, by zabrała pieniądze, i zawołał za Danem:

— Następnym razem uprzedź mnie, że wpadniesz.

Dan odwrócił się i przyjaźnie zamachał do Udiego pięścią.

— Do zobaczenia wkrótce, Udi — zawołał, ruszając biegiem za taksówką.



Kiedy taksówka ruszyła, Dan polecił kierowcy:

- Proszę jechać przez Parkway.
- Wisconsin będzie szybciej. Parkway to cholerny objazd — zauważył kierowca z nie skrywaną irytacją.
- Parkway — powtórzył Dan.

Dwadzieścia minut później taksówka wjechała na George Washington Parkway, surrealistyczną, obramowaną kamieniami, wysadzaną drzewami, mroczną autostradę, która biegnie idyllicznie ponad Potomakiem. Zbudowano ją, by zapewnić CIA dziesięćminutowy dojazd do National Airport, a jednocześnie przypomnieć wszystkim, że polityczny chaos stolicy ironicznie wprawiony jest w krajobraz spokojnej, naturalnej pogodności. W bezchmurną noc, kiedy gwiazdy świecą w ten niezwykle sposób, kiedy księżyc lśni tak, że jednocześnie oświetla drogę i rzuca swój obraz na płynącą w dole rzekę, wtedy błyszczący pomnik Waszyngtona, Centrum Kennedy'ego, pomnik Jeffersona, migotanie Wirginii zza rzeki i krzątanie odrzutowców krążących i zniżających się ku pobliskim pasom startowym — wszystko to sprawia, że dziesięćminutowa jazda tą trasą napędza człowieka radością, stanowi obietnicę czegoś szczególnego.

Z oddali widać było, jak taksówka mija odległą iskrę pomnika Waszyngtona, ów przyciągający wzrok, biały, egipski obelisk, który swój smukły, wyniosły kształt zawdzięcza ponoć starożytnemu kultowi płodności. Jego wysoka, prosta, dominująca nad okolicą sylwetka wyłoniła się zaledwie na moment, kiedy Parkway przeciskała się przez prześwit między drzewami. Lecz kiedy go zobaczyli, obraz imponującego pomnika pozostał z Danem i Park, nawet kiedy nie było go widać.

Przez nieskończenie długi czas Dan milczał. W końcu przyznał z uczuciem:

- Coś się dzieje. Dzieje się tak wiele.

Park chciała coś odpowiedzieć, lecz postanowiła słuchać go dalej.

— Byłem pogrzebany — powiedział Dan. — Ale ta książka o Hinnomie... to dla mnie wspaniałe wydarzenie. Rany! Mam szansę rzucić się do gardła szwarccharakterowi. Jeszcze raz. Jak za dawnych czasów.

Dan odwrócił się do niej i ujrzał w niej partnera.

— Nie myśl, że nie wiem, że to ty jesteś źródłem tego wszystkiego. To ty, Park. Materiał o Hinnomie. Fantastyczny. Jakbyś wyciągnęła mnie z grobu i przywróciła do życia informacją, wsparciem, towarzystwem, choć nie miałem pojęcia — za cholere — że tak rozpaczliwie będzie mi to potrzebne.

Reflektory taksówki przesywały pasma mgły snujące się przez nie oświetloną drogę, sarny stały nieruchomo na poboczu, jedynie w ich połyskujących oczach płonął ogień.

— Rozumiesz, że sam sobie z tym nie poradzę — ciągnął Dan nietypowo drżącym głosem. — To nasza wspólna sprawa. Musisz być przy mnie. Znasz się na tym — na komputerach. Twardy dysk kojarzy mi się z kontuzją kręgosłupa.

— To tylko urządzenie do magazynowania danych — odparła roześmianym głosem.

— Bez różnicy — zaśmiał się, wciąż starając się stłumić emocje towarzyszące mu w tej chwili. — Park, będę potrzebował pomocy. Prawdziwej pomocy. Na każdym kroku. — Pomoc była słowem, które z trudem przechodziło Danowi przez gardło.

— Jestem chętna — odparła Park, zaglądając w głąb jego serca — jeżeli się otworzysz i wpuścisz mnie do środka. Czasami wydaje mi się, że masz z tym poważny problem.

Dan splótł spokojnie dłonie i wyznał z cichym westchnieniem:

— Potrzebuję... potrzebuję potrzebować. Przyznaję. Ale od tak dawna było to dla mnie niemożliwością.

— Otwieramy sobie nawzajem nowe możliwości — odpowiedziała, prawie niezauważalnie szturchając jego dłoń. — Sal i ja od zawsze żyliśmy w narożniku. Nie przywykłam do bezwarunkowej akceptacji.

— Akceptacji?

— Nie mieliśmy nikogo — wspomniała. — Moja rodzina, przyjaciele, wszyscy zniknęli po urodzeniu Sala. Z ich punktu widzenia albo sprzedałam moje ciało dla pieniędzy, albo urodziłam nieślubne dziecko i kłamałam, by to ukryć. Nikt nawet nie chciał zrozumieć. Mój ojciec, bracia, pastor... nawet mama. Nikt nie chciał, bym się

do niego zbliżała. Żaden problem, bo nie potrzebuję ich. Mieliśmy nasze własne życie i wychowałam cudownego syna. Tylko nas dwoje na Święto Dziękczynienia i Boże Narodzenie. Dwoje wystarczy. Żaden problem.

— Żaden problem?

— Absolutnie — przerwała. — Ale troje też nie byłoby źle.

— Twardy dysk to kontuzja kręgosłupa — powtórzył.

— Taak, cóż, niekiedy zbyt duża liczba danych zawiesza system — odparła.

Przechylił się i pocałował ją w szyję, by nawiązać kontakt. Zadrżała lekko pod jego dotykiem. Poczuł jej odpowiedź.

Pomnik Waszyngtona już dawno skrył się przed ich oczyma. Lecz oni i tak widzieli, jak lśni prosto przed nimi.

## 8 HAKOL

### LAVAN

Była wystraszona. Dan był inny, przerażająco inny. Lecz wkrótce porwie ją uniesienie. Wszystko było zbyt idealne: to, jak delikatnie głaskał ją po szyi w taksówce, ten okazały apartament z trzema sypialniami w „Jeffersonie”, rozmowa z Tedem Steeple'em i moment triumfu Dana w „Tel Aviv Café”, zapadające w pamięć widoki pomników wzdłuż Parkway i sama romantyczna atmosfera Waszyngtonu, miasta, gdzie marzenia nagle stają się rzeczywistością, a rzeczywistość marzeniem. Nie potrafiła ich rozróżnić w swym związku z Danem, lecz wiedziała, że wkrótce, zbyt wkrótce, porwie ją uniesienie.

Park spojrziała przez pokój i spostrzegła, że Dan przegląda zabrane z domu kompakt. Wybrał *Swept from the Sea*, mało znany soundtrack Johna Barry'ego do zapomnianego romansu o dwojgu kochanków, którzy walczą, by odnaleźć się wśród morza chaosu i wrogości. Skrzypce snuły piękny i romantyczny motyw. Światła

były przytłumione. Upajająca atmosfera Waszyngtonu wlewała się przez otwarte okna. Dan podszedł do niej, a jego twarz wyrażała oczekiwanie.

Gotowa, a jednak wciąż niegotowa, wdychała chłopięcy, lecz zarazem światowy styl bycia Dana, jaskrawo kontrastujący ze złymi wspomnieniami o nieczułych brutalach i okrutnych mężczyznach plotących, co im ślina na język przyniesie, a którejs nocy nie dali jej wyboru i potem do świtu stała pod prysznicem, i o drugim, który następnego dnia śmiał się przez telefon, i o tylu innych, od których odwróciła się w przeszłości. Jak mogła teraz przyjąć miłość tego mężczyzny, skoro pulsujące widma wszystkich pozostałych mężczyzn wciąż stały przed nią? Jak mogła ominąć ból i pozwolić, by ta chwila spełniła się mimo wszystkich innych chwil, których oboje mieli już nigdy nie zapomnieć.

Zadrzała raz, a potem postanowiła po prostu, że będzie kobietą niesioną chwilą. Dan milczał, gdyż słowa jedynie zakłócałyby dialog toczony przez ich oczy. A teraz jego usta odszukały kontury jej twarzy, a ona pozwoliła mu na to. Kiedy jego ramiona przyciągnęły ją tak blisko, że stała się jego oddechem, Park zamknęła oczy i uległa rzece płynącej wśród kwiecica na zboczu wzgórza i dzieci machających z brzegu. Dom jej dzieciństwa w Kansas wyłonił się na mgnienie oka i zniknął w oddali. Lecz w końcu dołączyła do Dana. Mocno i nieodparcie trzymał ją i kierował nią.

Od okna na kanapę przemknęli niczym obdarzone umiętnością ruchu winne pnącze. Muzyka narastała. Rozebrał ją, ona zaś, w przeciwieństwie do wszystkich poprzednich razów, rozebrała jego. Wiedziała, że to coś nowego — a on wyczuwał to samo. Pokrywając go rozpaczliwymi pocałunkami, chętnie przeszła od chwilowej namiętności do rozpaczliwego pragnienia miłości i jedności. Teraz i nigdy więcej; teraz i odtąd zawsze. Wszelka wstrzemięźliwość odeszła ją w mgnieniu oka.

Dan rozebrał ją nie arogancko, lecz za powolnym, milczącym i subtelnym zezwoleniem zgodnych kochanków. I teraz odkrył jej ciało. Spletli się, otwarci na siebie.

Dan spał się na moment. Park ujrzała tę zmianę.

— Dokąd odchodzisz? — zapytała.

Otrząsnął się z tego. „Nigdzie”, odparł Dan szybko z lekkim uśmiechem, wracając w jej objęcia i całując drapieżnie, niemalże sztucznie, by przywołać na powrót minioną chwilę. Splatając z nią palce, wspiął się na nią i zanurzył w nurcie intymności. Miejsce zjednoczenia się rozciągało się zachęcająco przed nimi. Park uwolniła się, by go przyjąć, połączyć z nim, stać się nim, unieść się wraz z nim.

I właśnie wtedy Dan cofnął głowę. Jego ciało zeszywniało, pod skórą nóg zarysowały się napięte mięśnie, jego twarz pobruździło wahanie, nie, wstyd. „Nie mogę”, wydyszał. „Boże”, sapnął, przesuwając dłońmi po czole i w tył, przez pulsującą czaszkę. Zsunął się z Park, jej pot i zapach wciąż były z nim, i usiadł, odsłaniając ją. Park założyła z powrotem bluzkę, lecz z miłością pozostała z Danem, tak jakby mieli za sobą tysiąc podobnych wieczornych kryzysów i teraz miała przeprowadzić go przez jeszcze jeden. Jak gdyby kołyszając dziecko, opłotła rękami jego nagie ramiona.

— Dlaczego płoniesz? — wyszeptała. — Mów do mnie.

Dan zadygotał, nie potrafiąc złapać tchu. Cała sztuczność i opowanie spłynęły z niego, odkrywając palące cierpienie. Zaciśnął oczy, zaciśnął ze wszystkich sił, złożył dłoń w pięści i zaczął belkotać, chwilami wyraźnie, a czasem zupełnie nieskładnie. Początkowo Park nie potrafiła zrozumieć docierających do niej fragmentów, lecz z wolna zaczęła się z nich kształtować historia Dana.

*W długiej, wąskiej sali konferencyjnej oświetlonej jedynie na samym końcu, za tablicą, gdzieś w dzielnicy Sydney Kings Gate, Dan stanął twarzą w twarz z zimnokrwistym Markiem O'Cookiem, wiceprezesem Percy-Rogersa do spraw zakupów. Trzech szczupłych asystentów czaiło się w tle, robiąc notatki i nierzadko zerkając na nich, by ocenić wyraz ich twarzy.*

— *Mówił pan 11,34 miliona — zaprotestował Dan. — Mam to czarno na białym w waszym liście intencyjnym. Papier nie kłamie.*

— *Powiedzieliśmy jedenaście przecinek trzydzieści cztery — odparł bez trudu O'Cook — bo wtedy sądziliśmy, że całkowita*

wartość wynosi jedenaście przecinek trzydzieści cztery. Może nadal tak jest. Ale nasz nowy prezes wprowadził politykę zakupów, zgodnie z którą oceniamy wydawnictwa nie ze względu na to, za ile jesteśmy skłonni je kupić, lecz na to, za ile jest pan skłonny je sprzedać. To wiążę sprzedaż nie z naszą zdolnością osiągnięcia zysków, lecz z pańską zdolnością wydostania się z długów. Danowi zabrakło słów, kiedy go słuchał.

— Zasięgnęliśmy dodatkowych informacji — dodał O'Cook. — Jest pan winien drukarzom i bankom cztery przecinek czterdzieści miliona i opędza się pan od nich bajeczkami. Pańskie położenie jest rozpaczliwe. Wiemy, że roztacza pan wokół siebie złudne pozory niezachwianej pewności siebie i zuchwałości, śmiałego redaktora i wydawcy. To nam nie przeszkadza. Jest pomocne w ustalaniu wartości publikacji z punktu widzenia reklamodawców i czytelników. Lecz teraz znajdujemy się w prawdziwym świecie fuzji i przejęć, gdzie płacimy nasze rachunki czekami bankowymi, a nie fanfaronadą. Dlatego skorygowaliśmy naszą ofertę na sześć przecinek osiemdziesiąt siedem miliona. Może ją pan zaakceptować albo odrzucić.

Nie dając Danowi czasu na odpowiedź, O'Cook uderzył w niego brutalnymi realiami:

— Jeśli ją pan odrzuci, zarząd zajmie się kolejnym punktem na liście planowanych zakupów. Jeśli ją pan odrzuci, wróci pan do Chicago, nie zawarłszy umowy. My wiemy, co to oznacza. Sprawdźmy to. Pójdzie pan z torbami. Niewiele nas obchodzi, która szufla węgla jako następna trafi do naszego finansowego paleniska, panie Levin. W tym roku dokonaliśmy już dwunastu zakupów i śpieszymy się, by sfinalizować jeszcze kilka przed pierwszym stycznia, by za kończyć rok 1997 na wysokiej nucie. Proszę pamiętać, że istnieją jeszcze właściciele innych przedsiębiorstw, którzy czekają na swoją kolej, by uzyskać nagrodę za lata poświęceń. Nie jest pan jedynym, który długo pracował i nie dosypiał nocami, czekając na tę chwilę. Z drugiej strony, może pan przyjąć nasze sześć przecinek osiemdziesiąt siedem — ciągnął dalej O'Cook, patrząc Danowi prosto w oczy. — My dostaniemy czyste i nie obciążone tytuły, pan zatrzyma Levincom jako pustą skorupę, zgodnie z wcześniejszymi

ustaleniami. Splaci pan banki, drukarnie i pozostałych wierzycieli. Wyciągnie pan tyle procent z dwa przecinek czterdzieści po spłaceniu długów, przed uregulowaniem zobowiązań podatkowych, ile pan tylko da radę. Odda pan poborcy podatkowemu, co jego, proszę bardzo, czyli zero przecinek sześćdziesiąt dwa plus drobne. Na koniec dnia będzie pan miał jeden przecinek osiemdziesiąt miliona oraz zyski z inwestycji. Żadnych zmartwień, jeżeli rozumie pan, co mam na myśli.

- Prowadzimy negocjacje od sześciu miesięcy — powiedział powoli Dan. — Mówił mi pan, żebym niczego nie planował na 1999 rok, bo macie własną strategię. A jakże, straciłem zbyt wiele czasu. Bezruch w tej branży oznacza szybkie pójście na dno. Ma pan rację, pójdę z torbami.
- Proszę nas posłuchać — zganil go O'Cook. — Wiemy, co robimy. Podczas gdy pan przygotowywał swoją interesującą, lecznie porywającą, napędzaną pańskim wysiłkiem firmę do przejęcia przez Percy-Rogersa, nie zdążył pan opracować budżetu reklam farmaceutycznych i spożywczych na rok 1999 dla „Wingtipa”. WLevinomie „Wingtip” jest skończony. Wiemy o tym. Ale my — Percy-Rogers — możemy zapełnić jego strony wielotytułowymi kontraktami zawartymi przez naszych przedstawicieli. Podczas gdy pan w wyobraźni wydawał nasze pieniądze, nasi przedstawiciele zbierali europejskich klientów, o których pan nawet nie słyszał. Niemieckie firmy farmaceutyczne, francuscy producenci witamin, włoscy dyktatorzy mody, austriackie ośrodki narciarskie. Mamy nawet szwedzkie krakersy. Wszyscy gotowi są wdrzeć się na amerykański rynek za pośrednictwem „Wingtipa”. My jesteśmy w stanie przekształcić go w potężną publikację docierającą do ponad miliona ludzi na lotniskach Ameryki. A czy uwierzyłby pan, że amerykańskie firmy farmaceutyczne są skłonne kupować dodatkowe sto tysięcy egzemplarzy każdego numeru „Brain Journal” i wysyłać je chińskim, koreańskim i indyjskim organizacjom medycznym? Podchodzimy do pańskich walorów międzynarodowo, proszę pana. Pan nie ma nawet pojęcia, na czym polega publikacja globalna. My tak.
- Nie mogę sprzedać siedmiu tytułów za sześć osiemdziesiąt

- zaprotestował ponownie Dan. — Po zapłaceniu podatku i długów zostaloby mi... zostaloby mi milion osiemset tysięcy. Przez cały ten czas budowałem moje czasopisma na niemalże zerowej pensji i zerowym podziale dochodów. To było dziesięć piekielnych lat, które postarzyły mnie o trzydzieści. Ukradły mi młodość żony, pozbawiły mego syna ojca. To miała być rekompensata, uczciwa sprzedaż uczciwej instytucji, wynegocjowana za pośrednictwem najlepszych prawników i księgowych. Miesiące sprawozdań i rękojmi. O'Cook nie wydawał się szczególnie wzruszony.

- *Non stop latam Quantas\** — błagał Dan. — Głowa mi pęka od ciągłych zmian stref czasowych. Nie spałem od dwóch dni, zanim dotarłem na lotnisko, odpowiadając na wasze nocne faksy. Ledwo się trzymam na nogach. A teraz pan, świeży po dobrze przespanej nocy i pobudzającym poranku w siłowni, mówi mi, żebym wziął połowę obiecanych pieniędzy albo nic? Mówi mi to pan tutaj... tuż przed podpisaniem kontraktu? Mówi mi to pan teraz- po miesiącach dopinania szczegółów? Co to za potworność?
- *Notowana na giełdzie* — warknął O'Cook. — Proszę nie kierować swoich skarg pod naszym adresem. Naszymi akcjonariuszami są babcie i organizacje dobroczynne. Proszą nas o egzemplarze rocznych sprawozdań z autografami członków zarządu. Kochają nas — ale jedynie tak długo, dopóki nasze akcje wędrują na północ. Taki jest ten system. Wszyscy są szczęśliwi.
- *Tylko nie ja* — powiedział przygnębiony Dan.
- *Tylko nie pan...* Każde cygaro zostawia po sobie popiół — powiedział szyderczym tonem O'Cook. — Bez obrazy, kiedy pana odrzucimy, nikt nie będzie pana pamiętał. Niech pan przyjmie tę ofertę, panie Levin. Po powrocie do Chicago nie będzie pan bogaty. To prawda. Ale nie będzie pan także biedny. Obaj wiemy, że życie milionera wcale nie jest takie piękne, jak ludzie mówią. Ale będzie pan w doskonałej sytuacji. Niech pan mądrze zainwestuje swoje jeden przecinek osiemdziesiąt netto, po odliczeniu podatku i długów, a zgarnie pan jakieś sto osiem tysięcy rocznie bez naruszania kapi-

\* Quantas — australijska linia lotnicza.



tału — więcej, jeśli będzie pan skłonny zaryzykować krótkoterminowe straty w akcjach zwykłych.

Przygaszone światła zdawały się jaśniejsze, jak gdyby świeciły mu prosto w oczy. Odwrócił się odrobinę.

- Pytanie dnia brzmi: czy tyle panu wystarczy, panie Levin? — zapytał z naciskiem O 'Cook. — To emerytura, college dla pańskiego chłopaka, dostatnie życie dla pana i małżonki. Czy odejdzie pan stąd, panie Levin, z gwarantowanymi stu osmioma kawalkami rocznie i prawie dwoma milionami w banku, które pokryją koszta domu opieki za dwadzieścia lat od dzisiaj albo dostaną się żonie i synowi, jeśli pana przeżyją ? Czy też wróci pan do swego nędznego biura w Chicago po sześciu miesiącach pilnych starań i twardych negocjacji, w których w swoim mniemaniu był pan zawsze taki dobry — lecz bez żadnych namacalnych wyników?
- Moja żona i syn lecą do Londynu — powiedział Dan, prawie do siebie. Światła zdawały się przemieniać w jarzący blask. — Zapewne teraz są gdzieś w Nowym Jorku i czekają na samolot. — Wyciągnął bilet z kieszeni kamizelki i sprawdził ich plan podróży. Przygnębiony, mówił dalej, próbując znaleźć cień człowieczeństwa w swym zniecierpliwionym przeciwniku. — Widzi pan, to miał być szczytowy moment pracowitego życia. Nigdy nie chcieliśmy być wydawcami, Jenny i ja byliśmy pisarzami, dziennikarzami, wpakowaliśmy się w wydawanie „ Chicago Monthly ”, jedno prowadziło do drugiego i, mój Boże, potem mieliśmy siedem tytułów, sześćdziesięciu jeden pracowników i stoiska na targach za czterdzieści tysięcy dolarów. Zapomnijmy o całej tej propagandzie, blichtrze i występach w telewizji. Nadal mieszkamy w tym samym maleńkim domku z dwoma sypialniami, który mieliśmy od samego początku, żyjemy od wypłaty do wypłaty — nadal splacając raty starego kredytu hipotecznego po osiemset dolarów miesięcznie. Już dawno mogliśmy się sprzedać reklamodawcom. A le dochowaliśmy wierności naszym, czytelnikom. Na pierwszym miejscu artykuł od redakcji, na pierwszym miejscu prawość. Zawsze staraliśmy się pomagać zwykłym ludziom, bronić wielkich spraw, zadawać trudne pytania i często sprawiać sobie ból, bo prawda zawsze najpierw boli tego, który ją wypowiada

— a potem wszystkich innych. Więc po dziesięciu latach, z prawie pustym kontem, długami po szyję i wisząc na cienkiej nici... wy kradniecie naszą firmę. Zaplanowaliście kradzież rodzinnej firmy. Gdybym mieszkał w Iowa, byłaby to rodzinna farma.

Dan przerwał i rozejrzał się po sali, jak gdyby ktoś stał obok niego. Ale nikogo tam nie było.

- Wylatuje mi na spotkanie — powiedział. — Spotykamy się w Londynie. Ona wylatuje na wschód z Chicago przez Nowy Jork z Simonem, a ja stąd na zachód. Rozumie pan, spotykamy się w pół drogi. W „Dorchesterze” czeka na nas apartament, herbata o piątej, małe kanapki z ogórkiem i kwaśną śmietaną. Wszystko pierwszej klasy.
- Owszem, dobrze pan wydał nasze pieniądze. Ale zbyt wcześnie — powiedział O’Cook, przytakując sam sobie.
- Te dokumenty miały być tylko formalnością — bronił się Dan Z odzyskaną na powrót energią. — Zapłaciłem trzydzieści pięć tysięcy prawnikom, wy pewnie z trzy razy tyle, żeby je przygotować. Trwało to całe miesiące. Kontrakt ma tysiąc czterysta stron wraz Z próbkami. Sumę ustaliliśmy dawno temu. To jedno uzgodniliśmy na samym początku. A teraz usiłujecie mnie obrabować.
- To nie rabunek, a przejęcie — odparł obronnym tonem O’Cook. — I postępujemy zgodnie z prawem. Nasz list intencyjny jasno stwierdza, że oferta nie będzie wiążąca, dopóki nie zaakceptuje jej zarówno nasz zarząd amerykański, jak i australijski — powtórzył O’Cook. — Czytał go pan. Podobnie pańscy prawnicy. Nasz amerykański zarząd zgodził się, ale australijski się sprzeciwia.
- To trąci działaniem w złej wierze — powiedział Dan. — Spędziłem całe życie, ujawniając finansowe przekręty, posyłając prawników i polityków do więzienia. Czy naprawdę to mnie chcecie to zrobić? Mam prawo regresu w przypadku negocjacji w złej wierze.
- Proszę dzwonić do prawników — zachęcił go O’Cook. — Zmarnuje pan paręset tysięcy na prawników i najbliższe dziesięć lat, walcząc z nami na dwóch kontynentach. Zbankrutuje pan na długo przed procesem, a już na pewno przed apelacją. Niech pan posłucha: w zeszłym tygodniu nabyliśmy niewielką amerykańską sieć kin za

sześćset dziewiętnaście milionów dolarów. W przyszłym tygodniu kupimy całą garść latynoamerykańskich dzienników i powiązanych z nimi stacji radiowych za dwieście cztery miliony. Wydaje mi się, że w skład transakcji wchodzi też centrum konferencyjne gdzieś w Meksyku. Dla nas Levincom jest jedynie odrobinę nietypowym, rutynowym nabytkiem — nic wielkiego. Obawiam się, że nasz zarząd nawet nie wie o pańskim istnieniu. Sześć przecinek za to, ileś tam przecinek za tamto... nawet nie pojawił się pan na ekranach ich radarów, panie Levin. Po prostu podsunę im stronę z podpisami z naszego tysiąc czterystustronicowego kontraktu i zarekomenduję, by go ratyfikowali i podpisali. A jeśli nie wejdę do tej sali na czwartym piętrze w przeciągu najbliższych dziewięciu minut, spadnie pan z porządku obrad i żaden z nas nie zdola z powrotem pana tam wprowadzić. To nic osobistego, panie Levin—powiedział O 'Cook niemalże kojącym głosem. Lecz zaraz na powrót stwardniał. — Czekam na pańską decyzję. Wraca pan do domu bez grosza i przez następne dziesięć lat procesuje się pan z nami jako ofiara wyzysku, czy leci pan na spotkanie z rodziną przy szampanie i kawiorze w „Dorchesterze”, którego to hotelu, nawiasem mówiąc, nikt z nas nie śmiałby zaszczyścić swoją obecnością. Polecałbym „Intercontinental”, „Hyde Park Hiltona ” albo z dziesięć innych. Moja sekretarka może nawet panu pomóc z rezerwacją... Ale najpierw muszę poznać pańską decyzję.

— Dziewięć — powiedział Dan, usiłując znaleźć jakiś kompromis.

— Sześć przecinek osiemdziesiąt siedem — odparł O 'Cook, przecierając okulary i nawet nie podnosząc na niego oczu.

— / ta oferta zostanie wycofana za sześćdziesiąt sekund ze względu na terminarz prac zarządu.

— Dziewięć — powtórzył Dan, nie chcąc pozostać stratnym. Lecz O 'Cook milczał niewzruszenie, na jego twarzy malowała się doskonała obojętność.

Danowi zaschło w ustach. Cały zeszytniał. Młodzi asystenci, w większości ubrani na czarno, trzymający się na uboczu, sporządzali notatki, by stworzyć taki zapis rozmowy, jaki był im potrzebny. Dan dobrze to rozumiał. Spojrzał na nich, potem odwrócił wzrok.

*Przez całe życie odnosił same sukcesy. Był twardzielem. Mając odpowiednią ilość czasu i energii, był w stanie osiągnąć, co zechciał. Był dumnym wojownikiem, krzyżowcem jak jego ojciec, leśnym partyzantem. Teraz czuł się tak, jakby maszerował w stronę dołu, nagi i zziębnięty, osłaniając dłońmi genitalia.*

— *Gdzie mam podpisać?*

*Jedna z asystentek nagle powróciła do życia. Podbiegła z kilkoma oprawionymi tomami kontraktu, hałaśliwie położyła je na stole przed Danem i zaczęła otwierać tom za tomem, wskazując zaznaczone linie, uzyskując od Dana parafki i podpisy, parafki i podpisy, parafki i podpisy. Tutaj. I tutaj. Nie, tutaj. Tutaj też- Tutaj raz i tutaj też raz. Tutaj. Tutaj. W tych dwóch miejscach i tutaj. Tutaj. Tutaj. Tutaj.*

*O'Cook obserwował go uważnie przez te parę minut, kiedy trwało podpisywanie i parafowanie wszystkich kluczowych stron.*

— *To nic osobistego, panie Levin — zapewnił go z dumnym uśmiechem. — Proszę mi wierzyć, nic osobistego. To tylko biznes. Tak jak mówiłem. Wszyscy są szczęśliwi! I miło nam powiedzieć — ułożył kontrakty na zgrabną stertę z boku stołu — że ten nabytek zostanie ratyfikowany za kilka chwil. Potem nasz bostoński bank — Co na pewno będzie panu miło usłyszeć — zostanie upoważniony do dokonania przelewu na pańskie konto w Chicago. Przygotuję niezbędne papiery po zebraniu zarządu, a najpóźniej przed końcem dzisiejszego dnia roboczego. Czasu miejscowego. Do widzenia, panie Levin.*

Dan wypił trochę wody. Otworzył oczy, lecz jego wzrok błędził ślepo po ścianach. Park chwyciła jego zimne, spocone dłonie i roztarła je, by je ogrzać. Wiedziała, że zostało jeszcze bardzo dużo, i nie wiedziała, czy powinna zapytać czy też zaczekać, aż Dan sam się odezwie. Dan zaczął kołysać się łagodnie, jego twarz na przemian ściągała się i rozluźniała. Potem uspokoił się i powiedział:

— *Mógłbym dostać jeszcze trochę wody?*

Park podeszła do barku, przelała do szklanki zawartość niewiel-

kiej butelki ewiana i ostrożnie włożyła mu ją w rękę. Dan spojrział zdezorientowany na Park, wziął od niej szklanekę, ale nie pił.

— Może chcesz odrobinę szkockiej? — zapytała Park. Pokręcił przecząco głową szybkim ruchem. — Jeśli jest jeszcze coś, o czym chciałbyś mi opowiedzieć, cokolwiek by to było... nie potrafię zgadnąć, co się dzieje w twoim życiu. Daleko mi od tego. Ale nie pomogę ci, jeśli mnie do siebie nie dopuścisz.

Zacisnął powieki mocniej niż kiedykolwiek przedtem, skurczone w pięści dłonie zbierały z wysiłku, krople potu popłynęły między palcami. Raz jeszcze to, co rozpoczęło się jako nieskładna mamrotanina, przerodziło się z wolna w spójną opowieść.

*Nowy Rok. Międzynarodowe lotnisko Heathrow. Milion osiemset na zakończenie dnia nie było złym rozwiązaniem. Nie było też czterema i pół milionami po zaplaceniu podatku i długów, na jakie liczyli. Nie wystarczy na tak bardzo potrzebny kilkuletni urlop, podróże i pisanie. Nie wystarczy na utworzenie funduszu kapitałowego generującego około pół miliona rocznie, co pozwoliłoby im na zakupienie domu ich marzeń na jerozolimskiej drodze jafskiej naprzeciw wrót Starego Miasta, na podróżowanie do woli między Chicago a Izraelem, naprowadzenie takiego życia, o jakim zawsze marzyli. Ale udało im się wywikłać ze swych potwornych zobowiązań finansowych, nie musieli już odpowiadać przed swoją własną, wymagającą organizacją i mogli skoncentrować się, zabezpieczeni finansowo, na Simonie i na sobie. Byli o krok od załamania fizycznego i finansowego, kiedy zainteresowało się nimi Percy-Rogers, i Dan wiedział, że postąpił słusznie, przyjmując ich zmodyfikowaną ofertę. Liczyli się tylko Jenny i Simon. Byli zdrowi, byli szczęśliwi i mogli żyć razem jak rodzina. Dziś wieczorem zaśnie spokojniej niż kiedykolwiek przedtem. Dziś wieczorem z powrotem należał wyłącznie do siebie, do Jenny i do Simona.*

*Czekając na przybycie lotu 337 z Nowego Jorku, Dan spacerował po sklepach pasażu handlowego na Heathrow. Zobaczył biegnące, rozchichotane dziecko. Wyglądało jak Simon. Dan spojrział ponów-*

*nie. To nie był on. Dziecko znów przebiegło obok niego. Dan popatrzył za nim. Chłopiec przebiegł przez salę i zniknął w tłumie.*

*Przez moment Dan stał nieruchomo, obejmując się ramionami, by się ogrzać. Wtedy poczuł w kieszeni garnituru kopię umowy i raz jeszcze zastanowił się nad swoją decyzją. Wziąć ich pieniądze? Walczyć o nie? Z nicości wyłoniła się twarz Jenny. Przez dłuższą chwilę drżał i wydało mu się, że cały terminal drży wraz z nim, jak gdyby ziemią wstrząsnął potężny cios. Stał obok sklepu z biżuterią. Identyfikatory bagażu kołysały się lekko. Spojrzał ponownie. Identyfikatory przestały się kołysać.*

*Dan wędrował od sklepu do sklepu, zabijając czas. Obwąchał w trafice zwijane ręcznie hawańskie cygara, obejrzał ceny Monte Cristo i Cohib i zaśmiał się po przeczytaniu dyskretnie umieszczonego napisu informującego, że są na sprzedaż, lecz ich wwożenie do Stanów Zjednoczonych jest nielegalne. Po sąsiedzku spróbował wspaniałych szkockich w sklepie z whisky, gdzie małe kusztyczki dla podróżujących stanowią odwieczną tradycję, i wymienił z innymi snobistycznymi fanatykami szkockiej opowieści o wyżynnych torfowiskach, butelkowanym w prywatnej posiadłości Macallenie i przeleżakowanym Laphroaigu. Sączył szklaneczkę San Peligrino w barze kawiorowym, wgryzając się w gruby plaster szkockiego łososia przyprawiony siekaną cebulą i kaparami, kiedy usłyszał ogłoszenie.*

*— Przyjaciele i członkowie rodzin czekający na lot 337 proszeni są o zgłoszenie się do Działu Specjalnego. Powtarzam: przyjaciele i członkowie rodzin czekający na lot 337 proszeni są o zgłoszenie się do Działu Specjalnego.*

*Dan podszedł do najbliższego stanowiska i zapytał hostessę:*

*— O co chodzi z tym Działem Specjalnym?*

*Hostessa zerknęła szybko na koleżankę i odpowiedziała:*

*— Czekają pan na kogoś przylatującego lotem 337? Jego nazwisko?*

*— Jenny i Simon Levinowie — odparł Dan.*

*— Proszę ze mną, zaprowadzę pana do Działu Specjalnego.*

*— Przepraszam, o co chodzi z tym Działem Specjalnym?*

— Proszę pana za mną.

Wzięła go pod rękę i niepozornymi drzwiami sprowadziła go ze specjalnej rampy do słabo oświetlonego, pozbawionego okien pomieszczenia z dwunastoma rzędami krzeseł.

— Co to za miejsce ?

— Proszę wejść do środka — poklepała go po ramieniu.

Spojrzał ponownie. Stał przed wielowyznaniową kaplicą. Na jej

ścianach wisiały krucyfiks, półksiężyc i gwiazda Dawida.

— Co to za miejsce, do cholery? — zapytał przerażony. W przytłumionym świetle ujrzał zapłakanych ludzi. Spróbował się wyszarpnąć.

— Proszę wejść do środka.

— Proszę mi powiedzieć teraz — zażądał. — Jenny i Simon Levinowie. Pasażerowie z Nowego Jorku... — przerwał w pół zdania. — Nawet nie próbujcie... nawet nie próbujcie... — Dan ukrył twarz w dłoniach.

— Proszę pana — powiedział przedstawiciel linii lotniczej — przed chwilą zdarzył się okropny, okropny wypadek. Lot 337 z Nowego Jorku podczas podchodzenia do lądowania prawie uderzył w startujący samolot. Nikt zbyt wiele nie wie. Pilot chciał uniknąć kolizji i próbował — tak przynajmniej przypuszczamy — rozpaczliwie wznieść samolot z powrotem w powietrze. Na moment mu się udało, ale potem samolot... Jest zbyt wcześnie, by powiedzieć coś więcej. Oprócz tego, że 337 rozbił się na polu tuż za pasem startowym. Pojazdy ratownicze zaraz tam będą. Mamy nadzieję, że przeżyło tylu ludzi, nad iloma zlitował się nasz drogi Pan. Włącznie Z pańskimi bliskimi. Teraz zaś najważniejsze jest...

Dan odwrócił się i wybiegł z kaplicy w stronę najbliższego wyjścia po drugiej stronie korytarza. Przez okno, ponad głowami tłumu widział w oddali, tuż za pasem startowym, ogon jumbo jeta spowity kłębam czarnego dymu. Na skraju lotniska kilka zielonych wozów ratowniczych wypluwało z siebie środki chemiczne i pianę, zewsząd pędzili ratownicy, wszędzie wściekle błyskały czerwone, niebieskie i żółte światła alarmowe.

Nagle Dan ruszył z miejsca. Przez najbliższe drzwi do rękawa

*i w dół rampy. Przy wyjściu nie stał żaden samolot, więc rękaw otwierał się w pustkę. Odległe zapachy płonącego ciała, ognia, dymu, gazów wylotowych i płynu odladzającego, zmrożone w jeden bukiet przez zimowy poranek, piekły go w oczy i nozdrza. Za nim biegło z krzykiem dwóch, trzech pracowników ochrony lotniska i hostessa. Drzwi na płytę lotniska nie były zamknięte. Przebiegł przez nie, załomotał butami na metalowych stopniach prowadzących na betonową płaszczyznę.*

*— Stać! Rozkazuję się zatrzymać! — krzyknął ochroniarz, ściągając go i gwiżdżąc, ile tchu w płucach. Dan biegł ze wszystkich sił prosto w stronę rozbitego samolotu. Teraz do pościgu dołączyło jeszcze paru funkcjonariuszy. Dan obiegnął cysternę, przeskoczył przez wąż i poślizgnął się na śliskiej powierzchni. Pojazd cateringowy zatrzymał się z piskiem hamulców, prawie przejeżdżając go rozciągniętego na ziemi.*

*Dan podniósł się, przebiegł parę kroków, nie bardzo wiedząc, gdzie jest, i wpadł na długi sznur wózków bagażowych. Zbyt długi, by go obiegać. Dan przegramolił się na drugą stronę, przetaczając się na ziemię z deszczem walizek i pakunków. Nie dbając o to, że styczniowy wiatr smaga jego policzki, podobnie nie zwracał uwagi na wielkie samoloty kołujące dookoła niego. W ogluszającym huku potężnych silników czuł raczej, niż słyszał swe własne krzyki: „Jenny! Simon!” Mroźne powietrze w dziwaczny sposób materializowało jego wrzaski, gdy obłoki zmarzniętego powietrza wytryskiwały z jego ust i płuc.*

*Z piskiem opon wprost przednim zatrzymał się biały pojazd służb porządkowych. Umundurowany funkcjonariusz Doyle, zaalarmowany przez personel lotniska, wyskoczył z samochodu i rozłożył szeroko ramiona, tworząc żywą zaporę i wołając:*

*— Panie Levin, proszę tutaj.*

*Zadyszany i zapłakany, w obłokach własnego oddechu, Dan zatrzymał się i runął na pas niczym parujący kłęb szmat. Starszy funkcjonariusz podszedł do niego i objął go, mówiąc:*

*— Proszę pana, tak nie można. Robimy wszystko, co w naszej mocy. Proszę pójść ze mną.*



*Dan złapał go za ramię i s'cisnął mocno. Doyle ze współczuciem pomógł mu się podnieść.*

*— Proszę ze mną — powtórzył Doyle.*

*Z twarzą mokrą od lez Dan spojrział na niebo, potem na trawiasty nasyp tuż za pasem. Pozostali funkcjonariusze byli już blisko, nadciągając ze wszystkich stron. Zobaczył nadjeżdżające karetki.*

*— Oni żyją!*

*Szarpięciem ramion wyrwał się Doyle 'owi, który stracił równowagę i poślizgnął się na płachcie lodu. Dan wskoczył do pojazdu służb porządkowych, którego silnik cały czas pracował, i ruszył z kopyta. Doyle gonił go z krzykiem przez kilka kroków, potem zrezygnował i zaczął mówić szybko do przewieszzonej przez ramię krótkofalówki.*

*Lawirując pomiędzy pojazdami obsługi naziemnej lotniska, Dan skręcił w lewo, potem w prawo. Nagle znalazł się zaledwie parę jardów od podwozia boeinga 747 Japan Air wolno kołującego napas startowy. Uderzył po hamulcach, potem ponownie pognął w stronę miejsca wypadku, tuż za nie wykorzystywanym fragmentem pasa. Na prawo z płyty. W dół z silnym wstrząsem. Na wilgotną, marznącą ziemię. W górę nasypu tak daleko, jak tylko dał radę, zanim wirujące koła pojazdu ugrzęzły w końcu w błocie. Personel biegł w jego stronę zarówno od płonącego samolotu, jak i z pasa. Wyskoczył z samochodu i wdrapał się na szczyt nasypu.*

*W dole ujrzał dolinę śmierci. Wszędzie leżały zmasakrowane ciała i fragmenty ciał porozrzucane wokół połamanego kadłuba. Tuż p/zed nim pojedyncza dłoń, oderwana od ramienia, ścisnęła niewielką książkę. Za nią ciało ze spalonym ubraniem i skórą, szeroko otwartymi ustami, obnażonymi zębami, zwęglonymi ramionami wygiętymi, jak gdyby obejmowały jakiś teraz utracony przedmiot. Papiery i strzępy odzieży pokrywały tę scenę zniszczenia, jak gdyby rozsypane kapryśnie przez jakąś gigantyczną, niebiańską dłoń. Grupy ratunkowe przesuwwały się ostrożnie od jednego pasażera do drugiego. Przy każdym zwłokach zatykały niewielką żółtą chorągiewkę. Przy każdej oderwanej części ciała pozostawiały niebieską. Lekarze udzielali pierwszej pomocy ocalałym. Tak, ocalałym — tym*

*jęczącym i tym niezdolnym wydać z siebie żadnego dźwięku i oddychającym z trudem. Schłodzone, zmaterializowane jęki unosili się ponad zgłiszczami, przyciągając do siebie ratowników.*

*Jenny i Simon będą wśród nich. Muszą być.*

*Dan musiał się do powrotu do rzeczywistości. Przed laty opisywał wielką katastrofę samolotu American Airlines w Chicago. Ta była zdumiewająco podobna. Zastanów się. Zmrużył oczy, przyglądając się terenowi. Część ogonowa, przepastne, ogniste piekło, tam po prawej stronie. Tu fragmenty skrzydeł, a tuż przed nimi wciąż jeszcze widać pojedyncze ognie pożarów, gaszonych przez strażaków. Pierwsza klasa... pierwsza klasa. Pierwsza klasa. Tam, z lewej. Wielkie fotele z brązowej skóry, strzaskany dziób częściowo zagłębiony w bruzdzie ziemi bezpośrednio przed nimi. Tam! Dan zbiegł z nasypu.*

*— Jenny! Jenny! Simon! — Zapierał się w zbocze rękami i nogami, na wpół staczając się w dół, po drodze napotyając fragmenty osobistych drobiazgów i szczątków kadłuba.*

*Krzążący się ratownicy zaczęli kierować się ku niemu, ostrożnie stawiając stopy, by nie nadepnąć na materiał dowodowy. Paru z nich wołało: „Hej, ty tam!” Odezwały się gwizdki.*

*Dan dopadł masywnego, przewróconego na bok fotela pierwszej klasy, z którego sączyła się krew. „Jenny!”, zawołał. Obiegł go i ujrzał ludzką postać. Starszego mężczyznę — żywego — krwawiącego obficie z głowy, przez jedną rękę biegła głęboka rana, druga wygięta była do tyłu tak, jakby ktoś niepoprawnie przymocował ją lalce — tyle tylko że przez skórę wystawała kość. Wciąż przypięty pasami, bezradny mężczyzna wydawał z siebie niezrozumiałe jęki.*

*— Tu ktoś żyje! — wrzasnął Dan. — Ten człowiek potrzebuje pomocy. On żyje! — Dan startł krew z czoła rannego oddartym fragmentem jego własnej koszuli. — Zaraz tu będą — powiedział, gładząc go po twarzy.*

*Potem szukał dalej.*

*Parę kroków przed nim, przez chmurę dymu Dan ujrzał to, czego szukał. Jeden fotel pierwszej klasy rozplaszczony na drugim. Podbiegł do niego. W środku wyraźnie uwięzione było ciało.*

— *Jenny? Simon?*

*Skóra ofiary na widocznej części ciała spalona była na czarno. Ratownicy i ochroniarze dopadli go wreszcie i obezwładnili.*

— *Proszę się nie ruszać — powiedzieli, unieruchamiając mu ręce nylonowymi więzami.*

— *To ona — zawołał błagalnym tonem Dan — to ona i Simon. Pomóżcie im, może jeszcze żyją.*

*Wiedział, że działania służb ratowniczych w obliczu katastrofy były chaotyczne, nieodmiennie metodyczne. Wiedział, że więcej ludzi mogłoby przeżyć, gdyby nie uznano ich za martwych, gdyby przewieziono ich na salę operacyjną do reanimacji, obniżając ciepłotę ciała. Wiele lat temu opisywał tamten wypadek i walczył z chicagowską policją, by zmieniła swe procedury. Znal tę cholerną historię na pamięć. A teraz tu, na skrwawionym polu Heathrow, wszystko zaczęło się od początku.*

— *To chyba ona. Ona żyje! — krzyknął.*

*Tymczasem dołączył do nich Doyle.*

— *Panie Levin — powiedział, kładąc dłoń na skrępowanych rękach Dana — nie wiemy, czy to pańska żona i syn. Kiedy tu rozmawiamy, medycy badają tę osobę i zrobią wszystko, co będzie w ich mocy. Teraz zaprowadzę tam pana, by mógł pan sam spojrzeć. Ale proszę ...*

*Doyle i Dan powoli przeszli na drugą stronę, podczas gdy ratownicy odciągali koc. „Oznaki życia!”, wrzasnął jeden z nich. Dwóch spośród trzech pozostałych lekarzy natychmiast doskoczyło do niego. Dan wyciągnął szyję, by lepiej widzieć z odległości tych paru stóp. Ktokolwiek to był, został osłonięty przez zachodzące na siebie dwa masywne, przesadnie wyścielane fotele pierwszej klasy. Wtedy jego wzrok padł na kieszeń fotela. Egzemplarz „Chicago Monthly”.*

— *To ona! — krzyknął. — To Jenny! Sy? Sy? Jesteś tam, mały? Doyle przeciął Danowi nylonowe kajdanki, podczas gdy ratownicy rozginali fotele.*

— *Proszę się cofnąć — zawołał lekarz. — Potrzebujemy miejsca.*

*Teraz widział ją już wyraźnie. Była przytomna, jego piękna Jenny, zmasakrowanymi ramionami osłaniała leżącego bez życia*

*Simona, który podczas uderzenia został wciśnięty w jej klatkę piersiową, a teraz powoli wyciekały z niej ostatnie chwile życia. Otworzyła jedno oko, wystarczająco długo, by skupić wzrok na Danie. Ich spojrzenia spotkały się. Poruszyła nieznacznie głową, może o cal, witając go, jak gdyby chciała powiedzieć: „Kocham cię, Dan. Zawsze cię kochałam, Dan. I kochałam tego cudownego syna, którego spłodziliśmy, Simona. Próbowałam jeszcze raz go ochronić, ustrzec go, i próbowałam oddać moje życie, by go uratować. Simon jest w dobrym miejscu. Ale tam także mnie potrzebuje... będę za tobą tęskniła. A le pewnego dnia ty i ja, mój ukochany, i nasz cudowny syn, będziemy znowu razem”.*

*Gdy Dan ujrzał ten minimalny ruch głową, po którym jej oko nagle znieruchomiało, usłyszał w głowie raz jeszcze wszystkie nie wypowiedziane słowa, jak gdyby szeptala je anielska postać delikatnie głaszcząca go po twarzy, drugą dłonią trzymająca dziecko.*

*Lekarz zbadał ją i wykrztusił:*

*— Odeszła, tak mi przykro. Chłopiec też- Przykro mi.*

*Pospiesznie przesunęli się do poprzedniego pasażera pierwszej klasy, nadal żywego, czekającego kilka jardów dalej. Ktoś pozostawił dwie żółte chorągiewki przy ich martwych ciałach,*

*Dan podszedł bliżej, a ratownicy cofnęli się, robiąc mu miejsce. Przykucnął i przesunął palcem po pokrytej krwią twarzy Simona.*

*— Och, ty piękny młodzieńcze, ty mój bohaterze, moje ty cudowne dziecko. — Pochylił się i pocałował chłopca. A potem pochylił się i pocałował zbiegłe wargi Jenny. — Już niedługo, kochanie — obiecał jej przez łzy. — Zjawię się, kochanie. — Jego usta rozwarły się w niemym krzyku, gdy szeptal jej do ucha: — Zajmij mi miejsce, kochanie. Bez ciebie nie ma dla mnie życia.*

*Doyle ścisnął ramię Dana, próbując go pocieszyć. Dan zwrócił oczy ku niebu, spojrzawszy wprost w górę i krzyknął w niebo, tym razem tak głośno, że nawet huczące samoloty nie były w stanie zagłuszyć jego cierpienia. Pogroził Bogu pięścią i zażądał:*

*— Zabierz mnie! Co z tobą? On miał przed sobą tyle życia. Ona była taka czysta. Dlaczego nie mogłeś zabrać mnie? — Doyle objął go ramionami niczym rękawy kaftana bezpieczeństwa, W niepocie-*

*szonym otępieniu, Dan powtórzył swą prośbę. — Zaraz mogę się zamienić — zaproponował. — Zwróć ich i zabierz mnie. Jestem gotów. Zabierz mnie!*

Dan patrzył wprost przed siebie, co chwila przez jego ciało przebiegały dreszcze. Park otarła łzy ich obojga swoją bluzką.

— Potrzebuję pomocy — wymamrotał Dan. — Myślałem, że dam sobie radę. Ale nie mogę się z tego otrząsnąć. — Gwałtownie szarpnęła głową. — Nie, ja nadal ich widzę. Nadal ich widzę!

Park przycupnęła przed Danem, objęła jego głowę rękami i zawołała:

— Spójrz na mnie. Jestem z tobą. To ja. Oni chcieli, żebyś żył. Kochali cię. Więc żyj.

— Nie umiem żyć — odparł, podbiegając do okna i otwierając je szerzej. Spojrzał na biegnący w dole chodnik. — Nie bez nich. Nie umiem żyć.

— Usiądź, proszę — powiedziała łagodnym tonem Park. — Odejdź stamtąd i usiądź.

Dan postawił stopę na zewnętrznym parapecie.

— Byli znacznie wyżej, kiedy Bóg ich zabrał — powiedział z miną szaleńca. — Ta wysokość to pestka, obraza dla ich śmierci. Tania podróbka — zadrwił. — Ale dziś w nocy nie stać mnie na nic lepszego — dodał z urwanym, obłąkańczym chichotem.

Na twarzy Park rysował się spokój, gdy wyciągnęła ramię i szepnęła:

— Dan, zejdź stamtąd i złap mnie za rękę.

— Ale... ale...

— Złap mnie za rękę.

— Nie.

— Tak, złap mnie za rękę.

Obłąd powoli znikał z jego oblicza. Jego oczy biegały na boki i ku chodnikowi, nieodmiennie wracając do Park. Cał po cał udsuwał się od okna. Osłabły, osunął się na podłogę. Przez kilka minut w powietrzu wisiało niewypowiedziane napięcie, zakłócone je-

dynie niespodziewanymi zgrzytami uruchamiającej się zamrażarki. Ten dźwięk poderwał go i skierował z powrotem na drogę ku równowadze.

— Dobrze — wzruszył ramionami. — Już w porządku. Zapomnij o tym. — Podrapał się po głowie. — Taak, twardego dysku to kontuzja kręgosłupa.

— Zbyt duża ilość danych może zawiesić system — odparła.

Prawie się roześmiał. Nagle poczuł się tak, jakby rzeczywiście nic się nie wydarzyło. Otarł łzy z nosa i brody, osuszył oczy wierzchem dłoni i zamknął okno.

— Rany, już późno, gdzie ten Sal? — zapytał niedbałym tonem. — Powinien odzywać się od czasu do czasu. Chcesz, żebym złapał go przez komórkę?

Park zasznurowała usta i przełknęła ślinę. Napiła się wody i spojrzała na Dana, nie wierząc, że mógł tak szybko powrócić do normalności. Wzięła głęboki oddech, usiadła w fotelu, spojrzała na niego i odpowiedziała:

— Przez komórkę? Nie. Nie trzeba.

O trzeciej trzydzieści rano Sal przesunął plastikową kartę przez zamek drzwi apartamentu i uchylił je na tyle, by móc wślizgnąć się do środka. Zamknął je tak cicho, jak tylko potrafił. We wszystkich pomieszczeniach paliły się nocne lampki. Sal sprawdził podświetlaną tarczę termostatu. Niemalże się uśmiechnął, ale jednak tego nie zrobił. Wciąż otulając się ramionami jak wełnianym szalem, zajrzał do barku w poszukiwaniu czegoś do przegryzienia. Emenemsy. Wyciągnął wielką torebkę, oddał górę i wsypał różnobarwną zawartość do kieliszka. Potem wypił ją niczym piwo imbirowe.

Kartka, pozostawiona przez Park na środku stołu, przypominała Salowi, by zajął narożną sypialnię. Dowłókł się tam, zauważył rozłożoną starannie na łóżku zawartość swojej walizki, poznał rękę matki. Zamiast je odłożyć, położył się obok nich wąską linią na

skraju materaca. Chwilę później wstał, rozebrał się do bielizny i wrócił na swe miejsce na łóżku. Wyczerpany, zaczął zapadać w sen. Po paru minutach całkowicie znieruchomiał.

W apartamencie panowała cisza, zakłócana jedynie tykaniem zabytkowego zegara szafkowego w salonie. Park i Dan spali w swoich pokojach. Przez zamknięte okno nie dobiegały żadne odgłosy z ulicy. Wszędzie było spokojnie.

Sal, wciąż uśpiony, zaczął przesuwając palcem wskazującym lewej dłoni po lewej powiece. Po kilku sekundach powoli otworzył oczy. Zawsze miał problemy ze snem w nowym łóżku, lecz wyczerpanie zazwyczaj pomagało mu zasnąć. Godzina? Żadnego zegarka. Ale nadal ciemno. Sal usiadł na łóżku. Sięgnął do torby i wyciągnął z niej Windy'ego. Kiedy go otworzył, składany ekran rozwinął się do pełnych rozmiarów. Kliknął ikonę poczty elektronicznej. Dostał tylko jedną wiadomość. Otworzył ją.

**OD: Kuebitz, Derek Institute**

**TEMAT: Zmiana planów DO:**

**Oдноśny personel**

Wskutek przedwczesnej śmierci Johna Hectora, oczekujemy, że Bluestar wkrótce anuluje swe plany rozwoju Zooma i przyłączy się do Hinnom Computing. Następca Hectora już o tym wspomniał na wczorajszej odprawie dla personelu. Problem roku dwutysięcznego pozostaje nie rozwiązany. Windgazer 99 nie stanowi odpowiedzi. Dlatego postanowiliśmy zamknąć nasze laboratorium w Chicago i jednotorowo skupić wysiłki w centrali w Izraelu. Wraz z niewielką, elitarną grupą specjalistów zostajecie niezwłocznie przeniesieni do Jerozolimy. Zadanie nie potrwa dłużej niż kilka miesięcy. Proszę skontaktować się z biurem podróży firmy, by uzgodnić szczegóły przelotu. Upoważnienie już wystawiono. Nasze konto zostanie obciążone i zostaniemy o tym powiadomieni. Tego samego dnia w chwili przybycia do Izraela przekazane zostanie 500 dolarów na pokrycie kosztów podró-

zy. Premia za zmianę miejsca pracy i diety do negocjacji. Zakwaterowaniem zajmie się Derek Institute w Jerozolimie. Z wszelkimi pytaniami proszę dzwonić do przedstawicielstwa w Chicago. Doradcy czekają na telefon. Kuebitz.

Izrael? Kto mógł wiedzieć, że Derek to izraelska firma. Sal rozważył różne ewentualności i nie sądził, by Park lub on sam chcieli przenieść się do Izraela. Zamierzał już odpowiedzieć odmownie, kiedy pojawiła się kolejna wiadomość. Otworzył ją.

**OD: Kuebitz, Derek Institute**

**TEMAT: Sal McGuire — prywatne**

Ty i twoja matka macie kluczowe znaczenie dla powodzenia projektu. Wasze uczestnictwo jest nieodzowne. Z pewnością masz wątpliwości. Proszę odwiedzić załączoną stronę internetową. Kuebitz.

Na dole listu Kuebitza widniało zwykle błękitne hiperłącze do strony internetowej. Po kliknięciu na nie, komputer Sala automatycznie udałby się we wskazane miejsce. Lecz Sal nie umiał rozpoznać formatu tego URL. Żadnego www, nawet http:// na początku. Tak naprawdę to Sal musiał ostro się wysilić, by odcyfrować litery i liczby. Wydawały się rozpadać na pojedyncze piksele. Tak czy owak, kliknęła nań. Nieznana strona zaczęła się ładować.

Sal poczuł się dziwnie. Wpierw był zziębnięty, potem zrobiło mu się gorąco. Słyszał łomotanie swojego serca. Położył dłoń na piersi i poczuł jego ciche bicie. Windy zaczął mu płać figle. Zdawało się, że wibruje. Prawie roześmiał się, lecz potem dotknął go i sam poczuł tę wibrację. Zastanowił się, czy aby twardy dysk nie zaczął nawalać. Nie, to by nie miało sensu. Uniósł głowę i wsłuchał się w bezruch. W apartamencie panowała absolutna cisza. Nawet zegar nie tykał.

— Dziwny ciąg anomalii — powiedział na głos.

Tajemnicza strona wciąż jeszcze się ładowała, o czym świadczyła choćby obracająca się ikona przeglądarki na ekranie Windy'ego.



Niespodziewanie ikona znieruchomiła. Lecz Sal niczego nie wiedział. Przynajmniej na początku.

Nieoczekiwanie pośrodku ekranu pojawiła się biel. Początkowo obraz nie był większy od grubej kropki. Ta powiększała się w szybkim tempie. Stała się wielka, w końcu dotarła do krawędzi ekranu, ale tam się nie zatrzymała. Teraz paląca światłość rozlała się szerzej, zalewając Sala swą dziwną, rozprzestrzeniającą się poświatą. Wkrótce większa część pomieszczenia wypełniona była oslepiającą, pulsującą bielą. Początkowo Sal osłaniał oczy, lecz potem opuścił ręce i spojrział wprost w ekran. Nie mógł się poruszyć.

Biel przenikała Sala, który postrzegał niezgłębione warstwy jej wyszukanej jaskrawości jako pierwotnie doskonałe. Esencja samej doskonałości zmieszała Sala i ten konflikt odmalował się najego twarzy.

Z głębi bezkształtnej bieli Sal usłyszał dźwięk. Tak, usłyszał go wyraźnie — lecz pojął, że tylko i wyłącznie on mógł go usłyszeć. Nieoczekiwanie poddał się emocjom. Otworzył szeroko usta i zapłakał jak dziecko.

Bez ostrzeżenia wszystko się wyłączyło. Cała biel skurczyła się do gasnącego punktu. Na ekranie pojawił się standardowy komunikat towarzyszący przerwaniu połączenia: „Serwer nieczynny. Spróbuj później”. Mrok i spokój na powrót objęły we władanie apartament. Znów słyhać było tykanie zegara. Sal odkrył, że ma policzki mokre od łez.

— Bardzo dziwny ciąg anomalii — wydyszał.

Sal wszedł do sypialni matki.

— Wstawaj. Wstawaj. Potem podszedł do drzwi Dana.

— Wstawaj. Wstawaj.

Oboje wvlekli się do salonu w nocnych strojach.

— Co się dzieje? — ziewnął na wpeł przytomny Dan.

Sal pokazał im wydruk e-maila od Kuebitza, przynoszącego elitarny personel.

— Izrael — powiedziała Park. — Derek to izraelska firma? Jakim cudem stała się izraelska?

Zaspany Dan teraz się ożywił.

- Izrael? O co chodzi z tym Izraelem? — Szybko przeczytał e-mail. — Derek to izraelska firma? — zdziwił się. — Ot, tak, przenieśli was do Izraela. Mogą to zrobić?
- Niektórych moich przyjaciół przenoszono tak często, że zaczęli nazywać swoją firmę „Inaczej Byłoby Monotonnie” — odparła Park, przecierając oczy. — Przynajmniej tym razem to tylko na pewien czas. Piszą, że parę miesięcy. — Przerwała. — Ale za granicę... To niezwykle. — Zastanowiła się, poprawiła nocną koszulę, pomyślała jeszcze przez chwilę i powiedziała: — Eee, wcale nie takie niezwykle. Świat jest mały. Ale...

Odwróciła się do Sala i powiedziała głosem, w którym pobrzmiwała nuta ostateczności:

— Nie możemy tego zrobić. Za żadne skarby. To wariactwo.

— Ależ możemy — odparł z przekonaniem Sal, tym razem bez najmniejszego zawahania.

— Tak po prostu? — zaoponowała Park. — Po prostu „zgoda”? „Bez dyskusji”? Czy ty albo ja wiemy cokolwiek o Jerozolimie?

— Ja owszem — wtrącił Dan.

— Zalogowałem się do serwera wskazanego hiperłączem przez Kuebitza — odpowiedział Sal, lekko z przekrzywiając głowę, lecz zaraz ją wyprostował. — To było w drugim e-mailu. Nie potrafię tego opisać. Było... wszystko było białe. Niesamowite, jak gdybym dotknął... dotknął świętego miejsca... albo się do niego zalogował.

Sal zaczął mówić dalej, lecz te słowa nigdy się nie uformowały.

— Świętego? — zapytała skonfundowana **Park**. — Świętego w jakim sensie?

— Może... — zaczął Dan.

— Daj mu powiedzieć — przerwała Park. — Powiedziałeś „świętego”?

Sal zacisnął wargi i po długiej przerwie spróbował wyjaśnić:

— To wszystko było tak monumentalnie złożone. Nie potrafię tego ubrać w słowa. Może jeszcze nadal śniłem.

Dan i Park wymienili szybkie spojrzenia, spozostzegając w tej samej chwili, że Sal mówi pełnymi zdaniami.

— Sal, ile Joltów wypijeś wczoraj wieczorem? — zapytał Dan.

Sal skrzywił się i nagle powróciła jego dawna nieśmiałość. — Żartuję — dokończył Dan.

— Wiadomość mówi o kilku miesiącach — przypomniała Park — i premii. — Podrapała się po głowie. — Która godzina? Uch, musimy teraz się decydować? Chodźmy spać, zastanowimy się rano.

Sal podniósł wzrok i zaskoczył ich, powtarzając z naciskiem:

— Nie. Zdecydujemy teraz. — Potem jego głos przycichł: — Nie chcemy przecież stracić miejsca w zespole. Zadzwoń do biura, tak jak powiedziałeli.

Zaskoczona Park łypnęła na Sala i podeszła do telefonu.

— Teraz, o tej porze?

Widząc u syna niezwykajne ożywienie, Park wybrała numer Dereka w Chicago.

— Automatyczna centrala — powiedziała. Połączenie z doradcą stanowiło jedną z opcji do wyboru. Wdusiła przycisk. — Chyba łączy z innym numerem — dodała. Jeden z doradców odebrał telefon. Park przykryła słuchawkę dłonią i szepnęła: — Obcy akcent. Pewnie izraelski. — Park zadała jedno czy dwa pytania, a potem zamilkła na dobrych kilka minut, wysłuchując wszystkich szczegółów.

— Damy wam znać w ciągu najbliższych paru dni — powiedziała Park.

Sal podszedł do niej i zapalczywie pokręcił przecząco głową.

— Teraz. Zdecyduj teraz.

Park uciszyła go, by słyszeć doradcę, który mówił właśnie dokładnie to samo.

— Dlaczego teraz? — zaproponowała Park do słuchawki. — Jest sobota rano, nawet jeszcze nie wzeszło słońce... — przerwała, słuchając. Spojrzała na zegar. — Decyzje strategiczne... kiedy? Po szabacie w Izraelu?

— To za parę godzin, czasu izraelskiego — podsunął Dan.

Park próbowała wytłumaczyć.

— Jestem świeżo zatrudniona i nie byłam na zebraniu pracowników w Chicago w czwartek, to miał być w sumie mój pierwszy dzień pracy... Eee, biuro Kuebitza udzieliło zgody na mój wyjazd do Waszyngtonu. Otrzymałam wyraźne pozwolenie.

Sal splótł dłonie i powtórzył dobitnie:

— Teraz. Zdecyduj teraz.

Park odpędziła go machnięciem dłoni, by móc się skoncentrować.

— Ile tego dodatku... to dla mnie, a do tego jeszcze mój syn, Sal McGuire. To podwójny dodatek, zgadza się...? Mniej niż sześć tygodni...? Wszystkie wydatki, na pewno? — Spojrzała na Dana, który z beznamiętną twarzą śledził przebieg rozmowy.

Sal raz jeszcze poprosił ją błagalnie złożonymi dłońmi.

Park spojrzała na Dana, pytając go o zdanie. Dan złapał złożoną, płócienną serwetkę i napisał na niej „Mogę jechać z wami?”

Park odpisała „Książka o Hinnomie?”

Dan nagryzmoilił w odpowiedzi „Butterfly” i wskazał na swojego notebooka. Park uśmiechnęła się.

— ...Nie, nie muszę oddzwaniać — zdecydowała nagle Park.

— Przez trzy godziny nic się nie zmieni. Pojedziemy.

Danowi zaczęły łzawić oczy. Sal prawie się uśmiechnęła, ale zamiast tego tylko skinęła głową.

— Zapisałam — potwierdziła do słuchawki. — TWA... Tak szybko... Tak, przefaksujcie to do mnie do hotelu „Jefferson” w Waszyngtonie.

Park odłożyła słuchawkę i spojrzała na szeroko uśmiechniętego Dana.

— Mnie tu nie ma. Sama nie wiem, gdzie jestem — powiedziała zirytowana. — Parę dni temu byłam w Seattle, potem w Chicago, teraz jestem w Waszyngtonie, a zanim zdążę zliczyć do trzech, lecę do Izraela. Zdążyłam już zapomnieć, co to znaczy dobrze przespana noc.

— Będziemy się doskonale bawić w Izraelu — zapewnił ją Dan.

— Uwielbiam ten kraj i tobie też się spodoba. Całe to miejsce to jedna wielka, hipnotyzująca walka. — Zerknął za okno i spostrzegł, że słońce już wschodzi. Lekko potrząsnął głową. — Nie jestem na to gotów — zarechotał. — Nie mogę uwierzyć, że tam wracam.

— Nie mogę uwierzyć, że w ogóle tam jedziemy — wypaliła Park.

Dan podrapał się po głowie.

— Już świta. Prześpijmy się trochę.

Park i Dan skierowali się do swych sypialni. Dan obrócił się do Sala.

— A ty jesteś gotów na Izrael?

Sal zawahał się zgodnie z tradycją, lecz teraz na jego twarzy malował się dziwny spokój. Park nie mogła nie zauważyć tej zmiany. Dan powtórzył:

— Jesteś gotów?

Sal przymknął na moment oczy, otworzył je szeroko i odparł spokojnie:

— Tak.

— Wiesz, co znaczy „Derek”? — zapytał Dan.

— Myślałam, że to taki wielki, stalowy dźwig — podsunęła Park.

— Nie, to *derrick*, przez dwa R — poprawił ją Dan — nazwany tak od szesnastowiecznego angielskiego kata. Derek, jak się domyślam, musi być spokrewnione z tym samym hebrajskim słowem, od którego pochodzi angielskie *direct*, „bezpośredni, prosty”.

— Wiem, co to znaczy — powiedział Sal.

— Czyli? — zachęcił go Dan.

— To znaczy „droga” — odpowiedział Sal.

— Zgadza się — przytaknął Dan. — „Droga”, po hebrajsku. Skąd to wiedziałeś?

Sal przechylił lekko głowę, zawahał się, lecz odpowiedział:

— Nie wiem. Po prostu wiedziałem.

CZĘŚĆ DRUGA

# **ODKRYCIE**

## JEROZOLIMA

Wyjdź na balkon. Spójrzjy we wszystkie strony. Wciągnij w płuca chłód.

Kiedy wschodzące słońce wreszcie wynurzy się ponad szarozielonymi wzgórzami, matowe światło jerozolimskiego poranka błąkać się będzie i wić przez starożytne Nowe Miasto, oświetlając jego ulice, aleje, parki i kamieniste działki, jedną po drugiej, jak gdyby otwierając ciąg obrazowych drzwi w magicznej kolejności. Spójrz, w tym miejscu wszelkie światło i ciemność stwarzane są palcem Boga. Jedynie On rozumie.

Na dany sygnał wszystkie silniki autobusów zapalają, by rozpocząć swą warkotliwą wędrówkę. Niczym zmechanizowani muezini nawołują wiernych, jak i niewiernych, sygnalizując początek nowego, szaleńczego dnia. Wkrótce majestatyczne, złociste migotanie Meczetu Skały, połyskująca, biała masa Knessetu i blask murów Starego Miasta zbudzą się do życia.

Droga jafska postępuje krzątanią. Na rynku z metalicznym szczękiem otwierają się stragany. Skrzynki z owocami, warzywami i suszonymi produktami uderzają powierzchnia za powierzchnią. Łoskot handlu w końcu ustępuje miejsca szelestowi banknotów i brzękowi monet. Arabowie udają się na suk, Izraelczycy idą na Mahane Yehuda.

Jerozolima to miasto przesycone elektrycznością. Sama ziemia

naładowana jest stuleciami cierpień i pragnień. Zadrzyj w strumieniu jego potężnej energii.

Żydowscy i arabscy, religijni i świeccy, potężni i zubożali, pełni nadziei i nadziei pozbawieni, wytrwali mieszkańcy tego wiecznego Miasta Pokoju, dławieni gniewem i lękiem, uzbrojeni w niepokorną śmiałość, stawiają czoło wszelkim siłom tylko po to, by być, to znaczy — by być tutaj. W Jerozolimie „być” oznacza „zatriumfować”.

Nic dziwnego, że duchowy kompromis jest niemożliwością dla wielu zwalczających się grup, które roszczą sobie prawo do mistycznej duszy tego miasta. Łzy, krew i pot są wszędzie, połączone niczym lakier pokrywający wszystko, co żywe i martwe. Każdy cal istnienia pyszni się swoją własną sagą opowiadającą o jakimś sporze. Każdy krok to manifest polityczny. Odwiedzasz meczet Al Aksa czy Yad Vashem? Kupujesz chleb u piekarza arabskiego czy izraelskiego, a może u izraelskiego sprzedawcy arabskiego chleba? Jadasz lunch w zachodniej czy wschodniej części Jerozolimy? Kapłani w rywalizujących ze sobą Kościołach walczą ze sobą o prawo zamiatania posadzek i mycia progów. Prowadzenie gospodarstwa implikuje prawo własności.

Zamknij oczy.

Teraz otwórz je. Słuchaj.

Drewniane flety, lamentujące skrzypce, kobzy, bębny, elektryczna gitara, akordeon, ulotne urywki symfonii, dzwony — muskane palcami i rozbrzmiewające z kościelnych wież, wszystkie zlewają się w jedno crescendo szumu maszyny do cappuccino.

Położ swe rozpostarte dłonie na Ścianie Płaczu, odetchnij jej wiekami. Zejdź na bok, kiedy arabski chłopak popycha w pełnym pędzie swój wózek z daktylami i suszonymi morelami po wąskich, kamiennych schodach Starego Miasta. Poczuj ból żeber, gdy pucołowata Rosjanka przeciska się obok ciebie, by wepchnąć do zielonej siatki cztery pomidory i oberżynę. Odsuń się, kiedy izraelski generał w berecie obciążonym epoletami wychodzi zawadiackim krokiem z Ministerstwa Obrony do swego służbowego peugeota o przyciemnionych szybach. Odwróć wzrok, kiedy poobijany, nie ogolony



żebrak patrzy przenikliwie swym jedynym, zaropiałym okiem. Uśmiechnij się w zadumie, gdy sześcioro żydowskich dzieci w mundurkach gna chodnikiem, tornistry podskakują im na plecach, a na ich twarzach maluje się radość i nadzieja przyszłości. Poczuj zazdrość, gdy tarasowaty labirynt domów Yemin Moshe kipi energią rzemieślników i myślicieli.

Posłuchaj, muezini wyśpiewują koraniczne modlitwy, rabini w czarnych kapeluszach skubią swe brody, prawosławni księża pochylają się, by zapalić wysoką, cienką świecę.

Złóż swe dłonie i spójrz w niebo, opleć swe palce filakteriami, oprzyj na nich głowę i leżąc na ziemi, zaciśnij w dłoni różaniec, przesun palcami po starożytnych kamiennych rytach, wduś klawisz kalkulatora, odciągnij bezpiecznik strzelby, przetocz kciukiem pocisk, przetrzyj zdumione i szczęśliwe oczy, odkryj sutek kobiety, którą kochasz, albo karmiącej młodej matki, unieś tylko jeden palec i zastanów się, czy oznacza jedność czy też linię podziału?

Wkrocz do Jerozolimy, a uczynisz krok ku wieczności. Gdyż tu był początek i tu będzie koniec. Ukorz się.

Ustawionego na najbardziej zatłoczonym skrzyżowaniu Jerozolimy, na skraju miasta, gdzie główna ulica zmienia się w autostradę do Tel Awiwu, odręcznie wykonanego na tekturze napisu nie można było nie zauważyć. Jego wielkie litery błagały:

**PROSZĘ, NIE PROWADŹCIE SAMOCHODU W SZABAT!!!  
JEŚLI KAŻDY ŻYD PRZEZ DWA TYGODNIE BĘDZIE  
PRZESTRZEGAŁ SZABATU, MESJASZ POWRÓCI.**

Za tablicą, na szerokiej na pięć stóp betonowej wysepce za słupem sygnalizacji świetlnej, stał zapłakany ortodoksyjny Żyd. Z wynędzniałą twarzą, bulwiastym, czerwonym nosem i brwiami sięgającymi wysoko na czoło, szabes rebe uzupełniał swój wygląd, mimo uciążliwego upału, czarnym, płóciennym, chasydzkim stro-

jem, włącznie z szerokim, futrzanym kapeluszem. Kiedy przejeżdżał jakiś samochód, żałośnie wymachiwał rękami, nie czyniąc kierowcy gromkich wyrzutów, jak jest to w zwyczaju tak wielu *haredim*, lecz uderzając w błagalne tony.

— Proszę, nie prowadź samochodu — jęczał. — Proszę, proszę — błagał. Nikt go nie słuchał.

Dudnienie przejeżdżających samochodów nie ustawało ani na moment. Wielu kwitowało obraźliwymi gestami jego próby powstrzymania ich przed prowadzeniem samochodu w szabat. Wojna między ludźmi bogobojnymi a laikami była zaciekle. Ci pierwsi często obrzucali kamieniami i wyzwiskami samochody profanujące szabat. Kierowcy odpowiadali klaksonami. Lecz szabes rebe był inny. Nikogo nie obrażał ani nie odgrażał się w imię Boga. Był niemalże odosobniony w swym pokornym błaganiu tych, których postrzegał jako plugawiących dzień Pański. Tysiące samochodów mijały jego stanowisko, a on starał się nawiązać kontakt wzrokowy z każdym kolejnym kierowcą. Każdą anonimową odmowę traktował jako głęboko indywidualną, głęboko osobistą klęskę. Jego nieukojojny żal przekraczał granice malującego się na jego twarzy smutku.

Dan jechał do Jerozolimy od strony wzgórz w dużej, białej furgonetce. Po sześciu e-mailach, trzech rozmowach telefonicznych i dwóch potwierdzających faksach dał się w końcu przekonać, że obietnica agencji wynajmu samochodów dotycząca czerwonej hondy del sol będzie dotrzymana. Lecz kiedy stanął przed ich filią na lotnisku Ben Gurion, usłyszał, że takie samochody w Izraelu po prostu nie istnieją, „bez względu na to, co powiedział panu ktoś, kto nie miał prawa panu tego powiedzieć”. By zrekompensować to nieporozumienie, agencja zaoferowała mu przestronny furgon. Niezwykle przestronny — wystarczająco duży, by pomieścić piętnastu ludzi. Dan wstrząśnięty spoglądał na ogromny pojazd. Wyglądał jak jkursujący na lotnisko mikrobus i większość wąskich ulic Jerozolimy tyła dla niego całkowicie nieprzejezdna. Początkowo, śmiejąc się % niedowierzaniem, odmówił przyjęcia go. Lecz kiedy pracownik Agencji stwierdził, że w tej chwili nie dysponują niczym innym, a do tego i tak musiałyby wystawić mu rachunek, gdyż w sezonie nie wolno

było wycofywać rezerwacji, Dan niechętnie wziął od niego kluczyki, ustaliwszy przedtem, że będzie mógł zamienić tego behemota na coś mniejszego, skoro tylko coś mniejszego się zwolni.

Kiedy w przedzie zamajaczyła sylwetka szabes rebeego, Dan zachichotał z podziwem.

— Ten facet ciągle tu jest. — Wyjaśnił Park, że szabes rebe był stałą częścią ruchu ulicznego przed laty, kiedy jeszcze on sam pracował w Izraelu jako korespondent.

Dan zjechał na pobocze.

— Daj mu spokój — powiedziała Park, której nie uśmiechał się pomysł zatrzymywania się na dyskusję z fanatykiem. Sal skrzywił się. Dan zignorował ich niechęć.

— Wszystko w porządku — zapewnił ich. — Widuję go od zawsze. Tyle że nigdy się nie zatrzymałem. Ucieszy się, że ktoś zwrócił na niego uwagę.

Dan wprowadził furgonetkę na pobliski parking sali koncertowej, zapłacił parkingowemu parę *szeklim*, by miał oko na samochód, a potem przebiegł na wysepkę, uskakując przed nadjeżdżającymi pojazdami. Początkowo zachęcał Park, by mu towarzyszyła, lecz potem poprosił, żeby na niego zaczekała, uświadomiwszy sobie, że chasyd poczułby się obrażony bliskością kobiety. Dan miał trudności z wytłumaczeniem Park perwersyjnych chasydzkich zwyczajów dotyczących kontaktów z kobietami, a ona na wszelki wypadek zbytnio się nie dopytywała. A Sal był zachwycony, że może zostać w furgonetce i czytać materiały o historii Ziemi Świętej.

Szabes rebe zerkał na Dana od chwili, gdy ten zaparkował samochód, i patrzył na niego, kiedy przebiegał przez autostradę. Gdy Dan wskoczył na wysepkę, ponura twarz rebeego rozjaśniła się najczystsza radością.

— Angielski? — zapytał Dan.

— Tak, angielski — potwierdził szabes rebe. — Chodźmy na herbatę.

— Chciałem tylko zadać panu parę pytań — powiedział Dan, wymachując swoją starą legitymacją dziennikarza zagranicznego,

którą tutaj honorowano wszędzie. Odnowił ją podczas ostatniego pobytu w Izraelu, a tu nikt nie dbał o daty ważności.

— Proszę to schować — powiedział szabes rebe, zbywając legitymację machnięciem ręki. — Mieszkam niedaleko. Chodźmy — powiedział radośnie, ciągnąc za koszulę Dana.

— Moment, moment. *Ich kannicht* — sprzeciwił się Dan, częściowo w jidysz.

— *Doff nicht Yiddisz* — odparł pogodnie szabes rebe — mów po angielsku. Chodźmy do mnie.

Dan usiłował wytłumaczyć, że w furgonetce ktoś na niego czeka, że może tam parkować tylko przez parę minut i że chciał umówić się na rozmowę po szabacie. Może jutro?

— Nie, nie, zostaw samochód — naciskał wylewnie szabes rebe.

— Nie dotykaj samochodu. Niech stoi. Szabes. Szabes.

— Wiem — odparł Dan z szacunkiem — ale nie mogę go tam zostawić. Mogę odwiedzić cię jutro?

Twarz rebego skurczyła się żalobnie. Popłynęły łzy.

— Proszę, nie prowadź. *Masztach*. Chodź, będzie wesoło. Po rozmawiamy, napijemy się. Proszę, nie prowadź.

Dan raz jeszcze sprzeciwił się uprzejmie, lecz stary człowiek dalej jęczał: „Proszę”.

Dan wyciągnął z kieszeni komórkę, podczas gdy rebe odwrócił zbolale spojrzenie. Zadzwonił na drugą stronę ulicy do Park i Sala.

— Dajcie temu facetowi parę *szeklim*, z pięć — polecił im Dan.

— Powiedzcie mu, że mamy problem z zapłonem. Raz działa, raz nie działa — nieprzewidywalnie. Podczas rozmowy używaj rąk...

Właśnie tak — pomachał do niej przez ulicę. — Potem weźcie taksówkę do hotelu, niech wam wniosą bagaż. Zameldujcie się. Znają mnie tam.

— Potem dorzucił jeszcze: — Jeżeli traficie na arabską taksówkę, zachowujcie się tak, jakbyście byli tu już wiele razy... dokładnie, bo w przeciwnym razie zawiezie was przez Kiszyniów.

Park zastanawiała się przez chwilę.

— Poczekaj, jesteśmy w Izraelu — zaoponowała. — Zostawiasz mnie na przedmieściach Jerozolimy, by narzucać się jakiemuś reli-

gijnemu facetowi? Co ja mam teraz zrobić? Myślałam, że przyjechalśmy tu razem.

— To Jerozolima, nie Uganda — odpowiedział Dan, odwracając się tak, by starszy mężczyzna nie mógł go słyszeć. — Po prostu wejdź do środka, jak gdyby to był „Hilton” w Chicago, i powiedz: „Dzień dobry, chciałabym się zameldować”. Wszyscy mówią po angielsku. Jeśli chcesz zrobić dobre wrażenie, powiedz: *szalom*, chciałabym się zameldować”.

— A jeśli będzie jakiś problem? — zapytała Park.

— Jaki problem? Po prostu się zamelduj. Ja się niedługo zjawię. .. W porządku, mam pomysł. Zajrzyj do mojej torby podróżnej, w wewnętrznej kieszeni znajdziesz plik wizytówek. Jedna z nich należy do Szlaemiego, taksówkarza, z którym jeżdżę po Jerozolimie. Zadzwoń do niego, a on po was przyjedzie. Powiedz mu, żeby wystawił rachunek na hotel, potem się rozliczymy. Jeśli sam nie będzie mógł, przyśle kumpla.

— Dobrze — powiedziała Park chłodno. — Do zobaczenia w hotelu. Zadzwoń, gdybyś miał się spóźnić.

— Hej, zrozum — usiłował wytłumaczyć Dan, osłaniając usta, by szabes rebe go nie słyszał. — Nareszcie spotkałem tego osobnika, którego widywałem od lat, ale nigdy go nie zaczepiłem. Można go spotkać jedynie w sobotę. Teraz go mam. Po prostu chcę z nim porozmawiać.

Park wciąż zachowywała odrobinę rezerwy.

— Już nie odkładam niczego na później — dodał.

— W porządku. — Wysiadła z furgonetki, by lepiej go widzieć. Nadal przez komórkę, zapytała: — Wrócisz szybko?

Uniósł dłoń, przyciskając poziomo kciuk i palec wskazujący, co w Izraelu oznaczało niewiele czasu.

— Wrócę na kolację z Motkem. Muszę lecieć — posłał jej całusa. Złapała go i odwzajemniła się tym samym. — Muszę lecieć. Pa. — Z uśmiechem na twarzy odwrócił się do staruszka.

Szabes rebe rozpyływał się ze szczęścia. Powiesił swój afisz na śrubie słupa sygnalizacji świetlnej, cofnął się i przechylił kilkakrotnie głowę, poprawiając go.

— Chodź, chodź — kiwnął na niego.

Dan i rebe przeszli obok pozamykanych sklepów drogi jafskiej, ulicznego sprzedawcy lodów z Dimony, psów obwąchujących porozrzucane przy krawężniku śmieci, skręcili za wielkie billboardy zapowiadające najbliższe koncerty i udali się do Mea Shearim, ultraortodoksyjnej chasydzkiej enklawy, która funkcjonowała niemalże jak 'miasto w mieście. Widok czarnego kapelusza i świeckiego Żyda idących ramię w ramię nie był czymś powszednim, zwłaszcza w szabat. Niejeden chasyd odwracał głowę z nie skrywanym zgorszeniem, a nawet paru świeckich Izraelczyków uznało to za dziwaczne.

Przy wejściu do osiedla Dan ujrzał zniszczony przez pogodę napis obwieszczający swe niedwuznaczne ostrzeżenie: „Kobiety — zakryjcie się i zachowujcie się przyzwoicie”. Wielu świeckich Izraelczyków nie ośmieliłoby się wejść do Mea Shearim, a niejeden turysta obrzucony został kamieniami za robienie zdjęć, chodzenie w koszuli z krótkimi rękawami czy niewłaściwe traktowanie mieszkańców. Lecz Dan bez wahania podążył za staruszką centralną aleją, dwiema bocznymi uliczkami, na drugą stronę kolejnej ulicy, parę stopni w dół, przez aleję i wąskie wejście, które zaprowadziło ich na dziedziniec o ścianach wysadzanych drzwiami i starymi, kamiennymi balkonami, niewiele różniący się od dawnych żydowskich gett Europy.

Szabes rebe zatoczył zamasyżycie ręką wokół siebie i rzekł:

— Mój dom.

— Czyli gdzie? — zapytał Dan.

— Jedynie tam — odparł szabes rebe, wskazując na niewielką płytę z przerdzewiałego metalu, przymocowaną zawiasami do kamienia. W pozycji zamkniętej utrzymywał ją gruby łańcuch przesunięty przez otwory wybite w płycie i framudze, spięty wielką kłódką. Całość nie była większa od klapy zsypu na węgiel. Szabes rebe z żartobliwą miną wyciągnął ze swej białej pończochy płaski, metalowy futerałik na długim sznurze. Otworzył go i wyciągnął klucz na sprężynie, który z kolei wsunął w kłódkę. Otworzyła się ze zgrzytem więziennej celi.

Staruszek z hałasem przeciągnął łańcuch przez otwory i powoli

rozwarł zgrzytające, zardzewiałe drzwi. Ciasne, wilgotne pomieszczenie było spowite w całkowitych ciemnościach. Po otwarciu drzwi wpadające do środka światło wydobyło z mroku najpierw prymityw-ny, wypchany gazetami materac, potem dwa stare ręczniki z jerozolimskiego „Hiltona”, zwinięte razem i spięte gumką na kształt prowizorycznej poduszki. Smugi śluzu na z grubsza ociosanych kamiennych ścianach odbijały światło dnia, gdy drzwi zostały otwarte na oścież. Na Danie robiło to wrażenie nie dobrowolnie wybranego mieszkania, lecz raczej więziennego lochu. Szabes rebemu wszakże ten prymitywny przybytek zapewniał wszystko, czego potrzebował na tym świecie.

— *Bevakasza* — zaszczębiotał szabes rebe, wypowiadając tradycyjne izraelskie powitanie.

Dan schylił się, przestępując przez próg. Okropny smród uryny wstrząsnął nim, kiedy wszedł do środka. Niski strop zmusił go do przygarbienia się. Obok materaca leżała sterta świętych ksiąg o okładkach wytłaczanych złotymi literami, z wielu wystawały skrawki papieru zaznaczające szczególnie ważne fragmenty mistycznych tekstów.

— Usiądź — zachęcił go szabes rebe, siadając ciężko na materac.

Dan skrzyżował nogi i powoli usiadł na podłodze. Leżącym nieopodal kapciem przepędził parę karaluchów. Dostrzegął tylko ten jeden pantofel, najwyraźniej jego wyłącznym przeznaczeniem było zabijanie much i karaluchów.

Rebe zamknął drzwi, mamrocząc modlitwy i automatycznym ruchem przesunął stopą cegłę, by je zablokować. W pomieszczeniu znów zapadła całkowita ciemność. Staruszek niemal błyskawicznie obrócił niewielki kawałek metalu przymocowany do ściany. Wtedy odsłoniły się otwory między kamieniami, wpuszczając odrobinę światła i powietrza. Zrobił to z podobnym brakiem wysiłku, z jakim przeciętny człowiek pociągałby na sznur lampy. Światło i cień zmieszały się na twarzy rebego.

Rozmawiali przez godzinę. Dan był zafascynowany. Takie spotkania stanowiły najlepsze chwile jego życia. Szabes rebe był czło-

wiekem, który pewnego dnia trafi na kartki jego powieści. W głowie notował sobie wszystkie zaobserwowane szczegóły.

Lecz szabes rebe zdawał się nie mieć imienia, rodziny ani historii — a przynajmniej nic z tego nie wyjawiał. Na każde pytanie reagował wzruszeniem ramion i stwierdzał: „Nie wiem” albo w jidysz: „*Vays nicht*”. Dan wiedział tylko tyle, że od lat w każdy sobotni poranek staruszek stanowił stały element krajobrazu na przedmieściach Jerozolimy, ostrzegając i zaklinając masy, by wysiadły z samochodów i przestrzegały szabat.

Rebe uśmiechnął się niemalże szelmowsko i prawie z dołu sterty wyciągnął książkę. Otwierając ją na dobrze znanej stronie, wskazał na linię hebrajskiego tekstu i przeczytał ją na głos. Potem przeszedł na angielski:

— Człowiek zawsze ma wybór. Zawsze wybiera drogę pozba wioną wiary, drogę zła — przerwał na chwilę. — Dobry angielski?

Dan potwierdził.

— Dlaczego człowiek zawsze dokonuje takiego wyboru? Nawet jeśli może wybrać *Masziacha* — ciągnął dalej rebe — po angielsku — Mesjasza. Pan rozkazuje ludziom przestrzegać szabat. Jeden dzień. Na pracę zostaje sześć. Tylko jeden dzień na odpoczynek. — Uniósł palec ku niebiosom. — Nasz niebieski Ojciec pokazuje, jak dalece zły jest człowiek — powiedział z rozpaczą. — Nawet obiecał nam wprowadzenie doskonałego porządku, zesłanie *Masziacha* do Jerozolimy, gdyby tylko Żydzi zechcieli przestrzegać dwóch kolejnych *szabbatot*. Tylko dwóch. — Raz jeszcze rebe upewnił się: — Dobry angielski?

— Doskonały.

— Ale nie — lamentował rebe. — Oni muszą jeździć samochodami. Dokąd? Na pizzę, do przyjaciela, na mecz, do ladacznicy. Czym jest pizza albo ladacznica w porównaniu z *Masziachenf!* Widzisz — taka jest droga człowiecza. Oj, oj, oj — rozpaczał rebe, kołyszając głową z zamkniętymi oczami i mamrocząc modlitwę. — Ale zawsze pozostaje nadzieja. Zawsze. Więc przypominam im, tak by Przenajświętszy to widział i wszyscy to widzieli. Przed człowiekiem stoi szansa na przyjście *Masziacha*, a on woli pizzę. Oj.



- Dlaczego, rebe? Dlaczego, jak myślisz? — zapytał Dan.
- Przed człowiekiem stoi szansa na przyjście *Masziacha* — powtórzył rebe — lecz on zawsze wybiera zło. Powiedziane jest: *Hakol tsafuy vehareszut netuna*.
- Tak, to stare powiedzenie: „Wszystko jest z góry określone, lecz zezwolenie jest dane”. Ale co to znaczy?

Rebe zmierzył go uważnym spojrzeniem.

- Sam musisz się tego domyślić.
- Więc kiedy nadejdzie *Masztach!* — zapytał Dan, szukając nie istniejącej odpowiedzi.
- Och, wkrótce. — Rebe wybuchnął radością. — Już wkrótce — oznajmił, wznosząc obie ręce ku niebu.
- Ujrzysz go? — zapytał Dan.
- Tak, wkrótce. Ale nie tutaj. One go tu ujrzą. Będą bawić się u jego boku.
- One? — zapytał Dan.

Staruszek zniekształconym kciukiem wskazał na podwórze.

- *Kinder*, dzieci. Zapytaj ich. Nie słyszysz ich śpiewu?

Dan przechylił głowę, nasłuchując. Żadnego dźwięku.

- Czyjego śpiewu?

Odkopując na bok blokującą drzwi cegłę, rebe wyszedł z powrotem na podwórze. Dan podążył w ślad za nim. Na zewnątrz było pusto.

- Jakże radośnie śpiewają! — rozpromienił się rebe.
- *Ha rav*, tu nikogo nie ma — zauważył ostrożnie Dan, wskazując najpierw na puste, zacienione kąty dziedzińca, potem na bezładne balkony. — Nikogo.
- Głośniej, dzieci, on was nie słyszy — zawołał rebe.

Dan spojrział przed siebie i nagle wszędzie były rozbawione dzieci, roztańczone, rozśpiewane, może z dwadzieścioro, łapiące staruszka za spodnie, bawiące się swoimi włosami, goniące się nieprzerwanie w kółko. Oczy Dana zaszklily się, gdy oglądał te niesamowite igraszki.

— *Masztach, Masziach, Masziach, Masztach, Masztach* — śpiewały. Przyspieszyły, aż ich taniec zaczął przyprawiać o zawrót głowy.

Dan dyskretnie sięgnął do kieszeni kurtki, zmacał na dyktafonie czerwony przycisk nagrywania i przyduł go. Rebe spostrzegł ten ruch i zareagował gwałtownie. Chwytał Dana za głowę i przyciągnął twarzą do swego płaszcza. „Nie, nie, nie”, zawołał.

Dan wyszarpnął się. Wszystkie dzieci zniknęły. Podwórce okryła cisza.

— Gdzie są te dzieci? — Rebe zmarszczył czoło bez słów. — *Kinder* — powiedział Dan — były tutaj jeszcze przed sekundą!

Balkony — puste. Wszystkie drzwi — zamknięte na głucho. W powietrzu unosiły się targane wiatrem strzępy starych gazet. Dan wybiegł na ulicę i rozejrzał się na boki. Żadnych dzieci.

Mała starowinka w kolorowej chuście na głowie truchtała w stronę wejścia.

— *Gzen kinder?* — zapytał ją Dan w jidysz. — Małe dzieci, widziała pani jakichś chłopców?

Zignorowała go i zniknęła za drzwiami swego domu.

Dan pośpiesznie przeszukał sąsiednie aleje i zaułki, lecz nie znalazł nigdzie tych dzieci. Wkrótce zgubił się w labiryncie ścieżek Mea Shearim. Spróbował wrócić po swoich śladach do nory szabes rebege, lecz nie dał rady. Gdy któryś raz z rzędu skręcił w złą stronę, poddał się ostatecznie. Kiedy znalazł drogę prowadzącą do wejścia do Mea Shearim, bez ociągania opuścił dzielnicę.

Mówiono, że to niemożliwe. Kilka kroków od Bramy Jafskiej, naprzeciw murów Starego Miasta, wznosił się wspinały hotel „Dan Pearl” — współczesny cud w starożytnej Jerozolimie. Musiało upłynąć wiele lat, by przerodził się z planów w rzeczywistość. Zuchwała lokalizacja budowli stanowiła przejaw polityki siły objawiającej się architektoniczną poezją.

Z punktu widzenia architekta „Dan Pearl” stanowił doskonałość. Od drzwi schody wiodły w dół, ku zagłębionemu nieco poniżej poziomiu ulicy lobby, oraz w górę, do jadalni. Zbiegające się linie dominowały niepodzielnie na hotelowych piętrach. Rozmigotany

basen skryty był pod ziemią, jak w czasach Heroda. Każdy kąt i jego przecięcie z każdą powierzchnią cieszyły oko niezależnie od punktu widzenia i kierunku ruchu obserwatora. Było tak, jakby artysta wykreślił tysiąc szkiców wnętrza pod każdym możliwym kątem, by upewnić się, że wszystkie linie przebiegają harmonijnie.

Każdy pokój stanowił elegancki apartament, wyposażony w większą ilość urządzeń i wyrafinowanych gadżetów niż jakiegokolwiek luksusowe miejsce noclegowe w kraju. Każdy gość w prezencie otrzymywał wyjątkowy widok na nieustannie intrygujące Stare Miasto. Za dnia słońce padało na nie ociosane, białe kamienie, stwarzając szczególny blask zakłócany jedynie ciągłymi iskrami autobusów, samochodów, ciężarówek i taksówek, dzięki którym starożytne, otoczone murami centrum tętniło życiem. Nocą romantyczne światła Cytadeli Dawida, oświetlone ciepłym blaskiem mury i rytmicznie migające światła Miszarah patrolujących ulice w niebieskich samochodach policyjnych oraz Miszmar Hagvul w zielonych jeepach patrolu granicznego obsadzonych przez elitarnych druzyjskich żołnierzy przypominały wszystkim, że Stare Miasto rzadko sypiało, a już nigdy głęboko.

Sal siedział w pokoju pochłonięty skakaniem po kanałach telewizyjnych, oglądając wideoklipy z Nowego Delhi, programy turystyczne CNN i film dokumentalny BBC o całunie turyńskim. Park i Dan skryli się za szklanymi drzwiami swoich sypialni, zaciągnęli zasłony i rozpakowali walizki, przebierając się w świeże ubranie.

Rozległ się dźwięk telefonu. Dzwonił Motke.

— Ha, chcesz mówić z Park, tak. *Rak rega, bevakasza* — powiedział Dan, prosząc go po hebrajsku, żeby chwilę zaczekał.

Park zamieniła parę zdań przez telefon w swojej sypialni, zastukała do drzwi Dana i zajrzała do środka.

— To Motke. Chce się spotkać na czymś, co się nazywa *midrekhov* — powiedziała — w jakiejś „Atarze”. Dzisiaj po zachodzie słońca.

— „Atara” — uśmiechnął się szeroko Dan. — Ekstra!

Po zakończeniu rozmowy Dan opowiedział jej wszystko o tym, co określano ogólną nazwą *midrekhov*, krętym pasażu wypełnionym

ulicznymi kafejkami, knajpami z hummusem, stylowymi butikami, etnicznymi restauracjami, antykwariatami, straganami, budkami z lodami, artystami, muzykami i zbitym tłumem przechodniów. To wszystko sprawiało, że Jerozolima nocą stanowiła niezapomniane wspólnotowe doświadczenie — zwłaszcza w sobotnią noc, po zakończeniu szabatu. Wychwalanie zalet i atmosfery *midrekhovu* absolutnie nie wystarczało. Dan pedantycznie opisał krok po kroku rozwój i ekspansję strefy od roku 1970, kiedy to uliczny postój miejskich taksówek przekształcił się w brukowaną cegłą uliczkę usianą kawiarenkami. Każda kolejna wojna i przerwa w działaniach wojennych odciskała swe piętno na rozwoju pasażu, aż w końcu stał się on rozległym kompleksem towarzyskiej obfitości, przyciągającym każdej nocy tysiące ludzi w swe ciasne mury. Opisawszy właścicieli oraz lokale wzdłuż głównego traktu i bocznych uliczek, te dawne i te obecne, syjonistycznych osadników popijających kawę po turecku w „Atarze”, nieodwracalne oszpeccenie spowodowane inwazją McDonalda i Burger Kinga, opowiedział jej, które knajpki z falafelem sprzedają najlepszy ostry sos, które już tego nie robią, których sklepów z koszulkami należało unikać, które galerie sztuki mieściły się tam od zawsze, a które zajęły lokale opuszczone przez apteki, które kawiarnie wypiekały własne ciasta, które podawały wypieki z piekarni, wyglądające fantastycznie, a smakujące ohydnie. Po dziesięciu minutach Park powiedziała w końcu:

— W porządku.

Sal oderwał się na moment od ekranu, ale zaraz z powrotem utkwił wzrok w telewizorze.

Zauważywszy jego reakcję, Dan wyjaśnił:

— Chcę tylko, żebyście się dobrze bawili i troszeczkę orientowali w lokalnym kolorycie.

Park stwierdziła, że już się orientuje, i wróciła do swojego pokoju, by dokończyć przebieranie.

Parę godzin później Dan i Park wybrali się długim, malowniczym szlakiem wiodącym w dół obok muzułmańskiego cmentarza i parku Niepodległości, obok centrum prasy zagranicznej Beit Agron, obok ścieżki prowadzącej na miejsce, gdzie kiedyś mieściła się restauracja

„Mama Mia”, obok placu, gdzie uliczni sprzedawcy rozłożyli na kocach ręcznie produkowaną biżuterię, kapelusze, szale, podrabiane beduińskie szaty, obok karykaturzystów i głodujących artystów pracujących w glinie, drewnie i kamieniu, obok stada turystów otaczających marokańskie trio ludowe, wprost na początek właściwego *midrekhovu*. Wędrując wśród beztroskich tłumów, gdzie wszyscy czuli się jedną wielką rodziną, gdzie wszyscy obecni zdawali się dzielić przekonanie, że szczytem żydowskiej tożsamości jest mocna, czarna kawa i nienapastliwe rozmowy o polityce na świeżym powietrzu w jerozolimską noc, w miarę zbliżania się do epicentrum pasażu, Dan i Park mieli coraz więcej kłopotów z przeciskaniem się przez tłok.

Po chwili zuchwale wepchnęli się do kawiarni „Atara”. Kiedy zwolnił się stolik, Dan zajął go, oznajmiając:

— Zajmuję ten stolik nie w imieniu „Atary”, która się tu wznosi, lecz „Atary”, która była tu niegdyś i której już nie ma.

Park cała ta scena wydawała się idylliczna i nie zrozumiała deklaracji Dana.

Właśnie podano kawę i smakowite ciasteczka, kiedy pojawił się krępy mężczyzna z potarganymi włosami. Miał na sobie koszulkę rozmiar XXL z napisem „Czas ucieka”. Rozpychając się i machając ręką, zdołał w końcu przecisnąć się bokiem przez rozgadany tłum i dotarł do ich stolika.

— Park z Chicago? — zapytał na wstępie i wyciągnął rękę. — Jestem Motke, z Dereka.

— To ja — odparła zaskoczona Park. — Skąd wiedziałeś? Motke wyciągnął z tylnej kieszeni spodni złożony faks ze zdjęciem Park przesłanym z działu personalnego Dereka.

— Miałem to. Poza tym wyglądasz tak, jakby to była twoja pierwsza noc tutaj. Witaj w Izraelu. Mam, wybaczyć określenie, „zająć się tobą”. W moim słowniku oznacza to „upewnić się, że dobrze się odżywasz i zjawiasz się na czas”.

— Przy odrobinie praktyki stać mnie na jedno i drugie — odparła Park.

— A gdzie jest nasz młody panicz, Sal? — Park wyjaśniła, że

surfuje po sieci w hotelu. — Dobry znak — powiedział zgodnym tonem Motke.

Dan przedstawił się i od razu polubił Motkego, lecz pozostał na miejscu, zwalczając chęć włączenia się do rozmowy, podczas gdy Motke i Park gawędzili o jej nowym zadaniu.

Motke scharakteryzował Derek Institute jako instytut badawczy sponsorowany przez rząd izraelski, założony wkrótce po uzyskaniu niepodległości w celu prowadzenia badań nad technologiami o zastosowaniu militarnym. Pierwotnie mieścił się w magazynie w kibucu Neve Eitan, słynącym z tego, że dostarczył izraelskim siłom zbrojnym kilku sławnych generałów. Z czasem Derek zajął się projektami komercyjnymi i przeniósł swą siedzibę na kampus Tcch-nion. Nieco później otworzył przedstawicielstwa w Stanach Zjednoczonych, Anglii i Niemczech, ściśle współpracujące z ambasadami.

- Parę lat temu na scenę wkroczył Kuebitz — mówił dalej Motke. — Nikt zbyt wiele o nim nie wie. Jest dziwny.
- Rozmawiałam z nim — powiedziała Park. — To on nas zatrudnił, mnie i mojego syna.
- Owszem, i, jak słyszę, ma wobec was bardzo specjalne plany — dodał Motke.
- Czyli?
- Czyli — odparł Motke — podczas gdy ja i kilkunastu innych programistów klepujemy kody przez dwadzieścia trzy godziny na dobę, was kazał przydzielić do Development Oversight Group — Grupy Nadzoru Projektowego.
- Nie śmiem zapytać, co to takiego — powiedziała Park.
- To nie jest aż takie złe, jak by wskazywała nazwa — wyjaśnił Motke. — Ja jestem szefem zespołu badawczo-rozwojowego. Mam pod sobą dwudziestu programistów, z których z dziesięciu zna się na rzeczy. Reszta to mali, wystraszeni analitycy, których zadaniem jest wyszukiwanie i usuwanie błędów w programach. Grupa Nadzoru Projektowego, DOG — albo, jak ja to nazywam, DOGMAT — to zaledwie trzech czy czterech ludzi pod bezpośrednim nadzorem pana Tajemniczego.
- Kuebitza? — zapytała.

— Ależ oczywiście. Kuebitz i paru jego równie tajemniczych przyjaciół. Kilka lat temu, kiedy rozpoczęli ten ambitny projekt pokonania milenijnej pluskwy, cała impreza przeniosła się z Technionu do podziemnego kompleksu jakieś trzy przecznice stąd. — Machnął ręką — Za tymi budynkami, ze dwie przecznice dalej jest Hillel Street. To właśnie tam. Zabiorę was tam rano. Możemy spotkać się tutaj, na kawie.

Park zgodziła się bez słów.

- Budynek jest nie oznakowany — uzupełnił — i sami nigdy nie znajdziecie drogi wśród tych wszystkich drzwi i klatek schodowych. Ale Park, jeśli jesteś mądra, będziesz pracować na swoim laptopie i unikać tego miejsca.
- Mówiłeś, że Kuebitz ma plany wobec mnie i Sala?
- O, tak. Jako jedyna z nas pracowałaś zarówno dla Hinnom Computing, jak i dla Bluestara nad ich programami antymilenijnymi. Tak więc Kuebitz chce, żebyś przyjrzała się składanym przez nas fragmentom i porównała je z tym, co widziałaś w Stanach. To łatwa praca. Ciesz się nią, zanim postanowi, że już czas, byś zapracowała na swoją pensję.
- A Sal? — zapytała.
- Ta część jest szczególnie ciekawa — powiedział Motke. — Wszyscy członkowie mojego zespołu siedzą w okopach od lat. Jestem pewien, że ty też. Kuebitz uważa, że nasz zespół potrzebuje świeżej perspektywy, nieskażonego spojrzenia, okiem kogoś, kto nie miał wpajanego bajtowego skąpstwa, plików o nazwach osiem-krop-ka-trzy i całego tego szklarniowego *meszugaas*—to znaczy, wariactwa — które wpakowało nas w to bagno. Potrzebny nam jest *piszer*. I to, pani McGuire, jest pani syn, Sal.
- *Piszer?* — zapytała, zerkając na Dana w poszukiwaniu wyjaśnienia, lecz musiała się zadowolić jedynie jego mrugnięciem. — Myśliciela?
- Wystarczająco blisko — odparł Motke. — Może przyjdzie mu do głowy coś zaskakującego? Ale ani słowa więcej o pracy. Jesteśmy w Izraelu. Zjedzmy coś i spędźmy razem mile trochę czasu.

Teraz do akcji wkroczył Dan. Wyrzucając z siebie nieco kulawe-

go hebrajskiego, przetykanego urywkami w jidysz i długimi wtrętami po angielsku, błyskawicznie nawiązał porozumienie z Motkem. Rozmawiali bez końca, dzieląc się swymi nadziejami na pozornie nieosiągalny pokój na Bliskim Wschodzie, narzekając na wiszący na włosku prawicowy rząd, śmiejąc się z usług telefonicznych, których realizacja niegdyś trwała tak długo, że ojciec przekazywał je synowi w spadku, chichocząc z telefonów komórkowych, które teraz wisiły niemal u każdego paska od spodni, podziwiając technologiczne, polityczne i duchowe zmiany w społeczeństwie izraelskim, wyśmiewając izraelskich kierowców, wspominając wspaniałe arabskie restauracje, jakie zwykli byli odwiedzać we wschodniej Jerozolimie, i składając hołd izraelskiemu społeczeństwu, które nadal strzegło swej otwartości i wolności w centrum mentalności obłączonej twierdzy, która wywoływała nerwowe dreszcze na widok każdej porzuconej papierowej torby... bomba czy nie dojedzone drugie śniadanie?

Izraelczycy dzielili się na niezwykle nieuprzejmych i aroganckich oraz na sympatycznych i otwartych w tak naturalny sposób, że natychmiast nawiązywali kontakt z innymi ludźmi. Motke należał do tej drugiej grupy — po pierwszym spotkaniu odnosiło się wrażenie, że zna się go od zawsze.

Zachwycony znalezieniem w Danie bratniej duszy, Motke dbał o to, by Park nie czuła się odepchnięta na margines. Dan postępował podobnie i nieustannie wciągał ją do rozmowy.

- Pamiętam, jak jechałem kiedyś z Hebronu — wspominał Dan. — Ktoś rzucił granatem w mój samochód.
- Nu? — spytał od niechcenia Motke.
- Chybił — odparł Dan ze szczególną, opadającą intonacją, która zamieniła tę wypowiedź w żart.

Obaj się roześmieli.

Park nie widziała nic śmiesznego w historii o granacie, więc po prostu zachichotała dla towarzystwa.

Zaraz też przeszła przyspieszony kurs poświęcony takim zagadnieniom, jak izraelska mentalność, historia, podziały społeczne, walki religijne i system telefoniczny. Nic nie było takie, jak się spodziewała. Dla niej Izrael nie był krajem *kibbutzim* i komandosów,



lecz krajem Biblii. Wielbiła piach i pył, którego dotykały stopy Jezusa i Mojżesza. Dla niej dziećmi Izraela nie byli smarkacze w luźnych portkach na deskorolkach z przenośnymi odtwarzaczami CD w plecakach, lecz Naród Wybrany. Wszystko, co widziała i słyszała, potęgowało jej zdumienie i dezorientację. Park usiłowała zapomnieć o swym dziedzictwie rodem z południa Stanów, o stereotypowych ilustracjach z podręczników w szkółce niedzielnej, przedstawiających pasterzy i jagnięta. I o wizerunkach Chrystusa ze spływającymi na ramiona jasnymi włosami oprawionych w owalne ramy i zawieszonych nad kominkiem. Lecz mimo to wciąż była zdumiona i zdezorientowana.

W mniemaniu Park wszystko w Izraelu powinno tchnąć świętą misją. Rozejrzała się dookoła. Wszyscy świetnie się bawili. Ani w ząb nie rozumiała hebrajskiego, lecz myślała, że ten język zarezerwowany był dla tablic z dziesięcioma przykazaniami, starożytnych, ręcznie pisanych zwojów Tory i świętych wyrażeń liturgicznych zapisywanych w religijnych księgach. Lecz tutaj hebrajski był najzwyczajszym w świecie językiem. Guma do żucia z komiksami w opakowaniu, magazyny o modzie, puszki do kawy, nawet magazyny pornograficzne — wszystko po hebrajsku. Radia zachłystywały się hebrajskimi reklamami kiepskich filmów, Nescafc, lewisów i Burger Kinga. Przypominało jej to widywane w domu przekolorowane telewizyjne reklamy sprzedawców używanych samochodów.

Dan wyczuwał jakąś część targających ją uczuć.

— Hej, ja też zgłupiałem podczas mojej pierwszej wizyty w Izraelu — roześmiał się. — Jako dzieciak przez lata modliłem się w szkole hebrajskiej. Kto mógł wiedzieć, że w tym samym języku można opowiadać świńskie dowcipy!

Motke podsunął otwartą dłoń, Dan przybił od niechcienia.

— Hebrajski to język prawdy — oznajmił Motke z niezwykłą powagą na twarzy. — Chyba że używa go Netanyahu — wypalił.

Dan szturchnął palcem wskazującym podsuniętą dłoń Motkego, wykonując jednocyfrową wersję piątki.

Do stolika podeszła kelnerka bez stanika i zapytała, czy przynieść następną kolejkę napojów. Dan odpowiedział głębokim głosem:

„*Jxima lo*”. W Izraelu zawsze wołał odpowiadać *lama lo*, „czemu nie” po hebrajsku, zamiast „tak”. Uważał, że zwyczajne „tak” brzmi stanowczo zbyt sucho.

Tym razem była to kawa *turki im hel*, czyli słodka kawa po turecku przyprawiona świeżo zmielonym kardamonem.

Dan wypił niewielki łyk, zachwycając się jej egzotycznym aromatem. Zadrżał z rozkoszy, rozsiadł się w fotelu i westchnął głośno:

-Oj!

— *Oj*, co do tego *oj* to nie mam pewności — stwierdziła Park.  
— Nigdy nie wiem, co chcesz powiedzieć, kiedy mówisz *oj*. Czasami to coś dobrego, kiedy indziej coś złego. Więc co to w końcu znaczy?

— „*Oj*” to skumulowane wyrażenie — odparł tonem wyroczni Dan. — Każde wypowiedziane przez Żyda *oj* zawiera w sobie wszystkie *oj* wypowiedziane przez wszystkich Żydów od stworzenia świata. Zależnie od intonacji i kontekstu, siły, wieku i charakteru wypowiadającego, *oj* wyrażać może rozpacz, zdumienie, znużenie, lęk oraz kilkadziesiąt innych uczuć, jakich doznają bądź też doznawali Żydzi, przy założeniu, że każde *oj* językowo zakorzenione jest w przeszłych *oj* i z kolei wnosi swój wkład w znaczenie *oj* przyszłości.

— Oj! — powiedział Motke, by pokazać, jak wielkie wrażenie zrobiła na nim ta definicja. — Ty to się znasz na *oj*.

Dan wysunął otwartą dłoń, Motke przesunął po niej palcami.

— Mógłbyś to powtórzyć? — poprosiła Park.

— Nie — odparł Dan. — Była to natchniona, spontaniczna definicja *oj*, która może ulec zmianie wraz z pojawieniem się kolejnej generacji *oj*. Poddanie jej ohydzie powtórnego wypowiedzenia byłoby zdradą jej miejsca w kontinuum żydowskiej myśli. — Potem upił trochę *turki*.

— Jesteś w świetnej formie, co? — zauważyła Park.

— Owszem, jestem — potwierdził Dan. — Mamy 20 stopni, zerową wilgotność powietrza, a ja popijam sobie kawę w Jerozolimie.

— Zdumiewa mnie to — zauważyła — że wy dwaj dopiero co się poznaliście, a już zachowujecie się tak, jakbyście wychowywali się w tej samej piaskownicy.

- Ta sama mentalność — wyjaśnił Dan. — Zdarza się notorycznie. Dwóch Żydów, nigdy się nie znali, a tak zgrani/jakby wzrastali pod jednym dachem. To nasz wspólny ból.
- To bolesne — potwierdził Motke.
- Jesteśmy jak bracia krwi — zaczynając od obrzezania — wyjął Dan.

Wybuchnęli śmiechem i Park zaczynała się już czuć swojsko. Tłumy zaczynały nieco rzednąć, co oznaczało, że na ulicy pozostały jedynie grupy wesołych imprezowiczów, po części miejscowe, po części złożone z turystów. U szczytu Ben Yehuda Street widoczne teraz były zielone jeepy Mismar Hagvul z wiązkami długich anten przymocowanych do masek. Pośród beztroskiej zabawy żołnierze z oddziałów antyterrorystycznych o kamiennych twarzach, z bronią zawieszoną nisko na biodrze, stali na uboczu, czujnie przypatrując się wszystkiemu.

Pulchny mężczyzna w chasydzkim odzieniu, o twarzy ledwie widocznej spod kapelusza szedł powoli przed siebie, garbiąc się zauważalnie. Jego długa, siwa broda spadała mu na pierś splątanymi pasmami. Sprawiał wrażenie zagubionego. Najpierw skierował się do kafejki, potem w stronę sklepu z płytami, gdzie nastolatkowie odsłuchiwali najnowsze przeboje. Zbliżył się na parę cali do jakiejś dziewczyny, patrzył na nią przez chwilę, po czym przesunął się w stronę betonowego klombu. Krążąc wokół niego, wyglądał tak, jakby nie wiedział, gdzie postawi następny krok. W końcu wpadł na amerykańskiego turystę pchającego przed sobą niewielki, niebieski wózek z małą córeczką.

Pulchny chasyd wyglądał na oszołomionego. Tak więc większość osób w pasażu po prostu go ignorowała, podobnie jak wielu innych dziwaków snujących się nocą po *midrekhovie*. Po chwili jego wzrok przyciągnęło niemowlę. Na moment podniósł głowę i pod kapeluszem zamajaczyła młoda twarz o wysokich kościach policzkowych.

Dan szturchnął Motkego kolanem.

- Rzuć okiem na tego Żyda.
- Tego chasydzkiego typu? — zapytał Motke, prawie nie patrząc.

— Żaden z niego chasyd — odparł Dan śmiertelnie poważnym, monotonnym głosem.

Teraz pulchny mężczyzna ruszył w stronę ich stolika.

— Kochanie, zrób, co ci powiem — szepnął Dan do Park.  
— Wstań i wejdź do damskiej toalety w „Atarze”. — Ścisnął jej ramię. — Zrób to. Natychmiast. Natychmiast.

Motke wbił wzrok w dziwnego mężczyznę i przytaknął.

— *To nie Żyd.*

Dan przechwycił spojrzenie jednego z żołnierzy i ruchem oczu dał mu do zrozumienia, że otyły chasyd może być źródłem kłopotów. Park podniosła się i zgodnie z poleceniem odeszła od stolika. Żołnierz spojrział uważnie na podejrzanego i rzucił kilka słów do mikrofonu przy hełmie.

W następnej chwili kilkanaście głów — żołnierzy i cywilnych agentów izraelskich służb bezpieczeństwa — obróciło się w stronę podejrzanego osobnika. Początkowo Amerykanin przy wózku niczego nie zauważał, paplając przez telefon komórkowy. Lecz gdy chasyd zaczął powoli okrążyć wózek, musiał w końcu zwrócić na niego uwagę. Uśmiechnął się, lecz gdy jego spojrzenie spoczęło na korpulentnym chasydzie, jego uśmiech powoli zgasł. Park nie zdołała precyzyjnie się obok wózka z ciastami blokującego wejście do „Atary”. Dan spostrzegł, że utknęła w miejscu. Żołnierze i tajniacy zaczęli przesuwając się ku chasydowi ze wszystkich stron pasażu.

Otyły chasyd pokiwał palcem na niemowlaka i zaświergotał do niego z arabskim akcentem: „Dzecko, dzecko”. Polem zaczął się okropnie trząść.

Okropnie, dopóki nie zdarł sztucznej brody i kapelusza. Wtedy rozpiął gruby płaszcz, odsłaniając szczupłe ciało młodego Araba ubranego w białą kamizelkę z ponaszywanymi gęsto wąskimi, podłużnymi kieszeniami. W każdej z nich umieszczony był niewielki kawałek plastyku, wszystkie połączone przewodami.

— Aaaaalaaah Akbar! — wykrzyknął. — Śmierć świńskim i małpim synom!

Wyciągnął przed siebie prawą rękę, ukazując prymitywny detonator podłączony do kabla znikającego w rękawie i najwyraźniej prowadzącego do zawieszonych na brzuchu ładunków.

Jeden z żołnierzy zrobił krok w jego kierunku.

— Stać! — ryknął terrorysta, przesuwając palcem wskazującym zaledwie o cal ponad przyciskiem detonatora. Żołnierz znieruchomiał.

— Nie ruszać, nie iść — krzyknął. — Ja wysadzić.

Ludzie szukali schronienia na ziemi, kryli się za kruchymi stolikami kawiarni, w płytkich wnękach drzwiowych albo nigdzie. Wszędzie rozlegał się lament. Ci oddaleni od centrum zamieszania pospiesznie odsuwali się na bezpieczną odległość.

Drugą dłonią terrorysta sięgnął po telefon komórkowy, bardzo wolno i demonstracyjnie.

— Nie ruszać. Ja wysadzić — powtórzył.

Uniósł telefon wysoko ponad głowę, pokazując go wszystkim. Do niego przyczepiony był popisany kawałek kartonu. Terrorysta powoli przyłożył telefon do policzka, by pokazać, że zamierza gdzieś zadzwonić. Wduśił przycisk, wybierając numer Radia Izrael.

Amerikanin przy wózku odezwał się błagalnie:

— Proszę mi pozwolić wyprowadzić stąd córkę, tylko córkę.

— Dzecko — zgodził się zamachowiec. — Nie ty. Dzecko. — Skinął na nastoletnią dziewczynę. Ta, dygocząc, podniosła się z ziemi, złapała za wózek i odtoczyła go za róg, odprowadzana bezradnym spojrzeniem ojca.

Krzycząc do telefonu, zamachowiec zaczął odczytywać Radiu Izrael i wszystkim dookoła przygotowane uprzednio oświadczenie po angielsku, napisane na kartonie.

— Jestem komandos 12 z Grupy Pomszczenia Deir Yassin — obwieścił, nawiązując do masakry Arabów w Deir Yassin podczas wojny o niepodległość. — Nagracie tę wiadomość — polecił. — Nie możecie mnie powstrzymać. Wysadzę się w powietrze. Jutro przyjdą moi towarzysze z bombami, pojutrze, w następnym tygo dniu, w następnym roku. Wy zabijacie wiele arabskich dzieci. Nie tylko mojego brata. Wielu braci. Więc nie mogę spać. Teraz wysadzę

się w powietrze. Nie tylko ja, wielu moich towarzyszy. Żebyście nie mogli spad.

Dan wstał i odezwał się łagodnym głosem do oddalonego o parę kroków zamachowca:

— *Salam alejkum*, przyjacielu.

— Siadaj — krzyknął po angielsku jeden z żołnierzy.

— Wracaj, Dan — wyszeptał Motke.

Park skuliła się przy wózku z ciastami, dygocząc, ogarnięta przemożnym strachem.

— Nie — nie ustępował Dan — chcę, żeby ten człowiek wie dział, że jeśli się wysadzi, nie pójdzie do nieba, lecz do *Gehennem*.

Terrorysta był zbity z tropu, słysząc z ust amerykańskiego Żyda tradycyjne muzułmańskie pozdrowienie oraz arabską nazwę piekła, *Gehennem*.

— O tak, znam Koran, studiowałem Koran — powiedział Dan, wykorzystując to, że uwaga terrorysty była zwrócona na niego. — I wiem, że naopowiadano ci stek bzdur, że twoi kumple wmówili ci, że będziesz miał tysiąc dziewic w niebie i będziesz zasiadał po prawicy Allacha. Ale to kłamstwo. Pójdziesz prosto do *Gehennem* — dodał z jadowitym naciskiem na słowo *Gehennem*.

Stanowisko pierwsze, na dachu stojącego kilka jardów od nich jeepa, przekazało cicho przez radio do punktu dowodzenia: „Yosef, widzę dosyć plastyku, by zabić dwustu ludzi, razem z naszym oddziałem. Wszystkich. Obiekt pragnie wygłosić oświadczenie, w przeciwnym razie wszyscy bylibyśmy już martwi. Obiekt nie jest w pełni przekonany, może negocjować. Teraz rozmawia z szalonym Amerykaninem”. Terrorysta był doskonale widoczny w wizjerze lunety snajperskiej jego galila. „Oceniam, że wystarczy najdrobniejszy nacisk, by zdetonować ładunek. Nawet przy trafieniu w głowę obiekt zdąży zdetonować”.

— Ja wysadzić! — krzyknął młody terrorysta, miał pewnie nie więcej niż szesnaście lat. Ponownie przesunął palcem tuż ponad

detonatorem. — Strzał, ja wysadzić! — zawołał rozedrganym głosem, który zdradzał, że w rzeczywistości chciał żyć, że w głębi serca bał się czarnej chwili wybuchu.

— Zaslugujesz na coś lepszego — mówił Dan. — Znasz angielski... Twoja matka jest dobrą kobietą i powinieneś być przy niej. Masz siostrę i musisz się nią opiekować, chcesz ją jeszcze zobaczyć. Chcesz, by twoja matka znalazła się w niebie, gdzie jest jej miejsce

— a ty w piekle, *Gehennem*, dokąd pójdziesz, jeśli naciśniesz ten guzik? Nigdy więcej jej nie ujrzysz. Nie musisz naciskać tego guzika. Nie musisz.

Rozemocjonowany umysł Dana przypomniał sobie fragment publikacji z „Brain Monthly”. Wiedział, że nawet kula w głowę zatrzyma zapewne impulsu nerwowego, który przebiegnie włókna nerwowymi do czubków palców i zdetonuje bombę.

Młody terrorysta ponownie odczytał przez telefon swój komunikat.

— Radio Izra-hel. Słyszycie mnie? Jestem komandos 12 z Grupy Pomśczenia Deir Yassin. Nagracie tę wiadomość. — Zaczął toczyć głową na boki i trząść się cały, lecz czytał wściekłym głosem:

— Nie możecie mnie powstrzymać. Wysadzę się w powietrze.

Paru ludzi spróbowało wymknąć się niezauważenie.

— Nie ruszać! Nie iść! Nie iść! — krzyknął, wymachując ręką z detonatorem.

Mimo to grupa zakładników wciąż się zmniejszała, w miarę jak ci, na których akurat nie patrzył, umykali w bezpieczne miejsce.

Zamachowiec czytał dalej swe posłanie:

— Jutro przyjdą moi towarzysze z bombami, pojutrze, w następnym tygodniu, w następnym roku. Wy zabijacie wiele arabskich dzieci. Nie tylko mojego brata. Wielu braci. Więc nie mogę spać. Teraz wysadzę się w powietrze. Nie tylko ja, wielu moich towarzyszy. Żebyście nie mogli spać.

Stanowisko pierwsze do dowódcy: „Yosef, czysty strzał możliwy, ale ładunek zostanie odpalony. Powtarzam: detonacja prawdopodobna nawet po celnym strzale w głowę. Sugeruję wykonanie manewru Złodziej, jeżeli triangulacja jest gotowa”.

Stanowisko drugie do dowódcy: „Zgadzam się, ale nie jestem gotów”. Żołnierz wcisnął się w ścianę, biorąc terrorystę na celownik, i zameldował: „Gotów do wykonania Złodzieja”.

Stanowisko trzecie do dowódcy: „Nie jestem gotów”, odparł młody druzyjski żołnierz rozciągnięty na ziemi, opierając się łokciami o ziemię. Rozłożył nogi, by lepiej się podeprzeć, i strząsnął pot z czoła, by żadna kropla nie dostała się do oczu. Ale nie był gotów.

— *Gehennem* — powtórzył Dan.

Terrorysta spozjrzał Danowi prosto w oczy.

Ich spojrzenia zetknęły się.

Dalej mówił do telefonu i jednocześnie odpowiadał Danowi.

— Nie *Gehennem*. Allach. Allach.

— Mylisz się — krzyknął Dan. — Do *Gehennem*, wprost w ogień piekielne.

— Dobrze, *Gehennem* — ryknął terrorysta — ale ty też iść. — Potem odrzucił telefon, zamknął oczy i zaczął się modlić po arabsku.

Park wcisnęła się głębiej w nieustępliwy wózek z ciastem, modląc się bezgłośnie, jej wargi poruszały się pospiesznie i wyraźnie. Motke zacisnął zęby, utkwił spojrzenie w dłoń terrorysty i zaczął powtarzać w myślach Torę, a jego głowa poruszała się nieznacznie.

W dalekim Seattle komputer porównujący miliony fotografii z praw jazdy nagle zatrzymał się przy jednym z nazwisk. Nazwisko zamigotało dwukrotnie, a potem obwiodła je czerwona ramka. Lin-zer podszedł do ekranu i odczytał je na głos: „Park McGuire... Park McGuire?” Wdusił kilka klawiszy i na innym monitorze pojawiło się jej dossier z czasu jej pracy w Hinnom Computing. „Park McGuire”, pokiwał głową. Faszyci wybuchnęli śmiechem, a Chaim krzyknął głosem przesyconym cichym cierpieniem, gdy poczuł na skroni wylot lufy lugera. Chaim czekał na kulę i próbował znaleźć drogę do Boga. Dan zbiegł z zasypanego szczątkami nasypu, krzycząc: „Jenny! Simon!” Poczuł zapach spalonego ciała, odwrócił się i ujrzał Park szykującą się na śmierć przy wejściu. Jego ojciec powiedział:



„Wiesz. Po prostu jeszcze nie wiesz, że wiesz”. W „Dan Pearl” Sal gwałtownie poderwał głowę znad Windy’ego, jak gdyby ktoś poklepał go po plecach. Wystraszony wybiegł na balkon i spojrzał w dół. Modlitwa młodego terrorysty stawała się coraz głośniejsza. Sal wyteżył słuch, usiłując coś usłyszeć, choć sam nie wiedział co. Coraz głośniejsza. Modlitwa była coraz głośniejsza.

Yosef zapytał ponownie: „Stanowisko trzecie? Jesteś gotów?”

Stanowisko pierwsze do dowództwa: „Gotów do wykonania Złodzieja”.

Stanowisko drugie do dowództwa: „Gotów do wykonania Złodzieja”.

Znowu Yosef: „Pytam stanowisko trzecie”.

Stanowisko trzecie do dowództwa: „Jeszcze nie”. Żołnierz przesunął się ostatnie parę cali w lewo.

Znowu Yosef: „Stanowisko trzecie?”

Stanowisko trzecie do dowództwa: „Tak, gotów do wykonania Złodzieja”.

Terrorysta przerwał modlitwę, ściągnął twarz, otworzył oczy, skupił wzrok na przykrytym wskazującym palcem detonatorze, podniósł spojrzenie, ujrzał migoczące na niebie gwiazdy, ujrzał swą matkę ściskającą i całującą delikatnie jego zdjęcie, i przygotował się do zdetonowania plastyku.

Yosef do wszystkich stanowisk: „Ukarać Złodzieja”.

W jednej chwili, jak jeden mąż, żołnierze uruchomili laserowe celowniki na swoich karabinach galil kalibru .233, naprowadzili

przecięcie nitek celownika noktowizyjnego na terrorystę, a potem oświetlili jego nadgarstek czerwonymi światełkami lasera FA-4 o powierzchni nie większej niż 0,23 cala kwadratowego. Każdy pomyślał to samo, pociągając za spust: „Zakłóciłeś nasz spokój ducha”. Trzy striangulowane strzały brzmiące jak jeden huknęły jednocześnie w wąskiej Ben Yehuda Street, mknąc ku nadgarstkowi terrorysty. Wszystkie trzy trafiły celu. Dłoń została całkowicie oddzielona od zginaczy w przedramieniu. Jakikolwiek nacisk na detonator był niemożliwy. Kiedy dłoń upadła na ziemię, detonator zwisał nieszkodliwie z rękawa płaszcza. Terrorysta spojrział z przerażeniem na swą pozbawioną dłoni rękę. Rozległy się jeszcze dwa strzały, rozlewając się ogniem po jego lewym barku, a polem trzech agentów w cywilu zerwało się ze swych miejsc, by zabezpieczyć detonator i obezwładnić rannego.

— Uciekajcie! Uciekajcie! — krzyknął jeden z nich po hebrajsku i angielsku.

Tłum rozbiegł się na wszystkie strony.

Żołnierze zajęli kilka sklepów za rogiem, by zgromadzić tam uciekających ludzi i opatrzyć ewentualne rany. Jeden z agentów wyciągnął z tylnej kieszeni jedwabny worek i naciągnął go brutalnie na głowę terrorysty. Inny owinął obrus wokół tryskającego krwią nadgarstka rannego. Medyk nadzorowany przez policjantów podniósł przez chustkę odstrzeloną dłoń i wrzucił ją do plastikowego worka na dowody. Zamachowiec został przeprowadzony do stojącej nieopodal policyjnej furgonetki, podczas gdy sanitariusz opatrywał jego rany.

Motke, Park i Dan nie uciekli jak inni. Park wstała powoli, patrząc, jak terrorysta znika za zatrzaśniętymi drzwiami furgonetki, która zaraz rusza z piskiem opon, migając błękitnymi światłami. Pasaż wypełniła trzeszcząca kakofonia krótkofalówek i dzwoniących telefonów komórkowych. Telewizja izraelska, Magen David Adom — izraelski odpowiednik Czerwonego Krzyża — i kolejni policjanci zagłębili się w ten chaos. Saperzy przetrząsali kubły na śmieci w poszukiwaniu bomb. Jeden z funkcjonariuszy podszedł do Dana.

- Musimy z panem porozmawiać. Zna pan tego maniaka?
- *Itonayee* — mruknął w odpowiedzi bezbarwnym głosem Dan, pokazując legitymację korespondenta zagranicznego.
- W porządku, jest pan dziennikarzem — powiedział policjant.
- Ale i tak musimy z panem porozmawiać.

Park chwyciła go za ramię i, nadal roztrzęsiona, niemalże wybuchnęła płaczem. Lecz zamiast tego przygryzła tylko wargę i zapanowała nad sobą.

Do Dana podszedł dowódca jednostki Miszmar Hagvul.

- To ten szalony Amerykanin? — zapytał. Żołnierz ze stanowiska pierwszego podszedł do zwierzchnika i skinął głową.
- Jestem Yosef — powiedział dowódca. — A więc, został pan bohaterem. Rozmawiając z tym mordercą, zyskał pan dla nas czas, którego potrzebowaliśmy... — Twarz Dana była nieruchoma jak skała, kiedy dotarło do niego wszystko to, co się wydarzyło. Yosef uściśnął jego dłoń. — Nie wiem, co strzeliło panu do głowy. Dzisiaj jest pan bohaterem, ale proszę więcej tego nie robić. Bohaterstwo to nasze zadanie. Nie pańskie.

Dan pocałował Park. Motke ścisnął drugą dłoń Dana w serdecznym geście braterstwa.

- Będę o tym pamiętał — powiedział Dan.
- Dokładnie — odparł Yosef — proszę o tym pamiętać.

## DEREK

- Masz rację, niczego nie widzę — przyznała Park, stając wraz z Salem i Motkem przed ciągiem sklepów na Hillel Street.
- A jakże, jest niewidzialny — zachichotał Motke. Poczekał chwilę, napił się świeżego soku z marchwi, kupionego na *midrekho-vie*, i zapytał z zadowoloną miną: — Poddajecie się?

Park poddała się.

- Wprost przed tobą — powiedział Motke, wskazując na ciasny, brudny westybul, o ścianach zawieszonych staroświeckimi skrzynkami pocztowymi wypełnionymi ulotkami i gazetami. Westybul, tak mały, że dorosły człowiek z trudem mógł się w nim obrócić, prowadził do biegnącej w górę mrocznej klatki schodowej. Motke zapalił światła na korytarzu. Oświetlonych zostało kilka czarnych biurowych plakietek opisanych po hebrajsku i angielsku, należących do biura podróży, dwóch adwokatów i księgowego.
- Na górze? — zapytała Park.
- Nie — odparł, a potem dodał ze sztucznym zaskoczeniem: — Zaczekajcie. Co tu jest, tu za schodami?
- Park i Sal zajrzeli za klatkę schodową. Niewielki napis, „Parking D.I.L.”, wskazywał na jakieś drzwi. Park spojrzała z ukosa.
- Tędy?
- Bardzo dobrze — pochwalił Motke. — W takim razie chodźmy na dół. — We trójkę przeszli przez drzwi i weszli na hałaśliwe, metalowe schody przecinające trzy poziomy podziemnego parkingu. Motke sprowadził ich tylko jedno piętro w dół. — Dalej idzie się na parking — powiedział. — Personel wchodzi tędy. — Otworzył drzwi wiodące na równoległą klatkę schodową, wszedł dwa stopnie do góry, przez kolejne drzwi i przejściem biegnącym bezpośrednio ponad zaparkowanymi samochodami. Na jego końcu napotkali na ciężkie, stalowe drzwi zaopatrzone w głośnik i niewielką kamerę telewizyjną. Ukruszona czarna plakietka na drzwiach głosiła: „Derek Institute Ltd.”
- Sal pokazał pierwszy cień uśmiechu. Ten labirynt przypadł mu do gustu, więc ugryzł dodatkowy kęs batonu Elitę, którego przeżuwał od chwili wyjścia z hotelu.
- Ahaaaa — uśmiechnęła się Park. — To jakąś tajemnicą?
- Nic tak fascynującego — odparł Motke. — Po prostu stary budynek. Przed powstaniem państwa izraelskiego wznoszono wiele podobnych, o bardzo skomplikowanych wejściach i wyjściach. Jeśli zajrzelibyście do Agencji Żydowskiej, parę przecznic stąd, zobaczylibyście piękny biały budynek o eleganckim wejściu. Owszem. Lecz jeszcze parę lat temu posiadał oryginalną fasadę, zaprojektowaną

z zamiarem zmylenia Brytyjczyków. Urzędnicy mandatowi wchodzili przez główne wejście, obwieszane flagami i zaopatrzone w wielki napis „Agencja Żydowska”. Prowadziło ono jedynie do paru pozbawionych znaczenia biur. Prawdziwa droga do centrum Agencji Żydowskiej wiodła przez parking na tyłach budynku. Najpierw niewielkie, nie oznakowane drzwi, potem kilka stopni w górę, w dół, krętymi korytarzami. Żadnych tajnych przejść. Jedynie potwornie mylące, jeśli nie znało się drogi.

- Dlaczego? — zapytała Park, która niewiele wiedziała o historii Izraela.
- Ukrywali materiały dotyczące imigracji, uzbrojenia — materiały, o których Brytyjczycy nie powinni byli się dowiedzieć — wyjaśnił Motke. Zadzwonił do drzwi Instytutu, kamera ze słyszalnym szmerem zwróciła się w ich stronę, ucichła, po czym szcęknął otwierany zamek. Weszli do pozbawionej wszelkich mebli komnaty. Drzwi zamknęły się za nimi. Wtedy ze szcękaniem otworzyły się drugie drzwi, wpuszczając ich do pomieszczeń Dereka.
- Niezłe zabezpieczenia — skomentowała szeptem Park.
- Nic takiego, stara dwudrzwiowa śluza z dawnych czasów — powiedział lekceważącym tonem Motke. — Światowa Organizacja Syjonistyczna wykorzystuje identyczny system w swoim budynku na Park Avenue w Nowym Jorku. Podobnie wszystkie banki we Francji. Osobiście chciałbym zobaczyć tu trochę bajerów: skanery siatkówki, analizatory rysów twarzy i kształtu ciała, identyfikację termiczną i głosową.

Sal nadstawił uszu.

— Ale — zakończył Motke — skąd brać na to pieniądze i czas?

Kiedy wyłonili się z komory wejściowej, stanęli przed długim, rozpadającym się stołem, za którym siedział starzejący się weteran, który jako posiłkowy ochroniarz sprawdzał wchodzących, szukając bomb. Ludzie tacy jak on strzegli budynków, pasaży handlowych, kin i innych miejsc publicznych w całym Izraelu. Mężczyzna miał na sobie zwykle cywilne ubranie, na głowie czarny beret, a u boku sprawdzony czeski karabin z czasów drugiej wojny światowej, którego używał w 1948 roku. Na wytartej drewnianej kolbie wycięta

była prymitywna gwiazda Dawida oraz nazwa „Łódź”. Strażnik włożył palce do torby Motkego, potem zrobił to samo z torebką Park.

— *Szaalom* — powiedział Motke przyjacielskim tonem. Mężczyzna skwitował to lekkim skinieniem głowy.

— Znasz go od dawna? — zapytała Park.

— To jego pierwszy dzień — odparł Motke.

We trójkę przeszli długim korytarzem o wielu fornirowanych drzwiach, z których liczne pokryte były plamami złuszczen. Na końcu korytarza podwójne drzwi prowadziły do dużego pomieszczenia o wąskich oknach pod sufitem, przez które dostawało się światło dzienne. Jedną ze ścian zajmowała duża tablica. Kilkadziesiąt rozklekotanych drewnianych krzeseł, takich, jakie zwykle spotyka się w szkole podstawowej, zbyt małych dla większości dorosłych, rozstawiono wokół zbieraniny ogrodowych i karcianych stolików, tworzących jedną płaską powierzchnię. W kącie rozmawiało cicho paru programistów. Inni schodzili się z wolna, aż w pomieszczeniu zapanaował ścisk i zgiełk. Przeniesieni z przedstawicielstw Dereka na całym świecie, zaniepokojeni, pragnęli dowiedzieć się, jakie będą dalsze losy projektu Y2K. Motke został zasypany pytaniami w wielu językach, najczęściej po hebrajsku, czasami po francusku, od czasu do czasu po niemiecku. Na każde odpowiadał krótkim zdaniem po angielsku:

— Proszę zaczekać na zebranie. Wtedy na wszystko odpowie mi. — A potem przypominał: — I proszę mówić po angielsku.

Rozmowa zesłała na roztrząsanie tego, gdzie kto przebywał podczas wczorajszego incydentu z terrorystą, czy popijanie kawy na *midrekhovie* wciąż jeszcze jest bezpieczne oraz co zrobił, a czego nie zrobił szalony Amerykanin. Motke i Park przysłuchiwali się im w milczeniu, starając się unikać tego tematu.

W końcu sekretarka o imieniu Ronit dała sygnał Motkemu.

— W porządku, *hevre, szeket, bevakasha* — oznajmił Motke, dodając: — Proszę siadać, pora zaprowadzić trochę porządku. Na tej sali obowiązuje wyłącznie język angielski. Jest późno, prawie ósma — rzekł, przywołując ich do porządku.

Stara kobieta w bezkształtnej, wyblakłej, niebieskiej sukni i pan-

toflach wczłapała na salę, niosąc tacę zastawioną szklankami wrzątku, w którym zanurzone były torebki z herbatą Wissotzky. Motke podziękował jej z wdzięcznością, a ona metodycznie rozstawiła szklanki na stole. Kilku zabrakło, więc skinęła na małą wnuczkę, która posłusznie wniosła drugą tacę z kolejnymi szklankami.

— *Todah* — powiedział Motke, dziękując jej ostatni raz.

— Teraz możemy zacząć — oznajmił Motke. — Czy możesz poprosić doktora Kuebitza? — zwrócił się do Ronit.

Mówiąc po hebrajsku, Ronit zaskoczyła Motkego informacją, że Kuebitz wraz ze swymi współpracownikami z Grupy Nadzoru Projektowego utknął w Tel Awiwie, w Hakiryi, izraelskim Pentagonie. W spotkaniu weźmie udział za pośrednictwem telefonu z zestawem głośnikowym.

— Dobrze, czemu nie — powiedział Motke, spoglądając na zegarek, by się przekonać, że połączenie zostanie zrealizowane za parę sekund. Pospiesznie weszli we dwoje do biura Kuebitza i zaczęli spinać sześciostopowe segmenty kabla telefonicznego, tak by sięgnął do sali konferencyjnej. Nie wystarczyło im, by postawić telefon na stole, musieli więc zadowolić się krzesłem. Punktualnie kwadrans po ósmej Ronit zasygnalizowała, że Kuebitz jest na linii.

— Jest pan tam, doktorze Kuebitz? — zapytał Motke.

— Tak, kontynuujcie — odparł głos Kuebitza. — Bardzo przepraszam, nie ma mnie tam, lecz jestem tutaj. — To stwierdzenie przypadło Salowi do gustu i rozmyślał nad nim przez dobrą chwilę.

Motke rozpoczął spotkanie.

— Bluestar z całą pewnością nie zamierza sfinalizować Zooma. Po śmierci Hectora na atak serca, Bluestar się rozsypał, tak uważamy. Wygląda na to, że Hinnomowi może się teraz udać wciśnięcie cie światu Windgazera 99. Sądźmy, że to nic dobrego. Windgazer nigdy nie był stabilny, nawet jako Windgazer Prime. A jednak ta nowa wersja, Windgazer 99, wprowadzana jest z pośpiechem na rynek, ponownie kosztem stabilności. Nikt tego nie odkryje, dopóki nie będzie za późno, ponieważ Hinnom Computing jest mistrzem pięknego, choć fałszywego interfejsu użytkownika. Twój ekran

twierdzi, że system zakończył kopiowanie, lecz to nieprawda. Twój ekran twierdzi, że zakończył instalację, lecz to nieprawda. Twój ekran twierdzi, że zadanie zostało zrealizowane, lecz procesor dopiero zaczyna je opracowywać. Później zaczynają się komunikaty o błędach, zagubione dokumenty, uszkodzone pliki i niekompatybilne programy. Następnie pojawiają się kosztowne poprawki. Uaktualnienia. Po co sprzedawać program tylko raz, po jego ukończeniu — skoro można go sprzedawać po kawałku, raz za razem? Uważamy, że Zoom spełniłby swe zadanie — kontynuował Motke. — Dlaczego? Po pierwsze, ponieważ ja nad nim pracowałem. Grupa roześmiała się.

— Po drugie, nasz partner, Biuestar, był zdecydowany uwzględnić wszystkie systemy operacyjne, wszystkie programy, wszystkich użytkowników, włącznie z konkurencją. Hinnom pragnie odnieść sukces, lecz wyłącznie w obrębie systemów rodziny Windgazera. Powiada tak: „Możesz oddychać, lecz jedynie z mojej butli tlenowej”.

Motke dwoma palcami podniósł szklanę z wrzącą herbatą i serwetką przyklejoną do denka, siorbnął z niej i westchnął z rozkoszą. Potem odwrócił się do telefonu.

— Słyszysz nas pan wciąż?

— Proszę kontynuować — odparł głos Kuebitza.

— Zoom może być skończony z punktu widzenia Bluestara, lecz nie naszego — powiedział Motke. — Znaczna liczba kluczowych zadań była opracowywana przez Dereka. My jedynie udostępnialiśmy Bluestarowi na licencji naszą technologię. Drobne fragmenty zostały dostarczone przez niezależne firmy, lecz Derek zdołał je zakupić. Nasza umowa z Bluestarem zakładała zachowanie przez nas praw nie tylko do rdzenia programu, lecz i do wszelkich udoskonalień wprowadzonych podczas realizacji projektu Zoom, gdyby nie zostały wykorzystane. Tak więc chociaż Biuestar wypadł z gry, Derek jest w stanie dokończyć ten projekt. Niestety nie mamy prawa do samej nazwy „Zoom”, gdyż Biuestar zdążył ją zastrzec. Tak więc dzisiaj... — Motke obrócił się do telefonu, by uzyskać zezwolenie na ujawnienie planów. — Mogę kontynuować?



- Proszę kontynuować, już pora — odpowiedział głos Kuebitza.
- Więc dzisiaj — podjął Motke — ogłaszamy rozpoczęcie Operacji Ohr. *Ohr po* hebrajsku znaczy „światło”. Większość z was zna opowieść o święcie Chanuka, kiedy to Izraelici mieli zapas oliwy tylko na jedną noc. Błagali o cud i oliwy starczyło na osiem nocy. *Hevre*, czas świata szybko ucieka, oliwy wystarczy już tylko na jedną noc. Naszym zadaniem jest sprawienie, by lampy płonęły dalej. Potrzebny nam będzie cud. I tu zaczyna się wasze zadanie — wyjaśnił Motke. — Milenijna pluskwa to problem znacznie poważniejszy, niż się wydaje, choć wiemy o tym tylko my, grzebiący się w tym paranoicznym interesie. Niektórzy ludzie z branży wierzą, że szybsze postępy uzyskuje się dzięki globalizacji wysiłków. Teoretycznie projekt nigdy nie zasypia. Kiedy programiści w Cambridge, Massachusetts kończą pracę, pałeczkę przejmuje Seattle. Kiedy Se-attle kończy, do akcji wkracza Nowe Delhi i ciągnie do chwili, gdy wszystko wraca z powrotem do Cambridge. Owszem, wiele można osiągnąć w ten sposób, ale kiedy wszyscy ci ludzie mają czas na porównanie notatek i spojrzenie sobie prosto w oczy? Po drodze zagubiony został czynnik ludzki. My uważamy, że komputery i modemy wykorzystywane są w ten sposób nie po to, by połączyć wysiłki utalentowanych ludzi, lecz by ich rozdzielić. Derek preferuje odmienne podejście — mówił dalej Motke. — Zbieramy wszystkich w jednym miejscu — w tym budynku albo w waszych domach, oddalonych stąd o parę kroków, wraz z dostarczonymi przez nas laptopami. My dokończymy to zadanie. Rezultat końcowy oznaczać będzie mniej snu i więcej kodu dla wszystkich.

Zebrani roześmiali się.

- Lecz również jako rezultat końcowy — podkreślił Motke
- Derek stworzy prawdziwy, naprawdę funkcjonujący produkt. Nazwiemy go Ohr 2000 — milenijne światło dla wszystkich komputerów.

Izraelski programista zapytał:

- Dobrze rozumiem, że kontynuujemy program rozwojowy identyczny z Zoomem, tyle że pod egidą Dereka?

- Mniej więcej — odparł Motke, dodając: — Ale musicie być przygotowani na nieoczekiwane. Pamiętajcie, każdy członek naszej grupy jest niezastąpiony. Od każdego z was zależy nasze powodzenie lub klęska.
- Czy struktura zespołu pozostaje ta sama? — zapytał Nigeryczyk.
- Owszem — odparł pogodnie Motke — dopóki jej nie zmienimy.

Wskazał głową na Park i Sala.

— A teraz przedstawię wam dwóch kolejnych Amerykanów, którzy do nas dołączają. Najpierw Park McGuire, która pracowała nad oboma projektami: Zoomem u Bluestara oraz Windgazerem 99 dla Hinnom Computing. — Zebrani byli pod widocznym wrażliwym. — Ona i jej syn, Sal, ten młodzieniec zjadający batony — uśmiechy na sali — zostali dołączeni do Grupy Nadzoru. Będą pracować z zespołem doktora Kuebitza. Teraz powiedzą parę słów. Park, zechciej się przywitać.

Odsunęła krzesło, wstając, i odgarnęła blond włosy z oczu, wyraźnie zaskoczona. Nie przygotowana i niezdecydowana na objęcie roli przywódcy, zaczęła powoli:

— Nie bardzo wiem, co powiedzieć, bo nie byłam na to przygotowana. — Odchrząknęła. — A na domiar tego właśnie zaczynam odczuwać zmianę strefy czasowej. Ale postaram się jak najlepiej przedstawić moje zdanie. — Mówiąc, szybko się ożywiła. Bez trudu skupiła na sobie uwagę zebranych. — Zasadniczo, Hinnom i Bluestar hołduje zupełnie różnym metodom organizacji pracy — powiedziała. — Bluestar preferuje zróżnicowane personalnie zespoły, często wzajemnie się dublujące. Tam nikt się nie przejmuje paroma milio nami linii dodatkowych kodów. Hinnom, z drugiej strony, kładzie nacisk na indywidualną pomysłowość — ciągnęła dalej. — Jego firma bazuje na gwiazdorchach klawiatury, przewodzących — nie, tak naprawdę to dominujących nad swoimi zespołami. Tak więc jeden człowiek odpowiada za integrację, jeden za interfejs, jeden za niezawodność, jeden za przepustowość, a wszyscy pozostali służą kierownikowi danego zespołu, choć plan gry rodzi się na najwyższych

szczeblach hierarchii — w głowie samego Bena Hinnoma. Jego wola dotycząca każdego zagadnienia jest narzucona, a potem wprowadzana w życie przez jego najbliższych współpracowników, głównych programistów. U Hinnoma wyznaczony cel osiąga się w szybkim tempie. Rozdęte kody nie są tolerowane. Programiści są mieszeni z błotem za niepotrzebne linie. To brzmi wspaniale w uszach skąpego programisty, jaki tkwi w każdym z nas, lecz tak naprawdę u Hinnoma niezawodność zawsze ustępowała miejsca pośpiechowi, by podbić rynek przed konkurencją i dostarczyć głównemu programiście pretekstu dla pobrania sutej premii — bez względu na to, czy program jest gotów czy nie. Zwykliśmy żartować, że wszystkie błędy zostaną usunięte w wersji n plus jeden.

— N plus jeden to moja ulubiona wersja — roześmiał się Motke.

— Dla tych, którzy nie wiedzą, wyjaśniam, że n plus jeden oznacza „nigdy”.

— Dokładnie — uśmiechnęła się Park. — Moim zdaniem, Derek powinien zastosować to, co dobre, w obu podejściach, natomiast odrzucić całą resztę. Nie żałować kodu, by uczynić Ohra 2000 solidnym, godnym zaufania i skutecznym. Ale mniejsza o wygląd, atmosferę i podlizywanie się rynkowi. Mamy sytuację kryzysową. Otluszczonego kod także bywa źródłem niestabilności i pochłania zasoby systemu w takim tempie, że ostatecznie rozsypuje się pod własnym ciężarem.

— Jakież bardziej szczegółowe propozycje? — zapytał Motke.

— Zapewne dla was to nic nowego. Uważam, że powinniśmy skoncentrować się na trzech celach: modułowości, niezawodności i przepustowości — mniej więcej w takiej kolejności. Jak pewnie sami się spodziewacie, bezpieczeństwo systemu zostanie zapewnione dzięki procedurom o jednorzebiegowym szyfrowaniu zastosowanym przy każdym jego składniku. Jednostronne szyfrowanie umożliwi oczywiście rozkodowywanie przychodzących danych, by zweryfikować kompatybilność na poziomie systemu, lecz nie szyfrowanie danych wychodzących, co pozwoliłoby niemal każdemu na podrabianie sygnatur. Dzięki temu znacznie trudniej będzie się prześlizgnąć wirusom i niekompatybilnym danym.

Każdy ogólnodostępny interfejs — mówiła dalej — musi przejść rygorystyczny test wszystkich warunków granicznych oraz losowo wygenerowanych zbiorów danych. Testy, testy, testy — i jeszcze raz testy. Ponieważ mamy do czynienia z tak wieloma różnymi rodzajami oprogramowania, sprzętu, aplikacji, a nawet stref czasowych i języków w obrębie sieci międzynarodowej, każde rozwiązanie będzie musiało zostać wyliczone i przeliczone en razy, by wziąć pod uwagę wszelkie okoliczności. Najślabsze miejsce Zooma — przepraszam, Ohra 2000—będzie zapewne typowe dla oprogramowania. ogólnego przeznaczenia: wartości minimalne, maksymalne i stany wyjątkowe, takie jak przejścia z liczb ujemnych na dodatnie, sytuacje wyjątkowe. Sama ich identyfikacja będzie przebiegać inaczej dla każdego systemu. Mogą być jedno- lub dwubajtowe. Stare komputery, na przykład, wykorzystują sto dwadzieścia osiem możliwych liczb: od 0 do 127 — a dokładniej mówiąc, każdą kombinację 128 ujemnych i dodatnich liczb. Lecz w systemach jednobajtowych każda liczba kodowana jest w systemie szesnastkowym, więc będziemy mieli do czynienia z rozpiętością od zero-zero do dziewięć--dziewięć. Dlatego nasze zespoły muszą szukać ciągów dwubajto- wych, dziesiątek zapakowanych w pojedyncze bajty, typów znakowych, wszystkiego. Pewnie będziemy musieli odbablić wieżę Babel.

— Co takiego? — zapytał głos Kuebitza.

— Biblia, Księga Rodzaju 11,5 — wyjaśniła Park, spoglądając najpierw na telefon, potem na zebranych. — Niegdyś — opowiadała z niejaką nieśmiałością — cały świat mówił w jednym języku, lecz ludzie stali się arogancy i spróbowali wznieść wieżę, która miała rzucić wyzwanie niebiosom. Cytując za Biblią: „A Pan zstąpił z nieba, by zobaczyć to miasto i wieżę, które budowali ludzie, i rzekł: »Są oni jednym ludem i wszyscy mają jedną mowę, i oto jest przyczyną, że zaczęli budować. A zatem w przyszłości nic nie będzie dla nich niemożliwe, cokolwiek zamierzą uczynić«". Wtedy to Pan pomieszał im języki, sprawił, że odtąd mówili w wielu różnych językach. Tak więc gdy jeden budowniczy prosił o cegłę, jego sąsiad nie rozumiał go i podawał mu młot. Skończyło się to wielką bijatyką, po czym ludzie rozproszyli się po całej ziemi. Wieża nigdy nie została

ukończona. Bóg nazwał to miejsce „Babel”, bo właśnie tam pomieszkał języki świata. Myślę, że nadal mamy ten sam problem — uśmiechnęła się.

Lecz nikt nie odpowiedział jej uśmiechem, kiedy do słuchaczy dotarła trafność jej porównania.

— Dobrze pani zna tę opowieść — zauważył głos Kuebitza.

— Najzwyklejsza szkółka niedzielna — odparła Park, lekko wytracona z równowagi poważną reakcją na jej słowa.

— To dobre — Motke przerwał krótkie milczenie. — To dobre — skomentował, dodając: — Dla tych z was, którzy znają arabski, Babel znaczy „Brama do Boga”. Tak więc morał tej historii brzmi: sięgaj wysoko — lecz nie za wysoko, co?

Spojrzał na drugą stronę stołu, w kierunku Sala.

— Może teraz usłyszymy coś z ust młodego pokolenia? Sal, jeżeli skończyłeś już swoją czekoladkę...

Sal spojrzał w jego stronę, a szczupłe ciało owinął rękoma niczym peleryną. Przez dłuższą chwilę nic nie mówił.

Grupa czekała cierpliwie, a Motke pogodnie ponowił zaproszenie:

— Sal, po prostu się przedstaw.

Lecz Sal tylko usztywnił szczękę w przygotowaniu na ewentualne wyartykułowanie jakiegoś słowa. Park patrzyła na niego z dumą, nie naciskając, dobrze wiedząc, jakie myśli absorbują logiczny umysł jej syna.

— Sal, podnieś, proszę, słuchawkę — poprosił głos Kuebitza.

Motke podał Salowi telefon. Ten spojrzał na niego podejrzliwie i ściągnął usta. Głos Kuebitza przemówił do niego. W następnej chwili Sal, rozglądając się zwilgotniałymi i przeleknionymi oczami, zwrócił telefon. Motke z powrotem przełączył Kuebitza na głośniki. Sal przeszedł pod ścianę pomieszczenia. Tam dostrzegł leżący na podłodze wskaźnik. Podniósł go, ściskając go nerwowo. W drugą dłoń wziął kawałek białej kredy. Nadal milcząc, uniósł dłoń z kredą i narysował na tablicy dużą kropkę. Spoglądając to na telefon, to na zebranych, przytknął wskaźnik do kropki.

— Myślę, że rozwiązanie się pojawi — powiedział cicho Sal — lecz jeszcze go tu nie ma.

Pozostali pochylili się w jego kierunku, starając się coś zrozumieć.

— Jeszcze nie znamy odpowiedzi ani nawet nie wiemy, jaką postać przybierze. Tak, będziemy potrzebować cudu. Cud z definicji jest zjawiskiem, którego natury ludzie jeszcze nie rozumieją. Lot był cudem, dopóki nie zrozumieliśmy zasad siły nośnej i oporu. — Sal spojrział na Park, oczekując od niej pokierowania, a ona skinęła z aprobatą dłonią. — Deszcz był cudem, dopóki nie zrozumieliśmy wilgoci zawartej w chmurach i procesu kondensacji. Narodziny były cudem, dopóki nie zrozumieliśmy natury kontaktu spermy z jajeczkiem oraz ciąży. Potrzebny jest nam cud zrozumienia. Musimy być otwarci, by móc go otrzymać. Zamiarem Kopernika nie było odkrycie określonej liczby ciał niebieskich. Kopernik otworzył oczy i spojrział w niebo. Wtedy dokonał odkrycia. Nasz problem — ponownie wskazał na kropkę — może okazać się tak prosty jak ta kropka. Tak naprawdę nikt nie wie, co kryje się w tym punkcie czasoprzestrzeni. Nikogo to nie obchodzi, bo wydaje się to takie proste. Ale rozważcie wszystkie możliwości. Może odpowiedź jest równie prosta jak biała kropka. Musimy czekać, dopóki się nam nie objawi. — Wypowiadając te ostatnie słowa, zmrużył oczy i spojrział nerwowo na telefon.

— Sal, podnieś, proszę, słuchawkę — poprosił głos Kuebitza.

Motke raz jeszcze podał Salowi telefon. Ręka Sala drżała nerwowo, gdy ponownie przykładał słuchawkę do ucha. Słuchał przez chwilę, a potem zdobył się na słabe „Dziękuję”. Oddał telefon Motkemu, informując go:

— Doktor Kuebitz powiedział, że to było dobre spotkanie i musi już iść.

Motke odezwał się do słuchawki, próbując porozumieć się z Kuebitzem. Ale nic nie usłyszał, jedynie ciągły sygnał centrali.

— W porządku, zespół — powiedział Motke. — Dobre spotkanie. Ruszajmy do pracy. Sal i Park, Ronit pokaże wam wasze klitki.

I wszyscy słuchajcie — zażartował ze śmiechem — dawajcie szczególne baczenie na objawienia.

Motke oparł głowę na dłoni, na splecionych rękach. Zastanawiał się przez chwilę, podczas gdy ludzie wychodzili z pomieszczenia, a potem zawołał do Sala:

— Hej, daj mi znać, jeśli coś ci się objawi.

Sal nerwowo zmarszczył twarz i zgodził się skinięciem głowy.

Poranne słońce na Jerozolimą paliło już mocno, gdy Dan wyszedł przed „Dan Pearl”. Jak zwykle powietrze na drodze jafskiej stanowiło jedyną w swym rodzaju mieszankę rozgrzanego jerozolimskiego wapnia, dieslowskich spalin ciężkich wywrotek, benzynowych i gazowych spalin autobusów oraz bliskowschodnich przypraw i ludzkiego potu. Po wymieszaniu, wszystkie te składniki stawały się zapachem Jerozolimy.

Dan piął się stromą ulicą, omijając deski rusztowań i kałuże błota, dopóki nie udało mu się przejść pod mury Starego Miasta i w kierunku Bramy Jafskiej. Po drodze otoczyła go gromada arabskich handlarzy, proponując wycieczki z przewodnikiem, naszyjniki, dewocjonalia, pocztówki, słodycze i zimne napoje.

Jeden namolny handlarz werbujący chętnych na wycieczki po mieście nie zamierzał rezygnować:

— Dostaniesz dobra cena, pokażę wszystkie święte miejsce, żydoskie też, nie ma sprawy.

Właśnie wtedy obok nich zatrzymał się efektowny mercedes-taksówka. Wsiadł z niej nieco przysadzisty arabski dżentelmen, nieskazitelnie ubrany, trzymając pod pachą egzemplarze „Financial Timesa” i „Al Kuds”. Obaj natychmiast się rozpoznali.

— Abu Sayeed — powiedział uradowany Dan. — *Salam*.

Sayeed chwycił wyciągniętą dłoń Dana, pocałował go najpierw w lewy, potem w prawy policzek, w tradycyjnym arabskim powitaniu. Jednocześnie Sayeed spojrział handlarzowi prosto w oczy, a ten natychmiast oddalił się skulony.

— Wróciłeś, mój bracie — powiedział Sayeed, wymawiając wszystkie „r” w charakterystyczny, wibrujący sposób. — Dlaczego do mnie nie dzwoniłeś? Albo faksowałeś? Chodź do mój sklep. Wypijemy herbata.

Dan przeszedł wraz z nim obok grupy żołnierzy, którzy zwrócili na nich uwagę, jak zawsze gdy Żydzi i Arabowie zachowywali się wobec siebie przyjaźnie. Sayeed wraz z Danem maszerował wolno wąską David Street. Była to raczej procesja niż spacer. Kiedy mijali gęsty szereg arabskich sklepikarzy, natarczywie reklamujących swe towary wszystkim przechodniom, każdy z nich wycofywał się z pełnym szacunku *salam alejkum*. W obrębie ciasnej, pochłoniętej krzątanicą David Street, strefa szacunku roztaczana przez Sayeeda obejmowała i Dana, którego także wszyscy mijani ludzie pozdrawiali pełnymi respektu ukłonami. W pewnej chwili z góry ulicy nadbiegł arabski chłopiec ciągnący wózek z pieczywem, wrzeszcząc: „Halo! Halo!”, by wystraszeni turyści uskoczyli mu z drogi. Kiedy chłopiec skierował się wprost na Dana, dostrzegł Sayeeda, zahamował gwałtownie, ostrożnie wycofał wózek w stragan z szalami i przepuścił idących wolno mężczyzn.

W połowie długości stromego, kamiennego chodnika David Street, po prawej stronie, ledwie widoczny wśród porozwieszanych dywanów, stojaków z tanimi krucyfikami i gwiazdami Dawida, figurkami wielbłądów i podróbek antycznych przedmiotów, krył się niewielki sklepik z trudem mieszczący trzech ludzi. Sayeed z wyszukaną uprzejmością zaprosił Dana do środka.

Dan wielokrotnie już był w tym sklepie ze wschodnią biżuterią. Poznał Sayeeda w połowie lat siedemdziesiątych, po wojnie Jom Kippur, kiedy Dan przebywał w Izraelu na placówce, poszukując umiarkowanych opinii arabskiej społeczności. Sayeed był eks-ministrem w jordańskim rządzie, lojalnym wobec króla Husseina, i podporą arabskiej społeczności w Jerozolimie. Troskliwy ojciec rodziny i właściciel dobrze prosperującego sklepu, najpierw poczuł na karku but izraelskiej okupacji, przetrwał, lecz potem musiał/nosić pogardę palestyńskich bojowników, którzy potępiali jego umiarkowanie. Podczas każdego pobytu w Jerozolimie Dan odwiedzał Sayeeda.



Jak zawsze Dan wylewnie podziwiał liczne półki z rzymskimi szklanymi wisiorami, srebrnymi i perłowymi koleczkami, delikatnymi, haftowanymi na beduińską modłę kamizelami i ozdobnymi bransoletami z kutego brązu. Sayeed rozkwitał w ciepłe tych komplementów. Stojący za ladą Arab ze zdumieniem przyglądał się braterskiemu traktowaniu Dana przez Sayeeda, lecz zachowywał pełne szacunku milczenie.

— Napijesz się herbata z *naanal* — zaproponował Sayeed, kiedy usiedli na niewielkich stołkach.

Odmowa poczęstunku uważana była za nieuprzejmość, lecz Dan uznał, że tym razem poprosi o coś innego.

— Mógłbym dostać gorącego *zachleb*!

*Zachleb* był rozgrzewającym napojem z koziego mleka i mleczka kokosowego, spożywanym w chłodne zimowe poranki.

— Och, teraz jest zbyt ciepło — odparł Sayeed. — Nikt już to nie robi. Ale dobrze. Napijemy się to. — Szepnął do sprzedawcy, który posłusznie wyciągnął telefon komórkowy, obdzwaniając całą kasbę w poszukiwaniu kogoś, kto mógłby szybko ugotować trochę *zachleb*. Sayeed wskazał na dwa stare, tarczowe telefony zawieszony na ścianie. — Te dwa nie działają — powiedział. — A komórka tak. Mam własną — powiedział, kładąc swój telefon na ladzie. Telefony Arabowie ze Starego Miasta mogli pokazywać z dumą. Były równie nowoczesne, jak te noszone przez Izraelczyków. Osiągnięcie równoprawnienia nawet w dziedzinie telefonii komórkowej stanowiło akt nieposłuszeństwa i dumy. Zadzwoił telefon sprzedawcy, ten mruknął parę słów, a Sayeed zapewnił Dana: — *Zachleb* będzie tu, tak. Zaraz.

Wkrótce byli już pochłonięci rozmową o polityce. Obaj czuli dumę z tego, że potrafili przekroczyć dzielącą ich przepaść i rozmawiać ze sobą otwarcie.

Dan jak zawsze starał się wysondować polityczne ciągoty społeczności arabskiej.

— Wszystko jest teraz bardzo złe — mówił Sayeed. — Nie ma pieniędzy dla sklepy. Dla nikt. Nakładają wiele żydowski podatek, więc my zamykamy sklepy. Teraz mamy niewiele — przyznał

Sayeed. — Poddalem się. Przetrywamy. To tyle. Będziemy trwać. Jest beznadziejnie. Wczoraj wieczór był kolejny incydent *namidrekhov*. Podobno bomba.

— Byłem tam — odparł Dan. — To ja rozmawiałem z tym facetem.

Sayeed wyglądał na zdumionego.

— Ty! Ty byłeś ten szalony Amerykanin, o którym słyszałem.

Dan potwierdził, po czym rozmowa potoczyła się dalej, najpierw o wieczornym incydencie, potem o stanie negocjacji pokojowych z Palestyńczykami. Zgodzili się, że perspektywy nie wyglądały zachęcająco.

— Zbyt wielu ludzi zahipnotyzowanych jest przeszłością — powiedział Dan.

— Teraz przeszłość to wszystko, co możemy się spodziewać jutro — zgodził się ze smutkiem Sayeed.

Były wszakże i dobre nowiny. Trzej synowie Sayeeda, którzy wyletowali do Dearborn w stanie Michigan, gdzie założyli kilka prosperujących sklepów spożywczych, powrócili do domu, by pomóc rodzinie w przetrwaniu najnowszego kryzysu ekonomicznego. Sayeed podszedł do wystawy, przejrzał większość wiszących tam przedmiotów i wybrał przepiękny kawałek zielonego, matowanego rzymskiego szkła oprawiony w kute srebro.

— Ten jest autentyczny — powiedział Sayeed. — Dla Jenny. — Wziął do ręki drewniany rzeźbiony dreidel. — A dla twojego chłopca mam to.

Dan zadrżał i odwrócił wzrok. Sayeed dostrzegł to i wyciągnął do niego rękę.

— Mój bracie, co się stało?

— Jenny i Simon nie żyją — powiedział Dan z kamienną twarzą. Podzielił się z Sayeedem paroma szczegółami. Ten ścisnął współczująco ramię Dana.

— Są teraz u Bóg — rzekł, wskazując dłonią do góry.

Powiedział półgłosem parę słów po arabsku do sprzedawcy. Obaj zmówili cichą modlitwę.

— Przyjdź do mój dom na obiad. — Dan wyjaśnił, że jest z nim

przyjaciółka i jej syn. — Są mile widziani — powiedział, akcentując energicznie ostatnie słowo tak, jak robią to tylko jerozolimscy Arabowie. Danowi powilgotniały oczy.

Mały chłopiec w podartym ubraniu i plastikowych sandałach wpadł do pomieszczenia z napojem *zachleb* balansującym na brązowej tacy. Przez parę następnych chwil panowało niezręczne milczenie, podczas gdy Dan popijał gorący napój.

— Idę teraz pod Kotel — powiedział Dan, opróżniwszy kubek, i dorzucił tradycyjne arabskie błogosławieństwo: — *Ma 'a salaamah*.

— Dan, chcesz to rzymskie szkielko dla twoja przyjaciółka? — zaproponował Sayeed.

— Nie — odparł, potrząsając dłonią Sayeeda. Wziął od niego nową wizytówkę z numerem telefonu komórkowego. — *Ma 'a salaamah*.

Dan opuścił sklep i poszedł ciasnymi bocznymi uliczkami Starego Miasta w kierunku Kotelu, Ściany Płaczu. Z rozmysłem poszedł na skróty, przez alejki i zakątki, gdzie w ostatnich tygodniach zaszytletowano paru Żydów. Ludzie zawsze rozmawiali o najnowszych atakach. Teraz Żydzi prawie wcale tędy nie chodzili. Na wypadek gdyby jakiś Arab pomyślał, że ma przed sobą chrześcijańskiego pielgrzyma, Dan wyciągnął z kieszeni jarmułkę. Teraz gdy u jego boku zabrakło Sayeeda, rzucał się w oczy. Czuł tłumioną pogardę bijącą od Arabów, kiedy mijali ich sklepy zapchane po sufit garnkami, patelniami, zegarami, koszami i obdartymi ze skóry kozami, ociekającymi krwią na hakach.

W przeciwieństwie do wielu Żydów, którzy usiłovali unikać wrogich spojrzeń, Dan patrzył każdemu Arabowi prosto w oczy. Bez lęku, bez złości, po prostu szukał kontaktu. Wiedząc, że łatwo może stać się ofiarą, ukradkiem przyglądał się też ich dłoniom, wypatrując nagłych ruchów. Od czasu do czasu zatrzymywał się, by obejrzeć jakiś szal czy dywan. W rzeczywistości zaś sprawdzał przestrzeń za swymi plecami. Dan czuł, że chodzenie z podniesionym czołem po Starym Mieście, patrzenie Arabom prosto w oczy, traktowanie ich jak ludzi było obowiązkiem Żydów.

W punkcie kontrolnym górującym nad placem Ściany Zachód-

niej izraelski żołnierz przyjrzał mu się szybko, a potem pozwolił przejść dalej.

Zszedł po schodach i nagle przed jego wzrokiem pojawiła się wspaniała, biała budowla: HaKotel. Ruszył w jego stronę i im bardziej się zbliżał, tym bardziej przytłaczała go jego wzbudzająca nieokreśloną groźą obecność. Błyszczące kamienie Drugiej Świątyni wznosiły się niebotycznie nad jego głową, nie tylko w sensie fizycznym, lecz i duchowym. Czuł się mały. Cudowne szpary i szczeliny, włókna nerwowe biegnące wprost do Wszechmogącego, jak zawsze pozapychane były maleńkimi, ręcznie napisanymi notatkami, osobistymi modlitwami przeznaczonymi bezpośrednio dla oczu Boga, jedna wciśnięta na drugiej, niczym masa ludzi napierających na stalowe drzwi, próbujących się wydostać w oparach opadającego gazu. Każdy Żyd mógł tutaj zajrzeć w swoją duszę, gdyż zgromadzone tu były wszystkie żydowskie dusze. W głębi tych masywnych kamiennych bloków drzemie cała żydowska historia.

Dan rozejrzał się na boki. Chasydzy Żydzi oddaleni o cal od Ściany Płaczu modlili się w ekstatycznym rytmie, kołysząc się i zginając. Żołnierze na przepustce, w wełnianych jarmułkach na głowach, z galilami i uzi przewieszonymi przez plecy, pochyleni nad niewielkimi modlitewnikami, stali tak jak wojownicy przed wiekami, modląc się o siłę i wybaczenie. Niepozorny staruszek podszedł prosto do Ściany Płaczu, z bojażnią przyłożył do niej dłoń, wyszeptał krótką modlitwę i odszedł zadowolony. Grupki żydowskich turystów z Bostonu, Nowego Jorku i Cleveland zakładały kartonowe jarmułki rozdawane przy wejściu; rozglądając się i próbując objąć to swym umysłem, niejednokrotnie poważnieli, zmagając się z ogromem niepojętego. Z tego miejsca Żydzi zostali wygnani, a potem zdieściątkowani. Żydzi musieli walczyć, kroczyć szaleńczo przez kałuże własnej krwi i zniszczenie tylko po to, by raz jeszcze stanąć pokornie w cieniu Ściany Płaczu, wprost pod czujnym wzrokiem Pana.

Żydowskie kontinuum nie jest linearne. Jego krąg zaczyna się i zamyka w tym miejscu. Żaden Żyd nie może iść do przodu, nie powróciwszy najpierw do punktu wyjścia.

Młody chasyd o smagłej skórze zbliżył się do Dana.

— Chcesz, żebym się za ciebie pomodlił?

— Pieniądze? — zapytał Dan.

— Niewiele, dwadzieścia szekli — odparł chasyd.

— Odejdź ode mnie — warknął z odrazą Dan.

Chasyd odciął się pobłaźliwie:

— Teraz i tak będę się za ciebie modlił... za darmo.

— Znajdź sobie pracę — wybuchnął Dan. Potem rzucił za odchodzącym chasydem: — Albo jeszcze lepiej, zaciągnij się do armii.

Zaraz pożałował swojego wybuchu. Sięgnął do kieszeni po monety, gotów go przeprosić. Lecz chasyd zniknął już w tłumie. Teraz pozostał sam ze swymi wyrzutami sumienia, mając nadzieję, że podejdzie do niego inny pobożny mąż. Żaden tego nie uczynił.

Dan zbliżył się do Ściany Płaczu. Odczuwał jej magnetyzm. Kiedy dzieliło go od niej zaledwie kilka kroków, poczuł, że jego pierś nieubłaganie ciąży do przodu. Powieki miał jak z ołowiu. Powoli jego ciało dotknęło kamieni, najpierw korpus, potem rozpostarte ramiona, otwarte dłonie, wreszcie czoło. Jak gdyby stapiając się z jej mocą, delikatnie potarł czołem w prawo po kamiennej powierzchni, dopóki starożytna skała nie znalazła się bezpośrednio pod jego policzkiem. Wtedy zadał to samo pytanie, to jedno pytanie, które zadawał przez całe życie, za każdym razem, gdy przychodził pod HaKotel.

— Dlaczego?

Dan wsłuchał się w swe wnętrze.

Dźwięk poruszającego się tłoku. Koła pociągu. Słuchał dalej. Mocniej przycisnął głowę do kamienia. Jedna z rozplaszczonych dłoni zwarła się w pięść. Uderzył w drewnianą ścianę wagonu i mocno zacisnął powieki.

*Dookoła panowała ciemność, księżycową noc rozjaśniały jedynie zrozpaczone oczy i zastygłe twarze dziesiątek skamieniałych Żydów, których załadowano do tego wagonu. Większość z nich stała, ci, którzy mogli, kucali. Paru musiało położyć się na podłodze, nierzadko we własnych odchodach.*

*Odgłos pociągu przypominał poruszający się tłok. Wagon kołysał się rytmicznie, pędząc w stronę Treblinki.*

*„Przepraszam”, powiedział stary polski Żyd, który jako kolejna osoba w wagonie nie zdołał zapanować nad swoimi jelitami. Powstrzymywał się przez trzy godziny. Spotęgowany zaduch sprawił, że kolejna kobieta zwymiotowała, a dźwięki jej zboliałych stęknąć przeniknęły nawet najbardziej zobojętniałe dusze.*

*Chuda dwunastoletnia dziewczynka siedziała cicho na podłodze, przysłuchując się stukotowi kół pociągu, starając się zrozumieć ciąg przerażających wydarzeń, jakie przytrafiły się jej rodzinie. Najpierw stracili swój dom w Białymstoku. To był ładny dom, z małym ogródkiem otoczonym plotem. Nic wielkiego, ale dla niej i jej braci był w sam raz. Taki ładny, biały, drewniany plot, obsadzony kwiatami. Wtedy zjawili się Niemcy, wymachując jakimiś papierami i przewieźli ich do getta, do mieszkania, które musieli dzielić z sześcioma innymi rodzinami. Wszyscy byli zdezorientowani. Tyle przerażających plotek. Potem, parę dni temu, ojca zabrano w środku nocy. Nikt nie wiedział dokąd. Ona i jej matki nie dały rady umknąć przed wywózką tego popołudnia. Wszyscy na jej ulicy, sąsiedniej i następnej, oraz wielu ludzi z innych części getta, zostali zagnani do ciężarówek i przewiezieni na dworzec. Nikt niczego im nie wyjaśnił. Może teraz uda się jej zasnąć i uciec od tego koszmaru. Chciała, żeby już się skończył.*

*Matka szturchnęła ją i szepnęła:*

- Nie śpij, Rivke. Wiemy, dokąd jedzie ten pociąg. Polaczki nam pokazały. — Przesunęła palcem po gardle, naśladując polskich chłopów i dzieci, wykonujących ten gest podczas załadunku Żydów do wagonów. Rivke nie rozumiała jej.*
- Jesteś chudziutka, zawsze byłaś taka — powiedziała matka, gładząc ją po włosach i zerkając z niepokojem na niewielki wywietrznik w suficie wagonu. — Szybko, włącz tam — powiedziała nagle. — Rivke, przeciśnij się. — Rivke spojrzała na ciemną plamę wywietrznika obrysowaną blaskiem księżyca. Matka powtórzyła z naciskiem: — Szybko, powiedziałam.*

*Dwóch sąsiadów pomogło im. Szarpali z uporem, aż wreszcie*

drewniane deski zaczęły się łamać. Odlamywali je kawałek po kawałku i w końcu cała siatka wypadła, otwierając drogę ucieczki.

— Nie przecisnę się przez ten otwór — powiedziała Rivke błagalnym głosem.

— Przeciśniesz się — odparł jeden z mężczyzn. — Popchniemy cię.

— Weź mój ręcznik — dodała matka.

— Teraz do góry. Do góry! — powiedzieli, unosząc Rivke na ramionach. — Jeden z nas się stąd wydostanie. Niech to będziesz ty.

Pociąg kołysał się, a mężczyźni najpierw przelożyli na zewnątrz jej nogi, potem przecisnęli wystające biodra i popchnęli mocniej, tak że po chwili leżała już na brzuchu na dachu, na wół poza rozpędzonym wagonem. Wierzgając nogami w powietrzu, spojrzała w dół, na świętą w wyrazie determinacji twarz matki.

— Opuścimy cię powoli. Trzymaj się ręcznika — powiedziała matka.

— Nie mogę tego zrobić. Nie mogę cię zostawić — błagała Rivke.

— Kiedy znów się ujrzymy, faszyści nie będą mogli nas skrzywdzić — odparła dzielnie jej matka.

Rivke wypetrzała z otworu po poziomych drewnianych deskach obudowy wagonu, uwalniając najpierw łokcie, potem nadgarstki. Teraz jedną stopę oparła na zewnętrznej zasuwie, trzymając się ręcznika i kołysząc na wietrze.

— Wciągnijcie mnie z powrotem — zawołała przerażona Rivke.

— Nie dam rady.

Mężczyźni skinęli głową na matkę dziewczynki.

— Przygotuj się — poleciała jej matka. — Kiedy spadniesz na ziemię, uciekaj, Rivke, uciekaj ile sił. I opowiedz o tym komuś. Opowiedz komuś o tym, co tu się dzieje.

— Nie mogę! Podciągnijcie mnie! — wrzasnęła Rivke.

— Teraz albo nigdy — krzyknęli mężczyźni na jej matkę. — A gdyby cię pytali, nie pomogliśmy ci. — Kobieta zwołała uchwyt na ręczniku.

Rivke odpadła od rozpędzonego pociągu. Zdarła sobie skórę na kolanach, gdy uderzyła o żwir przykrywający podkłady, i przetoczyła

się parę metrów. Oszolomiona, podniosła się, świadoma krwi spływającej jej po skroni, lecz nie czuła niczego.

Uskoczyła w bok, ścigana świstem pocisków, a potem pobiegła przez pole w nieznaną kryjącą się w mrokach sierpniowej nocy. Obejrzała się za siebie tylko raz i ujrzała oświetlony blaskiem księżycy pociąg znikający w oddali. Wytężyła wzrok, by dostrzec wagon matki. Pustka.

Wszystko, co zostawiała za sobą, zniknęło. Wszystko, co kryło się przed nią, dopiero miało się wydarzyć.

Tą przyszłością była też szopa na polu. Na wiele miesięcy stała się światem Rivke. Za dnia chowała się wśród beł siana i starała się nie poruszać, kiedy do szopy wchodził rolnik. Nocą zbierała wszystko, co nadawało się do jedzenia, czasami śmieci wyrzucone za domem, do którego udawało się jej podkraść, lecz znacznie częściej trawę. Spijała od krów to, co się dało. Czasami mleko, czasami moc. Kiedy nadeszła zima, piła śnieg. Tak było znacznie lepiej. Ale musiała uważać na swoje ślady, kiedy wychodziła na zewnątrz, by zakopać odpadki. Opowiadała sobie na głos różne historie, początkowo po to, by zasnąć, później, by nie zapomnieć, że jest człowiekiem.

Któregoś dnia do szopy podeszła grupa ludzi-

— Hej, Żydzi, wyjdźcie!

Leżała nieruchomo, obawiając się nawet oddychać.

— Wiemy, że tam jesteście — wołali z zewnątrz. — Jesteśmy Żydami wracającymi do getta, do innych.

Getto. Inni. Och, tak, może jej ojciec, matka, któryś z braci, może ktoś tam będzie. Lękliwie wypelzła ze swej kryjówki w kącie szopy, skąd mogła wyglądać przez okno. Czterej uzbrojeni partyzanci A rmii Krajowej prowadzący grupę nie byli Żydami, lecz przywitani ją serdecznie. Z boku stało ponad dwudziestu zebranych po drodze polskich Żydów.

Kiedy do nich dołączyła, jedna z kobiet dała jej skórę od chleba.

— To dla ciebie — warknęła. — Ale po powrocie do getta będziesz musiała mi zapłacić. To ode mnie, pamiętaj.

Rivke zgodziła się ze strachem, oderwała i spróbowała kawalek, a potem polknęła go w całości. Za picie wystarczyła jej garść śniegu.



*Kiedy szli zaśnieżonym polem obok gospodarstwa, Rivke dostrzegła skrytą w domu rodzinę. Kobieta podeszła do okna i spoglądała na nich ze złością, dopóki mąż jej nie odciągnął. Rivke starała się nie patrzeć w ich stronę.*

*Maszerowali tak przez godzinę, najpierw drogą, potem szlakiem skrytym w głębi lasu.*

*— Musimy być ostrożni — uspokoił ich jeden z partyzantów.*

*— Zaczekajcie tutaj, a my sprawdzimy teren. Usiądźcie tutaj, kręgiem.*

*Żydzi skulili się na ziemi, przyciskając się do siebie w poszukiwaniu ciepła, i szepotali między sobą.*

*— Jaki to odłam AK? — zapytał jakiś mężczyzna. — Ten, który nienawidzi Niemców, czy ten, który nienawidzi Rosjan?*

*— Ten, który nienawidzi Żydów — odparł inny.*

*— Dzięki Bogu, że po nas przyszli — powiedział ktoś, ujmując się za partyzantami. — Długo bym już nie pociągnął. Kogo to obchodzi, kogo nienawidzą?*

*— Wciąż wyznaczona jest cena za nasze głowy — ktoś dodał. — Dwadzieścia pięć kilo cukru za martwego Żyda? Tak ludzie mówili. Dwa razy więcej niż przed trzema miesiącami.*

*Nagle dookoła rozległ się szcęk karabinowych zamków. Partyzanci wrócili, kierując swą broń na siedzących.*

*— Polska dla Polaków/ — mruknął jeden z akowców, po czym splunął w ich stronę.*

*Bez słów partyzanci otworzyli ogień z trzech stron. Raz za razem. Najpierw zginęli siedzący na zewnątrz, potem ci w środku. Paru próbowało odpętnąć w bok. Lecz gdy przebrzmiała ostatnia salwa, jeden z partyzantów rzucił między nich niemiecki granat przeciwpiechotny. Jego odłamki poszarpały skrwawione ciała tych, którzy jeszcze żyli, wieńcząc dzieło. Krew zbryzgała zmarznięty grunt we wszystkich kierunkach.*

*Tej nocy ponownie spadł śnieg.*

*Następnego dnia rano dwaj nastoletni żydowscy partyzanci, Moj-sze i Joszke, szli przez las z bronią za pasem, niosąc na plecach przewiązane sznurkiem worki. Natknęli się na zabitych Żydów. Przez*

*chwile przyglądali się kończynom pomordowanych wystającym spod śniegu.*

— *Głupcy — powiedział Mojsze.*

— *Akowcy? — zapytał Joszke.*

— *Nie — odparł Mojsze, wyciągając na wierzch kawałki ciała, by oszacować liczbę zabitych. — Zaczekaj, może jednak. Ach, spójrz, użyli granatu — powiedział, wskazując na odłamek tkwiący w czaszce jednej z ofiar. — Jak w zeszłym tygodniu po drugiej stronie wioski. Tak, to ci sami. Podobno akowcy.*

— *A kto to jeszcze wie, akowcy czy nie? — odparł Joszke. — To martwi Żydzi-*

— *Nie zabrali ciała, by odebrać nagrodę, więc może to jednak akowcy — odpowiedział Mojsze. — Kto ich pochowa, ty czyja?*

— *Ty — powiedział Joszke. — Ja będę pilnował.*

*Mojsze zgarnął rękoma śnieg, przykrywając ludzkie szczątki, najlepiej jak potrafił.*

— *To może mi się przydać — powiedział, zdejmując z jednego z trupów kapelusz i wciskając go pod płaszcz. Uklepał śnieg w paru miejscach, tworząc kurhan.*

— *Ja jeszcze żyję.*

*Mojsze wyciągnął pistolet i znieruchomiał.*

— *Nie grzebcie mnie. Ja jeszcze żyję.*

*Przeszukał ciała i w końcu ujrzał w śniegu szczupłe, nieruchome udo, rozdarte aż do poślądka odłamkiem granatu niczym pazurem jakiegoś potwora. Nieopodal wśród ciał poruszył się palec. Mojsze pospiesznie odgarnął śnieg, odciągnął na bok martwego mężczyznę i ujrzał jej mrugające powieki.*

— *Mówiliście w jidysz—jęknęła bezradnie.*

— *Tak, tak. Jestem Mojsze. — powiedział, odciągając ją od śmierci.*

— *Jestem skostniała. Nic nie czuję.*

— *Dobrze, dobrze. Nic nie mów. Teraz ja się tobą zaopiekuję.*

*Gangrena zaatakowała już jej udo.*

— *Nie mamy czasu. Jak masz na imię? — zapytał, by odwrócić jej uwagę, wyciągając z torby butelkę wódki i prostą brzytwę, a po-*

tern ściągnął pas. Odpowiedziała mu, Rivke. — Napij się tego — polecił jej. — A teraz zagryź zęby na pasie.

Oblał ranę wódką, zdmuchnął zanieczyszczenia, część zdrapał palcem, a potem wprawnie wyciął martwiczą tkankę i odrzucił ją z obrzydzeniem na bok. Rivke pojękiwała cicho z bólu i ścisnęła go za ramię, ale przez cały czas leżała nieruchomo. Potem Mojsze ostrożnie obłożył otwartą ranę świńskim smalcem wyciągniętym z torby, a na zakończenie lodem, dopóki krwawienie nie ustało.

— Rivke, od tej chwili jesteś ze mną — zapewnił ją Mojsze, głaszcząc jej długie, brązowe włosy. — Zaopiekuję się tobą. Faszyci, Polaczki, akowcy — zostaw ich mnie.

Wciąż drżąc z zimna, pokiwała głową, zastanawiając się, co się dzieje.

— Musisz komuś zaufać—mówił dalej, pomagając jej przybrać wygodniejszą pozycję. — Czyli mnie. Nikomu innemu. Nawet nie Joszkowi, temu tam. On zaraz tu wróci. Jeśli faszyci go złapią i wezmą na tortury, to gwarantuję ci, że zaprowadzi ich prosto do nas. Rozumiesz?

Przytaknęła.

Wtedy pedantycznie opisał jej sposoby przetrwania w lesie.

— Po pierwsze, żadnego chodzenia w czasie pełni. To samobójstwo. Widziałem już, jak ludzie ginęli w ten sposób. Jeśli już chodzisz, stawiaj nogi na drzewach, korzeniach, kamieniach. Zacieraj za sobą ślady. Po drugie, nie śpimy dłużej niż trzy noce w jednym miejscu, ciągle przenosimy się gdzie indziej. Po trzecie, żadnych grup. Widzisz — wskazał na trupy — to jest grupa. Wszyscy nie żyją. Więcej niż czterech ludzi to grupa. Następnie, kiedy idziesz za potrzebą, idź daleko, zygakiem, i przysyp ślady. Nigdy nie rób tego w pobliżu miejsca, w którym śpisz. Ja mogę iść i trzy kilometry, żeby się odlać. Żaden problem.

Przytaknęła.

Metodycznie schował brzytwę i wódkę, pociągnąwszy sobie szybko z butelki.

— Nie jedz wszystkiego, kiedy znajdziesz coś do jedzenia. Nie tak szybko. Jutro też jest dzień. Nie ufaj chłopom. Będą chcieli się z tobą

*umówić: możesz sprzątać w zamian za jedzenie. Pewnie, do chwili gdy przyjdzie im chrapka na nagrodę — to oznacza kulę w łeb. Jasne?*

*Przataknęła.*

*W oddali widać już było powracającego Joszkego.*

*— Za chwilę Joszke powie nam, że droga jest czysta — ciągnął dalej Mojsze. — Z boską pomocą. Będzie zdenerwowany, kiedy cię zobaczy. Nic nie mów. Ani słowa. Ja będę rozmawiał. Jasne?*

*Rivke przytuliła się do niego.*

*— Ani słowa — szepnęła, dodając: — Uratowałeś mnie. Nigdy cię nie zostawię.*

*— To dobrze — odparł uśmiechnięty Mojsze. — Ja ciebie też nie zostawię. Jakies pytania?*

*— Możesz mi powiedzieć dlaczego? — zapytała, kręcąc głową.*

*— Dlaczego co? — spytał Mojsze. — Dlaczego znalazłem cię w grobie? Dlaczego ja przeżyłem, by ciebie znaleźć? Dlaczego Polaczki i faszyci usiłują nas zabić? Dlaczego co?*

*Rivke nie umiała na to odpowiedzieć.*

*— Może wiemy — powiedział Mojsze — tylko po prostu nie wiemy, że wiemy.*

Pięść Dana zniknęła, palce rozprostowały się, a on odsunął się od Ściany Płaczu. Mimo palącego słońca nad Jerozolimą, głowę Dana przenikał lodowaty chłód. W pobliżu unosił się słaby zapaszek alkoholu, choć nie potrafił określić skąd. Sięgnął do kieszeni spodni i wyciągnął z niej wizytówkę Levincomu. Oderwał górę, dół i boki wizytówki, zostawiając jedynie maleńki fragment zadrukowany jego nazwiskiem: DAN LEVIN. Odwrócił go, otworzył pióro i napisał jedno słowo. Potem zwinął papierek w kulkę, pocałował i wcisnął w szczelinę.

## GLOBALNA INSTALACJA

— Mamy szansę na sukces — przyznał Motke, gdy kelnerka „Atary” przyniosła *cafe hafuch*. — Wszyscy myśleli, że do Rosz Haszana będzie po nas. Na przykład ja.

Park wsypała trochę cukru do herbaty i przytaknęła skinięciem głowy. Metodycznie nadzorowała postępy w pracach nad Ohrem 2000. Antidotum na milenijną pluskwę było już kompatybilne ze wszystkimi istniejącymi platformami. Lecz za każdym razem, gdy Derek był bliski osiągnięcia kompatybilności z samym Windgazerem, Hinnom wprowadzał na rynek nowszą wersję z nieco odmiennymi wywołaniami API, w większości nie udokumentowanymi, co sprawiało, że Ohr 2000 zawieszał się. Skoro tylko Ohr 2000 został zmodyfikowany, by pasować do najnowszej wersji Windgazera, Windgazer ponownie się zmieniał.

— Wczoraj usłyszałam, że jeśli nie uda nam się uniezależnić Ohra od tych zmian — powiedziała Park — Derek może rozwiązać zespół. Nie wiem, czy to tylko plotka. Ale to nie wina zespołu. To robota Hinnom Computing. Nic nowego. Wywołania API ustawicznie się zmieniają. Przypomina to przebudowę sieci drogowej po wydrukowaniu mapy. Musimy trzymać się ciągle o jeden krok przed Benem Bandziorem.

— Jestem zmęczony — ziewnął Motke. — Mało ostatnio spałem. Wolę już żyć pod bezlitosnym paluchem Bena Hinnoma, niż stracić jeszcze więcej snu.

Na *midrekhovie* pojawił się Dan, niosąc kanapkę z falafelem i taką ilością dodatków, jakiej nie pamiętali najstarsi mieszkańcy Jerozolimy: kawałki pomidora i ogórka, sałata, plasterki pikli, odrobina zaprawionej sumakiem cebuli, słone papryczki, dwa gatunki sałatki z oberżyny, a wszystko polane strugami ostrego, czerwonego *hariffu*, zielonego *szkugu* o charakterystycznym smaku, gruboziarnistego beżowego *hummusu* i jedwabistej białej *tahiny*. Dołączył do

grupki w „Atarze”, poszturchując stół przy siadaniu i rozlewając kawę i herbatę.

- Czy ta kanapka nie jest aby za mała? — zaniepokoiła się Park. Motke spojrział na niego z podziwem.
- Ufam człowiekowi, który umie dobrze zjeść.
- Odkładałem to od miesięcy — odparł Dan. — Obżeram się.

Zasłużyłem na to.

Z powodzeniem rozciągnął szczęki, wpychając sobie w usta kopiącą załadowaną pite, podczas gdy Park i Motke zakryli twarze, oczekując strumieni bryzgającego na boki sosu i dodatków. Z zamkniętymi oczami Dan gryzł zawzięcie, zatapiając zęby w każdym możliwym wariacie smakowym kryjącym się w kanapce. Przypatrywali się z podziwem, jak nieregularny, kolisty kawałek oddzielony został od wyjściowej całości. Pożuł przez chwilę, przełknął z głośnym sapnięciem, a potem zamasyście splukał kęs resztkami jej herbaty, herbaty, którą Park tak pilnie starała się przyprawić dwoma rodzajami mięty i precyzyjnie odpowiednią ilością cukru, którą to umiejętność dopracowała do perfekcji po trzech miesiącach pobytu w Izraelu i która znalazła swe idealne urzeczywistnienie w stojącej przed nią filizance. Nie tak ludzie dzielili się jedzeniem w Kansas.

- Dobra robota — pogratulował Motke.
- To nie wizja Boga dzieli chrześcijan i żydów — wypaliła Park. — Tylko wizja jedzenia. — Ani Motke, ani Dan jej nie zrozumieli. Park zamówiła kolejną herbatę, by zacząć od początku.
- Mam do tego prawo — oznajmił Dan. — Podczas gdy wy zajmowaliście się zbawianiem świata, ja robiłem znaczące postępy nad książką o Benie. Przeszukiwanie sieci, które odpaliłem w Chicago, okazało się prawdziwą perełką. Kiedy przyjrzałam się uważniej, zaczęło się robić ślisko. Ale mam już cały szkielet książki i mogę zaczynać pisanie rozdziałów. W sumie znalazłem dziewiętnaście potencjalnych przypadków prawdziwie poważnego naruszenia prawa, układających się w wyraźny wzór. Dziewiętnaście.
- Mówiłeś mi, że szesnaście — przerwała mu Park.
- Miałem szesnaście, ale pod koniec wypłynęły jeszcze trzy z Azji.

— To ta tajemnicza książka, o której nie chcecie opowiadać?

— zapytał Motke.

— To żaden sekret, po prostu projekt, nad którym pracuję. Więc to nie może wydostać się poza *midrekhov*.

Motke spojrział na przelewające się tłumy.

— Te kilka tysięcy ludzi co do jednego niniejszym zaprzy sięgają milczeniem.

— Jasne — ciągnął dalej Dan, paląc się, by streścić swe postępy.

— A więc mam te dziewiętnaście opowieści z dreszczykiem składające się na nieprzerwane pasmo kryminalnej działalności Bena Hinnoma w trakcie gromadzenia fortuny i budowania swego imperium. Nie mówię tu o wymuszonych fuzjach, kradzieży oprogramowania, kontraktach zawieranych na granicy prawa — to można złożyć na karb nie znającej litości branży. Mam na myśli prawdziwe okropieństwa, takie jak śmierć Rosie czy śmierć Hectora.

— Johna Hectora? — Motke podniósł głowę. — Słucham, słucham.

— Słuchasz i nie powtarzasz, jasne? — podkreślił Dan.

— Tak, tak. Zamieniam się w słuch i odgryzam sobie język — upewnił go Motke.

Park pochyliła się, by także usłyszeć obiecane szczegóły.

— Ciągle natrafiałem na strony internetowe, gdzie jakaś rozwścieczona albo zastraszona ofiara, czasami ktoś z jej rodziny, umieszczała niewiarygodne zarzuty wymierzone przeciw Hinnomowi. Dziesięć lat temu takie sprawy znikająby na zawsze w szufladzie biurka. Teraz Internet w dziesięć minut zamienia osobistą urazę w wiadomość z pierwszych stron gazet. Znalazłem setki anty-Hinnomowskich stron, lecz te dziewiętnaście spraw wydało mi się najbardziej obiecujące. Posłuchajcie tego — powiedział Dan, pochylając się w ich stronę. — Kilka razy znalazłem dobry materiał na Hinnoma na jakiejś stronie internetowej. Parę dni później zaglądam tam znowu, by sprawdzić, czy nie mają czegoś nowego — strona jest pusta, zamknięta, przeniesiona. Miałem taki przypadek w Japonii, jakąś organizację nazywającą się Pacyficzną Grupą Praw Człowieka. Jeden z ich aktywistów badał sprawę wyspy, którą Hinnom kupił

wraz z dobrodziejstwem inwentarza na Pacyfiku. Zgromadził tam dzieci — a raczej skupił — z Tajlandii, Afryki, Indonezji. Teraz hoduje z nich jakąś rasę niewolników czy też społeczność ludzkich królików laboratoryjnych. Jedna z pielęgniarek pracujących przy tym projekcie postradała zmysły. Podczas wyprawy do Tokio po zapasy uciekła i skontaktowała się z tą Grupą Pacyficzną. Jednego dnia jej historia pojawia się na sieci, długa opowieść ujawniająca najdrobniejsze szczegóły. Parę dni później informacja w Internecie oznajmia, że Grupa Pacyficzna połączyła się z Mikronezyjskim Sojuszem na rzecz Publicznej Służby Zdrowia i ich strona jest w rekonstrukcji. Nie znalazłem niczego o tym Mikronezyjskim Sojuszu, licho wie, co to za jedni. Na szczęście ściągnąłem sobie opowieść tej pielęgniarki, skoro tylko ją znalazłem. Ale Grupa Pacyficzna zniknęła. Nie został po niej najmniejszy ślad.

— To jedna z tych azjatyckich spraw? — zapytała Park.

— Azja to tylko początek. Lista jest długa i odrażająca — odparł Dan. Licząc na palcach każde kolejne przestępstwo, zaczął od razu od dwóch. — Zacznijmy od śmierci Rosie i dodajmy do tego śmierć Hectora. — Wyprostował trzeci palec. — Następny jest inspektor budowlany, który zatrzymał prace przy budowie domu Bena, ponieważ skończył się termin ważności zezwolenia. Facet stracił wzrok podczas wybuchu monitora jego własnego komputera. Zniknęła cała dokumentacja jego biura i oryginały wszystkich zezwoleń. Wtedy nieoczekiwanie zostało wydane poprawione zezwolenie. Budowa rusza z miejsca. Wiem, że monitory wybuchają, a ludzie tracą wzrok, ale jeśli jest się wrogiem Hinnoma, prawdopodobieństwo wypadku znacznie rośnie. To nie wszystko. Dwóch prawników pozwało Hinnoma w odrębnych, lecz podobnych sprawach o naruszenie prawa. Było to na początku lat dziewięćdziesiątych. Kluczowe pozwy. W grę wchodziły megamilionowe odszkodowania. Pewnego dnia bostoński adwokat odkrywa, że trzy miliony dolarów, należące do klienta i przeznaczone do wypłaty w ramach ugody w innej sprawie, zostały przelane na tajemnicze konto bankowe w Lichtensteinie, a stamtąd w szesciocyfrowych ratach trafiają na konto osobiste tego prawnika. Sprawa wychodzi na jaw. Jak? Podczas nieoczekiwanej



kontroli Urzędu Skarbowego. Prawnik zaklina się, że nic nie wie o tych pieniądzach, że ktoś go wrabia, udziela wywiadów „Boston Globe”, wszystko nagłaśnia. Ale zostaje powszechnie uznany za wariata. Kancelarię szlag trafia, adwokat jest teraz lokatorem federalnego więzienia w Allentown, skazany za malwersacje, pranie brudnych pieniędzy i uchylanie się od płacenia podatków. A teraz niespodzianka — dodał Dan złowieszczym tonem. — Bardzo podobna wpadka przytrafiła się temu drugiemu adwokatowi w Austin, w Teksasie. On także defrauduje pieniądze — tym razem fundusze własnej firmy. I także się tego wypiera. I także żyje teraz na koszt podatników. Obie sprawy upadły, gdyż prawnicy Hinnoma nie omieszkali złożyć wniosków o ich odrzucenie podczas tego zamieszania. Ci faceci nigdy nie skojarzyli swoich nieszczęść z Hinnomem. W przeciwieństwie do mnie.

Dan uniósł dwa kolejne palce, po czym wyprostował już wszystkie pięć.

— Nie będę teraz wszystkiego wyliczał — mówił dalej — bo to będzie w książce. Ale czy to nie jest zdumiewające, że wrogowie tego człowieka — prawdziwi oraz wydumani — kończą na ulicy, w więzieniu albo na cmentarzu? I owszem, jest więcej trupów. Nie tylko Rosie i Hector. Zwróćcie uwagę na zbieżność w czasie: wieloletni księgowy Hinnoma zgadza się na Nvspółpracę ze skarbowką; umiera na zatrucie zepsutym hamburgerem na trzy dni przed przybyciem inspektorów. Pomarszczony stary piernik zarzeka się, że póki żyje, nie sprzeda ziemi, na której stoi teraz budynek szósty. Żaden problem. Załatwia go krótkie spięcie podczas próby naprawy telewizora. Witamy w budynku szóstym.

— W takim razie kto go powstrzyma? — zapytała Park, kręcąc z niesmakiem głową.

— Nie Kongres — odparł Dan. — Wszyscy siedzą? Senator Eltz...

— Kim jest senator Eltz? — zapytał cicho Motke.

— Senator Eltz — wyjaśnił Dan, wyrzucając swą okazałą, na wpół zjedzoną kanapkę z falafelem do najbliższego kosza — jest jedynym członkiem Komisji Sądowniczej, który postawił się Beno-

wi Hinnomowi. Był ostatnią szansą Ameryki na powstrzymanie monopolu Hinnoma przez zmuszenie go do usunięcia internetowej hegemonii Webgazera z Windgazera 99.

— No więc? — zapytała Park.

Dan wytarł dłonie serwetką i z tylnej kieszeni wyciągnął złożoną stronę porannego wydania „Jerusalem Post”. Wskazując na krótką depeszę u dołu strony, Dan streścił ją:

— Wczoraj wieczorem Eltz popełnił samobójstwo w domu swej młodości w Karolinie Północnej. Powiesił się w stodole. Piszą tu: „Chaotyczny list pożegnalny wspominał o nękających go wspomnieniach z dzieciństwa”. Zauważcie, że według gazety list pożegnalny nie był napisany ręcznie, lecz na komputerze, i oczywiście bez podpisu. Samobójcy zawsze się podpisują. Ja sam o mały włos nie podpisałem czegoś takiego. Zaufajcie mi, po śmierci Eltza Komisja Sądownicza pograży się w chaosie i zawiesi obrady aż do listopadowych wyborów. Oto nadchodzi Windgazer 99.

— Nie wierzę własnym uszom — powiedział Motke.

— Skopię mu tyłek! — warknął Dan, uderzając pięścią w stół. Ludzie zaczęli oglądać się w jego stronę. Dan uspokoił się.

— Myślicie, że boję się tej gąbczastej pluskwy z morderczymi zapędami? Jeszcze się przewróci. Dowody są skąpe, przynaję. I nie mam dosyć czasu, by zbadać wszystkie sprawy, rozgryźć je, a jednocześnie zdążyć z książką. W przeciwnym razie dałbym sobie radę. Bez trudu. Owszem, zajęłoby mi to rok. Ale nie mam roku, więc muszę zadowolić się tym, co jest wykonalne. Książka ma teraz tytuł *Kłątwa Hinnoma: Zabójcze szczęście czy mordercze postętki*. Jej celem jest poruszenie wszystkich tych kwestii, przedstawienie ich światu w zwartym szeregu — ten ciąg ohydnych zbiegów okoliczności — i pozwolić czytelnikom na wyrobienie własnego zdania. Już wysłałem faks do mojego wydawcy, Steeple'a.

— Nie wierzę w to — upierał się Motke, lecz, uprzedzając Dana, szybko zapewnił: — i oczywiście nie będę powtarzał tego, w co nie wierzę. — Zamyślił się na chwilę. — W sumie czemu nie? Może i wierzę.

— Hej, to będzie świetna książka — powiedziała ostrożnie Park,

a na jej twarzy zagościł lęk. — Ale czy zastanawiałeś się, czy ten Hinnom, którego odkryłeś, pozwoli, by uszło ci to na sucho? Może zwrócić się przeciw tobie, Dan.

— Myślisz, że sobie z nim nie poradzę? — sprzeciwił się Dan.  
— Straszli mi nie zawodowcy: CIA, mafia, jedni i drudzy razem wzięci, wpływowi senatorzy, gangi taksówkarskie, Ku-Klux-Klan. Martw się o Hinnoma, nie o mnie. Wy od Dereka możecie dłużyć sobie do woli przy Ohrze iks i Ohrze igrek. Windgazer 99 i tak najprawdopodobniej trafi do sprzedaży. Pobił was na głowę. Ale powiadam wam jedno, kiedy to się stanie, świat wpadnie w łapy Hinnoma. Wszyscy będziemy podłączeni do respiratora, a Hinnom będzie trzymał rękę na wyłączniku. Taka będzie jego potęga. Już wiemy, że w jego mniemaniu Windgazer wyrasta ponad rządy, języki, granice, sam sobie stanowi prawo i władzę. Ben wcale się z tym nie kryje. No, wiecie, „Oprogramowanie wyrównuje szanse”. Lecz wiedźcie jedno, kiedy urzeczywistnią się jego zamiary, będzie mógł niszczyć całe społeczeństwa. Motke, spójrz na swoją koszulę. Czas naprawdę ucieka.

Dana piekły oczy, jak gdyby biegł przez pole ognia i dymu.

— Odebrano" mi wszystko — rozżalił się. — Moją żonę — lak bardzo ją kochałem. Jestem bez niej pusty. Mojego wspaniałego syna — niech Bóg błogosławi jego niewinne serce — teraz czeka, żebym odkrył powód mego istnienia, bym mógł trafić tam, gdzie on już jest. Moją fortunę, moje czasopisma, moją karierę. Wszystko roztrzaska ne na kawałki i obrócone w popiół. Więc co mi zostało? Nic... nic oprócz pieniędzy, których nie potrzebuję, oraz szansy, której nie zamierzam przepuścić. Może natknąłem się właśnie na szansę, jaka nie była jeszcze dana nikomu. Uganiałem się już za szwarccharakterami i draniami, ale żaden z nich nie był pokroju Hinnoma. Szczerze ufam, że mam szansę uchronić świat przed tym potworem.

Park próbowała go uspokoić.

— Nie chciałam przez to powiedzieć, że brakuje ci...

Dan dalej wrzał.

— Myślisz, że Bóg pozwolił mojej matce uciec z wagonu jadą cego do Treblinki, a mojemu ojcu wyciągnąć jej zmarznięte ciało...

- Uspokój się... — szepnęła Park, rozglądając się dookoła i widząc zwrócone w ich stronę głowy.
- ... wyciągnął ją spod śniegu, martwą — ale ona żyła. Myślisz, że to wszystko wydarzyło się bez powodu?
- Podeszła do nich cokolwiek zaniepokojona kelnerka.
- Coś się stało? Podać państwu coś?
- Nic, wszystko jest w porządku — warknął Dan i odwrócił się z powrotem do Motkego i Park. — Nie przetrwali kaźni, pociągu, lasu, polskiej partyzantki i Hitlera tylko po to, by wychować syna, któremu zabraknie odwagi, by stawić czoło maniakowi, który za pomocą danych i cyfr zamierza dokonać tego, co nie powiodło się przed nim setce dyktatorów dysponujących kulami i bombami.
- Proszę pana — powiedział zdenerwowany właściciel „Atary”. — Jeśli już państwo skończyliście, proszę zapłacić rachunek i zwolnić stolik dla następnych klientów.
- Zabierz pan swoje paluchy z mojego ramienia — warknął Dan. Odwrócił się z powrotem do Motkego i Park. — To dlatego oni przeżyli, żeby mi zabrakło odwagi w chwili, kiedy świat balansuje nad krawędzią? Dlatego? — Zmrużył oczy, ujrzał przed sobą Kotel i zacisnął dłoń w pięść.

*Mojsze wyłonił się z krzaków nieopodal ziemianki, w której się kryli. Na barkach niósł piętnastokilogramowego prosiaka.*

- Rivkele, ten maluch wystarczy nam na tydzień, jeśli będziemy go trzymać w chłodzie.
- Znowu prosiak — stwierdziła Rivke, kiwając z żalem głową.  
— Musimy prosić o wybaczenie. Mój ojciec mówił nam...
- Poprosisz o wybaczenie, jak zjemy — uciął Mojsze. — Tylko to udało mi się znaleźć. A więc owszem, znowu prosiak. Dopiero trzeci raz.

*Mojsze i Rivke ukrywali się w wielu miejscach w ciągu minionych dwóch lat. Tajania była ich domem już prawie od tygodnia, dłużej niż Mojsze uważał za bezpieczne. Lecz oboje byli już straszliwie*

zmęczeni ciągłą wędrówką. Mojsze rozejrzył się w poszukiwaniu płaskiego kawałka terenu z dala od ich kryjówek, by przygotować ucztę.

— Tędy — wskazał ręką. — Tam, nad strumieniem. Widzisz ?

Z powrotem zarzucił sobie prosiaka na plecy i krętym szlakiem podreptał w stronę wybranego miejsca. Rivke podążyła za nim, niosąc miskę, łyżkę, widelec i dwie szmaty, które stanowiły całość ich małżeńskiego mienia.

Nad strumieniem Mojsze zaczął sprawiać truchło. Rivke skrzywiła się, widząc, jak beznamiętnie zdziera ze zwierzęcia skórę, a potem odkrawa płyty różowego mięsa, by zaraz rozwiesić je na najbliższych gałęziach. Jednocześnie wyjaśniał jej, jak gdyby odczuwał potrzebę wy tłumaczenia się:

— Nie mogę prosić o kury, kiedy oferują mi prosiaka. Domyśla się, że jestem Żydem. Mam jasne włosy, więc mogę przychodzić do chłopów jak każdy akowiec. Polaczki. Co oni wiedzą? Tenżydozercza myśli, że zgubiłem się, uciekając przed Rosjanami. Trzy dni praco wałem, napełniając jego worki. Dał mi chorego prosiaka, zanim ten zdechł, a ja go wziąłem. Koniec, kropka.

Rivke grzebała palcami w ziemi, zakopując odpadki, i odparła Z wahaniem:

— Ja nie narzekam.

Oplukala dłonie w strumieniu, otrząsnęła z nich wodę i zajęła się pokrojonym mięsem.

— Coś dzisiaj usłyszałem—powiedział Mojsze, zbierając patyki na ognisko. — Nie po raz pierwszy, ale tym razem to może być prawda. Więc postuchaj. Polaczki z tego gospodarstwa słyszeli od jakichś Rosjan, że rosyjska armia jest w Berlinie. Amerykanie też—Polaczki słyszeli to samo w BBC. Ten chłop ma radio. Powiedzieli, że wojna...

Rivke podniosła z nadzieją głowę.

— ...wojna może wkrótce się skończy.

— Oj, Mojsze — rozplakała się, rozglądając się, czy aby kogoś nie ma w pobliżu. — Mój ojciec, moja matka. Moi bracia. Znajdziemy ich?

- *Na razie nikogo nie będziemy szukać* — powiedział Mojsze.  
— *Ani z twojej rodziny, ani z mojej. Oto mój plan. Po pierwsze, nic nie zrobimy. Zjemy świnię, przetrwamy jeszcze jedną noc, dalej nic. Poczekam jeszcze parę dni, wrócę do tego gospodarstwa, a potem może pójdę do wioski. Jeśli będzie dobrze, zaryzykujemy i spróbujemy się wtopić w tłum. Pójdziemy dokądś. Kto wie dokąd? Jestem pewien, że moje miasteczko już nie istnieje. Wywieźli wszystkich ciężarówkami i rozstrzelali. Więc tam nie mamy po co wracać.*
- *Białystok ?* — zapytała Rivke.
- *Zapamiętaj to raz, a dobrze* — odparł. — *Białostockie getto jest skończone. Wszystkie getta są skończone. Kto nie zginął w getcie, zginął w obozie. Kto nie zginął w obozie, zginął w lesie z ręki akowców albo innych żydobójców. Po dwóch latach jestem pewien, że nawet Joszke nie żyje. Jestem pewien. Mówiłem mu, żeby nie szedł Z grupą. Ale poszedł.*
- *Więc nie ma już Żydów?* — zapytała Rivke.
- *Żydzi też są skończeni* — odparł zdecydowanym tonem. — *Świat pragnął ich śmierci — więc zginęli. Miliony. Wszędzie. Ci, którzy nie zginęli, postanowili nie być już Żydami. Bo niby i dlaczego? Żydzi są skończeni.*
- *Więc kim my jesteśmy?* — zapytała Rivke.
- *My?* — powtórzył Mojsze. *Spojrzał na ziemię, na drzewa, w oczy Rivke.* — *My zostaniemy Żydami. Tylko my dwoje. Jesteśmy wszystkimi Żydami, Rivkele. Za kilka dni, jak Bóg da, wyjdziemy z tego lasu na główną drogę i spotkamy ludzi. Polaczków, Rosjan, nie wiem. Będą chrześcijanami, katolikami, nieważne. Ale my będziemy inni. Zostaniemy Żydami. Nie wierzę w cały ten nonsens z błogosławieniem tego i błogosławieniem tamtego. Już o tym wiedziałas, więc to dla ciebie nie nowina. Ale jeśli Bóg istnieje, ten sam Bóg, który odwrócił się od nas podczas tych potwornych czasów, jest to także i ten sam Bóg, który z jakiegoś powodu pozwolił nam przetrwać. Pytasz siebie dlaczego? — powiedział Mojsze zbolatym głosem, starając się ukryć przed nią zwilgotniałe nagle oczy. — Dlaczego faszyci, Polacy, Rosjanie — wszystkie te skurwysyny w Rumunii, na Węgrzech, nawet nie potrafię wszystkich wymienić —*

*dlaczego tak bardzo starali się zniszczyć nasz lud? Dlaczego Bóg uratował nas, dwoje smarkaczy, skoro dał umrzeć tylu milionom? Twojej rodzinie, mojej rodzinie — wszystkim tym miastom i gettom. Więc skoro oni tak zawzięcie próbowali nas zabić, a Bóg tak zaciekle próbował nas ocalić, my dwoje, Rivkele, musimy być bardzo ważni. My — kto wie — może jesteśmy ostatnimi Żydami na ziemi. Jeśli tak jest, to tak jest. Wyjdziemy z tego lasu jako Żydzi i przetrwamy — jako Żydzi — czekając na to, co jest nam pisane.*

*Rivke ścisnęła mocno Mojszego, wycierając płynące strumieniem łzy w jego koszulę, a potem szepnęła:*

*— Dlaczego, dlaczego, dlaczego? Dlaczego przytrafiły się nam te straszne, straszne rzeczy?*

*Mojsze odwrócił wzrok i wzruszył ramionami.*

*— Wiemy to — po prostu jeszcze nie wiemy, że wiemy.*

Dan otworzył oczy, pięść zniknęła. Przy nim stał policjant.

— Jakiś problem? Jest pan bardzo głośny — oznajmił.

— Nie, żaden problem. Rozmawiam z moim *hevre*, tłurhaczą, zę mu parę spraw na temat maniaaka, którego muszę załatwić — odparł. Policjant zaczekał, dopóki Dan nie zaczął zachowywać się normalnie, a potem oddalił się.

— Dan — powiedziała cicho Park. Nie zareagował.

— Dan?

— Nie mów do mnie „Dan”, jak gdyby mi odbiło — zareagował.

— Nie odbiło mi. Pytasz dlaczego? Powiem ci dlaczego! Widzę to. Naprawdę widzę. Wszystko ma swój cel. To dlaczego zostanie nam wyjawione — i to wkrótce.

Park i Motke znieruchomieli na chwilę, wracając myślami do komentarza, jaki Sal uczynił kilka miesięcy wcześniej.

— Dobrze, dobrze — powiedział Motke. Skinął na kelnerkę, by przyniosła wszystkim *turki*. — Dan, ty rób swoje przy tej książce, a ja zrobię swoje przy programowaniu. Nie powinienem jeszcze tego ujawniać. Park, miałas po części rację. Międzynarodowa grupa

programistów Dereka zostanie rozwiązana, wszyscy pojedą do domu. Ale jestem pewien, że Derek nie odsunie mnie od projektu przed wypuszczeniem Windgazera 99 na rynek. A Izraelczycy tak czy owak nigdzie nie pojedą. Więc jeśli o mnie chodzi, Ohr 2000 wcale nie jest jeszcze skończony.

- Ja także nigdzie nie jadę — dodała Park.
- Myślałem, że mówiłaś coś o sześciu tygodniach — zauważył Motke. — Minęło już dwa razy tyle.
- Dan i ja już o tym rozmawialiśmy — odparła Park, mówiąc w imieniu ich obu. — Zostaniemy, jeśli... jeśli Derek mnie zechce i zapłaci mi diety.
- Mamy już całkiem pokaźny rachunek w „Dan Pearl” — dorzucił Dan — ale szukamy mieszkania. Sal albo zrobi sobie trochę wakacji, albo zapisze się na jakiś uniwersytet, może w Tel Awiwie. Prawdę mówiąc, prowadzi na własną rękę prace nad swoim własnym, tajnym programem Y2K. Nic nam o tym nie mówi. I myślę, że będzie szczęśliwy, mogąc w tym dłużyć aż do końca świata.
- Który może nastąpić szybciej, niż sobie wyobrażamy — stwierdził Motke.

- Nie mogę temu zaprzeczyć — przyznał Dan. — Ale liczy się to, że nie mam żadnego powodu, by wyjeżdżać z Izraela. Aby skończyć książkę o Hinnomie, mogę raz czy dwa polecieć do Stanów jak inni zagraniczni autorzy. Po to wymyślono samoloty. Park chce tu zostać. Dokąd ja miałbym wyjeżdżać?

- Ja zostaję tutaj — potwierdziła. Motke poklepał ją po dłoni w geście aprobaty. — W porządku, pozostaniemy jednym zespołem — obiecała. — Sal może sobie siedzieć w domu nad Windym. Uważam, że powinniśmy zaczekać na wypuszczenie Windgazera na rynek. Wydusić z niego tyle kodu, ile się da, uzyskać kompatybilność z najnowszymi API, poczekać, aż się wysypie, a wtedy wkroczyć do akcji z Ohrem 2000.
- Ale kto wie, kiedy to będzie — ostrzegł Motke. — Dla Hinnoma im później, tym lepiej, bo ludzie będą mieli mniejszy wybór. Zgadza się? — Wskazał na przesłanie na swej koszulce.
- To w jego stylu — przyznał Dan.



- Wszystkie planowane terminy dawno już minęły — powiedział Motke. — Początkowo zapowiadał wielki dzień najesień. Sami widzicie, za parę dni Rosz Haszana, a nic się nie dzieje. Obwinia o to wasz Departament Sprawiedliwości. Tak więc spodziewam się, że lada moment ogłosi, że Hinnom Computing wprowadzi Windgazera na rynek pod koniec 1998 roku — nie wcześniej.
- Świetnie. Będziemy mieli więcej czasu na przygotowania — stwierdziła rzeczowym tonem Park. — Ale szczerze się zastanawiam, czy aby nie stanie się to jeszcze później. Sal połączył się na swoim Windym z wewnętrznym centrum rozwoju Hinnoma i jeden z terminarzy wspominał o lecie. Kiedy zajrzał tam ponownie, nie było już po nim śladu. Teraz sam nie jest już pewien.
- Latem 1999? Tak późno? — zdziwił się Dan.
- Robił tak już wielokrotnie — odparła Park. — Vaporware to jego specjalność. Konkurenci nie mogą prowadzić żadnych prac, bo czekają, by w ściśle określony poniedziałek jego towar trafił do sklepów. Mija setka poniedziałków i nic się nie dzieje. Możesz przesunąć publikację swojej książki o parę miesięcy, by pojawiła się jednocześnie z Windgazerem?
- Za nic w świecie — odrzekł Dan. — Wydawnictwa pracują powoli. Dystrybucja trwa miesiącami.
- A więc czekamy — stwierdził Motke. — Pracujemy i czekamy.
- Czekamy. — Park i Dan wzniesli toast, trącając się filiżaneczkami kawy.

Ósmego dnia szóstego miesiąca 1999 roku, w dniu, kiedy uciął wiatr i zamilkły ptaki; gdy cisza morska uśpiła oceany morza; gdy sto czterdzieści cztery wieloryby osiadły na plaży u wybrzeży Kalifornii; kiedy stado wściekłych małąp zaatakowało turystów w japońskim kurorcie; kiedy sępy wymordowały stado owiec wśród wzgórz Szkocji; kiedy na całym świecie mrówki wdarły się do mieszkań

i biur oraz butów przechodniów; kiedy samozapłony wywołały pożary lasów tropikalnych w Meksyku i Malezji, przesłaniając gęstym dymem słońce; kiedy obląkani uczniowie w sześciu rolniczych miasteczkach Ameryki bez ostrzeżenia wystrzelali swych nauczycieli i kolegów; i kiedy w wielu miejscach szczury wypełzły ze swych śmierdzących nor, stając bezczelnie na tylnych łapach; owego czarnego dnia, w południe według pacyficznego czasu letniego, Windgazer 99 trafił do sklepów.

Rozpoczęła się Operacja Mroczny Wiatr. Lśniące złociście dyski-matki w specjalnych antystatycznych osłonkach zostały przesłane producentom komputerów na całym świecie, tak by Windgazer 99 mógł być umieszczony w każdym nowym pececie na taśmie montażowej. Pudła z już zmontowanymi jednostkami zostały ostrożnie otwarte, do szeregowych gniazd wejściowych podłączono systemy usługowe, pozwalając, by nowa wersja Windgazera nadpisała starą. Instalację kończyło pojawienie się na ekranie napisu „Wygaszacz ekranu uaktywniony”.

Specjalne siedemdziesięciogodzinne serwery instalacyjne zostały założone w Internecie, by najważniejsi sprzedawcy mogli umieścić zabezpieczone wersje programu na komputerach będących aktualnie w sprzedaży. Jedno po drugim, urządzenia przynoszono do punktu serwisowego i podłączano do kabli T-1, by przeprowadzić kluczową transmisję. Sprzedawcy przypatrywali się z zapalem, witając oklaskami każde pojawienie się napisu „Wygaszacz ekranu uaktywniony”. Fabryki dysków kompaktowych na całym świecie zaczęły tłoczyć nowy produkt. Setki tysięcy kopii Windgazera 99 godzina po godzinie spływały z linii produkcyjnych. Perłowe pudełka kryjące w sobie dyski ustawiano stosami w pakowalniach, zaklejano i odsyłało do umieszczenia etykiet. Na końcu pasa transmisyjnego otrzymujący minimalną płacę robotnicy chwyтали po sześć czarno--żółtych pudełek, rytmicznie wypełniając palety. Gotowe do transportu palety przewożone były wózkami widłowymi do punktów przeładunkowych, gdzie przenoszono je na naczepy oklejone wielkimi żółtymi i czarnymi znakami reklamowymi Windgazera 99.

Omijając składy dystrybucyjne, ciężarówki wysyłano wprost do sklepów. Kiedy wjeżdżały na parking, nocujący pod sklepami klienci witali je owacjami. Kierownicy witali kierowców przy wejściu, ściskając dłonie, czasami częstując chłodnym piwem, nierzadko szampanem. W wielu miastach lokalne stacje telewizyjne utrwały tę chwilę dla potomności. Kamery majestatycznie podążały za towarem przez frontowe wejście, podczas gdy podnieceni użytkownicy przepychali się i cisnęli, by kupić własny egzemplarz. Trzymając cenny zakup w dłoniach, radośnie odczytywali instrukcję: „Wpisz »install«. Instalacja jest zakończona, kiedy pojawią się słowa »Wygaszacz ekranu uaktywniony«”.

Użytkownicy ze wszystkich krajów podłączali się do komercyjnych serwerów, by rozpocząć wielogodzinny proces instalacji, tak by ich komputery mogły przełknąć nowy system operacyjny. Administratorzy sieci LAN i WAN ściągali na swoje serwery wersje sieciowe, przygotowując się do uaktualnienia systemu napodległych im klientach. Operatorzy stacji roboczych wpisywali kody pozwalające ich systemom na zintegrowanie nowego systemu operacyjnego, sektor po sektorze, podczas pracy. Podczas długiego, nużącego procesu instalacji niektórzy wynajdywali sobie nowe zajęcia. Lecz większość ludzi spoglądała na ekran, niektórzy w podnieceniu, inni podejrzliwie. Liczba sektorów zmniejszała się w hipnotycznym rytmie, podczas gdy system najpierw odczytywał, a potem weryfikował dane. Instalacja dobiegała końca wraz z pojawieniem się słów „Wygaszacz ekranu uaktywniony”.

Komputery stanowiły jedynie początek.

Małe żółto-czarne pudełka, nazywane „Gazer Phaser” przyczepiano rzepami do przodów, tyłów, boków i spodów urządzeń elektronicznych wszelkiej maści: wideoodtwarzaczy, sprzętu medycznego, instrumentów pokładowych, central telefonicznych, konsol wyrzutni raketowych, samochodów, skarbców bankowych — wszystkich elektronicznych urządzeń wykorzystujących mikroprocesory lub mikrosterowniki z zakodowaną datą i rokiem. Takie urządzenia nie potrzebowały monitorów ani klawiatur, lecz mimo to były komputerami i zagrażała im milenijna pluskwa. Żółto-czarne

pudełka wysyłały drogą radiową sygnały emulujące poprawną datę i rok. Nawet firmy nie posiadające urządzeń, które by ich wymagały, przyczepiały „Gazer Phaser”, gdzie się dało — a jakże — kupując je garściami, jakby były bateriami, które należy zmagazynować na wypadek burzy. Niektórzy wieszali je na drzwiach niczym sznury czosnku, by obwieścić całemu światu, że ich biuro zainstalowało już Windgazera 99.

Pokój za pokojem, urządzenie za urządzeniem, sieć za siecią, świat systematycznie przechodził na Windgazera99. Dane nieustannie spływały do gabinetu wojennego Hinnom Computing w Seattle. Każdy kraj wymieniony był na gigantycznej elektronicznej tablicy, a wciąż zwiększające się liczby informowały o ilości instalacji w danym kraju.

Brazylia 18%...  
Chiny 31%...  
Francja 39%...  
Stany Zjednoczone 51%...

Z wpływem godzin liczby stawały się coraz wyższe.

Brazylia 26%...  
Chiny 61%...  
Francja 69%...  
Stany Zjednoczone 82%...

Pracownicy Hinnoma przyglądali się tablicy z entuzjazmem, wiwatując po każdej dziesięciomilionowej instalacji. Specjalne toasty szampanem wznoszono, kiedy w jakimś kraju ich liczba osiągała sto procent.

Argentyna 100%...  
Niemcy 100%...  
Maroko 100%...

Po upływie trzeciej doby dokonano się. Globalna instalacja dobiegła końca. Świat należał do Windgazera 99.

Padał deszcz. Wygaszacze ekranu Hinnoma pojawiły się przed oczyma Ziemi. E-mail wysłany do wszystkich pracowników Dereka informował: „Przeegraliśmy. Mroczny Wiatr hula po świecie. Lecząc zaklinam was, wróćcie do swoich komputerów. Operacja Ohr trwa dalej”. Szabes rebe poczuł coś dziwnego; wyciągnął ze swojej sterty cienką, nigdy nie otwieraną, oprawioną w skórę książkę; jego załzawione oczy rozszerzyły się ze zdumienia, kiedy odczytał zawarte w niej słowa, po czym zaczął gorliwie nucić, najpierw cicho — potem głośno. Raymond otworzył broszurę biura podróży, zachwycając się zdjęciami. „Taka okazja trafia się raz w życiu”, powiedziała jego matka łagodnym głosem. Park ujęła Dana za rękę, uśmiechnęła się przez łzy i w końcu przyznała: „Nawet nie zbliżyliśmy się jeszcze do powstrzymania Windgazera”. Dan odwrócił się od swojego laptopa Butterfly, pogłaskał ją po włosach. Sal zaczął stukać wściekle w klawiaturę Windy'ego: błąd, spróbuj ponownie, błąd, spróbuj ponownie, błąd. W budynku szóstym oba skrzydła drzwi otworzyły się z hukiem, gdy Ben Hinnom wyszedł zawadiackim krokiem na balkon swego biura. Rozkładając ręce, chwycił powietrze w ramiona z taką wściekłością, że żyły nabrzmiały mu pod skórą. Napięcie zauważalnie przebiegło wzdłuż jego ramion i karku, a potem napłynęło do rozpalonych oczu. Nieoczekiwanie jego prawa ręka wystrzeliła ku pomroczniałym chmurom. Szabes rebe przerwał modlitwę, Sal połączył się, Kotel niemal zadrzał.

Unosząc palec w stronę Ojca, Hinnom wykrzyczał powoli:

— Już cię nie potrzebuję!

## WERSJA 99.9

Dianę siedziała zszokowana przed swoim komputerem w siedzibie Zakładu Ubezpieczeń Społecznych w Baltimore. Bała się dotknąć klawiatury. Łzy nabiegły jej do oczu. Jak zahipnotyzowana, wyciągnęła rękę, by przyłożyć palec do ekranu. Nie potrafiąc dłużej się powstrzymać, zapytała na głos:

— Matko, dlaczego mnie opuściłaś?

Chuck, dwunastolatek, rzucił tornister na podłogę po kolejnym męczącym dniu w Marshall Middle School w Houston. Uruchomił nowy komputer w swojej sypialni, chcąc posurfować do sieci. Dwukrotnie pokręcił z niedowierzaniem głową, lecz obraz wciąż tam był — jego własna twarz na tle kosmosu.

— Ku-urcze! — wykrzyknął. Stuknął w klawiaturę, by sprawdzić pocztę elektroniczną, lecz wygaszacz ekranu zniknął. — Hej, co mam zrobić, żeby to wróciło?

Maureen pracowała jako weryfikatorka w firmie ubezpieczeniowej w Fort Lauderdale, mieszkała samotnie w trzypokojowym mieszkaniu o oknach wychodzących na ogrody. Przez całe swoje, samotne życie hodowała róże, traktując je jako najbliższych przyjaciół. Sadziła je w ogrodzie i w skrzynkach za oknem sypialni. Choć kochała bladoróżowe kalinki, czystobiałe eskimoski i jaskrawopomarańczowe lambady, to czerwone róże były jej ulubienicami. W bujnej wyobraźni Maureen czerwone róże kojarzyły się z zuchwałymi gośćmi i okazałymi pałacowymi przyjęciami. Lecz swoją fascynację kwiatami zachowywała dla siebie. I to dlatego ogarnęło ją zdumienie, gdy uruchomiwszy swój biurowy komputer, ujrzała, że ekran w magiczny sposób zappełnił się mnóstwem róż, wspaniałych, czerwonych róż: ciemnej odmiany cara mia i jasnych kardynałów. Kto wiedział? Kto to zrobił?

Mark uśmiechnął się oblesnie, obejrzał się nerwowo przez ramię, odwrócił monitor ekranem do okna, a potem zachichotał z lubieżnym

zadowoleniem. Wdusił przycisk interkomu i zawołał do współpracownika:

— Hej, stary. Zajrzyj do mnie, musisz to zobaczyć. Mój wygaszacz ekranu Windgazera 99 to zdjęcie zabójczej dupy z olbrzymimi cystickami. Nie mogę w to uwierzyć... Naprawdę?... Lody?... Jakim cudem ty masz lody, a ja tę dupę?

Dealer samochodowy w Cleveland Heights ujrzał ulubioną scenę z *Gwiezdných wojen*. Wojskowy magazynier z Filadelfii ujrzał fantastyczny widok pomnika Fishera ze swego rodzinnego miasta w pobliżu Moab w stanie Utah. Nauczycielka z Los Angeles, miłośniczka psów, ujrzała igrające miniaturowe terrierki. Pielęgniarka w Boise spoglądała ze zdumieniem na zdjęcie swego niedawno zmarłego brata.

Wygaszacz ekranu Windgazera 99 miał coś specjalnego dla każdego. W dwa tygodnie po zainstalowaniu systemu nieoczekiwanie zaczęły się na nim pojawiać obrazy. Grafika generowana automatycznie przez system operacyjny i dostosowana do indywidualnych potrzeb każdego użytkownika, odwoływała się nie tylko do prostych preferencji, lecz do głęboko ukrytych pragnień, żalów i uciech. AMP, Advanced Monitor Protocol, czyli rozbudowany system sterowania monitora Windgazera 99 wykorzystywał istniejącą komputerową technologię marketingową, udoskonaloną i urozmaiconą w sposób, o jakim nikomu nigdy się nie śniło.

Na początku AMP obwąchał twardego dysku użytkownika w poszukiwaniu słów, zdań, ikon, nawet grafik. Potem przeszukiwał historię przeglądarki internetowej z adresami odwiedzanych stron. Zebrane informacje z twardego dysku i Internetu dodawane były do długiej listy indywidualnych preferencji i danych osobistych, łącznie z numerem legitymacji ubezpieczeniowej, która sporządzona została podczas rejestracji Windgazera 99. Ci, którzy wypełnili kwestionariusz, mieli pewność, że wezmą udział w loterii Hinnoma z główną nagrodą jednego miliona dolarów; potencjalni uczestnicy byli informowani, że zwycięzca zostanie zdyskwalifikowany, jeśli jego danych nie będzie można zweryfikować, co powinno zapewnić wysoki procent prawdziwych odpowiedzi. Ogólny profil użytkownika, jaki

wyłaniał się po rejestracji i obwężaniu twardego dysku, stanowił dopiero początek. Uzyskane tą drogą informacje wykorzystywano przy przeszukiwaniu przepastnych baz danych Hinnoma, czego rezultatem był złożony, bardzo szczegółowy Profil Osobowości Użytkownika. Profile Osobowości Użytkownika poddawano standardowym testom osobowości, a potem dołączano do istniejących zbiorów danych o ludziach, miejscach, tematach i wydarzeniach. Wykorzystując zasady dopracowane *do perfekcji* w zautomatyzowanym przeszukiwaniu sieci i zindywidualizowanych odpowiedziach internetowych na podstawie cookies, Windgazer 99 przygotowywał wysoce emocjonalną grafikę ekranową obliczoną na urzeczenie każdego człowieka z osobna.

System nie był niezawodny. Chemik z Pittsburgha, fan bluegrasu z Kentucky z rozbawieniem ujrzał na swoim ekranie kartonowe pudełko z Kentucky Fried Chicken. Dziesiątki luterzańskich naukowców w całej Ameryce chichotało na widok zdjęć Martina Luthera Kinga Juniora. I niejeden miłośnik muzyki Dymitra Szostakowicza został uraczony malowniczym widokiem Mount Shasta. Początkowo wygaszacze ekranu nie były wystarczająco wyrafinowane składniowo, by funkcjonować poprawnie w językach innych niż angielski, choć wielojęzyczne protokoły były już opracowywane.

Dla większości anglojęzycznych użytkowników Windgazer 99 stanowił coś znacznie większego niż tylko system operacyjny. Stał się fascynującym przedłużeniem własnej osobowości, software'owym amalgamatem, z którym można było się identyfikować, dzięki któremu komputer stał się nie tylko bezdusznym, wrogim urządzeniem, lecz raczej przyjacielem, któremu można było powierzyć najskrytsze tajemnice. Przyjaźń stała się jeszcze jedną funkcją programu. Przyjaznego użytkownikowi. Bardzo przyjaznego.

Wygaszacze ekranu stanowiły zaledwie pierwszy krok. Windgazer 99 wkrótce zaczął generować sympatyczne, chochlikowate animowane stworki o imionach powiązanych z tematyką wygaszacza ekranu. „Mama” Dianę bardzo przypominała kobietę, która żyła w jej wspomnieniach. Kosmiczna grafika Larry'ego stworzyła „Wenus”. Gwiazdeczka porno Marka zrodziła skąpo przyrodzianą, bujną



„Gorącą Laskę”. Ozdobiony kwiatami ekran Maureen dostarczył jej wyglądem przypominającą płatek róży postać o imieniu „Kwiatek”. Wszystkie te stworki robiły jedno: dopytywały się o tajemnice — oczywiście tylko dla zabawy, oczywiście wyłącznie dla rozładowania napięcia, niemniej jednak były to tajemnice. Część zwierzeń przekazywano za pomocą systemów komputerowych zaopatrzonych w mikrofon, lecz zazwyczaj wpisywano je jako zapisy w pamiętniku. Pozornie każdy zapis można było skasować jednym kliknięciem klawisza, tak więc wszystkie te luźne notatki uważano za bezpieczne i osobiste. Lecz jak ostrzegało wielu doradców komputerowych, komputery nigdy niczego do końca nie kasują, a jedynie nadpisują pierwszą literę pliku, by zniszczyć jego nazwę, albo przenoszą jego zawartość do śmietnika. W obu przypadkach informacje zawarte w skasowanych plikach można z łatwością odtworzyć kilkoma naciśnięciami klawiszy.

Pewnie chemik słuchający bluegrassu tarzał się ze śmiechu po podłodze, kiedy animowany pieczony kurczak z ksy wką „Głębokie Skrzydełko” wtańcowywał na ekran, świergocąc: „Hej! Co dzisiaj na kolację?” albo „Hej! Na co miałeś prawdziwą ochotę wczoraj na kolację?”

Większość użytkowników zaczęła jednak traktować swoje stworki bardzo poważnie. Wielu ludzi nawiązało dziwaczne, oczyszczające relacje ze swymi komputerowymi kumplami. „Dalej — dopytywała się Gorąca Laska uwodzicielskim głosem — jaki świński numer wykręciłeś dziś komuś, kogo znasz, twojej żonie, a może sobie samemu? Mnie możesz powiedzieć”. Mark zwierzał się wtedy z najintymniejszych szczegółów. Potem czuł się świetnie i nie mógł się doczekać następnego spotkania. Wkrótce zaczął sobie wyobrażać, że ekran w pewnym sensie rozgrzesza jego akty nieuczciwości i niewierności. Teraz mógł popełniać skandaliczne występki z poczuciem moralnej bezkarności, przyznawać się do nich i powtarzać z jeszcze większą zuchwałością.

Dla Maureen roślinny Kwiatek niekiedy był najmilej widzianym gościem dnia. „Ludzie po prostu nie rozumieją — oznajmiał ze współzuciem Kwiatek. — Co się dzisiaj stało?” Maureen chętnie

zwierzała się ze wszystkiego. Nierzadko nie dotykała klawiatury przez jedenaście minut i sześć sekund niezbędne do uaktywnienia wygaszacza ekranu. Jeśli nie miała czasu porozmawiać z Kwiatkiem, czuła się opuszczona, oszukana, wręcz zrozpaczona. Któregoś razu podczas awarii sieci energetycznej naskoczyła na kierownika biura: „Włączcie wreszcie prąd, potrzebuję Kwiatka”.

Wkrótce rozległy się głosy krytyki pod adresem wygaszacza ekranu Windgazer 99. Kierownicy firm skarżyli się na spadek wydajności wywołany tym, że użytkownicy ciągle przerywają pracę na jedenaście minut sześć sekund wymagane do uaktywnienia wygaszacza ekranu. Rodzice niepokoiли się narastającym uzależnieniem swych dzieci od komputerów. Małżonkowie krytykowali wygaszacze ekranu swych partnerów, lecz jednocześnie walczyli jak lwy o prawo do korzystania ze swoich.

Za trzy dolary od komputera Hinnom Computing zobowiązało się w ciągu trzydziestu dni przesłać pocztą dyskietkę usuwającą wygaszacz ekranu z komputera. Oznaczało to jednak koszty, niewygodę i opóźnienia. Wielu, zwłaszcza firmy posiadające tysiące stanowisk, decydowało się tolerować to wariactwo. Grożący procesami przeciwnicy zostali ostrzeżeni, że ich okresowe uaktualnienia za pośrednictwem modemu zostaną zablokowane, wyzwalając wbudowane w oprogramowanie bomby zegarowe, powstrzymywane jedynie regularnymi kontaktami z matrycą-matką. Bez uaktualnień ich systemy miały stać się bezużyteczne, a dane niedostępne. Podobno.

Maszyny pracujące na Windgazerze 99 wydawały się bezpieczne i odizolowane, lecz w rzeczywistości stanowiły część gigantycznej sieci. Co pewien czas, zazwyczaj w środku nocy, podłączone do telefonu komputery kontaktowały się z centralą Hinnoma w Seattle, która przekazywała połączenia na bezimienną wyspę na Pacyfiku, własność Hinnoma. Po połączeniu komputery poszczególnych użytkowników ściągały stamtąd najnowsze pakiety poprawek, sterowniki, programy diagnostyczne i antywirusowe niezbędne przy optymalizacji ich systemów. Leczjednocześnie przeprowadzały archiwizację całej zawartości twardych dysków, magazynując ją w szerokich

petawieżach tworzących olbrzymi skład danych na szczycie jednego ze wzgórz. Każda petawieża wielkością dorównująca dwudziestu kartotekom mieściła ponad dziesięć tysięcy nowoczesnych napędów stugigabajtowych. Dzięki temu skład danych Hinnoma mógł pomieścić całą informację zgromadzoną we wszystkich komputerach ludzkości. Drugi, identyczny skład istniał w planach, na wypadek gdyby infrastruktura magazynowa wyspy wymagała powiększenia. Mówiąc wprost, Hinnom posiadał lustrzane kopie niemalże wszystkich komputerów na świecie.

Wysokie korytarze skrzydła badań specjalnych w budynku szóstym pomalowane były na czerwono. Hinnom, ubrany w luźną czarną koszulę i spodnie, maszerował żwawo przez karmazynowe korytarze niczym cień przemykający przed zbliżającymi się reflektorami. Zatrzymał się przed czarnymi drzwiami oznaczonymi napisem „T.I.” Położył lewą dłoń na płycie systemu identyfikacyjnego, rozkładając szeroko palce. Wstążka skanera omiotła ją od góry do dołu. Ekran z ciekłych kryształów zapalił się komunikatem: „Dzień dobry, B. Hinnom. By wejść na teren działu T.I., proszę wykonać etapy drugi i trzeci procedury”.

Hinnom wsunął kartę identyfikacyjną w czytnik i wprowadził swój kod, czekając, by masywne, czarne drzwi otworzyły się z kliknięciem. Nic z tego. „Weryfikacja w toku, proszę czekać” pojawiło się na ekranie. Kołysząc rytmicznie głową dla zabicia czasu, Hinnom, początkowo z rozbawieniem, utkwił wzrok w migoczącym napisie „Weryfikacja w toku, proszę czekać”. Jednak jego cierpliwość szybko się wyczerpała. Uderzył pięścią w drzwi, wrzeszcząc:

— Hej, wpuście mnie do środka, do cholery! — Żadnej reakcji. Kopnął w drzwi kilkakrotnie, potem zaczął w nie bębnić. — Tu Ben Hinnom. Otwórzcie te cholerne drzwi! Otwórzcie te cholerne drzwi, psiakrew!

Chwilę później czarne drzwi laboratorium uchyliły się odrobinę. Wyłoniła się zza nich ogolona na łyso głowa. Rozpoznawszy Hinnoma, zaraz wybełkotała uniżenie:

— Och... och... proszę wejść, panie Hinnom.

- Usiłuję to zrobić — westchnął z sarkazmem w głosie Hinnom. — Sam programowałeś to durne urządzonek zabezpieczające?
- Nie, nie, nie. To na pewno służba ochrony budynku — wybełkotała łysa głowa.
- Tak, ochrona — przeciągnął Hinnom. Wyciągnął Windy'ego, otworzył go, napisał krótki list do Linzera i ceremonialnym naciśnięciem klawisza posłał go w elektroniczną podróż do adresata.

Ze schizofrenicznym niemal entuzjazmem Hinnom wykrzyknął:

- I jak się miewa dział T.I.? Zgodnie z planem?

Zaczął dotykać wszystkiego, co nawinęło mu się pod rękę: komputerów, syntetyzatorów, skanerów, stroboskopów i oscyloskopów ustawionych w nieładzie jeden na drugim, połączonych ze sobą płataniną kabli, nawet napędów dyskowych zwisających niczym ozdoby z na wpół zdemontowanych komputerów. Wszystkie urządzenia obsługiwane były z rzędu cyfrowych konsoli, których Hinnom także nie omieszkał dotknąć.

— Prawie, prawie — odparła trzęsąca się łysa pała, potem przytaknęła. — Pewnie, prawic co do dnia zgodnie z planem.

Twarz Hinnoma spoważniała, jedna brew uniosła się nieco.

- Powiedz mi tylko, że mamy już p r a w ą s t r o n ę — zażądała złowieszczo.
- Koniec końców. Owszem. Wkrótce — nerwowo poprawiła ogolona głowa.
- Pytanie, pytanie, pytanie! — zapytał Hinnom przesadnie dramatycznym tonem. — Jesteś w stanie dostarczyć mi p r a w ą s t r o n ę w terminie?
- Ładowanie rozpocznie się na koniec roku — potwierdziła rwącym się głosem łysa głowa — i powinno się zakończyć piątego, szóstego stycznia roku 2000, po długim weekendzie. Pewnie... Eee, nie osiągniemy stu procent, panie Hinnom. To zbyt nowa technologia... populacja zbyt zróżnicowana. Ale — zarechotał — będzie należycie imponujące.
- Imponujące — powtórzył za nim Hinnom, dodając: — A co byś powiedział na „skuteczne”. Bo jeśli miałbym wybierać między

„imponujące" a „skuteczne"... zawsze zdecyduję się na „skuteczne". Widzisz, jeśli coś jest skuteczne — zawiesił głos — automatycznie staje się imponujące. Jasne? — Uśmiechnął się szeroko. — Masz mój e-mail. Daj znać, jeśli będę potrzebny.

Odwrócił się zamasyście, wyszedł z laboratorium, nie zwracając uwagi na wciąż migający napis „Weryfikacja w toku, proszę czekać" na ekranie przy drzwiach, a potem popędził czerwonym korytarzem, którym tu wcześniej przyszedł — szybko przemieszczająca się, czarna postać trzepocząca luźnymi rękawami.

Ogolona głowa wyrzała z laboratorium T.I., zamruła kilkakrotnie, upewniła się, że szef naprawdę sobie poszedł, i wróciła do pracy.

Świat był podzielony. Wielu widziało w Windgazerze 99 wielki krok naprzód w historii ludzkości. Oprogramowanie Hinnom Computing zażegnało kryzys milenijnej pluskwy, zapewniało regularne, nocne uaktualnienia z najnowszymi udoskonaleniami i zabezpieczeniami antywirusowymi, a wygaszacz ekranu stanowiły fantastyczną rozrywkę. Lecz wielu uważało nagromadzenie potęgi technologicznej w rękach jednego człowieka i kontrolowanej przez niego korporacji za zagrożenie samo w sobie. Przerażały ich przymusowe nocne uaktualnienia. Departament Sprawiedliwości, Senat, zespół stanowych prokuratorów generalnych, Unia Europejska, japońscy ustawodawcy, w pojedynkę, a nawet wspólnymi siłami nie byli w stanie powstrzymać Hinnoma. Teraz dzięki kontroli i panowaniu Windgazera 99 nad komputerami całego świata Hinnom uzyskał większą władzę niż jakikolwiek człowiek w historii. Hinnom rozkoszował się tym.

Wchodził i wychodził z biura zdecydowanym krokiem, zamasyście zapalał i gasił światło, opróżniał wysokie szklanki soku ananasowego, dumnie przechylając głowę, jeździł jeszcze bardziej szaleńczo swymi sportowymi samochodami, pluł celnie do stojących

w budynku doniczek. Czasami po prostu zatrzymywał się i drżał, czując, jak wielką potęgą dysponuje.

Linzer zawsze krążył w pobliżu, czasami próbował okiełznać zachwyty swego pana, przypominając mu otwarcie:

— Pewnego dnia staniemy twarzą w twarz z kamieniem.

Hinnom tylko chichotał sucho i podśpiewywał:

— Kamień, kamień, kamień. Daj mi prawą stronę, a ja zajmę się kamieniem.

Linzer odpowiadał:

— T.I. pracuje nad tym.

Wkrótce fascynujące wygaszacze ekranu zaczęły pojawiać się w komputerach z Windgazerem 99 poza granicami Stanów Zjednoczonych. Wciąż jeszcze ograniczała je uboga składnia. Tak więc początkowo uaktywniły się jedynie na komputerach anglojęzycznych użytkowników w krajach takich, jak Indie, Hongkong, Nigeria, Finlandia — gdzie tylko angielski był popularny jako drugi język.

Lecz na przełom w pracach nad innymi wersjami językowymi nie trzeba było długo czekać. Bez zapowiedzi pojawiła się wersja francuska, najpierw we Francji, a potem w krajach frankofońskich, takich jak Haiti, Liban, Tunezja i Szwajcaria. Kiedy dodana została wersja hiszpańska, wszystkie kraje Ameryki Łacińskiej i Hiszpania dołączyły do wyjściowej grupy. Jako następne wypuszczono na rynek wersje niemiecką i włoską. Wkrótce użytkownicy na całym świecie mogli po uruchomieniu monitora podziwiać fascynujące obrazy swych rodzinnych miasteczek, ukochanych, fantazji seksualnych czy samych siebie na tle najsłynniejszych marzeń. Każdego dnia nowa populacja z radością odkrywała, że jej komputery ożywił wygaszacz ekranu Windgazera 99, a wkrótce potem elektroniczny przyjaciel.

Wielu ludzi nie mogło się doczekać na "swoją" wersję, tak jak przedtem na McDonald'sa, lewisy czy viagrę. Pragnęli szczytu doskonałości w komputerach osobistych. Oczywiście już dawno zainstalowali Windgazera 99, lecz bez wygaszacza ekranu i elektronicznego przyjaciela czuli się niekompletni. Jednakże cyrylica, pismo obrazkowe, semickie i inne niełacińskie alfabety wciąż przetrwały

możliwości programu ze względu na nieuniknione trudności językowe. By uspokoić klientów, Hinnom Computing publicznie przyrzekło, że prace rozwojowe doprowadzą w końcu do stworzenia odrębnych wersji programu i dla tych grup językowych. Firma prosiła tylko o cierpliwość. Tymczasem ci, którzy nie chcieli czekać, zachęceni byli do wypełniania specjalnych formularzy rejestracyjnych, by za nominalną opłatą otrzymać wygaszacz ekranu w wersji angielskiej.

Prawie trzysta milionów ludzi na całym świecie zainstalowało Windgazera 99, licząc od 8 lipca 1999 roku. Dziesiątki milionów spośród nich wielbiło wygaszacz ekranu Windgazera 99 niczym dar niebios. Krytycy — a istnieli i tacy — należeli do mniejszości. Hinnom czuł się na tyle pewnie, by móc stawić im czoło i uciszyć niepokoje polityków, ustawodawców i prokuratorów.

Zamiast odpowiadać oponentom z całego świata po kolei, Hinnom zdecydował się dać im odpór podczas jednej, globalnej, telewizyjnej konferencji prasowej przekazywanej do czterdziestu pięciu krajów. Wszystkie najważniejsze sieci i dzienniki zaproszone zostały do współuczestnictwa w tym historycznym wydarzeniu.

Jedynie dziennikarze wykorzystujący do połączenia licencjonowaną przez Hinnoma technologię Windwatchera mieli zostać dopuszczeni do głosu. Hinnom Computing zdołało zainstalować Windwatchera na ich komputerach w ciągu jednej nocy. Pewnego ranka oprogramowanie... po prostu pojawiło się na sprzęcie tych dziennikarzy, gotowe do działania. Musieli tylko nabyć niewielką kamerę z mikrofonem, montowaną na monitorze, jeżeli jeszcze takowej nie posiadali. Hinnom Computing na odległość przeprowadzało proces konfigurowania sprzętu.

Wszystkie agencje informacyjne, które nie dysponowały sprzętem do telekonferencji albo nie miały do niego dostępu — te z Afryki, Azji i Ameryki Łacińskiej w większości po prostu nie miały odpowiedniego oprzyrządowania — pocztą ekspresową otrzymały miniaturowe kamery i mikrofony do zamocowania na komputerze, co wystarczało, by stworzyć prowizoryczne centrum konferencyjne. Kamery należało albo zwrócić po konferencji prasowej, albo zapłacić za nie trzysta dolarów. Hinnom uważał, że większość agencji

z miejsca kupi te zmyślne urządzenia wraz z kodami uaktywniającymi wszystkie funkcje Windwatchera.

Pod względem logistyki globalna konferencja prasowa miała być zorganizowana w sposób zbliżony do sprawozdań z konfliktów wojennych. W każdym z krajów należących do grupy G-7 założono centralny ośrodek prasowy dla dzienników, miesięczników, sieci radiowych i telewizyjnych, agencji informacyjnych i fanzinów internetowych. Mieszane centra prasowe drugiej kategorii stworzono w Azji i Ameryce, a najniższą rangę otrzymały ośrodki w Afryce, na Bliskim Wschodzie oraz w Australii i Oceanii. Przedstawiciel każdego ośrodka — wybrany przez kolegów z branży — zapraszany był do zadania jednego pytania. Ludzie Hinnoma od kontaktów /. mediami mieli się kontaktować kolejno z pojedynczymi dziennikarzami, tak by każdy krajowy i kontynentalny ośrodek otrzymał przynajmniej jedną szansę, a centra krajów wielkiej siódemki co najmniej dwie.

Początek największej konferencji prasowej w historii zaplanowany był na dwunastą w południe czasu Seattle, 26 lipca. Lecz za kwadrans dwunasta dyrektor transmisji zaczął się niepokoić. Przekazniki satelitarne Hinnom Computing były gotowe, nakierowane i przygotowane na pojawienie się gwiazdy wieczoru w studiu telewizyjnym jego przedsiębiorstwa. Hinnoma wszakże nigdzie nie można było znaleźć. Nie było go w zielonym pokoju studia ani w jego biurze, ani w kafeterii budynku szóstego, dokąd zachodził czasami na ryżowy pudding, ani w salonie tytoniowym firmy, ani też, ma się rozumieć, w sali treningowej, do której i tak nigdy nie zaglądał.

A tymczasem Hinnom przygotowywał się w ciszy i spokoju do wystąpienia przed światową publicznością. Balkon jego biura dostarczał mu niczym nie przesłanianego sielankowego widoku wzgórz i stoków otaczających kampus. W oddali dzikie Góry Kaskadowe strzelały inspirująco w niebo. Ze swego punktu obserwacyjnego Hinnom nikogo nie widział i przez nikogo nie był widziany. Ostro skrzycone, stalowe, kolisty schody biegły spiralą z balkonu na wąską, zadbaną, żwirową ścieżkę prowadzącą kilka metrów od podstawy schodów nad brzeg niewielkiego, sztucznego stawu.

Tuż przed południem, kiedy ekipa telewizyjna wciąż jeszcze



poszukiwała go desperacko, Hinnom przeszedł spokojnie ścieżką i usiadł nad stawem na miękkiej, bujnej trawie. Zza krzaka wyskoczyła żaba, zajęła miejsce w pierwszym rzędzie i zamarła wpatrzona w niego. Hinnom w zamyśleniu skrzyżował nogi, wziął głęboki oddech i przybrał spokojny wyraz twarzy, pasujący do cichego otoczenia. Parę kroków od niego stał niewielki monitor.

W tym czasie Linzer, jedyny podwładny Hinnoma, który wiedział o nie zapowiedzianej zmianie planów, przygotowywał się bez pośpiechu na balkonie. Umocował Windy'ego do przenośnego trójnogu przykręconego do balustrady. Upewniwszy się, że nic nie przesłania widoku Hinnoma, Linzer dał mu sygnał, że wszystko jest w porządku. Windy miał przesłać obraz Hinnoma do kamer systemu bezpieczeństwa w biurze, które z kolei zostały przełączone na studio transmisyjne firmy. Stamtąd sygnał powędruje na cały świat w formie przedzielonego na dwie części ekranu. Hinnom znajdzie się z lewej strony. Drugą będą zajmować zadający pytania dziennikarze, zgłaszający się ze swoich biur albo centrów konferencyjnych rozsiadanych po całym świecie. Całość poprowadzi specjalista od public relations, zapraszając do zadawania pytań i nadzorując połączenia z zagranicznymi stacjami nadawczymi.

Nikt w studiu nie wiedział, że Hinnom będzie nadawany na żywo z nadstawu, dopóki Linzer nie zadzwonił z tą nowiną do spanikowanej ekipy.

— Pan Hinnom jest gotów — odezwał się spokojnym tonem Linzer przez interkom w reżyserce. — Sygnał pójdzie przez system kamer ochrony. Podłączyłem go już do konsoli... Widzicie je na monitorze.

Reżyserka potwierdziła wszystko z niekłamaną ulgą.

W samo południe kierownik transmisji odliczył na palcach: trzy, dwa, jeden, by rozpocząć od ujęcia samego Hinnoma. Kamera powoli odjechała, ukazując staw za jego plecami.

— Witaj, świecie, jestem Ben Hinnom z Hinnom Computing. Przemawiam do milionów z was w czterdziestu pięciu krajach za pośrednictwem cudeńka, jakim jest miniaturowy, przenośny komputer, Windy, innowacji, którą Hinnom Computing w niedalekiej przy-

szłości wprowadzi do masowej produkcji. — Uniósł swój egzemplarz do kamery. — To przenośne urządzenie wyposażone jest w małą kamerę wideo z mikrofonem. Może przysyłać dane, polecenia i obrazy, wykorzystując fale radiowe w połączeniu z tą samą technologią, jaka znalazła zastosowanie w telefonii satelitarnej. Widziany przez was obraz nie pochodzi z drogiej, profesjonalnej kamery, lecz z mieszczącego się na dłoni Windy'ego, który przekazuje sygnał do naszej stacji nadawczej, przesyłającej go z kolei na cały świat. Jesteśmy bardzo dumni z Windy'ego.

Jestem tu, by odpowiedzieć na pytania dotyczące naszej fenomenalnej linii produktów Windgazer, która uratowała świat przed katastrofą końca milenium i umożliwiła uruchomienie procedury regularnych uaktualnień przez Internet, co oznacza, że już nigdy nie będziecie musieli się martwić, skąd wziąć najnowsze programy. W miarę jak Hinnom Computing usuwać będzie usterki, naprawiać niedociągnięcia i udoskonalać procedury, te poprawki będą ładowane automatycznie za pośrednictwem niezawodnych łączy telefonicznych do waszych komputerów niemal każdego dnia. Pewnego dnia w niedalekiej przyszłości nie będziemy nawet potrzebowali przewodów czy łączy. Stacje Hinnoma nadadzą poprawki, a wasze komputery odbiorą je za pośrednictwem fal radiowych, podobnie jak teraz wasze radiodbiorniki na częstotliwościach AM i FM, czy też wasze telefony komórkowe. Telewizja, telefonia, komputery, sieci kablowe — składają się na jedną sieć o wzajemnie powiązanych elementach, którą Hinnom Computing kończy integrować, mając na uwadze korzyść naszych klientów i użytkowników na całym świecie. Och, tak, na pewno zauważyliście, że zadbaliliśmy o to, by Windgazer 99 dostarczał wam też rozrywki i zabawy. Przywróciliśmy odrobinę la-la-la naszemu nudnemu, przyziemnemu obcowaniu z komputerami, dzięki naszemu twórczemu pakietowi wygaszaczy ekranu i naszym komputerowym, animowanym przyjaciółom. Nawet ja mam takiego — nazywam go Linzy. Jako że połączyliśmy kilka już istniejących technologii w nowy, ekscytujący i spójny sposób, wiemy, że macie wiele pytań. A ja jestem gotów odpowiedzieć na wszystkie. A więc strzelajcie!

Zza ekranu rozległ się głos prowadzącego konferencję.

- Dzień dobry, jestem Bruce i w imieniu Hinnom Computing będę prowadził dzisiejszą konferencję. Pierwsze pytanie należy do Clive'a Simon-Burrowsa z BBC w Londynie.
  
- *Wielu z nas uważa Windgazera 99 za osiągnięcie fascynujące i zarazem niepokojące. Czy nie uznałby pan za niezwykle tego, że komputer samodzielnie wykonuje każdej nocy połączenia telefoniczne i ściąga przez Internet dodatkowe programy? Na przykład, wielu ludzi pracujących w środkach masowego przekazu odkryło dziś rano Windwatchera na swoich komputerach. A jeśli ktoś nie chce nowszych wersji i dodatkowych programów albo jeśli samo uaktualnienie zawiera w sobie błędy? To nie nadzwyczajnego w przypadku pakietów poprawek. Usunięcie jednego problemu rodzi następny.*
  
- Bardzo się cieszę, że zadał pan to pytanie. Oooh, zaczęliśmy od wysokiego ce. Clive, komputery przepytują od lat. Co oznacza automatyczne łączenie się z innymi komputerami. Zarówno komputery komercyjne, jak i osobiste. Kasy wielkich sieci handlowych co noc przekazują informacje do księgowości. Jest taka bezimienna firma — sam łatwo możesz zgadnąć jaka — która produkuje najpopularniejsze oprogramowanie do obsługi domowego budżetu — nie, to nie my — a to oprogramowanie jest tak skonstruowane, że samo regularnie sprawdza, czy istnieje już nowa wersja. Administratorzy sieciowi na pewno przywykli już do przeprowadzania uaktualnień, poprawek, a nawet kompletnych reinstalacji na podległych im komputerach. Firmy sprzedające i obsługujące usługi komputerowe wykorzystują nocne procedury dialogowe dla kontroli wykorzystania i efektywności, by zapewnić optymalną utylizację systemu — i sprzedać wam więcej miejsca na dysku, kiedy zacznie go brakować. Spryciulki. Dwustronne programowanie na odległość jest już standardową praktyką. Czy robimy coś, co nie jest starym chwytem w branży? Chyba nie. Dzięki, Clive.

— Kolejne pytanie. Joshua Morgenthal z „Washington Post” w Waszyngtonie.

— *Powiedział pan, że problem milenijnej pluskwy został rozwiązany. Czy nie można było dostarczyć ludziom modułu usuwającego ten problem i nie zmieniać radykalnie sposobu, w jaki przeciętny użytkownik obsługuje swój komputer i kontaktuje się z nim? Dlaczego konieczne było połączenie Centurygazera z Windgazerem 99 sprzed paru tygodni?*

— Dobrze, Joshua. Bardzo dobre pytanie. Po pierwsze, Centurygazer to moduł usuwający milenijną pluskwę. Nasi widzowie mogą chcieć to wiedzieć. Ale tak naprawdę to nie łączyliśmy go z Windgazerem 99. Wiem, wiem, myślałeś, że zrobiliśmy to podczas globalnej instalacji ósmego lipca. Ale nie byliśmy jeszcze gotowi. Na tym polega urok Windgazera 99, to po prostu platforma dla wielomodułowej pracy z komputerem. Wiele z jego komponentów nie zostało jeszcze dopracowanych, a nawet i wprowadzonych. Centurygazer — panaceum na problem roku dwutysięcznego — był jednym z nich. Ale nie ma powodów do zmartwienia. Właśnie go ukończyliśmy. Tak naprawdę dopiero niedawno zaczęliśmy instalować go na komputerach naszych użytkowników.

— *Czyli kiedy?*

— Zaczęliśmy chyba wczoraj, a cały proces potrwa około tygodnia, w skali całego globu. Co się tyczy „radykalnych zmian”... Joshua, my niczego „radykalnie” nie zmienialiśmy. Jedynie wprowadzamy innowacje. Sieci komputerowe i grupy robocze o wspólnych zasobach systemowych stanowiły wielki krok naprzód. Telefony komórkowe stanowiły wielki krok naprzód. Jejkusiu, a co powiesz na faks? To ci dopiero wielki krok, faks! Windgazer 99 to po prostu kolejny krok. Nawet niezbyt duży. Tyle że jednoczesny dla wszystkich.

— Teraz pora na pytanie od Kyle'a Kamena z ABC News w Los Angeles.

— *Wielu ludzi zafascynował wygaszacz ekranu Windgazera 99, jak i ci maleńcy, słodcy, a czasem wcale nie tacy słodcy komputerowi przyjaciele. Ale kierownicy firm donoszą, że wydajność pracy spada, gdyż ludzie odczekują jedenaście minut i trochę z dala od klawiatury, by uaktywnić tę opcję. Jak Hinnom Computing zdołało stworzyć te głęboko osobiste obrazy — co wyraźnie ukazuje głębię waszej znajomości najbardziej intymnych szczegółów z życia zwykłych ludzi? Czy można je jakoś wyłączyć? I dlaczego niezbędne jest gromadzenie tak wielu informacji natury osobistej — podczas sesji sekretnych zwierzeń — od użytkowników posiadających takich przyjaciół?*

— Cieszę się, że o to zapytałeś, Carl.

— *Kyle.*

— Racja, Kyle. Nasza branża musiała wysłuchiwać podobnych narzekania na początku lat dziewięćdziesiątych, kiedy pojawiły się pierwsze systemy operacyjne z wbudowanymi grami, takimi jak Tetris, Solitaire, Minefield. Hej, to ci była zabawa! Lecz zaraz rozległo się jęczenie, więc ostatecznie firmy komputerowe zareagowały na żądania rynku. Gry stały się opcjonalnym komponentem systemu. Tera/Jest równie możliwe, całkiem możliwie możliwe, że ludzie powiedzą: „Oj, te wygaszacze ekranu są takie rozkoszne, że to jedynie wielka strata czasu”. Jejkuśiu... zupełnie jak kiedyś te gry. Dobrze, wtedy pewnie poprosimy naszych programistów, by znaleźli sposób na wyłączanie tej opcji. Wtedy moglibyśmy to robić — za nominalną opłatą, niewielką miesięczną należnością. Ale, Kyle, daj se trochę luzu! Pamiętaj, że te ekranowe ludziki ułatwiają proces komunikacji między użytkownikiem a komputerem. Humancentryczne komputery nie są niczym nowym.

Miałeś też dwa inne pytania. Aha. Informacje. Cóż, to chyba nic złowieszczonego. Wykorzystujemy te same bazy danych co firmy

specjalizujące się w reklamie pocztowej. Dwa miliardy reklam kart kredytowych rocznie nie spadają z nieba. Carl, obecnie prawie każdy komputer posiada tak zwane cookie, zawierające dane osobiste wszelkiego rodzaju; ta informacja udostępniana jest za każdym razem, kiedy otwierasz jakąś stronę internetową, niezależnie od tego, czy należy do „Time'a” czy do Hinnom Central. Przyznaję, że sztukę sporządzania profili konsumenta opanowaliśmy do perfekcji, lecz to wchodzi w skład innowacji, jakich ludzie nauczyli się oczekiwać od Hinnom Computing, innowacji, jakie zamierzamy nadal wprowadzać dla dobra nas wszystkich.

Eee, zanim zapomnę, Kyle. Pytałeś o naszych komputerowych przyjaciół. Hej, świecie, czy nic są kochani? Kochacie ich, czy ich kochacie? Ja osobiście nie potrafię zrozumieć, dlaczego paru pozostających w mniejszości ludzi krzywi się na nasze wysiłki zmierzające w kierunku uczynienia komputera bardziej przyjaznym człowiekowi. Nie jesteśmy pierwszą firmą w naszej branży, która wprowadziła animowane postaci na nasze ekrany. To stare dzieje. Ale popatrz na to z szerszej perspektywy. Miliony Japończyków uczyniło osobistych przyjaciół ze swych tamagochi — a to tylko bardzo proste komputery. W Polsce wielbi się Czarną Madonnę — a to tylko obraz. U nas widzieliśmy, co się działo z kamykami domowymi i pluszakami. Rozchmurz się, Kyle. Ludzie czczą zdjęcia Elvisa, Marilyn Monroe, a teraz najnowszego nastoletniego łamacza serc, Leo. A co powiesz o budynku kasy oszczędnościowej na Florydzie, gdzie na brudnym oknie ludzie widzą Dziewicę Maryję? Ha! Akurat ją! Myślę sobie, że ludzie chcą w coś wierzyć, choćby było to coś głupiego — a nasze komputerowe stwórki stanowią pewien postęp w stosunku do nie mytego okna.

— Nasze następne pytanie zada Marcel Loussier z „Le Monde” w Paryżu.

— *Nie jestem panem Loussier, ale bardzo chciałbym zadać moje pytanie.*

— Och, bomba. Proszę strzelać.

- *Skakałem ostatnio po sieci i trafiłem na stronę dyskusyjną, na której ktoś umieścił wiadomość od ludzi orientujących się w najnowszych planach rozwojowych Hinnom Computing.*
- Ha! Chciałbym dostać dolara za każdego człowieka, który twierdzi, że zna nasze plany rozwojowe. Ale zamieniam się w słuch.
- *W tej wiadomości była mowa o pańskim dziale T.I. Podobno pański dział T.I. zajmuje się kontrowersyjnymi badaniami, które wkrótce dobiegną końca i odmienia historię pracy z komputerem, a może i historię ludzkości. Nad czym dokładnie pracuje pański dział T.I. ?*

Hinnom skamieniał i umilkł.

Bez sekundy zawahania Linzer spojrział na monitor i obok Hinnoma ujrzał ciemny ekran. Wbiegł do biura i chwycił za telefon.

- Reżyserka. Tu Sid.
- Sid. Ten rozmówca... — zapytał Linzer. — Skąd jest to połączenie? Daj mi rozmówcę!
- Tego bieżącego? — zapytał leniwie Sid. — Nie wiem. Przeskoczyliśmy do Paryża, tamten facet połączył się, ale nie możemy złapać obrazu — tylko dźwięk.
- Znajdź go! — szczechnął Linzer. — Zaraz tam będę. — Linzer wypadł z biura, pognął do windy, uderzył w przycisk pięścią, ale zaraz zrezygnował i popędził po schodach w dół, wpadając po drodze na paru ludzi. — Przepraszam... Przepraszam... Z drogi... Z drogi.
- *Proszę pana ? Nad czym pracuje pański dział T.I. ?*

Hinnom odzyskał panowanie nad sobą i z pewnym wahaniem odpowiedział wolno:

— No, cóż, wszyscy na świecie wiedzą, co oznacza skrót T.I. Każdy dziennikarz prasy komputerowej, każdy menedżer—miliony ludzi codziennie używają tego terminu. To Technologia Informacyjna — zaśmiał się nerwowo. — Czy chciałby pan, by Hinnom

Computing zostało jedyną firmą komputerową na świecie, która nie posiada działu T.I.?

Przez szklane ściany reżyserki widać było gnającego przez studio Linzera. Niczym eksplodujący granat wpadł przez dźwiękoszczelne drzwi reżyserki do środka.

— Rozmówca?! — ryknął. — Gdzie on jest! — wyjąkał, przerzucając dźwigienki na panelach kontrolnych, usiłując zlokalizować źródło sygnału, obserwowany przez bezradnych techników.

— *Wiem, co oznacza skrót T.I. Sam miałem kiedyś taki dział. Ale, panie Hinnom, rozumiem, że pańskim działem T.I. kieruje osobnik*

*o imieniu Max. Max z Kanady.*

Linzer zbladł. Złapał za telefon i zadzwonił do laboratorium T.I. Na ekranie pojawiła się tusa głowy. /

— Max? — powiedział bez ogródek Linzer. — Nie wychodź na lunch. Pan Hinnom i ja chcemy zamienić z tobą parę słów. — Rzucił słuchawkę na widełki, odwrócił się do reżysera i warknął: — Przełączcie na innego rozmówcę.

Reżyser pospiesznie wduśił guzik, usiłując wywołać obraz z Rzymu. Ekran pozostał bez zmian.

— Przełączaj! — ryknął Linzer.

— Próbuje! — odkrzyknął bezradnie reżyser. — Nic z tego.

Linzer osobiście uderzył w klawisz, I jeszcze raz. Ciemna połowa

ekranu obok Hinnoma nie zmieniła się.

— Musimy teraz połączyć się z innym dziennikarzem. — Hinnom odkaszlnął niezręcznie, strzelając oczami na boki. — Witam następnego rozmówcę. Słucham.

— *To ciągle ja, panie Hinnom. Dlaczego Max jest przekonany, że świat zmieni się nieodwracalnie, kiedy dział T. I. rozwiąże problem „prawej strony” ? Co to właściwie jest ta prawa strona?*

Linzer złapał reżysera za kołnierz.

— Przełącz to cholerstwo na Rzym, sukinsynu, spróbuj Mel-



bourne. Odetnij go, i to zaraz, albo pożałujesz... — Linzer drgnął, kiedy coś wreszcie do niego dotarło. — Daj mnie na linię... Natychmiast! — Reżyser wduślił trzy klawisze, wskazał na mikrofon i odliczaniem na palcach dał Linzerowi sygnał.

— Czyżbyśmy znów rozmawiali z panem Levinem? — zapytał Linzer, wiedząc, że słucha go cały świat.

W Jerozolimie Sal rozplótł ramiona i z uśmiechem całkowitego zadowolenia klepnął w podstawioną dłoń Park. Zerknął na linię poleceń na ekranie Windy'ego i postawił go na stole w ich apartamencie w „Dan Pearl”.

Park nagryzmołała w dużym notesie: „Coś więcej o prawej stronie?”

Sal pokręcił przecząco głową.

Motke napisał: ZAPYTAJ JESZCZE O T.I.

Dan pochylił lekko głowę, by mówić wprost do mikrofonu Windy'ego, i przy okazji upewnił się, że kwadratowy kawałek taśmy izolacyjnej nadal przykrywa maleńki otwór kamery, odcinając obraz.

— Czy to pan, panie Levin? — powtórzył lodowatym tonem Linzer. — Sądził pan, że nie rozpoznam pańskiego głosu?

— *W rzeczy samej, to ja, I nadal czekam na odpowiedź. Windgazer 99 siedzi teraz na twardych dyskach setek milionów komputerów na całym świecie. Ludzie mają prawo być podejrzliwi, skoro pojedyncza, nie kontrolowana przez państwo firma z taką przeszłością, jak wasza, dysponuje wyłączną władzą nad konfigurowaniem i unieruchamianiem niemal wszystkich komputerów na tej planecie dzięki nocnym uaktualnieniom przez modem — albo też, że pozwolę dodać, ich brakowi. Raz jeszcze pytam: Nad czym pracuje pański dział T.I i co to za tajemny projekt dotyczący „prawej strony ” ? Jaki będzie jego wpływ na Windgazera 99 w naszych komputerach?*

— Skoro prawo do wolności prasy obejmuje także uzyskiwanie dostępu do naszych danych o projektach badawczych — prychnął Hinnom — naszych tajnych danych, nie widzę potrzeby kontynu-

wania tej konferencji prasowej. A może wznowimy ją, kiedy nasza stacja nadawcza nie będzie już narażona na bezprawne ataki hakerów. Cieszę się, że mogliśmy omówić dziś kilka bardzo ważnych zagadnień. Teraz proszę... proszę moje studio o zakończenie tej transmisji. Dziękuję. — Hinnom przesunął palcem po gardle, rozkazując przerwać nadawanie i nie wiedząc, że kamery zarejestrowały ten gest.

Czując na karku oddech Linzera, reżyser rzucił na ekran logo Hinnom Computing, a potem zakończył audycję. Hinnom złapał Windy'ego, zerwał się z trawy i popędził spiralnymi schodami do biura.

Linzer zadzwonił do jednego ze swych podwładnych z działu ochrony, wyjąc:

— Wszyscy — na całym świecie — mają sprawdzić wszystkie ośrodki prasowe, każdego człowieka, któremu posłaliśmy kamerę, cały personel wszystkich centrów konferencyjnych. Wszystkie procedury ... Ktoś znalazł sposób na wdarcie się na naszą konferencję... nazywa się Daniel Levin... Tak, znamy go, znamy, razem z nim jest nasza niezadowolona była pracownica — zapisz to sobie, Park McGuire... Wszędzie... Natychmiast. Berlin. Tokio. Boston... Eee, Chicago, zaczniacie od Chicago... Nie znam jego adresu, staramy się tutaj zarządzać firmą. Ty się tym zajmij!

Hinnom wpadł do reżyserki, dygocząc z wściekłości.

— Co się stało? — Reżyser usiłował coś odpowiedzieć, kiedy Hinnom wrzasnął: — Precz! Wszyscy precz! Wszyscy!

Linzer zagarnął ich ramionami i wypchnął z reżyserki.

— Precz! Precz! Precz! — powtarzał Hinnom, skacząc ze złości.

Linzer nawet nie próbował go uspokajać, na moment rozłożył ramiona, lecz zaraz opuścił je zrezygnowany.

— Znajdź mi lego Levina! — warknął Hinnom, wypluwając z siebie słowa. — Ale najpierw daj mi... Maxa!

Linzer i Hinnom nic nie mówili. Siedzieli na składanych krzesłach w laboratorium T.I., a łysa głowa, usadowiona parę stóp przed

nimi, spoglądała na nich, przygryzając nerwowo wargi... całkowicie nieświadoma.

Następna minuta. Wciąż nic.

Ogolona głowa przełknęła głośno, zaczęła coś mówić, lecz zaraz zamilkła.

W końcu Hinnom zapytał potulnie:

— Max, wiesz, dlaczego tu jesteśmy?

Ledwie zauważalnie pokręcił głową na boki, skrzywił się i wyduśił z siebie: „Nie”. Linzer zapytał cicho:

— Widziałeś globalną telekonferencję na temat Windgazera 99?

Max wolno pokręcił przecząco głową.

— Mam dużo pracy, jestem zajęty. Terminy mnie gonią, sam pan wie.

— Byliśmy dla ciebie bardzo dobrzy, Max — zaczął łagodnym tonem Hinnom. — Jejkusiu. Zajęliśmy się tym gówienkiem w Kanadzie, sprowadziliśmy tutaj. Uposażyliśmy. Wszystek sprzęt, jakiego zażądałeś. Nie limitowany budżet. Miejsce w historii. Nawet własne miejsce na parkingu. A prosiłszy jedynie o to, żebyś z oddaniem kontynuował swe prace nad T.I., z dala od kłopotów życia codziennego, i dostarczył nam tego, czego potrzebujemy — czyli zdolności kontrolowania prawej strony. „Kontrolowanie” to nie najlepsze słowo. Stymulowania... stymulowania i współpracy z prawą stroną, tak lepiej, prawda? Swego rodzaju układ o wzajemnej

'wymianie handlowej.

— Mnie to odpowiada, panie Hinnom... Ben — odparł Max.

— Nie mów do mnie Ben — uciął Hinnom.

— Tak, oczywiście. — Max przełknął głośno.

— Więc co to za ujawnianie szczegółów swojej pracy w Internecie, e-mailach do kumpli, czy coś w tym stylu?—zapytał Hinnom, uśmiechając się od ucha do ucha. Linzer przysłuchiwał się temu beznamiętnie.

Max zamrugał szybko, wyglądał na całkowicie zbitego z tropu.

— Co pan chce?...

— Chcę przez to powiedzieć... — Hinnom wybuchnął niczym

wulkan — że tyyyyy — ty, Max — rozmawiałeś o swojej pracy z kimś spoza firmy, co jest jaskrawym pogwałceniem twojego KT, jawnym naruszeniem wszystkich praw o tajemnicy handlowej obowiązujących w tym stanie i ustanowionych przez rząd federalny, a przede wszystkim bezczelną kpina z umowy, jaką osobiście z tobą zawarłem. Coś ci się nie zgadza?

Linzer uruchomił Windy'ego. Matowym, płaskim głosem wyrecytował:

— Max, masz teraz wartość rynkową 63 512 dolarów, jeśli wycenę twego domu sprzed pół roku przyjmemy za stan faktyczny. Gdybyśmy mieli wystąpić przeciw tobie na drogę sądową za wyjawienie sekretów firmy i uzyskać odszkodowanie w wysokości, po wiedzmy, paru milionów dolarów, żałowałbyś tego przez resztę życia. Oczywiście potraktowalibyśmy twój występek za oszukańczy i nie podlegający unieważnieniu skutek bankructwa, tak więc nawet nie mógłbyś ogłosić niewypłacalności. Sam nie wiem. Może wykonywałeś osobiste rozmowy międzymiastowe ze służbowego telefonu, a to... cóż, to chyba malwersacja. Może budżet operacji T.I. wymaga dokładniejszego przeanalizowania. Może popełniono jakieś przestępstwa. Może resztę życia spędzisz w więzieniu. Może zgwałcą cię tam z trzy, cztery razy, zanim zostaniesz zabity w najmniej spodziewanym momencie, od uderzenia kosą w szyję, o tu. — Linzer wskazał na tętnicę szyjną. — Może dzisiejszy dzień nie okaże się dla ciebie zbyt szczęśliwy, Max.

Max nie mógł się pozbierać. Usiłował coś powiedzieć, usiłował oddychać. Był w stanie jedynie ciężko dyszeć.

- Uspokój się — powiedział łagodnie Hinnom. — Weź oddech. .. dobrze, teraz następny... Dobrze. A teraz mów.
- Nie powiedziałem nikomu ani słowa—zareczył Max. — Nie wiem, jak to się stało. Kontaktowałem się jedynie osobiście z panem, panie Hinnom.
- Zabójczy dowcip — odciął się Hinnom z udanym śmiechem. — Wyobraź sobie, że właśnie miałem przyjemność uczestniczyć w ogólnoswiatowej konferencji prasowej — na żywo — podczas której pewien niezależny dziennikarz utrzymywał, że surfując po sieci,

natrafił na jednej z list dyskusyjnych na twoje e-maile wspominające o naszym dziale T.I. i wysiłkach związanych z prawą stroną.

— Nie. Nie — wybełkotał przerażony Max. — Wysyłałem e-maile tylko do jednej osoby. Do pana, panie Hinnom, i to nigdy przez główny serwer, dla bezpieczeństwa. Zawsze, jak pan polecił, przez zamknięte łącza Windy'ego. Ktokolwiek miałby dostęp do naszych rozmów albo katalogów, w których są przechowywane, musiałby mieć Windy'ego, a istnieją tylko dwa prototypowe modele i oba znajdują się w tym pomieszczeniu, w rękach panów.

Linzer i Hinnom spojrzeli na siebie.

— Rosie, nasza znudzona życiem sekretarka — powiedział Hinnom. — Nigdy nie znaleźliśmy trzeciego Windy'ego.

— Od Rosie krótka droga do Park McGuire — uzupełnił lodo-watym tonem Linzer. — Od Park McGuire do Dana Levina i kto wie kogo jeszcze...

Obaj mężczyźni pospiesznie zastukali w klawiatury, poszukując śladów nie autoryzowanego wtargnięcia do systemu.

— Nie sposób stwierdzić — rzekł Linzer, dodając: — Sprawdź pliki związane z T.I.

— Windy jest nie do powstrzymania — przypomniał mu Hinnom. — Otwiera wszystkie zabezpieczenia, prześlizguje się przez każdą ścianę ogniową.

— Nawet jeśli ktoś zdołał się włamać, nie znalazł zbyt wiele — zapewnił ich entuzjastycznie Max. — Zawsze używałem kodu i nigdy nie wspominałem bezpośrednio o projekcie i jego naturze. Jest tam parę odniesień do prawej strony, ale żadnych szczegółów.

— Dobrze — ustąpił Hinnom. — Zapomnijmy o naruszeniu tajemnicy służbowej, procesie, więzieniu, gwałcie analnym, znowu się kochamy. Bo i co ten ktoś mógłby zrobić? Prace są zbyt daleko posunięte. Nowa wersja zostanie zapowiedziana za parę dni — czwartego lipca. A przygotowania do końca stulecia postępują zgodnie z harmonogramem. Zgadza się?

— Mogę pokazać na monitorze parę fascynujących rzeczy? — zapytał Max.

— Nie — odparł Hinnom. — Nie potrzebuję grafiki. Ale zasta-

nów się nad ważniejszym pytaniem. Szydło T.I. wyszło z worka. Gdyby ktoś zapytał, czy to Hinnom Computing wymyśliło program T.I.... cóż, to nie my, prawda? — zapytał gniewnie. — Jak byś ty odpowiedział?

- My? Och, to nie my — odparł rozdygotany Max. — Termin jest względnie nowy, lecz sama idea nie należy do najświeższych. Nie należy do najświeższych.
- Ach! — wykrzyknął Hinnom, łapiąc się kurczowo tych słów i nagle zmieniając swe zachowanie na potulne, wręcz uspokajające. — „Idea nie należy do najświeższych”, powiadasz. To dobrze, Max. A więc, gdyby ktoś zapytał cię akurat o nią, mógłbyś naszkicować jej historię. Bo media będą cię pytać. Możemy się założyć. A ty z pewnością jesteś w stanie przekonać ich, że historia T.I. jest wcześniejsza od naszej firmy. Możesz przedstawić im wszystkie historyczne dane i szczegóły. Zgadza się?
- O, tak — zapewnił go Max. Zaczął omawiać temat z ulgą, która wypływała z możliwości wyjaśnienia wszystkiego. — Proszę mi przerwać, gdyby wykład się przeciągał.
- Zaczynaj już — Hinnom nie pozwolił mu dokończyć, z wysiłkiem utrzymując zachęcającą minę.
- A więc — tłumaczył Max. — To prawda, że terminu „Technologia Ingerencji” bądź „Wpływu” behawioryści używają od około pięciu lat na określenie zjawisk, takich jak kontrola myśli, kontrola tłumu czy badania nad nieśmiercionośnymi rodzajami broni — elektromagnetyczną, radiową, świetlną, dźwiękową — wszystko. Lecz w rzeczywistości prace rozpoczęto w Oświęcimiu i Dachau — mam na myśli eksperymenty doktora Heinhema, tak zwanego Mrocznego Anioła. Japończycy, jak mi się wydaje, podczas drugiej wojny światowej wydawali parę milionów jenów rocznie na prace nad promieniem śmierci, który zabijałby ludzi na odległość kilku mil emisją fal radiowych. Ameryka zrobiła pierwsze kroki w tym kierunku po wojnie — ciągnął dalej Max — gdyż Marynarka uważała, że te eksperymenty można wykorzystać dla naszych potrzeb. Marynarka przechwyciła faszystowskich lekarzy podczas operacji „Szcze-biotka” w Poczdamie. Potem przerzucono ich do amerykańskich

laboratoriów wojskowych w ramach operacji „Spinacz”. Che, che, tak dotarliśmy na Księżyc. Niemieccy technicy raketowi. Szczęśliwie dla naszych starań, nie wszyscy mierzyli w gwiazdy, niektórzy celowali bliżej domu — powiedział Max, klepiąc się po głowie.

- Prawy płat skroniowy — potwierdził Hinnom.
- Cóż, nie od razu się nim zainteresowano — poprawił go Max.  
— Pierwsi badacze wiedzieli, że fale radiowe krótsze niż parę metrów mogą kasować komórki mózgowe. Od zabijania do manipulowania mózgiem przechodzono stopniowo, dopiero w latach sześćdziesiątych i siedemdziesiątych. Programy wykorzystujące technologię ingerencji prowadzono w większości pod auspicjami wojska i CIA, zazwyczaj dzięki grantom badawczym z zewnątrz. Wiele pracy wykonano na kanadyjskich uniwersytetach. I znowu — dodał Max z niejakim zakłopotaniem — tu właśnie zaczyna się moja rola. Kiedy część tych programów utraciła swe źródła finansowania — ciągnął dalej Max, zaciskając zęby — naukowcy — zwłaszcza Kanadyjczycy — zaczęli wykorzystywać swą wiedzę w medycynie albo też w sektorze prywatnym. Ja, jak panowie wiecie, nie potrafiłem skorzystać z żadnej z tych możliwości. Po tamtym wypadku — wciąż żałuję, że do tego doszło, panie Hinnom, zawsze będę żałować... wyłądowałem tutaj i jestem za to wdzięczny, och, tak wdzięczny.
- Czyli badania nad falami radiowymi, manipulowanie myślami, ple, ple — wszyscy o tym wiedzą — podsumował Hinnom z przekonaniem. — To chciałem usłyszeć. Wszyscy. Absolutnie, bez wyjątku wszyscy. Nikt nie zacznie narzekać ani mędzić. To sprawa bezpieczeństwa narodowego. Hej, bezpieczeństwa narodowego.
- Tak naprawdę dopiero w latach dziewięćdziesiątych informacje o tych badaniach zaczęły przeciekać do prasy — mówił dalej Max. — Ale pewnie, jeśli tylko chciało się słuchać, nie sposób było tego przegapić. Rany, CNN, „Time”, „U.S. News” — wszędzie tam pojawiały się długie raporty o tym, że wojsko i CIA wykorzystują fale radiowe do kontrolowania ludzkich umysłów. Ludzie trochę spanikowali. Prezydent Clinton, ma się rozumieć, podpisał dyrektywę 12 975 — trzeciego października 1995 roku, czyli, nawiasem mówiąc, w moje urodziny — tworząc Narodową Bioetyczną Ko-

misję Doradcą do spraw Ochrony Ludzi w Programach Badawczych. Na jakiś czas główny ciężar badań przesunął się gdzie indziej. Wiele dobrego, wiele dobrego osiągnięto w leczeniu epilepsji operacjami prawego płata skroniowego i dzięki powiązaniu wadliwie funkcjonujących płątów z poziomem glukozy. Hinnom zaklaskał w dłonie, oznajmiając:

- Proszę bardzo. Możemy ratować ludzkie życie, poprawiać los ludzkości, robić coś dobrego.
- Lecząc parę lat temu — uzupełnił Max — wahadło wychyliło się w przeciwną stronę. Badania nad nieśmiertelnością bronią w Pentagonie uzyskały dostęp do wielkich funduszy. Przeżywają drugą młodość. Teraz więc na tapecie jest wiele projektów jednocześnie. Wreszcie dotarło do nich, że Rosjanie biją ich w tej dziedzinie na głowę. Sowieci wykorzystywali swoją maszynę Lido w zakładach dla obłąkanych — gdzie niewielu pacjentów było rzeczywiście obłąkanych, przynajmniej w chwili przyjęcia. To małe pudełko, Lido, przekazuje słowa i dźwięki do prawego płata skroniowego — przeprogramowuje go w staroświecki sposób. Staroświecki, powiadam — wyjaśnił Max — bo sowieckie Lido wykorzystuje staromodne kable, no, wie pan, elektrody podłączone — przyłożył palec do ucha — do prawego płata skroniowego, gdzie mieszczą się ośrodki mowy, wzroku i analizy dźwięków. Obecnie potrafimy osiągnąć identyczne rezultaty przy zastosowaniu fal radiowych. Odległość wciąż jeszcze stanowi problem. Lecząc możemy już przesłać wiadomość przez telefon komórkowy albo też monitor komputera, jeśli odbiorca oddalony jest o mniej niż osiemnaście cali. Sądzę, że z czasem odległość ta będzie się powiększać. Kiedy komputerowi przyjaciele Windgazera zaczną szeptać i ludzie będą przysuwać się do monitorów, by ich słyszeć, nasze rezultaty staną się pewniejsze.
- Stwierdziłeś, że istnieje kilka różnych rozwiązań — zapytał Hinnom. — Do jakich wniosków doszedłeś?
- Każdemu według potrzeb — odparł Max, czując się już odrobinę pewniej przed tą szczególną publicznością. — Wszystko zależy od celu. Przechwyciliśmy fale mózgowie ludzi zestresowanych i odprężonych, wystraszonych, podnieconych, zawstydzonych



- od koloru do wyboru. Tak więc możemy nadawać te nagrania
- zachichotał nerwowo. — Policja odbijająca zakładników może uspokoić albo zdeorientować terrorystów — jeśli mówię zbyt szczegółowo, proszę mi przerwać — a wojsko jest w stanie zneutralizować zarówno żołnierzy, jak i cywilów podczas lokalnych konfliktów na niedużą skalę — Haiti, Bośnia, południowy Irak, wszystko jedno. Wiem, że zwiadowcze oddziały Fok próbowały przygotować broń psychologiczną na Somalię i wojnę w Zatoce Perskiej. Do Somalii zabrano uruchamiane laserowo urządzenia, które nawet zostały rozmieszczone, lecz wygląda na to, że dowództwo nie zdecydowało się na ich użycie. Inne rozwiązanie zakłada po prostu stymulowanie fragmentów prawego płata skroniowego odpowiedzialnego za analizę światła, dźwięku i ruchu — i osiągnięcie w ten sposób pożądanego efektu. Teraz zaczyna się robić nie z tej ziemi
- skomentował Max. — Aż dreszcze chodzą po plecach. Najbardziej zastanawiające przypadki dotyczą dzieci, dzikusów, zwykłych zjadaczy chleba — każdego, kto otarł się o śmierć. Wszyscy oni widzieli jedno i to samo. Białe światło, tunel, twarze bliskich, wszystkie te wyświechtane rekwizyty z kiepskich filmów. Cóż, tak zwane życie po śmierci to po prostu nadmierna stymulacja elektromagnetyczna prawego płata skroniowego, do jakiej dochodzi w momencie śmierci, ustanie pracy płuc i mózgu, mnóstwo fajnych rzeczy. Widzicie panowie, ta reakcja psychofizjologiczna jest tak przewidywalna, że już wiemy, jak to powinno wyglądać. Ekstra. Niektórzy ludzie, którzy przez to przeszli, dalej emitują fale radiowe, tak intensywnie, że ich komputery nie chciały pracować w ich obecności.
- A-ha! Oto, jak Hinnom Computing zajęło się tym zagadnieniem. Zupełnie niewinna sprawa. Zupełnie niewinna — powiedział Hinnom. — Próbuje usunąć możliwe źródła zakłóceń pracy komputerów. Voila, zorganizowaliśmy własny dział T.I.
- A na domiar tego — uzupełnił Linzer — znaleźliśmy rozwiązanie.
- Myślę... — powiedział Max — nie wściekajcie się, ale myślę, że Bóg przemawia do człowieka za pośrednictwem płata skroniowego. Potrafimy to zarejestrować, wykonać mapę aktywno-

ści mózgu, zanalizować uaktywnione fragmenty. *Deja vu*, głosy, zmiany osobowości, widzenia twarzy, niepohamowany przymus gadulstwa. Dzieciaki, którym odbija i rozwalają rodziców, matki dzieciobójczynie... wszyscy mówią „diabeł kazał mi to zrobić”. Mówią „słyszałem głosy w mojej głowie”. Cóż, słyszeli je w swoim prawym płacie skroniowym. Kiedy zakończymy nasze badania, Windgazer 99 teoretycznie — jak zakładam — będzie w stanie kontrolować prawy płat skroniowy — zapewnił ich Max. — Facet ze spaczonym charakterem mógłby zawładnąć światem — roześmiał się nerwowo. — Albo nawet stać się Bogiem.

- Dziękuję za wyjaśnienie, Max — odparł Hinnom. — Grzeczny z ciebie chłopiec. I twierdzisz, że zdążysz z uaktualnieniem przed końcem roku, zgadza się?
- Tak, tak — zapewnił go Max. — Przepraszam za to dzisiaj...
- Wystarczy — uciszył go Hinnom. — T.I. czeka. Wracaj do pracy.

Linzer i Hinnom wyszli z laboratorium bez słów, niemalże na bezdechu. Przed drzwiami windy Hinnom rozejrzał się na boki, upewnił się, że są sami, a wtedy w jego oczach pojawiły się łzy. Szlochając, objął Linzera.

- Och, tak. Och, tak.
- Rozumiem, że jesteście gotowi? — zapytał Linzer.
- Tak. Daj oświadczenie do prasy, na cały świat, dla wszystkich. Powiedz im, że odkryliśmy strasznego knota w Windgazerze 99. Nasz program zabezpieczający nie działa zgodnie z przeznaczeniem. Sytuacja na dzień dzisiejszy jest taka, że wszystkie komputery na świecie przestaną funkcjonować — niewątpliwie, nie być może — 1 stycznia 2000 roku. Co się tyczy tych, którzy zabezpieczyli się przed milenijną pluskwą programem z innego źródła, niechcący i niestety, zniszczyliśmy ich zabezpieczenia naszym wadliwym oprogramowaniem. Bardzo tego żałujemy. Ale jesteśmy w stanie to naprawić. O, tak, jesteśmy w stanie. Specjalna nowa wersja, wersja 0.9, zostanie udostępniona na czas — za darmo, że pozwolę sobie zauważyć. Ostateczne rozwiązanie kryzysu roku dwutysięcznego będzie przesłane całej ludzkości i zainstalowane na jej komputerach

31 grudnia 1999 roku, co zbiegnie się z najbardziej okazałymi obchodami w historii. Koniec wszystkich problemów — wystarczy tylko zainstalować Windgazera 99.9.

## 13 ZWÓJ

### MIEDZIANY

Motke, Sal i Park wpadli do westybulu przy Hillel Street, na sąsiednią klatkę schodową, dwa stopnie do góry, do następnego wejścia i przejściem pod drzwi biur Dereka. „*JVu?*”, rzucił Motke w stronę kamery. Ciężkie, stalowe drzwi otworzyły się ze szczękiem. Przeszli przez dwudrzwiowa służę. Pogodny weteran w czarnym berecie skontrolował ich bagaże.

— *Szaalom* — pozdrowił go Motke.

— Szalum — dorzuciła Park.

Sal skinął uprzejmie  
głową.

Uśmiechnięty stary bojownik pokiwał w odpowiedzi swoim wypolerowanym i naoliwionym M-1.

— Nowy? — szepnęła do Motkego.

— Pierwszy raz go widzę.

Cała trójka dziarskim krokiem udała się do sali konferencyjnej, gdzie usadowili się już nieliczni programiści nadal pracujący nad Ohrem 2000, prawie nie zauważając staruszki szurającej papciami po podłodze i roznoszącej herbatę.

— Kuebitz? — zapytał Motke, kiedy Ronit przechodziła obok nich korytarzem.

— Znów ugrzązł w Hakiryi — oznajmiła beznamiętnie. — Zadzwoni za dziesięć minut — dodała, znikając w sąsiednim pomieszczeniu.

— Czy to coś nowego? — mruknął pod nosem Motke. Przeciągnął przewód z pustego biura Kuebitza na salę konferencyjną. Telefon

zadzwoił, lecz tym razem, jako że Windgazer 99 opanował już cały świat, posępni programiści ledwie zwrócili na to uwagę.

— Dzień dobry. Jest pan tam, doktorze Kuebitz? — zapytał Motke.

— Tak, proszę kontynuować — odparł głos Kuebitza.

— Dobrze — powiedział Motke, rozkładając faks. — Zaczynamy. Niewiele mogę powiedzieć. Wczoraj, podczas gdy w Stanach wszyscy zajęci byli obchodami Święta Niepodległości, Hinnom Computing wypuściło oświadczenie dla prasy. Już na pewno je znacie. Wywołało wielki wstrząs na całym świecie, a oni nie chcą powiedzieć nic więcej. Windgazer 99 to oszustwo — tak ja bym to określił. Według nich, Windgazer 99 ma błąd, który jakoś umknął ich uwadze. Windgazer 99 nie zapobiega milenijnej pluskwie; wręcz przeciwnie, sprawia, że nie sposób jej uniknąć. Hinnom „przeprasza za niedogodności”. To cytat z ich oświadczenia. Oczywiście, zapewniają, że wszystko zostanie naprawione w dechę w Windgazerze 99.9, nowej wersji — lecz dopiero 31 grudnia 1999 roku, czyli, nawiasem mówiąc, w ostatni szabat dwudziestego wieku.

Co za sytuacja — rozszalał się Motke. — Dziś mamy szóste go lipca i żadna firma, ani nawet konsorcjum, nie jest w stanie uruchomić nowego programu w celu zastąpienia Windgazera. Derek, ma się rozumieć, dysponuje Ohrem, ale my także jesteśmy bez szans. Dziś mamy ten sam problem, co parę miesięcy temu. API Windgazera decydujące o kompatybilności zmieniają się co parę dni podczas conocnych uaktualnień. Nie możemy zaprogramować ich konwersji, gdyż nie są one jednolite. Wygląda na to, że Windgazer wykorzystuje trzy lub cztery API i w każdym pojedynczym komputerze modyfikacje przebiegają jakby na chybił trafił. Danego dnia jeden komputer otrzymuje jedną wersję API, podczas gdy sąsiedni wyposażony jest w inną. Po tygodniu sytuacja przedstawia się dokładnie na odwrót. Do tego dochodzą różnice między krajami. W Ameryce odkryliśmy jeden zestaw API, inny jest w Kanadzie, jeszcze inny w Danii. Nikt nie jest w stanie przewidzieć, co i gdzie się pojawi. Nawet nie jest to takie skomplikowane. Wręcz proste — tak jak generator przypadkowych liczb.

- To jest to — wykrzyknęła podniecona Park. — To jest właśnie to. Hinnom wykorzystuje system podobny do generatora kodów poczty elektronicznej, jaki stosuje w swojej centrali. Każdego dnia generuje inny identyfikator dla każdego użytkownika. Ben Bandzior musiał przygotować parę milionów tych przypadkowych kodów...
- To nic trudnego — oznajmił jeden z programistów, nawet nie podnosząc głowy. — Mógłbym zrobić coś takiego. — Pozostali leniwie przytaknęli.
- A — uzupełniła Park — system Hinnoma musi przypadkowo przypisywać każdemu komputerowi na świecie inny identyfikator każdego dnia. Jednego dnia twój identyfikator brzmi tak i tak, a podczas nocnego uaktualnienia wprowadzany jest nowy. Masz rację — to nie jest skomplikowane. Tylko podstawne.
- Podstawowa kryptografia — przytaknął inny programista.— Nawet nie to. To jak kluczyki od samochodu — przypadkowy układ trzydziestu czy czterdziestu wzorów. Na każdym parkingu wypełnionym toyotami jeden kluczyk otworzy kilka samochodów.
- Pewnie — zgodził się Motke. — Potrzebujemy tylko klucza. Zbierzemy wszystkie numery...
- Jeszcze prościej — wtrąciła Park. — Znajdziemy wspólną strukturę wszystkich numerów. Wtedy nasze antidotum będzie mówiło komputerowi, że jeśli otrzyma taki a taki numer podczas uaktualnienia, powinien przekonwertować go na numer Ohra. Powiedzmy, że nocne uaktualnienie jest dowolną kombinacją pięćdziesięciu cyfr. Wystarczy zaprogramować nakładkę, która będzie zamieniać każdą taką kombinację na nasz uniwersalny kod uaktywniający. Oczywiście nasz kod pozostanie niezmienny. To raz na zawsze powinno rozwiązać ten problem.
- Chyba że zmieni uaktualnienie API z określonej liczby cyfr — pięćdziesięciu, może siedemdziesięciu pięciu — na coś, czego nie będziemy potrafili przewidzieć — podsunął Motke. — Podejrzewam, że dokładnie do tego dojdzie. Chciałbym wiedzieć, jaki będzie ich kolejny krok, bo to już nie jest walka o kontrolę rynku i zyski. Teraz świat walczy o przetrwanie, ponieważ nie możemy polegać

ani na Windgazerze 99.9, ani na żadnym następnym produkcie Hinnom Computing.

Park zerknęła na Sala, przypominającego linię prostą walczącą z krzywą.

— Sal poczynił pewne postępy w swoich badaniach — podsunęła Park.

Wszyscy umilkli. Jakich badaniach?

— Sal odwiedzał pewne normalnie niedostępne serwery — wyjaśniła Park.

— Bawił się w hakera? — zapytał ktoś z cieniem uśmiechu.

— Nie pytajcie, a nie będziecie wiedzieć — wtrącił sentencjonalnie Motke. — *Nu?* Powiedz coś, Sal.

Sal schował się odrobinę w sobie.

— Mam dostęp do...

Wszyscy pochylili się w jego stronę.

— ...do wewnętrznej sieci Hinnom Computing — całej firmy, włącznie ze znaczną liczbą zamkniętych serwerów. Mogę się do nich dostać, a oni nie są w stanie mnie powstrzymać. Zazwyczaj nawet nie wiedzą, że tam jestem. Pewnych rzeczy się dowiedziałem, inne zgaduję, bo informacje są ustawicznie przenoszone z miejsca na miejsce. Problem polega na tym — widząc, że wszyscy słuchają go uważnie, nabrał nieco pewności siebie — że Hinnom rzeczywiście wykorzystuje przypadkowo generowane liczby przy modyfikowaniu API komputerów, lecz jest to rozwiązanie przejściowe. Wkrótce zacznie wykorzystywać fale radiowe.

— Przejdzie na radio? — zapytał Motke. — Kiedy?

— Niezbędna technologia zostanie przekazana wraz z wersją 0.9 trzydziestego pierwszego grudnia — odparł Sal, pochylając głowę. — To może mieć coś wspólnego z jakością samego sprzętu. Jego tajny dział T.I. pracuje nad projektem, który wymaga rozwiązania problemu prawej strony. Dan pytał o to podczas konferencji prasowej. Ale nie potrafię tego rozgryźć. Może system kontroli radiowej ma być instalowany asymetrycznie i nie mogą sobie na razie poradzić z jakimiś zakłóceniami. Brzmi to naciąganie...

— *Szalom, szalom.* Owszem, bardzo naciąganie.

Wszyscy się odwrócili. W drzwiach stał Dan.

- Hej. Jestem tutaj, bo mam dla was coś ciekawego.
  - Dan — zgorszył się Motke — to tajne miejsce. Nie możesz tu przychodzić. Jak tu w ogóle trafiłeś?
  - Machnąłem legitymacją prasową, a dziadek z zabytkową rurą wpuścił mnie do środka — wyjaśnił. Odwrócił się do staruszki na stołku i poprosił w jidysz o herbatę, a potem usiadł. Zadowolona z tego, że odezwał się w jidysz — nikt już tego nie robił — babcia pospiesznie poczłapała po czajnik.
  - Jak znalazłeś to miejsce? — zapytał Motke, spoglądając na Park i zastanawiając się, czy aby nie naruszyła zasad bezpieczeństwa.
  - Daj spokój — prychnął Dan. — Dawno temu, zanim Derek się tu wprowadził, mieściła się tutaj siedziba firmy, w której zamawiałem usługi telefoniczne. Gdzie doktor K.? Też powinien to usłyszeć.
  - Jestem tutaj — oznajmił głos z Kuebitza z głośnika.
  - Pomysłowe — przyznał Dan. — Mogę podzielić się z wami moją nowiną. Tak sobie myślę, że chcielibyście ją usłyszeć.
  - Proszę bardzo — powiedział głos Kuebitza.
- Motke zawahał się i usiadł na swoje miejsce.
- Nikt z was nie ma pojęcia, co to jest ta prawa strona — zaczął — a ja powinienem był to rozgryźć na samym starcie. Ale dotarło to do mnie dopiero dziś rano. — Przerwał, by wszyscy skupili na nim swą uwagę, a potem poklepał się po głowie nad prawym uchem. — Jest tutaj.
  - I przyprawia cię o ból głowy? — zażartował Motke.
  - Blisko — odparł Dan i obrócił się do Park. — Jakie czasopisma wydawałem przez wiele lat?

Park wymieniła kilka:

- „Wingtip”... „Chicago Monthly”... „Highstyle”...
- „Brain Journal” — uzupełnił dramatycznym tonem Dan. — Sukinsyn. Prawa strona to po prostu prawy płat skroniowy, duchowe centrum mózgu, ośrodek rozpoznawania dźwięków, obrazów, twarzy, postrzegania i analizy mowy. Zwarcia w prawym płacie skro-

niowym to nic miłego. — Tonem wytrawnego wykładowcy wyrecytował listę skutków. — Wylewy i ingerencje mogą się objawiać dziwnymi zaburzeniami osobowości i zachowania, w tym upieraniem się przy prawdziwości twierdzeń, których fałszywość została dobitnie udowodniona, *deja vu*, niezrozumiałym rozbawieniem, nieprawidłowym rozpoznawaniem bodźców wizualnych i dźwiękowych. Kontrola nad prawym płatem skroniowym oznacza możliwość stworzenia człowieka pozbawionego wolnej woli lub zamienienia pobożnego licealisty z małego miasteczka w satanistycznego seryjnego mordercę. Kiedy się o tym dowiedziałem, sam nie wierzyłem mojemu prawemu płatowi skroniowemu — przyznał Dan. — Tak więc przyjrzałem się informacjom na temat badań nad prawym płatem skroniowym dostępnym na sieci i oto, proszę bardzo, zaawansowane projekty nad wykorzystaniem fal radiowych do stymulowania ludzkiego mózgu dla wojska przeprowadzano za pośrednictwem DARPA...

— Tajnej agencji technologicznej Pentagonu, tej, która współuczestniczyła w stworzeniu Internetu? — wtrąciła Park.

— Tej samej... Niewinna nazwa, nie zwracająca na siebie uwagi. Defense Advance Research Projects Agency, Agencja Zaawansowanych Obronnych Projektów Badawczych. DARPA prowadziła całą serię projektów znanych pod wspólną nazwą Technologii Ingerencji. To właśnie to T.I., o które przyciskałem Hinnoma podczas konferencji prasowej. T.I. oznacza Technologię Ingerencji. Zapуściłem wyszukiwarkę i znalazłem w sieci artykuł naukowy podpisany przez kilku kanadyjskich badaczy, zatytułowany *Mózg i radiowe bronie nowej generacji*. Strzał w dziesiątkę.

Odwrócił się do Sala.

— Znalazłeś faceta o imieniu Max z tak zwanego działu T.I., który wysyłał listy elektroniczne do Hinnoma na temat prawej strony i wspominał o swych pierwotnych badaniach w Kanadzie. — Obrócił się z powrotem do sali. — Cóż... Maxwell Glennin był jednym z młodszych badaczy podpisanych pod artykułem *Mózg i radiowe bronie nowej generacji*. Publikacja ta rozważa sens i cel działań wojskowych, mających za zadanie unieszkodliwienie całej populacji



przez przesyłanie bodźców radiowych za pośrednictwem telefonów komórkowych, radioodbiorników, odtwarzaczy płyt kompaktowych i oczywiście komputerów. Dobrze słyszeliście. Komputerów.

Zapomnijmy o tym, że uniwersytet rozwiązał zespół badawczy, kiedy skończyły się fundusze. I o drobiazgach takich jak aresztowanie Maxwella Glennina za spowodowanie wypadku samochodowego ze skutkiem śmiertelnym w Brytyjskiej Kolumbii. Ciekawe, nigdzie nie znalazłem wyroku w tej sprawie. Wydaje się wręcz, że oskarżenie zostało wycofane. Dlaczego, tego nie wiem. Nazwisko Glennina nie występuje w żadnej kanadyjskiej książce telefonicznej, więc jego samego nie mogłem zapytać. Na wszelki wypadek zadzwoniłem na informację telefoniczną w Scattle. Książka telefoniczna to najlepszy przyjaciel dziennikarza. Maxwell Glennin? „Bardzo mi przykro, numer zastrzeżony”. Drugi raz strzał w dziesiątkę. A więc jeszcze raz sięgam po telefon — uśmiechnął się Dan — dzwonię do centrali Hinnom Computing i proszę o połączenie z Maxwelllem Glenninem. Telefonistka odpowiada, że wszystkie jego rozmowy są kontrolowane, pańskie nazwisko? Stukam parę razy w słuchawkę, kiepskie połączenie, i rozłączam się. Panowie — spojrział na Park — i pani... podejrzewam, że Ben Bandzior naprawdę uważa, że potrafi udoskonalić to, co Madison Avenue i personel w każdym wielkim markecie stosują od dziesięcioleci w prymitywniejszej formie — sugestie podprogowe. Tyle że na znacznie większą i bardziej złowieszczą skalę. Tu nie chodzi o panowanie na rynku. Tu chodzi o panowanie nad umysłami. — Dan postukał palcem wskazującym w prawą skroń. — Chodzi o umysł, o świątynię ludzkiego umysłu — podkreślił z naciskiem Dan. — A co oznacza słowo „świątynia”? — zapytał tonem wykładowcy. — Oznacza kilka rzeczy. Rzymscy prorocy poszukiwali znaków albo obecności w określonym miejscu. Po łacinie to *tueor*. Grecy mówią *thos*, a Rzymianie *deus*. Ale oba te słowa pochodzą od tego wspólnego rdzenia, *tueor*, „obecność w określonym miejscu”. Miejsce, w którym Bóg objawiał swą obecność, nazywano świątynią. Wszyscy to wiemy, prawda? — Dan poklepał się znacząco obiema dłońmi za uszami. — Świątynia mieści się właśnie tutaj. W prawym płacie

skroniowym, gdzie objawia się Bóg. — Jego twarz poczerwieniała z wściekłości. — Mówię wam — wykrzyknął — musimy powstrzymać tego skurwysyna Hinnoma, zanim zniszczy ludzkość.

W sali podniósł się zgielk, ludzie reagowali z gniewem, niektórzy z niedowierzaniem.

— To nie do wiary — przekrzyczał pozostałych Motke. — Panowanie nad umysłem za pomocą fal radiowych? Panowanie nad umysłem!

— Panowanie nad umysłem — powtórzył Dan i zaraz dodał: — Nie... to coś więcej niż tylko panowanie nad umysłem. To by było zbyt łatwe. Nie mówimy tylko o narzucaniu ludziom, kto ma iść do sklepu po płatki kukurydziane. To walka o panowanie nad ludzką duszą, jego jestestwem, poczuciem dobra i zła, jego wolą, jego duchem. Kiedy rozpocznie się nowe tysiąclecie, stawką jest nie tylko paraliż globalnej sieci komputerowej. Albo on, albo my. Musimy go zniszczyć.

Park dodała powoli, z lękiem w głosie:

— „Jeżeli ktoś zniszczy świątynię Boga, tego zniszczy Bóg. Świątynia Boga jest święta, a wy nią jesteście”. To Pierwszy List do Koryntian 3,17.

— Nie czytałem — odparł kwaśno Motke.

— „Niechaj się nikt nie łudzi! — mówiła dalej. — Jeśli ktoś spośród was mniema, że jest mądry na tym świecie, niech się stanie głupim, by posiadał mądrość” — dodała. — To następny wers. Możemy sobie mieć komputerów do woli, ale naprawdę wielkich tajemnic nadal nie pojmujemy.

Motke wzruszył ramionami.

Dan nie zareagował.

Nikt z zebranych nie zaglądał do Nowego Testamentu. A jedynie paru w ogóle wiedziało że Pierwszy List do Koryntian odnosi się do księgi Nowego Testamentu.

Wyczuwając brak zainteresowania, Park powiedziała:

— Może to: „Ja sam zwrócę me oblicze przeciwko człowiekowi, który splugawił mój święty przybytek. Księga Kapłańska 20,3.

— To znam — oznajmił Motke — ale nie podoba mi się twoje

tłumaczenie. — Wyciągnął z plecaka oprawione w zieloną skórę kieszonkowe wydanie Biblii, zwilżył parokrotnie palec, przrzucając strony, i w końcu znalazł poszukiwany ustęp. — Brzmi to tak — przeczytał. — Księga Kapłańska — tak jak powiedziałaś. „Ja sam zwrócę oblicze moje przeciwko takiemu człowiekowi i wyłączę go spośród jego ludu, ponieważ dał jedno ze swoich dzieci Molochowi, splugawił mój święty przybytek”. „Święty przybytek” to inaczej „świątynia”. Więc to niezupełnie tak, jak mówiłaś, bo odnosi się to do Molocha. Co jest dziwne. Bo Moloch był złym duchem, którego czczono w Gei Ben Hinnom.

— Gei Ben Hinnom? — zapytał Dan.

— W dole ulicy — odparł Motke.

— Co to jest Gei Ben Hinnom? — odpowiedział pytaniem Dan. Motke roześmiał się z zakłopotaniem.

— Z twoich słów wynikałoby, że prezes Hinnom Computing jest powiązany z Gei Ben Hinnom, niedaleko stąd.

Pozostali Izraelczycy tłumili uśmieški i chichoty.

— Co... Motkele... co to jest Gei Ben Hinnom? — zapytał uparcie raz jeszcze Dan.

— Ty nazwałbyś to piekłem — odparł profesorskim tonem Motke. — Arabowie nazywają to *Gehennem*...

— Piekło — r wtrącił Dan — to, do którego miał trafić ten zamachowiec' na *midrekhovie*. *Gehennem* to piekło po arabsku. Wiem o tym.

— Cóż, po arabsku to piekło — odparł Motke, korzystając z okazji, by wypowiedzieć się z pozycji eksperta — jak i po hebrajsku. a do tego stanowi źródłosłów *gehenny*. Wszystkie te słowa pochodzą od skróconej formy nazwy Gei Ben Hinnom, czyli Doliny Synów Hinnoma. „Gei” to dolina, „Ben” oznacza „syn” albo „synowie”, Hinnom zaś to nazwisko właściciela tego kawałka ziemi. Nazwisko nie jest hebrajskie, więc Hinnom był obcym i oczywiście poganinem, czcicielem Molocha.

— Gdzie dokładnie to jest? — zapytał Dan.

— Dolina Hinnoma to wielki wąwóz biegnący wzdłuż murów Starego Miasta — odpowiedział Motke. — Po prawdzie, „Dan

Pearl" stoi u jego wylotu. Moje ulubione kino, „Cinematheque", i wspaniała restauracja na jego balkonie, wznoszą się bezpośrednio nad nim. Nieopodal Sądawki Sultana. Wąwóz zaczyna się płytką rynną przy Bramie Jafskiej, lecz im dalej na południe, tym staje się głębszy. Pełno w nim jaskiń i biegnie w dół, w dół, w dół, aż dociera do najohydniejszej swej części, pod arabską wioską Silwan. Nikt tam nie zagląda. To zbyt niebezpieczne ze względu na kłopoty z Silwanem. Żydzi trzymają się wyżej, po północnej stronie. To dlatego jest tu pełno miłych hoteli, teatr pod gołym niebem, restauracja i „Cinematheque", lecz od strony Silwanu Izraelczycy nie inwestują. Jesteśmy — pogódźmy się z tym — odrobinę przesądni. Zbyt wiele zwłok tam pogrzebano. Tak więc Gei Ben Hinnom wciąż jest tym samym brudnym i nietykalnym miejscem, jakim było przez minione stulecia, a raczej tysiąclecia. Jak już mówiłem, nikt nie chce tam zaglądać. To przeklęta ziemia.

— Przeklęta? — zapytała Park.

— W starożytności — Motke kontynuował wykład — Hinnom było doliną nieczystych, bałwochwalców, śmierci i zniszczenia, ofiar z dzieci. Rozwrzeszczane dzieci mordowane były na ołtarzach spowitych straszliwym ogniem — w Tofecie, palenisku — na oczach rodziców. Esseńczycy właśnie tam zrzucali nieczystości z okolic Świątyni. Później powstało tam miejskie wysypisko śmieci. Ciągłe płonęły tam ognie, albo ofiarne, albo zaproszone wśród śmieci. Więc kiedy ludzie Biblii — zwłaszcza tej drugiej — nie żebym kiedykolwiek ją czytał — mówią o piekle czy ogniach piekielnych — gehennie czy *Gehennem* — mają na myśli dokładnie ten wąwóz. Wielu powiada, że to właśnie jest Dolina Śmierci z Psalmu 23.

— Mój ulubiony — skomentowała Park. — „Chociażbym chodził ciemną doliną, zła się nie ulęknę, bo Ty jesteś ze mną". Dan nie potrafił ukryć niedowierzania.

— Utrzymujesz, że piekło mieści się parę przecznic stąd?

— Nic wielkiego — wtrącił któryś z programistów. — Gei Ben Hinnom to piekło z Biblii, tak jak mówi Motke. Każdy izraelski uczeń o tym wie. Wyobrażam sobie, że każdy biblista na świecie o tym wie.

- Wiem, że dla świata chrześcijańskiego piekło to miejsce wiecznych, ognistych męczarni — mruknął Motke szyderczo zde gustowanym tonem — dla bardzo złych ludzi, i to po śmierci. Ale jesteśmy w Izraelu. Dla tutejszych Żydów piekło to cieszące się fatalną reputacją miejsce skryte w śmierdzącym wąwozie poza murami Starego Miasta.
- Więc to pewnie tylko wstrząsający zbieg okoliczności — prychnął z niedowierzaniem Dan — że najbogatszy i najbardziej zły człowiek na świecie nazywa się — przeliterował dla większego efektu — B-E-N odstę p H-I-N-N-O-M, a nikomu nie przyszło do głowy, by wspomnieć o tym mi albo w ogóle komukolwiek?
- To tylko nazwisko — odparł Motke. — Nie podniecaj się tym. Nikogo to nie obchodzi. Wszędzie roi się od Levich i Cohenów, ale nikt nie bierze ich za kapłanów. Tysiące ludzi mają tu na imię Mosze, lecz nikt nie wierzy, że to ten sam facet, który wyprowadził Izraelitów z Egiptu.
- Ale Ben Hinnom... — upierał się Dan.
- Joseph Heller, który napisał *Paragraf 22* — nie ustępował Motke — nie ma nic wspólnego z piekłem. Macie taki majonez — Hellman's. I co z tego? Mamy tu słynny Instytut Wingate, ale nikt nie łączy go z Windgazerem 99. To tylko nazwy. Powinniśmy się skoncentrować na faktach, na metodzie stymulowania mózgu falami radiowymi przygotowywanej dla Windgazera 99 — zakładając, że to prawda.
- Prawda? — prychnął Dan, wyczuwając w jego słowach powątpiewanie. — To jest prawda. To równie prawdziwe jak to, że facet o nazwisku z piekła rodem daje nam oprogramowanie z piekła rodem.

Wszyscy przerwali na chwilę, kiedy do sali wczłapała staruszka z herbatą. Nieświadoma toczącej się dyskusji, ostrożnie postawiła przed Danem parującą szklankę.

— *Today* — podziękował jej z wdzięcznością Dan. Pociągnął niewielki łyk. Nikt się nie odzywał. Wszyscy popatrywali po sobie. Siorbnął ponownie, tym razem się nie krępując.

Motke postukał w stół, uporawszy się z implikacjami tego, co zostało powiedziane wcześniej.

— Może coś w tym jest. Może Hinnom grzebie w falach radio wych, by wpływać na ludzkie umysły. W takim razie musimy znaleźć sposób na powstrzymanie Windgazera 99.9. Ale do tego trzeba by cudu.

— Sal, podnieś, proszę, słuchawkę — odezwał się głos Kuebitza.

Sal uczynił, jak mu kazano, słuchał uważnie przez kilka minut, spojrzął na Dana, potem na Motkego i Park.

— Tak, tak, tak — wyrzucił z siebie nagle, zaskakując zespół Dereka. Odłożył słuchawkę, przerywając połączenie.

— Doktor Kuebitz uczynił parę uwag — powiedział Sal, z początku urywanie, lecz z wzrastającą pewnością siebie. Zebrani bez trudu dostrzegli nagłą wymowność Sala. — Po pierwsze — powiedział — doktor Kuebitz chce, byśmy nie zapominali, że wciąż nie znamy rozwiązania kryzysu milenijnego, ani nawet kształtu, jaki ono przybierze. Po drugie, zgadza się, że potrzebny będzie cud. Lecz największym cudem będzie zrozumienie rozwiązania, rozpoznanie go. Musimy pozostać otwarci, by przyjąć ten cud. Po trzecie, uważa, że powinniśmy wrócić do naszych domów, wziąć sobie jutro wolne i zastanowić się nad implikacjami wszystkiego.

— Wolne? — zdziwił się Motke.

Sal porzucił słowa i obronnym gestem skulił się w ramionach. Głową wskazał na telefon.

— Jesteś pewien? — sprawdził raz jeszcze Motke.

Sal odsunął się o dodatkowe pół obrotu i prawie przemówił, ale nie dał rady.

— Jest pewien — powiedziała Park, by rozładować napięcie.

Kiedy zebrani już się rozchodzili, Sal podszedł do Dana, Park i Motkego.

— Mamy jutro wolny dzień na zastanowienie — powiedział. — Możemy pojechać na wycieczkę?

— Plaże Tel Awiwu? — zaproponował Dan.

— Parę mil na północ są lepsze, może w Netanyi — dodał Motke.

- Chcę pojechać w miejsce niedaleko stąd — oznajmił cicho Sal.
  - Które nazywa się? — zapytał Dan.
  - Które nazywa się Qumran — odpowiedział niepewnie Sal. Dan spostrzegł na twarzy Sala dziwną, intensywną determinację.
- W jego prośbie dawało się wyczuć ponaglenie.  
Motke wzruszył przytakująco ramionami.
- Qumran? — odparł Dan. — Dobrze. Jedziemy do Qumran.

Na skalistym wybrzeżu najniżej położonego terenu na Ziemi, Morza Martwego, gdzie dziwaczne zjawiska barometryczne łączą się z solą, siarką i naturalnie kojącymi bromkami w powietrzu, a potem mieszają się z oślepiającym blaskiem słońca i bezlitosną spiekotą, w biblijnym palenisku, które wytapia dusze i destyluje umysły, znajduje się mistyczne miejsce pełne pogrzebanych sekretów, strzeżonych przez jaskinie, urwiska i wadi. To miejsce to Qumran, komuna esseńczyków, judaistycznych kultystów, którzy przez wszystkie dni swego życia przygotowywali się na jedno przeznaczenie: prawymi postępkami umożliwić triumf Synów Światła nad Synami Ciemności. Wierząc, że ich ciała są świętymi narzędziami Boga, esseńczycy brali częste kąpiele, potrzeby załatwiali z dala od swych osiedli, żyli zgodnie z własnym kalendarzem lunarnym i dosłownie przestrzegali zaleceń zarówno prawa mojżeszowego, jak i tomów własnych nauk — wszystko w ramach przygotowań do ostatniej bitwy: Dnia Pomsty.

Liczące sobie dwa tysiące lat przesłanie esseńczyków dopiero niedawno ujrzało na powrót światło dzienne. W 1947 roku, tuż przed powstaniem państwa Izrael, beduiński pasterz natrafił na pierwszą z bezcennych jaskiń w Qumran. W jej wnętrzu znalazł starożytne esseńskie zwoje, ukryte w słojach owiniętych płótnem. Od tamtego czasu setki kolejnych zwojów zostały odnalezione, zrekonstruowane, przetłumaczone, zbadane, omawiane i odczytywane z czcią. Terminem „Zwoje znad Morza Martwego” określa się często błędnie sześć świętych pism prezentowanych w jerozolimskim Sanktuarium

Księgi; są to: Podręcznik Dyscypliny, Peszer Nahuma, Zwój Świętyni, Księga Psalmów, Księga Izajasza oraz tak zwana Reguła Wojny. Lecz w rzeczywistości esseńczycy spisali setki zwojów i innych świętych pism szczegółowo przedstawiających panoramę życia w ich wspólnocie: psalmy, liturgie, przepowiednie, teksty filozoficzne, modlitwy, kazania, wizje, chronologie, teksty administracyjne, mądrości i tajemne objawienia.

Odkrycie to pociągnęło za sobą niepokojące pytania. Czy Zwoje znad Morza Martwego to wyłącznie fascynujący zbiór wiedzy pojedynczej sekty? Czy dokumentują, czy też podważają genezę judaizmu albo chrześcijaństwa? Czy ich przesłanie jest rezultatem boskiego natchnienia, czy leż powstało w umyśle śmiertelnika? Kto ma prawo posiadać, kontrolować, interpretować, pokazywać i odczytywać krucho zwoje? Wszystkie te pytania stanowią bolesne jądro wojny toczonej przez teologów, naukowców, archeologów i wiernych. Zjadliwe komentarze, zawzięte naukowe wendety, zarzuty uprzedzeń rasowych, oskarżenia o złowieszcze spiski i zacieranie dowodów, oszczerstwa i awantury w prasie, wzburzenie wśród teologów, a nawet procesy o naruszenie praw autorskich do tłumaczeń są nierozzerwalnie związane z tymi starożytnymi pismami. Samo poznanie wiedzy zgromadzonej przez esseńczyków z Qumran wystarczyło, by udowodnić, że człowiek niczego nie boi się bardziej niż własnych wyobrażeń dotyczących Bogd.

Obecnie, podczas gdy naukowcy spierają się zażarcie w bibliotekach i muzeach, a archeolodzy regularnie przeprowadzają wykopaliska wśród wyszczerbionych, spalonych słońcem ruin, zwiedzający gęstym rojem opadają klimatyzowane centrum turystyczne w Qumran sąsiadujące z wykopaliskami. Tam mogą kupić albumy z woskowanego papieru, jaskrawe koszulki, masowo produkowane pamiętki i rzeźbione wielbłądy, potem zaś nacieszyć podniebienie wspaniałym zestawem wonnych, marokańskich mięs i sosów, a na zakończenie lodami i karmelowymi cukierkami. Po tym obżarstwie mogą wyjść na zewnątrz, na palące słońce i odkrywać dla siebie całkowicie nie strzeżone, nie nadzorowane stanowisko archeologiczne, kryjące niezrównane skarby z czasów biblijnych.



Każdy może wędrować wśród ruin, często samotnie, między stokami niebotycznych gór, na których światło niezmiennie prowadzi złudną grę z cieniami, poniżej dziesiątek kuszących jaskiń wyrytych wysoko na zboczu, mając przed sobą aluwialne namuły przypominające wielkie łapy i najczystszy błękit wody Morza Martwego, i w otoczeniu spektakularnych stromizn górujących nad głębokimi wąwozami. Człowiek kroczący tymi szlakami musi zarazem wkroczyć w głąb historii i duszy tego sanktuarium z pierwszego wieku po Chrystusie. Odetchnij tym powietrzem. W płucach pali cię nie tylko pustynny żar. To duch starożytności.

Park, Sal, Dan i Motke przyjechali wcześniej, zanim słońce wzniosło się wysoko na niebie. Syci po śniadaniu, które składało się z ostrej *szakszouki*, trzech rodzajów jogurtu oraz grejpfrutów, pomarańczy i granatów, popitych tradycyjną kawą po turecku, obławowani plikami błyszczących broszur i przewodników, wyruszyli na zwiedzanie imponującego kompleksu wysokich ścian z kamienia i błota, półkolistych pieców, portali, schodów, podziemnych cystern, koryt i skromnych budynków mieszkalnych, które składają się na Qumran. Tereny, na których nadal trwały prace wykopaliskowe, odgródzone były od ścieżek dla turystów zwykłymi plastikowymi sznurami, tak więc każdy mógł do woli przechadzać się śladami esseńczyków, dotykać ich murów, zaglądać przez ich okna, chłonąć ich odosobnienie, czuć ich misję. Esseńczycy wybrali ten odizolowany przyczółek czujności, by komunikować się z obecnością Boga. W pewnym sensie była to ich świątynia, gdyż obecność Boga dostrzegali w każdym kącie i w każdym miejscu.

Motke, który był tu już wielokrotnie — Qumran od Jerozolimy dzieliła godzina jazdy — starał się usilnie zastąpić Park i Danowi przewodnika. Wspólnie rozkoszowali się fantastycznie zachowanymi budowlami. Lecz w miarę jak krętymi ścieżkami oddalali się od skryptorium, gdzie mozolnie spisywane były święte zwoje esseńczyków, mijając rytualne mykwy i przypominającą piekarnik kuźnię broni, uwaga Sala coraz bardziej kierowała w nieznanym kierunku. Kilkakrotnie odłączał się od pozostałych, wracając na chwilę do skryptorium, gdzie jakby nasłuchiwał głosów, których nikt nie był

w stanie usłyszeć, i wypatrywał obrazów, których nikt nie był w stanie ujrzeć.

— Sal — powiedziała Park. — Teraz pójdziemy na groby. Idziesz z nami?

Sal ruszył z ociąganiem z miejsca i w końcu zapytał Motkego:

— Co to jest Zwój Miedziany? Motke uśmiechnął się szeroko i odparł:

— Dobre pytanie sobie wybrałeś.

Zanurzył rękę w plecaku, odłożył na bok ulotki opisujące życie codzienne esseńczyków, kurorty nad Morzem Martwym oraz szlaki wycieczkowe, i w końcu znalazł cienką, lecz okazałych rozmiarów broszurę wydaną przez Ministerstwo Turystyki, zatytułowaną *Tajemnice Zwoju Miedzianego*.

— Gdzie usłyszałeś o Zwoju Miedzianym? — zapytał Motke.

— Prawie nikt o nim nie wspomina, bo jest taki... no, taki dziwny.

Sal skrzywił się lekko, lecz nie odpowiedział.

Nie czekając na odpowiedź, Motke rozłożył broszurę na pokrytej pyłem posadzce skryptorium. Dan i Park przykucnęli obok niego, by lepiej widzieć.

— Widzisz to tutaj? — zapytał go Motke. Sal, nie odrywając wzroku od broszury, przytaknął.

— Większość naukowców jest zgodna, że spośród setek zwojów znalezionych w tutejszych jaskiniach — zaczął Motke tonem wytrawnego przewodnika — być może najdziwniejszy, najbardziej tajemniczy jest Zwój Miedziany — lista sześćdziesięciu pięciu ukrytych skarbów esseńczyków. Srebro, złoto, oliwa, odzież, wiele wartościowych przedmiotów. Inne zwoje spisane były na skórze i przechowywane w słojach. Ten jeden, Zwój Miedziany, jest całkiem inny, napisany, a raczej wyżłobiony w cienkiej miedzianej blasze.

Sprawdziwszy opis w broszurze, Motke mówił dalej:

— Miedziana blacha miała 2,4 metra długości — czyli jakieś osiem stóp. Znaleźli ją zwiniętą w jaskini trzeciej, tam, w górze. — Skierował rękę w stronę górskiego zbocza, a wtedy wszyscy przyrzeli się skalistemu krajobrazowi, dopóki nie zatrzymali wzroku na wskazanym miejscu. — Było to w roku 1952 — ciągnął dalej. —

Odkrywcą był francuski archeolog. Wtedy Zwój Miedziany stanowił własność Jordańczyków. Ale przez wiele lat nie potrafili go rozwinąć. Później ktoś z uniwersytetu w Manchesterze, w Anglii, skonstruował maszynę, która cięła miedź na pasma, a potem składała ją z powrotem na płaszczyźnie. Użyli jej i przetłumaczyli tekst. — Pokazał im kolorowe zdjęcia. — Wtedy właśnie odkryto, że Zwój Miedziany jest najdziwniejszy ze wszystkich — stwierdził Motke. — Poświęcono mu niewiele prac, bo, jak już mówiłem, to spis ukrytych skarbów — nic więcej. Badacze obawiają się poszukiwaczy skarbów i ukrytych przesłań religijnych. Czy jest tam wzmianka o Jezusie? Czy zapowiedziany jest koniec świata? Może tak, a może nie. — Motke posłał spojrzenie w niebo, rozkładając szeroko ramiona tradycyjnym izraelskim gestem mówiącym „A kto to, u licha, wie?”

Wyczuwając, że słuchacze spijają mu słowa z ust, Motke mówił dalej:

— Ludzie zarzucali naukowcom zмовę milczenia, zarzucali tłumaczowi, że specjalnie poprzestawiał litery, by ukryć prawdziwe znaczenie. Wielki, wielki *balagon*. Park — wyjaśnił zaraz Motke — *balagon* po hebrajsku oznacza zagmatwany, niepotrzebny kłopot. Wiadomo tylko tyle: wszystkie kryjówki mieszczą razem masę srebra i złota — wartą może miliony dolarów. Przypomina to film przygodowy pełen tajemniczych zagadek i szyfrów.

Dan zaczął czytać broszurę.

— Posłuchajcie tego. To niewiarygodne — powiedział, wyliczając kilka wymienionych w zwoju tajnych schowków: „Trzecia kryjówka: wielka cysterna na podwórzu w pobliżu zewnętrznych kolumn — zawiera 900 talentów srebrnych monet... Szósta kryjówka: w kopalni soli pod schodami — zawiera 41 talentów srebrnych monet... Dwudziesta ósma kryjówka: w jaskini z kolumną o dwóch wylotach od strony wschodniej i wylocie od strony północnej wkop się na trzy kubity pod urnę, zawiera trzydzieści dwa talenty srebra... Trzydziesta piąta kryjówka: u ujścia źródła Kohziba, wkop się na trzy kubity do rzędu kamieni — zawiera 80 talentów srebrnych monet i dwa talenty złotych monet... Sześćdziesiąta kryjówka: pod czarnym kamieniem — zawiera naczynia z oliwą”.

Dan powiedział niedowierzającym tonem:

- Pod schodami, między głazami, za nożem, w grobie, obok grobu, pod murem, w rurze. Po prostu mapa wyspy skarbów rodem z kiepskiego filmu o piratach.
- Wielu próbowało odnaleźć te skarby — opowiadał Motke.
- W samym Qumran dokonano paru odkryć. Znalezione pod ziemią pojedyncze naczynia ze srebrnymi monetami. Ale żaden ze skarbów wyszczególnionych w Zwoju Miedzianym nie został zlokalizowany.
- To bajeczne — powiedziała Park, nie mogąc w to uwierzyć.
- Niczego nie znaleziono, mimo tych wszystkich prac wykopaliskowych, jakie prowadzi się w Izraelu?
- Wszystkie wskazówki wykorzystują określenia i nazwy, których znaczenie znane było tylko esseńczykom sprzed dwóch tysięcy lat — odparł Motke. — Na podwórzu. Pod murem. Za nożem. Ale na którym podwórzu? Pod którym murem? Za jakim nożem? Tutaj? W Jerozolimie? W Galilei? W dole wadi? Gdzie? To dlatego niektórzy badacze zastanawiają się, czy aby cała ta lista nie jest fałszywa. Inni wierzą w jej autentyczność, twierdząc, że lista stanowi spis zgromadzonego dobra, jakie esseńczycy zbierali jako dziesięcinę — tak jest, dziesięcinę — dla Boga. Lecz jeśli te opisy są prawdziwe, to wydają się aluzjami lub określeniami, których znaczenie znał jedynie sam skryba Zwoju Miedzianego. Do tego nikt nie wie, co oznaczają porozrzucane po tekście tajemne greckie litery — dodał Motke, wskazując na litery na zdjęciu Zwoju Miedzianego zamieszczonym w broszurze. — Czytałem kiedyś, że nie przypominają żadnych znanych nauce greckich skrótów czy znaczeń. Tak więc wciąż mamy do czynienia z tajemnicą — od początku do końca.
- Te greckie litery to szyfr — powiedział Sal.
- Owszem — odparł Motke — ale żeby o tym się przekonać, musielibyśmy mieć Drugi Zwój Miedziany.
- Drugi zwój? — zapytała Park.
- Ostateczny skarb. — Motke przeczytał z broszury: — „Kryjówka sześćdziesiąt pięć w suchej studni na północ od Kehlit, wylot od północy niedaleko grobów, tam spoczywa kopia tego spisu oraz

wyjaśnienia, miary odległości i szczegółowy opis każdego z ukrytych przedmiotów".

Dan wciąż nie dowierzał.

- Pokaż mi to. — Przeczytał tekst na głos, odwrócił stronę, by upewnić się, że logo Ministerstwa Turystyki jest autentyczne, po czym wykrzyknął: — Masz rację. Nie można odszyfrować sekretów pierwszego zwoju bez drugiego. Co za historia.
- Zupełnie jak API — powiedział Sal.
- Komputerowiec — zachichotał Motke.
- Więc gdzie jest ten Kehlit? — zapytał Dan. — Znajdźmy tego drania, drugi zwój.
- Nic z tego nie będzie — zakpił Motke. — W porządku. Po pierwsze, pismo hebrajskie nie wyróżnia samogłosek, a w Zwoju Miedzianym są też wtręty aramejskie, więc wszystkie tłumaczenia to w sumie jedna wielka zgadywanka, zwłaszcza jeśli chodzi o nazwy miejscowe. Kehlit to po hebrajsku zaledwie cztery litery: kat--het-lamed-taw. Dla was KHLT. Kehlit, a może Kahlit, może Khlot. Brakuje nam przekazów ustnych, dokładnej wymowy.
- Kapuję — wtrącił Dan. — To tak jak w Illinois, jest tam miasto CAIRO wymawiane „kejrou”, a to w Egipcie „kajrou”.

Motke nie zrozumiał tego lingwistycznego wtrętu, więc po prostu zignorował Dana.

- Nikt nie znalazł tego Kehlit — a szukano starannie, wierzcie mi. Każda jaskinia i dziura w ziemi została sprawdzona, sprawdzona raz jeszcze i jeszcze raz przez Beduinów szukających najmniejszych drobiazgów, bo oni wiedzą, że każde znalezisko to wielkie pieniądze. Co było do znalezienia, już zostało znalezione. To, czego nie znalezione, już się nie znajdzie. Przykro mi. Tak czy owak — mówił dalej Motke — Drugi Zwój Miedziany znajduje się „przy grobach” — a, jak sami widzicie, tutaj groby są wszędzie. Nikomu nie wolno ich dotykać. To te miejsca ze stosami kamieni. Pod nimi spoczywają starożytny ciała. Nie wolno zakłócać im wiecznego spoczynku.
- Takjak tam — powiedział Sal, spoglądając przez zabarwione na niebiesko okulary, które znalazł porzucone na ziemi przez jakiegoś turystę.

- Gdzie? — zapytał Motke.
- Obok tamtego człowieka jest niewielki stos kamieni — odparł Sal. — Na skraju wąwozu.

Motke osłonił oczy przed słońcem i spojrzął w kierunku skraju wąwozu, tam gdzie wskazywał Sal.

- Nikogo tam nie widzę. Gdzie? — zapytał Motke.

Dan i Park spojrzeli w stronę, w którą wskazywał Sal. Osłoniли oczy przed słońcem. Dostrzegli stertę kamieni. Ale żadnej żywej istoty.

- Przy tych kamieniach stoi jakiś mężczyzna — powtórzył Sal, machając ręką w stronę urwiska. — Sami zobaczcie. Wygląda, jakby unosił się w powietrzu.
- Miraż pustynny — roześmiał się Dan. — Przejeżdż się autostradą nad Morzem Martwym. Wszystkie samochody w oddali unoszą się w powietrzu. To samochodoloty. Fizyka złudzeń optycznych.
- Ale ja go wcale nie widzę — zauważyła Park. — Gdzie on jest? Sal uśmiechnął się nieznacznie.
- Czy tylko ja go widzę?
- Napij się wody. — Park szturchnęła go w bok, podając mu małą plastikową butelkę wody Neviot.
- Mamo, nie potrzebuję wody — odparł Sal i ruszył w stronę grobów nad urwiskiem. Po starannym złożeniu broszury o Zwoju Miedzianym pozostali podążyli za nim, lecz nikt nie widział człowieka przy stosie kamieni wskazywanym przez Sala. Nagle Sal rzucił się biegiem w stronę unoszącego się w powietrzu obrazu, kołysząc niezgrabnie ramionami.

Park, Motke i Dan przyspieszyli kroku, by za nim nadążyć. Sal zatrzymał się parę jardów od krawędzi. Mężczyzna zniknął mu z oczu. Pozostali stanęli obok niego.

- Gdzie? — zapytał Dan.
- Teraz go tu nie ma — przyznał przygnębiony Sal. — Masz rację. Optyczne złudzenie wywołane gorącem. — Zerknął na słońce, a potem przyjrzał się okolicy. Zaczął zastanawiać się na głos w nietypowej dla niego chwili otwartości, jako że zawsze przeprowadzał wszystkie obliczenia w myślach.

- Zobaczcie, jaka tu stromizna — zauważył Sal. — Tam w górze jest maleńka jaskinia w skale. To jest „wejście od północy niedaleko grobów”.
- To dziura, nie jaskinia — powiedział Motke.
- Ja nazwałbym to „wylotem” — poprawił go Dan. — Jak brzmiał opis z broszury?
- „W suchej studni na północ od Kehlit, wylot od północy niedaleko grobów, ukryty jest Drugi Zwój Miedziany” — powtórzył Motke.
- Qumran podziurawiony jest dziwaczными tunelami wyłobionymi przez wodę — powiedział Dan. Wdrapał się parę stóp po skarpie do małego otworu zauważonego przez Sala. Był na tyle duży, by włożyć do środka rękę, więc to zrobił. — To niewątpliwie jest „wylot od północy niedaleko grobów” — sapnął Dan, wyciągając palce.
- Zanim włożysz rękę do pustynnej dziury — ostrzegł go Motke — sprawdź, co jest w środku. Skorpiony to małe stworzenia. Uwielbiają ręce.

Na twarzy Dana odmalowało się poruszenie.

- Przytrzymaj — powiedział powoli, wyciągając z otworu ciężkie, gliniane wieko.
- Moje gratulacje — stwierdził Motke. — Znalazłeś kolejną skorupę, którą będzie można dołożyć do paru tysięcy innych glinianych skorup, jakie tu znaleziono, a która w tej chwili stała się własnością Departamentu Starożytności państwa Izrael. Mam nadzieję, że zabrałeś paszport. Będziesz miał dużo papierów do wypełnienia.

Park delikatnie przesunęła palcem po zabrudzonej powierzchni.

- To jest piękne — zauważyła. — Do czego to służyło? Do przykrycia schowanego w urnie zwoju?
- Nie, nie — odparł Motke, wskazując na wypukłe, płaskie denko. — Pokrywy urn ze zwojami są dosyć powszechne, lecz mają stożkowaty kształt, pasujący do zwoju. Wklęsłe. Ta... ta jest płaska i wybrzusza się ku dołowi — zamykała naczynie z wodą.
- Kanał... — powiedział do siebie Sal, a potem powtórzył

głośno na użytek pozostałych. — Może od tego otworu biegnie kanał wodny do wyschniętej studni. Według broszury takie instalacje były na porządku dziennym w osadzie Qumran. Odczytaj nam jeszcze raz opis kryjówek.

Motke sięgnął po broszurę i zacytował ponownie: — „W suchej studni na północ od Kehlit, wylot od północy niedaleko grobów, tam spoczywa kopia tego spisu oraz wyjaśnienia, miary odległości i szczegółowy opis każdego z ukrytych przedmiotów”.

Z chłopcym uśmiechem Dan wskazał na rząd krzewów.

— Hej, skoro już mamy opowiadać głupoty... — wskazał na skarpe — .. możemy tu mieć typowy qumrański wodociąg, biegnący od tego otworu... niżej i... — przeszedł parę kroków i machnął ręką ku krzakom porastającym skraj urwiska — .. widzicie tę linię krzewów. Spójrzcie tylko, pustynne krzaki w równej linii.

— Urywa się na krawędzi — powiedział Sal, wychylając się, by spojrzeć w dół.

— Hej! Ostrożnie! — ostrzegł go Dan.

Za późno. Nieoczekiwanie skruszały skraj urwiska uciekł Salowi ;spod stóp. Zbyt wiele kamieni obsypało się w dół. Ześlizgnął się, instynktownie odwracając się twarzą ku zboczowi, wymachując rękami, by złapać się czegośkolwiek.

— Sal! — pisnęła Park.

— Uspokój się — powiedział do niej Dan. — Trzymaj się.

Sparaliżowany Sal wisiał zahaczony palcami o wąską skalną półkę. Starł się nie patrzeć w dół stromego wąwozu. Setki stóp niżej, na dnie jaru, suche, skaliste koryto rzeczne wilo się wokół podstawy góry.

— Sal! — zawołał Dan. — Tuż pod twoimi stopami jest niewielki występ, kozia ścieżka. Nie patrz na nią. Po prostu zaufaj mi, to tylko parę stóp pod tobą, może tylko jedna. Musisz tylko zsunąć się ha brzuchu i piersi, dopóki do niej nie dotrzesz.

Zakrzywione palce Sala ześlizgnęły się z półki. Rozpaczliwym wyrzutem ramion złapał za krótki pień krzaka rosnącego parę cali poniżej niej, wbijając kolana w pylisty stok góry.

— Biegnę po pomoc — wrzasnęła Park, zrywając się z miejsca.



— Nie, nie — zaoponował Dan. — Nikt tu nie pomoże. Wracaj. Motke, przyprowadź ją z powrotem. Wyciągnę Sala. Wy dwoje trzymajcie mnie za koszulę.

Z zaciśniętymi mocno oczami Sal rozpaczliwie przycisnął policzek do ziemi. Co parę sekund trochę żwiru osypywało się głośno pomiędzy jego mającymi w powietrzu nogami, jedynie potęgując jego przerażenie. Bojąc się skutków dodatkowego nacisku na którąkolwiek powierzchnię, trwał w absolutnym bezruchu.

— Sal, musisz opuścić się o parę cali — zawołał Dan. — Przyciśnij się do zbocza. Przyciśnij się do zbocza. Spuść się odrobinię, na ten występ. Poczujesz go. — Sal nie reagował.

Dan zdążył już przeczołgać się na brzuchu głową do przodu poza skraj urwiska, w stronę Sala wiszącego niecały jard od niego.

— Trzymajcie mnie za tyłek — polecił Dan. Park i Motke zaparli się o niewielkie skalne występy na skraju jaru i złapali za kieszenie jego dżinsów. Jednakże Dan nadal nie był w stanie dosięgnąć Sala. — Opuśćcie mnie trochę — zawołał. — W dół, odrobinę.

Pustynny krzew, którego trzymał się Sal, zaczął się przechylać, w miarę jak jego korzenie wysuwały się z pionowej ściany urwiska. Niewielkie kamienie przez cały czas staczały się w dół.

— Dobra, złapcie mnie za kostkę... za kostki... i opuśćcie niżej — zawołał Dan. Motke i Park wrzasnęli do Sala, żeby się nie bał, po czym przesunęli uchwyt z pośladków Dana... niżej... niżej, aż ich dłonie zacisnęły się pewnie tuż nad terenowymi butami. Opuścili go jeszcze niżej, głową w dół. Cał po calu krzew utrzymujący Sala obracał się złowieszczo w stronę ziemi.

Setki stóp w dole widać było kilku arabskich chłopców pasących kozy. Wszyscy stali, pokazując rękami w ich stronę. Spomiędzy kamieni uciekały przestraszone jaszczurki. Pustynne muchy hałaśliwie wykrcęły ósemki nad ich głowami.

— Krzak się zaraz urwie — jęknął Sal. — Zjeżdżam w dół.

Odwrócone do góry nogami ciało Dana prześlizgnęło się przez krawędź... kawałek dalej... tylko jego łydki wystawały zza urwiska. Nareszcie sięgnął krzaka i złapał za najwyższą gałąź, ciągnąc go

w przeciwną stronę. Dłonie Sala dzieliło od niego już zaledwie parę cali.

— Sal... Sal., twarzą do skały i spuść się w dół — zachęcał go Dan. — Dasz radę, stary.

Rozległo się trzaśnięcie. Park zadrżała, nagle przypominając sobie Sala jako niemowlę w Kansas, potem chłopca na rowerku, podczas przyjęcia z okazji siódmych urodzin, bez przyjaciół, których mógłby zaprosić, potem na targach nauki, radość w oczach, kiedy jego pierwszy komputer zbudził się do życia — a wszystko to w ciągu jednej, wizualnie kakafoicznej sekundy, która zaraz obróciła się w przerażenie na jej twarzy.

Pień krzewu złamał się częściowo. Sal niepohamowanie zsuwał się niżej, kolejne głowy stoczyły się w otchłań pod jego stopami.

— Trzymaj się, Sal! — wrzasnął Dan, wyciągając ręce do granic możliwości. — Złapię cię za palce. Spleć palce z moimi.

Otwórz oczy i spójrz na mnie. Spleć palce.

— Nie mogę! — wyjęczał Sal. — Dlaczego to się dzieje?

— Nie przywiozłem cię tutaj po to, żebyś się zabił w Qumran, chłopaku! — ryknął Dan.

Bez ostrzeżenia krzew ostatecznie ustąpił. Ciężar Sala wyrwał go z ziemi z korzeniami. Lecz Sal, przyciskając twarz do skały, zsunął się prosto w dół... zaledwie parę cali... a potem jego stopy stanęły pewnie na równym występie, tak jak mówił Dan. Sal stał teraz wyprostowany, mając oparcie dla obu stóp.

— Dobrze! — wykrzyknął Dan. — Dobry chłopak!

Motke i Park nie widzieli zbyt wiele z lądowania Sala, lecz rozumieli, że nic mu nie grozi. Oboje odetchnęli z ulgą.

— Trzymaj się, Sal — błagała Park. Zapierając się piętami, opuścili Dana jeszcze niżej, tak że tylko jego kostki wystawały znad krawędzi. Każde z nich w napięciu trzymało go za jeden z butów. Kiedy czerwona jak burak twarz Dana przesuwała się obok miejsca, w którym rósł wyrwany z ziemi krzew, zauważył niewyraźny kształt w głębi wnęki.

— Czekać! — wrzasnął do nich Dan. — Sal, wytrzymasz tam przez minutę? — Dan sięgnął do otworu uprzednio przesłanianego

przez krzak. Była to sucha studnia. Poczul pod palcami okruch glinianego naczynia, potem metal. — Dobry Boże. Ludzie, znalazłem coś — wyszeptał głośno. — Powiedzcie mi, proszę, że to jest ta sucha studnia.

Ostrożnie odsuwając zawadzające okruchy czubkami palców, powoli odsłonił krawędź cylindrycznego przedmiotu. Rozmiarami przypominał pojedynczą, dużą stronę, odrobinę zakrzywioną.

— Sal, złap to draństwo, jeśli poleci w twoją stronę.

Pociągnawszy parokrotnie, Dan już wyraźniej rozróżniał kształty przedmiotu.

— Widzę to, widzę to całe. — Szarpnął raz jeszcze i krótki, półkolisty miedziany zwój wytoczył się z kryjówki, zsuwając się prosto w dół. Zakrzywiony metal zatrzymał się wprost na klatce piersiowej Sala. — Dasz radę to chwycić? — zapytał Dan.

Sal zdołał przełożyć przez zwój jedno ramię, niczym wojownik ubierający naramiennik. Potem, sięgając tak wysoko, jak tylko potrafił, a nawet jeszcze wyżej, dotknął ręki Dana i splótł z nim palce, najpierw prawej, a potem lewej dłoni. Motke i Park powoli wciągnęli Dana z powrotem przez krawędź wąwozu, a za nim wijącą się postać Sala. Kiedy chłopak znalazł się wreszcie na równym terenie, Park objęła go ramionami, sprawdzając, czy nie ma zadrapań ani sińców od koleców i skał. Krew płynęła mu z kolistej rany na czole, lecz ulga Park graniczyła z ekstazą.

Podczas gdy Park zajmowała się synem, Motke i Dan spoglądali z niedowierzaniem na przedmiot, który według wszelkiego prawdopodobieństwa był Drugim Zwojem Miedzianym. Dan splunął na jego powierzchnię, ścierając kurz i ziemię. Oglądając się przez ramię, by upewnić się, że nikt ich nie podgląda, starannie czyścili relikw. Dan spryskał go odrobiną wody mineralnej, splukując kolejną warstwę ziemi, pod którą na zielonej patynie metalowej stronicy ukazały się wyraźne, płytko wyżłobione inskrypcje.

— Jesteśmy martwi, jeśli zaraz tego nie oddamy władzom — uprzedził go Motke. — Mam na myśli proces sądowy.

— Dasz radę coś z tego odczytać? — zapytał Dan.

Motke zerknął nerwowo przez ramię, potem w milczeniu przyj-

rzał się literom, w końcu sięgnął po broszurę i wykorzystał ją niczym kamień z Rosetty, by porównywać przetłumaczone zdania.

— To miejsca — poinformował Motke z podnieceniem — na zwy miejsc... są ponumerowane... pewnie uzupełniają kryjówkę pierwszego Zwoju Miedzianego. Widzę tu zaznaczone Bet Shean. Widzę Jerozolimę. Widzę Gamłę na wzgórzach Golan. Tutaj Qumran. Znowu Qumran. Raz Masada. Znowu Jerozolima. Sprawdzę kryjówkę numer sześćdziesiąt pięć, gdzie spoczywał ten zwój. Hmm... — przeczytał najpierw w milczeniu, potem na głos. — „Niech Synowie Ciemności patrzają... — zaczął Motke, zaraz się poprawiając — może „szukają” albo „poszukują”, nie „patrzają”, może... dobrze, spróbujmy inaczej... „Niech Synowie Ciemności szukają w całym kraju tego skarbu” — przetłumaczył niepewnym głosem. — „Znajdą”... nie potrafię tego odczytać — poskarżył się. — Może to jest „będą szukać”... nie mogę... poczekaj, tu jest bardziej zrozumiały fragment.

Motke powoli wymamrotał tłumaczenie.

— „Ci, którzy szukają srebra i złota, nie znajdą naszego najwięzszego skarbu, ostatecznego zbawienia, Zwoju C” — przerwał, by wyjaśnić: — W hebrajskim nie ma litery C. Tak więc zgaduję, że to coś podobnego do angielskiego C. Napisane jest samech-jod, lecz Starożytny skryba ścisnął te dwie litery razem w niespotykany sposób. Podejrzewam, że ma być C. Może oznacza Cezara albo coś innego, co zaczyna się na C?

Motke przyjrzał się tekstowi i dodał:

— Jest jeszcze coś. Brzmi to mniej więcej tak... „Od strony skrytorium szukaj Prawego Ślepią Lwa”. Obok tego stwierdzenia — dorzucił — są jeszcze dwie greckie litery, których znaczenia nie rozumiem. — Zadrżał, jakby mu był zimno. Najego przedramionach wystąpiła gęsia skórka.

Dan przyjrzał się tym greckim literom.

— Alfa i omega — stwierdził, dodając: — To mi nic nie mówi.

— A mi owszem — powiedziała cicho Park.

Skoro przekonali się, że nikomu nic się nie stało, ruszyli dalej i nowymi siłami w stronę skrytorium, by poszukać Prawego Ślepią

Lwa. Po drodze zaczął ich samotny dozorca tego terenu, który widział z daleka akcję ratunkową i teraz zapytał po hebrajsku, czy wszyscy są cali. Motke, zgrabnie wsunawszy Drugi Zwój Miedziany do plecaka, odpowiedział, że musiał uratować głupiego amerykańskiego turystę, lecz bez obaw, jest już po wszystkim. Dozorca warknął nieodzwonne ostrzeżenie i mamrocąc pod nosem, powrócił na swe stanowisko przy kasie.

Chwile nad urwiskiem zahartowały Sala; spojrzawszy w wąwozie śmierci w oczy, teraz kroczył z większą pewnością siebie, z podniesioną głową i wyprostowanymi ramionami, byстрым wzrokiem przepatrując okolicę. To był nowy Sal, mocniejszy Sal, powracający znad krawędzi ze świadomością swych możliwości. Jego szczęki wydawały się bardziej kanciaste. Odnosiło się wrażenie, że jego postać uległa metamorfozie, rozrosła się, przeistoczyła w coś znacznie bardziej rzeczywistego. Park pierwsza dostrzegła tę różnicę, lecz pozostałym też nie zabrakło to zbyt wiele czasu. Sal szedł teraz miarowym, zdecydowanym krokiem, sprężyste pnąc się po kamiennych stopniach i nie obawiając się ocierać barkiem o starożytnie mury.

Dan i Motke nieprzerwanie wyobrażali sobie i powtarzali: Prawe Ślepie Lwa... Prawe Ślepie Lwa. Zwój C. Prawe Ślepie Lwa. Zwój C. Przez całą drogę pamiętali jednak, że skryptorium jest puste. Nigdzie nie pozostał najmniejszy nawet ślad inskrypcji czy malowideł. Żadnych Lwów Judy. Żadnych lwich ślepi.

W końcu dotarli do głównego kompleksu ruin. Pospiesznie wkroczyli do wyznaczonego pokruszonymi murami, pozbawionego sklepienia miejsca nazywanego skryptorium. Patrzyli naokoło, w stronę odległych gór, martwego, acz nieskazitelnie lazurowego Morza Martwego, na pojedyncze, samotne obłoki, krążące nad ich głowami ptaki.

— Zwój C? — zapytał Dan. — Tu go nie ma.

— Sam zmanifestuje swoją obecność — odparł z niejakim uporem Sal, zaskakując pozostałych. Powiódł wzrokiem po okolicy i nagłym ruchem odchylił głowę do tyłu. Wskazując na stoki bezpośrednio po drugiej stronie niecki, u szczycie doliny, zamachał gwał-

townie ręką. — Widzę lwi łeb — oznajmił. — Każdy może go zobaczyć. Ta długa, pochyla linia spłaszczonego stoku, może to jakieś osypisko — to jego pysk. Pofałdowania i otwory poniżej to paszcza i nozdrza; widzicie, ciągnie się w górę... ku dwóm jaskiniom po bokach grzbietu pyska. Ślepia.

— Tak, tak. Widzę to — przytaknęła Park. Wkrótce i mężczyźni podniecili się, dostrzegając rysujący się teraz wyraźnie kształt. — Prawe Ślepie Lwa to ta jaskinia po prawej stronie — szepnęła głośno Park, obawiając się, by nie usłyszeli jej najbliżsi turyści.

Parę minut później, rozprawivszy się z dwulitrową butelką wody mineralnej, zatrzymawszy się w ubikacji, oczyściwszy się wilgotnymi chusteczkami, pożarłszy kilka batoników dla odnowienia zapasów kalorii i zwątpivszy w swój zdrowy rozum, cała grupa rozpoczęła wędrówkę w kierunku Prawego Ślepia Lwa.

— No, dobrze, Prawe Ślepie Lwa — powtórzył Dan, dysząc z wyczerpania. — Myślę, iż ta wspinaczka jest troszkę dłuższa, niż sądziłem. Może zrobimy zdjęcie, żeby nie zapomnieć, i wrócimy później?

— Pewnie. Ale nie zabraliśmy aparatu — zauważył niedbale Motke.

— Jestem za tym, by zrobić to dzisiaj — zapewnił Sal, ponownie wszystkich zaskakując. — Wcale nie jestem zmęczony.

— Powinieneś częściej wpadać do przepastnych wąwozów — zażartował Dan.

Zeszli stromą ścieżką, mijając sterty potłuczonych skorup, jak dotąd zignorowanych przez izraelskie Ministerstwo Starożytności. Wkrótce znaleźli się w szerokiej nierce biegnącej prostą linią wzdłuż głównego kanału w stronę górskiego grzbietu i jaskiń — ku Prawemu Ślepiu Lwa. Sal maszerował w milczeniu z obcym mu dotąd uporem, podobnie jak Park, podczas gdy Motke i Dan paplali jak najęci.

— Więc co jest w końcu grane? — zapytał Motke. — Władowałeś się Benowi Hinnomowi bez zaproszenia na globalną telekonferencję. To bardzo wrednie z twojej strony. Dziwię się, że jeszcze nie chodzisz w betonowych skarpetkach. Szuka cię teraz, nie?

— Szuka mnie, owszem. Ich także, to pewne — potwierdził Dan odrobinę zbyt wyzywającym tonem. — Szuka na całym świecie.

Park i Sal nie potrafili ukryć swych uśmiechów. Motke naciskał go dalej.

— Myślę sobie, że szuka mnie w Arizonie... i w Peru... może w Himalajach i chyba na środku oceanu — chyba że w końcu złapie mnie, kiedy będę przejeżdżał przez Nikaraguę — roześmiał się Dan, pijąc łyk wody z butelki.

— Jesteś wszechobecny? — zapytał Motke.

— Zarezerwowałem sobie parę wycieczek — jednocześnie — wyjaśnił Dan z krzywym uśmiechem. — Trzytygodniowa wycieczka na mułach i spływ tratwą przez Wielki Kanion... osiemnasiodniowy rejs turystyczny po Pacyfiku z San Diego... dwutygodniowa wyprawa w Andy na lamach — lamy są fajniejsze od wielbłądów, sam wiesz... szesnastodniowa wspinaczka w Nepalu, yeti wliczone w cenę... oraz pięcioletniowe autokarowe szaleństwo na Autostradzie Panamerykańskiej wraz z wypadem na Falklandy. Zostawiłem cały ten spis na mojej sekretarce — jako wskazówki dla moich wydawców, ma się rozumieć. Dlatego myślę, że Ben i jego dupiasty kumpel Linzer szukają mnie — wszędzie, tylko nie tutaj.

— Nie byłabym taką pewna — ostrzegła go Park, — To tylko kwestia czasu.

— Kotku, na tym zasadza się cała ta impreza — odparł Dan. — Chodzi o czas. Wszyscy nieustannie spoglądają na zegarek.

— Nie mów do mnie kotku — chyba że chcesz, żebym pokazała pazurki — powiedziała śpiewnie.

Byli już na grzbiecie ponad jaskinią, gdzie zatrzymało ich ogrodzenie z cienkiego drutu. Zgrabnie przeszli nad nim na drugą stronę. Idąc stromym korytem górskiego strumyczka, zdołali zejść w dół o dobre kilka jardów, potem obeszlili wielki głąz i stanęli u wylotu jaskini — Prawego Ślepią Lwa. Sama jaskinia nie była głęboka, miała gładkie, pochyle, przykryte ziemią dno. Jedynie na samym jej środku można było stanąć bez schyłania się, we wszystkich kierunkach strop obniżał się ku podłożu. Słońce oświetlało większą część

jej dziesięciostopowej długości. Motke włożył rękę do plecaka i wyciągnął z niego dwie kieszonkowe latarki.

— Istnieje coś, czego byś nie miał w tym plecaku? — zapytał Dan.

— Jesteśmy na pustyni. Przed podróżą przygotowuję się na wszelkie ewentualności — odparł z dumą w głosie Motke.

Przyświecając sobie latarkami, metodycznie zbadali wnętrze jaskini, zagłębienia pod stropem, najniższe wgłębienia i potencjalne kryjówki. Baranie bobki. Grupy rozbiegających się we wszystkich kierunkach owadów. Żuki o niezwykłym zabarwieniu. Typowe szyszkowate gniazdo pustynnych szerszeni przyklejone do ściany. Trochę nacieków skalnych. Nic, co mogłoby zostać wykonane ludzką ręką.

— Jest pusta — powiedział Motke. — Chyba że chcecie kopać, ale nie mamy łopaty. To ta jedyna rzecz, której nie spakowałem do plecaka.

Wymieniwszy porozumiewawcze spojrzenia, zaczęli grzebać w ziemi rękami. Niemal od razu natrafili na skałę. Kiedy zbliżyli się do jednego z kątów, z gniazda wyleciało parę szerszeni i zabrzęczało nad ich głowami.

— Baranie odchody i gniazda szerszeni — stwierdził Motke. — Wszystkie te jaskinie miały tego dekoratora wewnątrz.

Kopali jeszcze przez chwilę, raniąc sobie dłonie i obcierając do krwi. Dan wpychał palce w cienkie szczeliny i pęknięcia, lecz niczego nie odkrył. Jedna ze szpar była wąska i długa.

— Podajcie mi latarkę — poprosił. Zajrzał do oświetlonej szczeliny. Nic.

— Może ja spróbuję — powiedziała Park, przetrzała oczy i zajrzała raz jeszcze do środka.

— Znaleźliśmy dosyć — Drugi Zwój Miedziany — powiedział Dan. — Spadajmy stąd. Jestem skonany. — Pozostali również w końcu się poddali.

— On tu jest — oznajmił Sal. — Tylko jeszcze się nam nie objawił.



Niemniej jednak wyszli z Prawego Ślepia Lwa z powrotem na ścieżkę. Dokładnie wtedy jeden z szerszeni zaczął brzęczeć przy uchu Sala. Ten odpędzał go kilkakrotnie, a potem trzy, cztery razy uskoczył w bok, by przed nim uciec. Tymczasem szerszeń nie ustępował. W pewnej chwili Sal stanął nieruchomo. Nie wiadomo dlaczego zamknął oczy na parę sekund, podczas gdy szerszeń brzęczał zawzięcie, wydając dźwięk przypominający buczenie transformatora przy jego prawej skroni. Sal wziął głęboki oddech, potem spokojnie wrócił do jaskini. Park, wiedząc, że ma alergię na jad pszczeli, na próżno starała się go powstrzymać. Z miejsca, w którym stała, było to jednak niewykonalne.

Wszyscy wgramolili się w ślad za Salem i patrzyli zdumieni, jak ten beztrudno podchodzi do ściany jaskini, przybliżając twarz na parę cali od gniazda szerszeni. Rozwścieczone, zaczepne owady wyleciały z niego, krążąc mu nad głową. Brzęczały, lecz nie przysiadały. W końcu kilkanaście z nich przeleciało mu obok prawego ucha, a wtedy Sal uniósł palec wskazujący i włożył go wprost w wylot stożkowatego gniazda. Szerszenie wyroiły się z jaskini wprost nad głowami Motkego, Park i Dana, którzy nerwowo przypadli do ziemi.

Niewielkim ruchem palca Sal skruszył całą konstrukcję gniazda. Kiedy rozpadło się wokół jego dłoni, odsłoniła się mętna, niebieskozielona, szklana fiolka. Jej ostro zakończony szpic zniknął w miniaturowym szybie. Drugi koniec zatykał strzępek płótna. Sal powoli wyciągnął fiolkę ze ściany i podniósł ją do światła. Zwilżywszy językiem palce, przetrął oblepioną brudem szklaną powierzchnię, obfitującą w pęcherzyki powietrza i grudki szkliska, lecz całkowicie nieprzejrzystą. Podczas gdy Sal trzymał fiolkę, Park delikatnie wyciągnęła płócienną zatyczkę. Sal odwrócił fiolkę, a wtedy z otworu wyłonił się czubek maleńkiego, zapisanego skórzanego zwoju. Park wyciągnęła go z naczynia.

— Mamy kłopoty jak stąd do Jeruzolimy — mruknął Motke.  
— Archeolodzy nas zabiją. Nie mamy zezwolenia na wykopaliska, niczego.

Park rozłożyła zwinięty dokument na dłoni Sala, przyciskając go

dwoma palcami, tak by Motke mógł go obejrzeć. Motke przysunął twarz do jego powierzchni, niemalże jeżdżąc po niej nosem.

— Samech-jod — ściśnięte razem — potwierdził z zapartym tehem Motke. — To Zwój C.

— Przeczytaj parę słów — poprosił oszołomiony Dan.

Motke spojrział, potrząsnął głową, by zacząć od początku, spojrział ponownie, sugestywnie zamrugał, by lepiej widzieć, i patrzył dalej.

— Tu nie ma żadnych słów — oznajmił w końcu. — To znaczy są, ale żadnego z nich nie rozpoznaję. Owszem, widzę litery, a nie które z nich są większe od pozostałych. Słowa — ale nie słowa.

Sal pochylił głowę, by lepiej widzieć. Kiedy przyglądał się pismu, jego oczy wy wracały się i strzelały na boki niemalże bez jego woli. Wsłuchał się. Wyglądało na to, że słyszy — prawym uchem... coś. Jego twarz zbieleła i uspokoiła się. Uśmiechnął się przez łzy płynące mu euforycznie z oczu i stwierdził:

— To kod. Mamo, to ja. To dla mnie. — Uniósł głowę, jakby był w transie, i dramatycznym gestem położył trzy palce prawej dłoni na zwoju. — Sami się przekonajcie.

Motke utkwiał spojrzenie w literach wskazywanych przez trzy palce Sala i to, co ujrzał, wprawiło go w osłupienie.

— Samech — S...Alef— A... Lamed — L...

Wciąż zadzierając twarz ku górze, Sal powtórzył: — To ja — a jego natchnione spojrzenie przybrało na sile i radości.

Linzer uderzył pięścią w blat biurka w swym biurze w Seattle i ryknął wściekle. Ojciec Dana powiedział: „Wiesz, tylko jeszcze nie wiesz, że wiesz”. Park przez mgnienie oka zadrżała ze strachu, niemalże dotknęła swego syna, lecz znieruchomiała z głośnym westchnieniem. Doktor Kuebitz zadzwonił do generała armii izraelskiej, który ze zdumieniem wysłuchał jego słów. Matka Raymonda podniosła słuchawkę, by zarezerwować bilet na samolot.

A dzieci tańczyły. Tańczyły dookoła, a szabes rebe tańczył wraz z nimi.

## FORMAT C:

Wszędzie sekrety. Wszystkie ukryte.

Wprawione w bruk alejek, szemrzące wśród drzew i ogrodów, płynące w strumieniach, odbite w oczach ptaków na błękitnym niebie, sekrety mieszkają w tym mieście. Ich technienie owiewa okoliczne góry oszałamiającą wonią. Oto Tsfat, starożytna forteca żydowskiej mistyki i magii, wykuta wyzywająco w skale na północy Izraela. W średniowieczu przechowywano tu kabalistyczną wiedzę, i wiedza tajemna nadal stanowi tu styl życia. W głębi jego sękatych uliczek i nadgryzionych zębem czasu budynków starego miasta Tsfat, centra rabiniczne i synagogi istnieją nie tylko po to, by oddawać cześć i okazywać posłuszeństwo, lecz by badać tajemnice, interpretować wizje, głosić przepowiednie, tworzyć magię i rozkoszować się prawdami numerologii. Tutaj się wierzy i czeka na nadejście Wybranego.

Tak więc do Tsfat udali się Dan, Park, Motke i Sal piątkowego poranka, wioząc ukryte w torbie dwa skarby, Drugi Zwój Miedziany i Zwój C. Pojechali jedyną, krętą, górską drogą prowadzącą do Tsfat, przejeżdżając przez układającą się warstwami mgłę i nisko zawieszony chmury, w poszukiwaniu odpowiedzi.

— Nienawidzę tej furgonetki — mruczał Dan, przeciskając się olbrzymim, białym pojazdem przez wąskie, kruche ulice Tsfat. Mimo ponawianych wysiłków mających na celu zdobycie mniejszego auta agencja upierała się, że jedynie ten furgon można wynająć długoterminowo. Dan traktował jeżdżenie nim jako osobistą zniewagę.

Odczekawszy, by zatłoczone ulice w centrum odrobinę się odblokowały, zaparkowali przed hotelem „Rimon”, malowniczą, kamienną rezydencją zwieszającą się nad urwiskiem niedaleko od starówki. Wystarczył dziesięćminutowy spacer przez dzielnicę artystów, gdzie swe towary wystawiali rzeźbiarze, kaligrafowie, rytownicy, kowale i skrybowie, niekiedy w eleganckich galeriach ze

złodziejskimi cenami i szampanem mrozącym się w kubłach przy wejściu, czasami w zagraconych budkach, a nierzadko na kartonowym pudle, chwiejnie ustawionym na straganie. Tuż za nią rozciągała się przypominająca labirynt dzielnica kabalistów.

Czworo podróżników zaczekało do drugiej, kiedy zgodnie z rozkładem karawana ciężkich autokarów wycieczkowych wypełnionych hałaśliwymi, polującymi na pamiątki amerykańskimi studentami, powróciła wąziutką górską drogą do gościńców w kibucach w dolinie. Kabalistyczna społeczność tolerowała te najazdy ze względu na dolary wrzucane do wszechobecnych skarbonek i kupowane przez turystów bezwartościowe kolczyki i przedrożone świece. Podczas pięciu tłocznych dni roboczych badacze zdawali się znikać. Teraz, kiedy pomarańczowe słońce zniknęło już za horyzontem i zbliżał się święty szabat, ulice mistycznej dzielnicy Tsfat na krótko odzyskały swą opustoszałą, wypełnioną echem atmosferę. Chwila spokoju, wolna od turystów, wystarczyła, by prawdziwi kabaliści Tsfat wynurzyli się z ukrycia. Wypełnili chodniki, śpiesząc się, by zakończyć swe sprawy przed zachodem słońca.

Motke znał Meira, badacza żydowskiego mistycyzmu. Droga do jego drzwi pozostała nie zmieniona: z placu po schodach do rozwidlenia, w prawą odnogę, wąskim przejściem na niższej położony chodnik, skąd ujrzeć można zapierającą dech w piersiach panoramę doliny, do przysadzistego, narożnego budynku, po drabinie z powyłamywanymi szczeblami na pomalowany na błękitno dach, i wreszcie w poprzek niego do starych, drewnianych drzwi. Tam mieszkał Meir.

Motke załomotał do drzwi.

— Meir, otwórz!

Rozległ się skrzypiący odgłos przesuwanych mebli i drzwi uchyliły się odrobinę. W środku było ciemno. Jedną ścianę całkowicie zasłaniała gruba kotara z czarnego aksamitu. W drugim rogu stała turystyczna kuchenka gazowa, a obok niej parę na wpół pustych puszek z kawą Elite. Pozostałe ściany wypełnione były książkami, ustawionymi pionowo i poziomo na kruchych, brązowych, poplamionych półkach, no i oczywiście na krzesłach.

Meir wychylił głowę przez drzwi. Był szczupłym, śniadoskórym uczniem, jego obszerna, poplamiona jedzeniem biała koszula zapięta była starannie pod szyją, lecz za to niechlujnie wetknięta w nieokreślonego kroju czarne spodnie wykończone frędzlami. Kwadratowa jarmułka ozdobiona była motywem palmy i wielbłąda wyhaftowanym jaskrawymi nićmi. Zapadnięte policzki zwiślały pod zmęczonymi, przykrytymi okularami oczami, spoglądającymi spod wyrazistych, krzaczastych brwi. Jego długie pejsy założone były zgrabnie za uszy.

Meir pozdrowił swego starego przyjaciela Motkego, po czym przywitał się grzecznie z pozostałymi.

— Proszę, wejdźcie — powiedział. Sal, Dan i Motke przekroczyli wysoki próg i weszli do pomieszczenia, lecz Meir zatrzymał Park przed drzwiami. — Przykro mi, pani nie może — powiedział dojsz uprzejmym tonem. — Kobiety muszą zostać na zewnątrz.

Park przyzwyczała się już — i zdążyła nabrać bardzo negatywnych odczuć — do denerwujących wymogów religijnych dotyczących kobiet. Starając się nikogo nie obrazić, po prostu czekała na reakcję Motkego i Dana. Motke starał się wytłumaczyć mu, dlaczego obecność Park jest niezbędna, lecz Meir przez cały czas nie ustępował i nie wykazywał chęci kompromisu. W końcu Motke skinął dłonią.

— Ale to ona ma torbę.

Park, upewniając się, że nikt nie patrzy, rozpięła torbę, włożyła do niej rękę i wysunęła górną połowę Drugiego Zwoju Miedzianego. Oczy Meira rozszerzyły się i zaraz zaczął gestykulować radośnie.

— Wejdz, wejdz, wejdz.

Mając oko na wścibskich sąsiadów, Meir zamknął drzwi, przesuwając niewielkie biurko o parę cali, tak by zablokowało zawias. Pociągnął za wystrzępiony szary sznur, a wtedy wielka kotara z czarnego aksamitu przesunęła się w bok, odsłaniając wielkie okno, które rozjaśniało całe pomieszczenie i ukazywało majestatyczną panoramę rozciągającej się w dole kotliny. Zerkając na zegarek, zapewnił ich:

— Mamy czas do zachodu słońca. Pokażcie mi to — powiedział, przebijając nerwowo palcami w kierunku torby.

Park ostrożnie wyciągnęła Drugi Zwój Miedziany, zawinięty w hotelowy ręcznik, i wręczyła go Motkemu, podczas gdy Meir pożerał go wzrokiem. Potem podała Danowi cienki kokon z grubej folii. Ten starannie odwinął niebieskozieloną fiolkę ze Zwojem C. Meir poruszył się niespokojnie, podczas gdy Sal w milczeniu wyciągnął płócienną zatyczkę i wysunął skórzany dokument. Kiedy starożytny dokument wyłonił się na światło dzienne, Meir westchnął głośno.

— Co to jest? — zapytał z rezerwą w głosie Meir.

— Oba znaleziono w Qumran, w jaskiniach — odparł Motke celowo beznamiętnym głosem, dodając: — To jest Drugi...

— zawahał się — Zwój Miedziany, wymieniony jako pozycja sześćdziesiąta piąta w oryginalnym Zwoju Miedzianym. Jak widzisz, wszystkie kryjówki oryginału są wyszczególnione w tych kolumnach. — Motke wskazał zwiniętym rogiem ręcznika. — Jedna z nich jest nawet niedaleko Tsfat. Drugi Zwój Miedziany zaprowadził nas do Zwoju C, którego odczytanie całkowicie mnie przerasta.

Meir zdjął ze stosu książek kwadratowe szkło powiększające i pochylił się nad oboma artefaktami, przyglądając się najmniejszym szczegółom inskrypcji. Badając Zwój C, zatrzymał się w pewnym miejscu.

— Świetnie. Cudownie — powiedział Meir. — No i?

— Mielisz nadzieję, że wyłożysz nam znaczenie paru ustępów — podsunął Dan.

— Wam? — zapytał Meir. — Proszę, nie obraźcie się, ale to, co wiem ja i ludzie mieszkający na tej ulicy, nie jest wiedzą, którą można by się dzielić, zwłaszcza, nie obraźcie się, proszę, z ludźmi takimi jak wy. Jest pan Żydem?

— Do mnie ta mowa? — zapytał Dan tonem młodocianego gangstera z ulic Chicago.

— Proszę, nie obraźcie się — powiedział Meir ostro, jak gdyby kroił jabłko na plasterki. — To, że ma pan przyciętego malucha, nie czyni pana Żydem. To, że jakiś nielegalny rabin wyprawił panu bar

micwę w Ameryce, nie czyni pana Żydem. Prawdziwy Żyd to ktoś, kto zna swoje miejsce we wszechświecie i swój związek z Wszechmogącym, kto rozważa pojęcia i nauki, przekazywane z pokolenia na pokolenie. Czyta pan po hebrajsku? Nie sędzę. Studiował pan kabałę? Nie sędzę. Czytał pan kiedyś Księgę Tajemnic, Księgę Bahir, Bramę Niebios, Księgę Temuna, Zohar? A w ogóle słyszał pan o nich? Pojmuje pan znaczenie emanacji, liczb, ognia i światła? Nie sędzę. Jest w mym posiadaniu boska wiedza, której należy nauczać powoli i starannie, przez długi czas, w spokoju, a i uczeń musi być odpowiednio wybrany... Chcecie kawy?

Dan uprzejmie pokręcił głową.

Pozostali również odmówili bez słów.

— Tak więc czułbym się niepewnie — tłumaczył dalej Meir — gdybym musiał podzielić się tymi sekretami nawet i z naszym Motkele; a on jest porządnym facetem i znam go. Może moglibyśmy trochę porozmawiać — zamienić parę zdań. Ale pan? Nie wygląda mi pan na godnego tej wiedzy, bo wiedza sama w sobie oznacza potęgę, więc musimy uważać, komu i w jakich okolicznościach jej udzielamy, podobnie jak wtedy, gdy dajemy komuś do ręki broń. O tamtych dwojgu — dodał Meir, niedbale wskazując na Sala i Park — w ogóle nie ma mowy.

Dan na moment zapanował nad swoją naturą ulicznika, podczas gdy pozostali patrzyli na niego nerwowo. Po chwili uśmiechnął się.

— Kto uczynił cię — zapytał cicho — bożym strażnikiem wiedzy?

— Nie jestem strażnikiem — odparł w rozdrażnieniu Meir.

— Ale odrobina wiedzy może być niebezpieczna. Wyobraź sobie, że spędziłeś całe życie w ciemnym pokoju bez okien, nigdy nie wychodząc na dwór. Lecz poza murami tego pokoju są tętniące życiem ulice, piękne wzgórza i doliny, cudne góry, niebo i morze oraz wszelkie kwiaty i zwierzęta. Czy byłbyś gotów na to, by ogarnąć to wszystko rozumem? Wyobraź sobie, że jesteś całkowitym igno rantem i analfabetą, którego zaprowadzono do największej biblioteki na świecie. Co mógłbyś zrobić? Proszę, nie bierz tego do siebie, ale

czy mnie teraz rozumiesz? Dlatego jeśli nie powiesz mi, dlaczego, miałbym ci pomóc, nie mogę tego uczynić. Bo i niby dlaczego?

Dan milczał.

— Dlaczego? — powtórzył Meir.

Przez chwilę Dan zmrużył oczy i zacisnął pięści. Usłyszał, jak jego matka zadaje to pytanie raz za razem, dopóki nie rozboleły go uszy od jego echa.

*Wszędzie dookoła nich ludzie popychali wózki, taczki — kopiaście wypełnione strzypami i szczątkami, które miały posłużyć ocalałym za podwaliny pod przyszłe jutro. Wojna dobiegła końca. Ofiary opuszczały swe kryjówki. Jedni szli- Inni kuśtykali. Jeszcze inni wlekli się powoli. Wielu po prostu błąkało się bez celu. Niektórzy nosili na szyi tabliczki, poszukując zaginionych członków rodziny. Każdy z nich miał nadzieję odnaleźć drogę do domu albo też ku nowemu życiu. Kim byli? Dokąd zmierzali? Zagubione gdzieś pomiędzy odległym dymem a odgłosem ich własnych kroków, wynędzniałe twarze uchodźców zapewniały o jednym: nigdy nie będą już tacy sami jak kiedyś. Ani świat. Ani też do tego nie dopuszczają-*

*Mojsze i Rivke szli swoją drogą, ciągnąc drewniany wózek z orczykiem załadowany płóciennymi workami i znalezionymi po drodze przedmiotami. Głodni, niepewni swego losu, wyczerpani, podążali w ślad za długim szeregiem innych ludzi, idących nie wiadomo dokąd \Z miejsc, których nie sposób było sobie nawet wyobrazić. Rivke na stopach miała ciężkie, jeździeckie buty, wymienione, a może ukradzione w wiosce. Wyróżniała się z tłumu, gdyż wielu ludzi szło boso. Broń Mojsze z pociskiem w komorze, przez cały czas zabezpieczona, kryła się pod jego płaszczem, gdzie łatwo mógł jej dosięgnąć. Wojna dobiegła końca, lecz on wciąż nerwowo przyglądał się każdemu drzewu i krzakowi, każdemu uciekinierowi i mijającemu ich rosyjskiemu żołnierzowi.*

*Szli przez całe przedpołudnie, mając nadzieję znaleźć coś do jedzenia. Armia Czerwona rekwirowała wszystko. Niedaleko od krzyżówki, parę metrów w głębi polany, dwóch mężczyzn łowiło ryby w strumieniu. Obaj spojrzeli dziwnie na Mojsze i Rivke. Obok nich*



stało wiadro ze złowionymi rybami, które przyciągnęło uwagę Moj-  
szego.

— Pilnuj wózka — powiedział Mojsze. — Może uda mi się  
zdobyć dla nas na wieczór rybę. — Zszedł z drogi, wołając do niej:  
— Widzę cię. Nie odchodź od wózka.

Obaj mężczyźni palili niemieckie papierosy, wydawali się zupeł-  
nie beztroscy nad swoimi linkami, jedynie od czasu do czasu zerkali  
na wlekących się drogą ludzi. Kiedy ryba brała, wybuchali entuzjaz-  
mem, jakby byli na wycieczce do miastem. Mojsze od wieków nie  
widział, by ktoś łowił ryby dla przyjemności.

— Niemieckie papierosy — stwierdził Mojsze. — Skąd je macie ?  
— zapytał wyższego z nich, próbując nawiązać przyjazną rozmowę.

— A, te — odparł tamten. — To nietrudnego. Wszędzie ich  
pełno.

— Skąd idziecie? — zapytał Mojsze.

— Ja byłem już wszędzie — odparł wysoki mężczyzna. — Kto  
jeszcze wie, skąd idzie, po tym wszystkim ? — Wskazał w  
stronę drogi.

Mojsze musiał przyznać, że jego odpowiedź była dosyć  
dziwna. Podczas tej okrutnej wojny każdy wiedział, skąd  
pochodzi.

— A twój przyjaciel?

— Austria — odparł tamten, nie odrywając wzroku od stawu.

— Wiedeń ? — zapytał Mojsze.

— Nein — odpowiedział mężczyzna po niemiecku. — Linz.

— Macie za dużo ryb — powiedział Mojsze, spoglądając przez  
ramię, by sprawdzić, co u Rivke. — To tylko ja i moja żona.  
Nie mamy dla was niczego. Ale jeśli znajdziecie dla nas  
rybę, pewnego dnia odplacę się wam przysługą.

Wyższy z mężczyzn zaciągnął się głęboko papierosem, spojrzal  
Mojszemu w oczy i zapytał:

— Obiecujesz?

— Tak — zapewnił go Mojsze. — Idziemy za frontem, może  
trafimy do obozu dla dipisów. To nic pewnego, ale na tym  
świecie można spotkać ponownie raz spotkanych ludzi

— Jesteście głodni, co? — zapytał wysoki mężczyzna.

W drodze wszyscy są głodni, pomyślał Mojsze.

— A na co by nam była ? Pewnie, że tak — odpowiedział Mojsze,

pozornie beztróskim tonem, lecz zarazem przesuwając dłoń bliżej broni pod płaszczem. — Wieczorem jedliśmy niewiele i tylko się pochorowaliśmy.

— / naprawdę potrzebujecie ryby na kolację ? — zapytał ponownie wysoki mężczyzna, najwyraźniej czerpiąc przyjemność z tego pytania.

— Nie mam dla was niczego w zamian, oprócz podziękowania... — powiedział Mojsze, czując narastający niepokój. — Ale widzę, że macie ich aż za dużo. Więc w minutę złapiecie sobie następną.

— Dobrze, ale pamiętaj, że wam pomogliśmy — powiedział wysoki mężczyzna i zabrzmiało to niemal jak groźba. — Pamiętaj, jak nie mieliście jedzenia, ja wyjąłem rybę z własnego wiadra i dałem ją wam, i nie prosiłem o nic w zamian oprócz tego jednego, hy kiedyś wasze dzieci albo wy sami odplacili mi przysługę z przysługę.

— Mojsze skinął twierdząco głową. — Dobrze, i oto jest wspaniała historia do opowiadania dzieciom. Opowiedz im, jak któregoś dnia

w środku tego szaleństwa otrzymaliście rybę na poboczu drogi.

— Opowiem, opowiem — obiecał Mojsze, zaczynając podejrzewać, że wysoki mężczyzna jest odrobinę niespełna rozumu, jak to często bywało z ludźmi po zakończeniu tej wojny.

— Cóż — oświadczył wysoki mężczyzna, — wszystko jest zapisane, wiesz. A więc pewnie zapisane zostało i to, że wniosę swój wkład do waszej kolacji, podarowując wam tę rybę. Wszystko ma swój cel, co? Nic przypadkowego. — Skinął w stronę kubła. — Weź, którą chcesz-

Mojsze pośpiesznie wyciągnął spod płaszcza kawałek materiału i zawinął w niego średniej wielkości rybę.

— Dziękuję — powiedział, pilnując się, by żaden z nich nie zmienił zdania. Wycofał się ku stojącemu na drodze wózkowi, nie spuszczać obu rybaków z oka. Kiedy Mojsze odwrócił głowę z powrotem ku drodze, wysoki mężczyzna zawołał:

— Będzie miał na imię Daniel.

Austriak oderwał się na moment od wędkowania i uśmiechnął się szeroko.

Mojsze odwrócił się do nich i zapytał:

— *Kto?*

*Wiadro i wędkę leżały nad strumieniem. Lecz po mężczyznach nie było śladu. Mojsze nie dbał o to. Pobiegł do Rivke.*

— *Wszystko ma swój cel — powiedział jej. — Mielśmy szczęście. Bóg zadbał o to, byśmy jedli dziś rybę. Musimy jedynie pamiętać o tym wydarzeniu. — Kiedy wznowili wędrówkę, Mojsze powtórzył: — Wszystko ma swój cel.*

Dan otworzył oczy i rozprostował palce. Potrzebował pomocy Meira. Nie mieli czasu na słowne utarczki, które do niczego nie prowadziły. Uciekł się więc do sprawdzonych dziennikarskich technik, każdą wypowiedź przefiltrowując przez logikę wyznawaną przez Meira.

— Świetnie mówisz po angielsku — zaczął.

— Przebywałem przez jakiś czas u mego wuja. W Jersey — odparł Meir.

— Wierzysz, że wszystko jest predestynowane, zgadza się?

— zapytał Meira, który najwyraźniej nie zrozumiał słowa „predestynowane”. — .. Ustalone z góry przez Boga?

Meir przytaknął.

— Pozwól więc, że opowiem ci pewną historię. — Dan opisał mu historię swych rodziców, cudowną ucieczkę matki z wagonu jadącego do Trebłinki, o tym, jak jego ojciec wyciągnął ją z płytkiego grobu, jak przez dwa lata żyli w lesie, o tym, jak postanowili dalej być Żydami, choć wierzyli wtedy, że są ostatnimi na świecie. — Czy to dlatego Bóg pozwolił im przeżyć? — zapytał zapalczywie Dan.

— Dlatego Bóg skierował nas ku Drugiemu Zwojowi Miedzianemu i Zwojowi C, ukrytym przez dwa tysiące lat, a potem przyprowadził nas do twego mieszkania, byśmy zaczerpnęły mądrości od ciebie — a nie od setki innych ludzi? A więc jesteś wystarczająco silny, by stanąć przed obliczem Boga i przeciwstawić się przeznaczeniu, jakie on sam stworzył?

Park zerknęła na Meira, potem na Dana. Motke i Sal wstrzymali oddech, czekając na odpowiedź Meira.

- Bardzo dobrze — przyznał Motke — jak na kogoś, kto nie jest prawdziwym Żydem.
- A czemu to przestałem być „prawdziwym Żydem”? — odparł Dan, znów korzystając ze słownictwa Meira. — Szukając oświecenia, spoglądając ku niebiosom i przychodząc za ich wskazówkami do ciebie? Czy ci, których Bóg doprowadza pod twoje drzwi, nagle wyzbywają się swego żydostwa? Tak to jest?
- Bardzo, bardzo dobrze — pochwalił uśmiechnięty Meir. — Cóż. Przepraszam cię, przepraszam was wszystkich i proszę Boga o wybaczenie. Wytlumaczę wam parę spraw. Do chwili, w której Bóg mnie zatrzyma. Tak przy okazji, jestem pewien, że wraz z każdą wyjaśnioną przeze mnie ideą tysięcy pojmiecie błędnie, ale zrobię wszystko, co będzie w mojej mocy.

Odwracając się do zwojów, Meir oznajmił:

— Z tego, co widzę, mogę wnioskować, że są tu spisane cudowne objawienia. Nie jestem specjalistą od filozofii esseńczyków. Ale ten metalowy zwój jest czymś więcej niż tylko listą zakopanych skarbów. Członkowie kultu wybrali miejsca, które po odczytaniu ujawnią swe ukryte znaczenie. Odszyfrowanie ich zajęłoby mi wiele czasu. Ten mały, skórzany zwój — wskazał dłonią — ten jest szczególnie skomplikowany, gdyż wszystkie słowa są jedynie fragmentami. Trzeba je ze sobą połączyć — to pierwszy krok. Potem możemy zanalizować litery i odczytać znaczenie. Już teraz widzę, że dwudziesta pierwsza litera alfabetu, litera szin, zwana też sin, ma szczególne znaczenie w Zwoju C.

Dan i Motke wymienili spojrzenia.

- Numerologia? — zapytał Dan z powątpiewającą miną.
- Bóg skrywa swe przesłania w literach i słowach, które wykraczają poza język — odparł sztywno Meir. — Siadajcie. Usiądźcie wszyscy, a ja wyjaśnię wam coś, zanim będę musiał udać się na szabat.
- Możemy pójść do synagogi wraz z tobą — zaproponował Dan.
- Nie, dziękuję — odparł Meir, starając się być uprzejmy. —

Wysłuchałem tego, co masz do powiedzenia, więc teraz pozwól mi mówić. — Z szybkością karabinu maszynowego Meir przedstawiał swe argumenty: — Litery i słowa są magiczne. Słowo Boga — czyli Tora — istniało przed stworzeniem świata. Jedyne za sprawą świętej wypowiedzi Boga świat rozpoczął swe istnienie. Po akcie stworzenia słowa przybrały materialną postać, przez co rozumiem czarne i białe litery Tory, Pięcioksięgu Mojżeszowego, bez względu na to, czy jest to książka czy też zwój Tory. Rozumiemy się na razie? Bóg jest wszechmocny — mówił dalej Meir, zwiększając tempo. — Jego słowa są wszechmocne, a Jego potęga płonie w literach i słowach, jakie widzimy i słyszymy, oraz w ich układzie. Ukazują nam obrazy z przeszłości, przyszłości oraz tajemnice z obu tych czasów. Litery i słowa, jak już powiedziałem, są mocą Boga, jak i energią. Energii nie można zniszczyć. Naukowcy to rozumieją. Tak samo jest z literami. Wiecie, co to jest szeryf? Taki niewielki zawijas na skraju litery — zwłaszcza w starszych krojach czcionki. Dzięki niemu litera wygląda bardziej elegancko. Serafin to niebiańska istota o sześciu skrzydłach, która stoi przed obliczem Boga. Natomiast *saraph* po hebrajsku znaczy „płonąć”. Jest taka słynna opowieść — zna ją każdy chłopiec, który jest prawdziwym Żydem — o mędrca, rabinie Chaninie, który złamał rzymski zakaz nauczania Tory. Rzymianie poddali go okrutnym torturom, zawinęli w zwój Tory i spalili żywym na oczach jego uczniów. Kiedy spowiły go płomienie, uczniowie zapytali go, co widzi. Rabin Chanina zawołał w męce: „Pergamin ginie w ogniu, a litery ulatują ku niebu”. Dan — mogę mówić do ciebie Dan? — pergamin można spalić, ale nie sposób spalić Bożego prawa. Rozważmy to dalej — mówił Meir. — Te niezniszczalne litery są symboliczne i przesycone energią w swym kształcie

i zastosowaniu. Spójrz na strukturę hebrajskich liter i na to, jak z ich połączenia powstają słowa. Weźmy słowo oznaczające „prawdę”, po hebrajsku *emet* — wyjaśniał Meir. — *Emet* składa się z trzech liter: alef, mem i taw. Te trzy litery to pierwsza, mniej więcej środkowa i ostatnia litera całego hebrajskiego alfabetu. Czysta prawda jest całkowicie prawdziwa, na początku, pośrodku i na końcu. Natomiast — wskazał na wydrukowane dużą czcionką słowo w tytule leżącej

na stole książki — każda z trzech liter słowa *emet* — zwróćcie uwagę — każda z nich ma dwie nogi — wy nazywacie je wydłużeniami dolnymi — opierające się pewnie na jednej linii — podobnie jak prawda ma pewne oparcie w rzeczywistości.

Teraz skupmy się na literze szin, którą w takiej obfitości znajdujemy w Zwoju C, tak zgrabnie przez was odkrytym — powiedział Meir. — Jak widzicie, sin, wymawiana przez s, zwykle nazywana też szin i wymawiana przez sz, wygląda podobnie do angielskiego W, tyle tylko że zaopatrzona jest w trzy płomienie na szczycie wydłużeń górnych. Te trzy płomienie symbolizują boskie objawienie. Wiecie też, że każda hebrajska litera posiada wartość liczbową. Bierzymy jakieś słowo i dodajemy wartość jego liter, by tym łatwiej odczytać jego znaczenie. Na przykład wszystkie litery w słowie *arie*, oznaczającym lwa, tworzą sumę identyczną z całkowitą wartością słowa *gvura*, znaczącego „odwaga i siła”, które jest zarazem jednym z imion Boga. Obliczenie całkowitych wartości każdego słowa, każdego zdania, każdej książki jest absolutnie nieodzowne. W przeciwnym razie to tylko strata czasu. Sin czy też szin posiada przykładowo wartość trzysta. W Zwoju C dostrzegam ciągle powtarzające się kombinacje trzech szin, czy też, z waszego punktu widzenia, trzech W. Ten zwój niewątpliwie ma głębokie znaczenie. Musiałbym zbadać go dokładniej, lecz w tej chwili... cóż, tyle udało mi się dostrzec.

Dan starał się nie okazywać swego powątpiewania.

— Meir — powiedział ostrożnie — ta cała numerologia, to bardzo skomplikowane...

— Widzisz — warknął zirytowany Meir —jesteś niewierzący, nie jesteś nawet Żydem, jesteś niemożliwy! — Spojrzał na zegarek i zagroził: — Zaraz muszę wyjść. Chcesz, żebym mówił dalej, czy nie?

Wszyscy mieli wyraźnie skruszone miny, więc Meir wznowił swój wywód.

— Posłuchajcie porównania, które być może zdołacie pojąć — zaproponował Meir. — Wierzycie w nuty, tak? Zapis muzyczny — spojrzął na Park. — Wiesz, co to są nuty?

— Na przykład do, re, mi? — odparła pytaniem Park.

- Dokładnie tak — potwierdził Meir. — Same w sobie nuty są jedynie dźwiękami. Kiedy się je połączy, tworzą muzykę. Ludzie się wzruszają, mają ochotę na świętowanie, tańce, smutek, walkę. Wszystko wypływa z odpowiedniego połączenia nut. Z tym na pewno się zgodzicie. Ludzie debatują nad strukturą nut. Dawni gregoriańscy mnisi od czasu do czasu śpiewali jedną dysonansową nutę — widzicie, także wiem co nieco. I mnisi ci obawiali się też pewnych interwałów — przerw między nutami. Wierzyli, że niektóre interwały i nuty należały do diabła, i starali się ich unikać. Tego mogliście nie wiedzieć. Ludzie w waszym kraju, także i w Anglii — mówił dalej — denerwują się, gdyż wykonawcy rockowi przemycają w swej muzyce diabelskie przesłania. Czasami nawet nie można ich usłyszeć, jeśli nie odtworzy się utworu od tyłu. Zgadza się? Zgadza się. Ale — proszę, nie obrażajcie się na moją szczerość — czy wierzyacie, że cała ta potęga, którą dostrzegacie w prostym kompozytorze, w krótkim utworze muzycznym, w ludziach, którzy go nagrywają, w nucie, która jest jedynie kółkiem na linii... że taka potęga nie istnieje w Bogu i słowie Boga? Słowa — wypowiedane i pisane, słyszone i widziane — pobudzają ciało — powiedział Meir, gestykulując zawzięcie. — Słowa pobudzają, podniecają, doprowadzają do łez. Wywołują emanacje. Gdybym był naukowcem, nazwałbym je falami radiowymi. Kiedy ktoś wypowiada nieprawdę, także wywołuje emanacje. Policja mierzy te fałszywe emanacje na wykrywaczu kłamstw i za pomocą analizy głosu, prawda? Sekret wszystkich tych tajemnic nie kryje się tutaj... — Meir położył dłoń na sercu. — On mieści się tu... — Meir przyłożył dwa palce do swej prawej skroni, mówiąc z naciskiem: — W umyśle. To dlatego nosimy na czole tefilin — te niewielkie skórzane pudełka z Bożym słowem. Bóg przesyła człowiekowi swe sygnały za pośrednictwem muzyki, obrazów piękna i przemocy, a przede wszystkim słów, liter i liczb — wszystkich emanacji kosmosu.
- Prawy płąt skroniowy — powiedział cicho Dan.
- To część mózgu — odparł Meir, dodając: — Wiemy, co to mózg. Mózg jest miejscem, gdzie mieści się umysł. Umysł

zaś, jak



już powiedziałem, podlega wpływom liter i słów, tajemnych kodów ukrytych w literach i słowach oraz potężnych reakcji, jakie wzbudzają w mózgu. Widzę, że próbujesz to zrozumieć. To już postęp. Moje słowa zaczynają do ciebie docierać. W takim razie porozmawiajmy o kodach. Znasz rosyjski? Nie sądzę. Potrafisz przetłumaczyć *Komitiet Gosudarstwiennoj Biezopasnosti*? Nie sądzę. Ale kod nie jest ci obcy, prawda, rozpoznajesz pierwszą literę każdego z tych słów... *Komitiet Gosudarstwiennoj Biezopasnosti* to KGB. CIA to Central Intelligence Agency, RC A to Radio Corporation of America. Weźmy teraz pierwsze trzy słowa pierwszej księgi Biblii, która po hebrajsku poprawnie nazywa się Bereszit, lecz której nazwa zhelenizowana została do Genesis. Te pierwsze trzy słowa to *Bereszit bara elohim*. Połączone ostatnie litery tych trzech słów tworzą alef, mem, taw — raz jeszcze *emet*, słowo oznaczające „prawdę”, jak to już zdążyłem wyłożyć. Spójrzmy teraz na koniec pierwszego rozdziału. Ostatnie litery pierwszych trzech słów ostatniego zdania ostatniego wersu także układają się w *emet*. To nie jest zbieg okoliczności, Dan. Te słowa i ich zakodowane znaczenia to przejaw woli Boga.

Meir zamknął na moment oczy, zmówił szybką modlitwę i kontynuował:

- Który z dźwięków jest najpotężniejszy ze wszystkich i jaki kod, najpotężniejszy ze wszystkich, reprezentuje ten dźwięk? Oczywiście nie wiesz tego. Gdybyś był Żydem, potrafiłbyś odpowiedzieć bez zawahania — bez obrazy. Ale nie ty. Podczas gdy nasz Motke nie miałby z tym najmniejszego problemu. Tym dźwiękiem jest nie dające się wypowiedzieć imię Boga. Co za dźwięk! Co za dźwięk! Śmiertelnicy posiadają jedynie kod tego dźwięku, który dla was wygląda jak YHWH, cztery litery składające się na tetra-gram. Niektórzy ludzie łączą te litery, przedstawiają ich szyk, rozdzielają je samogłoskami — i uzyskują w ten sposób swą ulubioną wymowę.
- Ja słyszałam „Jehowa” i „Jahwe” — powiedziała Park.
- Tak czy owak — podjął wywód Meir — ludzkość modli się

do tego zakodowanego imienia. I wszyscy wiedzą — powinni wiedzieć — że wydarzyć się mogą straszne rzeczy, jeśli wypowiedziane zostanie prawdziwe imię. Nawet Mojżeszowi nie dane było go usłyszeć. Pamiętajcie, co stworzyło wszechświat — oznajmił Meir, kiwając palcami wskazującymi obu dłoni. — „Wtedy Bóg rzekł: Niechaj się stanie światłość”. Akt stworzenia dokonał się nie wskutek wymieszania przez Boga jakichś związków chemicznych w próbówce. Bóg wyrzekł swe magiczne słowa — złożone z dwudziestu dwóch liter i dziesięciu liczb, które razem składają się na trzydzieści dwie ścieżki mądrości — i te słowa wystarczyły, by stworzyć cały wszechświat i wszystko w nim zawarte. Słowa, Dan. Oraz liczby. One są jednym i tym samym, Dan. Są — powiedział Meir z zamasztywanym gestem dłoni — narzędziami Boga.

Tłumacząc w zawrotnym tempie, Meir mówił dalej:

— Wszystkie hebrajskie litery posiadają przypisaną im wartość. To alfabet. Alef to jeden, bet to dwa, gimel to trzy, dalet to cztery i tak dalej. Rzymianie, Chaldejczycy, wiele starożytnych ludów postępowało podobnie. Litery to liczby. W Ameryce też to robicie, porządkujecie alfabetycznie. Macie listę A, listę B. Batalion alfa, batalion bravo. Jasne?

Dan skinął głową.

Meir zwolnił tempo wywodu i ściszył głos.

— A teraz dochodzimy do ciemności i światła. — Meir spojrzał na lewo, jak gdyby chciał się upewnić, że w pokoju nie czai się żaden niepożądany duch. — Światło i ciemność nie są odrębnymi bytami, stanowią części jednej istoty. Kiedy Wszchemogący stwarzał niebiańskie światło, ciemność była jego częścią, była z nim przemieszana. Bóg rozdzielił je na dzień i noc. Proszę, Dan, zastanów się. Światło istnieje wyłącznie dzięki ciemności. Bez ciemności jako punktu odniesienia nie ma światła. — Meir przeszedł w mroczny kąt i zapalił zapalniczkę. — Widzisz światło tej zapalniczki. Światło składa się z wielu odcieni, z których każdy posiada swe duchowe znaczenie, którego nie będę teraz rozważać — potrzeba by na to wiele godzin. Lecz traktowane jako całość, światło jest otoczone czym? — Nie czekając na odpowiedź, Meir sam jej sobie udzielił: — Ciemnością.

Dan w zamyśleniu oparł podbródek na splecionych dłoniach, zastanowił się przez chwilę i stwierdził:

— Jeśli nie ma światła bez ciemności, nie ma też dobra bez zła. Zło jest niezbędne do zdefiniowania dobra.

Wszyscy zareagowali tak, jakby nagle zaświecono im po oczach latarką. Meir zmarszczył z głębokim zadowoleniem twarz i łagodnie potrząsnął głową, a jego brwi zatrzepotały.

— Teraz widzisz potęgę słów — oznajmił z dumą. — Nie trzeba było dużo czasu, żeby zrobić z ciebie prawdziwego Żyda. Pewnie, że istnieje taki związek. Światło jest światem prawych i pobożnych. Ciemność to druga strona, gdzie żyją demony i złoczyńcy, zła Lilith i jej partner, arcydemon Samael.

— „Ja tworzę światło i stwarzam ciemności, sprawiam pomyślność i stwarzam niedolę. Ja, Pan, czynię to wszystko”. Księga -Izajasza 45,7 — powiedziała Park i dodała: — ..podstawy Biblii.

Meir pochwalił ją uniesieniem brwi.

Zwinnie wyginając ciało, Meir przyjrzał się raz jeszcze z bliska Zwojowi C, przesuwając nad nim lupę, lecz w końcu powrócił do fragmentu, który badał uprzednio. Szybko zajrzał do innej książki, a potem przekartkował cienki manuskrypt spoczywający na lodówce. Pomodlił się przez chwilę w milczeniu, zdjął okulary i powiedział wolno:

— Myślę sobie... myślę sobie... trzy litery szin powtarzające się w tym zwoju, ich rozplanowanie, reprezentują wszelką wiedzę, a może jej skażenie, tak, skażenie wszelkiej wiedzy. Podobnie jak światło skażone było przez ciemność, zanim została wygnana aktem stworzenia i oddana we władanie złu, podobnie jak Adam skaził swój ogród, zrywając owoc z Drzewa Poznania Dobrego i Złego, zanim został skazany na wygnanie, tak i te trzy litery szin reprezentują coś skażonego, coś, co może sprawić, że nadejdzie czas panowania arcydemona — on ma wiele imion. Ale wiecie przecież, o kim mówię... o Szatanie.

Dał znać Danowi, by przysunął Zwój C do światła.

— Ten fragment — powiedział, wskazując małym palcem — stanowi odniesienie do „ohydy ziejącej pustką”, która zapowiada

ostateczny bój Dobra ze Złem, gdy Szatan spróbuje postawić swego bałwana w świątyni. „Ohyda ziejąca pustką” to ostateczna próba skażenia przeczystej obecności Pana. Park zacytowała ponownie:

- „I uczynią tam ohydę ziejącą pustką. Tych zaś, co przestępują przymierze, nakłoni do przewrotności pochlebstwami; jednak ludzie, którzy znają swego Boga, wytrwają i będą działali”. Słowo w słowo za Księgą Daniela — dodała.
  - Znasz się na Biblii — pochwalił ją Meir, poruszając z aprobatą brwiami. — A rozdział?
  - Jedenasty.
  - I znowu się zgadza — odparł Meir, dodając: — Teraz dostrzegam tu jeszcze dalsze liczby... ale nie ma w nich sensu. A raczej ich sens przekracza moje zdolności pojmowania. — Raz jeszcze spojrzął na Zwój C. — Najpierw widzę trzyliterowe słowo — nie słowo, a raczej zbitkę liter, których suma wynosi trzynaście... gi-mel-he-he, czyli trzy plus pięć plus pięć, razem trzynaście; dalej kolejną, nieco inną trzyliterową zbitkę, waw-he-he, sześć plus pięć plus pięć, razem szesnaście. — Meir wydłubał sobie śluz z kącika oka. — Nie wiem, dlaczego właśnie trzynaście i szesnaście. Może później to zrozumiem. Widzę też jakby powiązanie — zauważył — z chaldejskim systemem alfabetyczno-numerycznym. Alfabet ten byłby oczywiście znany Danielowi, jako że przebywał w chaldejskim Babilonie, a Księga Daniela powstała zapewne wkrótce po upadku Babilonu w 539 p.n.e., co sprawił nasz Pan, w swej mądrości obrawszy za swe narzędzie Cyrusa Wielkiego.
  - A na czym polegał ich system? — zapytał Sal.
  - On umie mówić — zdziwił się z przekąsem Meir. — Każdą literę należy pomnożyć przez sześć. Porównując alfabet chaldejski z angielskim, oczywiście tylko z grubsza, na początek A odpowiada 6. Dalej B odpowiada 12. Następnie C odpowiada 18, cały czas dodając szóstki, aż w końcu dochodzi się do Z odpowiadającego 156 i tak dalej.
- Meir postukał się w czoło i powiedział:
- Zakładam, że... hmm, może nie powinienem tego zakładać,

ale może słyszeliście, że wzgórza Jerozolimy tworzą kształt litery szin, tej niemalże identycznej z W? — Wyciągnął tępy ołówek i na kartce papieru narysował trójząb. — Widzicie, to W, że już będę używał tej nazwy, składa się z trzech linii, które odpowiadają trzem dolinom starożytnej Jerozolimy. — Sięgnął po książkę z mapą topograficzną miasta, przesuwając palcem po stronie w ślad za konturami trzech rozcinających miasto, biegnących łukiem dolin.

— Ja im wyjaśnię — wtrącił Motke, korzystając ze sposobności, by powrócić do swej roli przewodnika. — Meir chce powiedzieć, że po prawej stronie litery W, czy też szin, jest dolina Cedronu, gdzie znajduje się Góra Oliwna, która reprezentuje dobro. Po lewej stronie litery W, czy też szin, jest dolina Ben Hinnom — twoja ulubiona, Dan. Już znasz tę dolinę zła. Natomiast w środku ciągnie się dolina Tyropoeon, którą teraz przykrywają zabudowania Starego Miasta — to j uż nawet nie jest dolina. Ale te dwie boczne — Cedron i Hinnom — zbiegają się w najniższej części doliny Tyropoeon i stają się Połączoną Doliną Cedronu, która biegnie aż do Morza Martwego. Nie tak daleko od Qumran. Tą trasą można przejść ze Starego Miasta nad Morze Martwe w kilka godzin.

— To czysta geografia — podjął Meir. — Ale podkreślam, że te dwie zewnętrzne doliny — Hinnom i Cedron — od zawsze reprezentują zmagania dobra i zła. Słuchajcie mnie uważnie, bo wiem, co mówię.

Zerknął przez okno i ujrzał, że słońce prawie już zaszło.

— To wszystko. Szabat — wyrzucił z siebie pośpiesznie. — Kto wie, co kryje się w tych dwóch zwojach... Nie możecie ich tak sobie zatrzymać — uprzedził ich.

Zawijając z powrotem oba artefakty, Motke poprosił Meira, by zachował wszystko w tajemnicy do chwili, gdy zdecydują, komu przekazać oba zwoje.

— Dochować tajemnicy? Jestem w tym ekspertem — zapewnił go Meir, wyganiając wszystkich za drzwi.

Kiedy wychodzili, Meir, jak przystało na dobrego nauczyciela, przypomniał im na do widzenia:

— Więc macie teraz trzy szin... do tego 13 i 16 — tego nie

potrafię zrozumieć. Może macie też alfabet chaldejski... i niewątpliwie Danielowe proroctwo o ohydzie w świątyni. Tak więc... — Meir stanął niezręcznie w progu. W końcu zapytał: — Nu?

— Oczywiście... — połapał się Dan. — Na synagogę — powiedział, wyciągając trochę izraelskich pieniędzy.

— Dolary są lepsze — powiedział Meir.

Dan sięgnął do tylnej kieszeni spodni i wyciągnął parę zmiętych banknotów.

— Proszę, dziesiątka i jeszcze jeden dolar, więcej nie mam.

Dziękuję za pomoc, zwłaszcza tuż przed szabatem.

Meir spojrział szybko na pieniądze, uniósł brwi i uśmiechnął się szeroko.

— Pamiętaj, co powiedziałem — powtórzył. — Bóg przemawia za pośrednictwem liter i liczb. *Sabbat szalom.*

Poranne słońce miało jeszcze godzinę, by pojawić się nad Izraelem, gdy niechlujnie ubrany celnik przydeptał wciął jeszcze kopcacego papierosa i leniwie otworzył kłódki na masywnej bramie z drutu kolczastego. Zniszczony przez pogodę napis oznajmiał po hebrajsku, arabsku i angielsku: „Wstęp wzbroniony. Palenie zabronione. Towar zabezpieczony”. W wielkiej zagrodzie rzędy wyladowanych kontenerów tworzyły równoległe biegnące kaniony. Gruby łańcuch zadźwięczał głośno, kiedy niechlujnie ubrany mężczyzna wyciągnął go z trzech zamków, pozwalając, by brama otworzyła się pod własnym ciężarem. Za jego plecami nie kończący się ciąg świateł oczekujących na swoją kolej statków handlowych migotał na wodach portu Hajfa.

Krocząc wolno między rzędami kontenerów, celnik porównywał liczby na ich stalowych, ubrudzonych drzwiach z zapisami w swoich notatkach. Jeden po drugim sprawdzał i odprawiał kontenery, oznaczając zieloną kredą te do wydania. Na samym końcu stanął przed nietypowym kontenerem, dziwnie wysokim i o nieregularnych kształtach. Odblokował, uniósł i odsunął mechanizm zabezpiecza-

jacy. Chwyając dłonią za dźwignię, szarpnął mocno. Drzwi nie ustępowały. Położył papiery na ziemi i oburącz zdołał otworzyć zardzewiałe drzwi. Pod nogami przebiegły mu trzy szczury. Zgrabnie zszedł gryzoniom z drogi — w tych kontenerach nie było to niczym dziwnym — a potem wyciągnął z kieszeni latarkę. Ostatni szczur pospiesznie pobiegł w ślad za towarzyszymi. Omiótł wnętrze kontenera promieniem światła, lecz nie rozpoznał jego zawartości. Podtoczył do niego ruchomy reflektor, by lepiej się przyjrzeć. Przy wótrze trzasków zapłonęło jaskrawe światło.

Miał właśnie skierować je na kontener, kiedy podeszło do niego dwóch mężczyzn. Celnik oświetlił ich latarką i zawołał po hebrajsku:

— Przepraszam, przepraszam. Wstęp tylko za upoważnieniem.

Ben Hinnom uniósł rękę, by osłonić oczy przed światłem.

Linzer pokazał celnikowi jakieś papiery.

— Jejkusiu — powiedział Hinnom — wygląda na to, że my jesteśmy upoważnieni. — Pstryknął teatralnie palcami i uśmiechnął się. — Przyszliśmy odebrać nasz ładunek.

Celnik przejrzał podane mu w trzech kopiach dokumenty, przedziurkował je dwukrotnie, ostemplował, postawił swoją parafkę, wpisał datę 11 lipca 1999 roku i gestem ręki wpuścił obu mężczyzn do ciemnego wnętrza kontenera.

— Proszę się odsunąć — zawołał ze środka Hinnom.

Celnik odszedł na bok.

Warknięcie silnika. Gęsty, czarny dym. Zgrzyt skrzyni biegów. Gwałtowne przyspieszenie. Żółty gimbus, numer rejestracyjny LIPIEC 66, wytoczył się brawurowo z kontenera. Celnik nigdy dotąd nie widział w Izraelu podobnego pojazdu. „To coś nowego”, mruknął pod nosem, patrząc, jak auto hamuje z piskiem opon przy wyjeździe, jego kierowca podaje strażnikowi ostemplowane papiery, a potem paląc gumę, rusza ku nadmorskiej autostradzie prowadzącej wprost na południe.

Była niedziela. Na opustoszałej drodze między Hajfą a Jeruzalem, milę od najbliższego skrzyżowania, na skrytym wśród bujnych drzew odcinku trasy między dwoma wzgórzami, ciężarówka wiozą-

ca owce z kibucu do rzeźni zatrzymała się nagle. Kierowca obrócił się do siedzącego obok niego autostopowicza i zapytał:

— Jesteś pewien? Tutaj?

— Tutaj — odparł szabes rebe i wyskoczył z ciężarówki ze swoim znakiem. W lusterku odjeżdżającego auta widać było, jak siada przy drodze, modląc się rytmicznie nad niewielką książką.

Dwie godziny później uwagę szabes rebeego wciąż całkowicie pochłaniała książka. Nagle uniósł głowę, nasłuchując. Z namaszczeniem zamknął książkę i schował ją do kieszeni.

Wysoko na niebie przeleciał ptak, kierując się z lewej strony drogi na prawą. Rebe zamachał do niego pogodnie i odmówił kolejną modlitwę.

Na szczycie odległego wzgórza pojawił się żółty gimbus. Szabes rebe spokojnie podniósł z trawiastego pobocza swój afisz, uniósł go obrącz wysoko nad głowę i ustawił się pośrodku jezdni. Napis głosił:

W IMIĘ BOGA  
BŁOGOSŁAWIONE NIECH BĘDZIE  
JEGO WIECZNE SŁOWO  
PROSZE, NIE JEDŹ DALEJ.

Hinnom i Linzer ujrzeli przez przednią szybę odległą postać szabes rebeego.

— O-o — powiedział Hinnom. — Przeszkoda na drodze. Szabes rebe, walcząc z napierającym wiatrem, sztywnymi ramionami zamachał napisem w lewo, potem w prawo.

— Dodaj gazu — rozkazał chłodno Hinnom.

Linzer przyduśił pedał gazu do podłogi. Silnik zawył i wypluł z siebie gęste kłęby spalin, podczas gdy gimbus nabierał szybkości.

— Szybciej — zawył Hinnom, podczas gdy szabes rebe dalej stał nieustępliwie na ich drodze.

— *Szma Yisrael, Adonai Elohaynu, Adonoi Ehad!* — wykrzyknął głośno rebe.

Jeszcze raz. Głośno.



— *Szma Yisrael, Adonai Elohaynu, Adonoi Ehad!* I  
jeszcze raz.

— *Szma Yisrael, Adonai Elohaynu, Adonoi Ehad!*

Ostatnia inkantacja ledwie zdążyła spłynąć z jego warg, gdy rozpędzony autobus Hinnoma uderzył w jego ciało, z okropnym plaśnięciem roztrzaskując je w mgnieniu oka. Podczas gdy autobus gnał dalej na południe, Hinnom przebiegł do tylnego okna i spojrzął na martwe ciało szabes rebego. Beznamiętnym tonem zawołał do Linzera:

— Następny przystanek: Jerozolima.

Dan, Park, Motke i Sal wyruszyli z Tsfat do Jerozolimy w niedzielny poranek. Olbrzymia, biała furgonetka nadal irytowała Dana, lecz przynajmniej miała wystarczająco mocny silnik, by dać sobie radę ze stromymi wzgórzami na autostradzie do Jerozolimy. O dziesiątej od miasta dzieliło ich już tylko pół godziny. Sal z zapalem stukał na Windym, mozoląc się nad permutacjami numerologicznych mądrości wyjawionych przez Meira. Motke czytał wybrane ustępy z Biblii. Park raz jeszcze rozważała głębokie, duchowe pojęcie dobra i zła, światła i ciemności. Dan zawzięcie rozważał, czy powinni zjeść kolację w tradycyjnej, ormiańskiej restauracji Emy czy też w jednej z nowych, modnych restauracyjek na południe od miasta, podających owoce morza.

Nieoczekiwanie, kiedy furgonetka dojeżdżała już do okolic Sha'ar Hagai niedaleko Jerozolimy, zaczęła gwałtownie zwalniać. „Kurczę!” — wrzasnął Dan, gdy samochód zatrzymał się ciężko. Sprowadził go na pobocze autostrady i zaciągnął ręczny hamulec, by nie stoczył się ze wzgórza. Kręcąc z niesmakiem głową, kilkakrotnie obracał kluczyk w stacyjce, usiłując uruchomić silnik.

— Pompa paliwowa. Założę się o wszystko — mruknął Dan.

Wyskoczył z samochodu, zjrzał pod maskę i oznajmił z odrazą w głosie:

— Nienawidzę tej furgonetki.

Usiadł z powrotem za kierownicą i spróbował połączyć się przez komórkę z agencją.

Rozległ się pisk i na wyświetlaczu pojawił się napis: „Bateria wyczerpana”.

Park i Sal próbowali skorzystać ze swoich telefonów. Ich również wymagały naładowania.

— Jesteśmy zaledwie parę minut od celu — sapał Dan. Motke usiłował zatrzymać jakiś samochód, lecz wszystkie samochody, taksówki, autobusy i ciężarówki gnały z zawrotną szybkością na szczyt wzgórza.

— Nikt się nie zatrzyma — zapewnił ich Motke. — O tej porze wszyscy pędzą na złamanie karku.

— Robią to bez względu na porę dnia — odparł Dan. — Będziemy musieli się przespacerować.

Właśnie wtedy trawiastym poboczem nadjechał mały arabski chłopiec, posykując na swego osiołka. Pacnął go delikatnie po pysku gałązką i syknął ponownie, a zwierzę zatrzymało się posłusznie. Chłopiec z pobliskiej wioski, może dziesięcioletek, ubrany w podarte spodnie, firmową koszulkę Coca-Coli i niebieskie, plastikowe sandały, z bezgraniczną przyjemnością zapytał po arabsku:

— Podwieźć was? — i zaraz dodał nienaganną angielszczyznę: — Zapłaćcie mi.

Z rozbawieniem Dan ustąpił pola Motkemu, który, jak większość Izraelczyków, umiał się jako tako porozumieć po arabsku.

— Jak, na twoim osle? — zapytał Motke po arabsku.

Chłopiec pokręcił przecząco głową, zachichotał i wskazał w górę wzgórza, gdzie jego kolega stał przy rozklekotanym motorowerze.

— Dojeżdż tym czymś autostradą do Jerozolimy — roześmiał się Motke. — Zginiemy w dwie minuty. — Odwrócił się do pozostałych i powiedział po angielsku: — Chce zabić paru Żydów bez strzelaniny. Mamy pojechać tym! — zażartował, wskazując na motorower.

Chłopiec zamachał ręką, gwiżdżąc. Jego kumpel na szczycie wzgórza wskoczył na motorower i powoli zjechał krętymi owczymi ścieżkami i koleinami wyżłobionymi przez motocykle na dno kanału

odpływowego biegnącego wzdłuż drogi. Tam wyłączył silnik i przeprowadził motor przez rów, wyciągając go na pobocze obok niesprawnej furgonetki.

— Zapłaćcie mi — powtórzył Arab z osiołkiem.

Dan zachichotał, oglądając motorower, obracając kluczyk w stacyjce i poruszając kierownicą.

— Ale fajny — powiedział. Pozostali zareagowali z niedowierzaniem i głośnymi protestami.

— Na autostradzie jerozolimskiej! — zaoponował Motke do wtóru ryku mijających ich nieustannie samochodów. — Zapomnij o tym.

— Hej — powiedział chełpliwie Dan. — Zdarzyło mi się przejechać w godzinach szczytu przez całą południową część Chicago wąskim poboczem autostrady Dan Ryan, robiąc sześćdziesiąt mil na godzinę i przez cały czas omijając sterty śmieci, żeby zdążyć na wywiad dla „Playboya”. Wtedy miałem prawdziwy samochód. To motorower, wielka mi różnica.

Po paru minutach zupełnego rozgardiaszu, kiedy Park i Motke nakłaniali Dana do rezygnacji ze swego szaleńczego, samobójczego planu, a Motke jednocześnie targował się z Arabem, uzgodnili wysokość zapłaty. Dziesięć dolarów. Dan miał wjechać pod ostatnie wzgórze do Jerozolimy i zadzwonić po pomoc drogową. Potem miał poczekać na obu chłopców, którzy obiecali dołączyć do niego na osiołku, by odebrać motorower. Pozostali mieli zostać w furgonetce, czekając na przybycie pomocy drogowej. Dan chciał właśnie odpalić rozklekotany skuter, kiedy z furgonetki wyskoczył Sal.

— Mogę ja?

— Nowy i ulepszony Sal — łowca przygód — zażartował Dan, podczas gdy Park bez namysłu skrytykowała ten pomysł. Dan nie zgodził się z nią, uważając, że nadeszła doskonała okazja, by Sal mógł okazać trochę brawury, a poza tym przez cały czas miał jechać poboczem. Zaczął nawet instruować go, jak dojechać do podmiejskiej stacji benzynowej.

Zirytowana Park przerwała mu w pół zdania, mówiąc bez ogródek:

— Brawura nie oznacza od razu samobójstwa.

Wciąż jeszcze się sprzeczałi, gdy Sal skinął porozumiewawczo ku arabskiemu chłopcu. Ten mrugnął.

Sal nagle wskoczył na motorower, ruszając chwiejnie z miejsca i pojechał autostradą pod górę. Park zrezygnowała ze ścigania go po paru jardach. Rozwścieczona naskoczyła na Dana.

— Jeśli coś mu się stanie, zapłacisz za to głową, szanowny panie.

Dan zmarszczył czoło.

Sal natomiast przeistoczył się w ruchomy uśmiech. Samochody mijaly go niczym pociski, owiewając jego rozgrzaną słońcem postać, lecz on jechał pewnym kursem po poboczu. Od czasu do czasu kasłał i krztusił się, gdy z ogłuszającym hukiem mijał go zjeżdżający ze wzgórza wielki, ciężarowy mercedes, ciągnąc za sobą kłęby spalin. Ale to nie miało znaczenia. Było fajnie. I robiło się coraz fajniej. Pasażerowie przelatujących obok niego samochodów machali do niego. A potem pojawił się traktor z kibucu, zjeżdżając na pobocze za Salem. Sal odwrócił się na siodełku i zamachał do niego, a farmer odpowiedział tym samym, uchylając kibucowego kapelusza z naszytą gwiazdą Dawida.

— Dokąd jedziesz? — zawołał farmer.

— Do Jerozolimy - odkrzyknął Sal, pokazując przed siebie. Farmer wykonał identyczny gest, zachęcająco wymachując pięścią. Teraz było ich już dwóch.

W następnej chwili niewielki minibus wypełniony katolickimi zakonnicami zjechał za nimi na pobocze. Rozplotkowane siostry, jadące prosto z lotniska Ben Gurion, zachwycaly się Salem i jego pyrkoczącym motorowerem. Wychylały się przez okna, wymachując rękoma jak gdyby w rytm bezgłośnej muzyki. Teraz tworzyli już zespół składający się z trzech pojazdów.

Grupa minęła zlanego potem rowerzystę, mozolnie pnącego się pod górę ku Jerozolimie. Pozdrowił ich uniesieniem bidonu, a Sal zamachał do niego w odpowiedzi.

— Jerozolima? — zawołał rowerzysta.

— Tak! — odpowiedział zachwycony Sal.

Rowerzysta przyspieszył i dołączył do nich. Teraz tworzyli już karawanę.

Przy wjeździe do Jerozolimy Sal zawrócił i wjechał na stację benzynową naprzeciw miejsca, w którym zwykle siedział szabes rebe. Sal zeskokczył z motoroweru, kiwając na pożegnanie reszcie konwoju. Spojrzał w stronę biura, szukając telefonu, z którego mógłby zadzwonić do agencji wynajmu samochodów. Bezskutecznie. Lecz kiedy się odwrócił, zobaczył, że jest otoczony. Nie był w stanie się poruszyć.

Wokół niego tańczyły małe dzieci, te same, które bawiły się z szabes rebem w Mea Shearim. Śpiewając piosenki i pociągając za spodnie i koszulę Sala, płąsały z czystej radości tak, jak potrafią to robić tylko dzieci. Tańczyły i tańczyły dookoła niego. Szybciej. Coraz szybciej, tak że w końcu Salowi zakręciło się w głowie od samego patrzenia.

— Kocham was wszystkich — zawołał rozradowany Sal. — Ale nie mówię po hebrajsku. Nie rozumiem was.

Lecz dzieci nie ustawały i harce trwały jeszcze przez jakiś czas, do chwili gdy Sal wyrwał się im w końcu, udając się na poszukiwanie telefonu. Dzieci nie poszły za nim i rozproszyły się równie nagle, jak się pojawiły. Z wyjątkiem jednej z dziewczynek. Zanim zniknęła za rogiem, zatrzymała się, odwróciła, zawołała coś po hebrajsku i posłała Salowi całusa.

— Przepraszam — zawołał w odpowiedzi Sal. — Nie mówię po hebrajsku.

**LOGON: Sal M. HASŁO: \*\*\*\*\***

**WERYFIKACJA HASŁA: \*\*\*\*\***

O jedenastej w nocy, długo po tym jak Motke poszedł do domu, podczas gdy Dan i Park rozkoszowali się ostatnią cappuccino

w modnej kawiarence na terenie kolonii niemieckiej w południowej części miasta, Sal wciąż jeszcze siedział w Derek Institute, pracując na Windym, poszukując odpowiedzi, rozważając nauki Meira.

Otworzył nową, potężną, globalną, wielojęzyczną wyszukiwar-  
kę, którą dopiero co odkrył. Program zapytał: „Co chcesz znaleźć?”

Sal wpisał: „ $13+16=29$ ”.

Po kilku chwilach ekran pokazał: „Zero trafień. Następne za-  
danie?”

Sal wpisał „ $16+13=29$ ”.

Po kilku chwilach ekran ponownie pokazał: „Zero trafień. Następ-  
ne zadanie?”

Sal wpisał: „ $13 \times 16$ ”.

„Zero trafień. Następne zadanie?”

Sal wpisał: „ $13 \times 16=208$ ”.

„Zero trafień. Następne zadanie?”

W przypływie bezradności wyprasował z chrupnięciem palce i  
dla żartu wpisał: „Przydałoby się objawienie”.

Na ekranie pojawiła się lista: „Biblia Króla Jakuba, Nowa Wersja  
Międzynarodowa, Amerykańska Wersja Standardowa, Nowa Popra-  
wiona Wersja Standardowa, Poprawiona Wersja Standardowa”.

Wybrał Nową Wersję Międzynarodową i na ekran wypłynął tekst  
Apokalipsy. „Rozdział i wers?”

Sal wpisał: „Rozdział 13 wers 16”.

Na ekranie pojawił się wskazany wers:

„I sprawia, że wszyscy: mali i wielcy, bogaci i biedni, wolni i  
niewolnicy otrzymują znamię na prawą rękę lub czoło.

Sal polecił wyświetlić następny wers.

„... i że nikt nie może kupić ni sprzedać, kto nie ma znamienia —  
imienia Bestii lub liczby jej imienia”.

Sal polecił wyświetlić następny wers.

„Tu jest potrzebna mądrość. Kto ma rozum, niech liczbę Bestii przeliczy: liczba to bowiem człowieka. A liczba jego: sześćset sześćdziesiąt sześć”.

Sal wpisał: „Chaldejski alfabet hebrajski + wartości liczbowe”.

Pojawił się chaldejski alfabet hebrajski wraz z towarzyszącymi mu liczbami.

Sal wpisał: „Chaldejski alfabet hebrajski z angielskimi odpowiednikami + wartości liczbowe”.

Pojawił się chaldejski alfabet hebrajski. W drugiej kolumnie pojawiły się angielskie litery i wielokrotności sześciu, zaczynając od A, a kończąc na Z i liczbie 156.

Sal skopiował do pamięci litery angielskiego alfabetu wraz z odpowiednikami. Otworzył nowe okno, uruchomił bazę danych i wpisał pary po kolei w pole zadania.

A = 6

B = 12

C = 18

D = 24

E = 30

F = 36

Kiedy skończył, powrócił do wyszukiwarki w pierwszym oknie i wpisał: „Słownik angielski”.

Na ekranie pojawiły się nazwy 51 ogólnych i specjalistycznych słowników o liczbie słów od 60 000 do 119 000. Sal wybrał największy. Ściągnął go na dysk i wprowadził do bazy danych z angielskimi odpowiednikami alfabetu chaldejskiego.

Wpisał: „Znaleźć słowa o sumie liter odpowiadającej 666”.

„Znaleziono. Wyświetlić?”

Wpisał: „Tak”.

Jedno ze słów przyciągnęło jego wzrok.

C = 18

O = 90

M = 78

P = 96

U = 126

T = 120

E = 30

R = 108

Suma: 666

Sal napisał na kartce papieru: „666”. Odwrócił ją o sto osiemdziesiąt stopni i ujrzał „999”. Dodał kropkę po drugiej dziewiątce, a potem dopisał z przodu nazwę.

### **Windgazer 99.9**

Sal napisał po hebrajsku jak najdokładniej *szin szin szin*, co wyglądało jak trzy litery W. Napisał www z myślnikiem i znakiem zapytania.

Potem napisał: „World Wide Web”.

Sal szybko powrócił do komputera i zalogował się do sieci. Lecz jego palce nie trafiły we właściwe klawisze miniaturowej klawiatury Windy'ego. Zanim zdążył wpisać właściwy adres, połączył się z jakąś stroną. Nie był w stanie odczytać adresu, który nagle się rozmył. Strona zaczęła się ładować.

Nieoczekiwanie Salowi zrobiło się niedobrze. Najpierw rozboleła go głowa, potem zrobiło mu się gorąco, tak gorąco, że dłonie mu się spociły i zaczęły rwać. Pachy przeszył potworny ból, niemalże spazm. Stopy napuchły mu tak bardzo, że krawędzie sandałów wcięły się w ciało. Skrzywił się z bólu. Podczas gdy męczarnie pod pachami się potęgowały, podobnie narastało też napięcie w jego piersi. Oddychał z trudem. Do tego zaschło mu w ustach... bardzo bardzo... bardzo... sucho...

Strona załadowała się.

Biel wypełniała plamkę pośrodku ekranu. Powiększała się szybko. Bardzo się powiększała. Po chwili olbrzymia biała plama sięgnęła krawędzi ekranu. Lecz to jej nie powstrzymało. Potężna poświata rozszerzyła zasięg swego blasku, zatapiając Sala w swym dziwnym, rozprzestrzeniającym się blasku. Wkrótce większa część



pomieszczenia wypełniona była oślepiającą, pulsującą bielą. Początkowo osłaniał przed nią oczy, lecz potem opuścił dłonie i spojrział prosto w ekran. Nie był w stanie się poruszyć.

Biel przeniknęła Sala. Porwała go, przенiosła, uwiodła, zdumiała i przemieniła, aż poczuł, że nie znajduje się już w pokoju. Czuł się tak, jak gdyby wyjechał gdzieś, powędrował gdzie indziej, ku istocie poprzedzającej uświęcony ogień słów i liter, ku niezgłębionemu umysłowi Boga. Doskonałość rozdarła i zniekształciła jego ciało, tak że w końcu wykrzyknął:

— Przestań! Przestań, proszę!

Poświata przygasła, stając się wirującym, białym lejem, który malał i gęstniał, dopóki nie zamienił się w gasnącą białą plamkę. Na ekranie pojawiła się standardowa wiadomość towarzysząca przerwaniu połączenia: „Serwer nie odpowiada. Spróbuj później”.

Sal obudził się słaby jak dziecko, leżał na krześle, przyciskając pierś do siedzenia, a jego pulsujące ramiona zwisały bezwładnie, dotykając podłogi.

— Nic ci nie jest, Sal?

Sal powoli obrócił głowę i w polu jego widzenia pojawiła się rozmazana sylwetka starszego mężczyzny.

— Pracujesz po godzinach? — zapytał mężczyzna.

Po paru chwilach powróciła mu ostrość wzroku i widział mężczyznę znacznie dokładniej. Miał na sobie długi, ciężki płaszcz, choć znajdowali się w budynku, a letnia noc była gorąca. Dłonie mężczyzny kryły się w kieszeniach. Widoczna była jedynie jego twarz.

— Mam rozwiązanie — jęknął Sal, spoglądając na swoje obojętne dłonie. Dochodząc do siebie, powtórzył bardziej zdecydowanym głosem: — Mam rozwiązanie!

— I jak ono brzmi? — zapytał mężczyzna.

— Format c: — powiedział zmęczony Sal i dodał: — Wszyscy muszą sformatować. Tylko to jedno polecenie. Format c:... nie rozumiem tego — westchnął, głowa mu się trzęsła. — Format c: to polecenie, które kasuje zawartość twardego dysku. Ale tak brzmiała ta wiadomość — słyszałem ją, widziałem ją, czułem ją. Nie mogłem się pomylić. A Windgazer 99.9... Windgazer 99.9 nie stanowi za-

bezpieczenia przez milenijną pluskwą. Rozwali wszystko. Wszystko!... Zniszczy wszystko!

Sal powrócił myślami do przeżytych przed chwilą wrażeń, w biel, spojrzal mężczyźnie prosto w oczy i powiedział:

— Windgazer 99.9 będzie ohydą.

Sal spróbował się podnieść. Teraz zaczął powątpiewać we własne słowa.

— Ale Format c: — mówił — zniszczy twarde dyski wszystkich komputerów na świecie. Ludzie stracą wszystko. Nie zostanie im absolutnie nic, jeśli wydadzą to polecenie. Format c: nic tu nie pomoże — zniszczy wszystko.

— Nie trać wiary, może tak się nie stanie — odparł z pewnością w głosie mężczyzna. — Więc teraz powiesz to światu, zgadza się?

— Nikt w to nie uwierzy, nie, jeśli Ben Hinnom się temu przeciwstawi — odparł Sal. — Nie jestem godnym przeciwnikiem dla niego — najpotężniejszego człowieka na świecie. On ma wszystko. Popularność, poparcie, pieniądze, machinę reklamową — wszystko na niewyobrażalną skalę.

— Uwierzą ci — zapewnił go starszy mężczyzna. — Pomogę ci. Derek ci pomoże. Świat ci uwierzy. Trzydziestego pierwszego grudnia każdy będzie musiał dokonać wyboru — albo ty, albo Hinnom — uśmiechnął się. — Mam nadzieję, że wybierą ciebie.

— Kim pan jest? — zapytał Sal.

Mężczyzna jak gdyby rozpromienił się wewnątrz, potem odparł:

— Jestem Kuebitz. Doktor Kuebitz. I zawsze wiedziałem, że znajdziesz rozwiązanie. Zawsze wiedziałem.

CZEŚĆ TRZECIA

**FORMAT C:**

## WYBÓR

Kiedy jerozolimscy urzędnicy zorientowali się, że najbogatszy człowiek świata, Ben Hinnom, przybył nieoczekiwanie do ich miasta, przeprowadzili powszechną mobilizację. Możliwości były nieograniczone: zakup izraelskich obligacji, ufundowanie parku miejskiego, utworzenie nowej katedry na Uniwersytecie Hebrajskim, inwestycja w przemysł elektroniczny, przelew części swych miliardów na konta w izraelskich bankach, wykorzystanie swego prestiżu dla wsparcia procesu pokojowego. Należało rozważyć każdą ewentualność.

Z ratusza oddelegowany został specjalny urzędnik. Żółty gimbus Hinnoma otrzymał uprzywilejowane miejsce parkingowe przed hotelem „Król Dawid”, pobliska stacja benzynowa zadbała o zmycie kozich szczątków z kratownicy na masce, przywracając jej pierwotny blask. Z biura burmistrza dostarczono list polecający, w którym władze prosiły wszystkich — zarówno urzędników, jak i osoby prywatne — o pomaganie Hinnomowi we wszystkim podczas jego wizyty. Wojskowa konferencja prasowa na wzgórzach Golan, uroczyste przyjęcie u premiera, audiencja u obu głównych rabinów, prywatne wycieczki po terenach wykopalisk, wyszukane uczyty w najlepszych restauracjach Wschodniej i Zachodniej Jerozolimy, zaproszenia na najbardziej elitarne bankiety — propozycje popłynęły wartkim strumieniem.

Łączy telefoniczne żarzyły się od plotek na temat powodu nie zapowiedzianej wizyty Hinnoma. Może odkrył swe nie znane dotąd żydowskie korzenie? Może przybywał w specjalnej misji, wioząc posłanie od amerykańskiego prezydenta, może zabierze ze sobą odpowiedź? Jakie miejsca odwiedzi? Może zainwestuje? Przed apartamentem prezydenckim Hinnoma na szóstym piętrze hotelu zaczęły piętrzyć się kosze owoców i wyszukane kompozycje kwiatowe. Kierowniczką służb hotelowych została wezwana z wakacji, by osobiście nadzorować pokojówki. Dyrekcja hotelu na cały dzień zaplanowała dostarczenie darmowych poczęstunków: rano mrożone owoce mango i papai z szampanem, po południu bukiet serów, na noc truskawki w czekoladzie.

Hinnom wszakże nie miał zbyt wielu życzeń. Te zaś miały zostać wyrażone podczas krótkiej rozmowy Linzera z przedstawicielką burmistrza, Magdą. Co zrozumiałe, Magda wołała spotkać się z Linzerem w ociekających przepychem murach „Króla Dawida” niż w swym ciasnym, bezdusznym biurze w budynku ratusza.

„Król Dawid” był najokazalszym hotelem Izraela, zabytkowym i okazałym, od orientalnych dywanów po ręcznie wykończony złocisty sufit. Jego nienagannie uprzejmy personel, składający się z jerozolimczyków pochodzenia arabskiego oraz żydowskiego, z pełnym powagi szacunkiem obsługiwał ludzi wpływowych i mających także ambicje, nie okazując, że instynktownie rozróżnia jednych od drugich. Przesycony prawdziwą historią samego państwa, hotel gościł Brytyjczyków podczas zamachu bombowego przeprowadzonego przez żydowskiego terrorystę, który później został premierem. Po odbudowie „Król Dawid” stał się miejscem spotkań misji dyplomatycznych, filantropów, przemysłowych potentatów i wdów po nich. Odźwierny mówił po imieniu szefom służb bezpieczeństwa z kilkunastu krajów. Od czasu do czasu kierownictwo hotelu zwracało się do dziesiątków stałych bywalców z prośbą o opuszczenie wspianiałych apartamentów w związku z nieoczekiwaną wizytą króla czy prezydenta. Żydowscy goście oczywiście się zgadzali, głównie z pobudek patriotycznych. Ani słowa sprzeciwu. Podczas pogrzebu Icchaka Rabina dyrekcja opróżniła z gości cały hotel, by przyjąć

uczestników ceremonii. W ten weekend budynek tak roił się od głów państw, że wpadali na siebie na schodach, starając się wyprzedzić przepełnione windy.

Gdy niska, przysadzista Magda pojawiła się w budynku w swym szarym, płóciennym garniturze już przepoconym na plecach, dźwigając ciężką teczkę wypełnioną kolorowymi przewodnikami, planami i prospektami, mądrze wybrała najbardziej dystyngowane miejsce w całym hotelu: efektowne tylne patio, z którego rozciągał się zapierający dech w piersiach widok na Stare Miasto i które wychodziło wprost na dolinę Ben Hinnom. Kiedy podano popołudniową herbatę, zanim jeszcze na patio wjechał wózek ze smakowitymi ciastkami i starannie przygotowanymi owocowymi placuszkami, Linzer zwięźle nakreślił plan pobytu Hinnoma.

— Na razie — powiedział bez ogródek — pan Hinnom nie zamierza podejmować żadnych decyzji dotyczących ewentualnych inwestycji. To tylko rekonesans. Ale wszystko — w s z y s t k o — może stać się punktem wyjścia do późniejszej dyskusji. Uważa natomiast, że spektakularnym przedsięwzięciem byłoby zainaugurowanie globalnej instalacji Windgazera 99.9 w Jerozolimie. W środku wszechrzeczy, że się tak wyrażę. Zespoły rockowe, tancerze, fajer werki, połączenia satelitarne na żywo podczas ogólnoświatowego odliczania początku nowego tysiąclecia. Pojmuje pani?

Magda wyglądała na podekscytowaną.

— To rzeczywiście świetny pomysł — powiedziała, robiąc notatki po hebrajsku na szarobłękitnym, firmowym papierze „Króla Dawida”.

— Co ciekawe — dodał Linzer — pan Hinnom jest zaintrygowany nazwą doliny poza granicami Starego Miasta, która w niezwykle ironiczny sposób nosi ironicznie podobną nazwę. Dokładnie tam. — Wskazał za patio, w kierunku Gei Ben Hinnom. — Milutki zbieg okoliczności, to „Ben Hinnom”. Pan Hinnom uważa, że to miejsce nadawałoby się na centrum obchodów inauguracji Windgazera 99.9

— Wspaniale — odpowiedziała Magda, poprawiając grube okulary, zanotowała jeszcze parę zdań i wyspała łyżeczkę śmietanki do

swojej filiżanki z porcelany wedgewood. — Wspaniale, o tak. Koncerty i pokazy artystyczne odbywają się na okrągło w amfiteatrze. Mamy duże doświadczenie z organizacją takich imprez.

— Owszem, ale zwykle odbywają się na odrestaurowanym, północnym stoku doliny — powiedział Linzer, całkowicie ignorując stojącego przy nim kelnera. — My chcielibyśmy zlokalizować naszą działalność w nowym miejscu... dalej na południe, na skraju doliny, poniżej Silwan. Dzięki temu nasza impreza jako pierwsza odbędzie się tam we współczesnych czasach. Historyczne wydarzenie, nieprawdaż?

— Poniżej Silwan? — zapytała Magda, zakładając, że zaszło nieporozumienie, które będzie można bez trudu wyjaśnić. — To śmietnik, wszędzie groty grobowe, opowieści o ofiarach z dzieci. Problemy z archeologami... Dostęp jest bardzo ograniczony — podkreśliła. — Przygotowania zajęłyby dużo czasu, może i rok. A nawet gdyby się nam udało, pozostają jeszcze względy bezpieczeństwa.

Linzer był niewzruszony.

Magda nie wytrzymała i dodała ciszej, tak by nie usłyszał jej nikt z personelu:

— Arabowie — przypomniała mu. — To Wschodnia Jerozolima — niebezpieczne miejsce, rozumie pan. Rzucają kamieniami. To dlatego nic się tam nie buduje.

— Proszę to nam zostawić — uspokoił ją Linzer. — Potrzebujemy jedynie zezwolenia. My wynajmiemy wykonawców, przygotujemy trybuny, zbudujemy scenę, przywieziemy sprzęt elektroniczny, światła i wozy transmisyjne. Wiemy, że do trzydziestego pierwszego grudnia zostało już niewiele czasu, mniej niż pół roku. Ale nasi ludzie wywiążą się z harmonogramu. Nie ma sprawy. Pan Hinnom osobiście tego dopilnuje. Podobnie jak ja.

Początkowy entuzjazm Magdy ustąpił miejsca zauważalnemu wahaniu.

— Oczywiście — zapewnił ją Linzer — Hinnom Computing z radością pokryje wszelkie koszty — co do grosza. Proszę nam tylko powiedzieć, na kogo należy wystawić czek.

Magda, siląc się na uprzejmość, powiedziała, że postara się dowiedzieć — ale niczego nie może obiecać. Raz jeszcze spróbowała:

- Czy mogłabym pana jakoś przekonać do przesunięcia miejsca imprezy o jedyne kilkaset jardów na północ, poniżej „Cinema-theque”? Stamtąd można urządzić przepiękny pokaz.
- Dla nas — odparł Linzer — bycie pierwszym stanowi część zabawy. Pan Hinnom już podjął decyzję.

Magda zastanawiała się w myślach nad konsekwencjami, kiedy Linzer wspomniiał niemalże od niechcienia:

- Nawiasem mówiąc, ten apartament w „Królu Dawidzie” jest jak najbardziej odpowiedni. Bardzo przytulny. Ale kiedy pan Hinnom poświęca całą uwagę jakiemuś projektowi, ma zwyczaj koncentrować się wyłącznie na nim. Skoro tylko zostanie wydane zezwolenie na lokalizację imprezy w Gei Ben Hinnom...
- Nie mogę obiecać, że będzie można je uzyskać... — przerwała mu gniewnie Magda.
- ...skoro tylko zezwolenie zostanie wydane — ciągnął dalej niewzruszenie Linzer — pan Hinnom pragnie rozbić na miejscu swój prywatny namiot. Tam będzie pracował, jadł posiłki, a nawet spał.
- W Gei Ben Hinnom, tuż poniżej Silwan? — zapytała z niedowierzaniem Magda.
- Dokładnie — potwierdził Linzer, trzeci raz ignorując kelnera. — Im wcześniej, tym lepiej. I oczywiście możemy wystawić kolejny czek, pokrywający koszty z tym związane.
- Wszystkie koszty? — zapytała i zabrzmiało to wcale nie tak, jak chciała.
- Wszystko.

Magda zrobiła kolejną notatkę.

- Muszę zadzwonić do paru ludzi i sprawdzić, czy to jest do zrobienia. Jest pan pewien, że właśnie tam chcecie zorganizować wasz festiwal? Jesteście całkowicie zdecydowani?
- Piekielnie — odparł Linzer z przekonaniem, po czym zachichotał subtelnie.



- Co w tym śmiesznego? — zapytała Magda, zastanawiając się, czy aby nie umknęła jej jakaś aluzja.
- Nic — odparł Linzer. — A co? Śmiałem się?

— On tu jest! — zawołał Dan, trzaskając drzwiami apartamentu i wymachując egzemplarzem „Jerusalem Post”. Wielki nagłówek krzyczał: „Nie zapowiedziana wizyta Bena Hinnoma”.

Park i Sal oszołomieni nie wierzyli własnym oczom.

- Przejdźcie się na sąsiednią ulicę — powiedział Dan podnieconym tonem. — Przed „Królem Dawidem” parkuje żółty gimbus! Sami zobaczcie. — Krążąc niespokojnie po pokoju, porwał z kredensu parę miętówek, podczas gdy Park czytała artykuł w gazecie. Dan zawsze podjadał, kiedy robiło się gorąco.
- On wie, że tu jesteśmy — powiedział nerwowo, lecz zaraz zaczął się zastanawiać na głos. — Może nie wie, że tu jesteśmy. Z drugiej strony, co z tego, że tu jesteśmy? Po pierwsze, nic nie może zrobić — jestem dziennikarzem, niech tylko spróbuje. Po drugie, nawet gdyby mógł nam coś zrobić, nie musiałyby w tym celu zjawiać się tu osobiście. Ma od tego wykwalifikowany personel.
- To nie o ciebie mu chodzi — powiedział Sal z rezygnacją w głosie. — To przeze mnie. I format c:. On wie. W jakiś sposób dowiedział się... że znalazłem... znalazłem to, co znalazłem. Zbliża się bitwa o ludzkie umysły — bez względu na to, czy ktoś w ogóle zdaje sobie z tego sprawę.
- Sal, wciąż staram się zrozumieć tę całą historię z formatem c: — zaczęła Park, starannie filtrując zwątpienie ze swego głosu.

Niemniej jednak na twarzy Sala pojawiło się zniecierpliwienie, jego spojrzenie jak gdyby skierowało się do wewnątrz.

— Proszę cię — powiedziała błagalnym tonem. — Od chwili gdy komputery z wbudowanymi twardymi dyskami trafiły do sprzedaży, wiemy, że polecenie „format c:” kasuje twardy dysk i wszystkie dane mieszczące się na nim. Pozostaje czysta kartka i można zacząć wszystko od nowa, z czystym kontem.

— To bardzo niebezpieczne polecenie — przytaknął Dan. — Najbardziej przerażające polecenie w branży. A do tego — spojrzal na Sala, a do jego słów wkradła się nutka pogodnego sarkazmu — ty jakimś cudem dowiedziałeś się, że to polecenie jest teraz lustrzanym przeciwieństwem tego, które wszyscy znają. To tak jak z drzwiami w kabinie pasażerskiej samolotu z napisem „Nie otwierać”. Ty chcesz, żebyśmy je otwarli. A potem wyskoczyli przez nie.

Sal, nowy Sal, odparł z przekonaniem:

- Wersja 0.9 nie naprawi, powtarzam, nie naprawi... — z desperacją zamachał rękoma w powietrzu — nie naprawi usterki związanej z początkiem nowego tysiąclecia. Jest gorsza od obecnej wersji Windgazera. Po jej zainstalowaniu Windgazer będzie wymagał poprawek co tydzień, może co dzień. Może co dzień przez cały dzień. W końcu Hinnom będzie mógł narzucać ludziom, co mają robić. A jeśli powie: „Nie kupujcie fordów”, a nocne uaktualnienie po prostu odetnie od sieci wszystkie przedsiębiorstwa Forda albo posiadaczy fordów? A jeśli powie: „Potrójcie moją coroczną opłatę licencyjną” albo „oddajcie mi dziesiątą część wszystkiego”? Kto mu się wtedy przeciwstawi?
- A jeśli Hinnom nie będzie zadawał sobie nawet tyle trudu, by to powiedzieć? — wtrącił swoje trzy grosze Dan. — A jeśli po prostu wykorzysta fale radiowe, by wpływać na prawy płat skroniowy każdego użytkownika? Bum. Ludzie obudzą się któregoś ranka i po prostu będą postępować, jak im polecono. Koniec z fordami i z rozmowami o fordach. Dosłownie nie będziemy mieli wyboru, gdyż nikt nie będzie mógł sobie pozwolić na oderwanie się od komputera.
- Nikt nie będzie chciał się oderwać — powiedziała z przekonaniem Park. — Tu jest pies pogrzebany. Na tym będzie polegać szemrany interes, w który wszyscy dadzą się wmanewrować. I od którego nie będzie już odwrotu. Osobista wydajność w zamian za... w zamian za...
- Pakt z diabłem? — podsunął Sal, kończąc za nią.
- No... — odparła niepewnie.
- Więc? — przerwał jej Dan. — Tak będzie?

- Tak — powiedział Sal. — Tak będzie.
- Sal, według ciebie to coś znacznie poważniejszego niż tylko brutalna walka o zdominowanie rynku — stwierdził Dan. — Mam rację?
- Zgadza się — odpowiedział powoli Sal. — Hinnom jest zły. Zły dla samej przyjemności czynienia zła. Po prostu zły.
- Dobrze, zgadzamy się, że Windgazer 99.9 to coś naprawdę niedobrego — podsunął Dan. — Ale w jaki sposób wpisanie „format c:” — komendy, która niszczy wszystkie dane, aplikacje, cały system operacyjny — w jaki sposób zrobienie tego miałyby uczynić świat lepszym?
- Nic wydarzy się nic z tego, co wymienilesz — nic zgodził się Sal. — „Format c:” zawsze oznaczało to, co ty przez to rozumiesz: skasuj zawartość dysku i zacznij od nowa. To byłoby równie oplakane w skutkach jak milenijna pluskwa. Zgadzam się. Ale to się nie zdarzy trzydziestego pierwszego grudnia.

Dan starał się okazać zrozumienie, ale nadal nie był przekonany.

— Wiesz już, że programiści pracujący nad Windgazerem usunęli tradycyjne polecenie „format” — tłumaczył Sal. — Czyli użył kownik w ogóle nie ma już możliwości jego wydania. Zgodnie z obecną konfiguracją, należy wdusić ikonę „Reformatuj” na ekranie Windgazera, by rzekmo wszystko wykasować — ale system operacyjny Windgazera pozostaje nietknięty. Innymi słowy, Windgazera nie można usunąć z komputera, nawet gdybyś próbował. Lecz kiedy Derek Labs uczestniczyło w pracach nad pierwotną wersją Zooma, ich programiści wprowadzili nową wersję polecenia „format c:” jako nie udokumentowane polecenie do jądra systemu. Uaktywnia się jedynie w kluczowym momencie, o północy, 31 grudnia 1999. W zeszłym roku, kiedy Zoom został włączony do Windgazera, to polecenie pozostało w jego wnętrzu, pogrzebane i zapomniane. Teraz nikt nie jest już w stanie go usunąć. Nawet Hinnom. Jest zagrzebane zbyt głęboko.

Dan wyglądał na zdezorientowanego.

- Jądra?
- Jądra — powtórzyła Park. — To najniższy, najbardziej pod-

stawowy poziom w strukturze programu. Fundamenty całej konstrukcji programu, jeśli to ci pomoże zrozumieć.

- Dobrze, już jestem nieco mniej zdezorientowany — powiedział Dan.
- System operacyjny buduje się od podstaw — opowiadała Park. — Na samym spodzie jest jądro — najbardziej podstawowe polecenia — które kontroluje całą nadbudowę. — Odwróciła się do Sala. — Twierdzisz, że programiści Derek Labs wcisnęli to małe, całkowicie nie udokumentowane polecenie do jądra Zooma, jak gdyby chowali skarb w podłodze, której potem użyto do wzniesienia całej konstrukcji systemu operacyjnego Windgazer 99?
- Teraz jarzę! — podskoczył Dan. — To idzie tak: po zamordowaniu Hectora Zoom został wykorzystany przez ludzi Hinnoma do stworzenia Windgazera. Format c: też tam trafiło. Derek z kolei przygotował podwaliny Zooma, a potem przeniósł to samo mikro-świństwo do Ohra 2000. To rozumiem. Czyli rdzeń Ohra 2000 Dereka siedzi teraz głęboko we wnętrzościach Windgazera.
- *Ohr* po hebrajsku oznacza... — zapytała Park.
- Światło — odparł Dan.
- Dokładnie tak jak powiedział Meir — stwierdziła Park. — Światło jest ukryte — ukryte wśród ciemności.
- Wpisanie „format c:” — oznajmił z pasją Sal — jest jedynym sposobem na zawrócenie z drogi ku katastrofie. Trzydziestego pierwszego grudnia 1999 roku. Wydanie tego polecenia będzie oznaczać załadowanie rdzenia Ohra 2000 i skasowanie Windgazera 99. Nieodwracalne. Lecz tylko wtedy, gdy ludzie zmądrzeją i dokonają właściwego wyboru. Instalacja wersji 0.9 — powiedział z naciskiem Sal — umożliwi Hinnomowi zawładnięcie ludzkimi myślami i duszami — oddanie się we władzę Hinnoma. Wykonaj „format c”, a staniesz się wolny. Zacznieś nowe tysiąclecie z czystym kontem.
- A skąd ty to wszystko wiesz? — zapytał sceptycznie Dan.
- Sal nie odpowiedział.
- Ale to wcale nie jest takie naciągane — wtrąciła życzliwie Park, starając się przemówić synowi do rozsądku. — No dobrze, może jest. Ale... wpisać tak potężne polecenie jak „format c:” i mieć

pewność, że skutki będą całkowicie przeciwne od powszechnie oczekiwanych... Jestem pewna, że dokopałeś się do jakichś wstrząsających dokumentów. Ale gdzie? Objawiło ci się to wszystko, czy co?

Sal splótł ręce, urażony ich oporem. Wyraźnie pragnął odpowiedzieć. Lecz przez dłuższą chwilę milczał. Dan i Park nawet się nie poruszali, nie robiąc niczego, co mogłoby go zbić z tropu. W końcu Sal zebrał się na odwagę i powiedział:

- Którejś nocy u Dereka trafiłem na taką stronę w sieci. — Zadrżał na wspomnienie tego przeżycia. — Była straszna. Obrazy... obrazy, które zabrały mnie gdzieś... wdarły się do mego wnętrza... Przeszywające, przeszywające wizje. A potem doktor Kuebitz wyjaśnił mi ich znaczenie.
- Kuebitz? — zapytała zdumiona Park. —<sub>F</sub> Poznałeś osobiście j Kuebitza? U Dereka? Jak on wygląda?
- Jak normalny człowiek — odparł Sal, nie rozumiejąc jej pytania. — Zwykły facet. Ale Kuebitz wierzy we wszystko, co wam powiedziałem. Opowiedział mi o tym i uświadomił mi, że muszę ostrzec świat. Ktoś musi to zrobić. Ja to odkryłem, więc padło na mnie. Może wy mi pomożecie — zakończył, patrząc na nich, by ocenić ich reakcję.

Dan przeszedł się po pokoju i rozprawił się z jeszcze jedną miętówką.

- A co ty na to? — zapytał Park. — Wierzysz w to wszystko? To fajna historia. Bardzo fajna. Ale czy ktoś może potwierdzić ten numer z formatem c:? Możemy uzyskać oficjalne stanowisko od kogoś z Dereka? Jakieś potwierdzenie z Bluestara? Może zlecić niezależną analizę kodu?
- To nie jest kwestia oświadczeń i weryfikacji — wybuchnął Sal. — To kwestia wiary. Co ludzie mają teraz? Obietnice Hinnoma. Każda kolejna z nich okazuje się kłamstwem. A jednak ludzie dalej mu wierzą. Są uzależnieni od jego kłamstw. Chcemy więcej kłamstw. Wiemy, że to kłamstwa, ale chcemy więcej kłamstw.
- Jaka jest alternatywa? — zapytał Dan.
- Wiara — że format c: to lepsze rozwiązanie — odparł Sal.

- Tylko wiara?
  - Wiara — powtórzył Sal.
  - Wiara w cuda — skontrolował Dan.
  - Żadne cuda — upierał się Sal. — Po prostu wiara. Jeśli nawet pozbawieni wiary ufają Benowi Hinnomowi, to dlaczego coś krańcowo przeciwnego wywołuje takie wzburzenie?
  - Wiara... Czyli albo wiara w ciebie, albo w niego — podsumował Dan, wkładając do ust ostatniego cukierka.
- Sal utkwił w nim spojrzenie i odparł:
- Tyś powiedział.

Park podeszła i stanęła obok syna.

— Ja wiem, czym jest wiara. — Objęła go ramieniem. — Popie ram mego syna. Dan, może nie masz niczego, w co mógłbyś wierzyć. Niewielu ludzi ma to szczęście. Myślałam, że wierzysz przynajmniej w to, co pamiętasz: „Nic nie dzieje się przypadkowo... wszystko ma swój cel”. Oszukało cię twoje życie, historia i świat. Widzę twoje bliźny. Wiem, że krwawisz. Każdy krwawi. Każdego dnia brodzimy we własnej krwi, by dotrzeć do wieczora. Może nie różnisz się od innych ludzi, tylko nie potrafisz już niczemu ani nikomu zaufać. Dlatego poddałeś się negacji.

Dan podszedł do nich. W zabawny sposób obrócił Sala twarzą do okna.

Sal odwrócił się całkowicie i spojrzał w bok.

Dan pocałował Park w ramię, podczas gdy ich dłonie spotkały się ze sobą. Jego oczy prawie zasły łzami, gdy szukał odpowiednich słów. Nie był w stanie niczego z siebie wydusić, lecz w końcu słowa wydostały się pomiędzy jego drżących warg:

- Wiara... Uwierzę.

Po dwóch pracowitych tygodniach Sal zakończył tworzenie serii stron internetowych, które miały zostać umieszczone na serwerze Dereka. Nazwał ją „Format c: Strona wiary”, jej celem było ostrzeżenie świata, że instalacja hinnomowskiej wersji 0.9 oznacza zagładę

wszystkich systemów przekazu informacji. Hinnom udoskonalił Technologię Ingerencji opartą na eksperymentach z kontrolą ludzkich myśli, dążąc do władzy nad prawym płatem skroniowym, tak by nikt nie mógł kupować, sprzedawać ani handlować bez pośrednictwa Windgazera 99. Wkrótce Hinnom stanie się samodzierżcą i właścicielem wszystkich zautomatyzowanych aspektów ludzkiego życia.

„Strona wiary” opisywała też ze szczegółami dokonane przez Salę odkrycie w jądrze systemu nie udokumentowanego polecenia kryjącego się we wnętrzu Windgazera 99. O północy trzydziestego pierwszego grudnia — i tylko wtedy — polecenie to będzie można aktywować, wyjaśniał. Po wydaniu polecenia „format c:” system zapyta: „Jesteś pewien?” Po naciśnięciu „T” jak „Tak” system przeładuje się, a kod Zooma/Ohra 2000 po prostu przywróci komputer użytkownika do jego pierwotnego stanu sprzed instalacji Windgazera. Milenijna pluskwa zostanie pokonana.

Przeciwnicy Hinnoma z całego świata staną murem za atakiem Salę wymierzonym w Windgazera 99.9. Podatni na teorie spisku w wykonaniu Hinnoma i opętani jego bezwzględnością, wrogowie Hinnoma natychmiast rozpowszechnią tę wiadomość. Ale „format c:” jako alternatywa? Jedyne nieliczni będą skłonni to zaakceptować. Sal oczekiwał niedowierzania.

„Przekonanie, że Windgazer 99.9 uratuje wasze komputery i nasze społeczeństwo, opiera się na wierze — napisał Sal. — I to na wierze w co? W człowieka i firmę kojarzone z ponurym ciągiem kłamstw, szachrajstw, manipulacji, usterek, poprawek wywołujących jeszcze większe zniszczenia w systemie i bezczelnego promowania vaporware'a. By zapełnić swe kufrы i umocnić swą kontrolę nad naszym życiem, Hinnom podporządkował niemal wszystkie komputery swym kaprysom. A jednak wierzymy w jego zapewnienia, że wersja 0.9 okaże się zbawicielem, choć jest to sprzeczne ze wszystkim, co wiemy o tym człowieku. Owszem, wykonanie „format c:” trzydziestego pierwszego grudnia 1999 roku także wymagać będzie wiary — napisał Sal — i wymagać też będzie od was odwrócenia kierunku waszego rozumowania. Uczyńcie to. Uwierzcie i wykonajcie „format c:”, uwierzcie człowiekowi, który ujrzał światło

starające się wydostać z pajęczyny mrocznych planów Bena Bandziora. Sylwester przyniesie wam konieczność wyboru. Wybierzcie właściwie, a zostaniecie zbawieni. Wybierzcie źle, a będziecie należeć do Hinnoma".

Podczas gdy Sal pracował nad swoimi stronami, Dan przygotował specjalny reportaż zatytułowany *Wybór tysiąclecia*. Dołożył wszelkich starań, by sześciostronicowy, liczący tysiąc pięćset słów tekst brzmiał jak najmniej histerycznie i jak najbardziej profesjonalnie. Cytował dokonane przez Sala odkrycie nieusuwalnych wirusów i usterek w kodzie wersji 0.9, która nie tylko nie rozwiąże problemu roku dwutysięcznego, lecz uzależni wszystkich użytkowników od Hinnoma i jego ciągłych uaktualnień. Artykuł Dana ostrzegał, że światu grozi nie tylko komputerowy chaos, ale do wersji 0.9 dołączono też niebezpieczne kody będące owocem niezależnych, wojskowych badań nad kontrolowaniem ludzkich umysłów. Dlatego nie sposób przewidzieć, czy nowa technologia radiowa nie spowoduje, jak to ujął, „epidemii irracjonalnych zachowań”.

„Strach przed telefonem komórkowym wciąż jeszcze jest realny dla wielu ludzi, którzy wierzą w mikrofały wywołujące raka — napisał Dan. Lecz Windgazer 99.9 niesie ze sobą znacznie bardziej katastrofálny-potencjał, który ujawni się dopiero po instalacji. Proste polecenie wyemitowane za pomocą fal radiowych przez monitor albo jakieś dodatkowe oprzyrządowanie, które stanie się w przyszłości obowiązkowym komponentem każdego komputera, może zmienić nasz sposób postrzegania rzeczywistości, a nawet nasze rozumienie tego postrzegania”.

Następnie artykuł wspominał o nieprawdopodobnym, alternatywnym rozwiązaniu ukrytym w sercu kodu Windgazera. „Według programistów zaznajomionych z tajnikami zarówno Windgazera, jak i Zooma, oraz jego następcy, Ohra 2000, istnieje realna alternatywa. Wydanie i potwierdzenie polecenia »format c:« o północy trzydziestego pierwszego grudnia usunie Windgazera, przeładuje system i usunie problem roku dwutysięcznego. Zwolennicy »formatu c:« obawiają się jednak, że to proste polecenie nie zostanie



wydane, gdyż wymagałoby to zarzucenia starego rozumienia funkcji »format c:« i zaakceptowania tej nowej interpretacji".

Podpisany artykuł Dana miał się ukazać nie w tradycyjnej gazecie, lecz za pośrednictwem najnowszego produktu działalności dziennikarskiej: internetowego e-zinu. W przedsięwzięcie zaangażowało się dziewiętnaście szanowanych tytułów, od „Pro Computing Minutę" redagowanego w Chicago, po amsterdamski „Runamuck Times" i tokijski „NipEzine". Internet z kolei docierał do dziennikarzy prasowych i telewizyjnych na całym świecie. Dan i Sal planowali wspólną publikację na siódmego sierpnia.

Ich publikacje nie miały ukazywać się stopniowo. Sal i Dan byli przygotowani na hurtowe rozesłanie swych stron w postaci c-mailowych załączników do setek anty-Hinnomowskich grup na całym świecie. Te grupy z kolei prześlą je odbiorcom swych list dyskusyjnych — wywołując wirtualną reakcję łańcuchową, z jakich słynął Internet. W kilka minut „Format c: Strona wiary" trafi do najdalszych zakątków świata, docierając do milionów ludzi. Era Informacji ze swymi świecącymi zielenią słupkami i fluorescencyjnymi ekranami ustąpiła miejsca Erze Informacji Natychmiastowej z jej cyberprzestrzenią i komunikacją masową. Imperium, które zostało zautomatyzowane przy udziale Hinnoma, mogło teraz uwolnić siły prowadzące do jego zniszczenia.

Poniżej murów Starego Miasta ciągnie się wąwóz, który rozpoczyna swój bieg jako łagodne, trawiaste zagłębienie między wzgórzami, lecz szybko opada na południe, w głąb skalistej ziemi, aż staje się stromą, niedostępną otchłanią o przeciwległym zboczu z wydziobanymi płytkimi jaskiniami i dziurami, nieprzystojnie chełpiącymi się swymi wydrążonymi komnatami, które bezświetlnymi korytarzami prowadzą ku ciasnym kryptom, zapadającym się w szczeliny o ostrych krawędziach i wypróżniają swą zawartość w pokładach zła, które przerasta ludzkie zrozumienie. Wszędzie widać kopec

i krwawe plamy ofiar z ludzi, plamy pozostawione przez palone odpadki, strumyki uryny ściekające z otwartych ścieków w górze i nawadniające kolczaste zarośla, chwasty i nieoczekiwane w tym miejscu kępy trawy wyrastające spomiędzy nawisów skalnych. Wokół czuć smród rozkładających się wnętrzności, skondensowany odór przegniłych śmieci, wszechobecny zaduch spalonego ludzkiego ciała, którym przesiąknięte są same skały. Wrony zataczają niskie kręgi. Robaki i larwy prześlizgują się pod stopami. Wsłuchaj się. Nie możesz nie słyszeć udręczonych wrzasków palonych żywcem dzieci, makabrycznych inkantacji bałwochwalców podczas odrażających obrzędów, umęczonych jęków bezbronych ofiar i wszystkich innych ech śmierci i rozpaczy, jakie zamieszkują tak trwale to miejsce, że nawet upływające wieki nie były w stanie ich uśmierzyć.

Oto Piekło. Prawdziwe Piekło. Ci, którzy kroczyli przez Dolinę Śmierci, kroczyli tędy. Wizje tortur i ognia w piekielnych otchłaniach zrodziły się w tej odrażającej rzeczywistości. Prorocy zawsze rozumieli, że Piekło istnieje, nie jako alegoryczne miejsce ukryte głęboko pod ziemią, służące do wzbudzania strachu. Piekło znajduje się na ziemi, nieodmiennie czai się za następnym zakrętem, zaledwie parę kroków od prawości.

Dolina Synów Hinnoma przejęła swą nazwę od obcej, niesemickiej rodziny, klanu Hinnom, starszej od Świątyni Salomona, za sprawą której miejsce to zaczęło cieszyć się złą sławą jako siedlisko ohydy. Gei Ben Hinnom stała się Doliną Hinnom, czyli „Ge Hinnom”, a potem Gehenną albo „Gehennem”. Wcześni bibliści błędnie przetłumaczyli słowo *szeol*, oznaczające płytki grób niekiedy będący kryjówką upiórów, i tak oto skutek zwykłej pomyłki zrodziła się nazwa „Heli”, czyli Piekło.

Być może to prawda, że droga do Piekła zaczyna się pięknymi widokami. Gei Ben Hinnom rodzi się jako płytkie wgłębienie na zachód od Starego Miasta, gdzie jego nachylenie trudno jest dostrzec nawet poniżej ulic nowoczesnej Jerozolimy. W miarę jak wąwóz zwraca się na południe, mijając Stare Miasto, jego strome ściany stają się coraz wyraźniejsze. Ostatnimi laty północna, neutralna

część doliny stała się strefą kojarzoną z ludźmi z lepszych sfer — pojawiły się tam eleganckie domy, wymodelowane parki, sala koncertowa przy Sadzawce Sultana, a nawet kina.

Lecz tam gdzie wąż wgrzyza się coraz głębiej pomiędzy skaliste wzgórza, omijając stoki Syjonu i zagłębiając się we Wschodnią Jerozolimę, w drodze do Silwan, gdzie łączy się z doliną Cedronu, w głębokim odcinku, którego nie tyczą rozgrywki polityczne, w miejscu, którego Arabowie nie mogą, a Żydzi nie mają śmiałości zmienić, wyłania się starożytny Tofet. Tam właśnie palono żywcem dzieci.

Nic nie zmieniło się tu od tysięcy lat. Nadal widoczne są głębokie, kanciaste nacięcia na płaskim, osmalonym kamieniu będącym podstawą Tofetu, całopalnego ołtarza nazwanego tak od hałaśliwego bębna, w który uderzali wyznawcy Molocha, by zagłuszyć upiorne krzyki dzieci składanych w ofierze na oczach nie sprzeciwiających się temu rodziców. Posąg Molocha miał rozłożone, podparte wspornikami ramiona, a po nich wysuwała się niewielka platforma, do której przywiązywano niewinne dziecko. Platforma powoli obracała się ku nienasyconym płomieniom, podczas gdy dziecko krzyczało w bezsilnych męczarniach. W czarnej ekstazie swej wypaczonej wiary rodzice nie tylko byli świadkami ofiary, lecz jeszcze ją wysławiali. Pod ołtarzami Tofetu widoczne są odrażające, kwadratowe otwory, wystarczająco szerokie, by mógł się przez nie przecisnąć człowiek. W ich mroku kryje się wiele wyciosanych w skałę grobowców, komnat i krypt przeznaczonych na składowanie zwłok, rytualne przygotowania i niezliczone, niewyobrażalne czyny popełniane na chwałę boga zła, Molocha.

Nic dziwnego, że to przeohydne miejsce wielokrotnie ściągało na siebie biblijny gniew:

„Następnie splugawił Palenisko-Zgrozę w Dolinie Synów Hin-noma, aby już nikt odtąd nie przeprowadzał swego syna lub swojej córki przez ogień na cześć Molocha". Druga Księga Królewska 23,10.

„Dlatego przyjdą dni — wyrocznia Pana — że to miejsce nie będzie się już nazywało Tofet ani doliną Ben-Hinnom, lecz Doliną Mordu". Księga Jeremiasza 19,6.

W miejscu gdzie krew dzieci podsycala pragnienie zła, gdzie ciemne plamy mordy wciąż rysują się odcisnięte na skalnych półkach, gdzie najpotworniejsze akty wiary starożytnego świata stały się ohydą, gdzie każdy pokryty spalenizną zakątek i szczelina rozbrzmiewają echem prerażenia i bólu owych strasznych dni, w tym właśnie miejscu Ben Hinnom zadrzał z przejęcia i z radosną miną odwrócił się do Linzera, mówiąc:

— Jejkusiu, ale fajne miejsce na imprezę.

Zespół planistów Hinnoma, składający się między innymi ze scenarzystów i specjalistów od public relations, spadł na Dolinę Synów Hinnoma, zaczynając od tak zwanej Ściany Hinnoma, skupiska miejsc ofiarnych i skalnych grobowców. Scenarzyści, nieświadomi zbrodniczej przeszłości Tofetu, z entuzjazmem sporządzali szkice, wyobrażali sobie lokalizację sceny, przenośnych generatorów, laserów, niebotycznego ekranu, tancerzy i widzów — ową bezprecedensową chwilę globalnego powitania roku dwutysięcznego. Raz jeszcze ludzie odprawiać będą swe obrzędy przed Tofetem w Dolinie Ben Hinnom.

Podczas gdy planiści zajęci byli przy Ścianie, Linzer i Hinnom zeszedli jeszcze głębiej w dolinę, do jej najniższej położonej części, gdzie czernią świeciła jama wielkiej jaskini, której łukowatego wejścia strzegły wysokie na sześć stóp kolczaste krzewy. Uryna z toalety położonego w górze klasztoru ściekała po zboczu i wejściu do jaskini. Wszędzie wałały się odchody ludzkie i zwierzęce, tworząc odrażający próg. Gryzonie i węże gromadziły się wyniośle dookoła. A na gwoździach wbitych w skałę po obu stronach wejścia do jaskini wisały dwa martwe szakale, których wściekły warkot zastygł w śmiertelnym grymasie.

Hinnom zapalczywym spojrzeniem omiółtł ziemię, pytając Linzera:

— Sprawdziłeś?

— Kamienia tu nie ma — zapewnił go Linzer. — Sprawdziłem, zanim tu przyjechaliśmy. Będę sprawdzał codziennie. Oni jednak też go nie mają.

— Ha! Nie mają kamienia.

Hinnom uśmiechnął się szyderczo i zagłębił się w czeluści jaski-

ni. Kolce pokaleczyły mu nagie przedramiona, lecz on nie zareagował. Na parę sekund zerwał się słaby wietrzyk i skapujące krople uryny na moment odchyliły swój lot o parę cali, mijając jego głowę, kiedy spokojnie wchodził do środka. Rozkładając w podnieceniu ręce, Hinnom przyglądał się półkom wyżłobionym w ścianie jaskini, przypominającym stoły w kostnicy, obracał w palcach porzucane dookoła ludzkie kości, wdychał obrzydliwą mgiełkę resztek odchodów, rozkładających się zwierząt i wszechobecnych starożytnych odpadków.

W końcu splótł ręce na piersiach i odwrócił się do Linzera.

- Tak, tu będzie świetnie. Mój namiot... postaw mój namiot przed wejściem. I, mój przyjacielu, już pora, by pokazali się wreszcie nasi ochroniarze.
- Anakici są już prawie gotowi — odparł Linzer. — Iszbi może tu być choćby i jutro. Nadal szukamy jego brata. — Wyciągnął telefon komórkowy i wybrał numer.

Siódmego sierpnia 1999 roku o wpół do dziewiątej wieczorem zaszło słońce. Sal i Dan, obaj nieludzko zmęczeni, siedzieli w apartamencie hotelu „Dan Pearl”, dłubiąc przy ostatecznych wersjach swych dokumentów. W końcu Dan przeniósł skończoną wersję swego artykułu na Windy’ego Sala, by ten mógł rozesłać ją do gazet. Strony internetowe też czekały już tylko na przesłanie plików. Izraelska telewizja miała się z nimi spotkać przed Derek Institute o dziewiątej. Park i Motke już tam byli, doglądając ostatnich przygotowań.

— Idź już tam — powiedział Dan do Sala. — Sprawdzę moją domową sekretarkę i cię dogonię.

Sal wsunął Windy’ego do tylnej kieszeni spodni, przykrywając go koszulą, i wyszedł z apartamentu.

Droga do Dereka była krótka i przez cały czas wiodła w dół. Sal jednak często chodził ulubioną trasą Dana, wiodącą przez park i stary cmentarz, choć była nieco dłuższa. Było ciemno, lecz znał drogę na pamięć. Zazwyczaj o tej porze w parku było pełno ludzi, lecz dzisiaj

w pobliżu nie było widać nikogo. Kiedy mijał jedną z ławek, wstał z niej spokojnie jakiś mężczyzna i zapytał proszącym tonem:

— Szukam drogi. Mógłby pan mi pomóc?

Sal zatrzymał się, by go wysłuchać.

— Muszę coś znaleźć — mówił dalej mężczyzna. Przysuwając się coraz bliżej, zapytał: — Czy mógłby pan mi wskazać drogę do małego, przenośnego komputera o nazwie Windy? Zgubiliśmy jeden z trzech naszych egzemplarzy i chcielibyśmy go odzyskać... n i e z w ł o c z n i e . — Tym mężczyzną był Linzer.

Sal zamarł. Kątem oka szukał pomocy. Żadnej szansy.

— Jesteś bękartem Park McGuire, zgadza się? — zapytał obraźliwie Linzer.

Sal zauważalnie drżał z nerwów. U szczytu ścieżki zamajaczyło kilka niezwykle wysokich postaci. Byli to sześciopalcy Anakicy stojący wyczekująco wśród cieni.

— No i? — powtórzył Linzer. — Myślę, że wiesz, gdzie jest nasz Windy.

Spostrzegł wybruszenie pod koszulą Sala. Kiedy spróbował go dotknąć, chłopak odskoczył o krok do tyłu. Minęło ich paru turystów spieszących na *midrekhov* i nieświadomych tego, co się dzieje. Linzer cofnął rękę.

— Oddaj mi go, proszę — powiedział z naciskiem Linzer. — Co nasze, to nasze.

Sal zaczął powoli wycofywać się w kierunku „Dan Pearl”. Linzer podążył za nim. Anakicy ochroniarze także ruszyli z miejsca. Sal przyspieszył kroku, wyciągając Windy’ego z kieszeni i zasadzając go za klamrę paska. Gdy Linzer przelotnie ujrzał urządzenie, jego oczy się rozjarzyły. Sal niezgrabnie popędził pod górę do hotelu, ścigany przez Linzera.

Na szczycie wzgórza pojawił się maszerujący do instytutu Dan. Kiedy zobaczył biegnącego Sala, pognał mu na spotkanie. Sekundę później Sal skrył się za plecami Dana.

Linzer zatrzymał się parę stóp przed Danem, skinięciem dłoni powstrzymując Anakitów.

— Pan Levin raz jeszcze — powiedział Linzer z udaną uprzej-

mością. — Nadal współuczestniczy pan w kradzieży należącego do nas sprzętu?

- Nie bardzo — odparł Dan sztywnym, formalnym tonem. — Ale za to ucieszyłaby mnie możliwość przeprowadzenia wywiadu z Benem Hinnomem, tak byśmy mogli omówić poważne zarzuty pod adresem Windgazera 99.9, jakie ostatnimi czasy ujrzały światło dzienne.
- Proszę zwrócić nam naszą własność, a rozważymy tę ewentualność — odparł lodowatym głosem Linzer.
- Kim są tamci pańscy wysocy kolesie? — zapytał Dan, wskazując ręką. — Członkowie zakładowej drużyny koszykarskiej Hin-noma?
- Proszę się nie przejmować Anakitami — odciął się Linzer.
- Ja natomiast przejmuję się wykradaniem przez was własności Hinnom Computing, waszym nielegalnym wtrącaniem się w naszą działalność, szpiegostwem przemysłowym i naruszeniem tajemnicy handlowej. Bardzo proszę o Windy'ego. — Wyciągnął otwartą dłoń.
- Sal — powiedział Dan — wyjmij Windy'ego. Sal zawahał się.
- Będzie dobrze. Wyjmij Windy'ego — powtórzył Dan. Sal wy dobył urządzenie spod koszuli.
- Oto, co wiemy — powiedział Dan, zwracając się do Linzera.
- Wiemy, że wasza korporacja opracowała udoskonaloną metodę kontrolowania ludzkich umysłów przy użyciu fal radiowych dzięki stymulacji prawego płata skroniowego. Zawdzięczacie to waszemu działowi Technologii Ingerencji pod światłym kierownictwem waszego kumpla, Maxa. Nawiasem mówiąc, szczęściarz z niego — odzyskać prawo jazdy po rozjechaniu tej dziewczyny. Wiemy też, że wersja 0.9 to kolejne oszustwo. Wiemy, że nie usunie milenijnej pluskwy. Doprowadzi do lawiny obowiązkowych uaktualnień, modyfikacji i poprawek, z których każda kolejna będzie bardziej spierzona od poprzedniej. I wtedy Ben Hinnom zapanuje nad całym światem.
- Linzer patrzył na niego beznamiętnie, on zaś kontynuował:
  - Poza tym, uważamy, że istnieje lepsze rozwiązanie.

— Lepsze rozwiązanie? — zapytał Linzer. — Nie ma lepszego rozwiązania. Istnieje jedynie wersja 0.9. Pozostaje jedyną nadzieją ludzkości i sprawi, że gatunek ludzki rozkwitnie jak nigdy przedtem, uzyskując wydajność i możliwości dotąd niedostępne śmiertelni kom. Do tego właśnie dąży pan Hinnom. Hinnom to wielki specja lista od dostarczania nowych możliwości. Jakie lepsze rozwiązanie mogłoby istnieć? Czas ucieka. Nie macie lepszego rozwiązania.

Sal przerwał milczenie.

— Format c: — zawołał. — To polecenie uaktywnia się o pół nocy trzydziestego pierwszego grudnia. Umieszczone jest w jądrze systemu i nie można go usunąć. Ludzie Dereka wprowadzili je tam, zanim jeszcze wycofali się z prac nad Zoomem. Użytkownik wpisuje „format c:”. Lecz zamiast ponownie sformatować twardy dysk, to polecenie usuwa z komputera Windgazera, usuwa problem roku dwutysięcznego i przywraca system do stanu wyjściowego.

Twarz Linzera wykrzywił grymas.

— A kto o tym wie poza wami dwoma, głupcy?

— Na razie tylko ja i paru przyjaciół — odparł Sal.

— Ale za parę chwil dowie się o tym cała planeta — uzupełnił Dan — ponieważ Sal zamierza umieścić w Internecie kilka stron z wyjaśnieniami, a ja udzielię wywiadu paru stacjom telewizyjnym i opublikuję artykuł albo dwa na ten temat.

Dan zwrócił się bezpośrednio do Sala, nie spuszczać wzroku z Linzera.

— Mały, przesyłaj te dokumenty.

Sal rozłożył komputer i zaczął zawzięcie uderzać w klawisze.

Linzer wyciągnął rękę w nagłym przypiływie rozpacz.

— Nie rób tego, Sal. Nie słuchaj go. To człowiek nie zrównoważony, okłamuje cię. Pan Hinnom może zatruć życie tobie i twojej matce. Kiedy z wami skończymy, nigdy nie zaznacie spokoju. Ani też pan Levin. Sal, nie przesyłaj tych stron.

— Utworzyłem połączenie FTP— powiedział Sal, podczas gdy Windy wykonywał wydane przez niego polecenia. — Teraz ładuję strony, które zostaną przesłane do serwera u Dereka.

Linzer rzucił się na Sala, starając się wyrwać mu Windy'ego. Dan



zablokował mu rękę. Anakici zerwali się do biegu pod górę. Dan, unieruchamiający lodowato zimną rękę Lrinzera, poczuł przebiegający przez całe ciało dreszcz, gorący i zimny zarazem.

— Ładuję pliki — mówił Sal, bezgłośnie ponagляjąc Windy'ego do szybszego działania. — Jest ich mnóstwo. Cholerne pliki graficzne. Zajmują mnóstwo czasu.

Dziwna scena zdążyła już przyciągnąć uwagę przechodniów. Linzera, Dana i Sala otoczył tłum gapiów. Zielony jeep Miszmar Hagvul podjechał sąsiednią ulicą i polecono ciekawskim się rozejść.

— Przestańcie, natychmiast! — krzyknął dowódca Druzów, podczas gdy jego ludzie przeskakiwali przez ogrodzenie oddzielające park od ulicy.

— Załadowane — zawołał Sal.

— Odpalaj — wrzasnął Dan.

— Nie dotykaj klawisza ENTER — ryknął Linzer. — Nie dotykaj go!

Sal wduślił klawisz. Na ekranie pojawiła się animacja ukazująca pliki mknące ku swemu celowi na serwerze Dereka. „20% przesłane”.

Linzer szarpnął się jeszcze, lecz Dan nie puszczał go.

„35% przesłane”.

— Przestań! — zawył Linzer.

„100% przesłane. Przekaz FTP ukończony. Następny plik?” Sal wduślił „N” jak „Nie” i wylogował się, a dokładnie w tej samej chwili nadbiegli funkcjonariusze Miszmar Hagvul. Anakici zatrzymali się i rozproszyli, wycofując się w głąb parku. Żołnierze zatrzymali Linzera, Dana i Sala, choć Dan wymachiwał legitymacją prasową i wrzeszczał, że ma spotkanie z izraelską telewizją. Upewniwszy się starannie, że nie mają do czynienia z bombą, antyterrorysty skonfiskowali Windy'ego do chwili, gdy incydent zostanie wyjaśniony.

Lecz w cyberprzestrzeni panowało już podniecenie. Kiedy pliki Sala dotarły do serwera, przygotowane przez niego strony zostały automatycznie przesłane pocztą elektroniczną do tysięcy antyhinno-

mowskich stron na całym świecie. Specjalny artykuł Dana również powędrował do wybranych e-zinów. W parę sekund świat poznał istotę stojącego przed nim wyboru. Dyskusja mogła się zacząć.

Posterunek policji w Dzielnicy Rosyjskiej był ciemnym, szarym miejscem. Kable elektryczne i przewody telefoniczne przypinane do ścian dowodziły dobitnie, że budynek nie przystawał do współczesności. Dan i Sal zostali umieszczeni w pokoju przesłuchań, nie zaś w mrocznym, ponurym areszcie za zielonymi, stalowymi drzwiami. Linzera zatrzymano w poczekalni. Prawnicy Hinnoma nieustępliwie domagali się natychmiastowego zwolnienia Linzera i zwrotu Windy'ego. Wymachiwali przy tym listem z biura burmistrza proszącym wszystkie urzędy o maksymalną współpracę. Grozili skargami, procesami, petycjami do członków Knessetu i premiera. Odgrazali się nawet, że poinformują o tym ludzi z Agencji Żydowskiej odpowiedzialnych za gromadzenie funduszy.

Przez otwarte drzwi Sal i Dan widzieli spoglądającego w ich kierunku dowódcę, rozmawiającego przez telefon. Nie przerywając rozmowy, policjant podniósł z biurka Windy'ego i obrócił go parę razy w dłoni, przyglądając się mu pobieżnie. Przykrywając słuchawkę, zawołał swego asystenta, który wszedł do pokoju przesłuchań i poprosił Sala o paszport. Sal podał mu dokument. Asystent otworzył go na stronie z pieczęcią wbitą przez urzędnika granicznego na lotnisku Ben Gurion. Pod nią jeden z celników napisał atramentem „Machszev Katan”, co po hebrajsku oznaczało „mały komputer”. Asystent przesunął palcem pod tym wpisem i pokazał go Salowi, pytając:

- To ten mały komputer, o który się biliście?
- On nie czyta po hebrajsku — odparł Dan. — Owszem, to Windy, ten mały komputer.
- Dobrze, proszę zaczekać — powiedział asystent.

Parę chwil później do pokoju wszedł dowódca z Windym w dłoni. Zwracając się najpierw do Dana, zapytał:

— To pan jest tym szalonym Amerykaninem, tym dziennikarzem, który ostatnio zagadał terrorystę na *midrekhoviel*

Dan pewnie pokiwał głową.

— A pan pracuje dla Derek Institute i dla doktora Kuebitza z sił zbrojnych? — zapytał Sala.

Zaferowany Sal nie zrozumiał, co do niego powiedziano.

— Zgadza się — odpowiedział za niego Dan.

— W takim razie wszystko jest w porządku — powiedział dowódca, dodając w chwilami kiepskiej angielszczyźnie: — Kuebitz zadzwonił z Hakiry — izraelskiego Pentagonu, że się tak wyrażę. Ta sprawa ma coś wspólnego z bezpieczeństwem narodowym, chociaż nie byłem o tym poinformowany. Ale zadzwoniono do mnie, ponieważ tutaj trafiliście. Po pierwsze, ten mały komputer jest wymieniony w pańskim paszporcie, numer seryjny też się zgadza. Oddaję go panu. — Zwrócił Windy'ego Salowi.

Sal ścisnął go mocno oburącz.

— Jest pan wolny, ale doktor Kuebitz prosi, żeby niezwłocznie skontaktował się pan z Derekiem. Powtarzam tylko to, co mi kazano przekazać. Teraz pan — powiedział do Dana błagalnym tonem. — Proszę spróbować nie sprawiać więcej kłopotów. Wiemy, co to za jeden. — Skinął przez ramię na Linzera. — Bardzo bogaty facet z Hinnom Computing. Dlaczego więc przyprawia mnie pan o ból głowy? Oni piekielnie się awanturują. Kuebitz mówi mi coś innego. Rządowe biuro prasowe jest niezadowolone.

— Przepraszam, *chaver* — mruknął potulnie Dan.

— Niech pan nie przeprasza — powiedział z naciskiem dowódca. — Niech pan stara się nie robić tyle zamieszania w Izraelu. Mam dosyć własnych kłopotów. Pan też jest wolny — dodał — ale Kuebitz prosił mnie o przekazanie panu, że z panem też chciałby porozmawiać u Dereka. Na tym koniec. Więcej nie będę robił za posłańca. Jeśli znowu się pan w coś wpakuje, nie skończy się to tak bezboleśnie.

Linzer i jego ludzie zostali wyprowadzeni jednymi drzwiami, Dan i Sal drugimi. Kiedy Dan wychodził na ulicę, dowódca zawołał za nim ostatni raz:

— Będzie pan już grzeczny?

Dan obejrzał się i odparł:  
— Jeśli Bóg zechce.

## 16 APOKALIPSA

### BENA HINNOMA

**OD: Ben Hinnom, Hinnom Computing Co., Inc. DO:  
Cała ludzkość DATA: Wigilia 1999 TEMAT: Nowe  
tysiąclecie, rok dwutysięczny itp. CC: Plik**

Na początku chciałbym powiedzieć CHUJ Z WAMI! <delete> Witajcie i Wesółych Świąt.

Piszę do was głównie po to, by zaprosić was na najbardziej widowiskowe wydarzenie tego tysiąclecia — historyczne wprowadzenie na rynek Windgazera 99.9, który zostanie zainstalowany jednocześnie na ponad trzystu milionach komputerów na całym świecie. Jak wiecie, urządzamy milenijne przyjęcia w sześćdziesięciu miastach sponsorowane wspólnie przez naszych partnerów i stowarzyszenia użytkowników Windgazera z całego świata, by uczcić to niezwykle wydarzenie. Wszyscy jesteście zaproszeni.

Największe zgromadzenia odbędą się w Nowym Jorku, Chicago, Austin, Londynie, Pekinie, Tokio, oczywiście urządzimy też coś wielkiego w Seattle. Lecz główna scena zlokalizowana będzie właśnie tutaj, w pięknej Dolinie Ben Hinnom w zabytkowej Jerozolimie. Wiem, wiem. Ta sama nazwa. Wybór miejsca sam się nasuwał. Gdybyśmy nazywali się

Grand Canyon Software, zapewniam was, że wybralibyśmy Wielki Kanion. Ale oprócz niesamowitej nazwy, to miejsce będzie stanowić prawdziwie cudowną oprawę dla naszego świata. W Hinnom Computing wszyscy jesteśmy bardzo podekscytowani i przepelnieni wdzięcznością.

Być może zastanawiacie się, jakim sposobem otrzymaliście ten e-mail. **JESTEŚCIE ZA GŁUPI, BY TO ZROZUMIEĆ** <delete> Dobre pytanie. Otrzymał go każdy człowiek — nawet jeśli nie miał konta poczty elektronicznej. Odkąd cała ludzkość podłączona jest do Windgazer Central, możemy przesłać wam wiadomość w dowolnej chwili, niezależnie od tego czy macie e-maila. Wy ze swej strony możecie przysyłać wiadomości do nas. Wiele firm pyszni się swoim sloganem „Wysłuchujemy klienta”. Hinnom Computing słucha przez cały czas. Za pośrednictwem tego adresowanego do całego świata listu, który Windgazer przetłumaczy na język, którym się posługujesz, mogę osobiście odpowiedzieć na wszystkie pytania dotyczące wersji 0.9 jednocześnie — i to osobiście.

Ponieważ Hinnom Computing ma otwarte uszy, usłyszeliśmy o protestach organizowanych obecnie przez tak zwany Ruch Format c:. Zwracamy uwagę na to, co ludzie mają do powiedzenia. Ruch ten zrodził się właśnie tutaj, w Jerozolimie, z inicjatywy syna niezadowolonego pracownika współdziałającego z pewnymi innymi osobami pokroju dziennikarza DAN DO PIACHU! <delete>, który ukradł sprzęt będący własnością Hinnom Computing i włamał się do naszych pilnie strzeżonych laboratoriów badawczych. Nasi prawnicy i służby zabezpieczające w Stanach Zjednoczonych i Izraelu pracują nad tą sprawą. Lecz ręka sprawiedliwości niekiedy porusza się bardzo powoli **ZWŁASZCZA KIEDY CHODZI O ŻYDOWSKIEGO DZIENNIKARZA** <delete>. W rezultacie ludziom tym nadal wolno rozpowszechniać kłamstwa

i budzić w części użytkowników niechęć do wersji 0.9, która zostanie zainstalowana o północy trzydziestego pierwszego grudnia 1999 roku, wystarczająco wcześnie, by usunąć jakiegokolwiek nie rozwiązane jeszcze problemy wynikające ze zmiany daty i powitać nowe tysiąclecie.

Większość ludzi czytała bądź też miała bezpośrednią styczność z tą paranoją, która zaatakowała świat w ostatnich miesiącach. Zgodnie z ich teorią zgoda na nasze nieskomplikowane uaktualnienie skaże wasze systemy, a pewnie i dalsze, na uzależnienie od Hinnom Computing. Każda historyczna kampania zawsze znajduje zwolenników, więc nie uszły naszej uwagi demonstracje przed naszymi biurami, pikiety przed budynkiem Federalnej Komisji Handlu w Waszyngtonie, sterty zwalczających Windgazera witryn, petycje w Internecie, próby bojkotu, niedawne obszernie artykuły w dziennikach „Time” i „Newsweek”. Nawet niektóre szanowane czasopisma komputerowe zdyskredytowały się, pisząc o tej głupocie ZOBACZYMY, JAK DŁUGO POCIĄGNĄ BEZ REKLAM <delete>.

Nie sądzicie, że nie zdajemy sobie sprawy z każdego drobiazgu. Płonące stopy płyt z Windgazerem w Mediolanie — widzieliśmy to; czuwanie przy świecach w Kijowie — to także widzieliśmy; podobnie jak te kochane NIENAWIDZĘ ICH <delete> dzieci w Dallas, potwornie oszukane przez zdezorientowanych rodziców, którzy kazali im ubrać koszulki ze złośliwymi sloganami wymierzonymi w naszą firmę — nawiasem mówiąc, posłaliśmy im już koszulki z logo Windgazera 99.9. Wszystko to składa się na jedną wielką akcję dywersyjną. W rzeczywistości liczy się innowacyjność, indywidualna wydajność i postęp technologiczny.

Protesty i inne nieprzyjemne zgrzyty wywierają negatywny wpływ na naszych oddanych pracowników PŁACĘ WAM,

WIĘC SIĘ ZAMKNIJCIE <delete>. Tak więc to przesłanie adresowane jest także do nich i ma przypominać naszemu personelowi, że wiemy krucznię w słusznej sprawie. Pewnego dnia będzie się ich wspominać dzięki temu, co uczynili dla świata. Wiem, że codzienne skandowanie was irytuje. Czasami mnie także. Ale mamy do wypełnienia misję, która wyrasta ponad takie sprawy.

Gwoli wyjaśnienia, wielu ludzi wie, lecz część być może nie jest świadoma tego, że gdzieś demonstrowali wykrzykują rozmaite hasła. Głównymi winowajcami jest dwieście, może trzysta osób, które każdego dnia w południe zbierają się przed World Trade Center i skandują „Format c: — przeładuj, przeładuj, przeładuj”. W porządku, żyjemy w wolnym kraju. Każdy może sobie poskandować. Ale skandowanie podobnych bzdur nie jest szczególnie wydajne. Dla wyrażenia swych poglądów wystarczy parę dni. Nie ma potrzeby ciągnąć tego tygodniami. Mam dla tych ludzi dobrą radę: idźcie lepiej coś zjeść. Chciałbym nadmienić, że podobnego skandowania próbowano w wielu innych miastach, lecz bez większego powodzenia. Skandowanie w Los Angeles, Madrycie i Oslo trwało zaledwie kilka dni — w jednym przypadku trzy tygodnie — a potem ludziom się znudziło. Podobnie nie potrwa to zbyt długo w wielu innych miastach, gdzie dzieją się podobne akcje. Dlaczego?

LUDZIE SĄ GŁUPI I SZYBKO SIĘ NUDZĄ <delete> Ponieważ rzekoma alternatywa jest niedorzeczna i nikomu nie zalecałbym jej zastosowania. Wpisanie „format c:” w linii poleceń równie nieuchronnie skasuje twardy dysk, jak gdyby milenijna pluskwa pożarła wszystkie dane jednym kęsem. A jednak tak właśnie brzmi ich propozycja. Szaleństwo, nieprawdaż?

Tak więc myślę, że wszystko sprowadza się do wyboru: czy wierzycie fachowemu doświadczeniu Hinnom Computing —

czyli mnie — czy też głupiemu majaczeniu jakiegoś zdeorientowanego, milkliwego chłopaczka, który, przy okazji, ukradł nam urządzenie, na którego zwrocie bardzo by nam zależało.

Tak naprawdę to cieszę się, że mogę ustosunkować się do tych kwestii, zważywszy na to, że zarówno ja, jak i moja firma byliśmy obrzucani w przeszłości licznymi kalumniami tylko dlatego, że gotowi byliśmy unowocześnić nasze najwyższej jakości produkty i popierać postęp w erze informacji. Sam od czasu do czasu lubię się pośmiać NIECH WAS WSZYSTKICH CIĘŻKI SZLAG TRAFI <delete>. Ale niektórzy posuwają się za daleko. Tak więc pozwólcie, że dorzucę parę słów ze swej strony.

Po pierwsze: kim jest Ben Hinnom i co reprezentuje? Oczywiście w pierwszym rządzie jestem waszym przyjacielem. Lecz poza tym reprezentuję jedno i tylko jedno: potęgę wiedzy. Ilu spośród nas rozumie wiedzę i jej powiązania z siłami władającymi wszechświatem? Cholernie niewielu. Oto cały problem. Konserwatywni osobnicy stawiają znak równości między wiedzą a grzechem pierworodnym. Twierdzą, że wszystkie kłopoty ludzkości zaczęły się w chwili, gdy Adam pogwałcił jedyny zakaz dany mu przez Boga. Zjadł owoc z Drzewa Poznania Dobrego i Złego. Wielka sprawa! — można by powiedzieć.

Widzicie, to tylko dowodzi, że zdobywanie wiedzy od pierwszego kęsa wiązało się z kontrowersjami. Takie wsteczne myślenie doprowadziłoby was do poglądu, że pogryzając jabłko, Adam zyskałby dosyć wiedzy, by stać się jak sam Bóg Ojciec, albo sama Bóg Matka, używając politycznie poprawnego terminu KUMACIE? PC — POLITICALLY CORRECT <delete> Stary Testament mówi: „Oto człowiek stał się taki jak My: zna dobro i zło. Cholera, jeszcze trochę, a zje



owoc z drzewa życia i będzie żyć na wieki". Zapamiętajcie to zdanie; wrócimy do sformułowania „życie na wieki” nieco później w naszym liście.

Widzicie, jeżeli próbuje się coś ulepszać, zawsze znajdzie się jakiś zazdrośnik. To dlatego postępowanie ma swoją cenę. Ale mogąc wybierać, człowiek zawsze decydował się pójść na ryzyko, zawsze decydował się na to, choćby nawet jabłko było częściowo nadpsute. Taka już jego natura. To wynika z definicji człowieczeństwa.

Lecz dzięki temu człowiek wiele się nauczył. A najważniejsza lekcja brzmi: Człowiek może stać się swym własnym Bogiem. Może latać wśród chmur niczym ptak, pływać w oceanie jak ryba, ryć tunele w ziemi jak kret, sięgać gwiazd jak anioł. Jeśli ktoś obawiał się, że człowiek mógłby ewentualnie zjeść owoc z drzewa życia i stać się wieczny, powinien ponownie to sobie przemyśleć. Przyjaciele, my ujrzelismy to drzewo, zerwalismy z niego owoc, przelknęliśmy jego smakowity miąższ. Jedno jabłko dziennie...

To prawda. Człowiek zrozumiał w końcu tajemnicę życia. Chcecie cudów? Komputer to magiczna pałeczka, która stwarza ludzkie cuda — cuda, nad którymi człowiek może sprawować władzę, i to nie prosząc bogów o zezwolenie ani też nie dziękując im za to. Wróćmy do zaznaczonego wcześniej zdania kończącego się słowami „żyć na wieki”. Spójrzcie, co dały nam moje komputery. Dzięki technologii komputerowej człowiek może klonować żywe istoty, nieważne — salamandry, owce czy niemowlęta. Chcecie, by ślepcy przejrzeliby? Dam wam komputerowe mikroprocesory jako optyczne implanty zastępujące siatkówkę. Chcecie, by głusi słyszeli? Dam wam udoskonalone komputerowo aparaty słuchowe. Chcecie, by chromi podnieśli się z łóżek? Dam wam protezy mięśniowo-elektryczne i stymulację elektryczną, dzięki któ-

rej odłączone nerwy znów zaczną funkcjonować. Potrafimy już nawet regenerować tkankę nerwową rdzenia kręgowego.

Chcecie, by martwi wstali z grobu? Dam wam defibrylatory, które sięgają do krainy martwych w pięć, dziesięć, a nawet dwadzieścia minut po rozpoczęciu wędrówki na tamten świat. Teraz sprowadzamy ich z powrotem rutynowo. Któregoś dnia będziemy w stanie reanimować ludzi całe godziny, a nawet dni po tak zwanym zgonie. Obecnie naukowcy na poważnie dyskutują nad ewentualnością prawdziwie wiecznego życia — przenoszeniem półtorakilogramowego zwoju impulsów chemiczno-elektrycznych zwanego umysłem z zeschłego starego ciała w zupełnie nowe. Chirurdzy nazywają to „przeszczepem głowy” — nerwów, naczyń krwionośnych i tkanki łącznej — z jednego, starzejącego się ciała na nowe, młodsze, i tak bez końca. Powiadam wam, po co marnować dobrą głowę, skoro można po prostu wymienić wszystko od szyi w dół?

Teraz widzicie już, skąd bierze się ta zazdrość i zamieszanie wokół komputerów YZCABYWIMCEICJOJÓMYDEIK <delete>. Człowiek stara się zdobyć trochę wiedzy, ułatwić sobie życie, może żyć wiecznie, i zanim się obejrzy, potop kasuje wszystkich, ustanawia nowe zasady, 120 i koniec. Ale technologia pozwoliła nam postawić na swoim.

Komputery odkrywają tajemnice wiecznego życia, wiecznej śmierci i organizują wszystkie wasze pliki dla późniejszego odzysku.

I tu właśnie do gry wchodzi ja, Ben Hinnom. Poświęciłem całe moje życie i wszystkie moje fundusze udoskonalaniu magii — zarówno oprogramowania, jak i sprzętu — która czyni te cuda możliwymi. To zajęcie umożliwiło mi nawiązanie specjalnej więzi z moimi klientami. Wielu ludzi posiada

niezwykłą zdolność kontaktowania się z umysłami innych. Ja także się do nich zaliczam. Oczywiście nie jestem żadnym Bogiem, więc mogę to robić tylko indywidualnie — a i tak muszę solidnie się skupić. Czasami wychodzi mi doskonale, czasami gorzej. To zależy. Ale nie mam żadnych uprzedzeń. W Niemczech szło mi doskonale, nawet lepiej niż w Rzymie czy w Ugandzie. Kiedy mam coś do powiedzenia, nawiązuję kontakt z umysłami ludzi i staram się ich przekonać. Jestem bardzo zajęтым prezesem wielkiej firmy, więc moglibyście oczekiwać, że skoncentruję moje wysiłki w ważnych miejscach, takich jak Berlin czy Manhattan. Ale co powiecie na Pearl w stanie Missisipi? Albo Joncsboro w Arkansas? TAM BYŁO ŁATWIEJ <delete> Udałem się tam tylko po to, by pokazać, że wszyscy ludzie posiadają potencjał, który można wykorzystać. Jak już wspomniałem, problem kryje się w tym, że trzeba to robić pojedynczo — na czym cierpi wydajność.

Oto coś, co, choć stworzone z najczystszyimi intencjami, będzie stanowić doskonałą sposobność do przeinaczania faktów dla moich wrogów NIE MA KAMIENIA, NIE MA PROBLEM A <delete>. To prawda, że zależy mi na klientach. To prawda, że uwielbiam porozumiewać się w cztery oczy, w dwa umysły. To prawda, że potrafię komunikować się tylko z jednym umysłem naraz. Lecz Windgazer 99.9 wyposażony jest w funkcję, która spotęguje moje wysiłki, a zarazem pomoże światu. Wykorzystując fale radiowe, mogę porozumiewać się z milionami ludzi jednocześnie — nawiązać kontakt z ich umysłami.

Tak, tak, tak, chodzi o prawy płat skroniowy. I co z tego?

Nic ma w tym nic nowego. Czym jest radio? Czym jest telewizja? Czym jest Internet? Czym jest rozpowszechnianie informacji za pośrednictwem poczty elektronicznej? Czym są publikatory? Wszystkie te technologie umożliwiają komuni-

kowanie się z ludzkimi umysłami. Dzięki nim miliony ludzi uzyskują natchnienie, pomoc, przewodnictwo, wskazówki, w razie konieczności można ich też przed czymś powstrzymać albo coś wytłumaczyć. Jestem jedynie innowatorem, wprowadzającym kolejny z wielu alternatywnych sposobów porozumiewania się działającym w ramach wielowiekowej tradycji. Postęp nie zna granic.

Oczywiście pragnę, by Windgazer 99.9 był doskonały. Wiedza absolutna zdaje się niepokoić niektórych ludzi. Jak już powiedziałem, takiego oporu należało się spodziewać od zarania dziejów. Od czasów Adama, jeśli wierzycie w podobne bajeczki.

Pamiętajcie, że komputer to wspaniałe narzędzie do wyrównywania szans. Nie powodują nim uprzedzenia, pokrętne systemy etyczne czy staromodne zasady. Każdy może wcisnąć klawisz ENTER i uzyskać dowolny rezultat. Spójrzcie, co osiągnął Internet. W cyberprzestrzeni można znaleźć dosłownie wszystko. Kto decyduje o tym, co jest dobre, a co złe? Komputer usuwa wszystkie przeszkody. Ogień pali. Ogień oświeśla. Ogień niszczy. Woda utrzymuje przy życiu. Woda odbiera życie. Niech każdy podejmuje swoje własne decyzje. Oto prawdziwa demokracja.

Należy pamiętać jeszcze o czymś: komputer akceptuje swojego użytkownika — bez względu na to, kim jest. Może być słaby duchem, w żałobie, cichy. Lecz dzięki Windgazerowi 99.9 to wy posiadacie dane całego świata. Spragnieni i zgłodniali informacji, otrzymacie ją. A jeśli ludzie przesładują was, ponieważ wierzycie w Hinnom Computing albo w nasze wspaniałe produkty, lub też jeśli ten modny obecnie fałszywy Ruch Format c: was niepokoi, co z tego? Weselcie się, gdyż wszyscy prorocy technologii przed wami też byli przesładowani.

Ponadto Hinnom Computing będzie przy was na każdym bajcie drogi. Po pierwsze, każdy otrzyma mysz z charakterystycznym, wypukłym logo Windgazera 99.9. Jej ergonomiczny kształt sprawia, że pasuje do każdej dłoni. Na razie dysponujemy tylko praworęcznym modelem, więc musicie znaleźć inne zajęcie dla lewej ręki. Lecz teraz praca z komputerem może być prawdziwą zabawą. Zawsze będziecie czuć w prawej dłoni to wypukłe logo — i będziecie wiedzieć, że Hinnom Computing jest przy was. Po drugie, każdy otrzyma bajerancką opaskę na czoło z logo Windgazera 99.9. To naprawdę odlotowy bajer, w opasce ukryty jest miniaturowy przekaźnik, wspomagający nasze zdalne obwody komputerowe i ułatwiający komputerowi dostosowanie się do waszych osobistych preferencji JESTEŚCIE MOI <delete>.

Zwracam uwagę, że po zainstalowaniu Windgazera 99.9 wasze systemy nie będą mogły działać bez tych dwóch komponentów, na które wyłączność posiada Hinnom Computing. Więc pamiętajcie, proszę, wasze komputery mogą zorganizować wasze życie, powiększyć granice waszego świata, dostarczyć wam rozrywki i nieograniczonej ilości informacji, połączyć was za pomocą słów, obrazów i transmisji, pomóc w zarządzaniu finansami i pozwolić na zawieranie transakcji w dowolnym miejscu na świecie — lecz tylko wtedy, gdy będziecie używać waszej myszy i opaski. Używajcie ich więc z dumą.

Teraz zaś, w duchu nowego tysiąclecia, oto jak powinniście pracować z komputerem, by osiągnąć maksymalną wydajność. Spróbujcie swojego własnego zaklęcia. Rozmawiacie z roślinami i psami, zgadza się. Spróbujcie porozmawiać z komputerem. Przed zalogowaniem spróbujcie tego:

Mój komputerze, podłączony do olbrzymiego oceanu wiedzy wszechświata, jesteś najwspanialszy. Hinnom, co za logo!

Przybądźcie wszystkie dane, bądź wola twoja w pracy, jak i w domu. Daj mi mych danych codziennych, sekunda po sekundzie. Wybacz mi moje komunikaty o błędzie, tak jak ja wybaczam innym. Nie kuś mnie niczym, czego nie jesteś w stanie sprawić. Służ mi, a ja służyć będę Tobie — Tobie i tylko Tobie.

Podoba mi się ten tekst UKORZCIE SIĘ PRZED MOJĄ WŁADZĄ <delete>. Może nie zaszkodziłyby mu niewielkie poprawki. Nie krępujcie się, możecie sobie go udoskonalać zgodnie z waszymi potrzebami.

Tak czy owak, mam nadzieję, że przedstawiłem z grubsza kilka argumentów przemawiających za tym, że trzydziestego pierwszego grudnia jedynym rozsądnym wyjściem jest zainstalowanie Windgazera 99.9 i odwrócenie się plecami do Ruchu Format c:.

Dobra, do widzenia wszystkim. Do zobaczenia za parę dni, o północy rozdzielającej dwa tysiąclecia. Obiecuję wam największe widowisko w historii ludzkości.

<Ilośćsłów: 2461>

<Sprawdzenie pisowni: nie znaleziono błędów>

<kasuj cały tekst>

<przywróć cały tekst>

<załaduj i przygotuj do wysłania>

<ENTER>

## DOLINA ŚMIERCI

Generał Amnon Natan wyszedł z niewielkiego budynku na terenie Hakiryi i przeszedł po schodkach na ogrodzony drutem kolczastym parking. Upewniwszy się, że nikt nie może go podsłuchać, zadzwonił do swego kolegi.

— Będę gotów — zameldował. Przez następne kilka minut odpowiadał na pytania rozmówcy suchymi, beznamiętnymi „tak” lub „nie”. Z wyjątkiem ostatniego. Twarz Amnona poczerwieniała nagle. Spojrzawszy na boki, zapytał: — To bezpieczna linia? — Uzyskawszy potwierdzenie, odparł: — Nic nie wiem o „tym kamieniu”. Wiem tylko, że on mówi, że wkrótce będziemy go mieć. Nie wiem skąd. Jakoś.

Przeszedł przez parking do jednego z licznych budynków składających się na rozległy militarny kompleks Hakiryi. W jego wnętrzu czekali Dan, Sal, Motke i Park. Wezwano ich tutaj na odprawę. Choć nic nie zostało im z góry wyjaśnione, domyślali się bez słów, że to skutek ich działalności wymierzonej przeciw Windgazerowi 99.9.

Amnon zamknął drzwi na klucz, przez moment wyglądał przez okno, a potem przedstawił się. Zwracając się do Dana, mruknął:

— To pan. Słyszałem, że mówią o panu „Szalony Amerykanin”.

Dan zasalutował mu żartobliwym gestem.

Przenosząc uwagę na Sala, Amnon oznajmił z szacunkiem w głosie:

— Państwo Izrael poczytuje sobie za zaszczyt możliwość gośzczenia pana. Dla mnie zaszczytem jest możliwość współpracy z panem. Dokonał pan niezwykłego odkrycia.

Amnon zaproponował wszystkim kawę.

— Mam tylko rozpuszczalną. Może być?

Jedynie Dan i Motke byli chętni.

Mieszając gorzki proszek kawy Elite, Amnon mimochodem wy-

jaśnił, że dowodzi specjalną operacją, o wysokim stopniu utajnienia, „być może najbardziej utajnioną operacją w naszej historii”. Wyciągnąwszy z szafy talerz ze starymi herbatnikami zawiniętymi w folię jako przekąskę do kawy, Amnon naszkicował ogólne zasady:

— Sal, pan, pańska matka oraz Motke jesteście pracownikami Dereka, firmy realizującej zamówienia armii izraelskiej. Zgodnie z izraelskim prawem, jeżeli zostaną wam wyjawione sprawy związane z bezpieczeństwem narodowym, podlegacie przepisom właściwym dla służb bezpieczeństwa wewnętrznego. Co się tyczy pana, panie Levin, pańska legitymacja prasowa czyni pana odpowiedzialnym zgodnie z prawem prasowym o cenzurze. W Izraelu, jak wiecie, formalnie wciąż obowiązuje stan wyjątkowy, więc obowiązują przepisy czasu wojny. Lecz chciałbym posunąć się trochę dalej i uczynić pana tymczasowym konsultantem dla Derek Institute. To oznacza, że będzie pan podlegać tym przepisom nie tylko odnośnie do tego, czego się teraz dowiecie, lecz i pewnych specjalnych akcji, w jakie wkrótce się zaangażujecie, a których szczegóły niebawem wam przedstawię. Przepraszam za posługiwanie się ogólnikami. Ale to konieczne. Wszystko jasne?

— Wcale nie — sprzeciwił się Motke. — Ani trochę. Może oni nie wiedzą, co to znaczy. Ale ja jestem Izraelczykiem i wiem, że to zapowiada kłopoty. Co to jest: branka do Mosadu? Boja nie jestem na to przygotowany.

— Żadne kłopoty. Żadne kłopoty — uspokoił go Amnon. — Dajmy sobie spokój z nazwami, Mosad, izraelskie siły zbrojne. „Branka” to nieodpowiednie określenie. Ja powiedziałbym „rekrutacja”. Rekrutacja, zaproszenie, prośba, określenie się tu nie liczy. Potrzebujemy waszej pomocy i myślę, że jej nam udzielicie. Wasze zachowanie — na tym spotkaniu i przez resztę tego tygodnia — ma wielkie znaczenie. Tak więc... zanim powiem coś więcej, mamy jasność co do ewentualnych reperkusji prawnych?

Jedno po drugim, cała czwórka potwierdziła powoli.

— Teraz proszę pozwolić, że włączę telefon. — Wdusił jeden z przycisków na konsoli telefonu. — Doktor Kuebitz — wyjaśnił



Amnon — jest naszym specjalnym doradcą do spraw technicznych w tej sprawie, co mogę wam teraz wyjawić zgodnie z przepisami o tajemnicy państwowej.

— Kuebitz zwykle przebywa tutaj, w Hakiryi — zauważył Dan.

— Więc gdzie jest teraz?

— Dzisiaj tam mnie nie ma, jestem tutaj — powiedział głos Kuebitza.

Sal uśmiechnął się szeroko, słysząc te słowa.

Amnon rozpoczął prezentację:

— W wielu krajach, na przykład w Stanach Zjednoczonych, Rosji, Anglii i innych, prowadzone są badania nad zjawiskami paranormalnymi. CIA miało swoją operację Gwiazdne Wrota — ludzi o zdolnościach medialnych potrafiących postrzegać na odległość — którą zlikwidowano dopiero przed paru laty. Rosjanie bili ich w tym na głowę. Wpływanie na ludzkie myśli, teraz w modzie jest nazwa „technologia wpływu” — istnieje wiele częściowo pokrywających się aspektów. My w Izraelu także badamy te zjawiska i mam nadzieję, że nie zdziwi was to, że Żydzi zwracają szczególną uwagę na Biblię i liczne znajdujące się w Izraelu święte teksty, które ją uzupełniają. Mamy Zwoje znad Morza Martwego, Misznę, Talmud, cały zbiór tekstów kabalistycznych, zbyt wielki, by go wymieniać, Listy z Amarny, zwoje i gliniane tabliczki Akadyjczyków, Egipcjan, teksty sumeryjskie. Wiele z tego mnie przerasta, lecz wiercie mi, wydaliśmy mnóstwo pieniędzy na badania archeologiczne najwyższej jakości.

— Mamy w Tsfat przyjaciela imieniem Meir — wtrącił Motke.

— Mógłby się tu przydać.

Ignorując sugestię Motkego, Amnon mówił dalej:

— Pamiętajcie, wszystko, co zostało opisane w Biblii i w innych starożytnych tekstach, znajduje się nie dalej niż o kilka godzin jazdy stąd. Nie muszę wam tego mówić. Tak więc dla nas te teksty nie są martwe. Żyjemy i pracujemy w sercu biblijnej krainy. Ja jestem zwykłym Izraelczykiem — nie przesadnie religijnym. Jednak nawet ja sam nie wiem, czy wydarzenia, których świadkami jesteśmy każdego dnia, każdego roku, są jedynie przypadkami historii czy też

zostały z góry określone. Może jedno i drugie — mi to nie przeszkadza. Ale wielu z nas traktuje te sprawy niezwykle poważnie. Wierzą, że wszystko zostało obmyślane i zaplanowane przez samego Boga. Powiadają: „Nic nie dzieje się przypadkiem”. Według nich, zmagania Mojżesza z faraonem zostały zaplanowane w niebie i zrealizowane tylko i wyłącznie dla zasady.

- Cóż, zastanówcie się nad tym — zauważyła Park. — Plagi spadły na Egipt nie tyle dlatego, że faraon odmówił Mojżeszowi, co dlatego, że Bóg „uczynił twardym serce jego” i pragnął, by faraon odmówił i ściągnął na siebie plagi. Bóg uczynił z faraona przykład, dla zasady.
- Dobrze zna się na Biblii — dorzucił Dan.
- Bardzo dobrze. Wróćmy do teraźniejszości, gdyż czasu jest niewiele. Uważamy, że pan Hinnom jest niebezpieczny. Sądzymy, że jest w stanie zniszczyć świat, gdyż kontroluje komputery całego świata. I wierzymy, że potrafi to uczynić jednym kiwnięciem palca — powiedział Amnon, kiwając palcem. — A przynajmniej do chwili, która nadejdzie za cztery dni, kiedy świat dokona wielkiego wyboru: czy zaakceptować uaktualnienie, które Hinnom nazywa Windgazerem 99.9, czy też posłuchać rady naszego młodego człowieka, Sala, i zdecydować się na format c:. Co się nas tyczy, rząd Izraela pokładającałkowite zaufanie w formacie c:, gdyż znamy Derek Institute, a to Derek umieścił format c: w Windgazerze. Tak więc naszą misją — misją nas wszystkich — jest dopilnowanie, by świat dokonał właściwego wyboru. Wracając do Hinnoma — ciągnął dalej Amnon — siedzi teraz w swojej dolinie, przygotowując swe północne arcydzieło. I dobrze. Niech sobie siedzi. Dla nas jest lepiej, że jego wielka impreza odbędzie się tuż pod naszymi nosami, wprost na naszych oczach. Lepiej tu niż gdzieś, gdzie nie moglibyśmy go obserwować. Chcielibyśmy, żeby Sal dalej koordynował swoją kampanię na rzecz przeładowania, ponieważ w naszej opinii im więcej ludzi uwierzy w tę alternatywę, tym lepiej.
- Dlaczego po prostu nie zamkniecie Hinnomowi jego imprezy? — zapytał Dan. — Przerwijcie jego transmisję trzydziestego pierwszego grudnia. Rozbijcie imprezę. Koniec zabawy.

— Prawie wszystkie komputery w Izraelu pracują na Windgazerze — odparł Amnon — tak jak wszędzie. Sytuacja nieco przypomina tę z terrorystą na *midrekhovie*. Hinnom trzyma palec na przycisku detonatora, jeśli wolno mi użyć tego porównania. Co dwa, trzy dni przeprowadza nocne uaktualnienia, bez których nic nie będzie funkcjonować. Owszem, możemy wszystko pozamykać w pięć minut. Ale co potem? Nikt nie może wystąpić przeciw temu człowiekowi aż do piątku, kiedy jego system, z Bożą pomocą, zostanie całkowicie zastąpiony. Zanim do tego wszakże dojdzie — ostrzegł Amnon — według naszych kalkulacji Hinnom ostatecznie straci cierpliwość do Sala. Zapewne już niedługo. Sal to teraz jego wróg numer jeden. Tylko on stoi między Windgazerem a światem. Dlatego chcemy przewieźć cię, Sal, w bezpieczniejsze miejsce. Na północ.

— Dokąd? — zapytała Park.

— Niewielkie osiedle, niedaleko stąd — odparł Amnon. — To kibuc.

— ..który nazywa się? — zapytał Dan.

— Megiddo — odparł z wahaniem w głosie Amnon.

Sal zerknął nerwowo na telefon.

— Nie bój się, będziesz tam bezpieczny — powiedział głos Kuebitza.

— Jutro przewodzę demonstracji przeciw Hinnomowi — powiedział Sal — właśnie w Gei Ben Hinnom. Już za późno, by to odwołać. Przyjdzie wielu ludzi i spodziewają się mnie tam.

Amnon pokręcił z dezaprobatą głową i miał właśnie otworzyć się sprzeciwić, kiedy Sal dodał:

— To zbyt ważne. Ruch mnie tam potrzebuje.

— W takim razie zrób tę swoją demonstrację, pokrzykujcie trochę — ustąpił Amnon. — Ale na tym koniec. Później masz się spakować i zniknąć. Jasne?

Sal skinął głową, Park także przytaknęła.

— Mamy nadzieję — powiedział Amnon — że trzydziestego pierwszego grudnia ludzie na całym świecie — a przynajmniej ich większość — dokonają właściwego wyboru. I planujemy na ten sam

dzień parę specjalnych operacji. Ich szczegóły wszakże nie mogą zostać teraz wyjawione.

- W takim razie jaka jest w tym moja rola — zapytał Dan — oprócz uzyskania wyłączności na opisanie tej historii w artykule, który trafi do druku pierwszego stycznia, pełne dwadzieścia cztery godziny przed ujawnieniem jej dziennikarzom, łącznie z izraelską telewizją i wojskowym radiem, i w którym zamieszczę szczegółowe wypowiedzi wysoko postawionych urzędników rządowych, które później wykorzystam w książce?
- Twoja wyłączność, książki i artykuły mnie nie obchodzą, za przeproszeniem — odciął Amnon. — Przedstaw swoją prośbę rządowemu biuru prasowemu. Ja staram się zaradzić bardzo, bardzo złej sytuacji. Tak więc, proszę, w tej chwili możecie nam pomóc, pilnując, by nasz Sal nie wpakował się w żadne kłopoty. I jeszcze jedno, Dan, proszę więcej nie kopać bez zezwolenia, ani w Qumran, ani gdziekolwiek indziej.
- Oba zwoje przekazaliśmy — odparł Dan obronnym tonem. — Po prostu zatrzymaliśmy je przez parę dni, zanim znaleźliśmy właściwy urząd w Ministerstwie Starożytności. Nigdzie nie kopieemy.
- I niech tak zostanie — powiedział Amnon. —, Po prostu pilnujcie Sala.
- A ja? — zapytał Motke.
- Miej oko na Dana — odparł Amnon. — Oto Żyd w Izraelu, który nie czyta ani nie pisze po hebrajsku. Co się tyczy pani, pani McGuire, proszę trzymać się blisko syna, będzie pani potrzebował. Dobrze — zakończył Amnon — czy ktoś jeszcze czegoś potrzebuje? Czegokolwiek, bo niedługo muszę być gdzie indziej.
- Czegokolwiek? — powtórzył Dan.
- Czegokolwiek, co w naszej mocy — powiedział głos Kuebitza.

Dan nagryzmołił krótką listę na kartce papieru i przesunął ją po stole w stronę Amnona.

— Tylko te trzy? — zapytał Amnon, spoglądając na trzy zegary pokazujące czas w różnych częściach świata. — Dobrze, spróbujemy.

- Jeśli Bóg zechce, tak się stanie — zażartował Dan.
- Jeśli zechce, na pewno — powiedział głos Kuebitza.

Dwadzieścia autobusów czekało w długiej kolejce przed Bramą Jafską. Ich drzwi otwierały się jedno po drugim, a rozbawieni pasażerowie wyskakiwali na ulicę, ciesząc się na odkrywanie nowego świata. Z promiennymi, czystymi uśmiechami dotykali starożytnych kamieni i spoglądali w zdumieniu na olbrzymie wały. Każdy z nich miał na głowie jasnoniebieską czapkę baseballową ozdobioną napisem „XXI wiek”. Na ich koszulkach wypisane były slogany, którymi kierowali się w życiu. „Tylko odrobinę więcej” — brzmiał jeden z nich. Inne głosiły: „Uśmiechnij się tak jak ja”, „Chromosom 21” albo „Światło twego życia”. Lecz najczęściej powtarzał się tekst „Syndrom Upa”.

Ponad tysiąc ludzi z zespołem Downa o wszystkich stadiach zaawansowania zorganizowało swoje obchody nowego milenium w Izraelu. Być może w całej grupie nie było nikogo, kto byłby bardziej wniebowzięty od Raymonda, który otrzymał urlop od sprzątania w senackiej toalecie na pierwszym piętrze, by odbyć tę podróż. Bez względu na to, kogo mijał, oznajmiał wesoło: „Kocham cię”, dodając zaraz pod adresem innych: „I ciebie, i ciebie, i ciebie”. Jego matka obserwowała to zwyczajowe powitanie z czułością i szacunkiem. Od czasu do czasu Raymond przerywał rozdzielanie swych przypadkowo odmierzanych dowodów miłości, by obrócić się i ukradkiem unieść obie dłonie ku niebu, wyznając: „Boga też kocham”. Jego przyjaciele gwałtownie przytakiwali i pytali, czy mogą się do niego przyłączyć. „Nie ma sprawy”, odpowiadał wtedy z zapalem Raymond. „Bóg pragnie nas wszystkich”.

29 grudnia 1999. Południe. Planiści Hinnoma kończyli prace nad przygotowaniem do swego kolosalnego happeningu. Wysoki na

pięćdziesiąt stóp ekran telewizyjny i dwa projektory Sony zostały zamontowane w pobliżu Tofetu. Obok ekranu wznosiła się półokrągła scena, której frontowa część była przeznaczona dla tancerzy, akrobatów i muzyków rockowych. Całą okolicę zastawiono reklamowymi flagami, a olbrzymi transparent z napisem „WTNDGAZER 99.9” przeciągnięto przez całą szerokość doliny. Wieże obwieszone reflektorami i zaopatrzone w graficzne lasery oraz maszyny do produkcji dymu nadające efektem świetlnym trójwymiarowy charakter miały wytworzyć niesamowity widok niezależnie od miejsca obserwacji.

W górze krążył sterowiec reklamowy zaopatrzony w logo Windgazera 99.9. O zmierzchu trzydziestego pierwszego grudnia jego potężne reflektory, lasery i lampy sygnałowe miały zalać całą okolicę efektownym świetlnym pokazem. Napowietrzne kamery przeznaczono do transmisji rozciągającego się w dole widoku na cały świat. Sterowiec miał też inne zadanie. O północy trzydziestego pierwszego grudnia, w tajemnicy przed izraelskimi urzędnikami, pokaz miał osiągnąć swój punkt kulminacyjny, gdy z jego pokładu logo Windgazera 99.9 zostanie wyświetlone bezpośrednio na Ścianie Placzu. Muzyka towarzysząca temu obrazowi składała się z pulsującego ciągu niezemskich sygnałów, jakich nie słyszały dotąd ludzkie uszy. Skomponowane przez samego Hinnoma dzieło zatytułowane było *Bestia*.

By stworzyć hipnotyczne dźwięki *Bestii*, Hinnom połączył najbardziej skomplikowany zestaw syntezyatorów, jaki kiedykolwiek stworzono, mogący odtworzyć dowolną wyobraźną kombinację muzyki akustycznej, elektronicznej i chóralnej — od subtelnych, tenorowych monodii i ogłupiających zgrzytów po anielskie harmonie i synkopujące fale muzyki orkiestrowej. Wszystko to można było połączyć z każdym znanym człowiekowi efektem dźwiękowym, z których części prawdopodobnie nikt dotąd nie słyszał. A jednak tę niezwykłą muzykę miało wykonywać zaledwie czterech wynajętych muzyków wybranych osobiście przez Hinnoma i grających na wielkich zestawach keyboardów. Mieli do dyspozycji sześć cyfrowych keyboardów: MemoryMooga, Yamahę VL1 i GX-1, Oberheima

XPandera oraz Korga Prophecy, jak również Rolanda JD-800 i JP-8000. A także trzy analogowe syntezatory: Moog 10, Roland System 100 oraz Korg Polyfusion. Miksowaniem miała się zająć bateria 02R Yamahy oraz ProMix Zero, wzmacniane, kontrolowane i synchronizowane przez M16 Midi Machine Controller Penny and Gileasa, po dwa Opcode Studio 5LX i Midi Time Piece II, a także Brainstorm SR-15+ Distripalyzer/Time Codę Analyzer.

Dziwaczne, nigdy dotąd nie słyszane efekty muzyczne, które zgodnie ze słowami Hinnoma „miały przeniknąć dusze wszystkich słuchaczy”, konstruowane były warstwa po warstwie przez armię samplerów składającą się z Emulatora E-IVx Turbo, Kurzweila K2500r, Rolanda S-760 i Expandera Akai SI 100 +, współpracujących z Rolandem SPH-323 w zakresie przesunięć fazowych, flangerem stereo SBF-325, trzypasmowym parametrycznym equalizerem Mooga, kilkoma najnowocześniejszymi maszynami Lexicona typu PCM-80, 300 oraz 480, a za efekty przestrzenne miał odpowiadać Roland SRV-330 połączony z Rolandem SDE-330. Do zestawu dołączono też specjalnie skonfigurowane Yamahy SPX-990 odpowiadające za efekty specjalne, połączone z AMX Rmx16 Digital Reverb, Yamaha REV-1 Digital Reverb oraz trzema Electronic Spatializers Denneya.

Na żaden koncert na świeżym powietrzu nie zgromadzono dotąd podobnie imponującego sprzętu. Więcej niż muzyka Nowej Ery, *Bestia* miała zainauguować, jak to określił Hinnom, muzykę „nowomilenijną”. Hinnom obiecał słuchaczom najbardziej porywający koncert w historii ludzkości — początek nowej epoki rytmicznej ekstazy. Jej hipnotyczne wykonanie zgromadzi największą widownię w historii — ponad miliard ludzi w sześćdziesięciu krajach.

Muzyczna pirotechnika i eteryczne pokazy świetlne inaugurowały już ostatnią noc tysiąclecia. Imprezę miały rozpocząć fale meksykańskich, kozackich, szkockich, zuluskich i tajlandzkich tancerzy w strojach ludowych. Następnym punktem programu byli chińscy akrobaci, po których miała wystąpić niewielka armia gimnastyków wybranych na uniwersytetach całego świata. Ich zadaniem było utworzenie ośmio-poziomowej ludzkiej piramidy podczas wielkiego finału.

Przecudny pokaz fajerwerków odpalanych z platform ustawionych na wzgórzach wokół Jerozolimy miał się rozpocząć na pół godziny przed północą trzydziestego pierwszego grudnia i trwać aż do pierwszych minut nowego tysiąclecia. Sztuczne ognie miały wybuchać, rozpryskiwać się, skrzyć, błyszczeć i rozbryzgiwać na niebie, malując je tak, jak nikt dotąd nie śmiał tego uczynić.

Tuż przed północą Hinnom postanowił osobiście zaapelować za pośrednictwem telewizji do wszystkich użytkowników, by wydali polecenie „Windgazer 99.9”, które uruchamiało proces instalacji wersji 0.9. Cała reszta była całkowicie zautomatyzowana, lecz, jak podkreślał Hinnom, każdy sam musiał podjąć decyzję. Nic nie dzieje się przypadkiem, twierdził. „Świat musi dokonać wyboru”.

Na całym świecie temu ekscentrycznemu szaleństwu przeciwstawiali się formatowcy, którzy także uważali Jeruzalem za centrum swej kampanii. Dlatego też tego dnia, dwudziestego dziewiątego grudnia, w dolinie Ben Hinnom zgromadziło się ponad czterdzieści tysięcy demonstrantów. Niosąc tablice z napisami „Nie instaluj” i „Przeładuj”, przekreślone logo Windgazera, a nawet napisy stawiające znak równości między Hinnmem a Szatanem, zapełnili skaliste stoki tak daleko, jak pozwoliła im na to policja; ich szeregi ciągnęły się na północ aż do Y.emin Moshe naprzeciw Bramy Jafskiej. Kiedy pojemność doliny została przekoczona, kolejni demonstranci wypełnili ulice, zwieszając prześcieradła i flagi z krawędzi urwiska, nakłaniając świat do rezygnacji z instalowania wersji 0.9.

Policja ustawiła zapory kilka jardów przed główną sceną w południowej części doliny. Jednostki do walki z tłumem, wspierane przez konną policję, zostały rozmieszczone w szyku obronnym. Uzbrojeni w gumowe kule, pieprz w spreju i pałki policjanci mieli nadzieję, że obejdzie się bez użycia przemocy.

Obserwując demonstrantów zza zapory, funkcjonariusze z lornetkami wypatrywali prowodyrów. „Hej, zobacz”, powiedział jeden z nich do kolegi. W słuchawce usłyszał potwierdzenie od obserwatora w helikopterze, który donosił, że z tyłu tłum się rozstępuje.

Tłum rzeczywiście rozdzielał się na dwie części, robiąc miejsce dla Sala, który przepychał się wolno przez ścisk. Dan, Motke i Park



szli tuż za nim. Z czasem cała grupa przedostała się na sam przód zgromadzenia, zatrzymując się przed zaporą.

Dowódca sił policyjnych rozpoznał w Salu przywódcę ruchu. Spoglądając na niego zza barykady, powiedział:

— Możecie wyrażać swoją opinię do woli, tak długo jak będziecie to robić spokojnie. Skandowanie nam nie przeszkadza. Ale to wszystko. Proszę nam pomóc i nie podjudzać tłumowi. — Oficer zrobił poważną minę i dodał: — Dajemy wam godzinę. Sześćdziesiąt minut... zaczynając dziesięć minut temu.

Sal odpowiedział pogodnym głosem:

— Przyszedłem tu tylko po to, by sprawić, by świat otworzył oczy i ujrzał prawdziwe oblicze Bena Hinnoma. — Potem zaczął cicho skandować: — Format c:... przeładuj przeładuj przeładuj. — Ludzie wokół niego podchwycili szybko: — Format c:... przeładuj przeładuj przeładuj.

Po chwili cała dolina skandowała jednym głosem:

Format c:... przeładuj przeładuj przeładuj.

Format c:... przeładuj przeładuj przeładuj.

Format c:... przeładuj przeładuj przeładuj.

Grzmiący dźwięk przetaczał się przez jaskinie i rozpadliny doliny, wdzierając się do namiotu Hinnoma. Początkowo Hinnom usiłował to zignorować. Nadal programował pilnie, przygotowując się do nocnego widowiska. Lecz wkrótce jego koncentracja prysła jak sen. Zaczął się wiercić, potem chodzić nerwowo, najpierw po namiocie, następnie do jaskini i z powrotem, uskakując po drodze przed strumykami uryny. Linzer spróbował się do niego zbliżyć, lecz Hinnom wściekał się coraz mocniej, w miarę jak tłum skandował coraz głośniejsze, echa stawały się coraz bardziej męczące, aż wreszcie wrogi ryk zagnał go do skalnej szczeliny, gdzie objął dłońmi uszy, a potem bolącą prawą skroń.

Tymczasem tłum przy zaporze ruszył do przodu. Policjanci zajęli pozycje obronne, wyciągając przed siebie poziomo pałki i opuszczając osłony kasków. Choć demonstranci podniecili się do szaleństwa, Sal dalej skandował spokojnie, prawie bez ruchu. Potem, w mgnieniu oka jego pasywna postawa ulotniła się bez śladu. Zaczął kołysać się

w rytm skandowanego hasła. Równie nagle ogarnął go niesamowity spokój. Odwrócił się do morza ludzi i unióśł ramiona, by ich uciszyć. Jego życzenie poniosło się przez tłum i wkrótce skandowanie ucichło. Olbrzymia ludzka ciżba uspokoiła się całkowicie. Policja spostrzegła tę zmianę nastrojów. Funkcjonariusze także się cofnęli, opuszczając pałki, jak jeden mąż odetchnęli z ulgą i z niepokojem czekali na dalszy rozwój wydarzeń.

Nieoczekiwanie Sal unióśł rękę do góry, by wszyscy go widzieli, i gwałtownym gestem wskazał na połączone w sieć komputery ustawione na scenie. Potem krzyknął ze wszystkich sił:

— Człowiek powinien kontrolować komputery — a nie na odwrót. — Z tymi słowy przeskoczył przez barykadę i popędził biegiem w stronę serwerów.

Szeregi policjantów na powrót przyjęły pozycję bojową, unosząc pałki, by powstrzymać napór tłumy.

— Sal! — krzyknęła Park, próbując pobiec za nim, lecz nie zdołała przedrzeć się przez kordon policji.

Paru policjantów pogoniło za Salem, gdy ten niezgrabnie wgramolił się na scenę, wywracając komputery gdzie popadło. Tłum zawył, podczas gdy Sal przewracał serwer za serwerem. W końcu policjanci dopadli go. Dan skrzywił się boleśnie, widząc, jak chłopak pada na scenę, a kolano jednego z policjantów wbija mu się w plecy. Potem Salowi założono kajdanki.

Park krzyknęła przesywając, nie mogąc pomóc synowi. Dan na próżno usiłował ją pocieszyć.

Motke pokręcił głową.

Z głębi doliny nadbiegli Hinnom i Linzer zwabieni odgłosami zamieszania. Linzer unióśł dłonie, polecając Iszbiemu i pozostałym czającym się w cieniu Anakitom pozostać w namiocie. Na scenie Hinnom ujrzał powywracane serwery, powyrywane kable, potłuczone i siejące iskrami monitory.

— Macie go aresztować! Aresztować! — ryknął na policjantów. Spostrzegłszy niedalekich gapiów, ściszył głos, lecz powtórzyl swe żądanie. — Aresztować. Macie aresztować tego małego bękarta.

Policjanci odciągali Sala w tył, gdy Hinnom krzyknął jeszcze za nimi:

— A jeśli znajdziecie przy nim mój minikomputer, odbierzcie mu go. Należy do mnie.

Policjanci z megafonami rozstawieni na całej długości doliny zaczęli nakłaniać tłum do rozejścia się.

— Wyraziliście swoje zdanie. Minęła godzina. Idźcie do do mów.

Podczas gdy tłum zaczął rzednąć, Hinnom wpadł do swego namiotu, opuszczając za sobą wejściową płachtę. Przywołał do siebie Anakitów i Linzera.

— Macie zniszczyć tego skurwysyńskiego bękarta — burzył się, starając się zapanować nad swym głosem. — Zastrzelcie go, powieście, spalcie. Róbcie, co chcecie, ale w piątek o północy ma być martwy. Najlepiej znacznie wcześniej. — Spojrzał na olbrzymiego Iszbiego, wysokiego na dziesięć stóp. — Weź swoich dwóch kolegów — wyszczał — i wyciągnijcie twojego brata i kuzynów z tej jamy. Potem wykończcie chłopaka.

Odwracając się do Linzera, Hinnom rozkazał:

— Zadzwoń na policję. Zadzwoń, zadzwoń, zadzwoń. Powiedz im, że nie wnosimy oskarżenia. Straty są znikome. Komputery zostały naprawione, wyremontowane, wymienione, sam wybierz — wyrzeszczał. — Byle tylko zwolnili- tego skurwysyńskiego bękarta. A potem... wykończcie go.

\*\*\*\*\*

Park, Dan i Motke czekali niespokojnie w barze „Dan Pearl”. Dwukrotnie w ciągu minionego kwadransa Dan wskazywał na telefon przy barze, przypominając recepcjonistce:

— Jeśli będzie do mnie telefon, nie ma mnie w pokoju. Proszę przełączyć do baru.

Motke i Dan obdzwonili wszystkich znajomych, starając się zlokalizować Sala i uzyskać jego zwolnienie. Nie było go na komisaracie w Dzielnicy Rosyjskiej. Komenda główna policji nic o nim

nie wiedziała. W jednostce do walki z tłumem dowiedzieli się, że został przeniesiony, ale nie wiadomo dokąd. W biurze Kuebitza u Dereka zgłaszała się automatyczna sekretarka. Pracownik rządowego biura prasowego odpowiedzialny za kontakty z policją na prośbę Dana stawał na głowie, lecz jego najważniejszy kontakt szykował się właśnie do podróży za granicę, natomiast młody i bardzo chętny do pomocy zastępca o niczym nie miał pojęcia.

Generał Amnon Natan był nieosiągalny; w armii wszyscy znali jego nazwisko, ale nie numer jego telefonu. Albo wiedzieli tylko, że został zmieniony. Albo znali numer jego współpracownika, który akurat nie odpowiadał. Jak to się często zdarzało w Izraelu, przestała centrala telefoniczna w biurze generała nie funkcjonowała najlepiej. Można było polegać tylko na jego komórce.

Park starała się nie histeryzować, lecz teraz krążyła po barze, walcząc z czarnymi myślami. Może dopadli go rzeźnicy Hinnoma. Może oddział antyterrorystyczny wsadził go na pół roku do więzienia bez procesu lub porady prawnej. Może Sal zrobił coś nieprzewidywalnego i został ranny.

— A może popija sobie herbatę z marmoladą w jakiejś poczekalni, czekając na ostatni stempel na dole kartki papieru — wtrącił Dan, starając się ją uspokoić. — Po co wpędzać się w psychozę? — Kelner podał kolejną porcję kawy po turecku, kiedy do baru wkroczył Amnon.

— Dwa razy dzwoniłem do waszego pokoju — powiedział generał. — Nikt nie odbierał.

— Mówiłem recepcjoniście, żeby łączył do baru — jęknął Dan, bijąc się po kolanie i spoglądając nieprzychylnie w stronę recepcji. — Siedzimy tutaj... Wiadomo coś o Salu?

— Z Salem wszystko w porządku, żaden problem — powiedział Amnon do zdenerwowanej do nieprzytomności Park. — Gei Ben Hinnom, gdzie go aresztowano, formalnie należy do Wschodniej Jerozolimy. Dlatego przewieziono go do tamtejszego aresztu.

Park jęknęła bezgłośnie.

— Proszę się nie niepokoić — uspokoił ją Amnon. — Nikt go nie tknął nawet palcem. Nie zamknięto go w celi i w ogóle nie doznał

żadnej krzywdy. — Amnon gestem dłoni odprawił kelnera oferującego mu coś do picia. — Pani syn zostanie zwolniony, kiedy tylko będą wypełnione wszystkie papiery. Musimy jedynie znaleźć właściwą osobę, która może je podpisać. Teraz wszystko jest już załatwione — albo wkrótce będzie — i Sal zostanie tu przywieziony za jakieś trzy godziny. Może cztery. Uznaliśmy, że prościej będzie zaczekać na nową zmianę na komisariacie. Dowódca popołudniowej zmiany był w moim oddziale w wojsku i zrobi to, co mu każę.

Park wielokrotnie podziękowała Amnonowi. Dan i Motke dołączyli się do podziękowań.

— Ja nic wam o tym nie powiedziałem — powiedział z naciśnięciem Amnon. — Teraz już czas się spakować i wyruszyć w drogę do Megiddo. Wszystko zostanie zorganizowane. Tymczasem proszę trzymać się z daleka od Bena Hinnoma.

Wymieniwszy z Danem numery telefonów komórkowych, by w razie potrzeby móc się bez trudu komunikować, Amnon pośpiesznie opuścił hotel.

Godzinę później telefon w ich apartamencie wciąż jeszcze dzwonił. Wszyscy ludzie zaalarmowani przez Motkego i Dana oddzwoniali teraz, by powiedzieć, że nic nie wiedzą o miejscu pobytu Sala. Dan spodziewał się kolejnej rozmowy z tego cyklu, gdy telefon zadzwonił po raz dziesiąty. Lecz tym razem usłyszał głos Meira. Czekał na dole, w lobby.

— Meir? Pewnie, proszę na górę — powiedział Dan.

Meir odmówił.

— Ta kobieta, matka Sala, jest na górze?

Dan potwierdził.

— W takim razie wolałbym rozmawiać na dole, w miejscu publicznym. Proszę zejść na dół — wyjaśnił Meir. — Wszyscy w Izraelu wiedzą, co się dzieje z Hinnomem. Po waszym wyjściu przyszło mi do głowy coś związanego ze Zwojem C.

— Ministerstwo Sprawiedliwości zrobiło szczegółowe zdjęcie — wtrącił Dan. — Dostałem kopię.

— W takim razie proszę zejść na dół — poprosił Meir — ponieważ nie połączyłem wszystkiego w jedną całość, dopóki nie

usłyszałem o Hinnomie i nie popytałem się tu i tam. Proszę przynieść ze sobą zdjęcie.

Motke, Dan i Park wypadli z pokoju, pędząc do windy. Dan zawrócił pospiesznie, złapał nieco wygiętą kopię Zwoju C i pobiegł w ślad za resztą.

Meir wyglądał tak, jakby od ich ostatniego spotkania ani razu nie zmienił ubrania. Miał na sobie identyczne odzienie, co podczas ich wizyty w Tsfat. Jego biała, poplamiona jedzeniem koszula nadal była zapięta pod szyją i niechlujnie wetknięta w spodnie. Motke chciał się z nim przywitać, lecz Meir bezceremonialnie zwrócił się do Dana.

— Masz kopię? — zapytał, z niecierpliwością przebierając palcami.

Dan rozłożył zdjęcie na barowym stoliku, przyciskając narożniki popielniczką i cukiernicą.

Meir wyciągnął małą kwadratową lupę i grubą, niewielką, oprawioną w plastik książkę. Nieustannie przenosił wzrok z jednej na drugą, od czasu do czasu przewracając kilka kartek i przesuwając palcem po pojedynczych słowach i frazach, a jego brwi unosiły się i opadały nieregularnym rytmem.

— Co to za książka? — zapytał Dan.

— Książka — odparł Meir, nawet na niego nie spoglądając.

Po paru kolejnych minutach wypełnionych zaglądaniem na przemian do książki i do Zwoju C, podczas gdy Motke, Dan i Park wymienili kilka porozumiewawczych spojrzeń, na próżno usiłując zajrzeć Meirovi przez ramię, Dan zapytał w końcu:

— No i?

— To nie ta książka — odparł nonszalancko Meir.

Całą trójkę na moment ogarnęło zniechęcenie, lecz Meir zaraz dodał:

— Ale myślę, że to nawet dobrze. Odpowiedzi nie ma w tej książce. Miałem taką nadzieję. Natomiast uważam, że odpowiedź kryje się w czymś, co podsunął mi pewien rabin w Tsfat. Tak więc słuchajcie, proszę.

Nachylili się ku niemu.

— Połączyliśmy złą naturę tego mamzera Hinnoma z potrójnym szinem i paroma świętymi tekstami, którymi taki świeży Żyd jak ty nie musi się przejmować.

Dan pozostawił tę uwagę bez komentarza.

— To, co mówiliśmy o Danielu, wciąż jest aktualne — dorzucił Meir.

Park powtórzyła cytat:

— „I uczynią tam ohydę ziejącą pustką. Tych zaś, co przestępują przymierze, nakłoni do przewrotności pochlebstwami; jednak lu dzie, którzy znają swego Boga, wytrwają i będą działali”.

Meir zerknął na Dana.

— Powinieneś się od niej uczyć. Byłby z niej Żyd znacznie prędzej niż z ciebie.

— Błaaagam — jęknął Dan. — Przestań paplać i przejdź do sedna. Przeżyliśmy dziś zbyt wiele, by wystawiać na próbę naszą cierpliwość.

— Hinnom — wyjaśnił Meir — będzie się starał uczynić ohydę ziejącą pustką, tak jak to jest zapowiedziane w Księdze Daniela. Odpowiedz na pytanie, jak można go powstrzymać, kryje się w szin. Tam ją znajdziecie.

Wszyscy popatrzyli z ukosa na Meira, a potem na siebie.

Widząc, że go nie rozumieją, Meir narysował na serwetce literę szin o trzech odnogach, potem podniósł z blatu mieszałkę do kawy i wskazał na lewe wydłużenie litery, dla większego podkreślenia zatoczył wokół niego kilka kręgów.

Dan westchnął rozpaczliwie.

— Meir — powiedział lakonicznie — jak mamy wejść do lewe go wydłużenia tej litery? Skorzystać z mocniejszego szkła powiek szającego?

Meir opuścił z rozczarowaniem ramiona.

— Zaczynj u szczytu płomienia. Zejdz na jego dno — odparł. Żadnej reakcji. — Mówiłem wam, że szin reprezentuje trzy doliny Jerozolimy. Jej lewa część — wskazał mieszałkiem — to Gei Ben Hinnom.

— Taak... — powiedział niepewnie Dan.

— A na jej dnie jest miejsce, w którym siedzi sam Ben Hinnom, w najgłębszym punkcie Gei — doliny.

— Tak...

— Tak więc musimy zejść na dno lewą stroną szin, w dolinę — wyjaśnił Meir — i nie mam na myśli przejścia przez dolinę z marszem protestacyjnym, jak to widziałem w telewizji.

Nadal zdezorientowany Dan odparł kolejnym, jeszcze bardziej niepewnym „Taak...”

— Musimy zejść w głąb ziemi. Zagłębić się do miejsca, w którym się on znajduje.

Dan pokręcił przecząco głową.

— Nie rozumiem... nie rozumiem...

— Klasztor Świętego Onufrego! — wykrzyknął Meir, jakby dla wszystkich powinno to być całkowicie oczywiste.

Na ich twarzach odmalowało się zdezorientowanie.

— Ten klasztor — wyjaśnił Meir z szybkością karabinu maszynowego — prawosławny — powstał jako monastyr, a teraz jest tam klasztor. Wznosi się wprost nad jego jaskinią. Wejdziecie tam i znajdziecie odpowiedź. Stamtąd możecie zejść na samo dno.

Dan milczał.

— Tam są kości — mówił dalej Meir. — Kości zmarłych-. — Poprosił Motkego o przetłumaczenie kilku słów z hebrajskiego, by mógł zakończyć swą wypowiedź.

— Ach! — Motke podskoczył. — Miejsca, gdzie chowano zmarłych.

— Krypty? — zapytała Park.

Motke przytaknął, choć wymówienie tego słowa przyszło mu z trudem.

Wtedy na Dana w końcu spłynęło olśnienie.

— Teraz rozumiem! — Rozrzucił na stole torebki z cukrem i wziął drugie mieszadełko. — Pod klasztorem usytuowanym na szczycie urwiska znajdują się krypty. — Obrócił torebkę ukośnie. — Te krypty biegną w dół, prosto w dół. — Ułożył warstwę z kilku torebek z cukrem. — I dzięki temu możemy przedostać się w bez-



pośrednie sąsiedztwo jaskini Bena Hinnoma w głębi doliny. — Przesunął niewielką cukierniczkę z kostkami brązowego cukru, która miała reprezentować jaskinię Hinnoma. — Świetnie. Co potem?

— Potem znajdziecie odpowiedź — odparł pogodnym tonem Meir, uśmiechając się od ucha do ucha, a jego brwi poruszyły się z zadowoleniem.

— To jedziemy — powiedział entuzjastycznie Dan, szarpiąc Meira za rękaw koszuli.

Twarz Meira wyciągnęła się jeszcze bardziej niż zwykle.

— Beze mnie — obwieścił. — Ja nie wejdę do klasztoru. Wy — proszę bardzo. Nie obruszajcie się proszę na moją szczerość, ale w takim miejscu prawie Żyd taki jak ty pasuje znacznie bardziej niż ja.

Motke i Dan wymienili szybkie spojrzenia oraz miny z rodzaju tych, jakie wypływają człowiekowi na twarz po dokonaniu odkrycia, że jego szybki jak myśl i niezwykle potężny komputer nie jest wyposażony w modem i nie może zostać podłączony do sieci. Uśmiechnęli się do siebie, a Park uśmiechnęła się wraz z nimi.

— Meir... — zaczął Dan.

— Tak? — odparł Meir.

Dan wyobraził sobie jego reakcję, więc tylko powiedział niezwykle uprzejmym tonem:

— Dzięki. Zobaczymy się później.

Meir zamknął oczy i zmówił szybką modlitwę. Chwilę później otworzył szeroko oczy i oznajmił:

— Zmieniłem zdanie. Nie szkodzi. Pójdę z wami.

— Do klasztoru? — zapytał Dan, zaraz machnięciem ręki zbywając własną uwagę i zastępując ją: — Świetnie. Wspaniale. Wiesz, potrzebujemy pomocy p r a w d z i w e g o Żyda.

— Nic nie dzieje się przypadkiem — odparł Meir, dodając: — Wszystko ma swój cel.

Wyszli na ulicę i zatrzymali arabską taksówkę.

Taksówkarz wysadził Dana, Park, Motkego i Meira na ulicy powyżej Gei Ben Hinnom. Ostrożnie zgramolili się po stoku urwiska.

— Tylko nie za długo — przypomniała im nerwowo Park. — Chcę być z powrotem w hotelu, kiedy przywiozą Sala.

Po trzecim takim przypomnieniu Dan zapewnił ją:

— Wrócimy za godzinę, góra dwie. W najgorszym razie sam otworzy sobie drzwi do apartamentu i dobierze się do słodyczy.

Nagle ich oczom ukazał się klasztor Świętego Onufrego. Wąska ścieżka biegnąca przez stok wąwozu stanowiła jedyną drogę wiodącą do klasztoru. Wybudowana na wzór innych prawosławnych górskich monasterów, tyle że znacznie mniejsza, rotunda bazyliki Św. Onufrego górowała nad kręgiem stromych, fortecnych murów w kolorze piasku, otaczającym kompleks licznych zabudowań klasztornych. Wznosiła się bezpośrednio ponad grotą Hinnoma w najdalszym zakątku doliny. Ścieki i brudna woda z budowli spływały nieustannie przez krawędź pobliskiego urwiska wprost do wylotu jaskini.

Grupka pięła się długą, stromą ścieżką, która zakończyła się przed ozdobną furtą z czarnego metalu zwieńczoną krótkimi, wygiętymi kolcami. W pobliżu nie było nikogo. Kiedy wielokrotne nawoływania pozostały bez echa, Dan spojrzął na pozostałych porozumiewawczo.

Motke natychmiast wyraził stanowczy sprzeciw.

— Nie możemy wchodzić na teren klasztoru bez zezwolenia — oznajmił. — Wrócimy później, może ktoś tu wtedy będzie.

— Wejdziemy tylko kawałek — parę kroków za bramę — zaoponował Dan — i poszukamy kogoś, kto może udzielić nam oficjalnego zezwolenia na wejście. Jeśli mnisi są w środku, nie mogą nas słyszeć.

Motke ponownie się sprzeciwił, ale Dan nacisnął lekko klamkę i furka otworzyła się ze zgrzytem.

— Popatrz — Dan wyszczerzył się radośnie — ktoś zapomniał ją zamknąć.

Park wzniosła oczy ku niebu, by okazać, jak bardzo to ją dziwi.

Weszli do środka i ujrzeni wiele kamiennych i drewnianych schodów, ceglane dziedzińce i wąskie przejścia. Wszędzie widniały tajemnicze wejścia, niektóre na w pół skryte pod balkonami, inne ponad poziomem gruntu, u szczytu wąskich schodków, a czasami dostępne tylko po drabinie. Mury upstrzone były maleńkimi, matowymi oknami chronionymi przez grube, żelazne pręty. Jak w większości klasztorów w Ziemi Świętej, w jego obrębie znajdowała się sala sypialna, jadalnia, kaplice, biblioteka, pomieszczenia biurowe, piwnice, warsztaty i niezliczona liczba komnat o ogólnym przeznaczeniu. Lecz w przeciwieństwie do większości klasztorów, słynących ze swej szarej, surowej urody, klasztor wypełniały kolorowe kwiaty; azalie, róże, lilie, a nawet olbrzymie strelacje wprowadzały niezwykle żywość w bezbarwne mury. Skrzynki z kwiatkami przy-mocowane były do każdej poręczy, kwietne kompozycje posadzone były na wąskich grządkach przy ścieżkach, rośliny kwitły w doniczkach na parapetach.

Byli całkowicie zaskoczeni, gdy krępa zakonnica ubrana w roboczy strój i habit pojawiła się na korytarzu drugiego piętra, niosąc plastikowe wiadro, butelki ze środkami czyszczącymi, mokre ręczniki i niewielką drabinkę. Spojrzała na nich przez balustradę, otarła czoło i zawołała:

— To wy stukaliście do furty? — Była Irlandką, mówiła z charakterystycznym, dublińskim zaśpiewem.

Dan niezwłocznie nawiązał z nią rozmowę i po chwili zakonnica bez oporu opowiadała im wszystko, co wiedziała na temat klasztoru.

Nazywała się siostra Nan, była trzecią osobą w swej prawosławnej rodzinie, która poświęciła się służbie Kościołowi. Przebywała u Św. Onufrego dopiero od dwudziestu miesięcy i wciąż jeszcze było co sprzątać. Dla siostry Nan sprzątanie stanowiło jej prywatną ścieżkę do nieba. Uwielbiała zamiatać zakurzone półki i brudne kąty, szorować płytki i porządkować, polerować żelazne i brązowe okucia. To ona posadziła kwiaty, zapewne pierwsze źródło koloru w tysiąc-osiemsetletniej historii klasztoru.

— O, tak — zauważyła siostra Nan — nasz klasztor nie znajduje się w żadnym kościelnym spisie ani przewodniku. Ale istnieje —

znajdujecie się w nim. Jego zabudowania, choć nie zawsze w obecnej postaci, stoją tu od czasów tuż po Ukrzyżowaniu.

Pojawienie się gości sprawiło jej radość — pierwszych gości, jakich widziały mury klasztoru od dnia jej przybycia na początku 1998 roku. A ponieważ zarządzający Św. Onufrym mnisi na całe popołudnie udali się do Jerozolimy w sprawach klasztoru, nie miała nic przeciwko oprowadzeniu ich grupy po klasztorze.

— Powiadają — mówiła siostra Nan — że za judaszowe trzy dzieci srebreników odkupiono tę ziemię od jej właścicieli, zapewne potomków Hinnoma. Podobno oryginalny akt sprzedaży wciąż moż na obejrzeć w archiwum prawosławnego klasztoru w Starym Mieście. Większość z tych budynków nie jest szczególnie stara. Ale niektóre pamiętają początki klasztoru.

Siostra Nan wprowadziła grupę do długiej, wąskiej sali zgromadzeń ozdobionej wiotkimi, złotymi kadzielnicami i wysokimi, płonącymi świecami.

— Apostołowie przyszedli tu po pojmaniu Jezusa. — Wskazała na klapę w podłodze. — Pod deskami podłogi znajduje się jakieś źródło wody — wyjaśniła. — Nikt nie wie, skąd płynie ani gdzie znika. Tylko tyle, że to nie jest woda stojąca, martwa. Jest w ruchu. Jeśli wrzucić do niej kawałek jabłka, odpłynie. Ale nawet podczas ulewy jej poziom się nie podnosi. Podczas suszy nigdy nie opada. — Zdjęła z półki szklankę, wyciągnęła się na podłogę, podniosła pokrywę, wsunęła rękę w otwór aż po bark i nabrała pełną szklankę czystego płynu. — Żadna z siostr tego nie pije — powiedziała z zadumą — ale niektórzy braciszczowie niewątpliwie tak. — Wylała płyn z po wrotem do otworu.

Chciała zaprowadzić gości do kuchni, gdzie piekł się świeży, aromatyczny chleb, gdy Dan przerwał zwiedzanie, by zapytać:

— A może obejrzymy krypty?

— W takim razie musimy zejść na dół — odparła. I rzeczywiście, trzy kondygnacje pod ukrytym w cieniu dziedzińcem znajdowały się dwie groty, odgródzone starożytnymi, warownymi drzwiami zawieszonymi na framudze z grubo ciosanego drewna. Po obu stronach wejścia umieszczono niewielkie czaszki. Krypty pełne

starannie gromadzonych czaszek były na porządku dziennym w starych prawosławnych klasztorach. Czaszki mnichów po ich śmierci przechowywano z czcią i wystawiano na pokaz w makabrycznym rytuale uświęcenia.

— Czyli kostnica jest tutaj — powiedział Dan, pokazując wejście po prawej stronie. — Krypty grobowe wyglądają inaczej?

— Oczywiście — odparła siostra Nan, wskazując na lewe drzwi. — Krypty są tutaj, w dole. Chcecie je obejrzeć? Mogę postarać się o klucz — zaproponowała, uszczęśliwiona, że ktoś okazuje zainteresowanie tymi sprawami.

Ukrywając niepohamowany poryw radości, Dan wzruszył nonszalancko ramionami.

— Pewnie byłoby ciekawie. Czemu nie?

Park, Meir i Motke wymienili spojrzenia, dziwiąc się temu uśmiechowi fortuny.

Kiedy siostra Nan oddaliła się w poszukiwaniu klucza, Dan opuścił wzrok z fałszywą skromnością.

— Ciągłe mu się to zdarza — stwierdziła sucho Park, zwracając się do Motkego.

Chwilę później siostra Nan powróciła z wielkim, zardzewiałym, żelaznym kluczem z trzema wielkimi zębami.

— Musimy się uwinąć, zanim powrócą braciszkwowie — uprzedziła ich. — Mogłoby się to im nie spodobać.

Wnętrze groty było ciemne, dopóki siostra nie przyniosła lampy, roztaczającej dookoła kilkustopowy krąg światła. Po przestąpieniu przez wysoki próg groty w ich nozdrza uderzył zmurszały, stęchły zapach kości. Po paru sekundach przestali kastać i mrużyć oczy, a wtedy ujrzeli sięgające od podłogi do sufitu półki grobowe, wyciosane w skale. Na każdej z nich spoczywał cały szkielet o starannie ułożonych kościach, złożonych na piersi rękach, pustych oczodołach skierowanych ku górze. Ten widok sprawił, że Park wyszła na zewnątrz, walcząc z mdłościami.

Dan przyglądał się z bliska kościom, podczas gdy siostra Nan zdmuchnęła muchę z żeber jednego ze szkieletów.

— To kości pobożnych pielgrzymów do Ziemi Świętej — wy-

jaśniła. — Mniej więcej z trzeciego, czwartego wieku po Chrystusie. Niektóre trochę późniejsze. Odkurzam je co dwa, trzy miesiące — dodała dumnie.

W przeciwległym końcu jaskini znajdowało się potężne, półkoliste wejście, które prowadziło do niżej położonej komnaty.

— Uważajcie na stopień — ostrzegła siostra Nan, sięgając po latarkę stojącą nieopodal otworu. Weszła pierwsza, przenosząc stopę ponad progiem i stawiając ją na pierwszym ze stopni wiodących w dół.

Upewniwszy się, że Park, która zdecydowała się zaczekać na zewnątrz, czuje się dobrze, Dan, Motke i Meir poszli w ślady siostry Nan.

Druga komnata miała kształt prawie idealnego sześcianu. Kiedy wszyscy stanęli wyprostowani w jej wnętrzu, siostra Nan za pomocą latarki zlokalizowała lampę naftową, którą też niezwłocznie zapaliła. Niczym zawodowy przewodnik zaczęła opowiadać, że kości w tej komnacie należały do ludzi, którzy nie mogli zapłacić zbyt dużo za pochówek. Różnica rzuciła się w oczy. Niektóre półki mieściły więcej niż jeden komplet kości, szkielety były ściśnięte i poszczepiane.

— Je także staram się utrzymać w czystości, ale sama nie daję rady — powiedziała Nan przepraszającym tonem, jakby usprawiedliwiając stan szczątków.

W przeciwległym końcu drugiej komnaty Dan dostrzegł kolejny otwór w podłodze, tym razem znacznie mniejszy.

— A co jest tam w dole? — zapytał.

— Zaglądałam z góry, ale nigdy tam nie schodziłam — odparła, po czym dodała, oblewając się rumieńcem: — Co szczuplejsi braciszkwowie to i owszem, aleja po prostu nie przecisnęłabym się przez ten otwór.

— Ani ja — przyznał Motke.

Siostra Nan wręczyła Danowi i Meirowi latarkę i spuściła w głąb otworu wąską, prymitywną, drewnianą drabinę.

— Proszę bardzo — zachęciła ich. — Zawsze jej używają. — Mężczyźni powoli zniknęli pod posadzką komnaty.

Na dole Dan zatoczył latarką krąg, by rozświetlić trzecią komnatę. Była wysoka i wąska. Pojemniki na kości nie miały tu kształtu półek, lecz skrzyń. Miast całych szkieletów, mieściły zwykle czaszki spoczywające na częściowo rozproszonych kościach.

— Ci byli zapewne najbiedniejsi — stwierdziła siostra Nan, zaglądając przez otwór w sklepieniu.

Wjednym z narożników, w połowie wysokości ściany znajdował się kolejny otwór, nie większy od obwodu szczupłego człowieka. W przeciwieństwie do pozostałych, to wejście nie było gładkie i wykończone, lecz nierówne, zupełnie jakby ktoś przebił się tam przez cienką ścianę jaskini.

Dan krzyknął w górę, pytając, dokąd prowadzi ten otwór.

— Nie mam pojęcia — odparła siostra Nan. — Nie jestem w stanie tam zejść. Za wąsko dla mnie.

Meir spróbował precyzyjnie drabinę przez otwór. Nie zmieściła się.

Wobec tego Dan wetknął do niego głowę i rękę z latarką.

— To jakaś rynna — zawołał — prowadzi prosto w dół. — Wychylił się trochę dalej... i dalej... aż coś wymacał. — Żaden problem — zameldował. — Można się spuścić na dół po linie z węzłami. Jest przymocowana do ściany.

Motke zaprotestował z oddali.

— To za daleko, Dan. Zrobisz sobie krzywdę. — Potem wygłosił znacznie bardziej malownicze ostrzeżenie po hebrajsku pod adresem Meira.

Lecz zarówno Meir, jak i Dan zignorowali ostrzeżenia. Dan prowadził. Precyzyjnie się przez ciasny otwór, stopami do przodu, i opuścił się w dół.

— Och, pobrudzę sobie ubranie—jęknął, czując, jak oblepiona brudem skała ociera się o jego koszulę i spodnie. Minąwszy trzeci węzeł, Dan nie znalazł kolejnego. Zaklinowując się stabilnie w rynnie, zawołał do Meira: — Co widzisz? Jak daleko do podłoża?

Meir poświecił latarką, lecz jej promień zatrzymał się na zaklinowanym ciebie Dana. Rzucił latarkę Danowi, który wykręcił się tak, by zobaczyć dno.

— Nie ma sprawy — zawołał Dan. — Mniej niż dwie stopy... Skaczę.

Meir zawahał się.

— Może lepiej nie. Jak wejdziemy z powrotem?

Dan nalegał, mówiąc, że jeśli zejną obaj, podsadzą się wzajemnie do liny. Meir, wbrew podszeptom zdrowego rozsądku, przekazał ich decyzję Motkemu i siostrze Nan, czekającym na nich w górze.

Dan zatknął latarkę za pasek, a potem zeskoczył na dno czarnej komnaty. Przy lądowaniu uderzył dłońmi o ziemię, rozgniatając kilka robaków. Wycierając ręce w spodnie, podniósł się i ujrzał wąską otchłań o nieregularnych kształtach. Meir podążył za nim, lądując z urwanym jękiem, za który zaraz przeprosił.

W przeciwieństwie do trzech pozostałych komnat, suchych i zakurzonych, w tej było aż duszno od wilgoci i stęchlizny. Zgnilizna i intensywny zapach pleśni niemalże momentalnie wykrzywiły ich twarze w bolesnych grymasach. Zasłonili usta i nosy koszulami, lecz stęchłe powietrze wciąż było nie do zniesienia.

Dan omiótł ściany komnaty latarką. Ich oczom ukazały się płytkie otwory i podłużne nisze. Czwarta komnata niewątpliwie była najbardziej zaniedbana ze wszystkich. Każdy otwór wypełniała płatanina ludzkich szczątków — kości udowych, czaszek, goleni, obojczyków, kręgosłupów — usypanych w chaotyczne stosy, jak gdyby porzucono je tam bezceremonialnie. Pochowano tu dziesiątki ludzi, bez wątpienia w wielkim pośpiechu. Ściany tej krypty nie były gładko ciosane, a krawędzie otworów wygładzone. Wszystkie kształty w tej komnacie były jedynie z grubsza wyciosane. Wyglądała bardziej na legowisko dzikiego zwierza niż kryptę. Obaj odnieśli wrażenie, że ta jama oraz komory grobowe stanowiły odrębne konstrukcje, zbudowane niezależnie od siebie i w różnych epokach, a połączone dopiero wtedy, gdy dawni mnisi przebili się do rynny.

Dan oświetlił latarką parę czaszek i kręgosłupów. Przypomniał sobie dawne dzieje, kiedy jako reporter był częstym gościem w chicagowskiej kostnicy, rozpoznał ślady użycia wielkiej siły: szczeliny, pęknięcia, brakujące pokaźne fragmenty potylicz-



ne. Wśród zmarłych byli zarówno dorośli — mężczyźni i kobiety — jak i dzieci.

— Ci ludzie nie umarli we śnie — zauważył Dan, kaszłąc. Niektóre kości były połamane. — Wygląda to tak, jakby rozszarpał no ich na kawałki — stwierdził z odrazą. — To nie jest krypta grobowa, miejsce ostatniego spoczynku. To sala myśliwska morderców.

Na ścianach kondensowała się wilgoć, przesączając się przez naroślą pradawnych grzybów i ściekając na niższe półki, gdzie zbierała się w kałużach zalewających szczątki pomordowanych. Tu i ówdzie nachylenie półki sprawiało, że odrażająca ciecz przelewała się przez krawędź. Strumyki wpływały do płytkiej, kanciastej rynny, która wylewała swą zawartość do długiej, wąskiej szczeliny. Meir i Dan zajrzeli w jej głąb i ujrzeli jedynie czerń — tylko na samym jej krańcu migotał promień światła.

— Splywa do oświetlonej jaskini w dole — powiedział Dan.

— Wcale by mnie nie zdziwiło, gdyby to była jaskinia Bena Hinno-ma. Może używa tego świństwa do parzenia kawy po turecku — skrzywił się szyderczo.

— Poświeć tu — powiedział Meir, przesuwając dłonią po pęknięciach i wypukłościach ściany bliżej rynny. Dan skierował tam promień latarki. W skale wykuta była jakaś inskrypcja. Nie, cały ciąg inskrypcji. Kiedy zaczęli ostrożnie obracać latarką, inskrypcje ukazały się wszędzie.

— Meir, odczytaj to — poprosił Dan.

Kierując dokładniej światło latarki, Meir przysunął twarz na parę cali od napisu. Badał go starannie przez kilka minut w niczym nie zakłóconej ciszy, podczas gdy Dan starał się powstrzymać od kaszlu, potem zaś przemówił.

— Kilka lat temu dwa maleńkie srebrne zwoje zostały znalezione w jaskini parę jardów stąd, niedaleko Tofetu — zaczął i zaraz uzupełnił: — Ich tekst brzmiał „Niech Bóg wam błogosławi i zachowaj was. Niech Bóg sprawi, by Jego oblicze skąpało was w swym blasku”. To całe błogosławieństwo. Może nawet je znasz. Te dwa zwoje mają dwa tysiące sześćset lat, stanowią najstarsze biblijne

znalezisko archeologiczne. Wspaniale. Ale to — zatoczył ręką dookoła siebie — na tych ścianach, jest znacznie starsze. Starsze, starsze, starsze. Sądząc z kształtów liter, pochodzą z czasów króla Dawida. Dobrze, mogę ci to przeczytać — zaczął Meir. — Ten napis u góry głosi „Zamordowani przez synów Anaka”. Ten poniżej mówi „Zabici przez Iszbiego”. Tamten „Bezczęścimy arkę Izraelitów”. — Meir przerwał, by wymamrotać modlitwę. Potem oświetlał i odczytywał dalsze inskrypcje na ścianach. — Sam widzisz — oznajmił, omiatając napisy promieniem latarki. — To oczywiste, że wszyscy ci ludzie zostali zabici przez synów Anaka, Anakitów. Dan odezwał się powoli, kojarząc coś w myślach.

— Hmm, Linzer... Linzer wspominał... — Nagle wszystko stało się dla niego jasne.— W parku, kiedy zaczął Sala, próbując zabrać mu komputer, Linzer nazwał swoich gargantuicznych kumpli czających się w tle... nazwał ich... Anakitami... Anakitami!

— Bardzo dobrze — powiedział Meir. — Robimy postępy. A Anakici byli?... — zapytał, czekając niczym nauczyciel na odpowiedź.

Dan zająknął się, lecz zaraz zrezygnował.

— Meir, skąd mam wiedzieć, kim byli Anakici? Co to za jedni?

— Nie obraż się, proszę — odparł Meir — lecz właśnie dlatego mam z tobą problem. Żyd powinien wiedzieć, kim byli Anakici. Byli gigantami.

Zrozpaczony Dan opuścił wzrok i ścisnął palcami nasadę nosa, starając się opanować.

Kierując promień latarki pionowo między nimi, tak że zaczął rzucać dziwaczne cienie na ich twarzach, Meir zaczął w końcu streszczać dla niego tę historię.

— Kiedy Bóg stworzył świat i ludzkość — powiedział — pewna rasa niebiańskich istot — rasa gigantycznych wojowników popadła w niełaskę Wszchemogącego. Ci giganci zwani byli po hebrajsku *Nephilim*, co oznacza „Upadli”, gdyż upadli nisko ze swej świetnej pozycji. Wykopani z nieba, upadli na ziemię. Giganci żenili się z pięknymi ludzkimi kobietami i mogli żyć wiecznie. To rozgniewało Wszchemogącego. Pamiętasz, Adam zjadł owoc z Drzewa Pozna-

nia Dobra i Zła, by stać się jak Bóg, a teraz znów ci giganci. Biblia wspomina o nich dwukrotnie — uzupełnił Meir — raz na początku księgi, którą wy nazywacie Księgą Rodzaju — rozdział 6, werset 4 — powinieneś go znać, niedaleko opisu samego aktu stworzenia. Jest powiedziane: „A w owych czasach byli na ziemi giganci; a także później, gdy synowie Boga zbliżali się do córek człowieczych, te im rodziły. Byli to więc owi mocarze, mający sławę w owych dawnych czasach”. Potem jeszcze w Księdze Liczb, rozdział 13, werset 33, napisane jest: „Widzieliśmy tam nawet olbrzymów — Anakici pochodzą od olbrzymów — a w porównaniu z nimi wydaliśmy się sobie jak szarańcza i takimi byliśmy w ich oczach”. O gigantach wspomina się też w wielu kabalistycznych tekstach, którymi nie musisz się teraz przejmować. Idźmy dalej. Bóg znużył się ludzkimi występkami — ciągnął Meir — zwłaszcza że dzięki gigantom ludzie mogli teraz żyć wiecznie. Tak więc Bóg stał z oblicza ziemi ludzkość oraz gigantów podczas potopu — pamiętasz Noego? — i zaczął wszystko od nowa. Lecz tym razem ustanowił, że ludzie nie będą żyć dłużej niż sto dwadzieścia lat. Potem nawet sam Mojżesz przeżył tylko sto dwadzieścia lat.

— I dlatego Żydzi po dziś dzień wznoszą toast „za sto dwadzieścia lat” — uzupełnił Dan.

Ignorując uwagę Dana, Meir powrócił do swego wykładu.

— Jak dobrze wiemy, potop nie zniszczył całej ludzkości. Niektórym potomkom gigantów udało się przetrwać. Ci potomkowie to Anakici, synowie Anaka.

— A jakie jest znaczenie tego? — zapytał Dan, wskazując na niewielką niszę, mierzącą może sześć do dziesięciu cali, wyciosaną w ścianie. W jej wnętrzu spoczywał gładki, wypolerowany, lśniący-biały, eliptyczny kamień. Meir oświetlił latarką wnękę i ukryty w niej przedmiot. Przyglądał się przez dłuższą chwilę, mamrocząc pod nosem, a potem poprosił:

— Potrzymaj latarkę, proszę.

Dan skierował promień latarki na kamień. Odbite od niego światło rozświetliło całą niszę. Meir wpatrywał się weń przez kolejną chwilę, wymamrotał coś niezrozumiałego, zerknął na jeden z napi-

sów na skale, podszedł do szczeliny prowadzącej do położonej w dole groty i zerknął w jej głąb, cofnął się do wnęki i ostatni raz przyjrzał się kamieniowi.

— Ten kamień może być ważny — powiedział Meir przyciszonym, poważnym głosem. — Powinniśmy zabrać go ze sobą i obejrzeć dokładniej — stwierdził, demonstracyjnie splatając dłonie na plecach. — Ty — powiedział do Dana — ty go weź.

— O co ci chodzi? Dlaczego ja?

— Ja go nie dotknę — powtórzył Meir z uporem — ale proszę, ty możesz go wziąć.

— Pewnie — odparł Dan, odrobinę zbity z tropu. Podniósł kamień, który okazał się znacznie cięższy, niż na to wyglądał, i niedbałym gestem włożył go do kieszeni. Brwi Meira uniosły się w zdumieniu, może nawet w szoku.

Meir zaczął się dławić stęchłym powietrzem i powiedział:

— Mam problemy z oddychaniem w tym miejscu. Proszę. Do kończmy na górze, w lepszych warunkach.

Dan zgodził się, pokaszując. Przyjrzeni się wyjściu pod sklepieniem. Meir podsadził Dana do liny. Dan wspiął się do góry, a potem przecisnął się z rynny z powrotem do trzeciej komnaty, czołgając się i gramoląc na brzuchu przez ostatnie parę stóp. Przez cały czas czuł między swym ciałem a skałą ukryty w kieszeni kamień.

Meir był wyższy, więc udało mu się wspiąć na niewielki głąz i doskoczyć do końca liny. Parę razy ześlizgnął się w dół, lecz, zachęcany przez Dana, wciągnął się ostatecznie do rynny, a potem wspiął do góry. Dan wciągnął go przez otwór do trzeciej krypty. Potem obaj weszli po drabinie do drugiej komnaty, gdzie pomogli im czekający na nich Motke i siostra Nan, wciągając za nimi drabinę. Razem przeszli po schodkach do głównej krypty i wyszli z groty, gdzie na podwórku czekała na nich zniecierpliwiona Park.

— Ułynęła cała godzina! Nie wiedziałam, co o tym myśleć — poskarżyła się. — Nikt nie wychodził. Wołałam do was. Nikt nie odpowiadał. Wołałam trzykrotnie.

Dan, zadyszany i wysmarowany czarnym brudem, przeprosił ją i opisał jej budowę opadających coraz niżej krypt. Widząc, że

zwiedzanie dobiegło końca, a w dodatku zanosi się na sprzeczkę, siostra Nan pożegnała się, proponując z czarującym uśmiechem, by goście szybko zakończyli tę wymianę zdań i opuścili klasztor, gdyż zbliżała się już pora powrotu mnichów. Wszyscy ruszyli w kierunku furty.

Gdy tylko znaleźli się na zewnątrz, Dan zatrzymał się i opowiedział pozostałym o odkryciu na ścianie rozpadliny napisów z czasów króla Dawida odnoszących się do gigantów. Motke i Park znali intrygujące biblijne ustępy wspominające o gigantach, lecz nie wiedzieli o ich dalszych losach.

— O, tak — zapewnił ich Meir, zerkając nerwowo na kieszeń Dana. — Potomkami gigantów byli Anakici. Spójrzcie proszę na trzynasty rozdział Księgi Liczb.

Motke wyciągnął kieszonkowe wydanie Biblii i sprawdził cytat.

— Zadowolony? — zapytał Meir, dodając: — Jasne, Anakitów później wybito — wszędzie z wyjątkiem Gat i paru innych miejsc. Zajrzyjcie proszę do Księgi Jozuego 11,22.

Motke odczytał ten werset na głos:

— „Anakici nie pozostali już w kraju Izraelitów, z wyjątkiem Gazy, Gat i Aszdodu”.

— Ale Gat było centralnym ośrodkiem Anakitów — mówił dalej Meir. — W pierwszym, drugim i dziewiątym rozdziale Księgi Powtórzonego Prawa dzieci Izraela obawiają się potomstwa anakickich gigantów. Wśród najbardziej wpływowych mieszkańców Gat była zła kobieta o imieniu Orpah, bardzo zła istota, która miała czterech synów. Samych gigantów. Jednym z nich był Iszbi, innym zaś Goliat. Jak wiecie, Dawid zabił Goliata z Gat. Tak naprawdę na zabiciu Goliata się nie skończyło — podkreślił Meir. — Jeśli zajrzyjcie do Drugiej Księgi Samuela, rozdział 21, przekonacie się, że Iszbi, brat Goliata, usiłował wyrzucić zemstę na Dawidzie i że ostatecznie czterech gigantów z Gat zostało zabitych przez Dawida i jego sługi. Lecz po Goliacie w Gat było jeszcze wielu gigantów. Był Sippai i Saf, i wielu, wielu innych, wymienionych w Biblii oraz w kabale. Anakici trwali przez wiele pokoleń — mówił dalej Meir — a niektórzy z nich mieli po sześć palców u każdej dłoni. Motkele, otwórz

swoją Biblię na Drugiej Księdze Samuela 21, 20. Bądź tak dobry i przeczytaj.

Motke odnalazł Drugą Księgę Samuela i odczytał:

— „I jedna jeszcze odbyła się walka w Gat. Pokazał się tam człowiek wielkiego wzrostu, który miał u każdej ręki po sześć palców i po sześć palców u każdej nogi — razem dwadzieścia cztery palce. Pochodził on również od Rafy”.

Meir kazał mu odnaleźć podobny ustęp w Pierwszej Księdze Kronik 20, 6. Motke zrobił to i potwierdził.

— Zgadza się, wszystko jest powtórzone drugi raz.

— I co z tego? — zapytał Dan.

Meir skrzyżował ramiona na piersi, wziął głęboki oddech i odpowiedział powoli:

— Anakici zawsze byli wojownikami zła. Znikają i powracają. Znikają ponownie i ponownie powracają. Zły przyzywa ich, kiedy ich potrzebuje. Są potomkami gigantów, synów zła.

— To mi przypomina Synów Ciemności z tekstów z Qumran — zauważył Dan.

— O, tak — odparł Meir. — Adam miał dwie natury — nieskażenie dobrą i nieskażenie złą. Dawid miał dwie natury — dobrą

i złą. Nawet *Masztach* zna zło i pokusę — i musi je pokonać. Adam — ludzkość — zostanie zbawiony przez *Masziacha*, którego ty, Park, i twój przyjaciel Dan nazywacie Mesjaszem. Opowiadałem wam o literach i słowach. Imię Adama składa się z liter alef, dalet i mem.

— Co odpowiada A-D-M — wtrącił gwoli jasności Motke — bo w piśmie hebrajskim nie ma znaków samogłoskowych.

— Dokładnie — potwierdził Meir. — Myślcie po angielsku. A-D-M... Adam-Dawid-Mejasz. Oto potrójny związek.

Nikt się nie odzywał. Z twarzy Dana zniknęło podniecenie, gdy spojrział przelotnie na Park i zapytał Meira cichym, matowym głosem:

— A Ben Hinnom?

— Ohyda ziejąca pustką — odparł Meir. — Sądzę, że uczyni ohydę ziejącą pustką w świątyni i będzie to triumf mrocznej strony

człowieka, wyzwanie rzucone Bogu. Może przybędzie na Górę Świątynną, a może uczyni to jego obraz. Nie potrafię sobie wyobrazić czegoś podobnego. Ale na pewno splugawi Świątynię. I myślę, że stanie się to podczas ostatniego szabatu tysiąclecia. W najbliższy piątek. Raz jeszcze będzie to ostateczne zbezczeszczenie woli Boga.

- Prowadzące do czego? — zapytał Dan.
- Ostatecznej bitwy Synów Ciemności z Synami Światła — odpowiedział Meir.
- Kim oni będą? — zapytał Dan.
- Synowie Ciemności to anakicy giganci — słuchałeś mnie w ogóle? — służący swemu wodzowi, samemu Złemu — odparł Meir.
- A Synowie Światła? — nie ustępował Dan.
- Synowie Światła walczą za dobro i Boga — odpowiedział Meir. — Lecz jedynie ktoś o sercu najczystszym z najczystszych będzie w stanie pokonać najczarniejsze z najczarniejszych zło. I nie można tego dokonać, nie posiadając jedynej broni, jakiej obawiają się Anakici, i cieszy mnie, że się jej obawiają.
- Pozwólcie, że coś wam teraz opowiem — mówił dalej Meir. — Kamień, którym Dawid zabił Goliata, nic był zwyczajnym, podniesionym z ziemi otoczakiem. Był najpotężniejszym kamieniem na świecie, wybranym przez Boga w tym właśnie celu. Tym samym kamieniem Abraham przepędził Szatana. Tak napisane jest w midra-szu, kabale, w wielu pismach. Roztrząsano tę kwestię od stuleci. Niektórzy twierdzą, że kamień ten był w rzeczywistości pięcioma kamieniami, reprezentującymi Boga, Abrahama, Izaaka, Jakuba i Aarona, które wskutek cudu zlały się w jeden, uosabiający całą potęgę niebios. Muzułmanie także piszą o mocy tego kamienia. Pamiętajcie, to jedyny kamień, w którym zawartajest potęga samego Boga, jedyny władny zabić Szatana.

Meir łypnął w stronę kieszeni Dana, mówiąc:

— Jest wszakże jeden problem. Nikt nie ma tego kamienia. Wielu go szukało. Po świecie krążyło wiele podróbek. Lecz nikt nie był w stanie znaleźć go gdziekolwiek w Izraelu, tego jedyne-

go kamienia dygoczącego od zawartej w nim mocy Boga... Dotychczas.

Dan wyciągnął z kieszeni gładki, eliptyczny kamień. W mrocznej, podziemnej komnacie, w świetle latarki, zdawał się migotać, teraz w blasku słońca drobne kryształki kamienia niemalże płonęły wewnętrznym ogniem.

- Znalazłem to na dole — powiedział nieśmiało.
- Amnon zakazał nam kopania w ziemi — przypomniał Motke.
- Nie kopalem. Już był wykopany — usprawiedliwił się Dan.
- A poza tym nie przepadam za bajkami — roześmiał się Motke. — Skąd wiemy, że ten kamień różni się czymś od pięciu milionów jemu podobnych, jakie w Izraelu można znaleźć na każdym kroku? Już wolałbym magiczną różdżkę.

Meir odpowiedział mu:

- Na dole, w jaskini, jedna z inskrypcji brzmiała: „Któż pokona Anakitów bez tego kamienia?” Ten kamień leżał nieopodal.
- I co z tego? — powiedział Dan. — Może to kamień nasycony mocą, a może jeszcze jeden obszczany przez owce kawałek skały... Dziesięć Przykazań spisane zostało na dwóch kamiennych tablicach. Ludzie czczą je. Ściana Płaczu to tylko kamień. Ludzie modlą się do niego. Skalne występy pod Świątynią na Skale mają podwójne znaczenie — to tam Abraham miał złożyć w ofierze Izaaka i stamtąd Mahomet wstąpił w niebiosa — jeśli kupujecie którąś z tych wersji. Ludzie oddają za nie życie. Każdy kamień jest tym, co z niego uczynicie. Mogę go wyciepnąć albo zatrzymać. Zgadzam się, to tylko bajka, gównu mnie to obchodzi, więc wyrzucę go.

Dan odchylił ramię do tyłu, szykując się do ciśnięcia go poza mury. Meir wrzasnął piskliwie, a Park i Motke z przerażeniem złapali Dana za rękaw.

- Nie, nie, nie!
- Na wszelki wypadek — powiedział Motke. — Kto wie? Żebyśmy sobie nie narobili kłopotów z tym kamieniem. Schowaj go, schowaj.

Dan dla zabawy podrzucił go parę razy prawą ręką.



- Przestań, można przez ciebie zwariować! — powiedziała Park.
- Bluźnisz przeciw Bogu — zaprotestował Meir.
- Niech wam będzie — rzekł Dan. Z zadowoloną miną wsunął kamień z powrotem do kieszeni.

W pośpiechu opuścili teren klasztoru. Meir udał się na postój taksówek, rozpoczynając swą długą podróż z powrotem do Tsfat. Kiedy Dan i Park dotarli wreszcie do „Dan Pearl”, w apartamencie znaleźli Sala pogryzającego wesoło tabliczkę czekolady. Gdy ruszyły autobusy wiozące uczestników zjazdu downów, Raymond radośnie pokazywał przez szybę mijanych ludzi, nieustannie śpiewając: „Kocham ich. Tylko ich kocham. I tych, i tych, i tych”. Generał Amnon rozpoczął inspekcję szeregów szofarów. Odwrócił głowę do swego kolegi i powiedział: „Specjalne uzbrojenie dostarczane jest bardzo powoli. Jego produkcja jest bardzo skomplikowana. Ale obiecuję, że zdążymy na czas — wszystko będzie gotowe w terminie. Musimy zdążyć”. Kuebitz przemycił się niezauważenie korytarzem Hakiryi.

Dan ze śmiertelnie poważną miną poprosił Sala, by wysłał e-matła do Hinnoma, z Windy'ego do Windy'ego. Sal rozstawił komputer i otworzył nowy list.

- Co mam napisać? — zapytał Sal.
- Tylko tyle — odparł Dan. — „Odwolaj instalację wersji 0.9”.
- Sal robił wrażenie oszołomionego.
- Dalej — ponaglił go Dan.

Sal wpisał podane mu przez Dana cztery słowa i wysłał wiadomość.

Po pięciu minutach nadeszła bezpośrednia odpowiedź od Hinnoma.

Była równie zwięzła, brzmiała po prostu: „A niby czemu?”

Dan przeczytał ją i poprosił Sala:

— Świetnie. A teraz wyślij mu taką odpowiedź: „Ponieważ mamy kamień”.

31 GRUDNIA 1999

Grota Bena Hinnoma wyglądała uroczoko jak zawsze. Ohydne, brązowe krople regularnie skapywały z głębokiej szczeliny w sklepieniu wprost do wysokiego, glinianego naczynia. Wężę prześlizgiwały się leniwie między komputerami niczym kable spinające je w sieć. Gryzonie szarpały mięso odarte z rozkładających się szczątków zwierzęcych. Muchy i czerwone mrówki roiły się na stercie gnijącego jedzenia. Robaki gromadziły się w bruździe pod stolikiem z laserową drukarką. Sześciopalcy Anakici chrapali na pryzkach, wokół których grunt pokrywała warstwa rozłupanych ziaren słonecznika, pestek daktyli i opróżnionych niemal do ostatniej kropli butelek mglistobiałego araku. Hinnom siedział na platformie ustawionej na kozłach, która służyła mu za biurko, i czytał raporty napływające z najróżniejszych siedzib jego międzynarodowej organizacji. Wtórne wysłał arogancką odpowiedź na e-mail Sala domagający się odwołania instalacji wersji 0.9. Dźwięk dzwonka zakomunikował o przybyciu kolejnej wiadomości od Sala. Hinnom dostrzegł ją na ekranie swego Windy'ego, lecz zignorował ją rozmyślnie, wybierając najprzeróżniejsze sposoby zabicia czasu.

Rozesłał osobiste prośby do stowarzyszeń użytkowników Windgazera na całym świecie, zachęcając ich do organizowania własnych demonstracji i przeciwstawienia się formatowcom. Zaproponował im „Na dobry początek — rząd dziewiątek” jako dobre hasło do skandowania. Do groty wszedł Linzer, więc Hinnom zapytał:

— Jak to brzmi, „Na dobry początek — rząd dziewiątek”? Nadaje się do skandowania przez cały jutrzejszy dzień przed poka zem? Dla użytkowników Windgazera.

Linzer wzruszył ramionami z aprobatą.

— W takim razie niech będzie — powiedział Hinnom.

Wybrał z menu opcję wiadomości dla wszystkich grup użytkowników, która obejmowała domowe i biurowe adresy poczty elektro-

niczej 1 600 000 użytkowników z czternastu krajów tworzących Światowy Ruch Użytkowników Windgazera, opuścił palec i charakterystycznym gestem uderzył nim w klawisz ENTER, wysyłając wiadomość. Na jego twarzy pojawił się dumny uśmiech, gdy zaczął rozkoszować się myślą, że za przyciśnięciem jednego klawisza dotarł do tak wielu ludzi.

Po namyśle wysłał polecenie do Windgazer Central, które miało tak zaprogramować dwadzieścia czy trzydzieści milionów windgazerowych przyjaciół, by pojawili się zaopatrzeni w logo wersji 0.9, przypominając użytkownikom: „Pamiętaj, by w piątek o północy uruchomić instalację nowej wersji”. Zgodnie z planem Hinnoma proces ten miał się zacząć o północy w Jerozolimie i przetoczyć przez świat wraz z wkraczaniem kolejnych stref czasowych w nowe tysiąclecie. Azjatyckie zegary komputerowe po drugiej stronie linii zmiany daty zostały przestawione, by uwzględnić tę sekwencję.

Potem Hinnom polecił Linzerowi, by ten kazał pilotowi sterowca raz jeszcze sprawdzić swój projektor, tak aby zaplanowane wyświetlenie logo Windgazera na Ścianie Zachodniej nastąpiło bez zgrzytów i o właściwym czasie. Kiedy ich krótka rozmowa dobiegła końca, Hinnom zabawił się w zgadywanie anagramów na komputerze. Potem dostroił kolory ekranu Windy'ego. Następnie trochę pogryzmolił na kartce papieru. W końcu otworzył list od Sala.

Odpowiadając na komentarz Hinnoma „A niby czemu?”, Sal napisał: „Ponieważ mamy kamień”.

Oblicze Hinnoma zakrzepło w bezruchu. Jego głowa opadła odrobinę, lecz nie odrywał oczu od widniejących na ekranie słów. Powoli skrzyżował ramiona, zacisnął pięści, a jego twarz wyglądała tak, jakby miała zaraz eksplodować, zaczynając od oczu. Przesłał list Sala Linzerowi, opuszczając pionowo wyprostowany palec na klawisz ENTER.

Jednocześnie spojrzął spode łba na stojącego o parę stóp dalej Linzera.

— Sprawdź pocztę! Sprawdź ją, sprawdź ją! — I zaraz dodał z narastającą wściekłością: — Mówiłeś, że nikt! Niiiiikt! Sprawdź tę cholerną pocztę!

Spanikowany Linzer otworzył Windy'ego, uruchomił program poczty elektronicznej i przeczytał słowa Sala. Podniósł wzrok i ujrzał rozwścieczonego Hinnoma. Przeczując nieuchronną eksplozję zaworu bezpieczeństwa, rozłożył szeroko ramiona i otworzył usta, by coś powiedzieć.

— Ani słowa — wydusił z siebie Hinnom i oddech zamarł Linzerowi w płucach. Podbiegł do Anakitów, kopiąc w ich prycze i wywarkując: — Wstawajcie, wy tacy owacy! Wyłazić z łóżek! Wstawać! — Iszbi i jego towarzysze otrząsnęli się z senności, podczas gdy Hinnom krążył frenetycznie wokół nich, wrzeszcząc na Linzera: —Mówiłeś, że sprawdziłeś! Powiedziałeś, że nikt, nikt nie ma tego kamienia! — Gwałtownym ruchem wywrócił szafkę na dokumenty, która uderzyła o ziemię z tak przeraźliwym łoskotem, że gryzonie i węże ukryły się po kątach. Stając twarzą w twarz z Linzerem, ryknął: — Tak powiedziałeś! To ty mi powiedziałeś! Powiedziałeś, że nikt nie ma tego kamienia!

Starając się zaprowadzić trochę spokoju, Linzer splótł przed sobą błagalnym gestem dłonie i powiedział łagodnie, niczym rodzic uspokajający dziecko, które obudziło się z krzykiem z koszmarne go snu:

— Ten kamień nie istnieje. To bajka. Owszem, wiele o tym rozmawialiśmy. Ale on nie istnieje.

— Ach, ty...! — wrzasnął Hinnom, niemalże wsadzając Linzerowi palec w oko. — Od lat powtarzasz mi: „Strzeż się kamienia. Strzeż się kamienia”. A teraz nagle to bajka?

Linzer nie zmieniał tonu głosu.

— To był tylko temat do rozmowy. Legenda, spisana przed wiekami przez marzycielskich mistyków w bezwartościowych książkach, żalodne dupki. A teraz ten arcydupেক i bękart Sal usłyszał o niej i wykorzystuje ją, żeby się z tobą podrażnić. Zastanów się. Za czterdzieści osiem godzin nasz plan stanie się rzeczywistością. Sal, jego matka-kurwa, jej zgniły żydowski narzeczony i parę milionów spar-szywiałych idiotów-formatowców zostanie całkowicie zapomnianych. Świat rozpocznie instalację, a my damy światu wersję 0.9.

— Prosiłem cię, żebyś go wykończył—wrzał Hinnom.—Zamiast tego, muszę znosić e-maile od tego pacana... i to wysłane z ukra-

dzionego mi sprzętu. Dlaczego on wciąż ma mojego Windy'ego i dlaczego nadal chodzi po świecie cały i zdrowy? Chyba zrozumiałeś wtedy moją prośbę?

- Staralem się znaleźć tego pryszcza — odparł Linzer, ale tutejsza koszmarna biurokracja odsyłała mnie z miejsca na miejsce — a wszystkie telefony zachorowały nagle na głuchotę. Nie byłem w stanie go zlokalizować. Ale naprawdę się starałem. Całymi godzinami. Równie dobrze mógł wysłać ten e-mail z celi na komisariacie.
- A może ze swojego szpanerskiego apartamentu w hotelu — warknął Hinnom. — Czy nie możemy kupić tego hotelu i wyeksmitować tej żalosznej bandy? Chcę to zrobić.
- Owszem, możemy go kupić — odparł spokojnie Linzer — ale nie przed piątkiem. A więc nie zmieni to naszego obecnego położenia. Uważam, że powinniśmy zignorować tego Sala i jego bezpodstawną, wyssaną z palca opowieść o kamieniu. Nawet gdyby go miał, nie wiedziałby, jak go użyć. W jego dłoniach byłby bezużyteczny.

Przerwa.

- Dopiero co mówiłeś, że ten kamień to bujda — ryknął Hinnom.
- Bo jest! — odparł Linzer, podnosząc głos, by zostać usłyszanym. — Ale nawet gdyby tak nie było, nawet gdyby każda oślizgła sylaba tego kabalistycznego gówna była prawdziwym, autentycznym, popartym dowodami bełkotem, żaden z ludzi Sala nie mógłby użyć kamienia. A więc wyluzuj się. — Ponownie rozłożył ramiona, by uspokoić Hinnoma, a ten pozwolił mu podejść do siebie, objąć się i pocieszyć. — Mamy ich — powiedział Linzer, wskazując na Iszbiego i Anakitów. — Mamy Windgazera 99. Mamy przygotowaną świętą, świętą imprezę. I mamy świat do podbicia. Oni nie mają nic. Wyluzuj się.

Hinnom wyrwał się z uścisku Linzera, podszedł do Iszbiego i zagrział:

— Jesteście tu ze ściśle określonego powodu. Pora udowodnić, że zasługujesz na noszenie imienia swego wspaniałego, acz niemalże zapomnianego przodka. Wydostań swojego brata i kuzynów z jamy

i po raz ostatni mówię — odwracając się do Linzera — to się tyczyć was wszystkich... zniszczcie tego chłopaka. — W głosie Hinnoma pojawił się sarkazm, kiedy rzucił pod adresem Iszbiego: — Chyba że boisz się kamienia? To byłoby zrozumiałe. Boisz się go?

— Nie mąć mu w głowie głupimi bajdami — zaoponował Linzer.

Iszbi pochylił swe ogromne cielsko, podnosząc pustą butelkę po araku. Dostrzegłszy przemykającego skalną półką szczura, cisnął butelką w gryzonia. Zwierzę padło martwe na dno groty, jego zmiażdżona głowa splamiona była krwią, zęby obnażone od śmiertelnego ciosu.

— Niech do mnie przyjdą! — zaryczał Iszbi. — Niech wyślą swego bohatera, setkę bohaterów. Nie boję się nikogo! — Wskazał na szczelinę w sklepieniu. — Spójrz tam. Kogo mam się bać? — Wyciągnął zza pasa przypominający miecz nóż. Zaciskając wszystkie sześć palców na rękojeści, wyciosał w skale odwróconą do góry nogami literę szin. Potem wraz z dwoma pozostałymi Anakitami splunął na nią ceremonialnie. — Skończymy z nim.

— O, to mi się podoba — skomentował Hinnom, wyraźnie pod wrażeniem dzikiej reakcji Iszbiego. — Tak trzymaj.

Zadzzwoniła komórka Linzera. Ten słuchał przez chwilę uważnie, a potem powiedział do słuchawki:

— Bardzo dobrze. To nam bardzo pomoże... Chcielibyśmy usunąć ten problem i uporządkować sprawy... Słusznie pan postąpił. — Słuchał jeszcze przez moment. — Och, tak, otrzyma pan małe co nieco za pańskie starania... osobisty prezent od pana Hinnoma.

Potem Linzer zameldował rzeczowym tonem:

— Policjant z jerozolimskiego wywiadu — zdążyłem się z nim bardzo zaprzyjaźnić. Zlokalizował tego dupka Sala McGuire'a i był na tyle uprzejmy, że poinformował nas o jego miejscu pobytu. W rewanżu poprosił jedynie o parę lśniących kompaktów dysków i uznałem tę prośbę za jak najbardziej rozsądną. Tak więc — mówił dalej Linzer — dla waszej wiadomości, dupek został zwolniony jakiś czas

temu i oddany pod opiekę matce. Ale rząd pragnie pozbyć się go z pierwszej linii frontu, z Jerozolimy. Wobec tego, powiada mój przyjaciel, wywożą go z miasta. To oznacza, że Sal McGuire wynosi się stąd i tylko to się liczy. Zapomnij o nim. — Linzer spojrział na zegarek. Było po północy. — Jest późno, bardzo późno. Chodźmy spać, zostawmy resztę pracy na jutro.

— Ten typek Sal ma mojego Windy'ego — krzyknął Hinnom.

— Nieważne, że go tu nie ma. Gdziekolwiek by był, znajdzie sposób na zakłócenie mojego święta. Może nawet zdoła zatrzymać. Może coś zepsuć, wpuścić wirusa do naszego systemu, wygłosić ostatni, rozpaczliwy apel do całego świata. Tak. Ma umrzeć. Zniknąć. Jest...

— Przerwał i spojrział Linzerowi prosto w oczy. — Wywieźli go z miasta? Niech zgadnę. Jest t a m?

Linzer potwierdził.

— Owszem, jest teraz w drodze do Megiddo. Tam go chcą ukryć. Ale ledwie...

Hinnom uniósł otwartą dłoń, uciszając Linzera.

— Co to ludzie mówią? — zapytał. — Nieodmiennie wydajemy się zmuszeni do wybrania bardziej niebezpiecznego rozwiązania. A może wszystko jest z góry ustalone: kto pokroi kogo na kawałki, kiedy i gdzie? Predestynacja to fajna gra, o ile zna się jej zasady.

Hinnom odwrócił się do Anakitów i obwieścił szorstko:

— Ten martwy szczur leżący na ziemi znalazł się tam z pewnego powodu i Iszbi już się go domyślił.

Okręcając się w miejscu, wrzasnął do Linzera:

— Śmierdzący bękart z jego wybajdurzonym kamieniem czy bez niego... tam go zabijemy. W Megiddo — powiedział, wymawiając tę nazwę drżącym głosem tremolo — choćby po to, by postawić na swoim. By udowodnić, że mnie — uderzył prawą pięścią w lewą dłoń — nie można rzucić wyzwania, nie należy tego robić. Zabiję go tam — a jednocześnie zrealizujemy nasze plany tutaj. Zrobimy jedno i drugie, wszystko.

Linzer westchnął z rezygnacją. Anakici usiedli na swych przyczach. Hinnom podszedł do niewielkiej lodówki, wyciągnął z niej

fiolkę, opróżnił ją jednym łykiem, zadrzał lekko od siły jej zawartości i powiedział normalnym tonem:

— Dobra. Wszyscy macie dobrze się wyspać. Jutro jedziemy na północ.

30 grudnia 1999 roku, 4:45 po południu. Arabski wieśniak prowadził swego jaskrawo przybranego wielbłąda do wioski wąską, zapuszczoną drogą biegnącą przez wzgórza z Jerozolimy na północ. Coraz mniejsza liczba Izraelczyków korzystała teraz z tego skrótu. Tak więc ruch był minimalny, nawet późnym popołudniem. Arab wspiął się właśnie na szczyt wzniesienia, kiedy jego oczom ukazał się żółty gimbus pędzący w oddali przez rozgrzane powietrze. Zatrzymał syknięciem wielbłąda i zaczął cierpliwie, aż autobus przemknął obok niego z hukiem, ciskając na boki ziarna żwiru. Wznawiając swą wędrówkę ku wiosce, zastanowił się przelotnie, kto w Izraelu mógł posiadać podobny pojazd.

Linzer siedział za kierownicą. Ben Hinnom i Anakici usadowili się wygodnie w tyle, pociągając pobudzające łyki z buteleczki i splukując je arakiem. Zmierzali do Megiddo, gdzie najpierw mieli wy dostać brata i kuzynów Iszbiego z jamy, potem zaś zająć się Saleem i jego grupą. W gimbusie panował nastrój znany każdemu wojownikowi przed bitwą: napięcie tonowane jedynie bezmyślną rozrywką. Przez ekran komputera Hinnoma przesuwała się kolekcja zdjęć Sala, Park i Dana, tak by Anakici mogli zapoznać się z wyglądem przeciwnika. Nie zwracali na to większej uwagi. Fragmenty *Bestii* Hinnoma — mieszanka lamentu, skowytu i rockowej kantaty — huczały z głośników stereo. Anakici uważali tę muzykę za hałaśliwą. Od czasu do czasu Hinnom wybijał rytm, bawiąc się nożem Iszbiego, co przyciągnęło uwagę pozostałych i sprawiło w końcu, że Iszbi odsunął się, by nie dać się sprowokować. Anakici pragnęli jedynie znaleźć się w akcji. Co jakiś czas autobus wpadał na wybój albo dziurę w starej, nie naprawianej drodze, a Hinnom wykrzykiwał „Jejkusiu”.



W tym samym czasie olbrzymia biała furgonetka prowadzona przez Dana zajechała na maleńkie wojskowo-cywilne lotnisko S'de Dov na północ od Tel Awiwu. W pojeździe siedzieli Park, Sal i Motke oraz generał Amnon Natan, podający kierowcy wskazówki. W stronę hangaru kołował świeżo przybyły Hercules C-130. Amnon polecił Danowi wjechać na płytę lotniska i skierować się na plac przy hangarze. Dan z wysiłkiem przeprowadził pojazd przez wąską bramę, mrużąc do siebie:

— Nienawidzę tej furgonetki.

— W porządku, można wysiąść — powiedział Amnon. Wskazał na śmigła i dodał: — Stańcie tam, tam jest trochę bezpiecznie. — Kiedy pilot C-130 wyłączył silniki, a obsługa naziemna zablokowała koła, tylna kłapa samolotu opadła z warkotem w dół, uderzając z brzękiem o beton. Amnon przywołał do siebie Dana.

— Prosiłeś o trzy rzeczy — zaczął Amnon.

Dan zrobił zdumioną minę.

— W Hakiryi. Zapytałem, czego potrzebujecie, a ty zapisałeś trzy rzeczy.

— No, taak... — odparł odrobinę zbity z tropu Dan.

— Więc proszę nie mówić, że rząd Izraela nie potraktował cię wyjątkowo — powiedział Amnon, wprowadzając Dana do ładowni C-130.

Rozległ się dźwięk uwalnianych zabezpieczeń, potem szcęk łańcucha, stuknięcia, głośny łomot, w końcu zawarczał silnik. W następnej chwili Dan wystrzelił z ładowni, siedząc za kierownicą swego ukochanego, czerwonego del sola. Miał złożony dach. Wyjął silnikiem na najwyższych obrotach, podjechał zawiadaczko do pozostałych.

Wszyscy oniemieli.

— Teraz wiem, że to Mosad — stwierdził Motke. — Wojsko nie posiada takich możliwości.

Park aż odebrało mowę, w końcu jednak zdołała wykrztusić:

— A jak my się w tym wszyscy pomieścimy?

Wymiana zdań trwała dalej, a jednocześnie Dan prezentował Motkemu i Amnonowi specjalne elementy wyposażenia pojazdu:

ruchomy dach, przenośny odtwarzacz CD, cichy silnik. Przesuwali palcami po wspianiałym, czerwonym lakierze i bawili się automatycznie otwieranymi oknami, podczas gdy Park spoglądała na nich z obojętnością, która z czasem przemieniła się w znudzenie.

Chwyając generała za przedramiona czułym gestem, Dan wykrzyknął:

— Amnon, *habibi*, jak ci się to udało?

— Nie było tak znowu trudno — wyjaśnił Amnon. — Dyplomaci i dziennikarze sprowadzają do kraju setki samochodów rocznie. Zwykle drogą morską, przez Hajfę. Ale mamy przyjaciół w Ameryce — może znasz jednego z nich — Udiego — ma restaurację w Waszyngtonie. Udi podał nam twój adres w Chicago, a znalezienie samochodu na tyłach twojego domu było dziecinnie łatwe. Po prostu zapakowaliśmy go do skrzyni. Jest mały, niewiele większy od lodówki. El Al zajął się resztą, tak więc to im powinnięs dziękować.

Dan, któremu obce było pojęcie umiaru, zapytał:

— A pozostałe dwa życzenia?

Amnon polecił mu otworzyć skrytkę za fotelem kierowcy. Wewnątrz stała butelka Laphroaiga. Motke i Amnon z niecierpliwością patrzyli, jak Dan odwija zabezpieczenie z zielonej folii, nalewa odrobinę do nakrętki i puszcza w koło, pozwalając im nacieszyć się najpierw rytualnym aktem wachania jej aromatu, potem zaś wyszukany, opatrzonym dogłębnym komentarzem smakiem słynnej whisky. Podczas gdy Motke i Amnon zachwycali się i półszepem narzekali z goryczą na stare restrykcje importowe w Izraelu, Park przewróciła oczami i odwróciła się, całkowicie ich ignorując.

— A... — zaczął Dan, zaglądając do odtwarzacza, potem pod siedzenie i do schowków za fotelami.

— Dwa z trzech — odparł Amnon. — Nikt nie miał pojęcia, co to za Gipsies.

— „Gipsy Kings” — poprawił go Dan.

— Ani Kings, ani Queens — odrzekł Amnon. — Ale teraz jesteś w Izraelu, więc dam ci coś jeszcze lepszego. Ode mnie.

Sięgnął do wnętrza swojej torby i wyciągnął płytę Ofry Hazy,

jednej z najpopularniejszych izraelskich piosenek. Wybrał dla Dana *Shaday*, jej najbardziej rytmiczną i udaną płytę. Dan przyjął prezent, dziękując wylewnie.

— Jestem zwyczajnym Izraelczykiem — oznajmił Amnon — więc nie mam nic przeciwko jeżdżeniu brzydkimi samochodami takimi jak ten — powiedział, kopiąc w oponę wielkiej, białej furgonetki. — Zawiozę pozostałych do Megiddo. Wasza dwójka może pojechać tą czerwoną gablotą.

Park ruszyła w stronę samochodu, kiedy Dan powiedział: „On”, wskazując na Sala. Na twarzy chłopca pojawił się dziki uśmiech, nieodparcie kojarzący się z chwilami jego jazdy na motorowerze. Wskoczył do środka, nie otwierając drzwi od strony pasażera. Dan pokiwał z aprobatą głową.

Park podbiegła do nich, pytając:

— Dokąd wy dwaj się wybieracie?

Dan uruchomił silnik, odpowiadając:

— Spotkamy się w Megiddo, w biurze kibucu. — Przyduślił pedał gazu do podłogi i pomknął przez płytę lotniska, zatrzymując się tylko na mgnienie oka przy bramie.

Po dziesięciu minutach Dan i Sal mknęli na północ nadbrzeżną drogą wijącą się wzdłuż Morza Śródziemnego. Zaprawiony solą wiatr smagał ich po twarzach, niekiedy naprawdę czuli na skórze pianę fal załamujących się przy brzegu. Po prawej stronie rozciągał się współczesny Izrael, wspaniałe kształty wzniesione z betonu i szkła. Po lewej mieli starożytne wydmy, niepojęte kępy trawy, zapach morza, migotanie oceanu i bryzę napęlniającą skrzeniem duszę.

— Podoba ci się? — zapytał Dan. Sal pokiwał głową z entuzjazmem.

Ofra Haza. Na ful.

Od sześciu tysięcy lat wielkie bitwy staczane były na małym, skalistym wzgórzu w północnej części centralnego Izraela i w niedługo bagnistej, teraz zielonej dolinie u jego podnóża. To miejsce

nazywa się Megiddo. Przez tysiąclecia to niewielkie, lecz warowne miasto-twierdza na Via Maris, drodze od morza, panowało nad starożytnym skrzyżowaniem dróg łączących imperia Mezopotamii i Egiptu i wiodących aż do Rzymu. Niezdobyte, kamienne fortyfikacje Megiddo mieściły w swym obrębie wspaniałe pałace, olbrzymie cysterny, bajeczne składy złota i zboża, okazałe stajnie oraz zdumiewającą liczbę tajnych komnat i tuneli. Liczne oddziały rydwanów, łuczników i piechurów wprawnie broniły szczytu, decydując o tym, komu wolno było podróżować biegnącymi przez dolinę szlakami handlowymi.

Z wierzchołka wzgórza drogi przebiegające przez Megiddo były doskonale widoczne na przestrzeni wielu mil, stawiając ewentualnego napastnika w położeniu nie do pozazdroszczenia. A jednak nieustannie decydowali się na to najeźdźcy z Egiptu, Rzymu, Persji, Syrii i Izraela. W sumie decyzję o ataku podejmowano dwadzieścia dwa razy — za każdym razem przyszło za to zapłacić olbrzymią cenę. Kiedy około 1468 roku p.n.e. egipski faraon Totmes III zdobył Megiddo, sprawozdanie z bitwy wysławiało zwycięstwo jako równe wzięciu tysiąca miast. Jedno z oblężeń trwało osiem miesięcy. Król Dawid podbił Megiddo i uczynił z niego wysunięty przyczółek izraelskiego oręęża. Później twierdzę obsadzono setkami konnych i rydwanów, zapewne za sprawą króla Salomona.

Nowi panowie Megiddo za każdym razem sprowadzali ze sobą swych bogów. Ołtarze zwycięzców zawsze wznoszono na ruinach ołtarzy pokonanych, w nie kończącym się kręgu dominacji i rytualnego bezczeszczenia. Ile tysięcy bezimiennych ofiar musiało zginąć, podczas gdy monarchowie i wodzowie walczyli o kontrolę nad tym strategicznym wzgórzem? Ta ziemia spływała krwią, i to często.

Nic dziwnego, że nawet kiedy sława Megiddo jako pola śmierci starożytności przygasła, wciąż uważano to miejsce za dobre pole bitwy. W bieżącym stuleciu Brytyjczycy pokonali Turków pod Megiddo podczas pierwszej wojny światowej. Siły Osi podczas drugiej wojny światowej planowały nigdy nie przeprowadzone uderzenie kleszczowe przez ten korytarz. Żydowski żołnierz stoczył

krwawy bój z Legionem Arabskim, zdobywając to skrzyżowanie dróg i włączając je w obręb terytorium nowego państwa Izrael.

Dziś Megiddo wydaje się jedynie historycznym miejscem w północnym Izraelu, na skrzyżowaniu autostrad 66 i 65. Po jednej stronie drogi znajduje się niewielki kibuc Megiddo, jedyna osada w okolicy. Po drugiej stronie skrzyżowania wznosi się więzienie Megiddo, gdzie Izrael przetrzymuje szczególnie niebezpiecznych więźniów. Pomiędzy kibucem a więzieniem rozciągają się ruiny starożytnego Tel Megiddo, zachowane dzięki nieustannie prowadzonym wykopaliskom i posiadające jeden z najlepszych archeologicznych centrów turystycznych w Izraelu, słynny dzięki swej doskonale zaopatrzonej kantine, charakterystycznym T-shirtom i łatwemu dostępowi do zawalonych fortyfikacji i innych odkopanych budynków tej świetnej twierdzy.

Lecz w rzeczywistości Megiddo to coś więcej niż tylko skrzyżowanie kibucu, więzienia i starożytnego rumowiska. Hebrajskie słowo oznaczające „górze” albo „wzgórze” to Har. Nazwa „Har Megiddo” na przestrzeni dziejów uległa wielu przekształceniom i powstało z niej doskonale nam dziś znane słowo, Armagedon.

Właśnie do Megiddo wczesnym wieczorem 30 grudnia 1999 roku przyjechał Dan, by zgodnie z zaleceniem Amnona odizolować Sala. Wjeżdżając na skrzyżowanie ze wschodu, Dan skręcił w lewo, na długą wąską drogę dojazdową do kibucu. Kończyła się ona przy masywnej bramie strzeżonej przez weterana. Solidna, blokująca drogę brama była czymś zupełnie zwyczajnym w narażonym na rozmaite ataki kibucu, broniącym się w przeszłych latach przed terrorystami, ta jednak była jedną z ostatnich, jakie jeszcze funkcjonowały w północnym Izraelu. Dan zamachał przyjaźnie do strażnika, informując go, że jest oczekiwany w schronisku. Weteran odpowiedział skinieniem głowy i przesunął automatyczną czerwoną bramę tylko na tyle, by Dan i Sal mogli wjechać do środka.

Dan wjechał na nie oświetloną, krętą, polną drogę i po paru sekundach dotarł do biura schroniska. Tam on i Sal spotkali Yaacova.

Yaacov był miłym starszym mężczyzną, o cieplej, pomarszczonej twarzy i niewysokim, niegdyś umięśnionym ciele. Siwe włosy

wychylały się spod rozpiętej koszuli, która ukazywała pierś spaloną słońcem podczas codziennej pracy w polu. Jego oblicze dowodziło jednoznacznie, że jest człowiekiem żyjącym w całkowitej harmonii ze światem.

Yaacov wyjaśnił im pogodnie, że Dan i jego grupa z trudem pomieszczą się w kibucu. Większość kibuców prowadziła skromne schroniska, a Megiddo było popularnym celem odwiedzin dla izraelskich i amerykańskich turystów zwiedzających północ kraju. Wszędzie stały autobusy. Dopiero po ponagląjącym telefonie Amnona zarząd kibucu zgodził się przygotować dwa pokoje — jeden dla Park i Sala, drugi dla Motkego i Dana — w starym, nie używanym schronisku, które wciąż było w trakcie remontu. Wypełniając papieiry meldunkowe, Yaacov upewnił się, że nikomu nie przeszkadza brak klimatyzacji ani telewizji.

Lecz Dan nie był zainteresowany wygodami. Natychmiast rozpoznał w Yaacovie świadka holocaustu, ukrytym zmysłem, który posiadają jedynie dzieci ludzi, którzy sami to przeżyli.

— *Fuhn vannit kumst dere?* — zapytał Dan w jidysz. Zawsze używał jidysz, pytając ludzi ocalałych z holocaustu, skąd pochodzą. W Izraelu niewielu ludzi znało jidysz i używanie języka będącego częścią ich europejskiego dziedzictwa stanowiło dowód szacunku ze strony Dana.

Wkrótce Yaacov i Dan rozmawiali z zapalem, używając mieszanki łamanego jidysz, angielskiego, hebrajskiego, a nawet odrobiny francuskiego, byle tylko znaleźć zrozumiałe dla obu słowo. Taka taktyka była normalnym aspektem porozumiewania się w Izraelu, który nierzadko zamieniał najprostszy dialog w fascynujące, lingwistyczne wyzwanie. Sal nie rozumiał niczego z tej wymiany zdań, więc Dan wszystko dla niego tłumaczył. Było to dla niego pierwsze spotkanie z kimś, kto pamiętał holocaust, toteż każde zdanie było niemal objawieniem, chwycił się każdego słowa, choć nie było w nich płomiennej jasności matematyki, jedynie mroczne, nieprecyzyjne wspomnianie przeszłości. Sal jednocześnie cieszył się tymi wspomnieniami i swoją własną chęcią cieszenia się nimi.

Yaacov pochodził z Polski, był weteranem ruchu oporu z getta.

Dan wiedział, że świadkowie holocaustu dzielili się na trzy kategorie: więźniów obozów koncentracyjnych, bojowników z gett oraz leśnych partyzantów. Rodzice Dana byli partyzantami, lecz mieli wiele wspólnego z tymi, którzy stawiali opór w zamkniętej przestrzeni europejskich gett. Dan pragnął poznać historię kibucu Megiddo i przyczynę, dla której Yaacov przyjechał właśnie tu.

— Dlaczego? Cała nasza grupa tu przyjechała—odparł Yaacov, nie bardzo rozumiejąc to pytanie. — Było nas czterdziestu — sami smarkacze z różnych gett, paru z lasu. Łączyło nas jedno: wszyscy walczyliśmy o przeżycie. Kiedy śmierć spróbowała nas zabrać, umknęliśmy jej w cudowny sposób — powiedział cicho i z dumą, wymawiając każde słowo niczym bajarz opowiadający uszną historię plemienia.

W przeciwieństwie do wielu innych świadków holocaustu, którym wspomnianie czasu wojny sprawiało ból, Yaacov uśmiechnął się, mówiąc:

— Niektórzy wyczołgali się z dołów śmierci, spod ciał przyjaciół i krewnych zastrzelonych na ich oczach. Inni zostali postrzeleni, lecz nie umarli. Czasami pocisk przeszedł przez nich na wylot. Znam dziewczynę, która spojrziała faszyście prosto w oczy, a ten bez przyczyny wyciągnął ją z jednej kolejki i postawił w innej, ratując jej życie. Owszem, zdarzały się i takie sytuacje. Pewien człowiek przez dwa tygodnie ukrywał się pod podłogą, czekając na sposobność ucieczki.

— A twoja historia — zapytał Dan.

Yaacov uśmiechnął się, zmrużył powieki i zapewnił go:

— Tak, ja też mam swoją historię. Ale nie dzisiaj. Opowiem ci ją kiedy indziej. W tym kraju jest wiele historii.

— Czyli cały kibuc został zasiedlony przez uciekinierów? To niezwykle.

— Wszyscy chcieliśmy wyjechać do Palestyny — odparł Yaacov — a we Włoszech trafiliśmy na statek Agencji Żydowskiej. Zeszliśmy na ląd w Erec Israel i od razu przewieziono nas tutaj, w ogień walki. Byliśmy dobrymi żołnierzami, nie baliśmy się niczego. Po uzyskaniu niepodległości Agencja Żydowska poleciła nam założyć

tu kibuc. Więc założyliśmy. Nie mieliśmy domu. To miejsce stało się naszym domem. Większość ludzi pragnęła nazwać kibuc od nazwiska Kapłana, bojownika z getta, którego znaleźliśmy. Ale kibuc miał stanąć na miejscu dawnego Megiddo, biblijnej fortecy. Po burzliwej dyskusji postanowiono, że dawna historia Izraela jest ważniejsza od naszych przeżyć w getcie. Dzięki temu żyjemy w miejscu związanym nie z czasami prześladowań, a z izraelskimi królami. — Yaacov przechylił głowę, jak gdyby podawał kawę, zadowolony ze swych słów.

— To znaczy, że przed waszym przyjazdem nie było tu niczego?  
— zapytał Sal.

— Żadnego osiedla — odparł Yaacov, słodko spoglądając Salowi w oczy — jedynie parę arabskich domostw w miejscu zwanym Lejune. Uciekli podczas walk, a po budynkach pozostał już tylko fragment meczetu muftiego, przy polu po drugiej stronie. Nikt z Lejune tu nie wrócił.

Zapadła noc i w oddali zapłonęły światła zbliżającej się białej furgonetki. Zaparkowała przed biurem. Park i Motke wyskoczyli pierwsi, a za nimi Amnon, który wymienił po hebrajsku uprzejmości z Yaacovem, zanim podpisał dokumenty poświadczające obciążenie rządu rachunkiem za nocleg. Kibuc przygotował Amnonowi jako specjalnemu gościowi łóżko w sypialni stałych mieszkańców kibucu, którą to uprzejmość zawdzięczał temu, że wychował się w podobnym kibucu nieopodal Rosh Pina. O świcie miał jechać na odprawę do niedalekiej Afuli, więc nie potrzebował śniadania.

Zaniepokojona Park niezwłocznie odszukała Salę, upewniając się, że jest cały i zdrowy, a zarazem wypyując go o wyczyny Dana za kierownicą. Motke chciał tylko wiedzieć, czy było już za późno najedzenie, czy też będą musieli pojechać do Afuli na kolację. Na szczęście w kuchni kibucu zachowały się pozostałości po wieczornym posiłku.

Po rozdaniu kluczy, wszyscy rzucili się na plasterki salami, popijając je puszkami zimnego schweppesa z małej, biurowej lodówki, obsługiwani przez Yaacova z taką godnością, jakby była to okazała uczta.



Zapręgając do tłumaczenia Motkego i Dana, Park w napięciu zapytała Yaacov:

— Tu ma się odbyć Armagedon, prawda? To jest Har Megiddo? Staruszek tylko się uśmiechnął.

Park spodziewała się jakiejś reakcji. Dan również był odrobinę zaskoczony brakiem odpowiedzi.

— Apokalipsa 16,16 — wyjaśniła Park, dodając krótkie streszczenie legendarnej, ostatecznej bitwy między Dobrem a Złem.

Staruszek wzruszył ramionami.

— Ludzie czasami wspominają o tym — odpowiedział w końcu z czystej uprzejmości. — Turyści z Ameryki, którzy się tu zatrzymują, mówią o tym. A podczas swej jedynej wizyty w Izraelu papież nie pojechał do Jerozolimy czy Tel Awiwu, lecz właśnie tutaj spotkał się z prezydentem Izraela. Podobno omawiali sprawy wielkiej wagi. Nikt nie wiejake. To było dawno temu. W muzeum w Tel Megiddo jest zdjęcie z tamtej wizyty. Papież wspomniał o tym samym, co pani. Ale nikt tu nie wie, co to oznacza.

Ani Yaacov, ani żaden z założycieli kibucu nigdy nie czytał Nowego Testamentu i nie wiedział, czym jest Apokalipsa. Podobnie Motke i Amnon, którzy przyznali, że nie są zaznajomieni z „nową Biblią”. Nawet Dan, choć rozumiał popularne znaczenie Armagedonu z filmów i popkultury, jedynie mętnie znał odniesienia do Apokalipsy.

Pragnąc pomóc przez podsuniecie nowej informacji, Yaacov powiedział natomiast:

— Pamiętam, jak czytałem Księgę Zachariasza, kiedy byłem chłopcem. Podobała mi się i często do niej zaglądałem. Jest tam powiedziane, że kiedy nadejdzie wielka bitwa ostatecznego końca, będzie wielki płacz w Jerozolimie podobny temu na równinie Megiddo. Tylko tyle wiem. Ale z drugiej strony nie mamy tu żadnego egzemplarza Biblii.

Dan zwrócił uwagę na te słowa.

— Żadnej Biblii?

— W tym kibucu nie ma rabina, religii, synagogi ani polityki — oznajmił z dumą Yaacov. — W szabat po prostu zaprzestajemy pracy, ale nie modlimy się.

Danowi trudno było w to uwierzyć, ale Motke uznał to za dobry pomysł, nie taki znów niespotykany w kibucu.

— Nasz kibuc założyli ludzie, którzy przeżyli holocaust — wyjaśnił Yaacov — ale teraz mieszkają tu ochotnicy z całego świata. Chińczycy, Latynosi, ludzie z Milwaukee, Nigerii, Finlandii — ze wszystkich krajów. Dlatego nie ma tu religii. Tylko rolnicy. I czemu nie? Wszyscy żyją tu w pokoju. Uprawiamy ziemię, wyrabiamy biżuterię w fabryczce, mamy dobre mleko od krów, odpoczywamy w szabat. Nic więcej. To dobre życie. Co może w tym być złego? Zachariasz powiada też, że kiedy na ziemi zapanuje pokój, nie będzie kapłanów, tylko rolnicy.

Dan i Park zajrzeli przez okno do sąsiedniego pokoju, gdzie trwało spotkanie komitetu kibucu. Zgodnie ze słowami Yaacova, pomieszczenie wypełnione było ludźmi wszystkich ras. Wszyscy uśmiechali się, rozmawiając spokojnie.

— Gdybym nie znała ludzkiej natury — zauważyła Park — powiedziałabym, że ludzie w kibucu Megiddo rzeczywiście... hmm, żyją w harmonii.

Dan wyszedł wraz ze wszystkimi na chłodne, nocne powietrze przesycone wonią dzikich kwiatów, zapachem czerwonej ziemi i nadciągającym deszczem. Podczas krótkiej wspinaczki na wzgórze, gdzie mieściły się ich sypialnie, przeppełnił ich wszechobecny spokój. Po części było to wrażenie, jakie odnosiło się w każdym kibucu. Lecz ten był szczególny, mieścił się na historycznym wzniesieniu, gdzie pokój i prostota w końcu zastąpiły sześćdziesiąt stuleci wojny i zniszczenia. Pokój okazał się ostatecznym zdobywcą Megiddo.

To wyciszenie wyczuwalne było niemal wszędzie. Dzieci bawiły się i chichotały w basenie. Staruszek w szortach powoli jechał na staromodnym rowerze jedną z przecinających ogród ścieżek. Chinka i stara Żydówka machały na dobranoc afrykańskiemu małżeństwu, u którego były z wizytą. Świeciły gwiazdy. Niebo było czyste.

Park odwróciła się do Dana i powiedziała:

— To cudowne miejsce.

Pocałował ją w policzek i życzył dobrej nocy.

Amnon zapewnił wszystkich, że mogą bez obaw kłaść się spać. Trzech mężczyzn z zespołem Downa szło w kierunku jednego z zaparkowanych nieopodal autobusów.

- Zostawiłem kapelusz w autobusie. Teraz idę go przynieść
- powiedział Raymond. Kiedy ich mijał, uśmiechnął się w blasku gwiazd i powiedział wylewnie, wskazując palcem: — Kocham cię
- i ciebie, i ciebie, i ciebie, i ciebie. — Zamachali do niego uprzejmie, nie wiedząc, co powiedzieć. Raymond dodał z niewzruszoną radością: — I Bóg też was kocha.

31 grudnia 1999 roku. Ostatni wschód tysiąclecia.

Ogórki. Pomidory. Zielona papryka.

Od dziesięcioleci Yaacov każdego ranka powtarzał śniadaniowy rytuał kibucu. Zaczekać w kolejce, włożyć ogórki, pomidory i zieloną paprykę do miski, zanieść je do stołu, pokroić w kostkę albo w plasterki, wymieszać na sałatkę. Dodać soli i pieprzu. Zjeść. Tak zawsze wyglądało śniadanie w tym kibucu. Tego ranka, jak przez minione półwiecze, Yaacov uznał je za bardzo sycące.

Dan i Motke spędzili za młodu trochę czasu w kibucu i rytualne krojenie warzyw także sprawiło im przyjemność. Motke pochwalił wprawę Dana, Dan odwzajemnił komplement. Park i Sal nie byli przygotowani na czekające ich wyzwanie, lecz szybko nabrali wprawy, krojąc i przyprawiając do smaku.

Zakończywszy krojenie, Dan wyrzucił z siebie kolejną falę pytań o Megiddo. Na przykład, dlaczego — akurat lulaj — po drugiej stronie mieściło się więzienie?

— Z tego, co słyszałem — odparł Yaacov — w tym miejscu zawsze było jakieś więzienie. Izrael odziedziczył je po Brytyjczykach, którzy używali go od czasów pierwszej wojny światowej i jeszcze w czasach mandatowych. Brytyjczycy przejęli je od Turków, kiedy Allenby przetoczył się przez Megiddo podczas pierwszej wojny światowej; ta bitwa umożliwiła ostateczne rozprawienie się z imperium otomańskim. Turcy wykorzystywali to więzienie od

szesnastego wieku. A tak naprawdę to pochodzi ono jeszcze z czasów rzymskich, kiedy stacjonował tu szósty legion, Żelazny Legion znany jako *Ferata*. Mieścił się tu legionowy obóz.

— To dawne arabskie obozowisko, Lejune — to nie jest arabska nazwa, prawda? — zapytał Motke.

— Zgadza się — potwierdził Yaacov. — Nazwali tę wioskę od legionu... Lejune. Zbadałem tę historię, kiedy pisałem ulotkę o kibucu. Jest bardzo interesująca. Może to więzienie jest jeszcze starsze niż Rzym?

— Macie tu jakichś Anakitów? — zapytał nieoczekiwanie Dan, ściągając na siebie zaniepokojone spojrzenia pozostałych.

Yaacov wyglądał na zdezorientowanego.

— Anakici? Ci giganci z Biblii? — Wzruszył ramionami. — Nie wiem, do czego zmierzasz. Nie ma tu żadnych gigantów. Hitler próbował ich wyhodować, ale nie tutaj.

— Hitler? — Dan wyprostował się gwałtownie.

— Oczywiście — odparł Yaacov. — Hitler pragnął stworzyć rasę panów — jasnowłose, niebieskooki, muskularny, niezwykle wysoki lud, który nazywał „czystymi Aryjczykami”. Hitler twierdził, że Aryjczycy byli prawdziwymi Niemcami — albo prawdziwymi Niemcami, których pragnął stworzyć. Na wsi i w specjalnych żłobkach Hitler próbował wyhodować tych niezwykle wysokich ludzi. Ale nie zrealizował swych planów. — Yaacov odbił piłeczkę na drugą stronę. — Pozwól, że teraz ja zadam tobie pytanie. Jak trafiłeś do Megiddo?

Dan zacisnął wargi, pokroił jeszcze parę warzyw i przyznał:

— Nie wiem. Daj mi się nad tym zastanowić — zaśmiał się.

Po kolejnych piętnastu minutach spędzonych na rozmowie o miejscowej mleczarni, warsztacie jubilerskim, zakładzie produkcji plastikowych okładek, godzinach otwarcia basenu oraz bibliotece i archiwach kibucu, którymi opiekował się Yaacov, Dan usprawiedliwił się i oddalił od pozostałych.

Kiedy wychodził z jadalni, Yaacov zapytał ponownie:

— Więc wiesz już, dlaczego trafiłeś do Megiddo — czy też nie?

Umysł Dana zaprzątnięty był innymi sprawami, toteż skwitował

to pytanie wzruszeniem ramion. Yaacov uśmiechnął się ciepło i zbył tę kwestię niedbałą uwagą:

— Może wiesz. Tylko jeszcze nie wiesz, że wiesz. Dan zatrzymał się w proggu i wrócił do stolika Yaacova.

— Co powiedziałeś?

Początkowo Yaacov nie zrozumiał pytania, lecz gdy Dan zaczął indagować go na temat tego szczególnego powiedzenia, Yaacov odpowiedział od niechcenia:

— Och, to tylko takie powiedzenie. To nic nie znaczy.

— Zdziwiło mnie — wyjaśnił Dan — bo mój ojciec zwykł tak do mnie mówić.

— To takie powiedzenie — odparł Yaacov. — Pierwszy raz usłyszałem je przed laty w Polsce, od jednego z naszych.

Dan zachęcił go do podzielenia się z nim dokładniejszymi wspomnieniami.

— To część mojej własnej historii — opowiadał Yaacov ze spokojnym uśmiechem. — Działo się to tuż po wojnie, nikt wtedy nie wiedział, dokąd zmierza. Z wyjątkiem partyzantów z naszej grupy. Wybieraliśmy się do Palestyny. Ja miałem spotkać się z paroma z nich i dostać na statek. Po drodze potwornie zgłodniałem. Szedłem drogą i spotkałem dwoje młodych ludzi. Bardzo dzielnych, przeżyli, ukrywając się w lesie. Nie miałem jedzenia i byłem tak głodny, że nie mogłem iść dalej. Osłabłem i siedłem przy drodze. Ci dwoje mieli rybę — niezbyt dużą, dostali ją od kogoś po drodze. Też byli głodni. Kobieta była chora od jedzenia leśnych świństw. Ale ja chyba byłem bardziej chory, bo nie mogłem się nawet poruszyć. Siedziałem na poboczu, w głowie mi się kręciło, ciało bolało mnie z głodu. W getcie byliśmy przyzwyczajeni do braku jedzenia. Ciągłe byliśmy głodni. Lecz nie wiadomo czemu, tamtego dnia zabrakło mi siły. Ci dwoje odjęli sobie od ust i podzielili się ze mną. Chłopak rozpałił niewielkie ognisko, upiekł rybę i zjedliśmy ją pospołu. To mnie uratowało. Potem dołączyli do mojej grupy i mieliśmy razem wyjechać do Palestyny. Gdyby tak się stało, byłiby teraz z nami, bo cała nasza grupa tu przyjechała.

— Ale nie przyjechali? — zapytał Dan.

— Nie. W ostatniej chwili odłączyli się od nas. Chłopak mówił: „Coś podpowiada mi, żebym pojechał do Ameryki. Wielu ludzi wyjeżdża do Ameryki. Wciąż słyszę w głowie: *Jedź do Ameryki*”. Tak więc nie dotarł na okręt Agencji Żydowskiej, tylko do obozu dla dipisów — niedaleko od miejsca, w którym przebywaliśmy. I tyle. Ci dwoje nigdy nie dotarli do Megiddo. Ale gdyby nie ten miły chłopak — bardzo dzielny, pewnie spoczywałbym od dawna w ziemi. Nie rozmawiałbym teraz z tobą.

Dan był pochłonięty opowieścią, dostrzegał w niej podobieństwa do historii rodziców. Często wspominali, jak to tuż po zakończeniu wojny byli głodni, a dziwny człowiek przy drodze podarował im rybę, pod warunkiem, że opowiedzą tę historię swoim dzieciom.

Yaacov nie zwrócił uwagi na szybko zmieniające się zachowanie Dana i po prostu opowiadał dalej, pochłonięty wspomnieniami:

— Zanim ci dwoje wyjechali do obozu dla dipisów, my wszyscy i ludzie z Agencji Żydowskiej próbowaliśmy im to wyperswadować. Dlaczego, pytaliśmy. Co takiego jest w tej Ameryce? Jedź do Palestyny. Możesz nam powiedzieć, dlaczego zmieniliście zdanie? Kiedy zapytałem go ostatni raz, chłopak powiedział mi: „Może wiemy, tylko jeszcze nie wiemy, że wiemy”. Śmieszny komentarz, nie? To wtedy nauczyłem się tego powiedzonka. Nu?

— Yaacov — powiedział Dan w większości w jidysz — pamiętasz może imiona tych dwóch polskich dzieciaków?

Yaacov uśmiechnął się ciepło, odpowiadając:

— Och. Upłynęło tyle czasu. Kto by spamiętał? Imiona. Kto to pamięta? Nie byli z nami do końca. Więc nie wiem.

Motke i Park, dostrzegając wzruszenie Dana, pociągnęli go delikatnie.

— Chodź na basen — powiedział Motke. — Dali nam kąpielówki.

Dan zgodził się i cała grupa udała się nad basen.

Byli w połowie drogi, kiedy Yaacov pospieszył za Danem, wołając:

— Przypomniałem sobie. Może. Miał na imię... — spojrzał w niebo, ponownie wyteżając pamięć — miał na imię... Mendel. — Rozczarowany Dan odrzucił wszelką możliwość istnienia jakiego-

kolwiek związku, związku, jakiego zawsze poszukują ocaleli z holocaustu i ich dzieci. Dziękował Yaacovowi za wysiłek, kiedy ten przerwał mu: — Poczekaj. Nie Mendel. Mojsze. On miał na imię Mojsze, a ona... ona... Rivkele. Teraz dobrze sobie przypominam. Danowi nagle powilgotniały oczy, przycisnął dłoń Yaacova do twarzy, wzruszony jego opowieścią. Jeszcze nie całkiem rozumiejący Yaacov po prostu objął go gestem ojca pocieszającego zrozpaczone dziecko.

— Yaacov, myślę, że spotkałeś wtedy moich rodziców — oznajmił Dan, dygocząc z podniecenia. — Mój ojciec miał na imię Mojsze, mama Rivke, oboje przetrwali w lesie w Polsce i parokrotnie opowiadali mi, jak zdobyli na drodze rybę, która uratowała ich od głodu. Nigdy nie wspominali o tobie ani o podzieleniu się tą rybą, ani nawet o planach wyjazdu do Palestyny. Ale opowiadali o tej głupiej rybie. To szalone, że wspominali właśnie o tym. Mieli tysiąc historii do opowiadania. Ale właśnie tę jedną lubili opowiadać.

Yaacov, nareszcie pojmując znaczenie tego, co się dzieje, skubnął Dana z czułością w policzki, mówiąc:

— To bardzo możliwe. W tym kibucu ukrytych jest tyle historii. W takim razie porozmawiamy po pracy. Teraz muszę iść do moich krów. To moja praca.

Dan nie był przygotowany na niespodziewane odejście Yaacova. Próbował wydostać z niego więcej informacji, lecz staruszek z wdziękiem zakończył ich rozmowę powtarzając: „Teraz krowy”, po czym odszedł.

Motke i Sal ulotnili się, tak by Park mogła podejść i pocieszyć Dana, wciąż rozdygotanego po rozmowie. Jedyne z powodu nadmiernego wzruszenia umknął przed jej dotykiem. Spróbowała ponownie, lecz on uchylił głowę przed jej pocałunkiem.

— Jestem tutaj — Bóg jeden wie jakim cudem — zaczęła Park, okazując mu swój ból wywołany tym, że ją odtrącił. — Spotkałam cię... to był zwykły parking w Chicago. Teraz stoję razem z tobą ni mniej, ni więcej tylko w Armagedon. Pragnę być z tobą, dbać o ciebie, poznać twoją kulturę i doświadczenia. Rzucić dla ciebie na szalę moje życie. Mojego syna też. Ale ty mi na to nie pozwalasz.

Dan spał się, słysząc ton jej głosu, spojrział na nią, odwrócił wzrok i spojrział ponownie.

— Miałeś nielekką, owszem — mówiła dalej. — Inni też. Ja także. Straciłam rodziców. Straciłam ludzi, których kochałam. Od czuwał ból. Ale ty żyjesz swoim bólem. A w rzeczywistości to on żyje tobą. Jest jak strup, który nie chce odpaść. Zamknąłeś się w przeszłości, zatrzymując drzwi do przyszłości, drzwi do teraźniejszości. Nie chcesz ich otworzyć. A kiedy inni próbują to uczynić, nie pozwalasz im.

W końcu do jej oczu napłynęły łzy.

— Co muszę zrobić, żebyś mnie wpuścił? Co muszę zrobić, żebyś otworzył te drzwi? A jeśli wejdziesz, okażesz mi, że ci zależy, czy odsuniesz się jak zawsze?

Dan wybuchnął tak, jak potrafi wybuchnąć jedynie cierpiący mężczyzna rozmawiający z ukochaną.

— Chcesz, żebym zapomniał! Chcesz, żebym zachowywał się tak, jakbym dwukrotnie nie stracił rodziny: rodziców, kiedy byłem mały, a żony i syna na moich oczach? Mam się zachowywać tak, jakby nic się nie stało? — Szarpnięciem rozpiął koszulę, uderzając się w nagi tors. — Spójrz — załamał się, wykrztuszając z siebie słowa, — to boli.

Park przycisnęła czoło do jego czoła.

— Nie zapominaj. Czuj swój ból. Ale nie zamykaj go w sobie — powiedziała błagalnie. — Wpuść mnie. — Nie dostrzegła żadnej reakcji. — Wpuść mnie, albo nie tylko nie będzie dla mnie miejsca w twoim życiu, ale i dla ciebie w moim.

Dan pragnął zareagować, ale nie potrafił.

— Wpuść mnie albo uwolnij — zażądała.

— Nie mogę — powiedział Dan słabym głosem. — Porozmawiaj ze mną kiedy indziej. Nie dzisiaj.

Park odwróciła się i ruszyła w dół wzgórza, do pokoju, zamierzając się spakować i udać na lotnisko, zabierając ze sobą Salę, bez względu na wszystko. Dan odprowadził ją wzrokiem, zmrużył oczy, zacisnął pięść i zaczął bić się po głowie. Dym i ogień osmałiły mu



oczy. Jenny zapaliła dwie smukłe, białe szabasowe świece. Simon spadł z roweru. Odrzutowiec zahuczał mu w głowie. Matka podała mu szklankę soku. Przyjął ją, lecz była próżna. Jenny napełniła ją. *Sieg heil*. Wagon postukujący na zimnych szynach ze stali przetoczył się po nim, rozcinając jego ciało w pół. Jego rodzice złapali jedną połowę, Jenny powlekła drugą przy pomocy Simona. Razem usiłowali złożyć na powrót jego rozczłonkowany tors. Przyglądał się swemu ciału z wysoka. „Wiesz — skarcił go ojciec — tylko jeszcze nie wiesz, że wiesz”.

Dan otworzył oczy i pobiegł pod górę. Park była poza zasięgiem głosu i nie mogła wiedzieć, że woła jej imię. Skręciła za róg i wspięła się po schodach do pokoju. Kątem oka dostrzegła Dana pędzącego w stronę budynku; zatrzymała się przy drzwiach, pozwalając mu się dogonić.

— I? — zapytała.

— I dobrze... — odparł zadyszany po biegu.

— Co dobrze? — zapytała ponownie.

— To, co mówiłaś — odpowiedział, mając problem z wypowiedzeniem niezbędnych słów. — Dobrze... to, co mówiłaś.

— To twój sposób na powiedzenie, że zamierzasz mnie wpuścić — zapytała — i pokazać mi, że ci zależy?

— Tak — odparł, łapiąc dech. — Coś w tym sensie.

— Pokażesz mi, że ci zależy? — zapytała raz jeszcze.

Przytaknął.

Chwyliła go delikatną dłonią za podbródek, spojrzała mu prosto w oczy i powiedziała nieugięcie:

— To pokaż mi.

Dan uspokoił oddech i podszedł do niej, trzymając ją za rękę i odnajdując spragnionym pocałunkiem jej wargi. Śmiało przeciągnął ją od jej drzwi do swoich. Park zatrzymała go i powtórzyła:

— Pokażesz mi.

Dan obiecał. Weszli do pokoju Dana. Dotrzymał słowa.

Tuż przed ostatnim świtem tysiąclecia Amnon przyjechał do niewielkiej, pomocniczej bazy wojskowej na peryferiach Afuli. Siadając za kierownicą dużej białej furgonetki Dana, ominął kilka wycharterowanych przez wojsko autobusów turystycznych Eggedu\*, ciężarówki, furgony, transportery i jedną śmieciarkę. Zaparkował przed położoną na uboczu salą odpraw operacji specjalnych. Trzech adiutantów już czekało na niego i zaprowadziło na przód sali. Na długim stole z tyłu pomieszczenia stały plastikowe pojemniki z sokiem jabłkowym i pomarańczowym, gorąca kawa i sterty plastikowych kubków. Lecz chętnych było niewielu. Wszyscy byli skupieni na czekającej ich tajemniczej misji.

W sali czekało stu starannie wybranych żołnierzy, najbardziej niezwykła zbieranina komandosów w historii Izraela. Nie mogli się powstrzymać, by nie spoglądać na siebie z dziwną mieszaniną braterstwa i pogardy. W pierwszych szeregach siedzieli najtwardsi żołnierze Izraela, wygoleni na zero komandosi Yami i elitarni spadochroniarze Sayeret Matkal, zaprawieni w tajnych operacjach na terenie Libanu, uzbrojeni w trzymane między stopami rozładowane uzi i zębate noże przypięte do łydek. Ci ludzie przyzwyczajeni byli do stosowania nietypowej taktyki w trakcie misji, z których powrót często stał pod znakiem zapytania. Byli najlepsi i najdzielniejsi ze wszystkich.

Obok nich siedziało kilkudziesięciu wyższych oficerów przed emeryturą, siwiejących weteranów cudownych, błyskawicznych zwycięstw na Synaju i podczas nieprawdopodobnego przełomu podczas wojny Jom Kippur. Wszyscy z nich służyli z albo pod generałem Mosze Dayanem. Nie byli uzbrojeni, mieli ze sobą jedynie telefony komórkowe i teczki.

Trzeci oddział składał się z czterdziestu świadków holocaustu, leśnych partyzantów i bojowników z gett, niejednokrotnie także weteranów wojny o niepodległość. Wszyscy mieli berety i opaski na rękach. Niektórzy ściskali swe wierne, czeskie karabiny. Na ich pobrużdżonych twarzach malowały się niezwykła duma i spokój,

\* Egged — izraelskie linie autobusowe.

poczucie zaszczytu, za jaki uważali wezwanie na tę misję. Oddział uzupełniało dwunastu rabinów z rabinatu izraelskich sił zbrojnych. Amnon ledwie zdążył nakazać spokój w sali, gdy jeden z komandosów podniósł się, pytając pogardliwie:

— Do jakiej misji potrzebni są ci faceci? — Wskazał na starszusków, co wzbudziło niemalże jawny śmiech wśród jego towarzyszy.

— Siadaj — rozkazał Amnon. — Dzisiaj na tej sali ma panować dyscyplina. Większa od tej, jaką kiedykolwiek okazywaliście. Czeką nas bardzo szczegółna misja i nie bez przyczyny wybór padł na was. Rabinowie zostali już wtajemniczeni w jej szczegóły. Teraz posłuchajcie tego, co mam wam do powiedzenia.

Po pierwsze, wszyscy jesteście żołnierzami armii Izraela bądź też jej rezerwistami. Nasza armia nie powstała wczoraj ani nawet w roku 1948. Jesteśmy potomkami wojowników, którzy podbili Kanaan, którzy zawarli przymierze. O ich zwycięstwach i porażkach możecie czytać w Biblii — przerwał i zwrócił się do wyszczerzonego szyderczo komandosa: — Jeżeli zaczniesz sobie żartować albo się uśmiechać, zostaniesz zapamiętany jako człowiek, którego wyrzucono z odprawy przed najważniejszą misją w historii naszego kraju. Osobiście poinformuję o tym gazety. Potem staniesz przed sądem wojennym.

Komandos natychmiast się uspokoił. Starsze pokolenia przysłuchiwały się słowom generała w głębokim skupieniu.

— Rabinowie już znają szczegóły misji — przypomniał Amnon, skinieniem ręki przywołując ich do siebie. — Jak już mówiłem, znajdujemy się na Ziemi Izraela, a wy jesteście jego wojownikami. Armia, jak wiecie, zawsze prowadzona była wiarą w Boga, obserwujemy wydarzenia, modlimy się o cuda. Widzieliśmy wiele cudów. Rutynowo nazywamy je cudami. — Odwrócił się do rabinów. — A niektórzy uważają, że to prawdziwe cuda. Powstanie państwa atakowanego z sześciu stron, zajęcie Synaju w pięćdziesiątym czwartym w ciągu stu godzin, wojna sześciodniowa. Entebbe. To były cuda. Wojna Jom Kippur była katastrofą. Jak wielu ojców, straciłem w niej syna. Ale uniknęliśmy jeszcze większej katastrofy,

kiedy przerwaliśmy front i zmusiliśmy do kapitulacji egipską Trzecią Armię. To był cud.

Przeszedł do przykładów, które mogły przemówić do młodszych żołnierzy.

— Irackie Scudy — opowiadał Amnon — spadały na Ramat Gan niczym posłańcy Szatana. Mogły spowodować nieobliczalne straty. Mogły być wypełnione gazem VX albo zarazkami węglika. Lecz Irak został pokonany z szybkością błyskawicy. Nasi generałowie stanęli przed kamerami telewizji i nazwali to cudem. Scudy zostały powstrzymane. Myślicie, że nie było w tym ręki Boga? Wielu badaczy historii uważa, że tak właśnie było. — Amnon przerwał, by otrzeć pot z czoła. — Ja nie zajmuję się historią... ale też tak uważam.

Podniósł się jeden ze starszków.

— Młodzi tego nie wiedzą — zawołał. — Przyszli faszyci i wybili całe moje miasteczko, ot, tak. Ci, którzy uciekli — ja i jeszcze trzech — walczyli gołymi rękami, a Bóg stał u naszego boku. Potrzebujecie broni? W getcie mieliśmy pociski bez karabinów i karabiny bez pocisków. Co było wtedy naszą bronią? — Rabinowie chórem zmówili krótką modlitwę dla podkreślenia wagi jego słów.

— Ten człowiek chce powiedzieć to, czego nigdy nie chcieliśmy przyznać — podkreślił Amnon. — Wolimy myśleć, że jesteśmy lepsi od innych, że damy sobie radę sami dzięki lepszemu szkoleniu, technologii, pieniądзом, wsparciu logistycznemu, odwadze. A jednak każdy oddział modlił się przed swą misją do Wszechmogącego. Znałem Ben Guriona, znałem Goldę, znałem Mosze Dayana. Wszyscy wierzyli, że to Bóg pomógł nam pokonać naszych wrogów. Hakirya wydaje miliony na przekształcenie Tory w formuły matematyczne w poszukiwaniu odpowiedzi. Kim jestem, by mieć odmienne zdanie?

Bezczelny komandos podniósł się i oznajmił:

— Panie generale, przepraszam pana, moich towarzyszy i członków mojego oddziału. Będę przestrzegał zasad dyscypliny. Moi ludzie też. Bezwarunkowo.

Amnon przyjął przeprosiny, a potem zdumiał wszystkich, wyjaśniając, że ich misja związana jest z kryzysem w komputerowym przetwarzaniu danych, którego znaczenia nikt z nich nie rozumiał, oraz z niezwykłymi pokazami Hinnoma, które miały odbyć się wieczorem w Gei Ben Hinnom, o których słyszeli, ale których również nie rozumieli. Ich misja wszakże miała zaprowadzić ich nie do Jerozolimy, lecz do niedalekiego Megiddo.

Potem wręczył wszystkim koperty zaopatrzone w nagłówek ŚCIŚLE TAJNE. Wewnątrz znajdowały się spięte razem pliki kartek, zatytułowane *Opis misji i wyjątki z Reguły Wojny*.

Jeden z rabinów, przysadzisty, brodaty mężczyzna wyszedł na środek sali, by kontynuować odprawę.

— Dziesiątki, a właściwie setki zwojów znad Morza Martwego znalezione zostały w Qumran — zaczął rabin. — Wśród pierwszych siedmiu odkrytych przez beduińskiego chłopca w 1947 roku była Reguła Wojny. Należy do najczęściej badanych i kiedy byliście uczniami, musieliście oglądać jej fragmenty w Muzeum Izraela. Dla tych, którzy nie pamiętają, przypomnę, że opisuje ona niezwykle szczegółowo ustawienie wojsk podczas ostatecznej bitwy między Dobrem i Złem, ostatecznej bitwy między Synami Ciemności i Synami Światła.

— A którymi my jesteśmy? — zapytał ten sam komandos. Zanim Amnon zdążył zareagować, komandos ponownie przeprosił i teatralnym gestem zakrył usta.

Rabin mówił dalej:

— Istnieje wiele interpretacji Reguły Wojny, a teraz zdobyliśmy dodatkowe teksty, które udzieliły nam wielu cennych wskazówek. Pełen tekst znajduje się wśród dostarczonych wam dokumentów. W tym starożytnym manuskrypcie znajduje się wiele szczegółów wych zaleceń, lecz jedynie część z nich będzie trzeba wcielić w życie, wymieniliśmy je w waszych dokumentach. Sądzimy, że essenie czyści z Qumran obawiali się, by w razie wpadnięcia zwoju w ręce wroga nie zdobył on całkowitego planu bitwy. Dlatego ukryli znaczenie pod szyframi i zbędnymi frazami. Na przykład, jedna z wskazówek, do której się zastosujemy, brzmi: „W każdym szyku bojo-

wym będzie siedem rzędów ustawionych w porządku — jeden człowiek za drugim". Generał rozkaże wam stosować się do tego zalecenia. Inna ciekawa fraza mówi: „Goliata z Gat, potężnego wojownika, oddałeś w ręce Dawidowi, gdyż pokładał ufność w Twym wspaniałym imieniu, a nie w mieczu i włóczni". I dalej: „Wybawiałeś nas wielokrotnie, nie dzięki naszym dobrym postępkom, lecz mimo naszej występności". Żołnierze. Proszę, proszę, proszę, wykorzystajcie tę chwilę, by w głębi serca uwierzyć w to, co robimy. Uwierzcie tak, jak nigdy dotąd. Cofnijcie się. Cofnijcie się i wniknijcie głęboko w waszą żydowską duszę. Przypomnijcie sobie, kim jesteście i skąd pochodzicie. Uwierzcie dzisiaj. Uwierzcie. Rabin, zerkając na swój egzemplarz opisu misji, dodał:

— Jest też wiele rzeczy, których nie rozumiemy, lecz z Bożą pomocą zrozumiemy przed końcem dnia. Wszyscy zastanawialiśmy się nad jednym zdaniem. W środku instrukcji ataku zwój oznajmia nagle: „Litościwe serce stanie się wrotami nadziei". Nie dysponuje my nawet hipotezami dotyczącymi znaczenia tego fragmentu. Ale... uccie się wraz z nami. Przeczytajcie wszystko, włącznie ze sporządzonym przez rabinat opisem naszego niezwykłego wroga i tej historycznej, wyznaczonej przez Boga chwili — rzekł rabin, skubiąc nerwowo brodę. — Potem odpowiemy na wszystkie pytania, na które potrafimy odpowiedzieć. Jak powiedziałem, wielu rzeczy nie wiemy.

Rabin skinął głową w kierunku Amnona. Generał polecił adiutantowi, by ten wniósł kilka kartonów. Przy wtórze głuchych uderzeń opasłe, nie zamykające się pudła zostały ustawione na podłodze. Każde z nich wypełnione było brązowymi, skórzanymi mieszkami z przymocowanymi rzemykami.

— Wasza setka — oznajmił Amnon — zostanie wyposażona w specjalną broń — można powiedzieć, że opracowaną specjalnie dla potrzeb tego starcia. Zostanie ona rozdana później, a opis misji zawiera dokładne instrukcje dotyczące użycia i rozmieszczenia tej broni.

Jeden z komandosów zapytał:

— Mamy wykonać misję tego samego dnia, w którym poznali-

śmy jej szczegóły, przeciwko nieznanemu wrogowi, przy użyciu nie przetestowanej broni, bez symulacji i docelowego treningu?

— Na przygotowania do tej operacji mieliśmy ponad dwa tysiące lat — odparł Amnon. — Jesteśmy gotowi.

Podczas lektury dokumentów w sali zapadła cisza. Ich oczy otwały się szeroko. Rabinowie zaintonowali cichy zaśpiew, paru starszków przerwało czytanie, by się pomodlić. Żołnierze z niecierpliwością przewracali kartki, pocierając w zdumieniu skronie, w miarę jak przyswajali sobie czytane słowa. Niektórzy starszkowie nie potrafili pohamować płaczu, inni zaciskali dłonie z podziwem. Nawet bezczelny komandos przycisnął palcami gałki oczne, by powstrzymać łzy. Odwrócił się do jednego z bojowników z getta i splótł z nim palce. Wypowiedział się w imieniu wszystkich, kiedy podniósł się nagle, powiewając niedbale wetkniętą w spodnie koszulą, jak gdyby szarpał nią pustynny wiatr, i zakrzyknął:

— *Hevre*, pobijemy ich na głowę!

Choć większość lokatorów więzienia Megiddo rekrutowała się spośród arabskich radykalnych przywódców politycznych i terrorystów, przetrzymywano ich w kilku strefach o średnim i wysokim poziomie zabezpieczeń. Jako że było to więzienie pozostające w gestii służby bezpieczeństwa, obsługiwały je wspólnie żandarmeria wojskowa i zarząd więziennictwa. Mimo rozmieszczonych tu i ówdzie umocnionych posterunków bardziej przypominało obóz wojskowy niż więzienie.

Niewysokie wieżyczki obsadzone przez wojskowe kaemy wyznaczały narożniki przesłoniętego drzewami perymetru instytucji. Dwóch żołnierzy pełniło straż na każdej wieżyczce, jeden z nich pilnował podejść do budynku, a drugi wnętrza więzienia. Niemniej jednak centralny dziedziniec podobnie jak główna brama pozostawały zakryte przed ich oczami.

Czarterowe autobusy, niekiedy także starannie wyselekcjonowane taksówki przywożące rodziny zjedzeniem i odzieżą, regularnie

stawały na pobliskim parkingu, na który można było wjechać przez bramę mieszczącą się za rogiem, niedaleko głównego wejścia. Przy wysokiej na dwanaście stóp bramie z żelaznych prętów znajdowała się niewielka wartownia, utrzymująca łączność z głównym budynkiem za pomocą starego tarczowego telefonu. Zazwyczaj trzech młodych żandarmów pochodzących z północnych kibuców pełniło tam służbę, przeszukując zaopatrzonych w przepustki gości i badając zawartość paczek. Nigdy nie doszło tam do najmniejszego naruszenia rygorów bezpieczeństwa, tak więc procedur przestrzegano głównie z biurokratycznego rozpędu, a zatem niezbyt pilnie.

Lecz w ostatni szabat tysiąclecia większość strażników miała wolne, personel zredukowany był do minimum, przy bramie służbę pełnił tylko jeden młody żołnierz, młody, zatrudniony na pół etatu strażnik o imieniu Gal. Był zdumiony, kiedy przy wartowni zatrzymał się amerykański, żółty gimbus. W Izraelu nigdy jeszcze nie widział podobnego pojazdu. Nie było na nim arabskich oznakowań. I zamiast zgodnie z przepisami zatrzymać się na parkingu, podjechał do głównej bramy. Aż za blisko. Było to naruszenie zasad bezpieczeństwa, które mogło zmusić go do napisania raportu i złożenia wyjaśnień. Pojazdowi nie wolno było podjeżdżać tak blisko z obawy przed ewentualnymi próbami staranowania bramy.

Gal wyszedł z wartowni z rozładowanym M-16 przewieszonym przez ramię. Wymachując rękami zza zamkniętej bramy spróbował odpędzić autobus, łajając pasażerów, że powinni lepiej nauczyć się przepisów.

— Chcecie, żeby odebrano wam zezwolenie? — zbeształ ich.

Autobus podtoczył się na parę stóp od bramy i zatrzymał się, pyrkocząc pracującym na jałowym biegu silnikiem.

Gal ze złością pokazał jednoznacznym gestem, że żółty autobus musi się cofnąć. Podczas gdy strażnik wymyślał przez szybę Linzerowi, Anakici wyślizgnęli się przez tylne drzwi na dach autobusu, pełnząc ku przodowi. Pierwszy Anakita uniósł się lekko. Iszbi podniósł się i pobiegł do przodu, wykorzystując uniesiony korpus towarzysza, by przedostać się przez bramę. Gal ujrzał, jak wyskakują



wysoko w powietrze. W mgnieniu oka wszyscy trzej Anakici znaleźli się po drugiej stronie.

Gal pędził do wartowni po pełny magazynek, kiedy dwaj Anakici chwycili go, jeden za ramiona, drugi za stopy. Jak gdyby mieli do czynienia ze szmacianą lalką, uderzyli nim o maszt flagowy, łamiąc mu kręgosłup. Potem rzucili martwe ciało Gala na asfalt, a Iszbi naskoczył na czaszkę żołnierza, miażdżąc ją. Iszbi wytarł but o ziemię i zaciągnął bezwładne ciało Gala do wartowni.

Hinnom i Linzer wysiedli z autobusu, od niechcenia przeciskając się między żelaznymi prętami wciąż zamkniętej bramy. W wartowni Linzer zdjął słuchawkę z widełek, a potem pokazał Iszbiemu, jak ładować i strzelać z M-16. Iszbi zamachał karabinem niczym włócznią, podczas gdy Linzer opisywał mu jego skuteczność.

Hinnom skierował swego Windy'ego w stronę budynku administracyjnego położonego w głębi kompleksu i poskarżył się:

— Nic mogę wejść do systemu. To nic moja wina — dodał gwoli usprawiedliwienia. — To przez ich tandetny sprzęt.

Linzer przecisnął się z powrotem między prętami, wrócił do autobusu i wycofał go na parking. Tam autobus na powrót znalazł się w polu widzenia strażników na wieżyczkach, którzy obserwowali każdy jego ruch. Idąc niedbałym krokiem jak przystało na niewinnego gościa, Linzer pomachał w ich stronę zapisaną kartką papieru, pokazując na zegarek i czyniąc gest pisania. Strażnicy zapewne pomyśleli, że Linzer stara się skompletować dokumenty. Skoro tylko zniknął im z oczu, Linzer ponownie przeszedł przez bramę i skierował czekających nieruchomo Anakitów długą, wysadzaną drzewami drogą do budynku administracyjnego. Kiedy minęli ostatnie sosny, wybiegając na chwilę na otwartą przestrzeń, ich oczom ukazał się ukośny szczyt bloku dla najmniej niebezpiecznych więźniów, otoczonego wysokim na dwadzieścia cztery stopy drewnianym płotem zwieńczonym drutem kolczastym. Większość arabskich więźniów odpoczywała w dwuosobowych, połowych namiotach albo siedziała przy ognisku, piekąc kebab przywieziony im przez krewnych. Wartownicy z trzech zielonych wojskowych strażnic zwróceni byli

w stronę więźniów za ogrodzeniem, nie interesując się budynkiem administracyjnym.

Napastnicy niezauważenie wślizgnęli się do budynku.

Hinnom wszedł pierwszy do holu na parterze, nikogo tam nie spotykając. Wysłał sygnał zagłuszający do kamery obserwującej hol, przepalając jej obwody. Idący za nim Anakici zaskoczyli wracającą z łazienki kobietę w mundurze. Zachowując absolutne milczenie, dwaj z nich chwycili ją i uderzyli jej głową o ścianę niczym taranem, zabijając ją na miejscu. Zabrali jej uzi i magazynki. Potem Iszbi wyjął nóż, jednym pełnym złości pociągnięciem odciął jej ucho i schował upiorne trofeum do kieszeni. Zrobiło to duże wrażenie na Linzerze, który nic omieszkał pokiwać z aprobatą głową.

Hinnom przebiegł palcami po klawiaturze. Na ekranie pokazała się mapa więzienia.

— Mam! — zawołał śpiewnym głosem. — Dach — powiedział. — Tam są wszystkie komputery.

Wspięli się schodami cztery kondygnacje na dach. Po pokonaniu ciężkich, metalowych drzwi wpadli na dwóch nieuzbrojonych żołnierzy, którzy obsługiwali sieć komputerową więzienia. Ci próbowali stawić opór, lecz Iszbi i jego kompani bezgłośnie rozprawili się z nimi ciosami noży w szyje. Ich ciała zostały wciśnięte w puste beczki po oleju i przyduszone pokrywami.

Na skraju dachu znajdował się prosty, wojskowy namiot. W jego wnętrzu znajdował się cały komputerowy system zabezpieczeń więzienia, włącznie z terminalem kontrolującym kamery przekazujące obraz do głównej konsoli oraz czterech zewnętrznych wież obserwacyjnych.

— Przynajmniej używają mojego produktu — mruknął Hinnom, rozpoznając oprogramowanie z rodziny Windgazera 99. Dostał się do plików i odnalazł bezcenną informację, której szukali. — W piwnicy skrzydła administracyjnego — zameldował. — Nazywa ją je „starym blokiem”.

Potem wduśił kombinację klawiszy control-alt-delete, zmuszając więzienny serwer do długiego przeładowania, które wymagało regularnego i szybkiego wprowadzania haseł, co oznaczało, że system

nie miał szans na ponowne uruchomienie. Cała piątka zbiegła popieszczeniście po schodach na parter, prześlizgując się ukradkiem obok pracowników biurowych na trzecim piętrze. Kolejno przekroczyli zmasakrowane ciało strażniczki. Hinnom wskazał na trupa i Iszbi bezzwłocznie ukrył je w damskiej toalecie.

— Tędy — powiedział Linzer, wskazując na jeden z korytarzy.

Pospiesznie przeszli nim, mijając męską ubikację, małą kuchnię, gdzie strażnicy parzyli sobie herbatę i kawę, punkt, w którym współczesne, brytyjskie cegły i tynk ustąpiły miejsca starym kamiennym blokom. Korytarz zaprowadził ich do ciemnego przejścia. Na jego końcu znajdował się łuk z grubo ciosanych kamieni, pod sufitem widniało na nim łacińskie słowo *Ferata*. Prowizoryczny, ręcznie napisany hebrajski znak przymocowany taśmą klejącą ostrzegwał „Wejście wyłącznie dla uprawnionych przedstawicieli rabinatu”.

Na starożytnym łuku znajdowała się współczesna lampa. Po jej zapaleniu ujrzeli spiralne kamienne schody zagłębiające się na trzy poziomy pod ziemię. Rząd umocowanych z rzadka nagich żarówek oświetlał drogę.

— Czyli to tutaj trzymali was rabini — powiedział szyderczo Hinnom.

Anakici zbiegli po wyszlifowanych tysiącami stóp rzymskich kamieniach, zatrzymując się dopiero w dużej, zatęchłej komnacie o ścianach zbudowanych z wielkich, kwadratowych bloków. Z prymitywnie wykutych kołków zwisała malownicza kolekcja oków, od współczesnych kajdanków do starożytnych, kolczastych obejm na nogi. Nie używane od dawna żelazne tuleje na pochodnie sterczały ze ścian. W jednym rogu znajdowało się niewielkie, kamienne podwyższenie. W mur wprawione były starannie filistyńskie i izraelskie monety niczym karby na kolbie pistoletu. Poniżej jednej z nich na skórzanych rzemykach powieszono były dwa wielkie zęby.

Zgrzytliwy ryk poniósł się echem przez komnatę. Iszbi odpowiedział identycznym dźwiękiem. Wszyscy spojrzeli w dół i ujrzeli zamocowaną w posadzce klapę z drewna i brązu. Szczeliny między deskami przepuszczały powietrze, jedzenie i płyny jak i promienie światła.

Kłapę blokowały dwa długie, poprzeczne pręty biegnące przez całą jej średnicę. Krzyżowały się na środku, nakładając się na siebie wyżłobieniami i przebiegając ponad centralnie położonym otworem w pokrywie. Wklinowany weń boleć całkowicie unieruchamiał oba pręty, uniemożliwiając ucieczkę z lochu. Iszbi pociągnął za zardzewiałą boleć, lecz nie dał rady go poruszyć. Pozostali zerwali ze ściany najcięższe ze starożytnych kajdanów i zaczęli nimi uderzać. Boleć dalej tkwił zaspawany rdzą w otworze. Jeszcze dwa uderzenia. Nadal ani drgnął. Jeszcze raz. Poruszył się odrobinę. Używając kajdanów jako młota, Iszbi uderzał w boleć tak długo, dopóki nie obruszył go do końca. To poluzowało pręty, które niezwłocznie wysunięto z wyżłobień. Cztery zasuwy na bokach kłapy także zostały otwarte. Następnie Anakici wspólnymi siłami unieśli ciężką pokrywę, odciągając ją parę stóp w bok i porzucając tam z głuchym, dudniącym hukiem.

Wszyscy utkwili wzrok w otworze, Anakici z nadzieją, Linzer i Hinnom z podziwem. Ułynęło parę chwil. W końcu sześciopalcy anakicki wojownik wystawił głowę z dziury. Jego długa broda pozlepiana była w strąki, a włosy sterczały mu dziko na głowie. Wyskoczył z otworu, nagi i usmarowany własnymi odchodami. Iszbi natychmiast przemówił do niego w języku zrozumiałym wyłącznie dla Anakitów. Uwolniony wojownik spojrział na Hinnoma i Linzera z pogardliwym uśmiechem, potem spoważniał i przysunął swe olbrzymie cielsko do Hinnoma, jak gdyby grożąc mu.

— Ty musisz być Nekrisz, potomek Goliata — powiedział od niechcenia Hinnom, jak gdyby rozmawiał z nowym praktykantem.

Potem przywołał go do siebie skinieniem dłoni, tak by Anakita mógł słyszeć jego szept. Nekrisz przysunął swe ucho do warg Hinnoma, który mówił cicho przez prawie minutę, podczas gdy na twarzy Anakity pojawiały się dzikie grymasy. Wysłuchawszy wszystkiego, co Hinnom miał mu do powiedzenia, Nekrisz zaryczał z aprobatą i otarł ślinę z dolnej wargi. Potem chwycił jeden z żelaznych prętów, stanął ponad otworem, przygarbił się, przyciskając pręt do piersi, i wskoczył z powrotem do środka. Z długiego tunelu rozległ się ogłuszający zgiełk potrząsanych krat, pękających łańcuchów

i zamków, wyłamywanych drzwi oraz nie kończące się ryki barbarzyńskiej hordy. Linzer i Hinnom cofnęli się o parę kroków. Iszbi niecierpliwie pochylił się nad otworem. Hałas ucichł nagle, zastąpiony stłumionymi pomrukiwaniami i szeptami.

W następnej chwili z dziury wyłonił się Nekrisz. Polecił Iszbiemu i pozostałym Anakitom, by zajęli stanowiska na schodach. Hinnom i Linzer wspięli się na samą górę, trzymając straż przy wejściu. Kiedy wszystko było gotowe, Nekrisz zaklaskał w dłonie i gwizdnął. W otworze pojawił się kolejny Anakita. Nekrisz pomógł mu i wskazał miejsce po przeciwnej stronie wejścia do lochu. Potem, niczym automaty, we dwóch zaczęli wyciągać z jamy anakickich więźniów. Najpierw pięciu, potem jeszcze dwudziestu i jeszcze pięćdziesięciu. W sumie zebrało się stu nagich Anakitów, w większości sześciopalcych i mierzących ponad dziesięć stóp wzrostu, część ustawiła się na schodach, lecz większość stłoczyła się ramię w ramię w głównej komnacie. Wielu miało otwarte rany. Wszyscy byli brudni i śmierdzielili zgnilizną. Lecz w przeciwieństwie do wcześniejszego nieposłuszeństwa okazanego przez Nekrisza, zachowywali się czujnie i zdyscyplinowanie.

Linzer od niechcenia przeszedł korytarzem do głównego holu. Nadal nikt nie odkrył ich obecności. Nonszalancko przesunął kosz na papiery, zakrywając nim plamę krwi, po czym pstryknął palcami. Hinnom skinął głową i dołączył do niego.

Pierwszy wyszedł Nekrisz. Rozejrzał się, sprawdzając pomieszczenia po obu stronach korytarza. W damskiej toalecie znalazł zamordowaną recepcjonistkę. Zdarł z niej spodnie i uczynił z nich coś na kształt przepaski biodrowej, zawiązując nogawki wokół bioder, zakrywając genitalia, lecz pozostawiając odsłonięte pośladki. W tej samej chwili do holu weszła niewielka grupa żołnierzy. Anakici zmasakrowali ich. Nekrisz wyłupił jednemu z nich oczy, a potem, dalej bestialsko ściskając go za głowę, wepchnął nieszczęśnika do najbliższego pomieszczenia.

Poleciszmy pozostałym, by na niego zaczekali, Linzer wyszedł z budynku administracyjnego i wrócił do głównej bramy. Upłynęło zaledwie dwadzieścia osiem minut. Otworzył bramę, a potem spo-

kojnie pomaszerował z powrotem do żółtego gimbusa, pokazując się strzelcom na wieżyczkach. Pomachał niewielką kartką papieru i wzruszył niewinnie ramionami, jak gdyby mówiąc „biurokracja”. Żołnierze pokiwali głowami, jakby przyznając: „Co zrobić? Takie jest życie”.

Bardzo wolno Linzer przejechał gimbusem przez bramę i drogą wśród drzew podjechał pod budynek administracyjny, by zabrać swój legion. Zatrzymał się na wysokości zbryzganego krwią holu. Drzwi gimbusa od wejścia dzieliło zaledwie parę cali. Świeżo uwolnieni Anakici zaczęli bezgłośnie wsiadać dziesiątkami do autobusu, a Linzer nieustannie poganiał ich i uciszał, spoglądając w stronę schodów, by przekonać się, czy nikt nie nadchodzi. Po paru minutach wszystkie siedzenia i przejście wypełnione były Anakitami.

Linzer usiadł za kierownicą, zawrócił autobus i pojechał z powrotem w stronę bramy. Wolno. Bardzo wolno, by nie wzbudzać niczyich podejrzeń.

Po przejechaniu przez bramę Linzer zamknął ją za sobą. Odjechał w ślimaczym tempie, odprowadzany obojętnymi spojrzzeniami kae-mistów, nadal całkowicie nieświadomych napaści. Ze swych wieżyczek żołnierze nie byli w stanie dostrzec Anakitów skulonych na fotelach i w przejściu.

W następnej chwili autobus opuścił teren więzienia i przejechał do upatrzonej kryjówki. Podczas gdy Anakici cieszyli się ze spotkania i odzyskanej wolności, a Nekrisz popijał arak, Hinnom powiedział lodowatym tonem do Linzera:

— Zadzwoń na policję. Zgłoś im, że mój bezcenny żółty gimbus został skradziony. Podejrzewamy arabskich terrorystów, którzy chcą zakłócić przebieg dzisiejszych uroczystości. Powiedz im, że mamy nadzieję, że szybko go odzyskają.

Biegali. Skakali. Dotykali. Uśmiechali się wypływającymi z głębi uśmiechami.

— Podoba mi się tutaj! — zachwycał się Raymond, przesuwał

dłonią po starych, kamiennych fortyfikacjach Tel Megiddo. — To jest takie stare, bardzo stare! Bardzo stare!

Pozostali odkrywali swe własne fascynujące więzi ze starożytnością: stajnie, fontanny, wejścia i ścieżki twierdzy. Irna, mówiąca po angielsku izraelska przewodniczka, nie mogła dotrzymać kroku turystom, przeskakującym przez ruiny wąskiej głównej bramy starożytnej fortecy, wspinającym się ryzykownie na zawalone ołtarze, przechadzającym się w ruinach pałacu. Nawet jeśli przebywali w jednym miejscu, jej zadanie było w cudowny sposób trudne. Irna co jakiś czas próbowała opowiedzieć o przeszłości Megiddo, lecz jej podopieczni nieustannie przerywali niecierpliwymi pytaniami, kim byli królowie toczący tu swoje wojny i dlaczego ciągle walczyli, zamiast się ze sobą bawić. Czasami któryś z nich podbiegał do niej i oznajmiał: „Kocham cię”. Wtedy któryś z pozostałych karcił go z czułością w głosie: „Ona o tym wie. Nie musisz ciągle wszystkim o tym mówić”.

Kiedy Irna nie realizowała standardowego programu wycieczki albo odpowiadała na pytania, nieustannie wołała do nich, by byli ostrożni: „Nie podchodźcie do urwiska... nie przechodźcie pod linami... nie wchodźcie na teren wykopalisk... chodźcie tędy”. W końcu usiadła przy wejściu do tunelu, zdmuchnęła sobie włosy z oczu i po prostu zachwycała się radością okazywaną przez tych ludzi. Matka Raymonda dołączyła do niej na chwilę wytchnienia.

— Och — powiedziała Irna — oni są cudowni. Nie ma sensu im czegokolwiek tłumaczyć. Wydaje mi się, że wystarczy im dotknąć okruchu skały, by wszystko zrozumieć.

— Oni rozumieją znacznie więcej, niż się nam wydaje — odparła matka Raymonda. — Nie wyrażają swych myśli w ten sam sposób co my. Ale są bardzo wrażliwi. Czasami myślę sobie, że to anioły wysłane przez Boga w specjalnej misji, której my jeszcze nie rozumiemy, a oni nie są w stanie nam wytłumaczyć.

Irna wzięła do ręki aparat fotograficzny i zrobiła zdjęcie Raymondowi wyciągającemu rękę ku niebu.

— Pani syn ma litościwe serce.

— Wszyscy z nich są najczystszyimi z najczystszych — odparła

zgodnie matka Raymonda. — Żadna zła myśl nigdy nie przyszła im do głowy. My możemy jedynie podziwiać ich całkowicie niepodatne na zepsucie poczucie dobra. Irna spojrzała na zegarek.

— Myśli pani, że będziemy w stanie zebrać ich razem? Pora na basen.

W tej samej chwili podszedł do nich Raymond w towarzystwie paru przyjaciół i zapytał:

— Co teraz?

— Och, mamy dzisiaj bardzo dużo do zrobienia — odpowiedziała matka Raymonda.

— Świetnie, jestem gotów na wszystko.

Mosty na całym świecie wypełniały skłębione tłumy wiernych zwolenników Windgazera, wykrzykujących: „Na dobry początek — rząd dziewiątek”. Maszerując tłumnie, ubrani w bluzy, swetry i czapki z logo Windgazera 99.9, wymachując dyskietaami demonstracyjnymi, nierzadko o czołach pokrytych napisami „Windgazer 99.9” wykonanymi czarną farbą na białym tle, miliony wielbicieli Hinnoma demonstrowały na mostach świata, co symbolizowało ich podróż w dwudziesty pierwszy wiek. Złote Wrota w San Francisco, Nanpu w Szanghaju, Michigan Avenue w Chicago, most westminsterski w Londynie, most brooklyński w Nowym Jorku, Pont Royal w Paryżu, Czternasta Ulica w Waszyngtonie. W Moskwie, Mexico City, Vancouver i dziesiątkach innych miast mosty stały się miejscami nabożeństw wyznawców Windgazera. Niektóre miasta wydały nadzwyczajne zezwolenia i zamknęły mosty dla ruchu kołowego. Inne stłoczyły masy zwolenników Windgazera na chodnikach. Tak czy inaczej, trzydziestego pierwszego grudnia 1999 roku mosty świata należały do Hinnoma.

Choć demonstracje zostały zaplanowane zaledwie poprzedniego dnia przez stowarzyszenia użytkowników Windgazera w odpowiedzi na osobiste elektroniczne posłanie Hinnoma, wydawały się



świetnie zorganizowane. Zwolennicy zgromadzili się o wyznaczonej godzinie w punktach zbornych. Miejscowi przedstawiciele Hinnoma rozdawali szczerze drobiazgi i błyskotki ozdobione logo Windgazera. Dostawcy zaopatrujący firmowe bufety Hinnoma wręczali batony i napoje o podwyższonej zawartości kofeiny. W wielu miastach helikoptery stacji telewizyjnych zostały szczegółowo poinformowane przez hinnomowskich menedżerów do spraw mediów, gdzie i kiedy powinny się znaleźć, by zrobić najefektowniejsze zdjęcia.

Muzyka stanowiła nieodzowny element każdego marszu, potęgując atmosferę święta, czasami były to rytmiczne utwory rockowe, gdzie indziej ludowe melodie indyjskie, ściągnięte z Internetu urywki *Bestii*, poza tym „Doors”, „Pink Floyd”, „Van Halen”, „Smashing Pumpkins”, „Metallika”, „Marilyn Manson” oraz „Prodigy”, lecz także i *Oda do radości*, *Bom to be Wild* i *Orkiestra klubu samotnych serc sierżanta Pieprza*. Niektórzy tańczyli, maszerując, inni maszerowali, tańcząc. Był to świąteczny, globalny apel do Bena Hinnoma, by urzeczywistnił tę chwilę i uchronił przed zagładą przeznaczenie trzeciego milenium.

Lecz w niektórych miastach wyznawcy Windgazera napotkali na opór, kiedy wyszli im na spotkanie formatowcy, w paru miejscach wręcz zasadzając się na nich. W Paryżu osiemnastu formatowców spotkało się na świeżym powietrzu w „Terrace Cafe” na szczycie Musee d'Orsay, pod gigantycznymi zegarami, mając doskonały widok na Pont Royal i diabelskie koło naprzeciw Luwru, gdzie gromadziły się dziesiątki windgazerowców.

Zwolennik formatu c: Francois trzymał w dłoniach pocztówki z reprodukcjami obrazów Renoira, Moneta, Lautreca, Gauguina i van Gogha, których oryginały wystawione były w galerii pod jego stopami.

— Ci ludzie byli impresjonistami — powiedział Francois. — Malowali robotników, baleriny i indyki, wazony z kwiatami i misy owoców. Dlaczego? Bo mieli śmiałość postrzegać świat inaczej — jego postać i naturę. — Unosząc pocztówki nad głowę, dodał: — Świat tych malarzy kontrolowała sztuka kościelna, sztuka królewska, królowie i królowe, papieże. Różni tacy. Przez to, że widzieli go inaczej i przenosili swe wizje na płótno, van Gogh i pozostali

narażali się na pośmiewisko. Odrącenie. Zepchnięcie na margines. Głód. Lecz pomogli zmienić świat i sposób, w jaki go postrzegamy.

W dole zwolennicy Windgazera nadmuchiwali balony i rozwijali transparenty.

— Dziś — powiedział Francois — wy jesteście wyrzutkami, nonkonformistami, wizjonerami. Lecz jeśli nie pokażemy światu naszej wizji, ludzkość na zawsze zatonie w szaleństwie zrodzonym w umyśle Hinnoma. — Stał nad krawędzią „Terrace Cafe”, oparł się o jeden z wysokich, ozdobnych posągów. — Spójrzcie — powiedział, wskazując na drugą stronę ulicy. — Oto oni.

Osiemnastu formatowców rzuciło na stoliki po dziesięciofrankówce, wyszczyło do dna swe filiżanki i zbiegło prostymi, nowoczesnymi schodami Musee d'Orsay, mijając ukochane obrazy Moneta, van Gogha i Renoira, prosto do głównego holu. Wyszli na rozległy plac, gotowi stawić czoło zwolennikom Windgazera i utrudnić im przejście przez most. Po drodze założyli białe opaski, starannie pomalowane niebieskimi, czerwonymi, fioletowymi, brązowymi i cytrynowymi barwami. Wszystkie głośiły jedno: „Format c.”.

Lecz do największego starcia doszło w Chicago. Ten trzydziesty pierwszy dzień grudnia był najcieplejszy od wielu lat, co ściągnęło tysiące fanów Windgazera pod budynek „Chicago Tribune”, skąd mieli wyruszyć na swą triumfalną przeprawę przez rzekę Chicago. Lecz formatowcy w kilku furgonetkach zajechali na niższy poziom mostu na południowym brzegu. Wymachując tablicami głoszącymi „Odwołać instalację”, wspięli się po stromych, stalowych schodach i kolistych, kamiennych stopniach na poziom jezdni. Utworzyli kordon blokujący skrzyżowanie Wacker Boulevard z Michigan Ave-nue, skandując: „Format c:... przeładuj... przeładuj... przeładuj”.

Zwolennicy Hinnoma wykrzykiwali: „Wkraczamy w dwudziesty pierwszy wiek!” i „Na most!” Niezwłocznie ruszyli przed siebie, ignorując sprzeciwy policji.

Formatowcy szybko posłali przez swe szeregi wiadomość: „Zatrzymajmy ich tutaj. Zatrzymajmy ich wszędzie”. Potem usiedli na chodniku.

Policja nie była przygotowana na marsz hinnomowców, nie

wspominając już o pojawieniu się ewentualnych przeciwników. Dowódca zmiany w centrali ruchu drogowego Loop miał jedynie kilka minut na wysłanie na miejsce paru funkcjonariuszy, jako że wszystko działo się w godzinie największego natężenia ruchu. Kiedy ci zorientowali się, że może dojść do starć, wezwali przez radio oddziały prewencji. Ale zabrakło na to czasu.

— Rozkazujemy wszystkim siedzącym, by wstali i opuścili tę okolicę — dudnił przez megafon dowódca sił policyjnych. — Opuśćcie tę okolicę, a nikt nie zostanie zatrzymany. — Formatowcy nawet nie drgnęli. Wtedy zwrócił się do zwolenników Windgazera: — Zezwolenie na wasz marsz zostało cofnięte. Rozkazujemy wam się rozjechać. Nie wolno wam wchodzić na most. Powtarzam: nie wolno wchodzić na most.

Obrońcy Windgazera posuwali się wolno do przodu niczym olbrzymie, ociążałe zwierzę. Podniecali się wzajemnie mantrą chwili: „Na dobry początek — rząd dziewiątek”.

Dowódca sił policyjnych przyglądający się temu z dachu Wrigley Building zawołał do mikrofonu:

— Natychmiast potrzebuję wsparcia na południowym końcu mostu. Nie jesteśmy w stanie ich zatrzymać. Na południowym brzegu nie mam nikogo. Potrzebuję wsparcia!

— Format c:... przeładuj przeładuj przeładuj — skandowali siedzący.

— Na dobry początek — rząd dziewiątek — odpowiadali uczestnicy marszu.

— Format c:... przeładuj przeładuj przeładuj — skandowali siedzący.

— Na dobry początek — rząd dziewiątek — brzmiała odpowiedź.

W miejscu, gdzie most otwierał się na skrzyżowanie, maszerujący hinnowcy napotkali siedzących demonstrantów. Na chwilę obie strony zaprzestały wznoszenia okrzyków. Spoglądając na demonstrantów, zwolennicy Windgazera usiłowali zrozumieć, dlaczego ci ludzie sprzeciwiają się postępowi. Spoglądając na maszerujących, formatowcy byli przekonani, że sprawy posunęły się za daleko i pora już to powstrzymać.

W pierwszym rzędzie formatowców siedziała nastoletnia dziewczyna. Była szczupłą blondynką w drucianych okularach, wyglądała tak, jakby jej matka czy babka protestowała przeciw wojnie w Wietnamie, a ona posłusznie kontynuowała tę rodzinną tradycję. Stojący przed nią wysoki, krępy mężczyzna miał na sobie koszulę z logo Windgazera 99.9, które namalował też sobie na czole.

- Proszę, zatrzymajcie się — zawołała do niego. — Proszę, nie róbcie tego.
- Nie róbcie czego? — zapytał krępy mężczyzna.
- Nie uruchamiajcie dziś instalacji i nie zdepczcie nas — odpowiedziała spokojnym tonem, starając się przemówić do jego poczucia przyzwoitości.

Na twarzy mężczyzny odmalował się ból, jak gdyby chciał się odwrócić.

- Czy my się znamy? — zapytał. — Wyglądasz znajomo.
- Jestem Sandy — odpowiedziała z uśmiechem.
- Sandy — zapytał — dlaczego wasi ludzie to robią? To nasze komputery. Chcemy, żeby lepiej funkcjonowały. Hinnom Compu-ting nie jest nieomyślne, ale to oni stworzyli produkty, które uczyniły z komputera to, czym jest obecnie. Co wam się w tym nie podoba?
- Nie jestem świrem komputerowym — odparła — jedynie osobą, której zależy na losach świata. Ja też mam komputer...
- To dlaczego nie...
- Pozwól mi skończyć — nie ustąpiła Sandy. — Używam elektryczności. Nie chcę, by elektrownie węglowe zanieczyszczały nam powietrze. Chcę oddychać w mieście wolnym od smogu. Owszem, używam komputera. Ale nie chcę, by nasze społeczeństwo znalazło się pod kontrolą jednego człowieka i jego międzynarodowej korporacji. To dlatego jesteśmy przeciwnikami wersji 0.9. To ostatni gwóźdź do trumny wolnej woli ludzkości. Nie mogę zrozumieć, dlaczego tak fanatycznie ją popieracie.
- Nie jesteśmy fanatykami — warknął krępy mężczyzna. — Jesteśmy użytkownikami!

Sandy nie potrafiła zrozumieć tego pojęcia. Komputerowe grupy użytkowników często reprezentują sobą zjawisko znacznie bardziej

charyzmatyczne od zwykłych fanklubów. W komputerowym świecie niemal każdy program gromadzi wokół siebie legiony zagorzałych lojalistów. Programy graficzne, edytory tekstu, bazy danych, języki programowania, systemy operacyjne, nawet programy narzędziowe, choć są w sumie olbrzymimi zbiorami zer i jedynek istniejącymi w ezoterycznym, elektronicznym stanie — każdy szanujący się kawałek oprogramowania nabiera cech kultowych. Z niejasnych powodów członkowie grup użytkowników identyfikują się głęboko i osobiście ze swym oprogramowaniem, zachęcając do jego rozprzestrzeniania, stając w jego obronie, testując jego nowe wersje, organizując grupy dyskusyjne, zjeżdżając się na konwencje i z dumą określając się mianem wiernych. Nierzadko ukrywając się za nazwami takimi jak ewangeliści, zeloci, guru, bigoci, myśliwi czy komandosi, wyznawcy oprogramowania w niepojęty sposób znajdują w swym ukochanym programie sens życia i samorealizację.

Czy jest to rezultat izolacji przed ekranem monitora, braku kontaktu wzrokowego z innymi ludźmi? Czy jest to zjawisko podobne do hipnozy? Reakcja na samotność, niską samoocenę? A może nieuniknione oddziaływanie migoczącego obrazu na prawy płat skroniowy? Niektórzy patrzą na ekran — czasami zaledwie parę razy — i zadurzają się w gwiazdach filmowych. Tworzą fankluby. „Fan” to skrócona postać wyrazu „fanatyk”. Inni patrzą w monitor wiele godzin dziennie i zadurzają się w logo i jego funkcjonowaniu. Tworzą grupy użytkowników. Komputerowi przyjaciele Hinnoma wzniesli tę fascynację na nowy, niepowtarzalnie intensywny poziom.

Bez względu na przyczynę dla wielu członków grup użytkowników fenomen ten bez trudu wytrzymuje porównanie z religią. Program komputerowy staje się dla nich Ojcem, Synem i Duchem Świętym skonfigurowanymi w jedno, inspirujące i uduchowiające, 32-bitowe bóstwo, orędownikiem teologii i dogmatów podręczników użytkownika, biuletynów serwisowych i dodatkowej dokumentacji, dostarczającym codziennych cudów wydajności i eleganckiej grafiki, zachwycającej i fascynującej. Patrz, jak pojawiają się na ekranie przed twoimi oczami. Nie dostrajaj jasności obrazu. Połączenie z prawym płatem skroniowym jest intensywne — często nie do

zerwania. Hitler wyposażył każdego obywatela w odbiornik radiowy. Telewizja stała się źródłem uzależnień. Podobnie jak WWW i e-mail. Prawy płat skroniowy zawsze woła o więcej — potrzeba zaspokojenia może jedynie przybierać na intensywności. Oprogramowanie pragnie upodobnić się do człowieka. Człowiek pragnie upodobnić się do oprogramowania. Grupy użytkowników traktują każdy atak na swe oprogramowanie jako wielką, osobistą urazę, akt wypowiedzenia świętej wojny.

Sandy zwróciła się do krępego mężczyzny.

— To tylko elektrony — powiedziała błagalnie. — Migoczące obrazy na ekranie. To nie jest warte tego wszystkiego. Nie może usprawiedliwiać konfrontacji. — Złączyła ręce z ludźmi siedzącymi obok niej. — Prosimy was, żebyście się do nas przyłączyli. Zawróćcie. Nie uruchamiajcie procesu aktualizacji.

Mężczyzna zamrugał z wysiłkiem i odparł zadyszczanym głosem:

— Nie mogę ci dziś pomóc, Sandy. — Odwrócił się do innych windgazerowców i wrzasnął: — Instalujmy!

Ruszył przed siebie, a wraz z nim setki innych. Przetoczyli się po siedzących demonstrantach, idąc obok nich, ponad nimi, po ich nogach i ramionach. Sandy została zmiażdżona jako pierwsza, gdy jej zdeptane okulary pokaleczyły jej twarz, a kości pękały jedna po drugiej. Niektórzy formatowcy położyli się na asfalcie, pozwalając zwolennikom Windgazera przejść po sobie, jak gdyby ich ciała stanowiły odskocznnię w następne stulecie.

Policyjny koordynator, nie potrafiąc powstrzymać maszerujących fanów Windgazera, zawołał do mikrofonu:

— Na Chrystusa, co się dzieje?! Na rany Chrystusa, co się dzieje?

Do podobnych starć doszło w innych miastach. Każde z nich trafiało z najdrobniejszymi szczegółami na ekrany telewizorów, co jedynie zachęcało do naśladowania tych scen w innych miejscach. W końcu protestujący nawet nie zadawali sobie trudu, by siadać. Niczym ich poprzednicy z czasów wojny wietnamskiej i walki o prawa obywatelskie, rozmyślnie kładli się twarzą do ziemi na chodniku. Za każdym razem hinnomowcy radośnie rozdeptywali przeciwników.

Gdzieniedzie policja zdołała zapobiec konfrontacji dzięki zakazowi organizowania manifestacji albo powstrzymaniu formatowców. Lecz w większości wypadków zwolennicy wersji 0.9 udowodnili, że nie dadzą się powstrzymać pokojowymi środkami.

Informacje docierały do Hinnoma i Linzera w miarę rozwoju wydarzeń za pośrednictwem serwerów informacyjnych na sieci. Zdążyli już ukryć żółtego gimbusa w płytkiej jaskini parę mil od skrzyżowania dróg w Megiddo, kryjówce, którą Iszbi wyszukał na kilka godzin przed atakiem na więzienie. Wysoka przyczepa częściowo załadowana bawełną z kibucu przesłaniała wylot jaskini. Wojskowe helikoptery krążyły na niebie w całym kraju, gdyż siły bezpieczeństwa mobilizowały się do poszukiwań terrorystów, którzy zaatakowali więzienie. Jednostki antyterrorystyczne zakładały, że sprawcy są już w drodze do Libanu, Jordanii albo Zachodniego Brzegu i dawno porzucili autobus. Choć siły rządowe przetrząsały cały kraj, nikt nie podejrzewał, że autobus zaparkowany jest zaledwie o parę minut drogi od Megiddo.

Z wygodnego wnętrza autobusu Hinnom i Linzer łączyli się ze swymi podwładnymi i kierownikami zespołów w Gei Ben Hinnom, potępiając porwanie autobusu i wykorzystanie go w ataku terrorystycznym, potem zaś informując ich, że niestety Hinnom nie będzie mógł uczestniczyć osobiście w finałowych uroczystościach o północy, lecz weźmie w nich udział na żywo za pośrednictwem Windycamu. Nie był to pierwszy taki wypadek, że Hinnom nie pojawiał się osobiście na imprezach o kluczowym znaczeniu. Zapewnił wszakże kierowników zespołów, że on sam własnoręcznie wprowadzi kod uruchamiający procedurę uaktualnienia. Instalacja miała odbyć się zgodnie z planem.

Mniej więcej w tym samym czasie Dan i jego towarzysze znajdowali się w jadalni kibucu, starając się zrozumieć, na czym będzie polegać ich rola w wydarzeniach nadszycającego wieczoru. Amnon pragnął tylko, by Sal pozostał odizolowany. Nic więcej.

- Ale to nie wystarczy — argumentował Dan. — Sal musi tam być, zagrzewać ludzi — właśnie dziś.
- Zrobił dosyć — odparła Park. — Na całym świecie dochodzi

do protestów. Właśnie słyszałam w BBC, że w Ameryce i w Europie doszło do zamieszek między formatowcami a windgazerskimi świrami.

— Dobra — powiedział Dan *do Sala* z podnieceniem w *głosie*.  
— Mam pomysł. Wyślij naszemu przyjacielowi Hinnomowi kolejnego e-maila. To powinno na nim zrobić wrażenie. Z tego się otrząśnie.

Wszyscy czekali cierpliwie i Dan w końcu wtajemniczył ich w szczegóły.

— Powiedz mu — używając swojego małego Windy'ego — że włamałeś się do jego tajemniczego, mrocznego systemu. Uszkodziłeś jeden z plików instalacyjnych, dołączyłeś do niego wirusa, wymyśl, co chcesz. Powiedz mu, że kiedy ludzie wydadzą polecenie „Windgazer 99.9”, nie uruchomi ono instalacji, lecz uniemożliwi ją. Będzie ugotowany. Będzie się obawiał przeprowadzić swój plan, bo czemuś takiemu nie zdoła zaradzić w kilka godzin. Cały ten wieczorny cyrk zostanie odwołany. Może zwalić całą winę na ciebie.

— Ale to by nie była prawda — odpowiedział Sal, dodając ostrożnie: — Ja tego nie zrobiłem.

Park i Dan wymienili spojrzenia.

— Dokładnie — potwierdził Dan. — To będzie nasza prywatna tajemnica.

Sal zrobił jedną ze swoich tradycyjnych przerw, lecz zaraz otrząsnął się i odparł z przekonaniem:

— Zgadzam się. Gdybym przesłał mu tę wiadomość, Hinnom byłby sparaliżowany. Mógłbym zabrać się do opracowania takiego wirusa, ale wątpię, czy zdążyłbym na wieczór. Dlatego nie możemy mu jej posłać.

— Dlaczego? — zapytał Dan.

— Bo to nieprawda.

— Dziś wieczór *może skończyć się świat*.

— Świat ma zostać uratowany dzięki kłamstwu? — zapytał Sal.

— Jeśli to zadziała, będziemy mieli do czynienia z czymś, co w mojej branży nazywa się dopuszczalnym podstępem — odrzekł Dan.



- W tłumaczeniu na hebrajski „niewinne kłamstwo” — uzupełnił Motke. — Mam rację?
- Dokładnie tak, Motkele — powiedział Dan, uderzając w zwolnionym tempie dłonią w dłoń Motkego.
- Mam lepszy pomysł — powiedział Sal. — Pozwólcie, że uczciwie wykorzystam moją inteligencję. — Otworzył Windy'ego i zaczął komponować wiadomość. Wdusił ENTER, zanim ktokolwiek zdążył ją przeczytać.

Chwilę później list Sala przy wtórze sygnału dźwiękowego pojawił się w komputerze Hinnoma. Tym razem Hinnom nie ociągał się z jej przeczytaniem. Ze zdumienia aż otworzył usta.

— Wiedziałem! Ten pieprzony gnojek to zrobił! — Przebiegł na tył autobusu, do Anakitów. — Jest zaledwie dziesięć minut stąd. Nieważne, co tu jest napisane, zniszczymy tego dupka przed wybiciem północy. Nikt nie będzie mi rzucał wyzwania ani dyktował, co mam robić! — Przesłał wiadomość Sala Linzerowi, który przeczytał ją na głos z pogardą:

„Zrezygnuj z instalacji o północy, a pięć minut przed północą nie będzie konieczne wpuszczenie do twojego systemu wirusa, który zamieni wersję 0.9 w pożeracza dysków i który w parę minut zniszczy wszystkie systemy komputerowe na świecie — włącznie z twoim. Wybór należy do ciebie”.

## 19 PÓLNOC W

### MEGIDDO

Koniec obecnego tysiąclecia. Początek nowego.

O dziesiątej wieczorem globalny pokaz Hinnoma trwał już od wielu godzin. Pięćdziesięciostopowe ekrany w Gei Ben Hinnom migotały dzikimi kolażami obrazów: rodzące się niemowlaki, głodne dzieci w Afryce, kanibale rozłupujący czaszki, by dobrać się do mózgu, wodospady, kolibry, korki uliczne, owce na polu, dzieci

szalejące na karuzeli, ptaki o piórach zlepionych ropą — a wszystko w rytm hipnotycznego pulsowania *Bestii*. W regularnych odstępach sekwencje przerywane były swego rodzaju reklamą: słynny aktor, koszykarz lub piosenkarz wyjaśniał, dlaczego nie może się już doczekać rozpoczęcia o północy instalacji wersji 0.9.

W makabrycznej prezentacji oszałamiający wybór znanych postaci zamigotał pospiesznie na ekranach ze słowami „Na dobry początek — rząd dziewiątek” sztucznie włożonymi im w usta. Laurel i Hardy, Babę Ruth, Mahatma Gandhi, Albert Einstein, Myszka Miki, Idi Amin, Bela Lugosi, George Waszyngton, George Bernard Shaw, Napoleon Bonaparte, Frank Sinatra, Humphrey Bogart, Lenin, Harry Truman, Fidel Castro, Elvis Presley, Adolf Hitler, a na zakończenie Chrystus na krzyżu. Obraz Chrystusa nieustannie obracał się o dziewięćdziesiąt stopni na boki, a na koniec zawisł do góry nogami, podczas gdy słowa „Na dobry początek — rząd dziewiątek” pojawiały się na jego animowanych ustach. Na całym świecie prawie miliard ludzi chichotał rozbawiony tymi wizualnymi fajerwerkami.

W miarę jak multimedialny pokaz się rozwijał, formatowcy na całym świecie bezustannie skandowali „Format c:!\... Format c:!\... Format c:!\...” Miliony ludzi były gotowe wydać to polecenie, przeladować system i modlić się, by ich wybór okazał się właściwy. Tymczasem pokazy Windgazera punktowane były odtwarzanymi z taśmy szyderstwami pod ich adresem. „Pamiętajcie” — ryczały głośniki — formatowcy będą łżeni przez tysiąc lat”.

Rozwalony na fotelu w swym gimbusie, nie odrywając oczu od ekranu Windy'ego, Hinnom był w stanie monitorować zarówno transmisję z Jerozolimy, jak i sprawozdania z całego świata. Obserwował je w milczeniu, od czasu do czasu zerkając na Nekrisza i pozostałych Anakitów, którzy bawili się bezpiecznikami swoich uzi, niekiedy zaglądając w wyloty luf. Co chwila Nekrisz celował w Linzera, który ostrożnie odsuwał lufę ołówkiem. Nekrisz był całkowicie nieprzewidywalny. Czasami wyładowywał się na swoich braciach, uderzając ich wściekle tak długo, aż kulili się albo kryli pod nogami tych, którzy nie byli celem ataku. Potem uspokajał się

nagle i uśmiechał przyjaźnie. Hinnom nieodmiennie kwitował te wybryki uśmiechem.

Kwadrans po dziesiątej Dan wpadł do pokoju Park i Sala na trzecim piętrze schroniska. Z sąsiedniego pomieszczenia wyrzła Motke.

— Czas na nas. Zaraz ma tu nas nie być — powiedział Dan.

— Amnon właśnie zadzwonił na moją komórkę. Podejrzewają, że Hinnom i jego anakicy kumple maczali palce w masakrze w więzieniu. Jeśli to prawda...

— W tych zabójstwach! — wykrzyknęła Park.

— Zgadza się. — Odwrócił się do Sala. — Amnon chce, żebym cię stąd zabrał. Armia coś planuje. Nie mam zielonego pojęcia co. Ale jeśli Anakicy spróbują cię tu szukać, nie znajdą cię.

Zwracając się do Motkego niczym do brata, Dan powiedział:

— Motkele, zabierz Park do Yaacova i pozostałych. Jeśli będzie trzeba, milicja kibucu da ci broń. — Pociągnął Motkego za rękaw.

— Opiekuj się nią, *chaver*.

Pocałował Park namiętnie, biorąc jej dłonie w swoje, splatając palce, unosząc ramiona. Przez krótki moment nie czuł zapachu płonącej benzyny, nie słyszał krzyków cierpienia, nie widział posępnych obrazów, poczuł jedynie miękkie, kochające, ożywcze wargi. Przez krótki moment ona czuła na twarzy powiew wiatru w jasny poranek pogodnego dnia w Kansas, słyszała odległy zgrzyt skrzyni biegów w ciężarówce na autostradzie, widziała rozmazaną falę pszenicy na wietrze, odczuwała radość z niewinności młodej dziewczyny, uwolnionej ze stwardniałej skorupy pogrzebanej pod wspomnieniami.

— To wszystko — powiedział, odsuwając się. — Wrócę wraz z twoim synem. Po północy.

Park przyciągnęła do siebie Sala, objęła jego głowę rękami i wykrzyknęła:

— Nie wiem, co się w tobie kryje ani skąd się wzięło!

— Nic mi nie będzie — odparł Sal, starając się uwolnić z matczynych objęć.

Dan rozdzielił ich.

— Będziecie mieli tysiąc lat na przytulanie się — powiedział.  
— Ale najpierw muszę go stąd wywieźć.

Dan objął na sekundę Motkego. Przybili piątkę i ponownie się uścisnęli.

Dan poklepał ukryty w kieszeni kamień, kamień, z którym się nie rozstawał, odkąd zagłębił się w czeluście pod klasztorem Sw. Onufrego.

— Chcesz to? — zapytał przyjaciela.

— Wolę króliczą łapkę — zażartował Motke. — Tobie bardziej się przyda.

Dan podrzucił kamień w dłoń i skwapliwie schował go z powrotem do prawej kieszeni.

— Kocham cię — powiedział do Park, zbiegając po schodach wraz z Salem. Park odprowadziła wzrokiem syna i kochanka odda lających się w dół wzgórze. Na dole Sal zamachał do niej z nagłym wdrygnięciem ramion, jak gdyby testował nowy gest.

Dan zawołał w stronę trzeciego piętra:

— Kocham cię! — Przyłożył czubki dwóch palców do warg i posłał jej całusa.

Park przyłożyła dwa palce do warg i odwzajemniła mu się tym samym.

Sal i Dan wskoczyli do czerwonego del sola. Dan sięgnął do skrytki za fotelem i pociągnął solidny łyk Laphroaiga.

— Mogę spróbować? — zapytał Sal.

Dan, zdumiony jedynie przez mgnienie oka, odpowiedział:

— Pewnie.

Podał Salowi butelkę. Skoro tylko mocny alkohol zetknął się z wargami Sala, ten zakrztusił się i wypluł płyn.

— Zostań przy komputerach — zachichotał Dan, po czym łyknął sobie jeszcze raz i wepchnął butelkę z powrotem do schowka.

Del sol wytoczył się z parkingu i przejechał nie oświetloną drogą pod żelazną bramę. Pełniący straż weteran uśmiechnął się, dotykając beżowego kapelusza w geście pozdrowienia. Odsunął bramę, by samochód mógł przejechać. Dan wyjechał na długą drogę prowadzącą na autostradę. Widoczność była kiepska, gdyż zaczęła podnosić

się gęsta, szybko się przesuwająca mgła, najpierw na wzgórzu, potem przy samej drodze.

— Pasy zapięte? — zapytał Dan.

Sal zastukał w klamrę.

W tej samej chwili w przedzie zamajaczył niewyraźny kształt. Drogę blokował żółty gimbus z zapalonymi długimi światłami.

— Trzymaj się! — zawołał Dan.

Stanął z piskiem hamulców w chmurze pyłu, który wypełnił zamglone powietrze, układając się w dziwaczne prążki w blasku reflektorów. Dan wrzucił wsteczny bieg i zaczął się cofać. „Trzymaj się, cholera!” ryknął, po czym dojechał do szerszego miejsca, gdzie zahamował ostro, gwałtownie obracając kierownicą. Samochód zawrócił. Dan wduśił gaz do deski, gnając w stronę kibucu. Autobus pojechał w ślad za nimi.

Trąbiąc przez cały czas, Dan wymachiwał i wołał do weterana, by otworzył bramę. "*E,ffen uff. E,ffen uff*", krzyknął w jidysz. Wtedy z wartowni wyłonił się Nekrisz, trzymając w dłoni beżowy kapelusz staruszka. Autobus zbliżał się coraz bardziej. Del sol znalazł się w pułapce, zaledwie parę stóp przed bramą.

— Wysiadaj! — ryknął Dan.

Sal i Dan wyskoczyli na boki.

Ułamek sekundy później autobus Hinnoma uderzył del solem o żelazną bramę, otwarte drzwi hondy odpadły, wyrwane siłą uderzenia. Siedzący za kierownicą Linzer cofnął autobus o parę stóp. Gaz. Powtórnie staranował del sola, miażdżąc bagażnik i część przodu.

Linzer wycofał się raz jeszcze na bezpieczną odległość. Zbiornik hondy eksplodował. Płonące strugi wystrzeliły w powietrze, osmalone kawałki czerwonej blachy poleciały we wszystkie strony. Najważniejsi mieszkańcy kibucu zostali uprzedzeni przez Amnona o nadciągającym ataku. Teraz rozległ się sygnał alarmowy.

Dan i Sal zbiegli na złamanie karku w dół wzgórza, obok budki strażnika i z powrotem na drogę. Nekrisz otworzył bramę przed autobusem, a potem popędził w ślad za Danem i Salem. Linzer staranował płonącego del sola, przepychając go przez bramę i na bok,

potem skręcił w lewo i pojechał drogą, wkrótce doganiając Nekrisza. Linzer weisnął hamulec i otworzył drzwi, Nekrisz wskoczył do środka. Linzer przyduśił pedał gazu do podłogi.

Kiedy zawyła syrena, Yaacov powiedział Park, by ukryła się w jednym z wielu prymitywnych schronów przeciwlotniczych rozsianych na terenie kibucu, których zadaniem była ochrona jego mieszkańców, zwłaszcza dzieci, przed atakiem terrorystów albo ostrzałem z moździerzy. Najbliższy schron znajdował się pośrodku placu zabaw, pokryty dziecięcymi malowidłami i właściwie nie do rozpoznania. Motke odprowadził ją do prostego, betonowego bunkra. Ciężkie, metalowe drzwi zaopatrzone były w nieskomplikowany, korbowy mechanizm. Po zamknięciu ich otwarcie od zewnątrz było niemożliwe.

— Weź latarkę — powiedział Motke, zakończywszy oględziny schronu. — Wygląda na solidny. Jest woda i brzoskwinie w puszcze, na wypadek gdybyś zgłodniała. Spróbuj znaleźć otwieracz. Jeśli to będę ja, zastukam tak... — Uderzył trzykrotnie, potem jeszcze dwa razy. Pomógł jej zamknąć drzwi, sprawdził je od zewnątrz, a potem dołączył do Yaacova.

Droga okalająca kibuc była dosyć długa. Dan i Sal zeskoczyli z niej, przebiegli między porastającymi wzgórze sosnami i krzewami głogu, po czym zaczęli piąć się w górę, w stronę kibucu.

— Szybciej! Szybciej! — krzyknął Dan, widząc, że Sal ma problemy z dotrzymaniem mu kroku.

— Staram się — odparł Sal, jego dłonie krwawiły od zetknięcia ze skałami i kolcami.

Zza wzniesienia wyłonił się kibuc. Wgramolili się na szczyt i pobiegli między budynkami. Żółty gimbus właśnie się zatrzymywał. Kiedy stanął w obłokach kurzu, jego harmonijkowe drzwi otworzyły się. Czterech Anakitów zeskoczyło na ziemię i zaczęło gonić Sala i Dana. Oni jednak zniknęli w mroku, więc zostali wysłani kolejni Anakici, by wesprzeć grupę poszukiwawczą. Linzer i Hinnom majestatycznie wysiedli z autobusu, by przyjrzeć się spektaklowi, ustawicznie spoglądając na zegarki.

— Mamy czas — powiedział z przekonaniem Linzer. — Dziś wieczorem zdążymy ze wszystkim.

W Jerozolimie hipnotyczne rytmy *Bestii* huczały w Gei Ben Hinnom. Synkopujące, wielobarwne lasery rozpały tłum do białości. Halucynogenne substancje były wachane i połykane. Zafascynowani widzowie kołysali się z laptopami wzniesionymi wysoko nad głowami, a na ekranie każdego w linii poleceń wpisana była komenda: >WINDGAZER 99.9. Z utęsknieniem, niemalże erotycznym w swej naturze, wyczekiwali północy, by dopełnić swego uniesienia i przycisnąć klawisz ENTER.

Lecz poza Doliną Śmierci czasu było coraz mniej. Światem wstrząsały gniewne znaki, które zbierały się od wielu dni, a teraz wydawały się osiągać punkt kulminacyjny w dniu powszechnego drżenia.

Inżynierowie w całym Chinach przygotowywali się do zainstalowania wersji 0.9. Lecz ich kraj pogrążony był w całkowitym chaosie. Niespodziewane, jednoczesne powodzie Żółtej Rzeki i Jangcy niszczyły całe prowincje. W parę godzin zagładzie uległy tysiące wiosek, zginęło 119 000 ludzi. Ponad dziewięćdziesiąt milionów straciło dach nad głową. A obie te liczby nadal rosły. Chińskie miasta były tak bardzo zagrożone, że władze rozpoczęły przerywanie wałów na terenach rolniczych, by zmniejszyć impet fali powodziowej poprzez poświęcenie milionów akrów nizinnych ziem rolniczych.

W Malezji na wybrzeże runęła niszczycielska fala, wywołana rzadkim oceanicznym trzęsieniem ziemi, zabijając sześć tysięcy ludzi. Wieśniacy opowiadali, że nic nie zapowiadało tragedii z wyjątkiem stłumionego dudnienia, jakie słychać było na parę chwil przed nadejściem fali. Niemal wszystkie dzieci z nabrzcznych terenów — całe pokolenie — zginęły, gdyż nie były w stanie uciekać wystarczająco szybko.

Gwałtowne sztormy u wybrzeży południowej Kalifornii uderzyły na nadmorskie kurorty, powodując niszczycielskie lawiny błota, które grzebały nieszczęsnych mieszkańców w ich własnych domach, potem zaś porwały ich w otchłanie Pacyfiku, gdy linia brzegowa uległa nieoczekiwanej erozji. W Grecji rzeki wystąpiły z brzegów,

zalewając położone w górskich dolinach miasteczka. Doliczono się co najmniej trzech tysięcy ofiar. Ponad sześćdziesiąt tysięcy osób uznano za zaginione. We Francji Ren przerwał wały, zmuszając setki tysięcy ludzi do ucieczki z domu.

Do tego w wielu miejscach zapanowały niespotykane w środku zimy upały. W Teksasie wielotygodniowe temperatury przekraczające czterdzieści stopni oraz dotkliwa susza osiągnęły w sylwestra swe apogeum, kiedy to padł nowy rekord, wynoszący pięćdziesiąt osiem stopni. Urządzenia klimatyzacyjne nie dawały sobie rady, w wielu miejscowościach przeciążone elektrownie najpierw ograniczyły dostarczanie mocy, potem zaś całkowicie stanęły. Ludzie zaczęli umierać we własnych domach. Znękanе upałami polne szczury, które zostały zmuszone do przeniesienia się na tereny mieszkalne, wdarły się do domów w poszukiwaniu wody i chłodniejszego powietrza. Wielu mieszkańców Dallas donosiło o stadach spragnionych gryzoni wypełniających przydomowe baseny i plądrujących domy, by zaspokoić głód. Impreza windgazerowców w Austin została odwołana. Niemniej jednak tysiące rozebranych do rosołu specjalistów od systemów komputerowych obozowało wytrwale przed podległymi ich pieczy serwerami, by mieć pewność, że o północy zrobią to, co do nich należy. W wielu przypadkach komputery o kluczowym znaczeniu dla funkcjonowania przedsiębiorstwa, w teksaskich bankach, firmach ubezpieczeniowych i bazach wojskowych, obsługiwane były przez dwóch albo i trzech menedżerów sieci, na wypadek gdyby pałący upał pokonał jednego z nich. Próby stworzenia komend automatycznie uruchamiających o północy proces instalacji Windgazera 99.9 zakończyły się całkowitym fiaskiem. Instalacja wymagała ludzkiego współdziałania w czasie rzeczywistym. Tak więc menedżerowie, uzbrojeni w butelkowaną wodę i wentylatorki na baterie, kontynuowali swe czuwanie.

W Nowym Delhi także zmagano się z rekordowymi temperaturami — sześćdziesiąt sześć stopni — które zagnały do rzeki Ganges nigdy przedtem nie widziane tłumy, oczekujące na nastanie chłodniejszej nocy. W Madrycie, nękanym 50-stopniową spiekotą, ogłoszono stan klęski żywiołowej, kiedy ludzie zaczęli omdlewać na



ulicach, wycieńczeni upałem. W Wenecji pięćdziesiąt stopni wystarczyło, by turyści szukali ochłody w zanieczyszczonych kanałach, podczas gdy długie karawany wywoziły w głąb łądu ofiary udaru słonecznego.

Tymczasem w spalonych słońcem Meksyku, Luizjanie i Florydzie wybuchały nie kontrolowane pożary. Olbrzymie chmury dymu wypełniły powietrze, na północy sięgając aż po Memphis i St. Louis, zamieniając dzień w szarą, upalnie mglistą noc. Administratorzy sieci przywdziali maski przeciwgazowe, nie odstępując swych serwerów i czekając na północ, by wduśić klawisz ENTER. Niektórzy zabrali ze sobą żony i dzieci, oficjalnie po to, by byli świadkami tej wiekopomnej chwili, a w rzeczywistości, by było komu ich zastąpić, gdyby skrajnie niekorzystne warunki wzięły górę nad nimi samymi.

Cały świat odczuwał skutki nagłej furii natury. Planeta nigdy przedtem nie była równie rozgniewana. A jej spektakularny gniew wcale nie wygasał.

W wielu miejscowościach doszło do olbrzymich opadów śniegu, po których nastąpiły olbrzymie upały, wywołujące powodzie, na koniec zaś niszczyielskie pożary spowodowane uszkodzeniami infrastruktury. Ludzie z pokorą i przerażeniem oglądali ogień i lód, powódź i gradobicie spadające na jedną i tę samą osadę w ciągu zaledwie godziny. W Montanie jakiś farmer stał ze swoją rodziną na dachu domu, zaledwie parę cali ponad powierzchnią wody przelewającej się wściekle przez zamrożone brzegi rzeki, patrząc na ogniste pióropusze unoszące się nad miastem w miejscach, gdzie została przerwana sieć gazowa. Cała rodzina modliła się ze złożonymi dłońmi. Mała córeczka farmera wyszeptała, ze wszystkich sił zaciskając powieki: „Dobry Boże w niebie, czy mógłbyś uratować dobrych ludzi? My byliśmy dobrzy”.

Potem zaczęły wybuchać wulkany. Pierwszy uaktywnił się Koro-win na Alasce, następnie gwatemalska Pacaya, a dalej Etna na Sycylii i Sakura-Jima w Japonii. Na zakończenie trzy najaktywniejsze i najgroźniejsze z wulkanów Indonezji, Semeur, Merapi i Peuet Sague, obudziły się w ciągu dziewięćdziesięciu minut, wypływając ze swych wnętrz złowieszczą, ogniście mroczną kopułę, wznoszącą

się ponad Oceanem Indyjskim i Spokojnym. Każda erupcja wyzwalała energię detonacji setek bomb atomowych, miotając w niebo kolumny dymu i popiołu. Niesamowita synchronizacja sprawiała wrażenie, jakby same ognie piekielne nauczyły się sztuki planowania. Zniszczenia przechodziły wszelkie wyobrażenia. Strumienie lawy zamieniały wielkie połacie w popieliście szare krajobrazy, gdzie przez dziesiątki lat nie pojawi się życie. Nieoczekiwana furia płynnego ognia przyniosła śmierć milionom ludzi. Po krótkim czasie służby ratownicze pogrążyły się w chaosie. Każdy z tych wulkanów znajdował się na liście dziesięciu potencjalnie najgroźniejszych, lecz naukowcy sądzili, że potrzebują jeszcze wielu lat, by osiągnąć stan krytyczny. Wulkanolodzy i koordynatorzy akcji ratowniczych ściągali z satelitów nie kończące się zestawy GIF-ów i posyłali sobie nawzajem rozgorączkowane e-maile, starając się zrozumieć, co mogło doprowadzić do tej globalnej, wulkanicznej reakcji łańcuchowej. Odcięty od świata obserwator na szykującym się do erupcji wulkanie Soufriere Hills na wyspie Montserrat, wysłał ostatnią wiadomość. Była bardzo zwięzła: „W tym dniu wulkanicznego szaleństwa tutajsza erupcja będzie większa, niż ktokolwiek może sobie wyobrazić. Nie zdołam uciec na czas z wyspy. Powiedzcie mojej żonie, że ją kocham. Powiedzcie ludziom, że tak przemawia do nas Bóg. Musimy go wysłuchać. Koniec ostatniego przekazu”.

Było tak, jakby świat zmierzał ku ostatecznej katastrofie w ciągu jednego, kataklizmowego, surrealistycznego dnia. Potworności o wręcz biblijnych wymiarach doświadczały każdy zakątek cywilizacji. Żadne miejsce nie stanowiło bezpiecznego schronienia przed tymi cierpieniami. Śmierć była wszechobecna, podobnie jak płacz. Krew i łzy wsiąkały w ziemię.

Większość instalacyjnych przyjęć została odwołana, podczas gdy świat starał się opanować bezprecedensowy ciąg katastrof i niszczycielskich tragedii. Ponure nowiny zaczęły napływać do Gei Ben Hinnom. Zgromadzeni w Jerozolimie zwolennicy instalacji nie mogli nie przerwać radosnego świętowania, ogarnięci niepokojem. Niektórzy spanikowali, krzycząc: „Popelniamy błąd” i „Może dokonujemy złego wyboru!” Paru zaczęło nawet skandować: „Format c.”,

co rozwścieczyło fanatycznych windgazerowców, którzy zażądali, by słabi duchem przestali psuć im zabawę. Zaczęło dochodzić do bójek. Prezenterzy mieli duże trudności, by uspokoić zebranych. Doniesienia o odwołanych pokazach i wystraszonych użytkownikach w szybkim tempie zapełniały skrzynkę pocztową w Windym Hinnoma, który w końcu musiał interweniować.

Hinnom nie dbał o to, ile zgromadzeń zostało odwołanych w Melbourne, Londynie czy San Francisco. Zależało mu tylko na tym, by do skutku doszła wielka impreza w Jerozolimie. Niech się dzieje, co chce. Kucając przy wygiętym zderzaku swego gimbusa zaparkowanego w kącie parkingu kibucu Megiddo, wysłał e-maila do swych podwładnych w Jerozolimie: „Przygotować się na przekaz na żywo za dwie minuty. Przemówię do tłumu”.

W dolinie organizatorzy wyłączyli ogłuszająco głośną muzykę, by zapowiedzieć przesłanie od samego Bena Hinnoma. Ta sama zapowiedź powtórzona została na gigantycznym ekranie. Wszystkie oczy zwróciły się w stronę wielkiego telewizora i mniejszych monitorów umieszczonych w różnych punktach wąwozu.

Chwilę później pojawił się na nich obraz Bena Hinnoma, powitany frenetycznym rykiem entuzjazmu. Za pośrednictwem swego Windy'ego, Hinnom obwieścił z Megiddo:

— Wszyscy słyszeliśmy doniesienia o złej pogodzie napływającej z całego świata. Proszę, nie niepokójcie się. To tylko El Nino. Mały cholernik ciągle kaprysi. Ale wy nie macie się czego obawiać. Dzięki technologii używanej przez Hinnom Computing, służby ratunkowe na całym globie bez trudu dają sobie radę z tymi drobnostkami. Wykorzystując nasze oprogramowanie do utrzymywania łączności, śledzenia i przewidywania wydarzeń, będą mogły wprowadzić do akcji nowy, ulepszony, skomputeryzowany sprzęt. Naukowcy już badają przyczyny tego nagłego pogorszenia się pogody i kłopotów z wulkanami. Może to plamy na słońcu, efekty pływowe, aberracje tektoniczne. Nikt tego nie wie. Ale wkrótce wszystkiego się dowiemy. Pamiętajcie — mówił dalej, starając się uspokoić tłumy — każdego dnia od początku świata przeszły tysiące groźnych burz. Erupcje wulkaniczne o najprzeróżniejszym natężeniu zdarzają się co

tydzień. Pożary — w normalny dzień można ich zliczyć setki. Takie rzeczy się zdarzają. Powodzie — nie ma dnia, by jakaś okolica nie znalazła się pod wodą. Żeby tylko jedna. To nie ma żadnego związku ze zbliżającą się instalacją wersji 0.9 czy — zmusił się do sztucznego chichotu — kryzysem roku dwutysięcznego. Dajcie spokój!

Uśmiechnął się, unosząc palec dla podkreślenia wagi swych słów.

— W rzeczywistości, jedyny związek, jaki można dostrzec między tymi zdarzeniami a Hinnom Computing i komputerami, to fakt, że bez nowoczesnej, ogólnosiwiatowej sieci informacyjnej, internetowego systemu natychmiastowego upowszechniania wiadomości, wszystkie te naturalne zjawiska potraktowano by jako wybryki natury, tyle że dowiedzielibyśmy się o nich całe dni i tygodnie później. Albo i wcale nie. Dziennikarze uwielbiają rozdmuchiwać takie historie — Hinnom z niepotrzebnym uporem wciąż nawracał do tematu — bo mogą grać na obawach ludzi zaniepokojonych kwestią roku dwutysięcznego. To nieuczciwe — ale na tym polega współczesne dziennikarstwo! Dla kontrastu chciałbym nadmienić, że, jak się dowiadujemy, dzielni menedżerowie systemów komputerowych na całej planecie trwają przy swoich komputerach — pewnie popijając niejednego Jolta — zażartował — czekając na rozpoczęcie instalacji. Wszystko zacznie się właśnie tu, w Jerozolimie. Za niecałą godzinę. A potem fala instalacji popłynie na zachód przez kolejne strefy czasowe. Mógłbym jeszcze dodać... jak już mówiłem... eee... eee... co to ja mówiłem?

Hinnom zgubił wątek, podczas gdy jego spojrzenie mimowolnie towarzyszyło Anakitom przebiegającym okolicę w poszukiwaniu Sala i Dana.

— Dobrze, wszystko jest w porządku — wrócił do przerwanej myśli, starając na powrót się skoncentrować. — ...I żeby to wam udowodnić, zamierzam już się rozłączyć... Owszem. Proszę naszych prezenterów o muzykę i wznowienie pokazów... dużo dobrej rozrywki... oraz, hej, darmowe wino i piwo dla wszystkich, aż do północy. Chciałbym też, żebyście wszyscy spojrzeli na sterowiec nad waszy mi głowami. Spójrzcie do góry, do góry. Dalej, spójrzcie do góry.

Nie sposób go nie zauważyć. Czy ktoś mógłby umieścić na ekranie ramkę z tym drobiazgiem? Proszę o ramkę.

Obraz małego, komercyjnego sterowca pojawił się w rogu ekranu. W tej samej chwili Hinnom wysłał e-maila do pilota, zezwalając mu na wyświetlenie zgodnie z planem logo Windgazera 9.99 na Ścianie Płaczu. Druga ramka otworzyła się na ekranach. Pokazywała ujęcie Starego Miasta z lotu ptaka, przesuujące się, a potem koncentrujące na Kotelu.

— Proszę bardzo! — zarechotał Hinnom.

Wtedy logo Windgazera 9.99 zapaliło się na wielkich, białych kamieniach Kotelu. Z drobną różnicą — było odwrócone do góry nogami. Parokrotnie obraz powiększył się, obejmując całą Górę Świątynną włącznie ze Świętym Świętych, a potem skurczył się z powrotem, skupiając na Ścianie Płaczu. Kiedy logo padło na święte miejsce islamu, Meczet Skały, zostało odbite ku gwiazdom, jak gdyby rzucając wyzwanie niebiosom.

— Jupiiii! — wykrzyknął podekscytowany Hinnom, dodając półszepem: — No, przynajmniej to mi się udało.

Wtedy właśnie ziemia zadrżała. Trzy potężne wyniosłości wyłoniły się poza Gei Ben Hinnom, nieopodal Syjonu, przy wtórce krzyków przerażenia. Pojawieniu się nowych wzgórz towarzyszyły wybuchy pękających gazociągów, które wypluwały ku niebu olbrzymie wieżycy ognia. Budynki na grzbietach wzgórz runęły na ziemię, miażdżąc wszystkich ludzi w swym wnętrzu i na swej drodze. Jerozolima stanęła w płomieniach.

Czytając sprawozdania na ekranie Windy'ego, Hinnom wybełkotał:

— Hej, hej. Pamiętajcie, że Jerozolima leży na uskoku. Na uskoku. Trzeba było uskoczyć, ha! Trzęsienia ziemi wstrząsały tą częścią świata od stuleci. To normalka. — Zaczął bełkotać bez składu: — Eee... no... muszę już lecieć... mam spotkanie. Do zobaczenia niebawem. Eee, pa!

Czarne ekrany.

W tej samej chwili Linzer pospiesznie przywołał do autobusu paru Anakitów.

- Nadal szukamy tego małego gnoja — poinformował ich. — Miałem nadzieję, że uda nam się załatwić to po cichu. Ale teraz wygląda na to, że możemy zostać zauważeni.
- Zabijcie wszystkich, zniszczcie wszystkie żywe istoty, dopóki go nie wydadzą — odwarknął Hinnom. — Na cały świat spadła zagłada i zniszczenie. Niech Megiddo też się załapie.

Linzer znalazł w gimbusie megafon i wykrzyknął w stronę kibucu:

— Tu jednostka straży przemysłowej Hinnom Computing Company współdziałająca z izraelskimi siłami zbrojnymi. Według naszych wiadomości, terroryści, którzy dopuścili się zbrodni w więzieniu, przebywają na terenie kibucu. To dwaj Amerykanie, Dan Levin i Sal McGuire, być może także jego matka i paru innych współników. Liczymy na waszą współpracę — dudnił. — Nie ukrywajcie ich. Współpracujcie. W kibucu nie ma sprawnych telefonów, nadajników radiowych, a telefony komórkowe są zagłuszane. Tak więc kibuc jest całkowicie odizolowany od świata. Moje wsparcie stanowi jednostka specjalna — oddział bardzo groźnych komandosów szkolonych w zwalczaniu terroryzmu. Odmowa współpracy zostanie uznana za jawne i czynne popieranie terrorystów i spotka się z bezlitosną reakcją. Nie będę powtarzał tego ostrzeżenia. Nasze poszukiwania rozpoczniemy... — odczekał chwilę, niczego nie usłyszał, więc skończył — ...teraz.

W tej samej chwili zza stołówki wyłoniła się falanga weteranów, zdecydowanych i zdeterminowanych, wyposażona w najprzeróżniejsze uzbrojenie, od nowoczesnych uzi i galilów po zabytki z obu wojen światowych. Wśród nich był Motke, maszerując z nimi ramię w ramię i trzymając w dłoni zawieszzonego na długim pasku galila.

Oddział dwunastu Anakitów prowadzony przez Iszbiego wybuchnął śmiechem, sięgając po złożone nieopodal blaszane pokrywy od beczek. Weterani zatrzymali się kilka jardów od nich, a Yaacov wykrzyknął:

- Znamy was. To wy. Nie zginęliście w Berlinie, zgadza się?
- Spojrzał po swoich towarzyszach, który dostrzegli to samo.
- Faszyci!... — zawołał ponownie. — Dalej próbujecie stworzyć rasę gigantów, zapanować nad światem.

— Starcze! — odpowiedział Linzer. — Nie powinno cię tu być. Byłeś jeszcze jednym obleśnym pasożytem czekającym na śmierć, kiedy trafiła ci się ta ryba. Pomóż nam teraz. Powiedz, gdzie ukryją się Amerykanie. Zabierzemy ich i odejdziemy. Nawet podaruję ci jeszcze jedną rybę, żebyś miał co sobie usmażyć na kolację.

Myśli Yaacova powróciły do owych kilku ostatnich dni, kiedy woła walki wyciekła z jego duszy, kiedy ostatni gram wytrwałości zgubił się na jakimś polu, kiedy leżał z twarzą w błocie, kiedy perspektywa życia w świecie, który przetrwał, była pod wieloma względami bardziej przerażająca od pragnienia przetrwania w świecie, w którym żył. Tamtego dnia spotkał przy drodze Mojszego i Rivke. Nie uczynili wiele, udowodnili jedynie, że ludzka życzliwość nie zginęła podczas ostatecznej wojny przeciw ludzkiej życzliwości. Lecz Yaacov rozumiał, że wojna nie skończyła się wraz ze zdobyciem tamtego bunkra w Berlinie. Ani też nie zaczęła w *Biergarten* wraz z nadejściem Hitlera.

Yaacov spojrzął na Linzera, spojrzął mu prosto w oczy. Ujrzał, jak na jego gładko wygolonej twarzy na moment pojawia się kwadratowy wąsik. Yaacov zmusił się, by spojrzeć ponownie. Teraz wąsik przybrał postać materialną i nie zniknął. Linzer uśmiechnął się złośliwie i przechylił głowę na prawo, tak by włosy zsunęły mu się na jeden bok.

Na ten widok wszyscy weterani zaczęli dygotać. Jeden po drugim unosili ręce, rozczapierzali palce, wskazując na niego.

— To ty! — krzyknął Yaacov. — To prawda. Nie zginąłeś, wszystkie te armie i bomby nic ci nie zrobiły. Ale tu zginiesz — w naszym małym kibucu. Tu i teraz. Tak byśmy mogli wreszcie powiedzieć: „Nigdy więcej”.

Hinnom roześmiał się szyderczo zza pleców Anakitów.

— Och, tak! Tak, więcej i więcej. Więcej i więcej. Więcej i więcej. Więcej i więcej. — Dźwięk tej frazy wyraźnie przypadł mu do gustu, zaczął przebierać palcami jak dyrygent. Zaraz wszakże przestał i beczelnie rozkazał Linzerowi: — Kontynuujcie.

Yaacov i jego towarzysze przygotowali się do odparcia ataku. Unieśli swą broń. Anakici ruszyli ku nim przez otwarty plac. Wete-

rani otworzyli ogień. Odbijając kule pokrywami, Anakici zasypali weteranów ogniem ze swych uzi, strzelając dziko zamaszystymi, niewprawnymi ruchami. Pociski trafiły mniej więcej połowę obrońców. Motke dostał postrzał w bok od pierwszej serii. Zwalczył ból, zagryzając zęby, i zmagał się z nim tak długo, aż dostrzegł tryskającą z rany krew, nie czuł jednak rozżarzonego do białości ułkucia pocisku.

Anakici, wytrzymując ogień pozostałych weteranów, spadli na starszków, wymachując swymi uzi niczym maczugami, pokrywami od beczek niczym tarczami, rozbijając głowy i łamiąc kości. Motke, leżąc, usiłował jeszcze raz wystrzelić, lecz Iszbi przydepnął mu dłoń i wbił kolano w krtań. Potem zamachnął się na Yaacova. Starzec zrobił unik i dźgnął wyładowanym uzi Iszbiego w pachwinę. Gigant prawie nie odczuł tego ciosu, chwycił Yaacova jedną ręką, podczas gdy inny złapał go za nogi i uderzył nim o ziemię niczym padliną w klatce rzeźnej. Potem przykryli jego ciało pokrywą i jeden z Anakitów wskoczył na nią, miażdżąc Yaacova. Potem dla pewności inny uczynił to samo.

Jeszcze parę chwil i wszyscy spośród ponad dwudziestu weteranów leżeli martwi albo konający, a ich krew gromadziła się w płytkie, wzbierające kałuże i strumyczki. Anakici skierowali się w stronę zabudowań budynków mieszkalnych, wdzierając się do domków na tyłach głównego budynku kibucu w poszukiwaniu Sala i Dana.

Dan i Sal obserwowali ich walkę z weteranami z warsztatu jubilerskiego, gdzie skryli się za wysokimi lustrami w magazynie. Lustra miały być zamontowane w odnowionych pokojach gościnnych i ustawiono je pionowo, zwierciadlaną powierzchnią do ściany, by uniknąć porysowania. Skulony za jednym z nich Dan widział tylko swe własne odbicie... a po bokach i za oknem scenę zagłady.

Kiedy Anakici zniknęli z placu, Dan i Sal wyszli z kryjówek, podkradli do okna, by się upewnić, a potem wybiegli do zdziesiątkowanych weteranów. Poskręcani i skrwawieni, przypominali Danowi pomnik w Dachau, zdjęcia w Yad Vashem, scenę w zaśnieżonym lesie nieopodal polskiej wioski po otwarciu ognia przez AK.

Dan i Sal przebiegali od ciała do ciała, poszukując oznak życia.



Kiedy znaleźli kogoś, kto jeszcze oddychał, Dan mógł jedynie powiedzieć:

— Pomoc jest w drodze. Amnon sprowadzi pomoc. Nie poddawaj się. Proszę, wytrzymaj.

Po odwróceniu jednego z ciał, ujrzał przed sobą twarz Motkego. Miał złamany obojczyk, rzeził i charczał, jak gdyby oddychał przez gwizdek.

— Motkele! — wykrzyknął bezradnie Dan. — Motkele. Nie daj się, *chaver*. Wojsko jest w drodze. Cholera, gdzie oni są? — wyszeptał znękanym głosem, rozglądając się za Anakitami, którzy teraz podpalali splądrowane przez siebie domy.

— Gdzie moja matka? — zapytał Sal.

— Park — powtórzył Dan. — Jest u siebie?

Motke z wysiłkiem zamrugał przecząco.

— W mleczarni?

Motke ponownie zamrugał na „nie”.

Oczy Motkego skierowały się w lewo, w stronę schronu przeciwlotniczego zamaskowanego na placu zabaw.

Sal i Dan okręcili się w jego kierunku i od razu wszystko pojęli.

— W porządku — powiedział Dan przez łyżę. — Nie poddawaj się.

Motke wypluł wielką, włóknistą grudę na wpół zakrzepłej krwi. Potem krew popłynęła mu strumieniem z ust. Zacharczał odruchowo, a potem oddał ostatnie tchnienie.

Dan oparł się czołem o skrwawioną pierś Motkego i zaczął niepohamowanie szlochać.

— Przepraszam... Nie znam kadiszu. Jestem Żydem, niech mnie szlag, a nawet nie znam kadiszu. — Zastanowił się i przypomniał sobie. — Poczekaj, zaczyna się *Yiskadol viyiskadol...* eee... — lecz zaraz umilkł. — Niech mnie szlag. Nie pamiętam — wyjęczał. — Do zobaczenia, Motke... do zobaczenia po drugiej stronie.

Nie spuszczać schronu z oka i co chwila zerkając na płonące domy po drugiej stronie ogrodu, w tle słysząc jęki bóleści i krzyczące kobiety, Dan dalej badał ciała, zarazem szukając uzi. Znalazł pistolet bez magazynka i puste magazynki. W pewnej chwili uniósł stojącą

pośrodku tej rzeźni beczkę po benzynie. Pod nią spoczywał Yaacov, zmasakrowanymi ramionami przykrywał czoło, niemalże tworząc literę szin.

— Yaacov, Yaacov — zapłakał Dan. — Wróc do mnie. Tato, tato, wróc.

Oczy Yaacova otwarły się powoli.

— Jestem... na chwilę... — powiedział ledwie słyszalnym głosem. — Nie mogę się ruszyć... Ale — odetchnął boleśnie — .. jestem tutaj.

— Yaacov... — rozpaczal Dan.

Yaacov spróbował się uśmiechnąć, lecz tylko się rozkaszał. W oddali zaczęły eksplodować zbiorniki z ropą, podczas gdy Yaacov szeptał drżącym głosem, ani na chwilę nie tracąc swego delikatnego, czułego tonu.

— Dan. Twój ojciec i twoja matka... dobrzy ludzie... pomogli mi... — zakaszłał, przewracając oczami. — Teraz... ja pomogłem tobie... — Uśmiechnął się, jak gdyby nareszcie pojmując jakąś wielką prawdę. — Dan... to nie zaczęło się w trzydziestym trzecim. .. nie skończyło... w czterdziestym piątym...

— Dlaczego? — lamentował Dan, przyciszając zboląły głos. — Dlaczego?

Yaacov kilkakrotnie pokiwał głową. Uśmiechnął się ostatni raz.

— Wiesz... tylko nie... — wziął gwałtowny oddech i poddał się. Odszedł.

Dan zaczął bić się rękami w głowę, usiłując zrozumieć. W końcu udało mu się znaleźć parę magazynków i drugiego uzi. Uzbroił się, a potem podał naładowaną broń Salowi.

— Nie mogę tego użyć — powiedział Sal. — To broń. Dan złapał Sala za koszulę i warknął:

— To tylko masa, prędkość i trajektoria!

— Jasne — odparł Sal. Obejrzał broń, znalazł bezpiecznik i odsunął go. — Dam sobie radę.

Słyszając zamieszanie w centrum kibucu, Irna, przewodniczka, wspomagana przez obrońców kibucu, pospiesznie starała się załado-

wać swych podopiecznych do autobusów i wywieźć ich w bezpieczne miejsce.

— Wsiadajcie, wsiadajcie do autobusów — wołała. — Terrorysty!

Kierowcy, niektórzy jedynie w bieliznie, pędzili do pojazdów, by uruchomić silniki, a chorzy z pogodnymi minami ustawiali się przy drzwiach.

Nagle pojawił się starszy mężczyzna w długim płaszczu. Kuebitz.

— Nie ma się czego obawiać — powiedział łagodnie Kuebitz, kojącym głosem. — Nie bójcie się. — Odwrócił się do Irny. — Ci mili ludzie muszą pójść ze mną. Będą bezpieczni.

Ruszając w dół wzgórza, Kuebitz poprowadził setki dzieci, uśmiechniętych, jak gdyby udawali się na jakieś szczególne przedstawienie. Irna zamykała ten pochód, pytając teatralnym szepem:

— Dokąd ich pan zabiera? Dokąd?

Kuebitz zbył ją gestem dłoni i szedł dalej, a jego podopieczni tuż za nim. Na samym przedzie maszerował Raymond, uśmiechając się i pogwizdując wesoło, trzymając Kuebitza za rękę.

Przekradając się od cienia do cienia, Dan i Sal przez cały czas widzieli grupki Anakitów przeszukujące okolicę, mordujące i niszczące wszystko na swej drodze. Ubrani w strzępy pościeli, szlafroków, obrusów, podartych kawałków brezentu, sukien i płaszczy, Anakici sporządzili sobie naszyjniki z oczu i uszu swych ofiar, nanizanych na kawałki sznurka czy rzemyka, na modłę chorwackich ustaszy podczas holocaustu.

Dziewięciu Anakitów próbowało wdrzeć się do jednego z gorzej zamaskowanych schronów, gdzie ukryło się wielu młodych ochotników wraz z dziećmi. Używając kawałków rur wodociągowych jako taranów, raz za razem uderzali w drzwi. Inni wspięli się na wzmocniony dach schronu, zaglądając przez wąski, obudowany wylot szybu wentylacyjnego. Wewnątrz dzieci trzymały się za ręce i modliły się, podczas gdy starsza dziewczynka ze Szkocji powtarzała w kółko ku niebu: „Bądź wola twoja. Bądź wola twoja”.

Dan i Sal przedostali się w końcu na plac zabaw, gdzie w schronie

ukrywała się Park. Zastukali w drzwi tak cicho, jak potrafili, krzywiąc się na wywołany tym hałas. Żadnej odpowiedzi.

— Mamo, to my — wyszeptał Sal, podczas gdy Dan przepatrywał okolicę. Zasuwa przesunęła się ze zgrzytem i przez powstałą szczelinę wyjrzała skamieniała twarz Park. Wtedy właśnie cały kibuc zadygotał. Ziemia zaczęła się rozstępować, całe jej połączenie spiętrzały się w kamieniste wyniosłości.

Ziemia zadudniła i zapadła się pod stopami Sala i Dana, kiedy właśnie mieli wejść do schronu. Wpadli do szczeliny głębokiej na dziesięć, piętnaście stóp. Park pomagała im się wydostać, kiedy u wylotu ścieżki pojawił się Linzer, strumieniem światła z latarki przecinając dryfującą wolno mgłę.

— Mam ich. Mam ich... są tutaj — zawołał Linzer.

Hinnom wyjrzał ze swego schronienia w autobusie, by przekonać się na własne oczy.

Tuzin Anakitów rzucił się w ich kierunku, a znacznie większa gromada, dotąd trzymana w odwodzie, wysypała się z gimbusa.

Ziemia drżała nieustannie. Kiedy Sal i Dan wygramolili się ze szczeliny, zaraz ześlizgnęli się z powrotem po jej śliskim zboczach. Park krzyknęła i wyciągnęła rękę, by pomóc im się wydostać i ukryć w schronie.

Linzer i Anakici biegli w jej stronę.

W końcu dłonie Sala i Park zetknęły się. Park pociągnęła ze wszystkich sił.

Anakici nadbiegający z innego kierunku pojawili się na dachu schronu, gotowi, by zeskoczyć na dół.

Wtedy ziemia zajęczała i rozstąpiła się jeszcze głębiej, wciągając Dana i Sala, tworząc wąską otchłań o stromych ścianach, głęboką na dwadzieścia, trzydzieści stóp, która szybko zaczęła wydłużać się w obu kierunkach, jak gdyby ziemia rozszczepiała się niczym deska. Park stoczyła się na dół, kiedy zabrakło jej gruntu pod nogami. Anakici zeskoczyli za nią, lecz wylądowali znacznie niżej w wydłużającej się nieustannie szczelinie. Giganci zaczęli gramolić się po podziemnym zboczach, podczas gdy Park, Sal i Dan rzucili się do ucieczki w drugą stronę, podążając coraz głębiej.

Biegnać, niekiedy potykając się, gdy ziemia nieoczekiwanie zapadała się pod ich stopami, ześlizgując się na bokach i znowu biegnać, Dan, Park i Sal usiłowali wymknąć się prześladowcom, podczas gdy wzgórze pogrążone było w agonii.

Gwałtownie powstała szczelina przez cały czas rozpruwała stały ład, poszerzając się w rytm ich kroków, obniżając się krętymi zakolami, naganiając ich ku położonej niżej dolinie. Gdy błyskawica przecięła niebo, gdy wyrwane z korzeniami drzewa waliły się nad ich głowami, gdy kolejne zbiorniki z ropą rozrywane były ognistymi eksplozjami, nie ustające wzburzenie targające ziemią zaczęło wydzierać jej starożytne, krwawe sekrety.

Szkielety zabitych wojowników sprzed tysiącleci wystawały z miękkiego błota niczym płoty i występy na torze przeszkód, zmuszając ich do ciągłych uników i zmiany trasy. Za każdym razem gdy ponura kość wychylała się w jej stronę, Park piszczała głośno. Anakici, ścigający ich zawzięcie przez rozpadlinę, wybiegali niekiedy zza zakrętu, by nadzieć się na ostrą kość udową czy piszczel. Albo też potykali się i wpadali do rozwierających się nieoczekiwanie pod ich stopami lejów, znikając w bezdennych otchłaniach. Pościg wszakże trwał dalej.

Dan, Park i Sal biegli rozpadliną, obryzgiwani bulgoczącą mazią i strugami błota, a z góry sypały się na nich kości. Tak wiele szkieletów osuwało się w głąb szczeliny, że wkrótce droga przed nimi usiana była kośćmi. Każdemu ich stąpięciu towarzyszył suchy chrzęst. Niektóre szczątki kruszyły się pod ich nogami, inne były na wskroś skamieniałe. Wiele z nich pokrywał śluz, po innych pełzały tłuste, czarne robaki, wydzielające po rozdeptaniu gęstą, oleistą ciecz.

Kiedy Anakici mieli ich już dopaść, rozpadlina rozwidliła się. Trójka uciekinierów skierowała się w dół lewej odnogi, ześlizgując się stromym, błotnistym urwiskiem. Nagle w dole ujrzeni grupę Anakitów pnących się szybko w ich stronę. Odruchowo wstrzymali oddech. Kilku Anakitów znajdowało się też zaledwie parę jardów za ich plecami.

Wtedy pojawił się Iszbi. Stał wysoko w górze. Zeskakując z powierzchni równiny, wylądował niemalże wprost na Danie. Pra-

wa dłoń Iszbiego o ostrych paznokciach przeorała mu ramię, pociągając go w dół. Obaj wyrócili się. Iszbi wyprostował się i uderzył Danem o miękką ścianę rozpadliny. Na mgnienie oka stanęli twarzą w twarz. Ciemne oczy Iszbiego były szkliste i martwe, zupełnie czarne, tak że źrenice w najmniejszym nawet stopniu nie odcinały się od tęczy. Iszbi zamachnął się nożem i przejechał ostrzem po plecach Dana. Dan miał wrażenie, jakby drapieżna łapa rozpruwała jego ciało.

Iszbi wymierzył nóż, zamierzając zatopić go w sercu Dana.

Sal uniósł swego uzi i zaczął strzelać.

Pierwsze pociski bardziej zaskoczyły niż zraniły Iszbiego. Wojownik zwrócił wykrzywione w okropnym grymasie oblicze w stronę Sala, który ponownie pociągnął za spust, omiatając serią ciała napastnika. Iszbi padł na ziemię, skrwawiony i przynajmniej na jakiś czas unieszkodliwiony.

Dan przyglądał się ze zdumieniem skutkom ognia Sala.

— Masa, prędkość i trajektoria — zauważył od niechcienia Sal.

W pobliżu rozwarł się jeden z niewielkich lejów. Dan, Sal i Park wpadli do niego na chwilę przed tym, jak dopadli ich nadbiegający z obu stron Anakici. Lej, zbyt wąski dla gigantów, prowadził do jednego z wyżłobionych ludzką ręką tuneli starożytnego Megiddo. Choć w jego wnętrzu panował mrok, u wylotu można było dostrzec blask księżyca. Uciekinierzy popędzili w jego kierunku, Dan ignorował ból i krwawienie ramienia oraz pleców.

Tunel kończył się w płytkiej, naturalnej jaskini wychodzącej wprost na Równinę Megiddo.

Zapuścili się na dobre kilka jardów w głąb spowitej mgłą doliny. Podmuch wiatru rozegnał nieco mgłę, odsłaniając duży, podłużny kształt. Po chwili jego kontury nabrały wyrazistości: gimbus. Hin-nom majestatycznie wyłonił się zza harmonijkowych drzwi, gestem ręki zatrzymując czających się w jego wnętrzu Anakitów. Pojawił się także i Linzer. Nekrisz wysunął się na czoło kolumny wojowników, którzy nadeszli wraz z Linzerem. Z mgły chwiejnym krokiem wynurzył się złany krwią Iszbi, ranę na nodze obwiązał kawałkiem

plótna, podczas gdy z innych sączyły się odrażające płyny. Kilku-  
dziesięciu Anakitów przegrupowało się, tworząc półkole.

Dan, Park i Sal byli otoczeni.

Nagle w oddali, po lewej stronie, rozległ się warkot silników. Dywizjon helikopterów UH-60 Blackhawk przewożący komandosów Amnona. Jedna po drugiej maszyny wyrównały lot, podnosząc swe czarne pyski, tak by żołnierze mogli spuścić się po linach na ziemię. Od strony autostrady nadjechały wojskowe ciężarówki, zatrzymując się z piskiem opon niedaleko miejsca zrzutu. Wyskoczyli z nich starsi wojownicy w starannie wyprasowanych koszulach, po-brzękując pasami i klamrami, niektórzy odruchowo poprawiali berety po wylądowaniu na ziemi. Zapaliły się reflektory, oświetlając okolicę, jakby nowe słońce weszło na nowym niebie nad nową ziemią. Budzący bojaźń dźwięk wypełniający powietrze i ziemię zapowiadał przybycie Armii Boga zgodnie ze wskazówkami Reguły Wojny.

Chwilowo oślepieni bijącym wprost na nich światłem, Anakici zasłaniali oczy, miotając się wściekle po omacku. Jedni rycieli, inni odgrazali się uniesionymi pięściami.

Komandosi w pełnym stroju antyterrorystycznym uformowali siedem szeregów i zwrócili się twarzami do Anakitów, tak jak nakazywała Reguła Wojny. Anakici otworzyli ogień, lecz większość pocisków pomknęła nieszkodliwie w niebo. Jedynie paru komandosów zostało trafionych.

Amnon zakrzyknął z tyłu przez megafon:

— Nie strzelać. Jeszcze nie, bez względu na sytuację.

Anakici usiłowali przeładować broń, lecz magazynki wypadały im z rąk. Linzer wyrwał uzi Nekriszowi i spróbował osadzić w nim nowy magazynek. Próbował wielokrotnie, lecz bez powodzenia.

Armijni rabini, odziani nie w mundury, lecz w zwiewne szaty z białego płótna, wskoczyli na maski ciężarówek. Unieśli swe szofary, a na każdym z nich widniał inny napis: „Porządek Boży”, „Książęta Boży”, „Wezwani przez Boga”, „Lud Boży” i „Oddziały Boże”. Każdy z nich zgodnie z zaleceniami Reguły Wojny należało przemocować do rogów, tarcz i broni w Dniu Pomsty.

Rabini rytualnym gestem unieśli rogi i wydobyli z nich przeciągły, ogłuszający dźwięk. Anakici skrzywili się, rażeni przenikliwymi nutami tkii\*, przebijającymi się nawet przez grzmot silników. Widząc, że zanosi się na starcie, Hinnom i Linzer schronili się we wnętrzu gimbusa.

Amnon zwrócił się do swych ludzi:

— Odłóżcie karabiny.

Komandos z jednoczesnym chrzęstem, jak gdyby ćwiczyli razem przez wiele tygodni, by stać się płynnie funkcjonującą maszyną, założyli karabiny na ramiona, a potem przewiesili je sobie przez plecy.

— Mieszki! — wykrzyknął Amnon. — *Hevre*, mieszki!

Stu komandosów ustawionych w siedem szeregów podniosło skórzane fałdy i wyjęło proce. Na każdej procy także widniał napis usankcjonowany przez Regulę Wojny: „Porządek Boży”, „Książęta Boży”, „Wezwani przez Boga”, „Lud Boży” i „Oddziały Boże”.

— Kamienie — zawołał Amnon. Każdy włożył kamienny pocisk do swej procy.

— Gotuj się — ryknął Amnon. Komandosi zsynchronizowanym ruchem zakręcili procami ponad głowami, rozległ się szeleszczący dźwięk, jak gdyby potężny anioł zatrzepotał olbrzymimi skrzydłami.

— Ognia! — wrzasnął Amnon.

Sto kamieni pomknęło ze świstem przez powietrze. Rozległy się dziesiątki tępych dźwięków, gdy ciężarki uderzyły w Anakitów, łamiąc kości, rozbijając głowy. Ranny w udo komandos Yami zakrzyknął gromkim głosem:

— Pobicie ich na głowę!

Lecz padła zaledwie garstka Anakitów.

Amnon obejrzał się ukradkiem, lecz w następnej sekundzie wykrzyknął:

— Jeszcze raz!

Komandos ponownie załadowali proce, czekając na rozkaz. Weterani zaczęli chóralnie recytować starodawne, biblijne błaganie,

\* Tkia — długa nuta szofaru.



najpotężniejszą modlitwę Izraela: *Sz'ma Yisrael, Adonai Eloheynu, Adonai Ehad.*

Do oczu Dana napłynęły łzy, zacisnął pięści i powtórzył po angielsku: „Słuchaj, Izraelu, Pan jest naszym Bogiem — Panem Jedynym”. Park i Sal bez słów szeptali to samo drżącymi wargami.

— Oooognia! — zawył Amnon.

Kolejna salwa zaświszczała w powietrzu. Ta była znacznie celniejsza. Każdy kamień trafił do celu. Przy wtórze wściekłych i bolesnych ryków ciała gigantów zaczęły padać na ziemię.

Jedynie Nekrisz i Iszbi utrzymali się na nogach. Chwiejnym krokiem wycofali się do autobusu, zataczając się z upływu krwi. Powoli zdolali się wyprostować. Nekrisz otarł krew z czoła i spojrzał porozumiewawczo na Iszbiego. Obracając się w stronę autobusu, ujrzeli, jak Hinnom wyzywająco uderza pięścią w pięść.

Nagle Nekrisz i Iszbi poczuli przyływ nowych sił. Zanim którykolwiek z komandosów zdążył zareagować, skoczyli w stronę jednego ze stojących na ciężarówkach rabinów. Podczas gdy Iszbi unieruchamiał go w swym uścisku, Nekrisz złapał szofar rabina i wbił go mu ostrym końcem w pierś. Kiedy uwolnił go z rany, przełamał ociekający krwią róg na dwie części, oddając jedną z nich Iszbiemu. Z wojennym okrzykiem rzucili się w kierunku Dana, Sala i Park.

Komandosi po raz trzeci załadowali proce. Dan dotknął palcem spustu uzi.

Sal zaczął obliczać trajektorie dla swojej broni, potem naprowadził celownik na nadbiegającego przeciwnika, mechanicznym ruchem przesunął lufę o cal w lewo, potem jeszcze odrobinę w prawo. Park skryła się za ich plecami.

Kiedy Nekrisz i Iszbi zbliżyli się do nich, nieoczekiwanie zeszli z linii strzału. Komandosi nie mogli użyć swych procy, nie rażąc przy tym Dana, Park i Sala. Sapiący Anakici gnający w stronę Dana wydawali się nie do zatrzymania.

— Kule na nich nie działają — powiedział Dan, z niepokojem naciskając na bezpiecznik. — Tylko ich spowalniają.

Amnon odszedł na bok, wyciągając procę ze swego mieszka.

Załadował do niej dwa kamienie i zaczął ją rozkręcać. Szybciej. Szybciej. Kiedy szelest przeszedł w świst, Amnon zamknął oczy i wyrzucił kamienie z procy.

Kamienie, świszcząc, pomknęły poziomą trajektorią i uderzyły Nekrisza oraz Iszbiego w prawą skroń. Giganci zwolnili swój bieg, potknęli się i zachwiali. Wreszcie ostatnim krokiem zwalili się w pył kilka jardów od Dana.

Amnon podszedł ostrożnie do ciał. Leżały nieruchomo. Podejrzliwie okrążył oba trupy, uniósł za włosy głowę Nekrisza, wypuścił martwy ciężar z ręki, a potem to samo uczynił z Isz bim.

— Wierzę w cuda — powiedział cicho Amnon. Potem obwieścił donośnie: — Wierzę w cuda.

Dan zabezpieczył swe uzi. Sal podejrzwał ruch Dana i zrobił to samo, by pokazać, że też zna się na broni. Obaj spojrzeli na zegarki. Dwudziesta trzecia trzydzieści dziewięć.

Hinnom i Linzer wysiedli z autobusu. Hinnom uniósł wysoko obie ręce, by pokazać, że jest nieuzbrojony, i zwrócił się do Amnona:

— Jejkusiu — zaczął w niemalże komiczny sposób. — Trochę się... — Przerwał, gdyż nic nie przychodziło mu do głowy. Zaczynał jeszcze dwa, trzy razy, by urwać po paru słowach.

W końcu oznajmił dosyć formalnym tonem:

— Jestem Ben Hinnom, założyciel i dyrektor Hinnom Computing. Jak zapewne wiecie, wraz z moim współpracownikiem byliśmy zakładnikami tych dzikich terrorystów. Tych samych, którzy napadli na więzienie. A... — wskazał na Sala — tych troje stoi za tym wszystkim. To oni rozkazywali tym anakickim mordercom. Zostało mi już tylko kilka minut na zrobienie czegoś bardzo ważnego — wykrztusił. — O ile jeszcze tego nie zauważyliście, wszystko zrobi wielkie bum! Jeśli dokładnie o północy nie prześlę pewnych kodów. Rozumiecie? O północy!

Żadnej reakcji.

Linzer zrobił krok do przodu i oznajmił:

— Pan Hinnom żąda od was niezwłocznej odpowiedzi — w tej chwili. Zależy od niej przyszłość światowej technologii.

Amnon zawołał do komandosów:

— Kamienie...

Żołnierze załadowali kolejną salwę.

— Gotuj się... — Szelest tym razem brzmiał niczym wściekła wichura.

— Ognia!

Dziesiątki kamieni spadły na Hinnoma, Linzera i ich autobus. Szkło posypało się z okien, w żółtej blasze pojawiły się dziury, przebity też został zbiornik paliwa. Hinnom i Linzer otrzymali niejedno celne trafienie. Ognista kula spowiła autobus. W następnej sekundzie pojazd eksplodował, jego opony poleciały na boki, ciągnąc za sobą smugi ognia.

Kiedy rozwiała się mgła, opadł zjadliwy dym i przygasły płomień, z gimbusa pozostał jedynie strzaskany, kopcący szkielet. Lecz obok niego nadal stali Hinnom i Linzer.

Była dwudziesta trzecia czterdzieści dziewięć.

— Instalacja — warknął Linzer. Obaj mężczyźni otworzyli swoje komputery i zaczęli wprowadzać kody.

Ziemia zadrżała, gotowa w każdej sekundzie pochłonąć helikoptery i ciężarówki. Amnon zaczął zaganiać komandosów do maszyn. Jeden ze śmigłowców zniknął w rozwierającej się nagle czeluści, znacząc swą drogę oslepiającymi eksplozjami paliwa. Jako następne osunęły się ciężarówki, zapalając się ostrym płomieniem. Wraz z nimi w ogień runęło też paru weteranów. Młodszy komandosi uciekali w stronę pozostałych blackhawków, unoszących się parę stóp nad gwałtownie zapadającą się ziemią. Desperacko łapali się kół, płóz i drabinek. Kiedy tam zabrakło miejsca, chwyтали się już uczepionych maszyn towarzyszy. Helikoptery uniosły się wolno, uwożąc ze sobą dziesiątki żołnierzy wiszących w kilku warstwach na nogach swych kolegów.

Trzęsąca się ziemia strąciła Hinnoma i Linzera do pobliskiego parowu. Jego dno zamieniło się w błotnistą rynnę. Obaj ześlizgnęli się na dół, lądując w mrocznym, wykonanym ludzką ręką tunelu pod starożytnym Megiddo. Rojący się od tłustych, oleistych robaków i ociekający zgnilizną tunel był częścią pozornie niezgłębionego labiryntu.

- Tej drogi się nie zapomina — zachichotał Hinnom. Wraz z Linzerem przeszli żwawo piętnaście kroków do potrójnego rozgałęzienia, przyświecając sobie latarkami. W prawo, potem w lewo i z powrotem. Skręcili raz jeszcze w lewo i przeszli dziewięć kroków, napotykając na stopnie dokładnie tam, gdzie się ich spodziewali, a wtedy zeszli do pozornie ślepego korytarza.
- To powinno być gdzieś tutaj — powiedział Linzer. Zaparł się o przeciwległą ścianę i kopnął. Kamienie poruszyły się. Jeszcze raz. Wielki, kamienny blok przesunął się z miejsca. Linzer i Hinnom naparli na niego, dopóki nie wypadł wraz z dwoma sąsiednimi blokami. Otwór znajdował się wprost nad starożytnym ołtarzem Baala na samym dnie Tel Megiddo.

Ołtarz, skonstruowany przed wiekami z kamieni i błota, tworzył idealnie okrągłe podwyższenie. Wzniesiony został na zbezczeszczo-nych ołtarzach jeszcze dawniejszych bogów, czczonych przez pod-bitych mieszkańców Megiddo. Konstrukcja ta znajdowała się na dnie gigantycznych wykopalisk trwających od wielu lat. Otaczające ją wały ziemne miały co najmniej pięćdziesiąt stóp wysokości, tworząc głęboką jamę z ołtarzem w jej centrum.

Hinnom i Linzer precyzyjnie przeszli przez wykopane przez siebie wejście i zeskoczyli sześć stóp w dół. Kiedy wylądowali, Hinnom nie oparł się pokusie przesunięcia palcami po bokach ołtarza. Kantowane przesła, wyżłobione krawędzie, odłupane fragmenty, w wielu miejscach prymitywnie ociosane, składały się jednak na tysiącletni ośrodek błędnie ukierunkowanej ludzkiej wiary. Wbiegając prymitywnymi schodami na szczyt ołtarza, Hinnom warknął:

— Dobra, wszystko jest zapisane. Nic nie jest dziełem przy padku !

Najgęstsza nocna mgła nadpłynęła nad jamę. Jej kłęby zaczęły sphywać po ścianach i w końcu zasnęły ołtarz.

- Cztery minuty — powiedział rzeczowym tonem Linzer zza mgły, podczas gdy Hinnom usadawiał się wygodnie na ołtarzu.
- Cztery minuty — powtórzył Hinnom. — Biorę się do roboty. — Ledwie widząc klawiaturę, powrócił do przerwanej wpisywania protokołu inicjującego instalację.

Równie nieoczekiwanie mgła rozwiała się. Linzer spojrział do góry. Otworzył szeroko usta, Hinnom podążył wzrokiem w ślad za nim. Oślupiały, wyszeptał z niedowierzaniem:

— Niemożliwe!

Z rzadzącej mgły wyłonił się Kuebitz, schodząc wąską, spiralną ścieżką prowadzącą z powierzchni do ołtarza. Za nim maszerowali jego podopieczni z zespołem Downa. Kuebitz zachęcał ich łagodnym głosem:

— Chodźcie. Tak jest dobrze. Chodźcie.

Wszyscy mieli na sobie koszulki z odręcznym napisem „Synowie Światłości”.

Hinnom zamarł, zadygotał gwałtownie i wrzasnął:

— Nie... nie... kurewskie bękarty... — Nie zdołał powiedzieć nic więcej.

Kuebitz rozstawił część grupy z jednej strony, a pozostałych z drugiej.

— Wszystko będzie dobrze — zapewnił ich. — Wasze miejsce jest tutaj.

Linzer podtrzymał swego znieruchomiałego pana, błagając:

— Jeszcze jest czas. Trzy minuty. Trzy minuty!

Żadnej odpowiedzi.

— Podaj mi kod — wrzasnął Linzer. — Ja to zrobię. Pozwól mi to zrobić.

Hinnom nie był w stanie wykrztusić ani słowa. Kuebitz skinął na swoich podopiecznych, by podeszli bliżej. Wystraszona grupa zbliżyła się, wołając:

— Możemy pomóc. On jest chory. Ludzie są chorzy.

Za ich plecami pojawił się Amnon z resztką swych żołnierzy, wśród których był dowódca komandosów Yami. Mężczyzna chwycił broń i odbezpieczył ją. Kuebitz uniósł dłoń. Amnon potwierdził rozkaz, więc komandos wycofał się. Dowodzenie w tej bitwie wyraźnie przeszło teraz z Amnona na Kuebitza.

— Bardzo sprytnie — ryknął Linzer do Kuebitza. — Tylko te wyrodky są ci posłuszne. Wiesz, że w ich obecności jest bezsilny.

— Dlatego, że nie sposób ich skazić? — odparł Kuebitz. —

Ponieważ nie są zdolni do żadnej podłości? Ponieważ są najczystszy-  
szymi z najczystszych? A może dlatego, że „litościwe serce stanie  
się wrotami nadziei”? Przez te wrota nie możecie się przedostać.

— To wyrodki, oni i ten ich dziwaczny, pokręcony dwudziesty  
pierwszy chromosom — zawył Linzer.

— Nie pojmujesz znaczenia liczb — odparł Kuebitz.

— Nie pojmuję twojej fascynacji tymi gnojkami — odciął się  
Linzer.

— Jak myślisz, na czyj obraz i podobieństwo zostali stworzeni?  
— odpowiedział Kuebitz. Uśmiechnął się uśmiechem, który  
zrodził się jako niemalże niedostrzegalne drgnięcie warg, lecz  
zaraz rozszerzył się na całe jego oblicze, stał się tak szeroki,  
że cała jego twarz zdawała się jednym wielkim uśmiechem.  
Jego oczy również przyłączyły się do niego. Zachodząca na  
twarzy Kuebitza zmiana była tak głęboka, że sam niemal  
przeistoczył się w downa. Raymond spostrzegł to i na jego  
obliczu odmalowała się radość.

— Kocham go — oznajmił. — On jest taki jak my.

Linzer zeszytywniał, szeroko otwierając zdumione oczy, lecz  
zaraz się otrząsnął, wywarkując:

— Nie mam czasu na te głupoty. — Wyrwał Hinnomowi Win-  
dy'ego i zaczął przeglądać pliki, starając się odnaleźć kod.

— Jaki jest ten kod! — krzyknął na oniemiałego Hinnoma.

— Won! — warknął zaraz w stronę downów. — Jego głos  
zabrzmiął tak, jakby echo niosło go głębokim tunelem.

— Możesz się z tego wyrwać — zawołał Linzer, potrząsając  
Hinnmem.

Hinnom powoli wydusił z siebie:

— Kod to...

Linzer przysunął się bliżej, by nie uronić ani słowa.

— Kod to...

— No, dalej — ryknął szaleńczo Linzer w kierunku downów,  
rozkładając szeroko ramiona. Potem wybuchnął śmiechem:

— Nie jesteście w stanie go zabić. Możecie sobie strzelać.

Bawić się waszymi dziecinnymi procami i małymi  
kamyczkami. Żaden z was nie ma kamienia. Tego jedyne-  
go kamienia. — Linzer odwrócił się do

Kuebitza, wołając: — Dobrze to wiesz. Wiesz, że jedynie ten kamień może wyrządzić mu krzywdę — a jego nie ma nikt.

W tej samej chwili Dan postąpił parę kroków do przodu, Sal i Park nie odstępowali go ani na centymetr. Zgubili gdzieś swoją broń. Dan, wciąż krwawiąc i krzywiąc się z bólu, sięgnął do kieszeni i uniósł wysoko nad głową jakiś przedmiot.

— Ten się nada?

Linzer skrzywił się straszliwie, a twarz Hinnoma jakby zapadła się w głąb.

Lecz wtedy zachowanie Linzera stało się niezwykle spokojne w nieokreślony, dziwaczny sposób.

— Dan Levin, zgadza się? — zaczął drżącym głosem. Lęk zakradł się do śliskiego, rzeczowego stylu bycia Linzera. Z głosu zniknął napuszony ton, chwilami wahał się i załamywał. Po dawnej wyniosłości nie pozostało nawet wspomnienie. Mówił jak człowiek stojący nad przepaścią. — Dan, posłuchaj mnie przez krótką chwilę — powiedział Linzer, usiłując ukryć drżenie. — Jesteś, miły panie, dłużnikiem moim i pana Hinnoma. Dlatego powinieneś teraz odłożyć ten kamień. Masz rację, to ten szczególny kamień, nie zwykły okruh skały obszczany przez dziesiątki wielbłądów. Ale ty, Danielu Levin, jesteś naszym dłużnikiem.

Dan nie odpowiedział, lecz słowa Linzera wyraźnie nim wstrząsnęły.

— O, tak — potwierdził Linzer z przesadną emfazą. — Podarowaliśmy twoim kochanym staruszkom rybę. Pamiętasz, kiedy ich przycisnęło i umierali z głodu. Zgadza się, w starej, wrednej Polsce. Ty też tam byłeś, żalosne kilka komórek podskakujących w łonie tej dziewczyny. Widzę, że zaczyna powracać ci pamięć. To dobrze. Dobrze. Nie byłoby cię tutaj, Danielu Levin, gdybyśmy nie wyciągnęli pomocnej dłoni. Więc teraz odłóż ten kamień.

Dan zadygotał z wściekłości, lecz jedynie mocniej zacisnął palce na kamieniu. Linzer zmienił taktykę.

— Hej, Dan, a co u Jenny i chłopaka? Przepraszam za tamten wypadek. Chciałbyś ich z powrotem? Da się załatwić. Chciałbyś ich z powrotem? Odłóż kamień, a możemy o tym porozmawiać.

Dan spojrział z boleścią na Kuebitza. Początkowo niczego nie widział. Potem Kuebitz rozbłysnął białością. Oczy Dana oślepiły na wirującą chwilę, gdy struga jasności rozwinęła się wprost przed nim, w dłoni poczuł ciepło. Zalewając się łzami, zrozumiał wszystko i zdołał wykrztusić:

— Dziękuję.

Z furią rzucił się na Linzera i Hinnoma z bezcennym kamieniem w ręce. Linzer puścił Hinnoma, chwytając nadbiegającego Dana — jedną dłoń zacisnął mu na gardle, drugą unieruchomił rękę z kamieniem. Ścisnął ją tak mocno, że spod paznokci Dana trysnęła krew. W końcu sięgnął do tylnej kieszeni i wyciągnął z niej derringera. Dan uderzył Linzera kamieniem ponad prawym uchem, w prawy płat skroniowy. Linzer zatoczył się, wymachując bronią. Dan uderzył go ponownie. Mocniej i tym razem rozbił mu czaszkę. Linzer pociągnął za spust, postrzelił Dana z bezpośredniej odległości i padł na ziemię.

Dan, zginając się z kulą w piersi, osunął się na ziemię.

Park podbiegła do niego, płacząc rozpaczliwie.

Linzer uniósł się nieco i wycelował w Sala. Skonał z rykiem na ustach, w chwili gdy broń wypaliła. Jednak pocisk trafił Park. Jej ciało runęło na ziemię obok Dana.

— Park — wyjęczał Dan, choć życie już z niego uciekało.

Park przycisnęła dłonie do źródła pulsującego bólu w brzuchu, patrząc, jak krew sączy się między jej palcami. Sal przypadł do niej, starając się ją pocieszyć.

Kuebitz podszedł do Dana i Park. Raymond był tuż za nim. Każdy, kto użyłby kamienia, dopuszczalby się jedynie zwykłego aktu ludzkiej przemocy. Natomiast w rękach downa, stawał się on triumfem niewinności.

— Dalej, Raymond — powiedział Kuebitz. — Podnieś ten kamień.

— Czy mogę w czymś pomóc? — uśmiechnął się Raymond.

— Uderz go — wykrztusił Dan. — Uderz Hinnoma — tego faceta — w głowę.



— Nie mogę tego zrobić. Ja kocham wszystkich — odpowiedział zdezorientowany Raymond.

— Zabij sukinsyna — wycharczał Dan, spoglądając wpierw na Park, a potem ponownie na Raymonda. — On jest zły. Zły. Bardzo zły. Zabij go!

Była dwudziesta trzecia pięćdziesiąt dziewięć. Hinnom poruszył się. Uniósł prawą dłoń nad klawiaturę Windy'ego, by wpisać uruchamiającą instalację kod.

Kuebitz przysunął się do Raymonda i szepnął do niego.

— Nie mogę — zawołał Raymond. — Ja kocham wszystkich.

Kuebitz szepnął ponownie. Zostało czterdzieści sekund. Hinnom wpisał 6... potem drugie 6...

.. wreszcie jego palec opadł na klawisz 6 po raz trzeci, kończąc wprowadzanie kodu.

Wtedy Hinnom przesunął mały palec nad klawisz ENTER. Jego dłoń znieruchomiała, kiedy gromadził siły, by go wduścić.

Zły spojrział w górę i napotkał spojrzenie Kuebitza. Znalazł w sobie dosyć siły, by warknąć:

— Żaden z nich nie zasługuje na to, by istnieć. Wiesz o tym.

— Nikt nie wyrzuca dobrych winogron — odparł Kuebitz. — Robi się z nich wino.

Słabnąc, Hinnom wykrztusił jeszcze jedno, ostatnie pytanie:

— Kiedy mój ojciec mi wybaczy? Kuebitz odwrócił głowę w bok i powiedział:

— To, co zrobiłeś, jest niewybaczalne.

Raymond przysunął się niepewnie do Hinnoma z kamieniem w dłoni. Nie wiedząc, czy ma się uśmiechać czy płakać, uniósł rękę, starając się uderzyć Linzera kamieniem. Ale nie potrafił. Dan podciągnął się na nogi, chwiejnie podszedł do ołtarza, gdzie leżał Hinnom, złapał Raymonda za ramię i ostatnim zrywem uderzył dłonią Raymonda i kamieniem w prawy płat skroniowy Hinnoma. Jego głowa rozpadła się na dziesiątki kawałków niczym rozbity sopel lodu. Palec Hinnoma zastygł nad klawiszem ENTER. Z wnętrzości Hinnoma dobył się ryk, po czym jego ciało zwisło bezwładnie.

Kod nie został uaktywniony.

Krążące na niebie ptaki spadły na ciała Linzera i Hinnoma i zaczęły je pożerać, podczas gdy wokół nich wezbrała parująca, pachnąca siarką, bulgocząca kałuża.

Dan, dławiąc się, zmrużył oczy i ujrzał przed sobą rodziców. Zerknął na Kuebitza, który powiedział:

- Teraz już wiesz, Dan. I wiesz, że wiesz.
  - Pólnoc! — wykrzyknął Sal, nie przerywając wysiłków, by złagodzić cierpienie matki.
  - Staralam się — wyszeptała do Sala. — Ale nigdy nie rozumiałam. Może... — jęknęła i syknęła z bólu, stopniowo tracąc przytomność — ...może, och... teraz widzę... widzę... jesteś błogosławionym dzieckiem. — Chciała pogłaskać Sala po głowie, lecz zabrakło jej sił i jej ręka opadła ciężko na ziemię.
  - Park — zawołał osłabły Dan, który w ostatniej chwili swego życia obrócił twarz w jej stronę.
  - Nie tutaj, Dan — odparła cicho. — Nie tutaj... Tam. O, tak. Będziemy razem, ale jedynie tam. — Na jej twarzy zagościł niezwykle spokój, gdy powiedziała chrapliwie: — Nic nie jest dziełem przypadku.
  - Tak. Tam... — wycharczał Dan ostatkiem sił. — Kocham cię, Park... tu i teraz... i kiedy już będziemy tam... Nic nie jest dziełem przypadku. — Głos Dana ucichł, gdy skołał.
- Park ujrzała, że odszedł, i przestała walczyć, dołączając do niego. Sal dopadł Kuebitza, błagając, jak gdyby rozmawiał z rodzicem:
- Chcę, żeby wrócili.

Kuebitz pokręcił przecząco głową.

- Możesz to zrobić — zawołał Sal. — Możesz. Byłem szyfrem. Szyfrem, dopóki ci dwoje nie pomogli mi wyrwać się z punkowego istnienia. Mama obdarzyła mnie miłością, kiedy nie potrafiłem jeszcze jej zmierzyć ani zrozumieć. Sprowadź ją z powrotem. Dana też. On był wiatrem — jedynym, jakiemu zdołałem stawić czoło i dać się porwać. Sprowadź ich z powrotem. Masz niezbędną technologię.
- Chyba masz na myśli moc? — powiedział Kuebitz.
- To to samo — wyjąkał Sal. — Obaj to wiemy. Technologia,

moc, boska potęga — to tylko zakodowane słowa nazywające jedno i to samo zjawisko. Sprowadź ich z powrotem.

— Nie mogą tu wrócić — odparł Kuebitz. — Ale ty tu zo staniesz. Pomożesz ludziom sięgnąć gwiazd, najdalszej gwiazdy, ośrodka stworzenia. Masz tyle czasu, ile będziesz potrzebował. Tysiąc lat, jeśli chcesz.

Sal rzucił się na ciało matki i krzyknął:

— Sprowadź ich z powrotem. Zdobędę tę technologię bez ciebie, jeśli mi odmówisz.

Kuebitz uśmiechnął się, przesunął palcem po głowie Sala i zapewnił go cichym głosem:

— Wcale nie. Dobrze o tym wiesz. Nie jesteś taki jak on — powiedział, wskazując na ciało Hinnoma pokryte uczującym ptac twem. Potem ruszył powoli w górę, prowadząc za sobą kroczących majestatycznie downów.

Sal rozpląkał się, spojrzął na swe dłonie i dotknął nimi wpierw Park, potem Dana. Ale po krótkiej chwili cofnął je. Oboje wciąż leżeli bez życia.

Rozejrzał się dookoła. Wszędzie widać było ślady rzezi i kłębia-  
ste pióropusze dymu. Smród śmierci i zniszczenia palił go w płuca. Trzepot ptasich skrzydeł i dalekie lamenty niewinnych kłuły go w uszy. Sal powoli wyciągnął spod trupów Hinnoma i Linzera oba minikomputery i dołożył je do swojego.

W oddali sylwetka Kuebitza malowała się na szczycie jamy. Obrócił się i zamachał ręką. Sal przypatrywał się mu w zadziwieniu. Ze znajdującego się na samym dnie ołtarza wydawało mu się, że wyciągnięta, wymachująca ręka Kuebitza dotyka lśniącej na niebie samotnej gwiazdy. Na pewno to perspektywa płatała mu figle, lecz gdy dłoń Kuebitza na moment przesłoniła gwiazdę, Sal wyczuł obecność, poruszenie w swym wnętrzu. Zadarł głowę do góry.

Biel przesłoniętej gwiazdy zaczęła rozszerzać się gwałtownie za zasłoną dłoni Kuebitza. Jej jaskrawa poświata wirowała szaleńczo, aż pulsująca biel wypełniła całą kopułę nocy. Wkrótce ciemność uciekła znad Megiddo. Potężny blask rozprzestrzenił swój zasięg, zalewając Sala swymi niesamowitymi, oślepiającymi promie-

niami. Teraz jednak — w przeciwieństwie do dwóch poprzednich razów — nie sparaliżowało go. Zagłębił się w niezmiarzone warstwy czystej jasności, potykając się i zataczając, dopóki nie dotarł do schodów prowadzących z jamy mieszczącej w swym wnętrzu ołtarz.

Gramoląc się po schodach w szaleńczym tempie, na czworakach niczym ślepiec, wymacując drogę, trzymając się ściany, walcząc i słabnąc z każdym krokiem, wielokrotnie uderzając głową w kamienie, których nie widział, a jedynie wyczuwał, Sal dotarł w końcu na górę. W poświacie widoczny był tylko jeden kształt — jaskrawa sylwetka Kuebitza na szczycie wzgórza.

Z głębi bezkształtnej bieli nadpłynął dźwięk. Tym razem nie był to nieokreślony, mistyczny odgłos niepojętego pochodzenia. To głos Sala. Krzycząc ponad bielą dzielącą go od Kuebitza, wyciągając ramiona w proszącym geście, po raz ostatni błagał:

— Sprowadź ich z powrotem! Boże, sprowadź ich z powrotem!

Raymond, stojący u boku Kuebitza, podniósł głowę i zapytał z uśmiechem:

— Byli dobrzy?

Kuebitz pogładził delikatną skórę twarzy Raymonda i odparł:

— Tak, byli dobrzy.

— To sprowadź ich z powrotem — powiedział śpiewnie Raymond. — Sprowadź ich z powrotem.

Pozostali, zafascynowani tym pomysłem, powtórzyli za nim niczym refren:

— Sprowadź ich z powrotem — zawołali słodkimi głosami. — Sprowadź ich z powrotem.

Sal, przytłoczony i załamany, padł na kolana, oparł czoło o nasiąkniętą krwią ziemię i powtórzył żałośnie:

— Masz niezbędną technologię. Sprowadź ich z powrotem.

Kiedy podniósł głowę i otworzył oczy, dookoła panowała cisza. Kuebitz zniknął. Jego podopieczni także. Sal klęczał samotnie skąpany blaskiem. Wtedy, równie nagle jak eksplodowała na niebie, biel skurczyła się do rozmiarów pierwotnej gwiazdy, jak gdyby wciągnięta wszechmocnym oddechem.

Sal poczuł dotyk na ramieniu i usłyszał czyjeś słowa:

— Potrzebuję pomocy.

Głos należał do Park. Padła na ziemię, przyciskając dłonie do rany. Sal spróbował coś powiedzieć, lecz jego głos załamał się pod ciężarem zdumienia i wdzięczności. W końcu wykrzyknął: „Mamo!” Powtarzał tak, belkocząc przez chwilę, dopóki nie zorientował się, że musi coś zrobić.

Otworzył Windy'ego Hinnoma. Ekran zapalił się błyskawicznie. Odszukał książkę adresową poczty elektronicznej. Załadowały się tysiące tysięcy adresów. Wybrał wszystkie należące do izraelskiej policji i sił bezpieczeństwa, po czym wysłał do nich wspólną wiadomość: „Hinnom i Linzer nie żyją. Ci, którzy przeżyli, potrzebują pomocy. Przybywajcie do Megiddo. Sal”.

Odwrócił się do matki, która leżała cicho na ziemi. Jego dłonie drżały, nie wiedział, co ma robić.

— Mamo — szepnął Sal. — Wysłałem e-maila z prośbą o pomoc. Ktoś tu zaraz przybędzie. Ktoś tu zaraz przybędzie. Wytrzymaj, proszę. Pomoc już jest w drodze.

Wtedy przez szary krajobraz chwiejnym krokiem podeszła do niego jakaś postać, mówiąc:

— Ja pomogę.

Sal spojrział na nią oniemiały. Przed nim stał Dan, jego skrważoną pierś ściśle spowijała koszula, kawałek poczerwieniałego płótna znaczył ranę od kuli. Dan osunął się na ziemię obok Park, lecz nie zważając na swój stan, uniósł jej głowę i szepnął do niej. Jej oczy obróciły się w jego stronę, a na twarzy zagościł spokój. Ich wargi zetknęły się, nie w pocałunku, lecz w akcie zobowiązania. Dan przycisnął dłoń do jej torsu, by zahamować krwawienie.

— Ktoś mnie wyciągnął — powiedział Dan. — Myślałem, że to Yaacov... To nie mógł być on. — Park pokiwała głową, unosząc palec na znak, że się zgadza. Jej także wydawało się, że widziała Yaacova.

— Ale to nie mógł być Yaacov — stwierdził zdumiony Dan.  
— Jestem głodny — wymamrotał cicho Dan. — To nie mógł być Yaacov. Jestem głodny.

Sal zacisnął pięść pełnym nadziei gestem, spojrział na płonąca na niebie gwiazdę i wyszeptał do Kuebitza:

— Masz niezbędną technologię. Dziękuję ci. Po wiek wieków, dziękuję ci.

Czekając na nadejście pomocy, Dan i Park rozmawiali ze sobą wzrokiem ze splecionymi palcami.

Tej nocy, zgodnie z oczekiwaniami, dokładnie o północy miliony ludzi w strefie czasowej Jerozolimy wpisało na klawiaturze „Windgazer 99.9”. Ale nic się nie stało. Bez kodu wersja 0.9 nie mogła zostać zainstalowana. Wszystkie systemy pracujące na Windgazerze zawiesiły się.

Lecz sto tysięcy ludzi w strefie czasowej Jerozolimy wydało polecenie „format c:”. Na ich ekranach pojawił się komunikat.

„Instalacja potrwa długo. Bądź cierpliwy.  
Instalacja potrwa ponad 24 godziny”.

W miarę jak kolejne strefy czasowe witały nowe tysiąclecie, przytłaczająca większość ludzi, usłyszawszy o wydarzeniach w Jerozolimie, wydawała polecenie „format c:”. Ci, którzy tego nie uczynili, patrzyli, jak ich komputery zawieszają się nieodwracalnie. Pozostali ujrzeli ten sam komunikat.

„Instalacja potrwa długo. Bądź cierpliwy.  
Instalacja potrwa ponad 24 godziny”.

W końcu, kiedy wszystkie strefy czasowe mogły wybrać „format c:”, cały świat ujrział na swych ekranach długi komunikat licencyjny. Brzmiał on tak:

„Derek wita cię w nowym tysiącleciu. Zainstalowałeś najpotężniejszy system operacyjny w historii. Korzystaj z niego. Używaj go mądrze.

Ci, którzy nie chcieli przeładować, otrzymają drugą szansę. Wydarzenia z przeszłości zostały całkowicie zapomniane.

Zapamiętaj: w każdy piątek o zachodzie słońca uaktywni się długa rutyna diagnostyczno-uaktualniająca. Będzie trwać 24 godziny. W tym czasie nie będziesz mógł używać swego komputera. Ani innych komputerów. Ani urządzeń wykorzystujących technologię komputerową. Wszystkie komputery na świecie w piątek wieczorem uruchomią tę procedurę i staną się niedostępne. Wykorzystaj ten czas na refleksję, zwolnienie tempa, odkrywanie własnej rodziny i samego siebie.

Przez pozostałe sześć dni możecie używać swoich komputerów w każdym uczciwym i przyzwoitym celu. System pomoże wam osiągnąć wszystko, czego zapragniecie. Budujcie domy i mieszkać w nich. Sadźcie winnice i rozkoszujcie się winem. Dzieci nie będą już umierać. Będziecie mogli żyć długo niczym drzewa. Pewnego dnia dotrzecie nawet do najdalszej gwiazdy, niewidocznego punktu u kresu wszelkiego obrazu i dźwięku. Macie do tego pełne prawo.

Lecz nie nadużywajcie możliwości systemu kłamstwami i podłością. Nie odbierajcie ani nie stwarzajcie życia. Wykorzystywanie systemu niezgodne z warunkami umowy spowoduje anulowanie licencji.

Jeżeli zgadzasz się na te warunki, naciśnij ENTER".

Cały świat zadziwił się i pogрузzył w dyskusjach. Wszyscy, którzy agnęli zbawienia swego systemu, wdusili ten sam klawisz.

## SPIS TREŚCI

### CZĘŚĆ PIERWSZA: WOJNA SYSTEMÓW OPERACYJNYCH

15. Dan Levin.....	10
16. Zoom .....	25
17. Ben Hinnom.....	41
18. Pytanie.....	65
19. Zeznanie.....	102
20. Wingazer 99.....	128
21. Północ w „Tel Aviv Cafe” .....	153
22. Hakol Lavan.....	174

### CZĘŚĆ DRUGA: ODKRYCIE

9. Jerozolima.....	202
23. Derek.....	230
24. Globalna instalacja.....	256
25. Wersja 99.9.....	273
26. Zwój Miedziany.....	302
27. Format c: .....	334

### CZĘŚĆ TRZECIA: FORMAT C:

28. Wybór.....	366
29. Apokalipsa Bena Hinnoma.....	390
30. Dolina Śmierci .....	401
31. 31 grudnia 1999.....	436
32. Północ w Meggido .....	483